

LION FEUCHTWANGER

WOJNA ŻYDOWSKA

TOM III

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

KSIĘGA PIERWSZA

DOMICJAN

Nie, Józef chyba nie może pozostawić tego, co napisał. Odczytuje na nowo swoje zdania o Saulu, o tym, jak ów król hebrajski, choć wiedział, że znajdzie śmierć i poprowadzi swoich na zagładę, śmiało i zdecydowanie staje do walki. „Uczył to Saul i wskazał w ten sposób tym, którzy dążą do wiecznej chwały, by postępowali podobnie” — napisał Józef. — Ale nie, nie powinni postępować podobnie. Właśnie teraz nie wolno mu tego napisać. W kilkadziesiąt lat po zagładzie państwa i zburzeniu Świątyni rodacy jego i tak skłonni są do szukania nowej, bezmyślnej awantury wojennej. Owo tajne stowarzyszenie, które ma przyspieszyć nadejście tego dnia, owi następcy dawnych Zelotów, tak zwani obecnie Gorliwcy, zdobywają coraz więcej zwolenników i wpływów. Józef nie ma prawa podniecać swą książką ich beznadziejnej waleczności. Choć ponura odwaga króla Saula pociąga go, musi kierować się rozsądkiem, a nie uczuciem, nie wolno mu ukazywać swoim Żydom tego króla jako godnego naśladowania bohatera.

Flawiusz Józef, szlachcic rzymski, wielki pisarz, którego popiersie honorowe stoi w bibliotece Świątyni Pokoju, albo raczej rabbi Józef syn Mateusza, kajdan jerozolimski, odkłada rylec, zaczyna chodzić tam i z powrotem, wreszcie siada w kącie swej pracowni. Siedzi teraz w półmroku; przy świetle lampy oliwnej widać tylko biurko z kilkoma książkami i zwojami oraz złote przybory do pisania, ofiarowane mu kiedyś przez zmarłego cesarza Tytusa. Dygocąc — najsutszy bowiem ogień nie potrafi przemóc wilgotnego chłodu początków grudnia — Józef patrzy otępiąłym wzrokiem na lśniące matowo złoto.

To dziwne, że tak entuzjastycznie napisał o bezmyślnej waleczności Saula. A więc znowu przeważało w nim serce? Czy to pięćdziesięcioletnie serce wciąż jeszcze nie chce zadowolić się spokojną obserwacją, która wyłącznie winna znaleźć wyraz w jego wielkiej księdze?

Coraz rzadziej zdarza się, by rylec czy pióro były mu nieposłuszne. Wywalczył sobie obojętność, której wymaga jego wielkie dzieło, jego *Uniwersalne dzieje narodu żydowskiego*. Wyzwolił się od popędów, nie oplakuje bujnego, szaleńczego życia, które leży za nim. Swego czasu rzucił się z gorącym zapalem w wir wielkiej wojny swego narodu, uczestniczył w tej walce zarówno po stronie Żydów, jak i po stronie Rzymian w charakterze polityka i żołnierza. Głębiej, niż większość współczesnych przejrzał wydarzenia związane z tą wojną. Przeżył doniosłe wypadki w najbliższym otoczeniu pierwszego, a także drugiego cesarza z rodu Flawiuszów, zarazem jako uczestnik walk i poszkodowany, jako Rzymianin, Żyd i obywatel świata. Napisał wreszcie klasyczną historię tej wojny żydowskiej. Czczono go, jak niewielu innych, poniżano o i znieważano, jak niewielu innych. Teraz ma dosyć sukcesów i klęsk, gwałtowne czyny wydają mu się czcze i próżne, uświadomił sobie, że zadaniem jego jest obserwacja, w niej również tkwi jego siła. Nie został przeznaczony przez Boga i ludzi na tworzenie historii, lecz na porządkowanie dziejów swego narodu i na zachowanie ich, na zbadanie ich sensu, na ukazanie ich tak, by stały się bodźcem i przestrożą dla następców. Po to żyje i to go napędza zadowoleniem.

Czy jest zadowolony? Piękny, niemądry ustęp o królu Saulu nie świadczy o tym. Ma lat prawie pięćdziesiąt i jeszcze nie osiągnął upragnionej równowagi.

Uczył wszystko, żeby ją osiągnąć. Nie dał się odwieść od swego dzieła, nie czynił żadnych wysiłków w celu zdobycia pozornych sukcesów. W ciągu całych czterech lat nic nie opublikował. Wespazjan i Tytus byli dlań usposobieni przyjaźnie; nie ruszył palcem, żeby się

zbliżyć do panującego obecnie Domicjana. Tak, w cichym Józefie, żyjącym w ostatnich czasach na uboczu, nie ma już nic z owego dawnego namiętnego i ruchliwego Józefa.

Zdania, które napisał o ponurej odwadze króla Saula, są piękne i porywające, Gorliwcy czytali je z entuzjazmem. Ale tak właśnie być nie powinno. Nie powinni zaprawiać się w entuzjazmie, lecz w rozsądku, w przebiegłej cierpliwości. Muszą się podporządkować, nie wolno im po raz drugi bezmyślnie podnosić broni przeciw Rzymowi.

Dlaczego właśnie dziś narzuciły mu się pod pióro te piękne, a zarazem okropne słowa o królu Saulu? Wiedział to już wtedy, kiedy je pisał; nie chciał wiedzieć, ale teraz nie może dłużej ukrywać tej świadomości przed samym sobą. Stało się to dlatego, ponieważ spotkał wczoraj swego Pawła, szesnastoletniego syna żony, z którą się rozwiódł. Józef nie chciał przyznać się przed sobą, że spotkanie to miało miejsce, że przejeżdżający obok niego konno młodzieniec to jego Paweł. Zmusił się, by nie patrzeć na chłopca, ale serce zabiło mu gwałtownie — wiedział, że to Paweł.

Z ust człowieka, siedzącego w półmroku, wydobywa się jęk. Jakże swego czasu zabiegał o tego swojego syna Pawła, na wpół cudzoziemca, syna Greczynki, iloma z powodu niego obciążył się przewinami! Mimo to chłopiec wyplenił z siebie wszystko, co mu z takim nakładem nieśmiałego uporu próbował wpoić; teraz ma tylko pogardę dla ojca Żyda. Józef wspomina tę potworną godzinę, kiedy musiał przejść pod jarzmem zwycięzcy, pod łukiem Tytusa. Przypomina sobie, jak wówczas na ułamek sekundy ukazała mu się twarz syna jego Pawła. Spośród wielu tysięcy szyderczych twarzy pozostanie dla niego niezapomniana; tak, to blade, smagłe, chude, wrogie oblicze wżarło mu się w serce. Kiedy pisał owe zdania o królu żydowskim Saulu, piórem jego kierowała chęć samoobrony przed tą twarzą.

Jakże łatwo rzucić się w wir bitwy, nawet jeżeli zagłada jest pewna, w porównaniu z tym, co wtedy wziął na swe barki. Jakież to bolesne i haniebne być zmuszonym do okazania podziwu zuchwałemu zwycięzcy, gdy się ma świadomość, że takie samoponizenie to jedyna przysługa, którą można oddać własnemu narodowi.

Kiedyś, za sto lat albo za tysiąc, ludzie to zrozumieją. Ale dziś, w dniu dziewiątym miesiąca *kislew* roku 3847 od stworzenia świata, mała to dla niego pociecha, że będą go kiedyś podziwiali rzesze potomnych. W uszach jego nie ma już nic z owej chwały, w sercu jego żyje jedynie wspomnienie wrzasków, wydobywających się z setek tysięcy ust: „Łajdak, zdrajca, pies.” Wśród głosów tych góruje głos jego syna Pawła, który woła: „Mój ojciec to łajdak, mój ojciec to pies.”

Słowa o ponurej odwadze Saula napisał broniąc się przed tym głosem. Napisanie ich koilo, podnosiło na duchu. Słodka to rzecz i podniosła dać się bez zastrzeżeń porwać własnej odwadze. Ale jest rzeczą piekielnie trudną i przygnębiającą pozostać głuchym na tę pokusę, nie słyszeć nic poza spokojnym, bynajmniej nie porywającym głosem rozsądku.

Niestary jeszcze człowiek siedzi więc w kącie, w pokoju panuje mrok, lampa oliwna oświetla tylko biurko, jest pełen nie dokonanych czynów, do których tęskni. Opanowanie bowiem, którym tak się pyszni, ten jego spokój tutaj, w głośnym, lśniącym Rzymie, pękającym od czynów, jest sztuczny, wywalczony, jest oszukańczym wykrętem. Józefa boli i dręczy niezaspokojona ambicja i potrzeba czynu. Wywołać nastrój podniecenia, okazać chęć czynu to byłoby już coś. Opowiedzieć w ten sposób historię króla Saula, żeby młodzież żydowska z entuzjazmem poszła na śmierć, jak wtedy kiedy będąc głupim młodzieńcem porwał ją swą książką o Makabeuszach, to byłoby coś. Tak, opisać historię Saula i Dawida oraz królów i książąt makabejskich, których krew płynie w jego żyłach, w ten sposób, żeby syn jego Paweł poczuł: „Ojciec mój jest mężczyzną i bohaterem.” Pochwała własnego rozsądku, podziw potomnych, przyszłych pokoleń to puste dźwięki.

Nie wolno mu tak myśleć. Musi przepędzić twarze, które czyhają na niego w ciemnościach. Klasnął na służącego, zawołał: — Światła, światła! Niech zapalą wszystkie lampy i świece!

Czuje z ulgą, że po zapaleniu świateł staje się znowu sobą. Teraz może być posłuszny głosowi rozsądku, swego prawdziwego przewodnika.

Usiadł znowu przy biurku, zmusza się do skupienia. „Żeby nie stwarzać pozoru — pisze — jakobym zamierzał wychwalać króla Saula ponad jego zasługi, przystępuję teraz do dalszego ciągu mego właściwego opowiadania.” Ciągnął dalej rzeczowo i z powagą. Pracował jakąś godzinę, dopóki służący nie zameldował, że przyszedł pewien nieznajomy. Jest to niejaki rabbi Justus z Tyberiady, domaga się, by go wpuszczono.

W ostatnich latach Józef rzadko widywał swego oponenta na niwie literackiej i prawie nigdy sam na sam. To, że Justus odwiedzał go o tak niezwyklej godzinie, nie zapowiadało nic dobrego.

Józef miał wrażenie, że szarożółta twarz Justusa, za którym, gdy wchodził, wtargnęła fala wilgotnego chłodu, stała się jeszcze twardsza, bardziej sucha, poorana zmarszczkami. Głowa Justusa, postarzała, wyniszczona, tkwiła na przeraźliwie chudej szyi, wydawało się, że Justus z niemałym wysiłkiem trzyma ją prosto. Józef, czekający w napięciu, co mu tamten powie, skierował wzrok na kikut lewego ramienia, które trzeba było amputować wówczas, kiedy go ściągnął z krzyża. Zdjął wtedy z krzyża surowego mentora. Okrutnym, pewnym siebie spojrzeniem Justus odkrywał każdą jego słabość; Józef odczuwał zawsze lęk przed tym człowiekiem, od którego nigdy nie umiał się wyzwolić.

— Czego chcesz, mój Justusie? — zapytał po wypowiedzeniu kilku zdawkowych słów.

— Chciałbym ci dać radę, nie cierpiącą zwłoki — odparł Justus. — Uważaj dobrze w najbliższych tygodniach, co i do kogo będziesz mówił. Przypomnij sobie, czyś w ostatnich czasach nie wypowiedział słów, które ludzie nieprzychylnie dla ciebie usposobieni mogliby komentować na twoją niekorzyść, i zastanów się nad tym, w jaki sposób można by stępić ostrze tych komentarzy. W otoczeniu cesarza są osoby dla ciebie nieżyczliwe, podobno widzisz ludzi, których lojalność wobec państwa jest wątpliwa.

— Czyż nie wolno obcować z ludźmi — zapytał Józef — którzy mają obywatelstwo rzymskie i nigdy nie wzbudzili podejrzeń władz?

Justus wykrzywił cienkie wargi.

— Wolno — odparł — ale w czasach pokojowych. Natomiast obecnie lepiej jest przyglądać się dokładnie każdemu, z kim się rozmawia, i baczyć nie tylko na to, czy nie wysuwano kiedyś przeciwko niemu żadnych zastrzeżeń, lecz i na to, czy w przyszłości nie będzie można mu czegoś zarzucić.

— Sądziś, że pokój na Wschodzie?... — zapytał Józef nie kończąc zdania.

— Sądzę, że pokój na Wschodzie niedługo się skończy — odparł Justus. — Dakowie przekroczyli Dunaj i wdarli się na obszar państwa rzymskiego. Wiadomość pochodzi z Palatynu.

Józef wstał. Nielatwo mu było nie dać poznać po sobie, jak bardzo go ta wiadomość poruszyła. Nowa wojna na horyzoncie, wojna na Wschodzie mogła mieć nieobliczalne skutki zarówno dla niego, jak i dla Judei. Czy Gorliwcy nie uderzą, jeżeli legiony wschodnie uwikłają się w walkę i będzie można liczyć na interwencję Partów? Czy nie zerwą się do pozbawionego wszelkich widoków powstania?

A przecież nie dalej jak przed godziną słał króla Saula, człowieka, który mając niechybną zagładę przed oczyma, mimo to idzie w bój. Tak, mając lat pięćdziesiąt jest jeszcze większym durniem i przestępcą niż wtedy, kiedy miał lat trzydzieści.

— Cóż możemy na to poradzić, mój Justusie? — dał wyraz głębokiej trosce głosem

ochryplym z podniecenia.

— Przecież ty, Józefie, wiesz o tym lepiej ode mnie — odparł Justus i dodał szyderczo: — Siedemdziesięciu siedmiu ludzi ma w świecie posłuch, a ty jesteś jednym z nich. Musisz się odezwać. Musisz sporządzić memoriał, odradzający wszelkich niedokładnie przemyślanych porywów. Im będzie to prostsze, tym lepiej. Przecież ty to potrafisz. Znasz dobrze język prostych ludzi. Znasz wagę wielkich i słusznych słów.

Ostry jego głos brzmiał wyjątkowo niemiło, ściągnął wąskie wargi, Józef usłyszał znowu ów drażniący chichot, który mu tak działał na nerwy.

Nie dał się jednak sprowokować szyderczym tonem.

— Jakże można zwalczać słowami tak mocne uczucie? — zapytał. Po chwili wyrzucił z siebie: — Przecież ja sam chciałbym ruszyć do Judei, wziąć udział w powstaniu, paść w tym powstaniu, gdyby to było konieczne.

— Łatwo mi w to uwierzyć — szydził Justus. — To by ci odpowiadało. Kiedy mocniejszy nas bije, oddajemy mu rączy i drażnimy go dopóty, dopóki nas nie zabije. Ale Gorliwcy mają coś na swoje usprawiedliwienie, a ty nie masz nic. Nie jesteś dość głupi.

Widząc zaś, jak Józef gapi się na niego bezradnie i ponuro, dodał: — Napisz memoriał! Musisz naprawić niejedno zło, któreś wyrządził.

Kiedy Justus odszedł, Józef zasiadł do biurka, by pójść za jego radą. „Trzeba — pisał — o wiele więcej odwagi na to, by się przezwyciężyć i zrezygnować z powstania, niż na to, by je wszcząć. Obecnie, nawet gdyby wojna na Wschodzie wybuchła, nam, Żydom, chodzi o to, żeby dalej rozbudowywać państwo oparte na prawie i obyczajach i wszystkie nasze siły poświęcić wyłącznie temu zadaniu. Musimy pozostawić Bogu i rządzącemu nami rozumowi stworzenie przesłanek, na podstawie których to państwo prawa i obyczajów, ta duchowa Jerozolima, otrzyma również widomą ramę i podwalinę w postaci Jerozolimy z kamienia. Dzień ten jeszcze nie nadszedł. Przedwcześnie rozpoczęty zryw zbrojny oddaliłby ów dzień, do którego wszyscy żarliwie wzdychamy.”

Pisał. Próbował przepełnić serce entuzjazmem dla rozsądku, dopóki jego woda nie nabrała smaku wina, a zdania, które wygłaszał, nie wydawały się już owocem rozsądku, lecz serca. Służący dwukrotnie zmieniał świece i napełniał lampę oliwą, zanim Józef przyjął wreszcie z zadowoleniem to, co wykoncypował.

Następnego wieczora zjawilo się w domostwie Józefa czterech gości. Fabrykant mebli Kajus Barcaarone, przewodniczący gminy Agryppa, reprezentant Żydów w Rzymie, człowiek umiarkowany i rozsądny, którego imię również w Judei cieszyło się uznaniem. Jan z Giskali, niegdyś dowódca w wojnie żydowskiej, człowiek przebiegły i odważny. Przebywał teraz w Rzymie, handlował terenami, interesy jego obejmowały całe państwo; w Judei Gorliwcy pamiętali jeszcze dobrze działalność Jana z okresu wojny. Trzecim był Justus z Tyberiady. Przybył wreszcie Klaudiusz Reginus, minister skarbu cesarza, zrodzony z matki Żydówki, nigdy nie kryjący się z tym, że popiera sprawę Żydów, wydawca książek Józefa, wspierający go we wszystkich jego kłopotach.

Pod panowaniem nieufnego cesarza Domiejana wszelkie spotkania musiały wyglądać niewinnie, by nie sprawiać wrażenia spisków; prawie w każdym domu gnieździł się bowiem szpicle ministra policji Norbana. Z początku, podczas wieczery, mówiono o sprawach aktualnych. Oczywiście o wojnie.

— W gruncie rzeczy — powiedział Jan z Giskali z zadowolonym, nieco podstępny uśmiechem na opalanej, dobroduszej, chytrej twarzy — cesarz, jak na Flawiusza, nie jest wojowniczy. — Klaudiusz Reginus zwrócił się w jego stronę. Leżał niedbale rozparty, patrzył sennie spod ociężałych powiek, oczy pod wyniosłym czołem miały wyraz drwiący. Wiedział, że

jest dla cesarza nieodzowny, więc od czasu do czasu mógł sobie pozwolić na żartobliwą, nadąsaną szczerłość. I dziś nie zwracał uwagi na podającą do stołu służbę.

— Tak, DDD nie jest wojowniczy — odpowiedział Janowi. Cesarza nazywano DDD od inicjałów jego tytułów i imienia: *Dominus ac Deus Domitianus*, pan i bóg Domicjan. — Niestety, uważa, że mu wcale do twarzy w płaszczu tryumfalnym Jowisza, a kostium ten jest nieco kosztowny. Poniżej dwunastu milionów nie jestem w stanie urządzić mu nowego tryumfu, nie licząc kosztów wojny.

Podnosząc się od stołu Józef mógł wreszcie odesłać służbę, i goście przeszli do sedna sprawy. Pierwszy zabrał głos Kajus Barcaarone. Jowialny pan o chytrych oczach oświadczył, że Żydom rzymskim spodziewana wojna bezpośrednio nie zagraża. Oczywiście w tych ciężkich czasach muszą zachowywać się spokojnie i nie zwracać na siebie uwagi. Zarządził w swej gminie nabożeństwa błagalne za cesarza i zwycięstwo jego orłów; oczywiście inne synagogi pójdą za tym przykładem.

Były to słowa mgliste i niezadowolające. Barcaarone mógłby tak przemawiać w związku fabrykantów mebli, któremu prezydował, albo w najlepszym razie przed członkami rady swej gminy; mówiąc do nich tutaj nie miało sensu zamykać oczu na niebezpieczeństwo.

Toteż Jan z Giskali pokręcił opaloną, dużą głową.

— Niestety — powiedział z dobrotliwym szyderstwem — cała społeczność żydowska nie jest tak grzeczna i rozsądna jak zdyscyplinowana gmina Agryppa. Czcigodny Kajus Barcaarone wie chyba, że istnieją na przykład Gorliwcy.

— Ci Gorliwcy — stwierdził swoim zwyczajem sucho Justus — będą mogli, co jest irytujące, powołać się na niejedno słowo czcigodnego rabbi Gamaliela. A rabbi Gamaliel, przełożony uniwersytetu i kolegium w Jawneh, jest uznawanym przez wszystkich przywódcą społeczności żydowskiej. Pomimo całego umiarkowania — ciągnął Justus dalej — wielki rabbi nie chcąc, by Gorliwcy wytrącili mu ster z ręki, musiał raz po raz podsycać nadzieje na rychłe odrodzenie państwa i Świątyni i posługiwać się czasem mocnymi wyrazami. Fanatycy przypomną sobie to teraz. Czcigodny rabbi będzie miał trudności — zakończył.

— Nie oddawajmy się złudzeniom, moi panowie — oświadczył z całą właściwą mu bezwzględnością Jan z Giskali. — To pewne, że Gorliwcy uderzą.

W gruncie rzeczy wszystkim było to wiadomo, a jednak każdy pod wpływem trzeźwego stwierdzenia Jana doznał lekkiego wstrząsu. Józef przyglądał się Janowi, jego niewielkiej, szerokiej, barczystej postaci, ciemnej, dobroduszej twarzy, okolonej krótką bródką, spłaszczonemu nosowi, szarym, skośnym oczom. Tak, Jan to prawdziwy chłop galilejski, znał Judeę od wewnątrz, był najbardziej popularnym spośród podżegaczy i przywódców wojny żydowskiej; choć Józef buntował się przeciw jego postępowaniu, nie mógł zaprzeczyć, że Jan kocha ojczyznę z głębi duszy.

— Nam w Rzymie — uzasadniał Jan z Giskali swój pogląd z całą stanowczością — trudno wyobrazić sobie, jak wojna na Wschodzie poruszać musi wszystkich w Judei. My odczuwamy, że się tak wyrażę, na własnym ciele potęgę państwa rzymskiego, potęga ta otacza nas ustawicznie, jej poczucie weszło nam w krew i odbiera nam wiarę w możliwość oporu. Gdybym jednak — rozważał głośno, a twarz jego stała się zamyślona, skupiona, nabrała wyrazu pożądanego i bolesnego — gdybym nie siedział tu w Rzymie, lecz w Judei, i usłyszał o potknięciu się Rzymian, nie potrafiłbym się opanować. Wiem oczywiście z matematyczną ścisłością, że takie potknięcie nie mogłoby w żadnej mierze zmienić wyniku wojny; przekonałem się na własnej skórze, do czego takie powstanie prowadzi. Nie jestem młodzieńcem. Mimo to nawet mnie coś ciągnie, by zacząć, uderzyć. Powtarzam wam: Gorliwcy nie wytrzymają.

Słowa Jana poruszyły obecnych.

— Co możemy uczynić, żeby ich otrzeźwić? — przerwał milczenie Justus.

Mówił chłodno, ostry ton jego był niemal odpychający, ale postawa i bezinteresowność sądu zjednały mu powagę; to zaś, że uczestniczył w wojnie żydowskiej, że dla Jerozolimy zawisł na krzyżu dowodziło poza tym, że nie przez tchórzostwo z taką pogardą odrzuca nową awanturę wojenną.

— Czy nie można by — zaproponował ostrożnie Kajus Barcaarone — wpłynąć na cesarza, by zniósł pogłównę? Należałoby wyjaśnić mu jakoś, że byłoby pożądane, aby w czasach tak krytycznych uszanował uczucia ludności żydowskiej. Może przemówiłby za nami nasz Klaudiusz Reginus.

Należy dodać, że ze wszystkich zarządzeń wrogich Żydom największe wzburzenie wywoływało pobieranie owego pogłównego. Nie tylko fakt, że Rzymianie ściągali teraz na budowę świątyni Jowisza Kapitońskiego ową podwójną drachmę, którą kiedyś każdy Żyd opłacał na rzecz Świątyni w Jerozolimie, był gorzkim, szyderczym przypomnieniem klęski. Samo wpisywanie Żydów na listy, publikowanie ich i nalepianie, jak i ściąganie podatków, odbywało się w sposób brutalny i uwłaczający godności ludzkiej.

— Trzeba dziś nie lada odwagi — powiedział po chwili milczenia Klaudiusz Reginus — żeby okazywać wam sympatię. Mimo to może zdobyłbym się na to i przedłożyłbym cesarzowi pomysł Kajusa Barcaarone. Czy nie sądzicie jednak, że DDD, gdyby zdecydował się na odstąpienie od podwójnej drachmy, zażądałby w zamian olbrzymiej kompensaty? W najlepszym razie wprowadziłby nowy podatek nadzwyczajny, który może byłby mniej dotkliwy dla waszych uczuć, ale za to tym bardziej uderzyłby was po kieszeni. Nie wiem, mój Kajusie, co byś wolał: zachowanie twojej fabryki mebli czy też zwolnienie od podatku nałożonego na Żydów. Jeżeli o mnie chodzi, to wolałbym przełknąć nieco zniewagi, ale za to zachować pieniądze. Żyd bogaty, nawet jeśli honor jego nieco ucierpi, ma jeszcze zawsze trochę władzy i wpływów, natomiast Żyd biedak, choć wyjdzie z honorem, nie znaczy nic.

Justus nieznacznym ruchem ręki zbył zarówno płytkie komunały Klaudiusza Reginusa, jak niemożliwe do zrealizowania sugestie Kajusa Barcaarone.

— Co możemy zrobić? Diabło mało — powiedział. — Możemy posługiwać się słowem, oto wszystko. Wiem o tym, że to niewiele. Jeśli jednak słowa będą bardzo mądrze odważone, kto wie, czy nie potrafią podziałać. Namawiałem rabbi Józefa, żeby wystosował memoriał.

Wszyscy spojrzeli na Józefa. Józef milczał i nie ruszał się; czuł czające się za słowami Justusa ciche, drażniące szyderstwo.

— I cóż, zredagowałeś memoriał, rabbi?

Józef wyciągnął z rękawa szaty rękopis i odczytał go.

— To memoriał przekonywający — powiedział Justus, kiedy Józef skończył; poza Józefem nikt nie usłyszał szyderstwa w tym uznaniu.

— Ale na Gorliwców to słabo podziała — oświadczył Jan.

— Tak, Gorliwców nic nie potrafi powstrzymać — przyznał Justus — a tym, którzy skupiają się dookoła wielkiego rabbi, niepotrzebne przestrogi. Są jednak ludzie pomiędzy tymi dwoma obozami, są wahający się, i może na nich potrafimy wpłynąć, my, co mieszkając w Rzymie, lepiej oceniamy sytuację. Pewien skutek to pismo jednak wywoła — obstawał przy swoim.

Mówił niemal gwałtownie, jak gdyby chciał przekonać nie tylko innych, ale i siebie samego. Teraz poczuł się wyczerpany i dodał smętnie:

— A poza tym musimy coś zrobić już choćby ze względu na nas samych. Czy siedzenie tutaj i przyglądanie się, jak inni dobrowolnie idą na zagładę, nie zżera wam serc?

Przypomniawszy sobie, jak wówczas, przed rozpoczęciem wojny i zaraz po jej wybuchu, na próżno ostrzegał. Wiedział, że i tym razem ostrzeżenia będą daremne. I jeżeli za dwadzieścia lat powtórzy się to samo, będzie znowu ostrzegał mimo głębokiego przeświadczenia, że to strzał w próżnię.

— Sądzę — nakłaniał pozostałych — że powinniśmy podpisać się pod memoriałem i zastanowić się nad tym, kogo jeszcze można by skłonić do złożenia podpisu.

Zawzięta gorliwość tego na ogół tak wstrzemięźliwego człowieka poruszyła serca pozostałych. Ale fabrykant mebli Kajus Barcaarone nie był zachwycony.

— Wydaje mi się — powiedział — że chodzi nie tyle o liczbę podpisów, ile o to, by ci, co podpiszą, mieli jakieś znaczenie dla młodzieży Judei. Na co się zda na przykład, że pod memoriałem widnieć będzie nazwisko starego fabrykanta mebli?

— Może nie na wiele — odparł Justus z lekkim odcieniem niechęci. — Ale po to, żeby inni sygnatorzy byli kryci, winny również figurować na dokumencie podpisy ludzi niepodejrzanych.

— Słusznie — przyznał Klaudiusz Reginus, jeszcze bardziej przypierając do muru trwożliwego Barcaarone. — Ludzie naszego Norbana wietrzą przestępstwo we wszystkim i jeżeli memoriał wpadnie w ich ręce, oświadczą, że ci, którzy go podpisali, wiedzieli o podejrzanych knowaniach w Judei. Im więcej będzie pod memoriałem podpisów, nie budzących wątpliwości, tym mniejsze stanie się niebezpieczeństwo dla jednostek.

— Nie wzdragaj się dłużej, mój Barcaarone — rzekł Jan z Giskali głaszcząc brodę. — Musisz to zrobić.

Naradzali się, jak dostarczyć to pismo do Judei. Teraz, w zimie, nie tylko nie było regularnej komunikacji okrętowej, ale istniały również przeszkody innego rodzaju. Dokument można powierzyć jedynie komuś całkowicie pewnemu.

— Nie wiem doprawdy — odezwał się znowu Kajus Barcaarone — czy zysk, który w najlepszym razie osiągniemy z memoriału, będzie we właściwym stosunku do ryzyka, na które narażamy siebie i naszą wspólnotę. Ktokolwiek bowiem pojechałby do Judei teraz w zimie i w tak ciężkiej sytuacji, musiałby podać przekonujące powody, nie chcąc zwrócić na siebie uwagi władz.

— Nie wykręcisz się, Kajusie Barcaarone — upierał się chytry Jan z Giskali. — Znam człowieka, który ma wiarygodne powody, by udać się teraz do Judei; powody te uznają nawet władze. Wskutek wojny niewątpliwie spadną w Judei ceny ziemi. Nieźle więc, że mamy między sobą handlarza nieruchomości w mojej osobie. Firma moja posiada w Judei rozległe tereny. Przeświadczona o szybkim zwycięstwie legionów, chciałaby wykorzystać koniunkturę i zaokrąglić swe tereny. Czy jest to przyczyna przekonująca? Poślę do Judei mego rzetelnego prokurenta Goriona. Powierzcie mi to pismo, będzie z całą pewnością dostarczone.

Złożono podpisy. Z ociąganiem podpisał się pod memoriałem Józefa również i Kajus Barcaarone.

W trzy dni potem tych, którzy złożyli podpisy, zaskoczyła wiadomość, że nie Gorion, lecz Jan z Giskali wyruszył do Judei.

Józef szedł po schodach do pokojów, w których mieszkała Mara z dziećmi. Były to schody wąskie, niewygodne; wszystko było w jego domu ciasne, niewygodne, kanciaste. Już wtedy, kiedy Domicjan wysiedlił go z pięknego budynku, przydzielonego mu przez starego cesarza, dziwiono się, że mąż, cieszący się takim uznaniem, wybrał sobie ten staroświecki mały dom w bardzo niewytwornej dzielnicy Łaźnia. Kiedy później przybyła do niego Mara z małą Jaltą i urodziła mu jeszcze dwóch synów, dom stał się istotnie nieodpowiedni. Ale Józef, zaciąwszy się w swej skromności, poprzestał na dobudowaniu jednego piętra. Stał więc ten dom

wąski, ciasny, chyłący się ku ruinie, przed nim wznosiły się budy drobnych handlarzy starzyzną, wydającą niemiły zapach; nie była to siedziba godna człowieka jego rangi i imienia.

Mara, choć skromna i niewymagająca, od samego początku nie czuła się dobrze w tym domu. Marzyła, by mieć nad sobą przestrzeń nieba; bytowanie w wielkim mieście wśród kamiennych murów było przeciwne jej naturze. A zwłaszcza tutaj, w ponurych, porysowanych ścianach, w niskich pokojach pod szerniałymi sufitami czuła się wyjątkowo niedobrze. Gdyby od niej zależało, już od dawna byliby się przenieśli do Judei i zamieszkali w jednej z posiadłości Józefa.

Było to w piątym dniu po nadejściu wiadomości o wtargnięciu Daków w granice imperium. Józef spędzał wiele czasu z Marą, spożywał z nią prawie wszystkie posiłki, dużo z nią rozmawiał. Ale o nadchodzącej na pograniczu wojnie prawie nie wspominali. Zapewne Mara nie przeczuwała, jak mogą się odbić na Judei wydarzenia nad Dunajem. Niewątpliwie jednak, znając Józefa na wylot, wyczuwała pod maską obojętności nurtującą go wewnętrzną troskę.

Wchodząc teraz po schodach dziwił się, że tak długo usiłował kryć przed nią tę troskę. Przecież Mara to jedyny człowiek, przed którym bez wstydu może pokazać, jakim jest. Kiedy tego zażądała od niego tamta kobieta, Mara zgodziła się bez szemrania, by ją od siebie oddalił, kiedy ją znowu wezwał — wróciła. Jest zawsze, ilekroć jej potrzebuje, znika z chwilą, gdy mu przeszkadza. Może z nią podzielić się wszystkim: swoją dumą, swymi wåtpliwościami i słabością.

Odsunął kotarę, wszedł do pokoju. Niskie pomieszczenie było zapchane różnymi gratami, nawet z pułapu zwisały, zgodnie z obyczajem, przestrzegającym w małych judejskich miastach, kosze z żywnością i bielizną. Mara znajdowała się tam w otoczeniu dzieci — dziewczynki Jalty i dwóch małych synków, Mateusza i Daniela.

Józef chętnie pozostawiał Marze starania o córkę i synów; nie umiał radzić sobie z dziećmi. Ale i dzisiaj, jak zawsze, przyglądał się z rozczuleniem i podziwem Mateuszowi, trzeciemu ze swoich synów, a właściwie najstarszemu, gdyż Szymon nie żył, a Paweł był dla niego gorzej niż umarły. Ten syn Mateusz wzbudzał w Józefie nowe nadzieje i pragnienia. Mały był podobny i do ojca, i do matki, ale miał w sobie coś nowego, wielce obiecującego; Józef spodziewał się, że w Mateuszu znajdzie dopełnienie samego siebie, że ten syn osiągnie to, czego sam osiągnąć nie potrafił: chłopiec będzie Żydem, a równocześnie Grekiem, obywatelem świata.

Siedząc w pokoju Mara szyła coś z pomocą niewolnicy i opowiadała dzieciom bajki. Józef dał jej znak ręką, żeby nie zwracała na niego uwagi. Opowiadała więc dalej pobożną, nieco niemądrą bajeczkę. Chodziło o rzekę, której mowę rozumieją tylko istoty, odczuwające prawdziwy lęk przed Bogiem. Rzeka doradza im, co mają czynić, czego zaniechać. Piękna to rzeka, płynie przez piękny kraj, ojczyznę jej, Izrael; Mara uda się tam kiedyś ze swoimi pociechami i, jeżeli dzieci będą się dobrze sprawować, rzeka i z nimi będzie rozmawiała, udzieli im rad.

Józef przyglądał się opowiadającej Marze. Miała lat trzydzieści dwa, była dosyć otyła i nieco już przekwitła. Z księżycowego lśnienia pierwszej młodości nie pozostało nic, nie groziło już niebezpieczeństwo, żeby jakiś Rzymianin zażądał jej do swego łóża, jak wówczas stary Wespazjan. Ale dla Józefa była wciąż jeszcze taka sama; jej owalna twarz wydawała mu się delikatna i czysta, niskie czoło lśniło w jego oczach dawnym blaskiem.

Na widok Józefa Mara rozpromieniła się. Od kilku dni zauważyła, że coś go gnębi, i czekała, że z nią o tym pomówi. Zazwyczaj rozmawiał z nią po grecku, ale kiedy czuł się wyjątkowo bliski i chodziło o coś ważnego, posługiwał się aramejskim językiem swojej ojczyzny. Odprawiła dzieci i z przejęciem czekała, w jakim języku przemówi.

Przemówił, o dziwo, po aramejsku. Nie jest to już ten sam człowiek co niegdyś, twarz

cała w zmarszczkach, broda mniej starannie utrzymana, ma lat pięćdziesiąt, znać po nim, że wiele przeżył. Przyczynił jej niemało cierpień, nigdy nie przeszła nad tym całkowicie do porządku. Mimo to i dla niej płynie od niego dawne lśnienie; Mara jest pełna wielkiej dumy, że Józef się jej zwierza.

Opowiada o spotkaniu z tamtymi, o trosce, jaką napęłnia go powstanie. Wy wnętrza się przed nią bez reszty, właściwie dopiero w trakcie tej rozmowy uświadomił sobie w całej pełni, co w nim poruszyło nowe niebezpieczeństwo grożące Judei. Ma za sobą burzliwe życie, wzloty i upadki; myślał, że teraz będzie miał spokój, będzie mógł zatonać w swoich księgach, wierzył, że wieczór jego życia upłynie w spokoju. Tymczasem wyrastają nowe próby i gorycze. Powstanie w Judei wybuchnie, mimo że jest tak niedorzeczne, Józef będzie je zwalczał, znowu ściągnie na siebie obelgi i zniewagi za to, że w imię rozsądku tłumi uczucie.

Mara już nieraz słyszała tę jego złowrogą piosenkę. Ale dawniej przyznawała mu rację bez zastrzeżeń, gdyż był mądry, a ona mądrością nie grzeszyła, teraz zaś serce jej buntowało się przeciw niemu. Dlaczego, czując tak samo jak inni, postępował inaczej? Czy nie byłoby lepiej dla nich wszystkich, gdyby był mniej mądry? Ten rabbi Józef, jej mąż, jest człowiekiem bardzo wielkim, jest z niego dumna, ale czasami, i teraz właśnie, myślała sobie, o ile byłoby to piękniej, gdyby był odrobinę mniej wielki.

— To, co ciebie gnębi, i mnie przytłacza swoim ciężarem — powiedziała. Po tych słowach plecy jej przygarbiły się, ręce opadły bezwładnie. Dodała półgłosem: — O kraju Izrael, biedny mój kraju Izrael.

„Kraju Izrael” powiedziała po aramejsku. Józef zrozumiał ją i zazdrościł jej. Był obywatelem świata, ale tkwiło w nim rozdwojenie. Tymczasem Mara była z jednej bryły. Zrosnięta z ziemią judejską, należała do Judei i do jej ludu, niebo Judei było jej niebem. Józef wiedział, że namawiając go wielokrotnie w swój spokojny, łagodny sposób do powrotu, miała rację, on zaś niesłusznie się przed nim wzbraniał.

Przypomniał sobie liczne sztuczne argumenty, które skonstruował dla uzasadnienia swej odmowy. W Judei, oświadczał, bliskość spraw zamięłaby mu spojrzenie, dałby się porwać namiętności innych, nie mógłby tam pracować nad swym dziełem zachowując bezstronność, a to przecież zasadniczy warunek powodzenia. Oboje wiedzieli jednak, że to tylko wykręt. Wszystkie powody, które go rzekomo zatrzymywały w Rzymie, były wykrętami. Z pewnością lepiej napisałby swą księgę w Judei niż tutaj, tam z pewnością stałaby się bardziej judejską w dobrym tego słowa znaczeniu. Może Mara miała również rację, że byłoby lepiej dla dzieci, gdyby dorastały w Judei pod wolnym niebem wsi niż tutaj, wśród wąskich ulic Rzymu. Ten ostatni argument jest oczywiście bardzo wątpliwy, jeżeli bowiem mały Mateusz będzie w przyszłości takim, jakim Józef widział go w swych planach, musiałby pozostać w Rzymie.

Mimo wszystko upierał się dalej i był głuchy na ciche prośby Mary. Zdecydował się na życie w odosobnieniu, ale nie chciał rezygnować ze świadomości, że jest otoczony miejskim szumem i zgiełkiem. Życie na prowincji zacieśniałoby jego horyzonty. W Rzymie, nawet zamknięty w swoim pokoju, pocieszał się myślą, że wystarczy zrobić parę kroków, by znaleźć się na Kapitolu, gdzie bije serce świata.

W głębi duszy jednak odczuwał niezadowolenie, więcej jeszcze, miał lekkie poczucie winy, że trzyma Marę tu, w Rzymie.

— Biedny kraju Izrael — podjął westchnienie Mary i zakończył słowami: — Będzie to zima pełna trosk.

Annusz Bassus, minister wojny Domicjana, pofolgował sobie przy wieczerzy wobec swej żony Dorion i swojego pasierba Pawła. Przed tym dwojgiem mógł mówić, a obecność nauczyciela Pawła, Greka Fineasza, bynajmniej nie przeszkadzała. Fineasz był wyzwolencem, a

więc się nie liczył. Pomimo całej jednak zażyłości stosunek Bassusa do żony i pasierba nie był całkowicie nie zmałowany. Chwilami miał wrażenie, że mimo jego niezwyklej kariery Dorion uważa go za kogoś mało znaczącego i mimo nienawiści tęskni za swoim Flawiuszem Józefem, tym obrzydliwym Żydem intelektualistą. Pewne było, że mało dbała o chłopca, którego urodziła Anniuszowi, podczas gdy podziwiała i rozpieszczała Pawła, syna Józefa. Nawiasem mówiąc, sam nie umiał oprzeć się wdziękowi, promieniującemu od Pawła.

Tak, kochał Dorion, kochał Pawła. I choć uczucie ich dla niego nie było tak silne jak jego uczucie dla nich, byli jedynymi istotami, którym mógł zwierzyć się z własnych trosk, wyznac zżerający go gniew, jaki w nim budzi służba przy skrytym, nienawidzącym ludzi cesarzu. Równocześnie Ignął całym sercem do Domicjana, uwielbiał go. DDD, choć nieurodzony żołnierz, miał zrozumienie dla spraw związanych z wojskiem. Ale nieufność cesarza nie znała granic i często zmuszała ministrów do odwoływania ze stanowisk ludzi odpowiednich i zastępowania ich przez mniej odpowiednich, którzy odznaczeni się jedynie tym, że nie budzili nieufności cesarza.

Teraz także wyprawa wojenna przeciw Dakom natrafiała od początku na trudności wskutek ponurych, skrytych myśli Domicjana. Należało powierzyć dowództwo naczelné Frontinowi, który zaprojektował i zrealizował po mistrzowsku linie fortyfikacyjne nad dolnym Dunajem. Ponieważ jednak cesarz nie życzył sobie, żeby Frontin się rozzuchwiał, sądząc, że jest niezastąpiony, wpadł na nieszczęśliwy pomysł powierzenia dowództwa przeciwnikowi Frontina, awanturniczemu generałowi Fuskusowi.

Dorion nie zdradzała zbyt wielkiego zainteresowania tymi wywodami, jej jasne, zielone oczy patrzyły przed siebie z roztargnieniem. Fineasz również nie bardzo się tymi sprawami interesował, choć jako fanatycznemu Grekowi trudności administracji rzymskiej winny mu były dawać satysfakcję. Tym większe było zainteresowanie Pawła. Miał teraz lat szesnaście, dopiero przed niespełna rokiem pozwolono mu włożyć uroczyste po raz pierwszy togę dorosłego mężczyzny. Matka byłaby rada, gdyby pod opieką swego nauczyciela wstąpił na uniwersytet w Grecji. Ale Paweł starał się zwalczyć w sobie skłonności helleńskie, zaszczerpione mu przez tych dwoje; chciał być Rzymianinem, tylko i wyłącznie Rzymianinem. Oto przyczyna, dla której zbliżył się do jednego z przyjaciół Anniusza, pułkownika Juliana, wspaniałego żołnierza, który spędzał w Rzymie swój letni urlop. Julian zajął się chłopcem i udzielał mu licznych wskazówek w kwestiach wojskowych. Musiał jednak wracać jesienią do Judei, do swego dziesiątego legionu. Paweł oddałby życie za możliwość towarzyszenia mu, także i Anniuszowi, zawołanemu wojakowi, byłoby również miło, gdyby mógł zrobić ze swego pasierba prawdziwego oficera. Ale Dorion sprzeciwiała się. Fineasz także tłumaczył chłopcu, swoim zwyczajem spokojnie i wytwornie, co działało tym mocniej, że zdzierzeje, prowadząc żywot żołnierski w odległej prowincji, jeżeli przedtem nie przesiąknie helleńską kulturą; Paweł musiał w końcu ulec. Teraz, z chwilą gdy wybuchł zamęt, wywołany przez Daków, obudziły się w nim nowe nadzieje. Wojna dawała niepowtarzalną sposobność nauczania się rzemiosła oficerskiego; nie wolno było zabraniać mu skorzystania z tej sposobności.

Słuchał więc z namiętym zainteresowaniem słów Anniusza o trudnościach rozpoczętej wyprawy wojennej. Nad Dunajem potrzebny byłby dowódca naprawdę wielkiej miary, właśnie Frontin, a nie ten tępy awanturник Fuskus. Dakowie nie należeli już do barbarzyńców, król ich Diurpan był strategiem, i to nie byle jakim. Siły rzymskie, znajdujące się tam, trzy legiony, nie wystarczały na zabezpieczenie granicy, ciągnącej się na przestrzeni niemal tysiąca kilometrów, ostra tegoroczna zima utrudniała obronę, gdyż dawała atakującym możliwość przerzucania przez zamrożony Dunaj coraz to nowych posiłków. Król Daków Diurpan był w dodatku zręcznym politykiem, agitował na całym Wschodzie, miał nawet widoki skłonienia Partów do interwencji.

Tak czy inaczej, należy liczyć się z tym, że pewne prowincje wschodnie, znoszące z niechęcią panowanie Rzymian, mogą stać się uciążliwe. Na przykład Syria, a zwłaszcza niecałkowicie spacyfikowana Judea.

Kiedy Anniusz dotknął tych spraw, obojętność Dorion nagle pierzchła. Dawno nie słyszała nic o Józefie, który jak nikt inny zaważył na jej losach. Jeżeli wybuchnie powstanie w Judei, Józef znowu wyłoni się z cienia, w którym jest teraz pogrążony. Błąkały jej się mętnie po głowie wspomnienia tego, co z nim przeżyła. Jak poddał się chłóście, by rozwieść się ze swą śmieszną żoną żydowską i poślubić ją, jak tam, w małym domku, przeznaczonym im przez Tytusa, zatonęli w miłości, jak powstała między nimi wrogość, jak walczyła z nim o swego syna Pawła, jak go widziała w chwili tryumfu, kiedy w Świątyni Pokoju umieszczano jego popiersie i Rzym przyjmował go z entuzjazmem. Wszystko to, szaleńcza nienawiść i szaleńcza miłość, ożyło w niej teraz, było od siebie nieodłączne.

Nawet Fineasz przestał udawać obojętność, kiedy Anniusz zaczął mówić o Judei, jego wielka blada twarz zaczerwieniła się. Gdyby w Judei istotnie wybuchły zamieszki, jakże wspaniałe byłoby poskromienie tego barbarzyńskiego kraju! Fineasz nie miał nic przeciw temu, by ci zabobonni Żydzi znowu poczuli rzymską pięść. Zwłaszcza życzył tego swemu dawnemu panu, Józefowi. Pogardzał tym Józefem, pogardzał wszystkim, jego bezmyślną walką o Pawła, jego pychę i pokorą, jego zabobonami, jego tanimi sukcesami, jego mamą znajomością języka greckiego — wszystkim. Byłoby cudownie, gdyby temu Józefowi znowu pokazano, jak mizerna była jego Judea, gdyby znowu poczuł, co to znaczy być niewolnikiem.

W myśli i uczucia Fineasza i Dorion wdarły się słowa Pawła: — Stworzy to dla pewnego człowieka pewne trudności — rzekł Paweł. Te proste słowa wypowiedziane zostały głosem tak pełnym nienawiści i tryumfu, że Dorion przeraziła się, a Anniusz Bassus spojrział ze zdumieniem. I on czuł odrazę do Flawiusza Józefa; prostoduszny, hałaśliwy wojak uważał tego Żyda za zbyt pokornego, zbyt zgiętego w pałąk. Ale jemu, rzymskiemu. oficerowi, który wyruszał w pole przeciw Żydom, wolno było od czasu do czasu wymyślać na Józefa i drwić sobie z niego. Wolno to również byłemu wyzwolńcowi Józefa Fineaszowi. Ale nie przystoi to reszcie obecnym przy stole: kobiecie, która była kiedyś złączona ślubem z tym Żydem, i jego synowi.

Anniusz buntował się przeciw temu nie tylko przez żołnierską lojalność, wyczuwał również, że gwałtowna nienawiść Dorion do Józefa ma źródło w nurtującym ją rozdwojeniu. To prawda, że od czasu do czasu wyrażała się o nim niesprawiedliwie i nieprzystojnie, zdarzało się jednak, że kiedy była o nim mowa, oczy jej zasnuwały się dziwną mgłą. Anniusz byłby rad, gdyby żona i pasierb całkowicie wyzwolili się od Józefa, gdyby ani nie czuli do niego nienawiści, ani go kochali.

Tymczasem Paweł miotał w dalszym ciągu nienawistne słowa. Byłoby cudownie, gdyby Judea podniosła rokosz i dała powód, by ją wreszcie nauczyć moresu! Jakież by to było używanie, gdyby tam pojechać, wziąć udział w ekspedycji karnej, kierowanej przez wspaniałego nauczyciela Juliana. Jakież by to zabolalo jego ojca, Żyda.

— Musicie mnie puścić do Judei! — wybuchnął.

Dorion zwróciła ku niemu podłużną, wąską głowę, spoglądała na niego badawczo swymi oczyma koloru morza.

— Do Judei? Ty do Judei? — zapytała. Brzmiało to potępiająco, ale Paweł wyczuł, że matka podziela jego nienawiść do Żyda, jego ojca.

— Tak — upierał się i jego jasne, niespokojne oczy zatonęły w badawczym spojrzeniu Dorion — muszę być w Judei, skoro się tam coś zaczyna. Muszę to z siebie zmyć do czysta.

Te namiętne wyrzucone słowa brzmiały niejasno, ale nawet ograniczony żołdak Anniusz zrozumiał, co Paweł miał na myśli, mówiąc: „Muszę to z siebie zmyć do czysta.” Paweł wstydził

się ojca, chciał za wszelką cenę naprawić to, że był jego synem.

Anniusz miał już tego dosyć. Nie chciał słuchać dalej tej czczej gadaniny.

— Niechętnie słyszę z twoich ust takie słowa — skarcił chłopca.

Paweł zorientował się, że posunął się za daleko, ale obstawał przy swoim, tylko w słowach bardziej umiarkowanych.

— Pułkownik Julian po prostu nie zrozumie — oświadczył — że z nim nie pojedę do Judei. Nie chciałbym się wyrzec pułkownika Juliana.

Dorion, delikatna, powiewna, siedziała w swobodnej, a jednak surowej pozie, na jej szerokich, wypukłych wargach igrał lekki uśmiech, którego znaczenie trudno było sobie wytłumaczyć. Choć uśmiech ten drażnił Anniusza, zdawał sobie sprawę, jak bardzo tę kobietę kocha, jak nierozzerwalnie jest z nią złączony. Tymczasem Dorion patrzyła na nauczyciela swego syna.

— Co o tym myślisz, mój Fineaszu? — zapytała po chwili.

Opanowany i wytworny zwykle Fineasz nie potrafił ukryć podniecenia. Pochylił się nerwowo, wyciągnął długie palce wielkich, cienkich, chorobliwie białych rąk, nie umiał nawet utrzymać w spokoju nóg, tkwiących w greckich sandałach. Miotaly nim sprzeczne uczucia. Bolało go, że ma bezpowrotnie utracić Pawła. Kochał pięknego, utalentowanego chłopaka, starał się gorąco wszczepić w niego swoją helleńskość. Widział wprawdzie, że Paweł powoli mu się wymyka, ale ciężko mu będzie, jeżeli Paweł całkowicie i raz na zawsze stanie się Rzymianinem, a temu nie można by przeszkodzić, gdyby udał się do Judei i wstąpił do legionów. Z drugiej strony niemałą pociechą była myśl, jak musiałby ugodzić Józefa fakt, że jego rodzony syn, Paweł, bierze udział w walce przeciw jego narodowi po stronie Rzymian. Fineasz powiedział swym głębokim, pięknie brzmiącym głosem:

— Bolałoby mnie, gdyby nasz Paweł miał się udać do Judei, muszę jednak powiedzieć, że w tym wypadku rozumiałbym go.

—• I ja go rozumiem — powiedziała Dorion. Po chwili dodała: — Obawiam się, mój Pawle, że już nie bardzo długo będę się upierała przy swoim „nie”.

Podróż do Judei była o tej porze roku trudna, nawet niebezpieczna. Paweł przygotowywał się do niej z zapalem i rozważą. Był młodzieńczo szczęśliwy. Nie było w nim teraz śladu owej nieobliczalnej pasji i namiętności, która tak często przerażała jego otoczenie. Spłynęły z niego żydowskie poglądy i cechy, które mu chciał zaszczepić ojciec. Wyzwolił się również z poglądów i cech greckich, którymi tak żarliwie usiłowali przepoić go matka i nauczyciel. Zwyciężyła otaczająca go atmosfera, zwyciężył duch czasu, w którym żył. Syn Żyda i Greczynki stał się Rzymianinem z krwi i kości.

Sztywnymi, niezgrabnymi krokami szedł cesarz wzdłuż klatek swego zwierzyńca w Albanum. Pałac był pomyślany jako rezydencja letnia, ale Domicjan przyjeżdżał tu często i w innych porach roku. Lubił ten swój pałac w Albanum bardziej niż wszystkie inne swoje posiadłości; jako książę rozpoczął budowę ogromnego, pełnego przepychu pałacu mając ku temu niewystarczające środki, teraz czynił wszystko, by go uczynić jeszcze wspanialszym. Kunsztowny park zajmował olbrzymią przestrzeń, wszędzie wyrastały z ziemi różne dodatkowe zabudowania.

Niezgrabny, wysoki, w wołokowym płaszczu, kapuzie i futrzanych butach, posuwał się wzdłuż klatek bocianim krokiem; z tyłu za nim szedł opasły, obrośnięty, pokraczny karzeł Silen. Był wilgotny, zimny dzień, nad jeziorem unosiły się opary, barwna zazwyczaj okolica wyglądała szaro, nawet liście oliwek pozbawione były lśnienia. Od czasu do czasu cesarz przystawał przed którąś z klatek i przyglądał się zwierzętom roztargnionym wzrokiem.

Był rad, że zdecydował się opuścić Palatyn i przyjechać tutaj. Lubował się tym zimowym,

ponurym otoczeniem. Wczoraj nadeszły szczegółowe depesze z nad granicy dunajskiej: wtargnięcie Daków miało gorsze skutki, niż przypuszczał, nie można już mówić o incydentach granicznych, to, co się tam dzieje, to wojna.

Zacisnął wargi. Chyba teraz sam będzie musiał iść w pole. Nie jest to przyjemne. Nie lubi szybkich, niewygodnych podróży, nie lubi siedzieć długo na koniu, a teraz w zimie wszystko jest podwójnie wyczerpujące. Nie, nie jest żołnierzem, nie jest taki jak ojciec jego Wespazjan i brat Tytus. Ci byli tylko żołnierzami, feldfeblami w gigantycznych rozmiarach. Jeszcze mu brzmi w uszach tubalny głos Tytusa; na jego wspomnienie krzywi się Domicjan ze wstrętem. Nie, nie zależy mu na błyskotliwych zwycięstwach, których przecież nie można zrealizować. Dąży do zdobyczy trwałych, niezawodnych. Osiągnął niejedno w Germanii i w Brytanii. Jest ukoronowaniem rodu Flawiuszów. Słusznie zażądał od senatu, by mu przyznał tytuł: król i bóg Domicjan.

Stał teraz przed klatką wilczycy. Było to piękne, silne zwierzę. Domicjan lubił tę wilczycę, jej niepokój, jej nieobliczalną dzikość, chytrość i siłę, kochał w niej poza tym symbol miasta i państwa. Wyprostowany, z cofniętymi w tył ramionami i wypiętym brzuchem, stał przed klatką. „Pan i bóg, imperator Flawiusz Domicjan Germanik” wypowiedział swe imiona i tytuły. Karzeł, stojący za nim w tej samej pozycji co on, powtórzył przed klatką wilczycy te same słowa.

Ojciec Domicjana i brat jego osiągnęli z pewnością bardziej świetne zwycięstwa niż on. Nie chodzi jednak o świetne zwycięstwa, lecz o ostateczne rezultaty wojny. Są dowódcy, którzy w^lgataj;^ tylko bitwy, ale nie umieją wygrać wojny. *ęysgnJkfeėjidi* w Germanii razem ze swym rozsądnym specjalistą od fortyfikacji Frontigem — wzniesienie „wału przeciw barbarzyńcom germańskim — nie błyszczy, ale jest więcej warte niż dziesięć olśniewających, bezowocnych zwycięstw. Feldfeble Wespazjan i Tytus nigdy by nie zrozumieli i nie zrealizowali pomysłów Frontina.

Szkoda, że nie może mianować Frontina głównodowodzącym armii naddunajskiej. Byłoby to jednak sprzeczne z zasadami cesarza. Nie można oozwolić nikomu, by wyrósł ponad miarę, by stał się zarozumiały. Bogowie nie znoszą zarozumiałości. Bóg Domicjan nie cierpi zarozumiałości.

Jest rzeczą godną ubolewania, że piętnasty korpus został pobity na głowę, ale ma to i swoje dobre strony. W gruncie rzeczy to szczęście, że sprawy z Dakami przybrały taki obrót i rozpętały prawdziwą wojnę. Wojna ta bowiem przychodzi w odpowiedniej chwili; zatka gęby, które inaczej trudno byłoby zmusić do milczenia. Wojna da cesarzowi dogodny pretekst, by wreszcie w dziedzinie polityki wewnętrznej dokonać niepopularnych posunięć, które, gdyby nie wojna, trzeba byłoby odłożyć jeszcze na lata. Teraz, mając wojnę jako pretekst, zmusi opornych senatorów do koncesji, których by mu w czasach pokojowych nigdy nie uczynili.

Nagłym ruchem odwraca się od klatki, przed którą wciąż jeszcze stoi. Nie chce dać się pociągnąć marzeniom, fantazja ponosi go zbyt łatwo. W sprawach państwowych jest zwolennikiem metody, niemal pedanterii. Odczuwa potrzebę znalezienia się przy własnym biurku. Chciałby porobić notatki, uporządkować pewne sprawy.

— Lektyka! — rzuca rozkaz.

Karzeł przekazuje dalej słowo „lektyka” skrzeczącym głosem, cesarz każe się zanieść do pałacu. To porządny kawałek drogi. Niosą go w górę przez tarasy, porośnięte oliwkami, potem przez aleję platanów, potem wzdłuż cieplarni wreszcie poprzez ogród kwiatowy i kręte dróżki mijając pawilony, altany, grotty i różnego rodzaju wodotryski. Piękny to, ogromny park, cesarz lubi go bardzo, ale dziś nie zaszczycza go nawet spojrzeniem.

— Prędej — popędza niosących lektykę. Chciałby już być przy biurku.

Kiedy znalazł się wreszcie w swym gabinecie, daje polecenie, żeby mu pod żadnym

pozorem nie przeszkadzano, rygluje drzwi, zostaje sam. Uśmiecha się złowrogo, przypomina sobie głupie plotki, które krążą na temat tego, co robi, kiedy się samotnie zamyka. Opowiadają, że łapie muchy, obcina żabom udka i tym podobne bzdury.

Zabiera się do roboty. Skrupulatnie, punkt za punktem, notuje wszystko, co chciałby uzyskać od senatu w związku z tą wojną. Najpierw realizuje wreszcie swój stary, ukochany plan i każe przelać na siebie dożywotnio godność cenzora. Cenzorat, czyli najwyższa kontrola nad budżetem, prawodawstwem, tradycjami i wymiarem sprawiedliwości, nadzór nad senatem i prawo wykluczania jego członków. Do tej pory sprawował ten urząd tylko co drugi rok. Teraz, z chwilą wybuchu wojny, której trwania nie da się przewidzieć, senatorom niełatwo będzie odmówić stabilizacji jego uprawnień. Ma respekt dla tradycji, oczywiście nie nosi się z zamiarem zmiany konstytucji, przewidującej podział władzy państwowej między senatem i cesarzem. Tego mądrego podziału nie chce kasować, pragnie tylko posiadać prawo przeprowadzania niezbędnej kontroli nad ciałem zbiorowym, które razem z nim sprawuje rządy.

Wojna daje również doskonałą sposobność do zaostrzenia praw i ustaw, dotyczących obyczajów. Śmieszni, zarozumiali, bezczelni arystokraci zasiadający w senacie będą oczywiście znowu pokpiwać z tego, że zabraniając innym najdrobniejszego choćby wybryku, sam nie cofa się przed żadnym kaprysem, przed żadnym „występkiem”. Głupcy! Jakże on, bóg, któremu los kazał żelazną ręką ochraniać rzymską cnotę i rzymskie obyczaje, mógłby znać i karać ludzi i ich przestępstwa, gdyby od czasu do czasu, za przykładem Jowisza, sam pomiędzy nich nie zstępował?

Formułuje starannie przepisy i ustawy, które mają zostać wydane, numeruje, segreguje, stara się sumiennie uzasadnić każdy szczegół.

Potem zabiera się do pracy, którą najbardziej lubi, do zestawienia listy, niewielkiej, ale brzemiennej w skutki.

W senacie zasiada dziewięćdziesięciu panów, którzy nie ukrywają, że są wobec niego wrogo usposobieni. Panowie ci, którzy wywodzą swój ród od czasów założenia miasta — *ab urbe condita*, ba, jeszcze dawniejszych, od zburzenia Troi, patrzą nań z wysoka. Nazywają go parweniuszem. Ponieważ pradziad jego był właścicielem biura inkasa, a dziadek również nie należał do ludzi sławnych, sądzą, że Domicjan nie wie, co to znaczy prawdziwa rzymskość. Pokaże im, kto jest lepszym Rzymianinem, czy prawnuk małego bankiera, czy prawnuki trojańskich bohaterów.

Nazwiska tych dziewięćdziesięciu są mu dobrze znane. Dziewięćdziesiąt to pokaźna liczba, nie może tylu nazwisk umieścić na swej liście, niestety podczas jego nieobecności da się usunąć zaledwie kilku z tych niemiłych senatorów. Nie, będzie ostrożny, nie lubi nadmiernego pośpiechu. Ale kilku, siedmiu, sześciu, powiedzmy pięciu, można umieścić na liście; myśl o tym, że po powrocie nie ujrzy przynajmniej tych kilku, będzie go z dala od Rzymu podtrzymywać na duchu.

Na razie wypisał prowizorycznie szereg nazwisk. Potem zabrał się do skreślania. Nie szło mu to łatwo i wdychał przy skreślaniu pewnych znienawidzonych nazwisk. Jest jednak władcą sumiennym, nie chce kierować się przy ostatecznej decyzji sympatią czy antypatią, lecz tylko względami polityczno-państwowymi. Zastanawia się głęboko, czy ten człowiek jest bardziej niebezpieczny, czy inny, czyje usunięcie wywoła większe poruszenie, czyje skonfiskowane mienie da skarbowi więcej zysku. Niechaj jego osobista antypatia rozstrzyga dopiero wtedy, kiedy wszystko zostanie dokładnie zważone na szali.

Przebiega tak myślą nazwisko za nazwiskiem. Z ubolewaniem skreśla znowu z listy nazwisko Helwida. Szkoda, ale to się zrobić nie da, na razie musi jeszcze oszczędzić Helwida juniora. Z Helwidem seniorem załatwił się swego czasu stary Wespazjan. Kiedyś, miejmy

nadzieję, że nie trzeba będzie czekać zbyt długo, będzie mógł wysłać syna w ślad za ojcem. Szkoda również, że nie może zostawić na liście Eliusza, człowieka, któremu swego czasu uwiódl żonę Lucję, obecnie cesarzową. Ów Eliusz zwykł był zawsze nazywać Domicjana „Wrzuszkim”, ponieważ zaczynał mu rosnać brzuch i nie zawsze mu się udawało wymówić literę „b”. Pięknie, niechaj Eliusz nazywa go jeszcze jakiś czas Wrzuszkim; kiedyś i dla niego nadejdzie godzina, w której mu się odechce żartów i dowcipów.

W końcu pozostało na liście pięć nazwisk. Ale nawet tych pięć wydało się teraz cesarzowi za wiele. Zadowolony się czterema. Naradzi się jeszcze z ministrem policji Norbanem, zanim zdecyduje, kogo ostatecznie pošle w otchłanie Hadesu.

No tak, załatwił swoje pensum i jest wolny. Wstał, przeciągnął się, podszedł do drzwi, odryglował je. Choć minęła pora posiłku, nikt nie odważył się go niepokoić. Teraz chciało mu się jeść. Wezwał do Albanum prawie cały swój dwór, połowę senatorów, zarówno spośród przyjaznych mu, jak i odnoszących się doń wrogo. Zanim opuści stolicę, chciał tu w Albanum uporządkować sprawy państwowe. Czy ma trochę rozerwać myśl? Może byłoby dobrze wezwać kogoś do stołu? Myślał o tych wielu, którzy tu napływali nieprzerwaną falą, wyobrażał sobie, jak ich zżera troska, z jakim napięciem czekają, co też postanowi o ich losie bóg Domicjan. Uśmiechnął się szeroko i złowrogo. Nie, niechaj się bawią między sobą. Niechaj czekają dzień, noc, może jeszcze dzień, może jeszcze noc, bóg Domicjan będzie powoli ważył swoje decyzje, nie będzie się zbyt spieszyl.

Może przybyła już do rezydencji w Albanum Lucja Domicja, jego cesarzowa. Na myśl o Lucji uśmiech znikł z jego oblicza. W stosunku do niej był długo tylko jej mężem, Domicjanem, ale później i jej musiał się objawić jako pan i bóg: kazał sprzątnąć jej ulubieńca Parysa, a ją uchwałą senatu zesłać za wiarołomstwo na wyspę Pandatarię. Dobrze się stało, że trzy tygodnie temu polecił swemu senatowi i ludowi, by zażądali od niego wezwania z powrotem ukochanej cesarzowej. Dał się ubłagać, przywołał ją. Inaczej musiałby ruszyć w pole nie zobaczywszy jej. Czy już przybyła? Jeżeli podróż poszła gładko, musi już tu być. Nie chciał okazać, że pragnie wiedzieć, czy się zjawiła. Dał polecenie, by mu nie zakłócano spokoju, nie meldowano niczyjego przybycia. Serce mówi mu, że Lucja znajduje się tutaj. Czy ma o nią zapytać? Czy ma poprosić, żeby z nim spożyła posiłek? Nie, pozostanie władcą, bogiem Domicjanem; opanowuje się, nie pyta o nią.

Je sam, szybko, gorączkowo, splukuje kęsy jedzenia winem. Samotny posiłek trwa niedługo. Co ma teraz robić? Co począć, by odpędzić myśl o Lucji?

Odwiedził rzeźbiarza Basiliosa, któremu senat polecił sporządzenie kolosalnego posągu cesarza. Artysta prosił go już od dawna, żeby obejrzał jego pracę.

Przyglądał się modelowi w milczeniu. Był przedstawiony na koniu, z insygniami władzy. Rzeźbiarz stworzył pięknego, bohaterskiego jeźdźca. Cesarz nie miał dziełu nic do zarzucenia, ale mu się nie podobało.

Jeździec miał wprawdzie jego rysy, był jednak jakimś tam cesarzem, a nie cesarzem Domicjanem.

— Ciekawe — powiedział wreszcie tonem, w którym nie potrafił ukryć rozczarowania. Drobny, ruchliwy rzeźbiarz Basilios, który przez cały czas śledził uważnie rysy cesarza, odparł: — A więc cesar nie jest zadowolony? Ja także. Koń i tułów jeźdźca pochłaniają zbyt wiele miejsca, usuwają na drugi plan głowę, twarz, ducha. — Ponieważ cesarz milczał, ciągnął dalej: — Szkoda, że senat zlecił mi ukazać cesarza na koniu. Jeżeli cesar pozwoli, zrobię panom senatorom inną propozycję. Majaczy mi pewien pomysł, który wydaje mi się pociągający. Marzy mi się kolosalny posąg boga Marsa, który by miał rysy cesarza. Oczywiście nie mam na myśli szablonoego Marsa z hełmem na głowie, hełm zasłoniłby zbyt wiele twoje łwie czoło, boski!

Widzę oczyma wyobraźni Marsa odpoczywającego. Czy wolno pokazać ci, ceszarze, inną próbę?

A gdy cesarz skinął głową potakująco, kazał wnieść drugi model.

Przedstawiał człowieka olbrzymiego wzrostu, który odpoczywa w wygodnej pozie. Bóg odłożył broń, wysunął niedbale prawą nogę, podciągnął lekko lewe kolano, otoczył je rękoma również niedbałym gestem. Wilk leżał u jego stóp, dzieciół rozsiadł się zuchwale na odłożonej tarczy. Było widoczne, że model znajduje się w pierwszej fazie obróbki, ale głowa była już skończona. Ta głowa podobała „się Domicjanowi. Czoło istotnie miało w sobie, jak mówił artysta, coś z lwa, przypominało Aleksandra Wielkiego. Fryzura — krótkie loki — upodabniała tę głowę do niektórych znanych głów Herkulesa, rzekomego praszczura Flawiuszów; podobieństwo to wywoła niemały gniew kilku panów senatorów. Wydatny nos był lekko zakrzywiony. Rozdęte nozdrza i na pół otwarte usta ziały odwagą i władczą namiętnością.

— Racz sobie wyobrazić, ceszarze — mówił artysta w podnieceniu, widząc, że dzieło jego wyraźnie się cesarzowi podoba — jakie będzie działanie tego posągu, kiedy zostanie ukończony w całym swym ogromie i okazałości. Jeżeli cesarz pozwoli mi wykonać mój projekt, to posąg ten będzie bardziej posągiem boga Domicjana niż boga Marsa. Nie hełm bowiem skupia główną uwagę widza. Nie skupia jej również potężny tors. Każdy szczegół jest obliczony na to, by skierować uwagę widza na twarz, i to właśnie wyraz tej twarzy podnosi boga ponad ludzką miarę. Twarz ta ma ukazać całej kuli ziemskiej, co znaczy tytuł „władca i bóg”.

Cesarz milczał. Wyłupiastymi oczyma krótkowidza przyglądał się z rosnącą satysfakcją swej podobiznie. Tak, to dobre. Mars i Domicjan — ci dwaj doskonale do siebie pasują. Nawet zarost lekko pokrywający policzki, nawet kontury bokobrodów harmonizują z wizją boga Marsa. A groźnie ściągnięte brwi, oczy pełne pychy i wyzywające, potężny kark — wszystko to stanowi cechy boga Marsa, a równocześnie cechy, po których każdy pozna jego, Domicjana. W dodatku ten stanowczy podbródek, jedyny piękny szczegół twarzy ojca, to jedynie, co, na szczęście, Domicjan po nim odziedziczył. Rzeźbiarz Basilios ma rację. Na widok tego posągu Marsa każdy może się zorientować, co znaczy tytuł „władca i bóg”, którego przyznania Domicjan zażądał od senatu. Domicjan chce być takim jak ów odpoczywający Mars, i jest nim: właśnie w chwili odpoczynku ponury, boski, niebezpieczny. Właśnie takim nienawidzą go arystokraci, takim kocha go lud, kochają żołnierze. To, czego Wespazjan nie osiągnął swoją dobroduszną przystępnością, to, co się nie udało Tytusowi, pomimo hałaśliwej wrzawy, jaką roztaczał, to, co można by określić mianem popularności wśród mas, osiągnął on, Domicjan, właśnie przez swoją ponurą majestatyczność.

— Ciekawe, bardzo ciekawe — przyznał Domicjan z uznaniem i dodał: — Nieźle to zrobiłeś, mój Basiliosie.

Cesarz ma przed sobą długi wieczór. Co począć, zanim się położy? Kiedy sobie wyobraza twarze ludzi, których zaprosił do Albanum, choć ludzi tych jest wielu, nie znajduje nikogo, z kim miałby ochotę spędzić czas. Pożąda tylko jednej istoty, ale pycha jego wzdryga się przed wezwaniem jej. Niestety będzie więc musiał spędzić wieczór samotnie, nie znajdzie lepszego towarzystwa niż swoje własne.

Każde w wielkiej sali galowej pozapalać wszystkie światła. Wzywa również mechaników, by uruchomili przemysłną maszynę w sali, której ściany można dowolnie przesuwac, a sufit podnosić i otwierać tak, że ukazuje się niebo. Przemysłna maszyna miała być swego czasu niespodzianką dla Lucji. Nie znalazła u niej dostatecznego uznania. W ogóle Lucja nie potrafiła ocenić jego licznych podarków.

Cesarz, któremu towarzyszy karzeł Silen, wchodzi na wielką, rześcicie oświetloną salę. Fantazja jego napełnia ją tłumem gości. Siedzi w niedbałej pozie, mimo woli naśladuje postawę owego posągu Marsa. Wyobraza sobie, jak jego goście siedzą lub leżą w licznych komnatach

pałacu i czekają pełni strachu i napięcia. Bawi się poszerzaniem i zacieśnianiem sali, każe podnosić sufit i znowu go opuszczają. Potem przez chwilę chodzi tam i z powrotem, każe zgasić większość świateł. Oświetlone są teraz, i to słabo, tylko poszczególne części sali. Domicjan chodzi dalej po olbrzymiej przestrzeni, towarzyszy mu jego potężny cień oraz maleńki karzeł.

Czy Lucja jest w Albanum?

Nagle poczuł, że jest wypoczęty i gotów do nowej pracy — wzywa do siebie ministra policji Norbana.

Norban był już w łóżku. Kiedy Domicjan wzywał któregoś z ministrów o niespodziewanej godzinie, większość z nich głowiła się nad tym, jak mu się pokazać. Z jednej strony cesarz nie uznawał czekania, z drugiej strony jego cesarska mość czuł się urażony, kiedy zjawiano się przed nim inaczej niż w nienagannym stroju. Ale Norban wiedział, że jest swemu panu niezbędny i cieszy się jego wielkimi łaskami, więc zadowolił się tym, by narzucić strój urzędowy na nocną koszulę.

Jego niewielka, lecz dostojna postać parowała jeszcze ciepłem łóżka, kiedy stanął przed cesarzem. Potężna, czworokątna głowa tkwiła na jeszcze potężniejszych, kanciastych barkach, czupryna była zmierzwiona, wystający podbródek nie ogolony, przez co zdawał się jeszcze bardziej brutalny niż zazwyczaj, modne loki bardzo gęstych, kruczonych włosów natłuszczone, a mimo to w nieładzie, opadały groteskowo na szeroką twarz. Cesarz nie wziął za złe swemu ministrowi policji tego niedbalstwa, może wcale go nie zauważył. Od razu uderzył w poufały ton. Rosły człowiek otoczył ramieniem barki o ileż niższego od siebie Norbana, prowadził go tam i z powrotem po obszernej, mrocznej sali, mówił półgłosem, nie wypowiadał się wyraźnie czyniąc tylko aluzje.

Mówił, że można by wojnę i jego nieobecność wykorzystać w tym celu, by nieco przetrzebić senat. Ponownie wraz z Norbanem przebiegł myślą nazwiska swych wrogów. Orientował się dobrze, był obdarzony dobrą pamięcią, ale Norban miał w swej potężnej głowie jeszcze więcej faktów, przypuszczeń i pewności, argumentów za i przeciw. Cesarz chodził obok niego sztywnym krokiem, ociężale, nie zdejmując ramienia z jego bark. Słuchał, rzucał pytania, wypowiadał wątpliwości. Pozwalał Norbanowi przejrzeć się do głębi, ufał mu bez zastrzeżeń, a zaufanie to płynęło z tajemnej głębi jego duszy.

Oczywiście Norban wymienił również Eliusza, pierwszego męża cesarzowej Lucji, owego senatora, który nadał Domiejanowi przezwisko Wrzuszek i którego Domicjan byłby tak chętnie umieścił na swej liście. Ów Eliusz był jegomościem lubiącym żyć i używać. Kochał niegdyś Lucję, kochał ją chyba i teraz jeszcze, kochał różne inne miłe rzeczy, którymi go los obdarzył, swoje tytuły i honory, swoje pieniądze, swoją piękną powierzchowność i radosny sposób bycia, który mu wszędzie jednal przyjaciół. Ale ponad wszystko kochał swój dowcip i chętnie nim szermował. Już za panowania poprzednich Flawiuszów jego dowcipne powiedzonka ścigały na niego często nieprzyjemności. Pod rządami Domicjana, który mu zabrał żonę, groziło mu podwójne niebezpieczeństwo i powinien był z podwójną ostrożnością poskramiać swój ostry język. Tymczasem twierdził beztrąsko, że zna dobrze chorobę, na którą kiedyś umrze: chorobą tą będzie dobry dowcip. I dziś Norban poinformował cesarza o kilku nowych dowcipach Eliusza, pozbawionych należnego szacunku. Przy ostatnim urwał nagle nie kończąc zdania.

— Mów dalej! — nalegał cesarz.

Ale Norban ociągał się. Cesarz oblał się pąsem, zwymyślał swego ministra, wrzeszczał, groził. Wreszcie Norban dopowiedział do końca. Był to równie cięty, jak plugawy dowcip na temat owej części ciała Lucji, przez którą Eliusz jest, żeby się tak wyrazić, spokrewniony z cesarzem. Domicjan zbladł śmiertelnie.

— Masz tęgi łeb, ministrze policji Norbanie — powiedział z wysiłkiem. — Szkoda, żeś

przez swoje gadanie zawrócił nam obu w głowie.

— Kazałeś mi mówić, cesarze — powiedział Norban.

— Wszystko jedno — odparł cesarz i wrzasnął przeraźliwie: — Ty psie, nie wolno ci było powtarzać tych słów!

Ale Norban nie przejął się zbytnio. Istotnie cesarz szybko uspokoił się i dalej debatowali rzeczowo nad umieszczonymi na liście kandydaturami. Jak się tego Domicjan obawiał, podczas jego nieobecności trudno będzie sprzątnąć więcej niż czterech wrogich państwu przestępców; przekroczenie tej cyfry byłoby ryzykowne. Poza tym Norban nie akceptował całkowicie listy cesarza i uparcie nalegał, żeby odsunąć zlikwidowanie jeszcze jednego figurującego na niej senatora. W rezultacie cesarz musiał skreślić dwa nazwiska ze swej listy pięciu; za to Norban zgodził się na nowe nazwisko i na liście umieszczono ostatecznie cztery nazwiska. Do tych czterech nazwisk smógł wreszcie Domicjan dołączyć literę M.

To nieszczęsne M było pierwszą literą imienia Messalina; ów Messalin należał do najciemniejszych postaci Rzymu. Ponieważ był krewnym poety Katulla i pochodził z jednego z najstarszych rodów, wszyscy oczekiwali, że przyłączy się w senacie do opozycji. Tymczasem stanął zdecydowanie po stronie cesarza. Był bogaty, nie dla wyznaczonej nagrody i zysku oskarżał tego lub owego, nawet przyjaciół i krewnych, o obrazę majestatu; niszczycielska robota sprawiała mu przyjemność. Był ślepy, ale nikt tak jak on nie potrafił wy wachać ukrytych słabostek, nikt tak jak on nie umiał interpretować niewinnych słów nadając im cechy niebezpieczne, niewinnych czynów nadając im cechy przestępstwa. Kiedy ślepy Messalin wpadał na czyjś trop, ofiara była zgubiona; kogo oskarżał, tego skazywano. Senat Uczyl sześcuset członków, pod panowaniem Domicjana skóra ich zgrubiała i stwardniała, wiedzieli, że ten, kto się chce utrzymać, nie ostoi się, jeśli nie wyzbędzie się wszelkich skrupułów. Kiedy jednak padało imię Messalina, nawet najbardziej cyniczni spośród panów senatorów wykrzywiali usta. Ślepiec nie chciał, by mu przypomniano jego ślepotę, nauczył się docierać do swego miejsca w senacie bez przewodnika, szedł między ławkami sam, jak gdyby widział. Ten zły, niebezpieczny człowiek dał się wszystkim we znaki; nie było niemal senatora, który by z jego winy nie utracił krewnego czy przyjaciela; wszyscy marzyli o tym, by się potknął o jakąś przeszkodę, która by mu przypomniiała, że jest ślepy. Ale nikt nie miał odwagi tego uczynić; senatorowie cofali się, usuwali mu z drogi przeszkody.

A więc do trzech imion cesarz dodał wreszcie literę M.

Sprawa była w ten sposób załatwiona i Norban uważał, że DDD mógłby mu teraz spokojnie pozwolić pójść spać. Ale cesarz go nie puszczał. Norban wiedział dlaczego. DDD pragnął usłyszeć coś o Lucji, dowiedzieć się od niego, co robiła na wyspie Pandatarii, na którą została wygnana. Ale tutaj się zawiedzie. Nie trzeba było tak na niego krzyżeć. Teraz Norban będzie się wystrzegał ponownej obrazy majestatu. Poradzi cesarzowi w wytworny sposób, żeby się opanował.

Istotnie Domicjana spalała chęć wydobycia czegoś z Norbana. Choć miał niewiele tajemnic przed tym człowiekiem, wstyd mu jednak było, kiedy szło o Lucję, i nie mógł ze siebie wykrztusić ani słowa. A Norban milczał zawzięcie.

Zamiast więc mówić o Lucji, Norban, korzystając z tego, że cesarz go nie puszcza, zaczął opowiadać różnego rodzaju plotki i drobne polityczne wydarzenia. Opowiadał również o podejrzanym ożywieniu, które od czasu wybuchu zamieszek na Wschodzie zauważono w domu Józefa Flawiusza, nawet przedłożył odpis memoriału, którego Józef był autorem.

— Ciekawe — powiedział Domicjan. — Bardzo ciekawe. Nasz Józef. Wielki historyk. Człowiek, który opisał i zachował dla potomności naszą wojnę żydowską, który był mocen rozdzielać sławę i hańbę. Znalazł niejedno pochlebne słowo dla czynów mego boskiego ojca i

boskiego brata, o mnie wspomniał tylko mimochodem. A więc pisuje teraz podejrzone memoriały. Patrzcie, patrzcie!

Polecił Norbanowi, żeby dalej miał tego człowieka pod obserwacją, ale na razie nie ingerował. Prawdopodobnie jeszcze przed odjazdem sam z Józefem porozmawia, od dawna ma już na to ochotę.

Istotnie cesarzowa Lucja przybyła do Albanum późno po południu. Oczekiwała, że Domicjan ją powita. To, że tego nie uczynił, ubawiło ją raczej, niż dotknęło.

W chwili kiedy jej imię, choć nie wymówione, dominowało nad rozmową Domicjana z Norbanem, siedziała w kółku zaufanych przyjaciół. Nie wszyscy, których zaprosiła, mieli odwagę się stawić. Chociaż cesarz wezwał Lucję ponownie do Rzymu, to kto wie, jak zareaguje, jeżeli ktoś z nią spożyje posiłek. Człowiek nie był nigdy pewny, czy nie grożą mu jakieś przykre niespodzianki. Zdarzało się, że cesarz, chcąc kogoś ostatecznie zniszczyć, zanim to uczynił, okazywał mu właśnie szczególne względy.

Ci, którzy brali udział w wieczerzy u cesarzowej, udawali wesołość, sama Lucja była w przepysznym humorze. Nic nie zdradzało jej przeżyć na wygnaniu. Siedziała dorodna, młoda, promienna, szeroko rozstawione oczy pod czystym, dziecięcym czołem śmiały się, cała jej zuchwała, jasna twarz promieniała radością. Opowiadała bez lęku o Pandatarii, wyspie swego wygnania. Zapewne Domicjan przeznaczył jej tę wyspę, by ją straszyły cienie zesłanych tam niegdyś księżnych: Agryppiny, Oktawii Nerona, Julii Augusta. Ale przeliczył się. Kiedy wspominała tę Julię Augusta, nie myślała o jej śmierci, lecz jedynie o jej przyjaźni z Silanem i Owidiuszem, o uciechach i przyjemnościach, które stały się ostateczną tej śmierci przyczyną.

Opisywała szczegółowo swój pobyt na wyspie. Było tam siedemnastu wygnańców i około pięciuset tubylców. Oczywiście trzeba było się ograniczać, niemiłe było również widywanie ciągle tych samych ludzi. Po upływie krótkiego czasu znało się wszystkich na wylot. Przebywanie na pustynnych skałach, otoczonych nieskończonym morzem, doprowadzało niejednego do melancholii, stawało się powodem niemiłych tarć; bywały okresy, kiedy wygnańcy tak się nienawidzili, że podobnie jak uwięzione pająki najchętniej pożarliby się nawzajem. Ale wygnanie miało i swoje dobre strony; dobrze było pozbyć się nieskończonego szeregu widywanych stale w Rzymie twarzy, dobrze było zależeć tylko od siebie. Obcowanie z sobą samą było nie najgorszym doświadczeniem. Poza tym przeżywało się tam pewne sensacje, o których w Rzymie nawet się człowiekowi nie śniło, na przykład podniecenie, kiedy co sześć tygodni przybywał z Rzymu statek z listami i gazetami, i rozmaitymi rzeczami, które się tam zamówiło. Na ogół, zreasumowała, nie był to zły okres; kiedy się ją widziało taką pogodną i niezwykle ożywioną, można jej było uwierzyć.

Nasuwało się pytanie, jak Lucja żyć będzie dalej tu w Rzymie, jak ustosunkuje się do niej cesarz. Rozmawiano o tym bez lęku. Ze szczególną szczerością wypowiedzieli się Klaudiusz Reginus, senator Juniusz Marull oraz dawny małżonek Eliusz, którego Lucja nie wahała się zaprosić na wieczerzę. Już w najbliższych godzinach będzie miała pewność, jakie Wrzuszek ma wobec niej zamiary na przyszłość. Gdyby ją zaraz chciał ujrzeć samą, nie byłoby to pomyślną oznaką, gdyż byłby to dowód, że chce się z nią rozmówić. Prawdopodobnie jednak Wrzuszek będzie się bał takiej rozmowy, tak samo jak swego czasu Eliusz, i dlatego zechce ją odwlec. Tak, Eliusz gotów jest pójść o zakład, że cesarz wyda jutro przyjęcie rodzinne, gdyż na razie nie będzie chciał znaleźć się z nią w cztery oczy, lecz w większym towarzystwie.

Lucja nie odczuwała lęku przed czekającą ją rozmową z cesarzem. Śmiało też nazywała go Wrzuskiem w obecności wszystkich i powiedziała do Klaudiusza Reginusa:

— Później muszę cię mieć na pięć minut dla siebie, mój Reginusie, żebyś mi poradził, czego mogę żądać od Wrzuszka, nim dam się przebłagać. Jeżeli, jak mi opowiadają, naprawdę

się roztył, będzie musiał zapłacić więcej.

Jak większość jego gości tak i Domicjan źle spał tej nocy. Wciąż jeszcze nie zapytał, czy Lucja jest tutaj, ale jego głos wewnętrzny mówił mu z całą pewnością, że znowu śpi teraz z nią pod jednym dachem.

Żałował, że uraził Norbana. Gdyby tego nie uczynił, wiedziałby teraz, co Lucja robiła na swojej wyspie wygnania. Lucja musiała tam widywać niewielu mężczyzn; nie mógł sobie wyobrazić, żeby do któregoś z nich poczuła pociąg. Ale była to kobieta nieobliczalna i pozwalała sobie na wszystko. Może jednak spała z którymś z tych mężczyzn, może z jakimś rybakiem lub z kimś spośród hołoty, zamieszkującej wyspę. Ale o tym nie mógł go nikt poinformować oprócz Norbana, a temu w niemądry sposób zamknął gębę.

Zresztą gdyby nawet wiedział dokładnie, co do minuty, co tam robiła, nie na wiele by się to zdało. W napięciu, zmieszanym z niechęcią i pożądaniem, czekał na rozmowę, którą jutro mieć będzie z Lucją. Szlifował zdania, którymi wspaniałomyślny Domicjan, bóg, powita grzesznicę w myślach już przywróconą do łaski. Wiedział jednak z góry, że choćby znalazł zdania najbardziej odpowiednie, Lucja uśmiechnie się tylko, wybuchnie pełnym, soczystym śmiechem i odpowie mniej więcej tak:

— Dajże wreszcie spokój, mój Wrzusku.

Cokolwiek by powiedział albo zrobił, Lucja jest już taka, że nic nie potrafi przejąć ją strachem. Kiedy bowiem inni, zuchwali arystokraci, może właśnie dlatego, że się wywodzą z tak starych rodów, stali się słabi i bezkrysi, w Lucji żyje upór i siła dawnych patrycjuszów. Nienawidził Lucji za tę dumną siłę, ale była mu potrzebna, brakowało mu jej, kiedy jej nie miał przy sobie. Wmawiał sobie, że Lucja jest wcieloną boginią Rzymu, że tylko dlatego potrzeba mu jej, dlatego ją kocha. Ale jemu była potrzebna po prostu Lucja, kobieta, ją kochał, i nic więcej. Wiedział, że nie może ruszyć w pole, zanim nie ucałuje małej blizny pod lewą piersią; jeżeli pozwoli mu ją ucałować, będzie to dla niego najpiękniejszy podarunek. Ach, jej nic nie można rozkazać, ona się śmieje. Ze wszystkich istot śmiertelnych, które Domicjan zna, jedynie Lucja nie lęka się śmierci. Kocha życie, bierze z chwili wszystko, co ta chwila dać może, i właśnie dlatego nie boi się śmierci.

Następnego dnia, wczesnym rankiem, cesarz wezwał swoich najbardziej zaufanych ministrów na poufną naradę gabinetową. Panowie ministrowie, którzy zgromadzili się w sali Hermesa w liczbie pięciu, byli nie wyspani; poleżeliby jeszcze chętnie w łózkach, jednakże, choć zdarzało się, że cesarz kazał czekać na siebie nieskończenie długo, biada temu, kto by się odważył zjawić niepunktualnie.

Annius Bassus opowiadał Klaudiuszowi Reginusowi, jak zwykle szeroko i głośno, o swych troskach w związku z czekającą go wyprawą wojenną; było wyraźne, że pragnie, by go Reginus poparł u cesarza. Zdaniem Bassusa, DDD uważa oszczędzanie za niegodne boga i wskutek tego dwór, a przede wszystkim budowle pochłoną wiele pieniędzy podczas jego nieobecności, z drugiej jednak strony — odziedziczył to po ojcu — cesarz unika za wszelką cenę wydatków, na które nie ma pokrycia. Odbija się to najujemniej na sprawach związanych z prowadzeniem wojny. Bassus obawia się, że generałowie na froncie dunajskim otrzymają do dyspozycji za mało ludzi i materiału; najgorsze niebezpieczeństwo tkwi w tym, że głównodowodzący Fuskus gotów później wpaść na pomysł wyrównania braku sił i środków przez waleczność i męstwo żołnierzy.

— Tak, budżet państwa nie jest sprawą prostą — odparł Reginus z westchnieniem — mnie tego mówić nie trzeba, mój Anniuszu. Otrzymałem wczoraj utwór, poświęcony mi przez poetę nadwornego Stacjusza. — Z uśmiechem na szerokiej, źle ogolonej, mięsistej twarzy, mrużąc ironicznie zaspane oczy, wyciągnął manuskrypt z rękawa swej szaty galowej.

Przytrzymując cenny poemat grubymi palcami, przeczytał swym wysokim, kleistym głosem:

— „Tobie jednemu powierzone jest zarządzanie świętymi skarbami cesarza, bogactwami, wytwarzanymi przez ludy całego świata, dochodami całego świata. Wszystko, co Iberis wydobywa ze swych kopalń złota, co lśni wśród szczytów Dalmacji, co dają libijskie żniwa, niewyczerpane żyzne błota rozgrzanego słońcem Nilu, perły, wydobywane przez nurków wschodnich mórz, kość słoniowa, zdobyta przez myśliwych nad Indem — wszystko to powierzone jest tobie jako wielkorządcy. Jesteś czujny, masz bystre spojrzenie, szybko i pewnie umiesz wyliczyć, ile co dzień potrzebują armie pod niebem południa czy północy, Wschodu czy Zachodu, ile potrzeba pieniędzy na wyżywienie miasta, na utrzymanie świątyń, akweduktów, olbrzymiej sieci dróg. Co do uncji znasz cenę, wagę i składniki owego metalu, który, przetopiony w ogniu, zmienia się w obrazy bogów i cesarza, w monetę rzymską.”

— To ja jestem tym człowiekiem, o którym mowa — zauważył z uśmiechem Klaudiusz Reginus.

Zestawienie niechlujnego, bezpretensjonalnego sceptyka z wzniosłymi słowami było istotnie nieco komiczne.

Marszałek dworu Kryspin chodził tam i z powrotem nerwowym krokiem po sali. Mimo wczesnej pory młody, wytworny Egipcjanin był ubrany niezwykle starannie, musiał stracić na swą toaletę немало czasu, zawsze płynął od niego błogi zapach, niczym od konduktu żałobnego wytwornego pana. Spokojne, czujne oczy ministra policji Norbana patrzyły na niego z wyraźną dezaprobatą. Norban nie cierpiał tego młodego gogosia, czuł, że tamten pokpiwa sobie z jego nieokrziesania. Ale Kryspin należał do nielicznych, którym Norban nie mógł zrobić krzywdy. Wprawdzie minister policji był wtajemniczony w różne, budzące zastrzeżenia szczegóły zdobywania pieniędzy przez rozrutnego Egipcjanina, ale cesarz miał do młodzieńca niewytłumaczoną słabość. Widział w tym gogosiu, wtajemniczonym we wszystkie wyrafinowane zdrożności rodzinnej Aleksandrii, wzór elegancji i dobrego tonu. Domicjan, jako strażnik surowych tradycji rzymskich, pogardzał wprawdzie tymi sztukami, ale jako mężczyzna jednak się nimi interesował.

Kryspin, który nie przestawał chodzić tam i z powrotem, powiedział:

— Znowu będzie mowa o nowych, zaostzonych przepisach obyczajowych? DDD nie szczędzi trudu, by nasz Rzym przemienić w gigantyczną Spartę.

Nikt nie odpowiedział. Po co przeżuwać sprawy po raz tysięczny?

— A może — oświadczył Marull ziewając — wezwał nas z powodu jakiegoś turbota czy homara. — Była to aluzja do złośliwego kawału, na który niedawno pozwolił sobie cesarz, kiedy spiesznie wezwał w nocy swych ministrów do Albanum, żeby ich zapytać, jak przyrządzić niezwyklej rozmiarów turbota, którego mu podarowano.

Oczy wszechwiedzącego Norbana, w którego tajnych aktach figurowały czyny i wypowiedzi każdego z obecnych, spoczywały w dalszym ciągu na chodzącym tam i z powrotem Kryspinie; były to oczy brązowe, nawet biało było brązowawe; w swym spokojnym napięciu, gotowym w każdej chwili do skoku, przypominały oczy czujnego psa.

— Znowu dowiedziałeś się czegoś na temat mojej osoby? — zapytał wreszcie Egipcjanin, którego wzrok Norbana wprawiał w stan zdenerwowania.

— Owszem — odpowiedział skromnie Norban. — Przyjaciel twój Mettius zmarł.

Kryspin stanął jak wryty, zwrócił ku Norbanowi podłużną, delikatną, szczupłą, rozpustną twarz; widniał na niej wyraz oczekiwania, radości i troski. Stary Mettius był człowiekiem bardzo bogatym, Kryspin dręczył go w podstępny sposób na przemian zapewnieniami przyjaźni i groźbami, wreszcie starzec zapisał mu w swym testamencie ogromną sumę.

— Przyjaźń twoja, mój Kryspinie, nie wyszła mu na dobre — powiedział minister

policii, którego słów słuchali teraz wszyscy obecni. — Mettius przeciął sobie żyły. Bezpośrednio przedtem zapisał cały swój majątek — Norban zaakcentował lekko słowo: cały — naszemu ukochanemu władcy i bogu Domicjanowi.

Kryspinowi udało się zachować spokojny wyraz twarzy.

— Zawsze przynosisz pocieszające wieści, mój Norbanie — powiedział uprzejmie.

Jeżeli suty spadek nie przypadł jemu, to Kryspin najłatwiej stosunkowo zniósł, że dziedziczy go cesarz. Cała piątka, zebrana w malej sali, choć Domicjan źle ją nieraz traktował, była mu szczerze przychylna. Mimo ponurych kaprysów i wybryków DDD fascynował masy, jak również tych, z którymi raczył bliżej obcować.

Klaudiusz Reginus słuchał z lekkim uśmiechem. Teraz zapadł znowu w stan odrętwienia; tkwił w swym fotelu zaniedbany, senny.

— Tamtym łatwo — powiedział półgłosem do Juniusza Marulla wskazując głową pozostałych — są młodzi. Ale ty, mój Marullu, i ja osiągnęliśmy to, co spośród przyjaciół cesarza nam tylko przypadło w udziale: obaj przekroczyliśmy pięćdziesiątkę.

Tymczasem Norban zasiadł z Kryspinem w kącie i nie puszczał go ani na krok. Swoim zwyczajem spokojnie, nieco groźnie, tłumiąc donośny głos, żeby jego słów nie słyszeli inni, powiedział mu:

— Mam dla ciebie jeszcze jedną dobrą wiadomość. Westalki będą obecne na igrzyskach palatyńskich. A więc, mój Kryspinie, zobaczysz swoją Kornelię.

Ciemna twarz Kryspina pod wpływem zmieszania nabrała wyrazu niemal idiotycznego. Pozwolił sobie na kilka zuchwałych, obleśnych uwag na temat Kornelii, ale tylko w ścisłym gronie przyjaciół, gdyż cesarz brał swoje arcykapłaństwo serio i nie lubił nieprzystojnych uwag o swoich westalkach. Kryspin przypomniał sobie teraz dokładnie, co powiedział: „Gdyby nawet ta Kornelia była zaszyta od stóp do głów w białą szatę, będę z nią spał.” Oto na co się poważył. Jakąż piekielną drogą dotarło to już do tego przekłętą Norbana?

Nareszcie poproszono panów ministrów do gabinetu cesarza w jego apartamentach wewnętrznych.

Domicjan siedział na podniesieniu przy biurku, uroczyście sztywny, przybrany w szaty cesarskie. Choć biurko zasłaniało mu nogi, miał na nich niewygodne trzewiki na grubej podeszwie. Podobało mu się być całkowicie bogiem; odpowiadał hieratycznie dumnym skinieniem na należne bogu pokorne, ceremonialne pokłony swoich doradców.

Z pozą tą kontrastował tym bardziej rzeczowy sposób, w jaki prowadził obrady. Choć przesiąknięty poczuciem swej boskości, badał trzeźwym rozumem ludzkim argumenty i kontrargumenty, które wysuwali jego ministrowie.

Obradowano najpierw nad projektem ustawy, która miała na zawsze oddać cesarzowi najwyższy nadzór nad tradycjami i senatem, ograniczyć do roli formalnej prawa współrządzącego ciała zbiorowego, zrealizować ideę monarchii absolutnej. Biorąc pod uwagę każdy szczegół stylistyczny opracowywano argumenty, mające uzasadnić ów projekt. Z kolei zastanawiano się, jak pogodzić główne wytyczne budżetu wojennego i pokojowego. Z jednej strony chodziło o postawienie do dyspozycji budowniczego twierdz Frontina poważnych sum na dalsze wznoszenie wału przeciw germańskim barbarzyńcom, z drugiej o przyznanie oddziałom, udającym się na front, wysokich premii

s

i dodatkowego żołdu. Równocześnie nie można było zaprzestać zakrojonego na wielką skalę ruchu budowlanego w mieście i w prowincjach, żeby nie narazić na szwank prestiżu cesarza. Na czym można by więc oszczędzić? Gdzie, w jakiej dziedzinie dałoby się jeszcze przeprowadzić podniesienie podatków bez zbyt gwałtownego ucisku poddanych? Ustalono

ponadto, co przedsięwziąć w stosunku do prowincji niepewnych, jakie im nadać przywileje, a jakie odebrać. Debatowano dalej szczegółowo nad tym, jak dalece można by złagodzić przepisy, ograniczające uprawy winorośli na korzyść uprawy zbóż, żeby ta nieodzowna reforma nie stała się zbyt niepopularna. Bardzo wiele czasu pochłonęły ustawy dotyczące obyczajów: zarządzenia mające na celu opanowanie rosnącej emancypacji kobiet, postanowienia ograniczające zbytek strojów, przepisy, umożliwiające ściślejszą kontrolę widowisk. Niechaj członkowie rady przekonają się raz jeszcze, że słowa Domiejana o jego arcykapłańskim posłannictwie, domagającym się wprowadzenia najsurowszymi środkami starorzymskiej dyscypliny i poszanowania tradycji, nie były obłudą. Zaspokajając bez jakichkolwiek skrupułów swe niepohamowane żądze, był równocześnie głęboko przejęty swym posłannictwem, polegającym na tym, by ludowi narzucić dawne surowe obyczaje i przywrócić religijne tradycje przodków. Dyscyplina rzymska i rzymska potęga stanowią całość, jedno nie może istnieć bez drugiego, surowe obyczaje to fundament imperium. Domicjan siedział sztywny i cesarski niby mówiący posąg i wywodził to wszystko. Promieniowało z niego przeświadczenie o doniosłości spełnianej misji. Obecny, choć nie po raz pierwszy przeżywali komedię objawiającego się boga Domicjana, zrobiło się nagle nieswojo wobec tak oczywistego opętania.

Z wyjątkiem tej jednej kwestii rozważano wszystkie inne sprawy rzeczowo pod rzeczowym kierownictwem cesarza; członkowie narady nie zjadali się wzajemnie. Domicjan potrafił siebie i swą radę stopić w jeden organizm, który myślał jednym jedynym mózgiem. Obrady przeciągały się, wszyscy wzdychali do chwili odprężenia, ale cesarz nie użyczał przerwy ani sobie, ani swojej radzie.

Kiedy wreszcie zwolnił wyczerpanych ministrów, zatrzymał jeszcze Norbana. Postąpiłby rozsądnie, gdyby nieco odpoczął. Miał przed sobą męczący posiłek w gronie rodziny — znawca ludzi Eliusz miał rację, cesarz najpierw chciał zobaczyć Lucję w kole rodzinnym, a potem dopiero odbyć z nią rozmowę, której pragnął i której się bał. Ale właśnie z powodu czekającej go rozmowy Domicjan chciał jeszcze pomówić ze swoim ministrem policji. Był to jedyny człowiek, który mógł dostarczyć mu potrzebnych materiałów. Materiał obciążający Lucję może okazać się przydatny w trakcie zasadniczej rozmowy. Jednakże Norban i dzisiaj był małomówny, a cesarz i dzisiaj nie potrafił wykrztusić ze siebie pytania. Czekał, by Norban sam zaczął mówić. To nikczemne z jego strony, że, chociaż nie pytany, nie informuje swego cesarza. Ale Norban był uparty, nie powiedział nic.

Cesarz westchnął. Westchnienie to wyrażało rezygnację; wiedział, że nie dowie się od ministra niczego o Lucji. Ponieważ jednak miał go już przy sobie, zapytał przynajmniej o Julię. Stosunek jego do bratanicy Julii był skomplikowany i zmienny. Brat Tytus chciał swego czasu dać mu swą córkę Julię za żonę, ale Domicjan, który wtedy pretendował, by stać się współregentem, nie dał się zbyć w ten sposób. Później, częściowo z nienawiści do brata, częściowo pociągnięty senną zmysłowością Julii, zdobył dziewczynę gwałtem i perswazją. Kiedy później Tytus wydał Julię za ich krewnego Sabina, raczej właśnie na przekór podtrzymywał ten skandaliczny stosunek. Teraz Tytus nie żyje, Domicjan nie ma powodu, by mu robić na złość, ale przez ten czas przywiązał się do jasnowłosej, sennej Julii o śnieżnobiałej skórze. Kochała go, to było widoczne, szukał więc w tej miłości ratunku, kiedy gniew wywołany niepokonaną pychą Lucji zżerał go zbyt gwałtownie. Zależnie od tego, jak go traktowała Lucja, zmieniały się jego uczucia do Julii.

Julia była teraz w ciąży. Od pewnego czasu zabronił jej sypiać z mężem, swoim krewnym Sabinem. Przysięgała, że dziecko jest jego, nie Sabina; mężczyzna Domicjan byłby w to chętnie uwierzył, ale cesarz Domicjan jest nieufny. A może wierzy w to cesarz Domicjan, jego bowiem, jako boga, podejść nie można, ale człowiek Domicjan jest nieufny. Nie wzdragał się mówić z

Norbanem o tych swoich wątpliwościach. Lucja urodziła mu dziecko, ale zmarło po dwóch latach i lekarz przyboczny nie robił cesarzowi nadziei, że może od niej oczekiwać potomstwa. Byłoby wspaniale, gdyby mu Julia urodziła dziecko. Ale kto może mu zaręczyć, czy owoc, który w sobie nosi, jest naprawdę jego dzieckiem. Nigdy nie będzie miał pod tym względem całkowitej pewności. Jeżeli bowiem dziecko będzie miało jakiegokolwiek cechy flawijskie, mogło je odziedziczyć po niej samej, po nim albo po Sabinie. Kto rozproszy jego wątpliwości?

Norban był swemu panu nie tylko głęboko oddany, ale żywił również do niego szczerą przyjaźń. Byłby szczerze uradowany, gdyby Domicjan miał syna, który by odziedziczył po nim tron.

— Mam zaufanych ludzi w domu księcia Sabina — oświadczył. — Ludzi o bystrym spojrzeniu. Mają na oku nie księżną Julię, lecz księcia Sabina — ciągnął dalej. — Ludzie moi twierdzą z całą pewnością, że tych dwoje żyje z sobą jak brat z siostrą, nie jak mąż z żoną.

Cesarz spojrział mętnie swymi nieco wylupiastymi oczami.

— Chcesz pocieszyć władcę i boga — powiedział — ponieważ jesteś przychylny Domicjanowi.

Norban wznosił szerokie ramiona i opuścił je po chwili.

— Powtarzam tylko to — powiedział — co mi donoszą zaufani ludzie.

— Tak czy inaczej, jest rzeczą irytującą — oświadczył Domicjan — że ten nadęty dureń Sabin chodzi po świecie. Z natury nie jest właściwie głupi. To wina Tytusa, że mu się tak w głowie przewróciło. Zapewniam cię, Norbanie, że brat mój mimo pozorów szorstkości był w gruncie rzeczy sentymentalny. Rozpieszczał Sabina przez rodzinną czułość. Danie mu Julii za żonę było po prostu idiotyzmem.

— Nie przystoi mi — odparł Norban — krytykować boga Tytusa.

— Powiadam ci — rzekł niecierpliwie cesarz — że ten bóg Tytus był często idiotą. Zarozumiałstwo tego Sabina jest istotnie nad wyraz irytujące. Graniczy już niemal ze zdradą stanu.

— Trzyma się z dala od wszelkiej działalności politycznej — powiedział minister policji niemal z ubolewaniem.

— Otóż to! — zawołał Domicjan. — Za to udaje mecenasa różnych snobów intelektualnych, oczywiście samych opozycjonistów.

— Czy to zdrada stanu? — zastanawiał się Norban.

— Wydaje mi się, że to nie dosyć. Kazał przywdziać swoim ludziom białą liberię, która jest zastrzeżona dla dworu cesarskiego — wywodził Domicjan.

— To nie wystarczy — trwał przy swoim Norban. — Z chwilą kiedy cesarz rozkazał, skasował tę liberię. Nie, zarzuty, którymi chwilowo rozporządzamy, nie wystarczą — zakończył. — Ale zaufaj swemu Norbanowi, panie mój i boże. Księżę Sabin to człowiek takiego pokroju, że kiedyś z pewnością coś się przeciw niemu znajdzie. A gdy to nastąpi, może już po twoim powrocie z wyprawy, boże mój i panie, nie omieszka natychmiast cię o tym powiadomić.

Wieczorem cesarz spożył najpierw posiłek sam. Jadł szybko i dużo, chciał być syty, by przy stole rodzinnym nie rozpraszać uwagi jedzeniem i móc obserwować innych. Ci inni zebrali się tymczasem w małej sali Minerwy, przeznaczonej na intymne zebrania w poufnym gronie. Towarzystwo składało się z Lucji, obu kuzynów cesarza, Sabina i Klemensa z żonami Julią i Domicyllą oraz z dwóch bliźniaków, synków Klemensa.

Gwardia pochyliła ku ziemi dzidy, Domicjan wszedł do sali. Zobaczył Lucję. Jej śmiała, jasna twarz uśmiechała się do niego radośnie, nieco szyderczo. O nie, pobyt na odludnej wyspie nie poskromił jej i nie zmienił. Domicjan był rad, że nie jest z nią sam na sam.

Sztywnym, ciężkim krokiem podszedł do niej, ucałował ją tak, jak w myśl ceremoniału

miał ucałować wszystkich obecnych. Był to pocałunek krótki, oficjalny, wargi jego ledwie dotknęły jej policzków. Lucja wszakże poczuła pod monarszą szatą mocne bicie serca. Oddałby jedną z prowincji, by móc się dowiedzieć, czy tam na tej wyspie spała z innymi. Dlaczego nie zapytał o to Norbana? Czy obawia się odpowiedzi?

Opadło go dzikie, trudne do poskromienia pożądanie zobaczenia blizny pod jej lewą piersią, pogłaskania tego miejsca delikatnymi palcami. Jest naprawdę wielkim władcą, Rzymianinem, skoro czując to ogromne pożądanie potrafił poskromić się i ze spokojną twarzą spoglądać na innych.

Objęmuje więc najpierw Sabina i w myśl zwyczaju całuje go. Odrażający jest ten Sabin, równie głupi, jak nadęty. Ale Domicjan może się zdać na swego ministra policji. Przyjdzie dzień, w którym nie będzie już zmuszony czuć dotknięcia skóry Sabina na swojej skórze.

Zwrócił się ku Julii. Nie było jeszcze widoczne, że jest w ciąży, ale wszyscy obecni wiedzieli, jak sprawa wygląda. Z pewnością słyszała już o tym nawet Lucja i zapewne zadaje sobie teraz pytanie: „Czyje to dziecko, Wrzuszka czy tego głupca Sabina?” Twarz cesarza, który cofnął łokcie, wciągnął nieco brzuch, była purpurowa; nie dowodziło to jednak niczego, gdyż rumienił się łatwo i często. Wielkie, szaroniebieskie oczy Julii patrzyły nań badawczo. W ostatnich miesiącach mniej cierpiała z powodu jego kaprysów, ale trzeźwy jej rozum mówił, że zmieni się to z chwilą, kiedy Domicjan znowu będzie miał przy sobie Lucję. Stała tu więc, nieodrodna córka Flawiuszów, masywna, bardzo żywotna. Czy jednak w porównaniu z Lucją nie wygląda nieco wulgarnie? Domicjan ucałował ją; biała jej delikatna skóra, kilka dni temu tak mu jeszcze miła, nie miała teraz dla niego uroku.

Objął i ucałował z kolei młodszego kuzyna, Klemensa, łagodnego i leniwego Klemensa, jak zwykł był o nim mówić szyderczo. Klemens bowiem nigdy nie troszczył się o politykę, nie posiadał żadnych ambicji; ta pogodna obojętność złościła cesarza, który stał na straży rzymskości. Klemens przebywał prawie ciągle na wsi z żoną swą Domicyllą i dwojgiem bliźniąt. Tam zajmował się przepojoną pietyzmem doktryną pewnej sekty żydowskiej, niemądrą nauką tak zwanych nazareńczyków czy też chrześcijan, którzy spodziewali się wiele po życiu pozagrobowym, gdyż doczesne nie wydawało im się warte zachodu. Domicjan uważa tę doktrynę za odpychającą, zniewieściałą, niemądrą, całkowicie niegodną Rzymianina. Nie, na Herkulesa, nie lubi również i tego kuzyna Klemensa. Ale w jednym ten Klemens nad nim górował, i tego mu Domicjan zazdrościł. Były to czteroletnie bliźniaki, księżęta Konstans i Petron; Domicjan nazywał tych delikatnych, zgrabnych i silnych chłopaczków lwiatkami. Pragnął gorąco, by dynastia się utrzymała, ani Sabin, ani Klemens nie nadają się na tron, co urodzi Julia, nie wiadomo. Bliźniaki były więc na razie jedyną ostoją Domicjana, w głębi ducha bawił się myślą zaadoptowania ich. Tylko ze względu na nich tolerował kuzyna Klemensa. Ten odpłacał cesarzowi pięknym za nadobne; uścisk i pocałunek przyjął z wyraźnym przymusem.

Cesarza bawiła raczej i drażniła zarazem żona kuzyna, Domicylla, którą ucałował na ostatku. Ta córka jego młodo zmarłej siostry miała również pewne cechy Flawiuszów: jasne włosy i wydatny podbródek. Była jednak szczupła i małowówna. Tylko jej jasne oczy miały głęboki, fanatyczny wyraz. O Domicjanie mówiła pogardliwie „tamten”, nawet uważała, że Wrzuszek to zbyt piękne dla niego przezwisko. Cesarz i bez podszeptów Norbana wiedział, że Domicylla widzi w nim wcielenie zła. Na pewno podsycala w swym słabym mężu jego bierną wrogość oraz uporczywą, cichą łagodność oporu. To ona z pewnością namówiła go, by przystał do owej wstrętnej sekty żydowskiej. Cesarz, całując Domicyllę, objął ją mocniej niż innych. Nie zależało mu na tym, ale właśnie jej na złość nie poprzestał na ceremonialnym pocałunku, lecz objął wzbraniającą się serdecznie i długo.

Przy stole był rozmowny i w dobrym humorze. Ale nie odmówił sobie tego, by, jak

zwykle, pokpiwać z kuzynów Sabina i Klemensa oraz z Domicylii. Nie wziął Lucji za złe, że pochwaliła go za umiarkowanie w jedzeniu i stwierdziła z uznaniem, iż brzuch tylko niewiele mu się zaokrąglił. Z odcieniem poważnej troski prosił Julię, by uważała na siebie ze względu na swój stan i wystrzegą się pewnych potraw. Przede wszystkim jednak żartował z bliźniakami. Delikatnie pogłodził jednego z nich po miękkich, jasnych włosach i powiedział: „Moje lwiątko.” Księżęta tolerowały to chętnie, było widoczne, że odwzajemniają sympatię swego stryja.

— Lud, żołnierze i dzieci kochają mnie — stwierdził cesarz z zadowoleniem. —
Wszyscy ci, co mają zdrowe instynkty, kochają mnie.

— Czy ja mam niezdrowe instynkty? — zapytała Lucja.

Julia zaś dodała uprzejmie i leniwie:

— Czy to znaczy, że nie kochasz naszego boga Domicjana, moja Lucjo, czy też kochasz go mimo twoich niezdrowych instynktów?

Kiedy wstano od stołu i biesiadnicy odeszli, Domicjan poczuł się lepiej uzbrojony do rozmowy z Lucją. Mimo to, zostawszy z nią sam na sam, nie wiedział dobrze, od czego zacząć. Lucja zauważyła to i uśmiech pojawił się na jej twarzy. Rozpoczęła więc sama rozmowę i pokierowała nią.

— Właściwie powinnam ci być wdzięczna za to zesłanie. Kiedy się dowiedziałam, że na miejsce wygnania nie przeznaczyleś mi nawet Sycylii, lecz pustynną Pandatarię, przyznaję, że mnie to zirykowało i obawiałam się, że będzie tam bardzo nudno. Tymczasem pobyt na wyspie stał się dla mnie przeżyciem, którego bym się za nic nie wyrzekła. Skazana na towarzystwo kilkunastu wygnańców i tubylców plebejuszy, odkryłam, że pobyt na takiej odludnej wyspie bardziej dodatnio wpływa na życie wewnętrzne jej mieszkańców niż przebywanie w Albanum lub na Palatynie.

„Mimo to — powiedział sobie Domicjan z wściekłością — zapytam się Norbana, czy i z kim się tam wałęsała.”

— Kiedy raczyłeś — ciągnęła dalej Lucja — przywołać mnie stamtąd, prawie tego żałowałam. Nie chcę przez to zaprzeczać, że teraz, po pustynnej Pandatarii, nasza willa w Albanum daje mi wiele radości.

— Powiniennem był domagać się zastosowania surowej ustawy o wiarołomstwie — powiedział Domicjan oblewając się pąsem. — Należało pozbyć się ciebie raz na zawsze, Lucjo.

— Jesteś kapryśny, panie mój i boże — odparła Lucja, wciąż jeszcze z uśmiechem na twarzy. — Wzywasz mnie do powrotu, a potem mówisz mi takie impertyncje. Czy nie uważasz, że grożenie tak krwawymi rozwiązaniami jest nieco barbarzyńskie? — Podeszła do niego bliżej. Była wyższa od niego, pogłaskała go lekko po włosach, które zaczynały rzednąć. — Dajesz dowód złego smaku, Wrzuszk — powiedziała — nie świadczy to o dobrej rasie. Zresztą nie obawiam się śmierci. Sądzę, że wiesz o tym. Gdybym nawet miała teraz umrzeć, cena nie byłaby za wysoka za to, co od życia dostałam.

Domicjan musiał przyznać, że potrafiła użyć życia. A śmierci się nie bała, przekonał się o tym. Wierzył również, że potrafiła wykorzystać nawet zesłanie. Nie, nie można jej poskromić, nie można nią zawładnąć. Zawsze na nowo oburzała go odwaga, z jaką broniła swych postępów, ale zawsze go ta odwaga podbijała.

Próbował opancerzyć się przed nią. Nieobecność jej wykazała, że nie jest niezastąpiona. Czy Julia nie stała się dla niego cenniejsza jako partnerka w łóżku? Czy nie obdarzy go dzieckiem? Czy i on nie używał życia podczas jej nieobecności?

— I ja również dokonałem niejednego, kiedy cię tu nie było, Lucjo — rzekł gniewnie. — Rzym stał się bardziej rzymski, potężniejszy, mocniejszy, więcej jest teraz w Rzymie obyczajności.

Lucja roześmiała się.

— Nie śmieć się, Lucjo — zawołał. Słowa te brzmiały zarazem jak prośba i rozkaz. — Tak jest naprawdę. — Po czym dodał bardziej miękko, niemal błagalnie: — Zrobiłem to również ze względu na ciebie, dla ciebie, Lucjo.

Lucja siedziała cicho i patrzyła na niego. Przejrzała, co w nim było małe i śmieszne, ale widziała również i jego siłę, i jego talent rządzenia. Jedno sobie uświadomiła: ktoś, kto łączy w sobie tak olbrzymią pełnię władzy, jak jej Domicjan, musiałby być człowiekiem bardzo wielkim, żeby nie utracić miary. Nie mogła od niego wymagać zdrowego rozsądku. I nie wymagała. Chwilami kochała go nawet za jego obłudne przeświadczenie, jakoby mówił przez niego i działał bóg. Wydawało jej się nieco godne pogardy, że nie potrafił zdobyć się na to, by ją zgładzić, ale mimo wszystko na wygnaniu często za nim tęskniła. Patrzyła teraz na niego zamglonymi oczyma, cieszyła ją, że się z nim prześpi. Równocześnie uświadamiała sobie jasno, że to, czego postanowiła od niego zażądać, musi osiągnąć teraz, zanim tamto się stanie. Potem będzie za późno i musiałyby walczyć z nim o to przez lata. Ułożyła sobie dokładnie zawczasu, czego od niego zażąda, mądry Klaudiusz Reginus przyznał jej rację.

— Powinieneś przelać na mnie wreszcie monopol na wyrób cegły — rzekła więc zamiast odpowiedzi.

— Mówię ci o Rzymie i o miłości, a ty odpowiadasz: pieniądze — poskarżył się.

— Na wygnaniu — odrzekła — nauczyłam się cenić znaczenie pieniądza. Nawet na mojej odludnej wyspie mogłam przy pomocy pieniądza ulżyć doli własnej i innych. Nie było to ładnie z twojej strony, żeś położył rękę na moich dochodach. A więc jak będzie, Wrzusku, dostanę monopol na wyrób cegły?

Myślał o bliźnie pod jej piersią, był pełen wściekłości i żądy.

— Zamilcz! — wrzasnął.

— Ani mi to w głowie — upierała się — mówię teraz o monopolu na wyrób cegły. Nic nie wskórasz, póki nie powiesz jasno i wyraźnie: tak. Nie wyobrażaj sobie, że ta twoja Pandataria uczyniła mnie bardziej ustępliwą. Przypuszczałeś z pewnością, że przez cały czas będę rozpamiętywała okropny los Oktawii albo Julii Augusta. — Zaczerwienił się, bo odgadła jego myśli. — Aleś się pomylił. Jeżeli mnie ześlesz raz jeszcze, nie stanę się inna. Tak samo jak owa Julia była dla mnie tylko zabawnym wspomnieniem, tak niech jakaś inna wygnanka zesłana po mnie na wyspę wspomina mnie raczej z zazdrością niż ze strachem. — Słowa te, pełne aluzji, dowiodły Domicjanowi niezbitcie, jaki był bezbronny wobec tej kobiety. Szukał odpowiedzi. Zanim ją jednak znalazł, powróciła uparcie do swego, domagając się natarczywie: — Sądzisz, że tylko tobie potrzebny jest blask? Jeżeli chcesz budować na szerszą skalę niż twój poprzednik, to i ja chcę mieć coś z tego. Dostanę monopol na wyrób cegły?

Musiał jej przyznać ten monopol i owej nocy nawet tego nie żałował.

Zarządzenia, zaakceptowane przez radę gabinetu cesarza, by się stać ustawą, musiały uzyskać zgodę senatu. Zostały więc ujęte w postaci czterech wniosków. Już w kilka dni po radzie gabinetu zwołany został senat dla przeprowadzenia debaty w tej sprawie.

Stali więc i siedzieli dookoła *patres conscripti*, nie wyspani, w białym, wspaniałym, olbrzymim przedsionku Świątyni Pokoju, w którym miały się toczyć obrady. Był wczesny ranek, posiedzenie miało rozpocząć się punktualnie o wschodzie słońca, gdyż senatowi wolno było obradować tylko między wschodem a zachodem słońca i należało wykorzystać ów czas na dyskusję i powzięcie decyzji.

Dzień był bardzo chłodny, misy z węglem nie były w stanie ogrzać przestronnych sal. Senatorowie czekali w swych purpurowych płaszczach oraz w szatach z purpurowymi szlakami, w świetle licznych świeczników i mis z węglem. Gawędzili, pokasływali, marzli, przestępowali z

nogi na nogę, tkwiąc w niewygodnych odświętnych trzewikach, grzali ręce nad grzałkami, napelnionymi gorącą wodą, które nosili w rękawach swych szat galowych. Większość uważała sobie za piekielne poniżenie, że muszą znosić te drobne niedogodności tylko po to, żeby na uroczystym posiedzeniu uchwalić ustawy, pozbawiające ich na zawsze władzy i wydające ich na łup samowoli Domicjana, nieskończenie zuchwałego prawnika małego urzędnicy. Ale nawet najodważniejsi spośród senatorów nie mieli odwagi nie zjawić się.

Tu i owdzie prowadzono półgłosem przepojone goryczą rozmowy.

— Wszystko to jest haniebne gówno — wybuchnął nagle senator Helwid; chudy, wysoki, mizerny senator miał zamiar opuścić salę.

Powstrzymał go z trudem Publiusz Korneliusz.

— Rozumiem, mój Helwidzie — powiedział, nie wypuszczając jego rękawa — że nie chcesz mieć nic wspólnego z tym senatem. My wszyscy pod rządami tego cesarza najchętniej zerwalibyśmy purpurowe szlaki. Ale co osiągniesz, jeżeli oddalisz się stąd z wielkim gestem? Cesarz uzna to za zuchwalstwo i prędzej czy później będziesz musiał za nie zapłacić. Zginamy lekko karki, egzystencja, którą prowadzimy z musu, nie jest życiem, wielu z nas wolałoby zginąć wspaniale i olśniewająco. Ale ostentacyjna śmierć męczeńska to nonsens. Bądźże rozsądny, mój Helwidzie. Ważne jest, żeby ci, którzy kochają wolność, przeżyli obecne czasy. Ważne jest, żeby pozostali przy życiu, choć życie to jest żałosne.

Korneliusz był o wiele młodszy od Helwida, należał do najmłodszych senatorów, ale twarz jego porały już głębokie bruzdy troski. „Zamiast żeby on mnie uspokajał — myślał sobie, delikatnie zmuszając Helwida, by zajął opuszczone miejsce — to ja muszę go hamować. Oczywiście przychodzi mi to łatwiej niż jemu. Jestem po to, by zapisywać, co się dzieje pod panowaniem tyрана. Gdybym sobie tego raz po raz nie powtarzał, i ja nie zniósłbym chyba takiego życia.”

Na kilka minut przed wschodem słońca przybył nareszcie Domicjan. Drzwi budynku otworzono szeroko na znak, że zebranie jest publiczne, i wszystek lud ujrzał cesarza w całej jego okazałości na podwyższeniu. Siedział na tronie purpurowy i złoty z zamiarem wytrwania tak do końca obrad. Pragnął, by cztery ustawy, znajdujące się na porządku dziennym, jego ustawy, dyskutowane były i przyjęte z całą pompą.

Najważniejsza z tych ustaw, oddająca dożywotnio w ręce cesarza cenzorat oraz prawo wykluczania z senatu członków tego ciała zbiorowego, stanowiła trzeci punkt porządku dziennego. Referował ją senator Juniusz Marull, miała nazywać się jego imieniem. Stary, wytworny pan miał dziś swój dobry dzień i czuł się rześki. Ten, którego namiętności stały się powodem tylu sensacji, delektował się tym, że mógł swym purytańskim kolegom odpłacić teraz za wrogie szyderstwa, którymi często obrzucali „frywolnego, wyrafinowanego rozpustnika”. Republikańsko-konserwatywni senatorowie, siedzący w uroczystych pozach, zżerani gniewem, musieli przysłuchiwać się, jak kolega ich Marull, wielki adwokat, wywodzi w sposób na pozór rzeczowy, że chcąc zachować trwałość rządów, senat ma wręcz obowiązek dożywotnio przelać cenzorat na osobę cesarza, i że państwo byłoby zagrożone w swych podstawach, gdyby władcy i bogu Domicjanowi nie przyznano naczelnej kontroli.

Senator Pryskus słuchał z rękami zasuniętymi w rękawy uroczystej szaty. Małymi, głęboko osadzonymi oczami spoglądał na wymownego Marulla, trzymającego sztywno okrągłą, zupełnie łysą głowę. Tak, ten Marull mówił dobrze, z wielką swadą bronił nikczemnej sprawy. Jakże chętnie Pryskus, który sam był dobrym mówcą, odpowiedziałby Marullowi. Można było wytoczyć wiele bardzo słusznych argumentów, potrafiłby je świetnie sformułować. Ale senator Pryskus musiał milczeć, pod panowaniem Domicjana był skazany na milczenie. Jedyńą jego żalną pociechą było to, że po skończonym posiedzeniu pójdzie do domu i spisze wszystko, co

ma do powiedzenia. Z czasem, kiedy się nadarzy sposobność, odczyta to ostrożnie, szeptem w gronie zaufanych przyjaciół, a jak dobrze pójdzie, podsunie jakoś swój rękopis właśnie temu czelnemu Marullowi. Smętne zadośćuczynienie.

Senator Helwid, syn owego Helwida, którego ojciec cesarza kazał zamordować, słysząc nikczemne, wytworne zdania Marulla, zgrzytał zębami i gryzł wargi. Wreszcie nie mógł już zapanować nad sobą. Zapomniał o przestrożach Korneliusza, zerwał się, wyprostował swą wychudzoną, wysoką postać i zawołał potężnym głosem w stronę Marulla:

— Bezczelność, bezczelne kłamstwo!

Marull przerwał, spojrział na mówiącego jasnymi, niebieskoszarymi oczyma, przyłożył do oka zaostrzający wzrok szmaragd. Nawet cesarz, czerwieniąc się, zwrócił głowę w stronę Helwida. Ale Helwid usiadł na miejsce i nie powiedział już ani słowa.

Kiedy Marull skończył, przystąpiono do debat. Urzędujący konsul kolejno wzywał senatorów po nazwisku wedle starszeństwa w piastowaniu godności i zapytywał:

— Jakie jest twoje zdanie, senatorze?

Niejeden odpowiedziałby chętnie: „To zagłada państwa i świata.” Ale nikt nie dał takiej odpowiedzi. Przeciwnie, każdy oświadczał posłusznie: „Zgadzam się z Juniuszem Marullem.” Najwyżej dźwięk głosu zdradzał wstyd, gorycz i oburzenie.

Po przegłosowaniu ustawy Helwid powiedział do Korneliusza w czasie przerwy:

— Jeżeli przodkowie nasi mogli swego czasu dożyć szczytu wolności, to my przeżyliśmy teraz szczyt niewoli.

Podczas obrad nad czwartym wnioskiem, ostatnią nową ustawą, zaostrzającą karę za obrazę moralności, zabrał głos sam cesarz. Kiedy chodziło o dyscyplinę i tradycję, czuł potrzebę mówienia. Znalazł mocne, bardzo rzymskie słowa dla dania wyrazu swemu przeświadczeniu o wewnętrznym związku między karnością i władzą. Moralność, wywodził, jest fundamentem państwa, zachowanie człowieka mówi o jego poglądach, zmuszając do poprawy, zmuszając do moralnego i przyzwoitego zachowania, uszlachetnia się jego duszę. Karność i moralność są założeniem porządku państwowego, karność obywateli to fundament imperium. Nawet senatorowie z opozycji musieli przyznać, że potomek małego urzędnika biurowego mówi dostojnie i bardzo po cesarsku.

Pod ścianami podłużnego, owalnego przedsionka stały w szeregu podobizny wielkich poetów i myślicieli, wśród nich popiersie Flawiusza Józefa, Żyda, które kazał tu ustawić cesarz Tytus. Lekko pochylona głowa Józefa, dumna i wyniosła, sucha, lśniąca obcością, pozbawiona oczu, przepojona mądrą ciekawością uczestniczyła w posiedzeniu.

Wreszcie po długich debatach przyjęto ostatnią ustawę i urzędujący konsul mógł zakończyć zebranie formułką: „Nie zatrzymuję was dłużej, *patres conscripti*.”

W dziesięć dni później, jak nakazywał przepis, cztery tablice ze spiżu, na których wryty był tekst czterech nowych ustaw, umieszczone zostały w archiwum państwowym i ustawy otrzymały przez to moc obowiązującą. Od tego dnia imperator cesarz Domicjan August Germanik miał dożywotnio prawo wykluczania członków senatu z tej instytucji.

W niepokądnym domu Józefa ku wielkiemu zdumieniu sąsiadów zjawił się kurier cesarski. Wręczył Józefowi zaproszenie, by następnego dnia przybył na Palatyn.

Józef był bardziej zdziwiony niż przestraszony. W ostatnich latach cesarz zamienił z nim przy okazji kilka przelotnych słów, nic więcej. Było znamienne, że wzywa go do siebie teraz bezpośrednio przed odjazdem, w nawale spraw i interesów. Czy zaproszenie to, a raczej wezwanie, pozostaje w związku z sytuacją w Judei? W drodze na Palatyn Józef usiłował stłumić w sobie lęk. Bóg nie dopuści, żeby mu się coś stało, zanim skończy swe wielkie dzieło

— *Historię uniwersalną.*

Kiedy Józefa wprowadzono przed oblicze Domicjana, cesarz miał zarzucony na zbroję purpurowy płaszcz; bezpośrednio po rozmowie z Żydem zamierzał przyjąć deputację senatorów i generałów. Stał oparty o kolumnę: buława marszałkowska, symbol władzy, leżała obok na małym stoliku. Komnata nie była wielka; tym potężniejsza zdawała się postać cesarza. Józef znał dokładnie Domicjana z okresu, kiedy był nikim, wałkoniem, kiedy brat jego Tytus nazywał go „ziółkiem”. Wbrew jego woli człowiek stojący teraz przed nim przetopił się w jeden z wielu posągów, które stały dookoła. Nie było to już „ziółko”, był to Rzym.

Cesarz przyjął go bardzo po przyjacielsku.

— Podejź bliżej, mój Józefie — powiedział. — Jeszcze bliżej, całkiem blisko! — Przyglądał mu się wielkimi oczyma krótkowidza. — Długo się o tobie nic nie słyszało, mój Józefie — ciągnął dalej. — Bardzo jakoś przycichłeś. Czy przez cały czas przebywałeś w Rzymie? Żyjesz wyłącznie z literatury? Nad czym pracujesz? Piszesz dalej historię naszych czasów? — Zanim Józef zdążył na to wszystko odpowiedzieć, dodał ze złowrogim uśmiechem: — Czy opiszesz, jaki wpływ będą miały na Judeę moje zarządzenia?

Skończywszy, cesarz rozchylił nieco usta, tak jak na większości swoich posągów. Józef patrzył mu w oczy ze spokojem i powagą. Wiedział, jak pogardliwie traktowali tego człowieka jego ojciec i brat, Domicjan wiedział, że Józef wie o tym. Ów Domicjan odziedziczył wydatny, wysunięty naprzód podbródek ojca. Jako młodzieniec wyglądał bardziej imponująco niż ojciec i brat, teraz jednak, kiedy mu się było przyjrzeć dokładniej, niewiele miał wspólnego ze swymi posągami. Gdyby mu odjąć znamiona władzy, gdyby go sobie wyobrazić pozbawionego jej, po prostu nagiego, cóż by pozostało? Gdyby nie stał za nim olbrzymi, potężny Rzym, czymże byłby ten człowiek w średnim wieku, o wydatnych ustach, cienkich nogach, przedwcześnie zaokrąglonym brzuchu i z przedwczesną łysiną? Był Wrzuszkim. A jednak był również imperatorem Domicjanem Germanikiem, on to tchnął życie w zbroję, purpurę i berło.

— Piszę szczegółową historię mego narodu — odpowiedział Józef z obojętną uprzejmością. Ilekroć spotykał cesarza, Domicjan stawiał mu to samo pytanie, na które dawał tę samą odpowiedź.

— Narodu żydowskiego? — zapytał Domicjan łagodnie, ale nieco złośliwie, i ugodził Józefa głębiej, niż przypuszczał. Znowu, zanim Józef zdążył odpowiedzieć, ciągnął dalej: — Jest rzeczą możliwą, że ostatnie wydarzenia odbiły się również na twojej Judei. Nie sądzisz?

— Imperator Domicjan ma głębszy wgląd w wydarzenia niż ja — odparł Józef.

— Może w wydarzenia, ale nie w ludzi — odparł Domicjan bawiąc się buławą. — Jesteście narodem trudnym do rozgryzienia, nie ma prawie Rzymianina, który by mógł pochwalić się, że zna was naprawdę. Gubernator mój Pompejusz Longinus to tęgi człowiek, niezły psycholog, raportuje mi o wszystkim regularnie, sumiennie i gruntownie. Mimo to, przyznaj, mój Żydzie, wiesz więcej od niego i lepiej orientujesz się, co się dzieje w Judei.

Mimo napięcia woli Józefa obleciał lęk.

— Tak, Judeę trudno przejrzeć — poprzestał na ostrożnej odpowiedzi.

Teraz Domicjan uśmiechnął się szeroko i złowrogo, tak aby tamten zauważył ten uśmiech.

— Dlaczego jesteś taki powściągliwy wobec swego cesarza, mój Józefie? — zapytał. — Przecież wiesz niewątpliwie o pewnych wydarzeniach w prowincji Judea, o których gubernatorowi nic nie wiadomo. W przeciwnym razie trudno przypuszczać, żebyś napisał pewien list. Czy trzeba ci powiedzieć, co to za list? Czy mam zacytować ci pewne jego zdania?

— Skoro cesarz zna treść listu — odparł Józef — wiadome jest cesarzowi, że doradzam jedynie jak największą rozwagę. Zalecanie rozwagi ludziom, którzy mogliby może być nierozważni, leży, jak mi się wydaje, w interesie państwa i cesarza.

— Może tak jest — powiedział Domicjan marzycielsko, nie przestając bawić się buławą marszałkowską — a może i nie jest. W każdym razie ty — wykrzywił złowieszczo grube wargi — uważasz, zdaje się, za wskazane, żeby znowu znalazł się ktoś, kto by tam w Judei zachwalał flawijskiego dowódcę jako Mesjasza. Czy wy, Żydzi, uważacie, że ród Flawiuszów jeszcze nie siedzi dość mocno w siodle? — Duża, ciemnopurpurowa twarz cesarza miała teraz wyraz jawnie wrogi.

Józef zaczerwienił się również. A więc Domicjan uważa owo wydarzenie, kiedy to Józef w rozstrzygającej godzinie powitał Wespazjana jako Mesjasza, za ukartowane oszustwo, za z góry ułożony szwindel. Uważa go za sprzedawczyka, za zdrajcę. Nie, nie wolno mu teraz myśleć o tym, w tej chwili chodzi o rzecz pilniejszą.

— Sądziliśmy, że działamy w interesie cesarza i państwa — oświadczył raz jeszcze wymijająco i uparcie.

— Ale także trochę w interesie waszym, Żydów, i twoim własnym, prawda, mój Żydzie? — zapytał Domicjan. — Czy tak nie jest? W przeciwnym razie bylibyście się zwrócili wprost do moich urzędników i generałów, ostrzeżlibyście ich, poinformowali. Przecież w podobnych wypadkach potraficie do nich trafić bez trudu. Domyślam się jednak, co się za tym kryje. Chcieliście wygładzać, łagodzić, ratować winnych przed karą. — Uderzył kilkakrotnie buławą o stół. — Wielcy z was podżegacze i intryganci, to wiadomo. — Głos mu się załamał, twarz miał teraz purpurową. Opanował się jednak i ciągnął dalej: — Szybkość — powiedział łagodnie i złośliwie — z jaką wtedy włączyłeś się do gry mego ojca, dowodzi mistrzostwa.

Ponowna aluzja Domicjana do owej godziny, w której Józef powitał Wespazjana jako Mesjasza, boleśnie dotknęła pisarza. Pogrzebał w niepamięci to wydarzenie, niechętnie je wspominał. Jak dalece wierzył wówczas, że postępuje słusznie? Jak dalece nakazał sobie tę wiarę? Widział siebie teraz wyraźnie, jak stoi przed Wespazjanem, jeniec zakuty w kajdany, zapewne przeznaczony na krzyż. Przywoływał z pamięci wrażenia owej chwili, uprzytamniał sobie, w jaki sposób wybuchły z niego prorocze słowa Mesjaszowego powitania. Widział każdy szczegół: Wespazjana, jak lustruje go jasnymi, niebieskimi, badawczymi, chłopskimi oczyma, stenografującego następcę tronu, Cenis, przyjaciółkę Wespazjana, nieufną, wrogą. Wierzył wówczas. A może jednak grał komedię, by uratować życie?

Szperając w najskrytszych zakamarkach duszy, nie wiedział sam, gdzie w tym, co wtedy głosił, kończyła się prawda, gdzie się zaczynało marzenie. Czy marzenie nie jest wyższą formą prawdy? Nazareńczycy opowiadają o Mesjaszu, który umarł na krzyżu. Jako historyk Flawiusz Józef widzi powiązania, umie odtworzyć legendę, wskazać, z jakich poszczególnych rysów składa się postać tego ich Mesjasza. Cóż jednak przez to wygrywa? Cóż pozostaje mu w rękę poza odrobiną martwej wiedzy? I czy wreszcie Mesjasz nazareńczyków, ten wyśniony Mesjasz, zrodzony z fantazji, nie jest prawdą lepszą od jego prawdy, wyłącznie faktycznej i historycznej? Toteż nikt nie będzie mógł stwierdzić z całą pewnością, jak dalece Mesjasz, który wtedy w nim powstał, ów Mesjasz Wespazjan, który przecież później stał się rzeczywistością, jak dalece ów wyśniony Mesjasz był od początku rzeczywistością; Józef sam nie potrafi tego powiedzieć, a tym bardziej ten cesarz Domicjan, który siedzi teraz przed nim i spogląda na niego szyderczo.

— Co ty właściwie masz przeciw mnie, mój Żydzie? — pyta teraz ów cesarz Domicjan, wciąż jeszcze głosem wysokim i łagodnym. — Służyłeś wiernie memu ojcu i memu bratu, czy sądzisz, że jestem mniej hojny? Uważasz mnie za sknerę? Byłbyś pierwszy. Bo ja naprawdę dobrze płacę,

Flawiuszu Józefie. Zanotuj to sobie dla swego historycznego dzieła, że płacę hojnie zarówno w dobrym, jak w złym.

Józef pobladł nieco, ale spokojnie patrzył w oczy cesarza. Cesarz, sztywny w swej

purpurze, zbliżył się do niego, wydawało się Józefowi, że podszedł do niego wspaniały posąg ruchomy. Po chwili człowiek w złocie i purpurze poufale, przyjaźnie wziął za szyję Józefa i powiedział przymilnym tonem:

— Gdybyś mi chciał oddać poważną usługę, mój Józefie, miałbyś teraz dobrą okazję. Udaj się do Judei! Weź powstanie w ręce, jak to uczyniłeś wtedy, przed dwudziestu laty. Wiesz nie mniej dobrze ode mnie, że Rzym przeznaczony jest na władcę. Nie ma sensu przeciwstawiać się opatrności. Pomóż losowi. Pomóż nam, byśmy uderzyli na czas, jak pomogłeś wtedy. Pomóż w odpowiedniej chwili, jak wtedy kiedy w odpowiedniej chwili poznałeś twojego. Mesjasza. — W tych łagodnych słowach tkwiło piekielne szyderstwo.

Józef, do głębi upokorzony, odpowiedział niemal machinalnie: — Cezar pragnąłby, żeby Judea uderzyła?

— Tak, pragnąłbym — odrzekł cesarz cicho, bardzo rzeczowo, nie przestając obejmować Józefa. — Pragnę tego równie w interesie twoich Żydów. Wiesz, że to durnie, i kiedyś uderzą, choćby ich nie wiem jak powstrzymywali od tego ludzie rozsądni. Będzie lepiej dla wszystkich, jeżeli teraz zgładzimy pięciuset przywódców niż później pięciuset przywódców i sto tysięcy ich żołnierzy. Chcę, żeby w Judei był spokój — zakończył twardo i gwałtownie.

— Czy spokój może być okupiony tylko przez krew? — zapytał Józef półgłosem.

Domicjan odsunął się od niego.

— Widzę, że mnie nie kochasz — stwierdził. — Widzę, że nie chcesz mi oddać przysługi. Chcesz napisać twoją historię ku wielkiej czci swego narodu, ale na moją cześć nie chcesz nawet kiwnąć palcem. — Usiadł znowu, wymachiwał w powietrzu buławą. — Wiesz, mój Żydzie, właściwie jesteś bardzo zuchwały. Zdaje ci się, że rozdzielając sławę i hańbę możesz pozwolić sobie na niejedno. Kto ci jednak powiedział, że mi tak bardzo zależy na potomności? Strzeż się, mój Żydzie! Nie rozzuchwalaj się dlatego, że ci tak często okazywałem wielkoduszność. Rzym jest potężny i może pozwolić sobie na wielkoduszność. Wiedz jednak, że mamy cię na oku.

Józef nie był człowiekiem bojaźliwym, ale mimo to trząsał się, kiedy go teraz niesiono w lektyce do domu; zaschło mu również podniebienie. Powodem tego była nie tylko obawa represji, które mógł wobec niego zastosować Domicjan. Cesarz przypomniał mu owo dwuznaczne powitanie Wespazjana. Czy to, co wówczas obwieścił w chwili niebezpieczeństwa, zagrażającego jego życiu, było szczere, czy też stanowiło awanturnicze, zuchwałe oszustwo? Nie wie, nigdy nie będzie wiedział, a to, że przepowiednia jego sprawdziła się, nic nie znaczy. Również nie miało znaczenia, że ten Domicjan miał czelność nazwać go po prostu oszustem. Ulotniła się jednak pewność siebie i chociaż strach, że mogą zjawić się ludzie ministra policji Norbana i zabrać go, wkrótce minął, to po tej rozmowie z cesarzem będzie potrzeba tygodni, miesięcy, by odpędzić z myśli wspomnienie owego pierwszego spotkania z Wespazjanem. Powoli uspokoił się wreszcie i wrócił do pracy.

Nazajutrz po rozmowie z Józefem cesarz kazał otworzyć świątynię Janusa na znak, że państwo znowu prowadzi wojnę. Ciężkie odrzwia otworzyły się z hukiem, ukazał obraz boga o dwóch twarzach, boga wojny, boga rozdwojenia — początek jest znany, ale nikt nie zna końca.

Zresztą Rzymianie na razie nie brali wojny z Dakami zbyt serio. Szczerze rozentuzjzmowani stali rzędem wzdłuż drogi, którą cesarz opuszczał Rzym udając się na wyprawę. Wiedział, że jego Rzymianie pragną, by ich godnie reprezentował, jak we mgłę widział przed sobą obraz posągu jeźdźca, którego model pokazał mu rzeźbiarz Basilios, i trzymał się dobrze na koniu.

W głębi ducha cieszył się na to, że wkrótce znajdzie się poza zasięgiem tłumu i będzie mógł wsiąść do lektyki.

Trudno było podczas wojny otrzymywać dokładne wiadomości z placu boju. Z początkiem wiosny meldunki stały się częstsze; były sprzeczne. Potem nadeszła w początkach kwietnia depesza, w której cesarz dokładnie zdawał swemu senatowi sprawę z dotychczasowego przebiegu wyprawy. Zgodnie ze sprawozdaniem, przy pomocy swego dowódcy Fuskusa ostatecznie przepędził barbarzyńskich Daków z terytorium rzymskiego. Król ich Diurpan prosił o zawieszenie broni. Cesarz nie zgodził się na nie, przeciwnie, aby pomścić zuchwałe wtargnięcie na obszar rzymski, polecił Fuskusowi ruszyć na terytorium Daków. W myśl tego rozkazu Fiskus przekroczył Dunaj na czele czterech legionów i wtargnął na ziemię Daków. Wobec tak pomyślnego przebiegu wyprawy cesarz znajduje się w drodze powrotnej do Rzymu.

Jeszcze mniej jasne były nadchodzące w ciągu zimy meldunki z Judei. Władze oświadczały, że doszło tam do „zamieszek”, ale gubernator Pompejusz Longinus wkrótce położył im kres swą mocną, wypróbowaną ręką. Dostojnicy żydowscy, wśród nich również Klaudiusz Reginus, mieli wrażenie, że Cezarea, stolica Judei, usiłuje te sprawy bagatelizować.

Tym większe było zainteresowanie możnych Żydów, kiedy powrócił z Judei Jan z Giskali, który prowadził tam transakcję terenami.

Siedzieli razem, jak wówczas, owego smętnego wieczoru, w mieszkaniu Józefa. Jan opowiadał. Wypadki w Judei potoczyły się tak, jak się tego obawiali. Żadne przestrogi nie pomogły, nie można było powstrzymać Gorliwców. Porwali za sobą większość ludności, przede wszystkim w Galilei niezliczone rzesze nałożyły opaski z bojowym hasłem „Przyjdzie dzień!” Okazało się jednak wkrótce, że dzień wcale nie przyszedł, po paru początkowych zwycięstwach nastąpiła straszna klęska. Gubernator miał dawno upragniony i poszukiwany pretekst do ingerencji, rzucił swych legionistów również i na ten odłam ludności, który zachował się spokojnie.

— Tak, moi mili, zeszlśmy na psy — zakończył Jan gniewnie, posługując się wyrażeniem, którego używano w Judei na określenie ostatecznego dna upadku.

Potem przeszedł do szczegółów. Opowiadał o rzeziach i grabieżach, o spalonych synagogach, o tysiącach ludzi ukrzyżowanych, o dziesiątkach tysięcy wziętych do niewoli.

— Zadanie, które postanowiliśmy wykonać — zreasumował — było równie ciężkie, jak beznadziejne. Nie możecie sobie wyobrazić, jak to człowieka zżera, kiedy musi ciągle komuś faszerować głowę rozsądnymi argumentami, będąc równocześnie całym sercem po jego stronie i mając ochotę paść mu w ramiona. Ci Gorliwcy to zuchy nie lada, a raczej byli nimi do niedawna.

Zamożni, dobrze odżywieni, starannie ubrani wielmoże żydowscy zebrani w bibliotece Józefa słuchali raportu podnieconego Jana i jego gorzkich skarg. Zatopieni w rozmyślaniach uświadomili sobie, że to, co tu słyszą, już kiedyś przeżyli. Najpotworniejsze w tej klęsce było to, że rozbicie na miazgę pierwszego powstania nie nauczyło Judei rozumu, że młodsza generacja poszła na zagładę z taką samą odważną, uroczą, zbrodniczą głupotą, jak piętnaście lat temu.

Wreszcie fabrykant mebli Kajus Barcaarone wyraził w oględnych słowach lęk, który ogarnął ich wszystkich.

— W Judei — powiedział — wszystko skończone. Pytam sam siebie, co się stanie z nami tutaj?

Jan szarpał bródkę szorstką, niezgrabną chłopską ręką.

— Podczas całej podróży dziwiłem się, że pozwolono mi wrócić do domu bez szwanku. Nawiasem mówiąc — dodał gniewnie — zmusili mnie po prostu do zbijania pieniędzy. Nie chcąc zwracać na siebie uwagi, musiałem od czasu do czasu zajmować się interesami, wpychano mi po prostu tereny do rąk. Trzeba wam było widzieć te przetargi, na których licytowano wywłaszczoną lub bezpieczną ziemię! Było to groteskowe i przerażające. Kiedy o tym pomyślę, kiedy wspominam to wszystko, co się w Judei stało, wydaje mi się wprost

nieprawdopodobne, że siedzę zdrów i cały w moim biurze i dalej robię interesy.

— Ja również — rzekł Kajus Barcaarone — budzę się codziennie z uczuciem, że tak dalej być nie może, że dziś rzucą się na nas. Ale faktem jest, że żyjemy, poruszamy się, handlujemy jak dawniej.

— A przy tym Palatyn wie — rozważał Józef — że jestem autorem owego memoriału, i cesarz groził mi już mgliście i złośliwie. Dlaczego nie poddają mnie przesłuchaniu? Dlaczego nie przesłuchują żadnego z nas?

Wszyscy spojrzeli na Klaudiusza Reginusa, jakby wyczekując od niego wyjaśnienia. Minister wzruszył ramionami.

— Cesarz rozkazał czekać na jego powrót. Czy to zły omen, czy dobry, nie wie nikt, prawdopodobnie nawet sam DDD.

Patrzyli nieruchomo przed siebie. Trzeba czekać. Czekać przez wlokący się bez końca szary ranek, szary dzień, szary tydzień, szary miesiąc.

Wkrótce po tym spotkaniu Jan zjawił się u Józefa. Józef był zdumiony tymi odwiedzinami. Kiedyś ci dwaj ludzie zwalczali się zaciekle; z czasem stosunki między nimi jakoś się ułożyły, ale nie stały się nigdy przyjacielskie.

— Chciałbym ci dać pewną radę, rabbi Józefie — rzekł Jan. — Jak ci wiadomo, interesuję się terenami. Wykorzystałem swój pobyt w Judei, by rozejrzeć się nieco w stanie twojej gospodarki. Otóż dochody z twoich posiadłości pod Gazarą są poniżej przeciętnej w porównaniu z dochodami, które dają inne podobne majątki. A dzieje się tak dlatego, że posiadłości te leżą na obszarze czysto żydowskim; Żydzi bojkotują płody twojej ziemi, gdyż nie przebaczyli ci twego zachowania podczas wielkiej wojny. Mówię, jak jest, wypowiadam tylko to, co jest wiadome każdemu. Twój biedny włodarz, nawiasem mówiąc tęgi gospodarz, lamentuje nad tym i biada bez końca. Wyliczył mi, ile mógłby wygospodarować z twoich posiadłości, gdyby były położone w jakimś innym miejscu.

— Ale nie są — odparł Józef z niechęcią.

— Czy nie można by temu zaradzić? — zapytał Jan. Na jego smagłej zuchwałej twarzy pojawił się szeroki, filuterny uśmiech, od którego wystąpiły zmarszczki nawet na zakrzywionym nosie. — Niestety, jak ci mówiłem, wskutek powstania wiele ziemi leży w Judei odłogiem. Oto na przykład: posiadłość Be'er Simlai w pobliżu Cezarei, niedaleko granicy samarytańskiej, a więc w okręgu o ludności mieszanej. Stan bydła i sprzężaju jest gorszy niż w twoich posiadłościach pod Gazarą, ale ziemia znakomita, daje oliwę i wino, daktyle, pszenicę, granaty, orzechy, migdały i figi. Niełatwo znajdziesz drugi taki obiekt, nawet w tych czasach, i twój włodarz piałby z radości, gdyby majątek Be'er Simlai dostał się w jego ręce. Zabezpieczyłem sobie prawo pierwokupu. Oferuję ci majątek Be'er Simlai, mój Józefie.

Bierz go. Przed następnym powstaniem żydowskim nie znajdziesz takiej okazji.

Jan miał rację. Kiedy Wespazjan i Tytus ofiarowali Józefowi ziemię w Judei, dokonał nieszczęśliwego wyboru. Istotnie wlaź w gniazdo os, rada Jana pozbycia się posiadłości pod Gazarą i przeniesienia się w okolicę o ludności mieszanej była rozsądna. Dlaczego jednak Jan właśnie jemu oferował ów majątek Be'er Simlai? Spekulacja terenami przerzuciła się teraz, po wygaśnięciu rozruchów, z Rzymu do Judei, o majątki położone na obszarach zamieszkałych przez ludność mieszaną ubiegają się niewątpliwie tysiące. Dlaczego Jan, do którego tak często odnosił się wrogo, chce mu oddać tak przyjacielską przysługę?

— Dlaczego właśnie mnie oferujesz tak cenną posiadłość? — zapytał tonem, w którym w dalszym ciągu brzmiała niechęć.

Jan spojrział na niego z udaną szczerością.

— Rząd Cezarei — odrzekł — uniemożliwia Żydom, o ile nie cieszą się wyjątkową

protekcją, nabywania posiadłości w obwodach, które nie są czysto żydowskie. Jeżeli teraz wszystkie skonfiskowane tam dobra wpadną w ręce pogan, w ciągu roku Żydzi znikną całkowicie z pewnych okolic. Ten, kto ma w sobie trochę patriotyzmu, musi się temu przeciwstawić. Ty, mój Józefie, ratowałeś Rzym, masz stosunki z Palatynem, tobie rząd Cezarei nie będzie stawiał przeszkód. Jeżeli o mnie chodzi, to wolałbym, żebyś ty otrzymał posiadłość Be'er Simlai niż na przykład taki kapitan Sewer.

— Czy to jedyna przyczyna? — zapytał Józef wciąż jeszcze z tą samą nieufnością. Jan roześmiał się dobrodusznie.

— Nie — przyznał szczerze. — Nie chcę bawić się dłużej w chowanego. Chcę zawrzeć z tobą uczciwy pokój i chcę tego dowieść oddając ci przyjacielską przysługę.

Wyrzuciłeś mi niejedną krzywdę i ja nieraz ci skrzywdziłem. Ale włosy nasze siwieją, zbliżyliśmy się do siebie, a czasy są takie, że ludzie, którzy tyle razem przeżyli, winni podać sobie ręce.

Józef milczał. Jan w dalszym ciągu próbował go przekonać:

— Jesteśmy w tym samym położeniu, mamy te same doświadczenia. Jedynym moim pragnieniem jest wrócić do Judei i hodować oliwki. Mógłbym to zrobić. Ale zadaję sobie gwałt i siedzę w Rzymie, zarabiam strasznie dużo pieniędzy, nie wiem, co z nimi począć, zżera mnie tęsknota za Judeą. Nie jadę tam tylko dlatego, że nie potrafiłbym się opanować, podburzałbym dalej przeciw Rzymowi, a byłoby to beznadziejne i zbrodnicze. Z tobą jest tak samo, mój Józefie. Tęsknisz za Judeą i za nową wojną. Ale obaj wiemy, że jest na to albo za późno, albo za wcześnie. Żywimy obaj tę samą nieszczęśliwą miłość do Judei i do rozsądku, cierpimy obaj przez ten nasz rozsądek. Wiele mi się w tobie nie podoba, ale uważam, że jesteśmy sobie bardzo bliscy.

Pisarz Józef przyglądał się badawczo twarzy chłopca Jana. Wściekle się nawzajem gryźli. Jan uważał Józefa za zdrajcę, Józef miał Jana za durnia. Później, kiedy wojna dawno się skończyła, jeden uważał drugiego za idiotę, ponieważ jeden widział przyczyny wojny w cenach oliwy i wina, a drugi wierzył, że spowodowała ją wyłącznie niezgoda między Jehową a Jowiszem. Teraz zarówno niemądry pisarz, jak i mądry chłop widzieli, że obaj mieli rację i nie mieli jej, że wojnę między Żydami i Rzymianami spowodowały zarówno ceny oliwy i wina, jak i niezgoda między Jehową i Jowiszem.

— Masz rację — przyznał Józef.

— Oczywiście mam rację — zawołał z przekonaniem Jan i ciągnął dalej, z uporem: — Nawiasem mówiąc, i tym razem nie doszłoby do powstania, gdyby uprzywilejowani agrariusze syryjscy i rzymscy w sposób tak nikczemny nie obniżyli cen na produkty zasiedziałej ludności żydowskiej. Inaczej Gorliwcy nie mogliby wywołać w kraju powstania. Ale nie odgrzewajmy starego sporu — przerwał. — Podaj mi lepiej rękę i podziękuj mi. Oferowanie ci bowiem majątku Be'er Simlai jest naprawdę przyjacielską przysługą.

Józef uśmiechnął się; bawiła go rubasność, z jaką tamten ofiarowywał mu przyjaźń.

— Zobaczysz — ciągnął Jan — ile problemów rozwiąże się automatycznie, kiedy zostaniesz właścicielem majątku Be'er Simlai. Nie należy oczywiście do przyjemności udawać się do Gazary, wiedząc, że Żydzi będą wilkiem na ciebie patrzyli. Ale kiedy już osiądziesz w Be'er Simlai, będziesz miał pretekst wobec siebie samego, by od czasu do czasu pojechać do Judei. Nie daj się tylko skusić do osiedlenia się w Judei. Na miłość boską, nie rób tego! Pokusa wdania się w niebezpieczne przedsięwzięcie jest zbyt wielka dla ludzi naszego pokroju. Ale pojechać tam raz na dwa lata, zwłaszcza kiedy masz jakiś pretekst, odpocząć tam po wysiłku, jakim były owe dwa lata, kiedy musiałeś kierować się tylko rozsądkiem, to, powiadam ci, Józefie, dobra rzecz.

Józef ujął toporną rękę tamtego.

— Dziękuję ci, mój Janie — powiedział. W głosie jego było coś z owego blasku, który kiedyś zjednywał serca młodemu Józefowi. — Dasz mi dwa dni do namysłu, dobrze? — poprosił.

— Dobrze — odparł Jan. — Dla omówienia szczegółów przyślę ci mego poczciwego Goriona. Napisz zaraz do swego wóldarza Teodorosa. Gorion będzie się starał wycisnąć coś i dla nas; to słuszne i sprawiedliwe. Ale będę pilnować, żeby nie zażądał od ciebie nadmiernej ceny. A jeżeliby nawet tak być miało, to ostatecznie pieniądze zostaną w żydowskim ręku.

Józef poszedł do Mary.

— Słuchaj, żono moja, Maro — powiedział — muszę ci coś zakomunikować. Sprzedam swoją posiadłość w Judei.

Mara zbladła śmiertelnie.

— Nie przerażaj się, kochana — prosił. — Zamienię ją na inną w pobliżu Cezarei.

— Rezygnujesz z naszej posiadłości wśród Żydów? — spytała — wkupujesz się między pogan?

— Słuchaj! — rzekł Józef. — Wzdrygałem się zawsze przed powrotem do Judei, powody, które ci przytaczałem, były prawdziwe. Ale był jeszcze powód głębszy: nie chciałem mieszkać pomiędzy Lud i Gazarą. Złe jest żyć w Rzymie, na obczyźnie. Ale gorzej jest żyć w ojczyźnie jak obcy. Nie zniósłbym tego, żebym mieszkając w Gazarze uważany był przez Żydów za Rzymianina.

— A więc wracamy do Judei? — zapytała Mara rozpromieniona.

— Nie teraz i nie za rok — odpowiedział Józef. — Wrócimy, kiedy ukończę swe dzieło.

Jan przywiózł Józefowi książkę, wydaną owej powstańczej zimy w Judei przez nieznanego autora.

— Uznasz może tę książkę za nieco prymitywną, mój Józefie — powiedział — ale mnie się podoba, zapewne dlatego, że sam jestem prymitywny. Wszyscy ludzie w Judei byli rozentuzjasmowani tą bohaterską opowieścią. Od czasu twojej książki o Makabeuszach żadna książka nie zdobyła w Judei takiego powodzenia.

Józef przeczytał książkę. Fabuła była nieprawdopodobna, chwilami wręcz dziecinna, drobny utwór niewiele miał wspólnego ze sztuką. Mimo to poruszył go; rozpałił go również fanatyzm tej księgi Judyty. Ach! jakże zazdrościł nieznanemu autorowi. Napisał tę opowieść nie dla zaszczytów, zapewne również nie ze względu na samo dzieło, lecz po prostu, żeby dać upust swej gorącej nienawiści do ciemnych. „Zabijajcie wrogów, gdziekolwiek ich napotkacie — głosił. — Postępujcie tak, jak owa Judyta. Podstęp, odwaga, upór, okrucieństwo — każda broń jest dobra. Odrąbcie łeb temu pyskatemu poganinowi, to służba boża. Trzymajcie się praw uczonych w Piśmie i bijcie wrogów! Słuszność jest po stronie tych, co służą Bogu. Zwycięzycie!” Autor książki o Judycie musiał być człowiekiem bardzo młodym, wierzącym i naiwnym. Życie jego i śmierć są godne zazdrości. Nie ulega bowiem wątpliwości, że zginął. Z pewnością nie siedział w domu, lecz bił wrogów i zginął z wiarą na ustach i w sercu. Tylko człowiek taki jak on mógłby brać sprawę tak po prostu, patrzeć na nie z taką wiarą. Nie ma nic wspanialszego niż lud Izraela. Mężowie jego są dzielni, niewiasty piękne. Judyta to najpiękniejsza niewiasta na ziemi, ani ona, ani jej autor nie wąpili na chwilę, że marszałek wielkiego króla na jej widok zapomni o wojnie. W ogóle żadna wątpliwość nie nawiedziła autora tej książki. Wszystko jest w nim mocne jak skała, wie dokładnie, co słuszne, a co nie. Czym jest pobożność? Trzymaniem się praw i zasad uczonych w Piśmie. Czym jest bohaterstwo? Biciem wroga na głowę. Każdy krok w każdej sytuacji jest przewidziany.

A mimo to jaka to porywająca książka. Nikt nie zapomni tego, jak Judyta powraca w

tryumfie z odrąbaną głową i siatką chroniącą od komarów. O błogosławiona żarliwości poety!
„Biada ludom, które powstają przeciw memu rodowi. Wszechmocny poskromi ich w dniu sądu, wsączy w ich ciało ogień i robactwo, że będą po wieki wieków wyli w boleściach.”

Komuż wolno było tworzyć tak jak temu poecie! Dla Józefa nie było to takie proste. Oto owa bohaterska niewiasta z zamierchłego prabytu jego ludu, Jael, która wbija gwóźdź w skroń śpiącego wroga. Ta Jael wraz z prastarym, dzikim śpiewem jej poetki Debory służyła niewątpliwie za prawzór owej Judyty. Józef wspominał również o niej w swym dziele historycznym. Jak się wysiłał, żeby pozostać trzeźwym i rozsądnym, jak się poskramiał, jak powściągał swój entuzjazm! Żeby człowiek choć raz mógł sobie pofolgować jak ów młody poeta! Czyta i czyta małą książeczkę, która wlewa mu ogień w krew. Powstanie załamało się, ale ta książka pozostanie.

W kilka dni później spotkał Justusa. Czytał on również książkę o Judycie.

— Jakaż to prymitywna, sztuczna ramota! Naród, który się entuzjazmuje taką bezmyślną bajką, zasłużył na tych swoich Gorliwców, na tych swoich Rzymian, na tego gubernatora Longina, na tego Domicjana. Jakiż to zacny autor! Jaka cnotliwa jest jego Żydówka; nawet nie każe jej spać z niedobrym Holofernesem. Autor oszczędza jej tego, Judyta już przedtem osiąga zamierzony cel. Jak sprawiedliwie Jehowa w ujęciu tego autora wynagradza dobro, karze zło. Wyobraź sobie tylko, mój Józefie, jakby się na miejscu Holofemesa zachował rzeczywisty gubernator rzymski albo nawet tylko rzeczywisty rzymski feldfebel. Przychodzi do niego taka Judyta w towarzystwie służebnej, która niesie za nią jadło, oczywiście pieczołowicie przyrządzone według przepisów rytualnych rabbich, żeby broń Boże w namiocie wroga nie była zmuszona zjeść czegoś zakazanego. Wpuszczają ją natychmiast, jakżeby mogło być inaczej, ponieważ jest taka piękna. Marszałek nie ma do dyspozycji pięknych kobiet, czekał na przybycie Żydówki. Kiedy Judyta się zjawia, nie tylko z miejsca zapomina o wojnie, lecz upija się, ściśle tak, jak było przewidziane, i nie tyka równie cnotliwej, jak pięknej Żydówki. Kładzie się po prostu i pozwala, by mu odrąbała głowę. Po czym wszystkie legiony niezwłocznie rzucają się do ucieczki. Tak, w ten sposób nasi Gorliwcy wyobrażają sobie Rzymian, w ten sposób wyobrażają sobie świat.

Tak zganił książkę o Judycie Justus pełen wyniosłej goryczy i szyderczego poczucia wyższości. Józef nie mógł zaprzeczyć, że krytyka jego celnie godziła w słabe strony, które stanowiły siłę poety, książka nie była przez nie gorsza, Józef miał przed oczyma Judytę wielką i wyniosłą, widział ją, jak przynosi Żydom głowę Holofemesa i mówi: „Patrzcie, oto głowa Holofemesa, wodza Asyryjczyków, patrzcie, oto siatka chroniąca od komarów, pod którą leżał pijany.”

Józef miał uczucie, że powinien książkę i zmarłego poetę obmyć z szyderstwa Justusa, zaniósł ją żonie swej Marze.

Mara czytała. Oczy jej lśniły, postać jej wyprostowała się, rzekłbyś, odmłodziła. Nucila pieśń Judyty: „Potężny wróg nie padł z ręki młodzieńców, nie powalili go synowie olbrzymów; zniszczyła go Judyta, prosta kobieta, przez piękność swego oblicza.” Ach, jakże Mara żałowała, że jest w Rzymie, a nie w Judei.

Upraszczała książkę opowiedziała dzieciom historię Judyty. Dzieci zaczęły się bawić, odgrywać tę scenę. Jalta była Judytą, Mateusz Holofemesem, Jalta wyciągnęła z kosza główkę kapusty i zapiszczała tryumfalnie:

— Popatrz, to głowa Holofemesa, wodza Asyryjczyków! Widząc to Józef nie wiedział, czy nie popełnił błędu, wzniecając, w niewinny wprawdzie sposób, niebezpieczny ogień. Potem jednak uśmiechnął się, rozczulony entuzjazmem Mary.

Tymczasem ludność żydowska w Rzymie przeżywała szare dni i tygodnie. Cesarz jechał

bowiem powoli, nie dawał w dalszym ciągu żadnych poleceń, kazał im czekać.

Na razie nie wydano przeciw ludności żydowskiej w Rzymie żadnych szczególnych zarządzeń. Przestrzegano jedynie jak najsurowiej wydanych już ustaw o Żydach. Na przykład pogłównie, które Żydzi uiszczali jako opłatę nadzwyczajną, ściągano z pedanterią i szykanami. Każdy Żyd musiał udawać się osobiście do kwestora i wpłacać owe dwie drachmy, które niegdyś wpłacał na Świątynię w Jerozolimie, a które teraz rząd, jakby na kpiny, przeznaczał na utrzymanie świątyni Jowisza na Kapitolu.

Poza tym tryb życia Żydów, trzymanie się obyczajów i nabożeństw pozostały nienaruszone. Z prowincji dochodziły wieści, że tu i owdzie ludność, wykorzystując wrogię Żydom nastroje, próbowała wywołać pogromy. Ale władze natychmiast interweniowały.

Wreszcie cesarz przybył do Rzymu. Był jasny, niezbyt skwarny dzień czerwcowy, senat i lud witał go wraz z żołnierzami, którzy kochali swego hojnego wodza, powracającego władzę; wojska, uczestniczące w tej wyprawie, po raz czternasty oddawały Domiejanowi hołd jako imperatorowi. Wiosna w Rzymie była w tym roku piękna i świąteczna. Pełno było radości i blasku, wielkie miasto, tak często złowrogie, zacięte i ponure, stało się jasne, dobroduszne, wesołe.

Ale nad Żydami zawisła jakby chmura. Choć gnębiło ich zburzenie Świątyni, mogliby teraz, po upływie kilkudziesięciu lat, żyć względnie bezpiecznie, gdyby nie ci przekłęci Gorliwcy, którzy swym głupim fanatyzmem raz po raz ściągali nieszczęście na cały naród żydowski. Musieli za to straszliwie zapłacić. Ale co się stanie z nimi, z niewinną ludnością żydowską Rzymu?

Nic się Żydom w Rzymie nie stało, nadal panował spokój.

— Cesarz nigdy nie mówi o was ani słowa, ani za wami, ani przeciwko wam — informował swych przyjaciół Żydów Klaudiusz Reginus.

— Cesarz nigdy nie wypowiada się przeciw wam — zapewniał ich również Juniusz.

Ale Jan z Giskali powtarzał:

— Czuję pismo nosem. On coś szykuje. Coś się gotuje w duszy Domicjana.

Oczywiście, mój Marullu i Reginie, Domicjan nie mówi o Żydach, może sam jeszcze nie wie, że się w jego duszy coś dzieje. Ale ja, Jan syn Lewiego, chłop z Giskali, który przeczuwa, jeśli któregoś roku zima nadchodzi wcześniej niż zazwyczaj, wiem o tym z całą pewnością.

Ten sam okręt z Judei przywiózł Dorion i Fineaszowi listy od Pawła. Młody oficer opowiadał kwieciście, z naiwną radością, jak to gubernator Longin nie szczędzi wysiłków, by oczyścić kraj. Z podnieceniem donosił o częstych niewielkich ekspedycjach karnych przeciw rozproszonym niedobitkom Gorliwców.

Fineasz i Dorion pokazali sobie nawzajem otrzymane listy. Oboje byli radzi, że zuchwali Żydzi zostali poskromieni, ale oboje zmartwili się, że delikatny, wysmukły, elegancki Paweł, ich Paweł, opowiada z tak widoczną radością o nieodzownych okrucieństwach, że się tak szybko dostosował do żołnierskiego trybu życia.

— Nie traktuje Żydów jak ludzi — biadała Dorion — lecz jak szkodliwe zwierzęta, które nadają się tylko na cel sportowych polowań. Czy zauważyłeś, mój Fineaszu, Paweł uważa, że życie w Judei jest „zabawne”. Użył nawet greckiego określenia.

— A więc moje lekcje na coś się przydały — powiedział gniewnie Fineasz. — Nie, te listy nie są pocieszające. — Zwiesił wielką, chorobliwie bladą głowę, jak gdyby chudemu korpusowi ciężko ją było dźwigać; ze swymi cienkimi, zwisającymi, nadmiernie długimi rękami wyglądał żalcznie.

— Nie potrafilibyśmy go przecież utrzymać przy sobie na dłuższą metę — powiedziała Dorion, siląc się na obojętność. — Zawsze byłby się nam wymknął. Mimo wszystko lepiej jest

być Rzymianinem niż Żydem. I nie miała to pociecha, że Józef cierpi z tego powodu jeszcze bardziej niż my. — Jej leniwy głos brzmiał twardo, kiedy mówiła o tym znieawidzonym i ukochanym człowieku. — Jego Judea zginęła ostatecznie, syn mój pomógł mi w tym, żeby ją zdeptać. — Ożywiła się, tryumfowała.

Fineasz spojrział na nią zdziwiony.

— Czy Judea zginęła? Sądysz, Dorion, że tak szybkie pokonanie Gorliwców było dla Józefa niespodzianką? Sądysz, że Judea i Gorliwcy to jedno i to samo?

— Przyznaję — powiedziała Dorion — że ten list Pawła zranił mi serce. Zostaw mi choć tę pociechę, że Józef jeszcze 'boleśniej został ugodzony. To, co się stało w Judei, musi godzić w niego mocniej, niż w nas godzą te listy Pawła. — Spoglądała na Fineasza niemal lękliwie oczyma koloru morza.

— Jesteś za mądra, pani moja Dorion — odpowiedział Fineasz głębokim, dźwięcznym głosem — by się pocieszać złudzeniami. Wiesz doskonale, że Judea Józefa nie ma nic wspólnego z rzeczywistą prowincją Judea. Toteż Józefa wcale o to głowa nie boli, jak sobie teraz Paweł i jego kamraci poczynają w tej rzeczywistej Judei. Wierzaj mi, że jego Judea jest czymś abstrakcyjnym, nieosiągalnym ani ogniem, ani mieczem. Jest obłąkany jak wszyscy Żydzi. Nie dalek jak wczoraj rozmawiałem z kapitanem Bebiuszem, który swego czasu uczestniczył w bitwie pod Sebaste. Potwierdził mi, jak zresztą wielu innych poprzednio, że widział na własne oczy, jak Żydzi podczas tej bitwy rzucali broń. Brzmi to niewiarygodnie i sami świadkowie naoczni nie dawali temu wiary przez długi czas. Przebieg bitwy bowiem nie był dla Żydów niepomyślny, przeciwnie, mieli przewagę, byli o krok od zwycięstwa. Rzucali broń po prostu dlatego, ponieważ ich uczeni w Piśmie zabronili im walczyć w sabbat, a sabbat ów się właśnie rozpoczął. Jakże chcesz, żeby to, co się teraz dzieje w Judei, w nich godziło? Rzecznikiem ich i pisarzem jest Flawiusz Józef.

— Ta bitwa pod Sebaste, o której mówisz, Fineaszu — rzekła Dorion — to było bardzo dawno temu. Opowiadał mi o niej Józef, na samo jej wspomnienie poblądł z gniewu. To się nigdy więcej nie powtórzyło, to należy do historii, minęło 'bezwrotnie.

— Może — zgodził się Fineasz — prawda, teraz walczą nawet w sabbat. Przyjrzyj się Żydom tu w Rzymie. Wielu dochrapało się wysokich stanowisk, są bogaci, zostali podniesieni do stanu szlacheckiego, są wśród nich dziesiątki tysięcy ambitnych, którzy marzą o tym, by zdobyć pozycję towarzyską. Nie mogą jednak tego osiągnąć, gdyż są Żydami, a więc pomimo tolerancyjnych ustaw są poza nawiasem towarzystwa. Dlaczego, na Zeusa, ci bogaci Żydzi nie wyrzekną się swego judaizmu? Wystarczyłoby, żeby złożyli ofiarę posągowi cesarza flawijskiego albo jakiemukolwiek bogu, a pozbyliby się tej najgorszej przeszkody. Czy wiesz, ilu z osiemdziesięciu tysięcy tutejszych Żydów tak postąpiło? Jako człowiek ciekawy ustaliłem dokładnie liczbę. Wiesz, moja Dorion, ilu wyrzekło się judaizmu? Siedemnastu na osiemdziesiąt tysięcy. — Wstał, jasnoniebieska szata wydłużała jeszcze chudą, wysoką postać, wyciągnął głowę, podniósł znacząco długą, cienką rękę. — Czy myślisz, pani moja Dorion, że można zachwiać ludźmi tego pokroju, nawet jeżeli się zabije parę tysięcy spośród nich? Czy myślisz, że się ugodzi w serce naszego Józefa, jeżeli się poszczuje na Gorliwców Pawła i jego legion?

— Powiedziałeś naszego Józefa — rzekła Dorion — i masz rację. To nasz Józef. Wiąże nas jednaka do niego nienawiść. Życie byłoby uboższe, gdybyśmy nie mieli tej nienawiści. Dlaczego jednak mówisz mi to wszystko? Dlaczego wypowiadasz tak jasno i tak beznadziejnie, że pomimo środków, którymi rozporządzamy, nie możemy go osiągnąć?

Fineasz wyprostował swą chudą postać, przez co wydawał się jeszcze wyższy, wspiął się na palcach w swych srebrnych trzewikach i stał tak przez chwilę; w głosie jego zabrzmiała nuta tryumfu przepojonego nienawiścią.

— Znalazłem odpowiedni sposób — powiedział — jedyny.
— Sposób pokonania Józefa i jego Żydów? — zapytała Dorion; szczupła, delikatna, przechyliła się w stronę Fineasza, wysoki, cienki głos drżał z podniecenia. — Cóż to za sposób? — spytała.

Fineasz napawał się jej wzburzeniem. Po czym oznajmił z udaną oschłością:

— Należałoby zniszczyć, unicestwić ich Boga. Należałoby unicestwić Jehowę.

Dorion zamyśliła się głęboko. Po chwili rzekła zawiedziona:

— To tylko słowa.

Fineasz, udając, że tego nie słyszy, ciągnął dalej:

— Można to na pewno osiągnąć jedną jedyną drogą. Proszę, posłuchaj mnie, pani moja Dorion. Rzymianie rozbili państwo Żydów, ich wojsko, policję, ich świątynie, sądownictwo, suwerenność, ale religii podbitych, ich życia kulturalnego nie tknęli w swej dumnej tolerancji. Pozostawili Żydom ich małą akademię; to gniazdo nazywa się Jawneh, na prośby Żydów wyposażyli akademię w kilka niewinnych przywilejów. Kolegium w Jawneh jest najwyższym autorytetem w sprawach religii i wolno mu dokonywać jakiegoś umownego wymiaru sprawiedliwości. Proszę słuchać dalej, moja Dorion. Gdyby nasi rzymscy panowie byli naprawdę mężami stanu, jak to sobie wyobrażają, od samego początku przejrzeliby, jak wygląda sprawa tego kolegium w Jawneh, i wtedy zdeptaliby butami tę niewinną akademię. Gdyby bowiem nie było tego w Jawneh, nie byłoby już Jehowy, nie byłoby buntujących się Żydów, byłby koniec z naszym Józefem, z jego judaizmem, jego księgami i jego nieznośną pychą.

Z namysłem i szyderstwem, ale z takim szyderstwem, które chętnie dałoby się przekonać, że nie ma racji, Dorion odparła:

— Zachowujesz się, mój Fineaszu, jak gdybyś znał dusze Żydów co najmniej równie dobrze jak ulice Rzymu. Czy nie zechciałbyś wytłumaczyć mi nieco jaśniej, dlaczego właśnie twoje Jawneh ma tak doniosłe znaczenie?

— Chętnie — zaczął Fineasz prawić ze spokojem zwycięzcy. — Nigdy bym się nie ośmielił mówić przed tobą, pani, z taką pewnością o mojej metodzie pokonania Józefa i jego Żydów, gdybym się przedtem nie upewnił, jaki to ma związek z Jawneh. Wypytywałem osoby kompetentne, urzędników i oficerów administracji wojsk okupacyjnych w Judei, przede wszystkim gubernatora Salwidena, porównałem dokładnie wypowiedzi tych ludzi. Sprawa wygląda tak: to śmieszna akademія, nie ma żadnej władzy i nie dąży do niej. Jest naprawdę tylko małą, śmieszna szkołą teologów. Ale w całej prowincji nie ma Żyda, który by na akademię nie uiszczał pewnej sumy, ściśle określonej wedle jego mienia, nie ma również Żyda, który by się nie podporządkował decyzjom tej uczelni. Trzeba pamiętać, że czynią to dobrowolnie. Autorytet państwa uznają pod przymusem, ale większym, dobrowolnie uznanym autorytetem jest dla nich Jawneh. Sporów swoich, nie tylko religijnych, ale i cywilnych, nie wnoszą przed sądy cesarza, lecz przed sąd rabbich w Jawneh, których wyrokom się poddają. Zdarzało się, że owi rabbi skazywali oskarżonych na śmierć; niektóre takie wypadki wydają mi się wiarygodne, były to dyskusje akademickie, spory czysto teoretyczne, nie obowiązujące. Czy uwierzysz jednak, pani moja, co robili Żydzi skazani na śmierć? Umierali, naprawdę umierali. Opowiadał mi to gubernator Salwiden, potwierdzili sędzia Nerwiusz i kapitan Opiter. Nie mogłem ustalić, w jaki sposób ci Żydzi umierali, czy sami się zabijali, czy ich zabijano. Jedno jest tylko pewne, że wystarczyło, by się udali pod ochronę Rzymian, a' mogliby nadal żyć radośnie, nie ukrywając się. Woleli jednak umrzeć.

Dorion milczy. Siedzi odrętwiała, nieruchoma, smagła i szczupła, przypomina jakiś stary, surowy, kanciasty portret egipski.

— Powiadam ci, pani moja Dorion — mówił dalej Fineasz — że ta akademія w Jawneh

stała się twierdzą judaizmu, bardzo mocną, twierdzą mocniejszą, niż była nią Jerozolima z jej Świątynią, jest chyba najsilniejszą twierdzą świata. Niewidoczne jej mury są trudniejsze do zdobycia niż najwymyślniejsza brama naszego specjalisty od budowy fortyfikacji, Frontina. Nie wiedzą tego rzymscy panowie, nie wie gubernator Longin, nie wie cesarz. Wiem jednak ja, Fineasz, ponieważ nienawidzę Józefa i jego Żydów. Ta mała, dziecinna akademia w Jawneh ze swoimi siedemdziesięciu jeden uczonymi rabbi jest punktem centralnym prowincji Judea. Ona to, nie pałac gubernatora w Cezarei, rządzi Żydami. Gdyby naszego Pawła jeszcze trzykrotnie poszczuto na Żydów, gdyby zabito sto tysięcy Gorliwców, na nic się to nie zda. Judea żyje dalej, żyje w akademii Jawneh.

Dorion słuchała z napięciem. Jej zuchwałe usta, nieco za szerokie w stosunku do delikatnej, dumnej twarzy, były na pół otwarte, ukazując małe ząbki, oczy jej zawisły na wargach Fineasza.

— Jesteś więc przekonany — zreasumowała powoli, ważąc każde słowo — że akademia w Jawneh to centrum żydowskiego oporu, inaczej mówiąc, dusza judaizmu. —

Dorion wyglądała słabowicie; kiedy to jednak rozważała, jej wąska, ciemna głowa, wysokie czoło, wydatna kość nosowa, szeroki nos i na pół otwarte usta miały wyraz twardy, zaczepny, nawet groźny. — A ugodzić i unieszkodliwić judaizm i Józefa można tylko wtedy — reasumowała dalej — kiedy się zburzy akademię w Jawneh.

Fineasz usiłując ukryć radosne, przepojone nienawiścią podniecenie potwierdził swym głębokim, dźwięcznym głosem:

— Kiedy się ją zburzy, zniszczy, zdepcze nogami, zrówna z ziemią.

— Dziękuję ci, Fineaszu — powiedziała Dorion.

Akademia w Jawneh, którą niewielu w Rzymie znało choćby z imienia, stała się nagle ulubionym tematem rozmów. Spierano się gwałtownie, czy naprawdę krnąbrność prowincji Judea ma swe źródło w Jawneh.

Krażyły mętne pogłoski o nieopisanym nieszczęściu, które ma spaść na cały naród żydowski. Podobno to, co Rzym zdaje się planować, będzie gorsze od wszystkiego, co sobie wyobrażają najbardziej trwożliwi, będzie najstraszliwszym z okropieństw. Do tej pory wrogowie atakowali Żydów fizycznie, napadali na ich ziemię, dobytek i państwo.

Zniszczyli państwo Izraela, państwo Judy oraz Świątynię

Salomona. Wespazjan zniweczył drugie państwo, a Tytus świątynię Makabeuszy i Heroda. To, co planował trzeci Flawiusz, sięgało głębiej, było wymierzone w duszę judaizmu, w Pismo, w naukę. Uczeni rabbi byli głosicielami i strażnikami tej nauki. Jedynie kolegium z Jawneh

ustrzegło ją, by się nie rozplynęła i nie znikła w niebie, skąd pochodzi. Nauka stanowiła więź wewnętrzną, z chwilą zagrożenia kolegium zagrożona była również nauka, stanowiąca serce i sens judaizmu.

Dotychczas znajdowali się jednak zawsze wielcy i mądrzy mężowie, którzy potrafili uratować naukę. I teraz oczy wszystkich skierowały się na człowieka, który stał na czele kolegium i akademii w Jawneh, na czcigodnego rabbi., arcykapłana Gamaliela.

Arcykapłan był wysłannikiem Jehowy na ziemię, głową Żydów nie tylko prowincji Judei, ale całego świata. Zadania jego były ciężkie i różnorodne. Miał reprezentować przed Rzymianami swój naród i naukę, miał godzić sprzeczne poglądy swoich rabbich. Pozbawiony zewnętrznych atrybutów władzy, winien był strzec przed masami autorytetu Zakonu żydowskiego. Stanowisko jego wymagało energii, taktu oraz szybkich decyzji.

Gamaliel, urodzony i wychowany na władcę, odziedziczył w bardzo młodym wieku godność nie koronowanego króla Izraela; obecnie miał zaledwie lat czterdzieści. Ostał się w

walce przeciw gubernatorom Silwie, Salwidenowi, Longinowi. Potrafił sterować nauką między tymi, którzy chcieli, by się rozplynęła w mądrości Greków, i tymi, którzy pragnęli, żeby znalazła ujście w światowym mesjanizmie. Rozumnymi, ostrymi cięciami oddzielił Zakon z jednej strony od ideologii hellenistów, z drugiej od ideologii nazareńczyków. Osiągnął cel, do którego dążył stary Jochanan ben Zakkai, założyciel kolegium w Jawneh. Zabezpieczył jedność Żydów przez rytuał, którego nie można było ani interpretować, ani naginać. Zastąpił autorytet utraconego państwa przez autorytet tradycji i nauki. Wielu nienawidziło Gamaliela, niektórzy kochali go — wszyscy mieli dla niego szacunek.

Zorientował się od razu, że decyzja o losie Jawneh, a przez to i judaizmu, nie zostanie powzięta przez gubernatora w Cezarei, lecz w Rzymie, przez samego cesarza. Gamaliel nosił się od lat z zamiarem udania się do Rzymu i przedłożenia cesarzowi sprawy swego ludu. Ale rytuał •wzbraniał podróżowania w sabbat i jako strażnik tego rytuału nie mógł udać się w podróż, gdyż byłby zmuszony znajdować się na morzu i w sabbat. Zastanawiał się, czy nie zapytać swego kolegium, czy w tym wypadku, kiedy zarówno nauka, jak cały naród żydowski znalazły się w niebezpieczeństwie, nie można by sobie pozwolić na pogwałcenie sabbatu, tak jak w czasie bitwy na przekroczenie granic. Ale mędrcy debatowaliby nad tym lata. Zmuszony koniecznością arcykapłan, nie obawiając się szemrania, postąpił despotycznie, wyznaczył kilku rabbich jako swoją eskortę i w siedmiu — siódemka była świętą cyfrą — wsiedli na pokład statku płynącego do Rzymu.

Pojawił się w Rzymie z wielką pompą. Jan z Giskali znalazł dla niego odpowiedni pałac. Mieszkali w nim kiedyś król żydowski Agryppa oraz księżniczka Berenika i przyjmowali tam hołdy rzymskich patrycjuszów. Teraz osiadł tu czcigodny rabbi ze swym dworem.

Z tego pałacu w Rzymie rządzony był obecnie naród żydowski na całym okręgu ziemi. Gamaliel nie robił wiele szumu dokoła siebie i swoich spraw. Nie wydawał wspaniałych przyjęć, zachowywał się uprzejmie i skromnie. Mimo to sprawiał wrażenie dostojne, królewskie. Tu w Rzymie okazało się nagle, że naród żydowski, choć politycznie obezwładniony, jest nadal czynnikiem grającym rolę w świecie. Senatorowie, artyści i pisarze tłoczyli się do Gamaliela.

Jeżeli chodzi o Domicjana, to nie dawał znaku życia. Zgodnie ze zwyczajem, rabbi Gamaliel zameldował się na Palatynie i poprosił marszałka dworu Kryspina, by wolno mu było złożyć cesarzowi w imieniu Żydów czołobitność oraz wyrazić głęboki żal z powodu szaleństwa tych, którzy mieli odwagę podnieść rękę na jego wojska.

— Chce tego naprawdę? — zapytał cesarz i uśmiechnął się. Ale nic nie zadecydował i nie mówił już więcej o czcigodnym rabbi ani z zaufanymi doradcami, ani z Lucją, ani z Julią, ani z nikim. Nie powiedział również ani słowa o kolegium w Jawneh.

Tym bardziej interesowała obecność w Rzymie Gamaliela księcia Flawiusza Klemensa i jego żonę Domicyllę.

Wśród nazareńczyków w Rzymie, którzy, nawiasem mówiąc, coraz częściej nazywali się chrześcijanami, przybycie Gamaliela wywołało wielkie poruszenie. Jakub z Sekanii, ich przywódca, tłumaczył księciu, swemu protektorowi, że każde pojawienie się Gamaliela, gdziekolwiek ono nastąpi, kryje w sobie niebezpieczeństwo dla chrześcijan oraz ich nauki. Zmuszając w złośliwy sposób, by w modlitwie przeklinali samych siebie, Gamaliel wypędził z ich wspólnoty chrześcijan, którzy chętnie byliby pozostali Żydami, oraz podzielił judaizm na naukę starą i nową.

Księżę Klemens słuchał z uwagą. Był o dwa lata starszy od cesarza, ale wyglądał młodziej. Nie miał wydatnego podbródka Flawiuszów, miła twarz o bladoniebieskich oczach i popielatoblond włosach miała wyraz chłopcicy. Domicjan chętnie się z niego naśmiewał, twierdząc, że jest upośledzony na umyśle. Tymczasem Klemens tylko myślał powoli. I dziś

chciał, żeby mu wytłumaczono, jaka jest właściwie różnica między starą nauką żydowską i nauką chrześcijan. Choć pytał o to już po raz trzeci czy czwarty, Jakub z Sekanii cierpliwie udzielał mu wyjaśnień.

— Gamaliel twierdzi — powiedział — że nie jesteśmy Żydami, ponieważ wierzymy, że Mesjasz już się pojawił, a wiara taka jest negacją zasad naszej wiary. Ale nie w tym leży główna przyczyna. Głębsza przyczyna tkwi w tym, że Gamaliel chciałby, żeby nauka była naga, uboga i przejrzysta. Wierni jego mają być jednym wielkim stadem, którego można łatwo i wygodnie dopilnować. Dlatego ogrodził naukę murem, którym jest rytuał.

Po tym skromnym, gładko wygolonym człowieku, o wyglądzie bankiera albo adwokata, nie znać było, że tego rodzaju kwestie pochłaniają niemal wyłącznie jego uwagę.

— Nie odrzucamy bynajmniej rytuału — ciągnął da

lej. — Występujemy tylko przeciw pretensjom rabbi Gamaliela, że rytuał zawiera w sobie całą prawdę. Jest to bowiem tylko prawda połowiczna, a prawda połowiczna, która udaje, że jest całą prawdą, to gorsze od najgorszego kłamstwa. Świętym obowiązkiem każdego prawdziwego sługi Jehowy jest głosić ducha Jehowy wśród wszystkich ludów, a nie tylko wśród Żydów. Ale Gamaliel przemilcza to; nie tylko przemilcza, ale kwestionuje tę zasadę. Kiedy kilka lat temu Tytus na mocy ustawy Antysta zabronił obrzezania tych, którzy nie są Żydami, stanęliśmy przed pytaniem: „Czy mamy zrezygnować z tej zewnętrznej oznaki judaizmu, jaką jest obrzezanie, czy też z jego światowej misji, z rozpowszechniania nauki?” Czcigodny rabbi opowiedział się za obrzezaniem, za rytuałem, za nacjonalizmem. Ale my, chrześcijanie, wolimy zrezygnować z obrzezania, chcąc, by cały świat stał się ziemią Jehowy. Gamaliel wie, że w gruncie rzeczy jesteśmy lepszymi Żydami, Bóg bowiem obdarzył go przenikliwym rozumem i wiedzą. Ponieważ opowiedział się za tym, co złe, nienawidzi nas i szczuje was, Rzymian, przeciwko nam. Twierdzi, że nasza gorliwość w nawracaniu jest przyczyną wiecznych sporów między Rzymem a Żydami.

— Wy jednak — wtrącił książę Klemens — naprawdę głosicie waszą wiarę na wszystkich rogach ulic.

— Czynimy to — przyznał Jakub. — Ponieważ rabbi Gamaliel w swej zachłanności chciałby mieć Jawneh wyłącznie dla siebie i swoich Żydów, naszym obowiązkiem jest nie opuszczać tych, którzy łakną prawdy. Czy miałbym może powiedzieć, mój książę: „Nie, nie wolno ci wyznawać wiary Jehowy, dla ciebie Mesjasz nie umarł”? Czy miałbym ukryć przed tobą prawdę tylko dlatego, że ustawa zabrania ci obrzezania?

Jakub z Sekanii mówił dobrze. Głębokie przekonanie dodawało ognia jego spokojnie wypowiedzianym słowom, niebieskoszare fanatyczne oczy księżniczki Domicylli nie odrywały się ani na chwilę od jego warg. Ale należała do rodu Flawiuszów i była nieufna.

— Skoro macie prawdziwego Jehowę — powiedziała — to dlaczego Żydzi lgną do czcigodnego rabbi Gamaliela, a nie do was?

Jakub odpowiedział:

— Wśród Żydów jest coraz więcej takich, którzy zaczynają rozumieć, o co chodzi. Zobaczyli oni, że uczeni w Piśmie chcą spleść nierozzerwalnie Jehowę i państwo. To jednak, że Jehowa pozwolił rozbić państwo, że dopuścił również do stłumienia ostatniego powstania, jest dowodem, że nie chce, by to państwo istniało, i coraz więcej Żydów to rozumie. Coraz więcej Żydów przechodzi do nas. Nie chcą już państwa, chcą tylko Boga. Odwracają się od owej zawikłanej obłudy rabbich, którzy dążą do tego, by państwo zmartwychwstało w postaci rytuału. Rytuał ten jest bowiem tylko sztuczną osłoną, za którą tkwi stare państwo kapłańskie.

Wypowiedziane z takim przekonaniem słowa Jakuba poruszyły Domicyllę, ale niebawem pospieszyła przerzucić się od abstrakcji do spraw bliższych, do Rzymu dnia dzisiejszego, i zapytała rzeczowym tonem:

— A więc w tym rabbi Gamalielu widzicie swego najbardziej niebezpiecznego przeciwnika?

— Tak — odparł Jakub. — Jest to odwieczna wrogość kłamstwa i prawdy. My mamy Jehowę proroków, Jehowę, który jest Bogiem całego świata. Gamaliel ma Jehowę sędziów i królów, bitew i podbojów, pozostałość bożka Baala, który nie przestał istnieć w Judei. Gamaliel to człowiek rozsądny i dobrze ukrywa swego Baala. Ale służy swemu Baalowi, nienawidzi nas i prześladuje, jak to zawsze czynili w stosunku do prawdziwych sług Jehowy pachołkowie Baala.

— Sądysz więc — zapytała Domicylla trzymając się z pedanterią konkretów — że ten uczony rabbi wykorzysta swój pobyt w Rzymie, żeby wam szkodzić?

Uczyni to oczywiście — odparł Jakub. — Rzucając na nas podejrzenie, będzie usiłował w ten sposób ratować swoją akademię w Jawneh oraz swój rytuał. Będzie się starał skierować na nas niechęć cesarza. Zawsze posługiwał się podobnymi środkami. On i jego Żydzi to niewinne baranki, a my jesteśmy buntownicy i podżegacze. Nawracamy żarliwie, chcemy odciągnąć Rzymian od Jowisza i skierować ich ku Jehowie. W Cezarei znajdował często posłuch u gubernatora dla tych argumentów, dlaczegóż więc nie miałby spróbować przekonać nimi cesarza?

— Znam go — powiedziała Domicylla — znam również tamtego. — Znowu nazwała tamtym swego stryja cesarza. — Znam tamtego — ciągnęła dalej chuda, sucha, fanatyczna młoda kobieta. — Niewątpliwie chce bronić Jowisza, swego Jowisza, takiego Jowisza, jakim go rozumie. Niewątpliwie zamierza zadać cios Jehowie. Zanim uderzy, zawsze się długo ociąga i, jak sędzę, nie robi żadnej różnicy między wami i Żydami, jest mu obojętne, czy ugodzi w rabbiego Gamaliela i w Jawneh, czy też w was. Podniósł rękę i opuścił ją, cała rzecz w tym, na kogo skierowana zostanie w danej chwili jego uwaga.

Klemens słuchał uprzejmie słów żony, był uczniem sumiennym, ale powolnym.

— Jeżeli cię dobrze rozumiem — rzekł z namysłem — to o ile chcemy uratować naszego Jakuba i jego naukę, winniśmy skierować uwagę DDD na akademię w Jawneh.

Powinien uderzyć w uczonego rabbi Gamaliela i jego akademię w Jawneh.

Jasnoniebieskie oczy księcia pociemniały z zapału. Domicylla szukała wzrokiem ust Jakuba.

Jakub nie chciał, by sumienie miało mu wyrzucać, że serce jego zapłonęło chęcią zemsty. Jeżeli występował przeciw Gamalielowi, to nie przez zazdrość, lecz jedynie dlatego, że nie widział innej drogi uratowania własnej wiary.

— Nie żywię bynajmniej nienawiści do rabbi Gamaliela — powiedział cicho i rozważnie. — Nie żywimy nienawiści do nikogo. Jeżeli napotykamy na wrogość, to nie dlatego, byśmy siali wrogość. Wzbudzamy wrogość po prostu przez samo nasze istnienie.

— Jesteś więc czy nie jesteś zdania — upierała się Domicylla — że najskuteczniejszym ratunkiem dla was byłoby zamknięcie akademii w Jawneh?

— Niestety, wydaje mi się, że to byłoby najlepsze — odpowiedział Jakub z rozważą.

Jedyną drogą, którą Domicylla mogła wymóc na tamtym ów zakaz, było użycie pośrednictwa Julii.

Stosunek Julii do Domicjana przechodził różne fazy. Z początku stało się to, czego się Julia obawiała: DDD zmienił się po powrocie Lucji. Lucja pochłonęła go całkowicie, spoglądał na Julię krytycznym, nienawistnym wzrokiem. Kiedy, zanim wyruszył w pole, przyszła do niego, żeby się z nim pożegnać, doprowadził ją, tak zazwyczaj spokojną, niemal do szału swoimi szyderczymi uwagami. Jeśli się ma taką głowę jak Julia — sztydził — nie można mieć zrozumienia dla wielkości; mimo jego zakazu spała z pewnością z tym niedołągą Sabinem i nosi w łonie jego dziecko; niech sobie tylko nie wyobraża, że kiedykolwiek zaadoptuje jej bębna.

Tymczasem Julia naprawdę nie spa

ła z Sabinem, nie ulegało wątpliwości, że płód, który w sobie nosiła, pochodzi od Domicjana, jego złośliwa nieufność bolała ją tym bardziej, że niełatwo jej przyszło patrzeć na to, jak jej męża Sabina zżera bezsilność i upokorzenie. Dla spokojnej na ogół Julii nie było rzeczą miłą żyć przez cały okres nieobecności cesarza przy boku mrukliwego Sabina, który nieustannie czynił jej wyrzuty. Dzień i noc gorzko cierpiała nad tym, że nie potrafiła wyperswadować DDD jego głupich podejrzeń, i kiedy wreszcie tuż przed powrotem Domicjana wydała na świat martwe dziecko, złożyła to na karb wzburzenia, w jakie ją wprawiły małostkowe podejrzania tego mizantropa Domicjana.

Wróciwszy więc z wojny z Dakami, Domicjan znalazł Julię zmienioną. Zeszczupiała nieco, jej blada, dumna twarz wydawała się mniej ospała, bardziej uduchowiona.

Z drugiej strony Lucja przyjęła go inaczej, niż tego oczekiwał. Nie widziała w nim zgoła zwycięzcy, powracającego w aureoli sławy, nie potrafił wmówić w nią, że trwająca jeszcze nadal wojna z Dakami jest sukcesem. Dręczyło go, że wyśmiała go wyniośle. Zły był, że potrafiła przejrzeć prawie wszystkie jego słabostki, że na tyle cech dodatnich, z których był dumny, nie zwracała wcale uwagi, że monopol na wyrób cegły, który od niego chytrze wyludziła, przynosił wielkie sumy, podczas gdy wojna wyczerpała jego kasę. Wszystko to razem sprawiło, że Domicjan znowu spoglądał na Julię życzliwszym okiem. Wierzył teraz, że dziecko, które urodziła, było jego dzieckiem, wierzył, że jego nie usprawiedliwione wyrzuty były przyczyną śmierci tego dziecka, pożądał jej na nowo. To, że strapiona, rozgoryczona Julia nie okazywała mu tych względów co dawniej, potęgowało tylko jego pożądanie.

Domicylla wiedziała więc, że szwagierka jej i kuzynka znowu ma posłuch u cesarza. Nauczyła się od Jakuba, że chcąc przeprowadzić dobrą sprawę należy być łagodną jak gołąb i mądrą jak wąż. Postanowiła wtajemniczyć Julię w sprawę akademii w Jawneh i sprawić, by Julia się nią zainteresowała.

W mądry sposób potrafiła powiązać sprawę akademii w Jawneh z zazdrością Domicjana o Tytusa. Ojciec Julii, Tytus, zdobył i zburzył Jerozolimę, był pogromcą Judei. Ale „tamten” nie mógł strawić tej jego sławy. „Tamtemu” zależało na tym, by udowodnić samemu sobie, Rzymowi i światu, że Tytus nie uporał się jednak z zadaniem poskromienia Judei i Domicjanowi pozostało jeszcze wiele do zrobienia, mianowicie istotne podbicie prowincji. Jeżeli na przykład Domicjan pozwalał" by ten śmieszny rabbi żydowski tak się w Rzymie rozpierał i nadymał, to tylko dlatego, aby dać miastu nowy dowód, że Żydzi są tak jak dawniej potęgą polityczną, że Tytus nie załatwił ostatecznie sprawy z nimi, że zlikwidowanie ich jest zadaniem, które bogowie poruczyli jemu, Domicjanowi.

Mądra Domicylla wyluszczyła więc Julii te poglądy. Kiedy się pożegnały, Julia, tak jak tego chciała Domicylla, zaczęła snuć tę nić dalej. Było dla niej jasne, że Domicjan tylko przez złą wolę, tylko po to, by pomniejszyć pamięć ojca jej, Tytusa, pozwala, żeby ten żydowski klecha tak zuchwale sobie w Rzymie poczynał. To, na czym Domicylli tak bardzo zależało, zamknięcie akademii w Jawneh, nie było wcale takim złym pomysłem. Po wszystkim, co jej DDD wyrządził, Julia miała prawo, by jej dał widoczny dowód swej łaski. Zażądała, by przez wymyślne intrygi nie bezcześcił nadal pamięci jej ojca, Tytusa. Domicylla dopięła swego. Julia sama nie wiedząc o tym stała się rzeczniczką nazareńczyków.

Kiedy Domicjan poprosił ją następnym razem do siebie, przystroiła się ze szczególną starannością. Piękne jej włosy barwy pszenicy, ułożone w kształcie wieży, przetykane klejnotami, wieńczyły jej przezroczyście białe oblicze. Odrobina szminki podkreślała jeszcze wyraz wydatnych, zmysłowych ust flawijskich. Po dziesięć razy układała każdą fałdę swej niebieskiej sukni, długo naradzała się ze swymi służebnymi, którą z niezliczonej ilości perfum

ma się skropić.

Tak przystrojona zjawiała się u Domicjana. Był w dobrym humorze i przystępny. Jak zawsze ostatnio unikała poufnych wynurzeń. Powtarzała mu różne plotki, krążące w sferach towarzyskich, i jakby od niechcienia skierowała rozmowę na żydowskiego arcykapłana. Uważa jego zachowanie się w Rzymie za skandaliczne; poczyną sobie jak księżę udzielny. Uważa swoją śmieszna akademię — prawdopodobnie coś w rodzaju szkółki wiejskiej uczącej różnych zabobonów — za pępek świata, a ponieważ w snobistycznym Rzymie najprędzej zyskują zwolenników te poglądy, które są najbardziej absurdalne, nikt zaś się żydowskiemu klesze nie przeciwstawia, dojdzie jeszcze do tego, że młodzi Rzymianie będą wyjeżdżali na studia do Jawneh.

Julia powiedziała to wszystko z pewną ironią. Mimo to nieufny Domicjan zwęszył w jej słowach machinację znienawidzonej pary swoich kuzynów. Odpowiedział, wykrzywiając twarz w uśmiechu:

— A więc bratanica moja Julia chciałaby, żebym temu żydowskiemu kapłanowi dał nauczkę?

— Tak — odparła Julia w miarę możności obojętnie — sądzę, że byłoby to wskazane i zrobiłoby mi przyjemność.

— Stwierdzam z zadowoleniem, bratanico Julio — odpowiedział cesarz wyjątkowo uprzejmie — że troszczysz się tak bardzo o prestiż domu Flawiuszów, i ty, i chyba także twoi bliscy. — Zakończył sucho: — Dziękuję ci.

Julia nie dała jeszcze za wygraną. Kiedy Domicjan począł zdejmować z niej suknię i burzyć z takim trudem wzniesioną wieżę włosów, znowu skierowała rozmowę na akademię w Jawneh, żądając zapewnień i przyrzeczeń. Próbował to obrócić w żart. Nazwała go Wrzuszkim, ale opierała się i, leżąc sztywno w jego ramionach, nie chciała mu być powolna, zanim jej nie złoży obietnicy. Domicjan jednak stał się gwałtowny i Julia, urzeczona jego brutalnością, zaniechała oporu i rozplynęła się w jego silnych ramionach.

Rozstała się z nim po kilku godzinach rozkoszy. Ale nic nie osiągnęła w sprawie Domicylli i nazareńczyków. Cesarz nie zdradził ani słowem, co ma zamiar uczynić w sprawie akademii w Jawneh.

Zaufani cesarza uważali również, że nadszedł wreszcie czas, aby tę sprawę wyprowadzić na czyste wody. Kwestia, czy i kiedy cesarz ma przyjąć czcigodnego rabbi Świątyni Jerozolimskiej, należała do kompetencji marszałka dworu Kryspina. Jako Egipcjanin był od młodości przesiąknięty głęboką niechęcią do wszystkiego, co żydowskie. Spełnił swój obowiązek, przedłożywszy cesarzowi prośbę Gamaliela o audiencję. Byłby rad, gdyby uporczywe milczenie DDD uczyniło pozycję rabiego w Rzymie śmieszna i niemożliwą do zniesienia.

Przyjaciele Żydów spróbowali wreszcie poruszyć sprawę Gamaliela na radzie gabinetu ministrów. Podczas obrad nad jakimś zagadnieniem wyznaniowym jednej z prowincji wschodnich Marull oświadczył, że wydaje mu się wskazane poruszyć przy tej okazji również kwestię akademii w Jawneh. Klaudiusz Reginus zareagował na tę inicjatywę Marulla ze zwykłą mu senną gotowością. Czy istnieje w ogóle, zapytał ze zdziwieniem, kwestia akademii w Jawneh? A jeżeli rzeczywiście istnieje, to czy nie została przesądzona tym samym, że korona tak długo tolerowała obecność arcykapłana Żydów w Rzymie, nie wzywając go przed swe oblicze? Fakt, że mimo obecności owego żydowskiego arcykapłana nie przedsięwzięto żadnych kroków przeciw akademii w Jawneh, może być z trudem tłumaczony inaczej jak tolerowaniem, a nawet ponowną zgodą na tę akademię. Inne rozwiązanie byłoby nie do pomyślenia, gdyby nie zamierzano zrywać z tradycyjną rzymską polityką wyznaniową. Wolność wyznań to jeden z

filarów, na których spoczywa państwo. Zamach na instytucję religijną, za jaką należy uważać akademię w Jawneh, zostałyby niewątpliwie uznany przez wszystkie podbite narody jako zagrożenie ich przybytków kultu. Przez zamknięcie akademii w Jawneh stworzono by niebezpieczny precedens, który mógłby wywołać niepotrzebny niepokój.

Klaudiusz Reginus wybrał zręcznie frazesy z ideologii cesarza i zaapelował do Domicjana, jako do strażnika tradycji rzymskiej. Spoglądał przy tym na niego ukradkiem, bacznie obserwując wyraz jego twarzy. Cesarz milczał, patrzył nań przez chwilę wypukłymi oczyma krótkowidza, zatopiony w myślach, potem zwrócił powoli głowę w stronę innych panów. Ale Reginus, długoletni obserwator, zdawał sobie sprawę, że słowa jego wywarły na DDD wrażenie. Tak też było. Domicjan powiedział sobie, że argumenty Reginusa są warte wysłuchania. Ale nie było mu to na rękę. Nie chciał, żeby ktoś krępował swobodę jego decyzji, pragnął mieć całkowicie wolne ręce; niechaj sprawa pozostaje w zawieszeniu. Siedział więc, nie odzywał się, czekał, żeby ktoś z jego doradców wystąpił z kontrargumentami.

— Nie można się z tym zgodzić — wywodził marszałek dworu Kryspin po grecku, sepleniąc przy tym snobistycznie; seplenienie to było uważane na uniwersytetach Koryntu i Aleksandrii za bardzo wytworne — jakoby korona swoim milczeniem przesądziła sprawę. I dawniej kazano czasami czekać całe miesiące na audiencję nie tylko wysłannikom barbarzyńskich ludów, ale nawet królom.

Wszyscy spojrzeli w stronę cesarza, słysząc, jak Egipcjanin, popuszczając wodze swej nienawiści, nazwał Żydów barbarzyńcami. Ale cesarz nie drgnął nawet.

Kryspina poparł minister policji Norban.

— ściśle rzecz biorąc — powiedział — przyjazd żydowskiego arcykapłana do Rzymu to natrętne zuchwalstwo. Jeżeli arcykapłan chce złożyć prośbę albo skargę, to niech się łaskawie zwróci do właściwej instancji, którą jest gubernator cesarski w Cezarei. Urzędnicy moi raportują zgodnie, że czelność Żydów wzrosła od czasu przybycia ich arcykapłana do Rzymu. Zamknięcie akademii w Jawneh mogłoby się przyczynić do stłumienia tych nastrojów.

Norban starał się nadać obojętny wyraz swej szerokiej, czworokątnej twarzy, na którą groteskowo opadały zdobiące czoło modne czarne loki; usiłował również mówić spokojnie i rzeczowo. Mimo to cesarz nie uważał, by szyte grubymi nićmi dowodzenia ministra policji były zdolne odeprzeć argumenty Reginusa. Siedział zasepiony, milczał, czekał. Czekał na silniejsze argumenty, które by mu przywróciły swobodę powzięcia decyzji. I oto przybył mu z pomocą ten z jego doradców, po którym się najmniej tego spodziewał, a mianowicie Annius Bassus. Dorion cierpliwie i zręcznie wbijała temu żołdakowi w głowę argumenty, które mogły wpłynąć na Domicjana, powtarzała je dopóty, dopóki Annius nie uznał ich za swoje własne.

— Oczywiście — wywodził zawile — w myśl starorzymskiej racji stanu i tradycji należy szanować życie kulturalne podbitych narodów i pozostawiać zwyciężonym ludom ich bóstwa i religie. Żydzi jednak sami pozbawiali się tego przywileju. Złośliwie i' podstępnie uniemożliwili wielkodusznemu zwycięzcy oddzielenie ich religii od polityki, ich religia bowiem jest na wskroś przepojona polityką. Jeżeli się ich potraktuje inaczej niż resztę podbitych narodów, narody owe zrozumieją to i nie wyciągną stąd fałszywych wniosków. Żydzi od wiek wieków wmawiali sobie, że są narodem wybranym, sami wyłączają się wrogo z pokojowego kręgu narodów, ciesząc się autonomią kulturalną, z których składa się imperium rzymskie. Ich Bóg Jehowa również nie jest takim bogiem jak bogowie innych ludów, nie jest prawdziwym bogiem, nie istnieje żaden Jego obraz, nie można postawić Jego posągu w świątyni rzymskiej obok posągów innych bogów. Jest pozbawiony postaci, jest tylko buntowniczym duchem żydowskiej polityki nacjonalistycznej. Chcąc naprawdę podbić Żydów, nie można oszczędzać tego Boga Jehowy i Jego akademii w Jawneh. Jehowa to po prostu synonim zdrady stanu.

Słuchacze nie byli przyzwyczajeni do tak uczonych słów z ust pospolitego żołdaka Anniusza Bassusa. Marull i Reginus uśmiechali się, odgadując, że za tymi wywodami stoi Dorion. Ale cesarz słuchał słów swego ministra wojny z przyjemnością. Bez względu na to, kto je wypowiadał, wydawały mu się poważną odpowiedzią na wątpliwości Reginusa i przywracały cesarzowi swobodę decyzji. Dostyc się nasłuchał o tym uczonym rabbi Gamalielu i jego akademii. Ruchem ręki przepędził precz całą sprawę i zaczął mówić o czymś innym.

Nazajutrz spożywał wieczorny posiłek mając jedynie jako towarzystwo Jowisza, Junonę i Minerwę. Kukła ubrana w szaty Jowisza, z woskową maską, przedstawiającą twarz boga, leżała na sofie biesiadnej, zaś na wysokich połączanych krzesłach siedziały kukły z maskami obu bogiń. Z tą trójką więc spożywał posiłek bóg Domicjan. Lokaje wnosili i wynosili potrawy. Mieli na nogach białe sandały, strwożeni starali się zachowywać jak najciszej, ażeby nie przeszkadzać w rozmowie, którą Domicjan prowadził ze swymi gośćmi, bogami.

Cesarz chciał naradzić się ze swoimi bogami w ciężkiej sprawie owego obcego Boga Jehowy. Uczucia jego były bowiem sprzeczne, podobnie jak opinie doradców. Coś popychało go, by zniszczyć akademię w Jawneh, a równocześnie jakiś głos mówił mu, że należy ją ochraniać mocną ręką. Nie umiał sobie poradzić z tym zagadnieniem.

Z Izydą i Mitrasem łatwiej dojść do ładu. Można im wznosić posągi, można ich przebłagać na różne sposoby, jeśli się skrzywdziło ich czcicieli. Ale co zrobić z tym Bogiem Jehową? Nie ma żadnego Jego obrazu, nie ma Jego twarzy, jest nieuchwytny jak powietrze przepojone miazmatami febry, które się poznaje dopiero po jego zgubnych skutkach.

Anniusz Bassus opowiadał mu, jak dom owego Jehowy, Świątynia, cała biała i złota, „to coś”, jak ją nazywali żołnierze, mąciła dusze oblegających i przyprawiała o chorobę. Tracili po prostu zmysły. Tytus bał się przez całe życie zemsty owego Boga Jehowy, którego dotknął i obraził przez zburzenie Jego domu. Aż wreszcie za tę obrazę przeprosił Żyda Józefa przed śmiercią.

Domicjan nie wie, co to strach, ale jest arcykapłanem, reprezentantem na ziemi Jowisza Kapitońskiego, czci wszystkich bogów, strzeże się, by nie popaść w konflikt z obcym Bogiem i Jego arcykapłanem. Będzie postępował ostrożnie z tym rabbi Gamaliel, gdyż Żydzi są przebiegli. Podobnie jak idące do ataku oddziały oblężnicze kryją się pod pancierzem żółwi, tak Żydzi ukrywają się za swoim niewidzialnym Bogiem.

Ale może wszystko to jest tylko oszustwo? Może ten niewidzialny Bóg wcale nie istnieje?

Bogowie Domicjana muszą mu pomóc i poradzić. Dlatego przybrał się odświętnie i zaprosił ich, dlatego spożywa z nimi posiłek, dlatego dymią przed nimi na złotych talerzach Świnia, jagnię i wół.

Stara się być godnym swoich gości, unosi się nieco na sofie biesiadnej, usiłując przybrać ten sam wyraz twarzy, który ma na swoich popiersiach. Podniósł dumnie łwie czoło, ściągnął groźnie brwi, rozdyma lekko nozdrza, patrzy z na pół otwartymi ustami na swych boskich gości, czeka od nich natchnienia i rady.

Ponieważ Jowisz milczy, a Junona nie ma mu nic do powiedzenia, zwraca się do swojej ukochanej bogini Minerwy. Siedzi oto przy nim. Wyzwolił ją ze zwykłej cukierkowości, z taniej idealizacji nadawanej jej przez rzeźbiarzy, przywrócił jej sowie oczy, które miała pierwotnie; oczy te kazał wstawić wielkiemu specjalście Kritiaszowi. Tak, sowoooka Minerwa jest Domicjanowi bliska. Wyczuwa w niej to samo zwierzę, które w nim się czai, potężną pierwotną siłę. Wielkie, wypukłe oczy krótkowidza utkwili w ogromnych, okrągłych sowych oczach bogini. Czuje się z nią ściślej związany, mówi do niej głośno, nie obawiając się zmieszanej służby, która chciałaby nie słuchać, a jednak słuchać musi; stara się złagodzić swój

szorstki głos, nadaje bogini pieszczotliwe imiona po grecku i po łacinie. Nazywa ją patronką miasta, strażniczką kluczy, małą, kochaną, nieposkromioną wojowniczką, Nike zwycięstwa, wieszczką surm bojowych, pomocnicą, mądrą, przenikliwą, dalekowzroczną, niewyczerpaną w pomysłach.

I oto Minerwa ulega, przemawia do niego. Ów Jehowa, powiada, to chytry Bóg, Bóg wschodni, spryciarz nie lada. Chce ciebie, Rzymianina, wciągnąć w kabałę przez tę swoją akademię w Jawneh. Chce cię skusić do popełnienia świętokradztwa, żeby móc ukarać cię za to i zniszczyć. Jest mściwy. Brat twój znalazł się już w otchłaniach Hadesu, chciałby więc trzymać się ciebie i rwać cię na sztuki. Zachowaj spokój, nie daj się unieść, miej cierpliwość!

Domicjan uśmiecha się. Nie, Bóg Jehowa nie wciągnie boga Domicjana w kabałę. Ani mu w głowie zamknąć tę głupią akademię w jawneh. Ale nie wyjawi tego uczoneму rabbi. Jeżeli Bóg Jehowa żąda cierpliwości od niego, Domicjana, to cesarz Domicjan będzie żądał cierpliwości od arcykapłana. Niech się smaży w swoim własnym strachu. Niech się ten arcykapłan rozplynie i roztopi z samego czekania.

Pogodny, pełen wdzięczności rozstał się Domicjan ze swoimi bogami.

A więc rabbi Gamaliel czekał.

Wkrótce już skończy się piękna pora roku, wkrótce zima uniemożliwi żeglugę. Jeżeli rabbi chce wrócić do Judei, musi się już gotować do podróży.

On wszakże tego nie uczynił. Nie troszczył się, że jego długie przebywanie w Rzymie zaczyna być niepokojące, gorszące nawet. Ani słowem nie zdradzał się, jak bardzo go trapi postępowanie cesarza, pogarda, którą w jego osobie okazuje narodowi żydowskiemu. Zachowywał się z książęcą uprzejmością, przyjmował nadal tych, którzy przychodzili go odwiedzić.

Zgodnie ze zwyczajem, Józef winien był złożyć wizytę arcykapłanowi jerozolimskiemu. Jan z Giskali próbował go do tego nakłonić, lecz Józef trzymał się z daleka. Przekonał się w Judei, jak ów arcykapłan judaizmu bywał niekiedy okrutny, gdy wymagała tego piastowana godność, i choć rozum aprobował tę nieugiętość, serce jego nie mogło się z nią pogodzić.

Gamaliel nie obraził się i zaprosił go do siebie.

Rabbi bardzo się postarzał przez sześć lat, odkąd Józef go nie widział. W krótkiej rudawej brodzie, czworokątnej i kanciastej, która raczej podkreślała usta i zarys dolnej szczęki, niż je ukrywała, było coraz więcej siwych włosów. Kiedy postawny, barczysty arcykapłan myślał, że go nikt

nie widzi, ciało jego zdawało się chwilami omdlewać, ciemne oczy traciły blask, a dolna szczeka nie rysowała się tak dumnie.

Jak gdyby nigdy nic, Gamaliel podjął rozmowę w tym punkcie, w którym ją obaj przed sześcioma laty zakończyli.

— Jaka szkoda, mój Józefie — rozpoczął — żeś wtedy, gdym cię o to prosił, nie zgodził się reprezentować naszej polityki zagranicznej w Cezarei i w Rzymie. Jest wśród nas wiele głów obdarzonych niezwykłą inteligencją, ale niewiele takich, które byłyby w stanie pomóc człowiekowi skazanemu na kierowanie polityką żydowską. Jestem bardzo samotny, mój Józefie.

— Sądzę — odparł Józef — że miałem wtedy rację. Misja, którą mi wówczas chciałeś powierzyć, wymagała równocześnie hartu i giętkości. Nie posiadam ani jednego, ani drugiego.

Tym razem również Gamaliel traktował Józefa jak człowieka zaufanego. Ani jednym słowem nie dał mu do poznania, że szacunek, którym go niegdyś darzył, zmalał z biegiem czasu. Przeciwnie, mówił z nim jak z równym sobie przywódcą ludu. Zabiegał o niego, zachowywał się

tak, jak gdyby miał obowiązek wytłumaczyć się przed nim z polityki, jaką prowadził.

Próbował udowodnić, że brutalne cięcie, którym wówczas oderwał nazareńczyków od Żydów, zostało usprawiedliwione przez bieg wypadków.

— Musieliśmy wówczas — wywodził — postawić jasno sprawę. Dziś stała się jasna. Oczywiście poza wiarą w Jehowę, istnieje teraz jedyne kryterium, które rozstrzyga o tym, czy ktoś należy do nas, czy nie, czy jest Żydem, czy nie. Kryterium tym jest wiara, że Mesjasz zjawi się dopiero w przyszłości. Nie mamy nic wspólnego z tymi, którzy sądzą, że Mesjasz już się pojawił, a więc rezygnują z nadziei odrodzenia Izraela oraz odbudowania Jerozolimy i Świątyni. Przyznaję ci się szczerze, mój Józefie; uważam, że cierpienia, które na nas zesłał Bóg, wyszły nam na dobre. Próba, której zostaliśmy poddani, pozwala nam na oddzielenie tych, którzy są dostatecznie silni, by dalej żyć nadzieją, od owych mięczaków rozplływających się w ofierze, którą miał za nich ponieść ukrzyżowany Mesjasz. Niechaj sobie nazareńczycy swoją przesłodzoną i pociągającą ewangelią jedną nowych zwolenników. Nie ufam nikomu, kto do nich przystaje, człowiek taki nigdy nie był Żydem. Jehowa nazareńczyków, tak zwany Jehowa całego świata, jest dzisiaj nie do uratowania, musimy się Go wyrzec. Nie potrzeba nam Boga, który się ulatnia, kiedy Go dotykamy i chcemy się Go trzymać. Przez obyczaje i Zakon ratujemy chociaż Jehowę — Boga Izraela.

Ach, Józef znał tę piosenkę. Przekonał się setki razy, że człowiek, który chce uprawiać politykę, musi swą prawdę szpikować wieloma kłamstwami. Nie zdziwił się więc, kiedy usłyszał dalsze słowa Gamaliela:

— Ten, kto nie tylko głosi ideę, lecz prowadzi o nią układy i pertraktacje, musi z niej oczywiście coś ustąpić. Pisarzowi potrzebne są tylko głowa i palce, temu, kto działa, potrzebna jest pięść.

Tak, Józef postąpił słusznie wycofując się i poprzestając na obserwacji.

— Musimy uratować nasze Jawneh! — wykrzyknął namiętnie rabbi Gamaliel przechodząc do rzeczy. — Niechaj sobie ludzie myślą, co chcą, o mojej polityce, ale musimy uratować Jawneh! Skończyłby się judaizm, Jehowa znikłby ze świata, gdyby zabrakło tych siedemdziesięciu jeden mężów \y Jawneh. „Czy to bluźnierstwo? — zapytał sam siebie, przerażony, że się tak przed Józefem zdradził. — Sądzę jednak, że w głębi serca każdy Żyd myśli tak samo — uspokoił sam siebie.”

Józef widzi szczerą, smagłą, energiczną twarz Gamaliela. Sukces potwierdził słuszność jego poczynań. Dzięki swej szalonej energii udało mu się przy pomocy śmiesznie małej akademii w Jawneh utrzymać Jehowę. Jawneh zastąpiło Jerozolimę, akademii zastąpiła Świątynię, kolegium zastąpiło Synedrion. Tak, stworzył nową przystań i dopiero ten, kto zmiążdży Jawneh, zmiążdży judaizm.

Gamaliel mówił teraz jakby od niechcenia, lekkim tonem.

— Przed tobą, mój Józefie — powiedział — mogę spokojnie nazywać rzeczy po imieniu. Oczywiście i akademii, i kolegium w Jawneh są to w równej mierze instytucje polityczne, jak religijne. Przywiązujemy wielką wagę do tego, by naukę przepoić polityką. Jako komentatorzy nauki, nie przyjęliśmy do wiadomości, że Świątynia została zburzona, a państwo już nie istnieje. Debatujemy szczegółowo o pełnieniu służby w Świątyni z takim samym zapałem jak o innych realnych szczegółach naszego życia codziennego, i poświęcamy tym debatom wiele czasu i miejsca. Dyskutujemy równie gorąco nad kwestiami z owych dziedzin wymiaru sprawiedliwości, które są wyjęte spod naszej kompetencji, jak nad kwestiami rytuału, którego przestrzeganie zostało nam dozwolone. W naszym programie nauki kwestie te zajmują nawet więcej miejsca niż tamte. Niechaj Rzymianie spróbują udowodnić nam, gdzie kończy się teoria, a gdzie zaczyna się praktyczny wymiar sprawiedliwości, gdzie jest kres teologii, a gdzie początek polityki!

Uprawiamy wyłącznie teologię. Jeżeli ktoś woli odwoływać się do akademii w Jawneh niż do sądów cesarskich, to jest to jego sprawa prywatna. Czyż nie jest naszym obowiązkiem informować go, jeżeli pyta, jak wygląda sprawa z naukowego punktu widzenia? Skoro poddaje się naszej decyzji, czyż mamy go zniechęcać? Nie możemy ani go do tego zmusić, ani mu tego zabronić. Prawdopodobnie czyni to, by uspokoić swe sumienie. Nie wiemy tego, motywy, które nim kierują, nie są nam znane. I nic nas nie obchodzą. W każdym razie decyzje nasze nie mają nic wspólnego z wymiarem sprawiedliwości senatu i ludu rzymskiego. Ograniczamy się do naszego resortu, do teologii, nauki i rytuału.

Nad czworokątną brodą uśmiechały się chytrze jego pełne wargi i wielkie, rzadko rozstawione zęby.

Po chwili uśmiech ten znikł, Gamaliel zerwał się, w oczach jego pojawiły się błyski.

— Powiedz sam, rabbi Józefie — zawołał ożywionym głosem — powiedz sam, czy to nie wspaniałe, czy to nie cud, że naród, cały naród poddaje się tej ogromnej dyscyplinie? Że zamiast trybunału obcego państwa, któremu musi się podporządkować, stwarza sobie trybunał dobrowolny, któremu podporządkowuje się z popędu serca? Że obok wysokich podatków, które wyciska z niego cesarz, płaci dobrowolnie podatki, by utrzymać swego Boga jako cesarza?

Czy taka samorzutna dyscyplina nie jest czymś wielkim, wspaniałym, niepowtarzalnym? Uważam nasz naród żydowski, uważam ten nieposkromiony pęd, by istnieć w dalszym ciągu, nie dać się zniszczyć, za coś najwznośniejszego i najcudowniejszego na tej biednej i ponurej ziemi.

Entuzjazm Gamaliela porwał Józefa. Ale nie obalił jego zastrzeżeń i wątpliwości. To, czego dokonano, było osiągnięciem potężnym, z podziwu godną przenikliwością i najwyższą energią stworzone zostało naczynie, które ogarnia, fłhroni rozplływającego się ducha. Ale duch był uwięziony w tym naczyniu: równało się to zacieśnieniu, rezygnacji.

To zaś, co zostało tym samym poświęcone, było Józefowi bardzo drogie.

— A więc Rzymianie — ciągnął Gamaliel, znowu tonem lekkim i pogodnym — wietrzą oczywiście niebezpieczeństwo i buntowniczość w tym, co tkwi za naszą akademią w Jawneh. Ale — teraz twarz jego opromieniała radosna przebiegłość — nie mogą wywahać, na czym właściwie to niebezpieczeństwo polega. Rzymianie potrafią rozumieć świat tylko wtedy, kiedy go mogą wtłoczyć w ramy formuł prawnych; innego rodzaju duchowości nie znają, są w gruncie rzeczy barbarzyńcami. Tymczasem to, co myśmy uczynili, nie da się w żaden sposób wtłoczyć w ramy formuły prawnej. Podporządkowujemy się we wszystkim, jesteśmy gotowi do usług, nie oszczędzamy siebie, sami zwalczaliśmy powstanie. Krótko mówiąc, jeżeli się nie chce złamać prawa rzymskiego i rzymskiej tradycji, nie można tknąć naszej akademii. A czy właśnie cesarz Domicjan nie uważa się za wyznaczonego przez bogów strażnika prawa rzymskiego i tradycji rzymskiej?

Mamy jednak wrogów, i to potężnych. Są nimi książęta Sabin i Klemens ze swoją świętą, minister wojny Annius Bassus i twoja była małżonka Dorion oraz cała ta heretycka hołota. Wszyscy ci nasi wrogowie nalegają na cesarza, by zamknął akademię, i Domicjan najchętniej uległby tym prośbom. Broni nas jedynie przed zagładą szacunek cesarza dla tradycji, dla zasad rzymskich. Domicjan waha się między swoim, nazwijmy to tak, poczuciem prawa i swoją dla nas antypatią podsycaną przez naszych wrogów, ociąga się, czeka, nie słucha nas po prostu, nie dopuszcza do siebie. Z jego stanowiska jest to najlepsze, co może uczynić. Unika w ten sposób ściągnięcia na siebie odium, że zniszczył akademię w Jawneh, a równocześnie, każąc mi tak długo czekać, osłabia nasz prestiż, ośmiesza Jehowę i judaizm, kruszy nasze Jawneh.

Józef musiał przyznać, że trudno jaśniej ująć sytuację, niż to uczynił arcykapłan. Gamaliel mówił dalej.

■ — Nie wiem — powiedział zamyślony — jakbym mógł zjednać sobie cesarza.

Próbowałbym przemówić do jego tradycjonalizmu, do jego uczuć religijnych. Choć brzmi to dziwacznie, człowiek ten z pewnością ma jakąś religię; wiele rzeczy, które czyni i których nie czyni, nie da się inaczej wytłumaczyć. Niech to będzie religia zawikłana, bardzo pogańska, z pewnością wierzy w wielu Baalów, ale jest to jednak religia i od tej religii należałoby zacząć. Trzeba byłoby się uciec do podstępu, należałoby uczynić z Jehowy Baala, prostackiego, niebezpiecznego bożka, bóstwo dla niego zrozumiałe, którego by się bał. Czyżby to znowu było bluźnierstwo? Czy takie słowa brzmią dla ciebie bezbożnie, kiedy je wypowiada arcykapłan Jehowy? Dziś jednak, bardziej niż kiedykolwiek, arcykapłan musi być politykiem. Każdy środek jest dobry, jeżeli tylko pomaga do tego, by lud Jehowy przetrwał tę trzecią pustynię, by w niej nie zginął. Trzeba pozostać przy życiu! Nasza idea bowiem, nasz Jehowa nie może żyć bez swego ludu.

Józef przeraził się teraz w głębi serca. To ostatnie zdanie było istotnie bluźnierstwem i bezbożnością, właśnie w ustach czcigodnego rabbi Świątyni Jerozolimskiej. Na tak niebezpieczne manowce prowadziła polityka człowieka, który chciał tylko Boga i pragnął mu służyć!

— Tak, wiedziałbym, jak się zabrać do tego cesarza — podjął Gamaliel przerwany wątek rozmowy — tylko że on mnie do siebie nie dopuszcza. Wyznaję ci — wybuchnął gniewnie — że chwilami spalam się, płonę cały z tego czekania i niecierpliwości. Nie ze względu na mnie, bo próżny nie jestem i potrafię przetykać zniewagi. Nie chodzi jednak o mnie, chodzi o Izrael. Muszę doprowadzić do tej audiencji. Ale nasi przyjaciele, choć pełni dobrej woli i zręczni, zawodzą tym razem. Reginus nie może nic osiągnąć, Marull również, Jan z Giskali także nie. Jest tylko, jeden człowiek, który może potrafiłby tego dokonać: ty, mój Józefie. Pomóż nam!

Józef słysząc ten apel poczuł wewnętrzną rozterkę. Trudno było odmówić prośbie Gamaliela. Bezwzględna polityka tego człowieka, który poświęcał Boga całego świata na to, by służyć Bogu Izraela, odpychała Józefa w równej mierze, jak go pociągała. Gamaliel żądał od niego czynu, ruchliwości, energii, właśnie tego, czego Józef od wielu lat z całkowitą premedytacją unikał. Kto chce działać, musi iść na kompromisy. Kto chce działać, musi zagłuszyć w sobie sumienie. Rabbi Świątyni Jerozolimskiej był powołany do działania, miał do tego i głowę, i siły. Ale Józef był mocny jedynie w obserwacji, przeznaczeniem jego było zajmowanie się historią swego narodu i nadanie jej sensu; kiedy zaczynał działać, stawał się fuszerem i partaczem.

To, co Józef myśli, mówi, pisze, naświetli może z czasem to lub owo wydarzenie tak, jak on je chce widzieć, może przesądzi o czynach bardzo odległych pokoleń. Natomiast to, co mówi i myśli Gamaliel, przemienia się natychmiast w historię, rozstrzyga dziś i jutro o losach ludzkości. Wala się mury, w których się tak kunsztownie zasklepił, by strzec swego spokoju. Józef przyrzekł czcigodnemu rabbi, że uczyni to, czego ten od niego żądał.

Kiedy Józef zameldował się u Lucji, wyznaczyła mu spotkanie już na dzień następny. Lustrowała go z nie ukrywanym zainteresowaniem.

— Od czasu kiedyśmy się widzieli po raz ostatni* — powiedziała — minęły dwa lata. Patrząc jednak teraz na ciebie, mój Józefie, mam wrażenie, że minęło co najmniej lat pięć. Czy to ja tak się na wygnaniu postarzałam, czy ty? Jestem rozczarowana, mój Józefie — powiedziała z całą szczerością. — Postarzałeś się i nie wyglądasz już niegodziwie.

Na pomarszczonej twarzy Józefa ukazał się uśmiech; a więc pamiętała jeszcze okrzyk, który wydała na widok jego zaczętego popiersia w pracowni rzeźbiarza: „Ależ ty jesteś niegodziwy, Flawiuszu Józefie!”

— Co ty właściwie robisz, Józefie — ciągnęła Lucja dalej — już dawno nic się o tobie nie słyszało. Wyglądasz, jakbyś miał jakieś zgryzoty — powiedziała ze współczuciem. — Jakże

was, Żydów, nikczemnie traktują! Te wstrętne, małostkowe udręki. Kiedy moja kuzynka Faustyna źle śpi w nocy, kłuje szpilką w ramię albo w plecy swoją służebną, która ją rano fryzuje. Niech sobie Faustyna na to pozwala, ale państwu rzymskiemu nie wolno w ten sposób traktować całego narodu. Tak czy inaczej, przykro mi, że jesteś przybity. I ja również przeżyłam w ciągu ostatnich lat niejedną złą chwilę. Ale nie żałuję tego i nie chciałabym, by mnie to minęło. Życie byłoby zbyt szare, gdybyśmy nie doznawali na przemian złego i dobrego.

Józef poczuł się dotknięty, że Lucja znalazła w nim aż takie zmiany. Przypomniał sobie ową pierwszą rozmowę, którą prowadził z wielką damą Rzymianką, rozmowę z Poppeą, żoną Nerona. Jakże był wtedy skupiony, ile miał w sobie zapału, ile wiary w zwycięstwo. Coś się w nim obudziło z owego Józefa.

— Wierzę ci, Augusto — rzekł z ożywieniem — że przyjmujesz jednakowo zarówno to, co złe, jak to, co dobre. — Mówiąc to patrzył na nią tak samo hołdowniczo i zuchwale jak wówczas na Poppeę.

Lucja roześmiała się głośno.

— Powiedz mi, proszę — domagała się — dlaczego właściwie chciałeś się ze mną widzieć? Przecież nie przyszedłeś po to, by mi złożyć wizytę. Przyglądałeś mi się wprawdzie dość bezczelnie, we wzroku twoim była niegodziwość, tak jak w owej rzeźbie, można by niemal przypuścić, żeś naprawdę przyszedł tylko przez ciekawość, żeby zobaczyć, jak na mnie wpłynęło wygnanie. Nawiasem mówiąc, niedawno rzuciłam znowu okiem na twoje popiersie w Świątyni Pokoju — jest wspaniałe, ale jednak nie daje pełnego obrazu, gdyż brak mu oczu. Nie powinieneś był wtedy sprzeciwiać się, kiedy Kritiasz chciał ci wstawić oczy. No dobrze, ale teraz mów prędko, co myślisz o mojej nowej fryzurze? Podniosą krzyk, co?

Włosy miała zaczesane w tył i ułożone w kilka rzędów loków, zrezygnowała z wieży, którą dyktowała moda.

Ruchliwość i żywość tej kobiety podziałała na Józefa orzeźwiająco. Tak, była wyższa ponad własny los, nie miała do niej dostępu ani dobro, ani zło. Pulsowała życiem, wygnanie napęliło ją jeszcze większą energią.

— Masz rację, Augusto — powiedział. — Istotnie przygnębia mnie nieszczęście moich współbraci i przyszedłem cię prosić o łaskę. Musieliśmy w ciągu ostatnich dziesięciu lat wiele wycierpieć. Jesteśmy do tego przyzwyczajeni, uważamy za wyróżnienie, że Bóg doświadcza nas tak srogo. Istnieje wspaniały, głęboki poemat, mówiący o mężu imieniem Hiob, którego Bóg gnębi, ponieważ chce go wyróżnić, chce go oświecić, że tkwi w nim ukryty grzech, którego mąż ten nie mógłby inaczej rozpoznać i który, zresztą tylko przez niewielu, uważany jest za grzech.

— Jakież to grzech? — zapytała Lucja.

— Pycha — odparł Józef.

— Hm, grzech — rzekła Lucja zamyślona. — Mnie również los w pewnym stopniu doświadczył, ale nigdy nie rozpamiętywałam swoich grzechów. Nie wiem, czy jestem pełna pychy. Sądzę raczej, że nie. Oczywiście nie chciałabym zamienić się z nikiem, jestem z siebie zadowolona. W gruncie rzeczy wydaje mi się, że jesteś o wiele bardziej zarozumiały ode mnie, mój Józefie.

— Mam nadzieję — odparł Józef — że pisarz Flawiusz Józef nie jest zbyt zarozumiały. Jest nim natomiast Żyd, Józef syn Mateusza. Co innego jest jednak pycha jednostki, a co innego pycha narodu. Nie jest grzechem, jeżeli my,

Żydzi, jesteśmy dumni ze swego Jehowy i ze swego życia duchowego. Sądzę, że świat nie może się bez nas obejść. Jesteśmy światu potrzebni. Jesteśmy solą ziemi.

Spokój i przekonanie, z jakim mówił, ubawiły Lucję.

— Któryż to naród — zapytała śmiejąc się — nie wierzył, że jest narodem wybranym?

Wierzyli w to Grecy, Egipcjanie, wierzycie wy, Żydzi. Tylko my, Rzymianie, nic podobnego sobie nie wyobrażamy. Tolerujemy ze spokojem, by inni byli solą ziemi. Zadowolamy się tym, by z soli tej korzystać i władać innymi.

Wbrew jej oczekiwaniu Józef nie uśmiechnął się, przeciwnie, spoważniał.

— Gdybyż tak było! — zawołał z ożywieniem. — Gdybyście się tym zadowalali! Ale tak nie jest. Nie wystarczy wam władanie nami. Przeciw waszemu panowaniu buntują się wśród nas tylko głupcy. Wymierzacie im najsurowsze kary, nie biadamy z tego powodu. Ale wy chcecie dotrzeć do naszej duszy. Z tej to właśnie przyczyny jestem tutaj, Augusto. Poproś cesarza, żeby tego zaniechał! Zostawcie nam naszą duszę! Zostawcie nam naszego Boga! Zostawcie nam naszą Księżę, naszą naukę. Rzym pozwalał dotąd każdemu ludowi czcić swego Boga. Dlaczego chcecie zabrać nam naszego?

Lucja podniosła wysoko brwi nad szeroko rozstawionymi oczyma.

— Kto chce wam zabrać waszego Boga i waszą naukę? — zapytała niechętnie.

— Mnóstwo ludzi chce tego — odparł Józef. — Z twoją kuzynką księżną Julią na czele. Istnieje zamiar zamknięcia naszej akademii w Jawneh, której Wespazjan nadał przywileje. Jest to niewielka akademie teologiczna, przybytek kultu, nic więcej. Pomóż nam, Lucjo! — powiedział natarczywie, poufale, nie tytułując jej Augustą. — Naprawdę chcemy tylko swobody ducha, swobody, która

Rzym nic nie kosztuje i która nie jest wymierzona przeciw jego panowaniu. Ale właśnie tej swobody nie chcą nam pewni ludzie udzielić. Przez nienawiść. Nie dopuszczają nas do cesarza w obawie, że moglibyśmy go przekonać. Od miesięcy wpływają na cesarza, by nie przyjął naszego arcykapłana.

— Ach, to ten arcykapłan — rzekła Lucja nieco pogardliwie — o którym się tyle mówi. Józef odparł:

— Wolelibyśmy wszyscy, żeby o nim mniej mówiono.

— A więc tak wam na tym zależy — zapytała Lucja — żeby cesarz go przyjął?

— Gdybyś to zdołała uzyskać — odparł Józef — zasłużyłabyś się wielce memu narodowi, który jak żaden inny potrafi pamiętać o okazanych mu dobrodziejstwach.

— Wyraziłeś to, mój Józefie, wytwornie i uprzejmie — roześmiała się Lucja. — Ale do mnie argument taki nie przemawia. Mało mnie obchodzi, co ludzie będą o mnie myśleli po mojej śmierci. Nie wierzę w życie w podziemiach Hadesu czy gdziekolwiek indziej. Jeżeli mnie kiedyś spalą, to obawiam się, że niewiele z tej waszej wdzięczności odczuję.

Zamyśliła się. Po chwili powiedziała:

— Zresztą nie wiem, czy mogłabym wam pomóc, nawet gdybym tego chciała. Cesarz jest na . razie trudny i nieprzystępny — zwierzyła mu się — i nie bardzo mi sprzyja. Często się z nim sprzecam. Kosztuję go za dużo pieniędzy. — Ciągnęła dalej przyjacielskim tonem: — Czy wiesz, że staję się coraz bardziej chciwa na pieniądze? Uważam, że życie jest cudowne, ale właśnie dlatego staję się z wiekiem coraz bardziej wymagająca. Muszę mieć coraz więcej obrazów, posągów, muszę budować, stroić się, potrzebne, mi są widowiska, uroczystości, muszę mieć dookoła siebie rzesze niewolników, nie chcę i nie umiem oszczędzać.

W ostatnich czasach wydaję piekielnie dużo pieniędzy. Wy, Żydzi, znacie się na pieniądzach, to trzeba wam przyznać. Jest Reginus, który należy do was tylko częściowo, jest ten fabrykant mebli, Kajus Barcaarone, jest jeszcze jeden, z którym mam od czasu do czasu do czynienia, niejaki Jan z Giskali, zabawna, przebiegła i zuchwała postać. Wszyscy oni robią bez trudu wielkie pieniądze. Janowi z Giskali udało się nawet zmusić mnie do obniżenia ceny za cegłę. Jak widzisz, umiem oceniać wasze zasługi i mam dla was pewne sympatie.

Spoważniała.

— Powiadasz więc, że Julia chciałaby zamknąć waszą akademię?

— Tak, Julia — potwierdził Józef; wymienił to imię celowo.

— Wrzuszek obdarza ją w ostatnich czasach wielkimi względami — rozważała Lucja — ja zaś znikłam właściwie z jego pola widzenia. Jakiego typu człowiekiem jest ten wasz arcykapłan? — zapytała. — Czy to święty, czy władca?

— Jedno i drugie — odparł Józef.

— Hm, w takim razie byłby istotnie wielkim człowiekiem — rzekła Lucja. — Ale jak wpłynąć na Wrzuszkę?

— Może wyraziłabyś chęć poznania arcykapłana, Augusto? — rzekł Józef. — Wtedy musiałby go najpierw przyjąć cesarz. Nie uchodzi, by rabbi Świątyni Jerozolimskiej złożył ci swą czołobitność, zanim jej nie złoży bogu Domicjanowi.

— Urodzony z ciebie dworak — uśmiechnęła się Lucja. — Uważasz naprawdę, że to ważne dla was, abym forsowała przyjęcie waszego arcykapłana na Palatynie?

— Wiedziałem, że nam pomożesz, Augusto — odparł Józef.

Przez wszystkie dni, kiedy Domicjan nie widział Lucji, przetrwał w myśli wciąż na nowo wszystko, co miał jej do zarzucenia. Upokarzała go, pokpiwała sobie z niego, poza tym nie jest wcale wykluczone, że sypia z innymi. Igrał z myślą skazania jej po raz drugi w myśl zaostrzonej przez siebie ustawy o wiarołomstwie, zastanawiał się nawet, czyby jej bez wyroku nie zesłać na banicję i na śmierć. Ale w takich chwilach stawała mu przed oczyma jej śmiała, dumna twarz o czystym, dziecinnym czole i długim, silnie zarysowanym nosie, miał wrażenie, że słyszy jej śmiech. Ach, nie może jej straszyć swoim senatem. A jeżeli poleci ją zgładzić, ukarze bardziej siebie niż ją, gdyż ona wówczas przestanie cierpieć, a on skazany będzie na cierpienie.

Był rad, że Julia, choć wzdrygała się początkowo, znowu zgodziła się na większą z nim poufałość. Był wobec niej wyraźnie niesprawiedliwy, kochała go, plód, który nosiła w swym łonie, był jego dzieckiem. To irytujące, że zarzuty zebrane przez Norbana i Messalina przeciw mężowi Julii, Sabinowi, nie wystarczą, by go zlikwidować. Gdyby to uczynił, powstałyby plotki, które mogłyby mu zaszkodzić. Może jednak narazi się na te szkodliwe plotki. Julia jest tego warta. Nie doceniał jej niewątpliwie. Wcale nie jest głupia; niedawno zrobiła ironiczną uwagę na temat wzniesłego, ale nudnego poematu poety nadwornego Statiusza, której by sam się nie powstydział. Zewnętrznie podobała mu się również coraz bardziej od czasu, kiedy stała się mniej pulchna. Basilios musi wyrzeźbić ją po raz trzeci. To piękna kobieta, pochodzi z rodu Flawiuszów, prawdziwa z niej Rzymianka, godna miłości. Zastąpi mu Lucję.

Nie zastąpi Lucji. Uświadomił to sobie w chwili, w której Lucja weszła do jego biblioteki. Cały jego gniew na nią rozwiął się nagle. Dziwił się, że mimo prostej fryzury i nisko upiętych włosów wygląda postawnie i okazale. Julia wydała mu ste nagle śmieszna. Jak mógł myśleć o tym, żeby ze względu na nią zgładzić Sabina, nie licząc się ze swymi obowiązkami władcy i swą popularnością. Jak mógł w ogóle znosić Julię tak długo, jak mógł tolerować jej przeczulenie, jej wieczne, dziecinnie dąsy o każdą najmniejszą rzekomą obrazę, jak mógł znosić cały jej mdły, lamentujący sposób bycia? Teraz oto stoi przed nim jego Lucja, odważna, wyniosła, uważająca wszystko za zrozumiałe samo przez się. Oto Rzymianka, oto godna go kobieta.

Lucja w swój zwykły, bez troski sposób stwierdziła na wstępie, że ani jego łysina, ani brzuch nie powiększyły się. Potem przeszła bezpośrednio do właściwego celu.

— Przyszłam — oświadczyła — żeby ci udzielić rady. Od pewnego czasu przebywa tutaj arcykapłan żydowski, rabbi Gamaliel, którego godność zatwierdziłeś. Nie postępujesz wobec tego człowieka tak, jak powinienes. Skoro chcesz zamknąć jego akademię, to uważam, że imperator Domicjan Germanik winien mieć odwagę powiedzenia mu tego prosto w oczy. Ale ani nie przyjąć tego człowieka, ani nie kazać mu wyjechać, nie powiedzieć ani tak, ani nie — to

metody przypominające czasy, kiedy cię jeszcze nazywano chłopaczkiem albo ziółkiem. Sądziłam, że czasy te minęły. Sądziłam, że stałeś się bardziej męski, odkąd Tytus nie żyje i jesteś cesarzem. Ubolewam nad tym, że popadasz w dawne błędy.

Domicjan zarechotał.

— Żle spałaś, Lucjo? — zapytał. — A może niepowodzenie w interesach?

Przerachowałaś się przy dostawach cegły?

— Przyjmiesz arcykapłana? — upierała się Lucja.

— Bardzo się tym człowiekiem interesujesz — oświadczył Domicjan. Śmiech jego stał się teraz ponury i złowrogi.

— Ja go przyjmę — rzekła Lucja stanowczo, akcentując słowo „ja”. — Wywoła to poruszenie. Zapewne arcykapłan będzie uważał, że nie przystoi mu zjawić się u mnie, zanim ty go nie przyjmiesz.

— To sprawa marszałka dworu Kryspina — odparł Domicjan.

— Ostrzegam cię, Wrzusku — rzekła Lucja — tylko bez wykrętów! Nie staraj się tej niemiłej sprawy załatwić z równie pomyślnym rezultatem, jak niektóre inne. Nie odprawiaj tego człowieka, zanim go nie wysłuchasz. Nie usuwaj go z drogi. To, żeś mnie skazał na wygnanie, nie wyszło mi na złe. Jeżeli w dalszym ciągu będziesz postępował z tym arcykapłanem tak nieprzyzwoicie, kto wie, może sama skazę się na wygnanie.

Po jej odejściu cesarz powiedział sobie, że swoimi brutalnymi słowami Lucja wyłamywała drzwi już otwarte. Chociaż bowiem chciał tę natarczywą hołotę żydowską zmiękczyć nieco przez strach i zdenerwowanie, to, jako powołany obrońca bogów wszystkich podwładnych mu ludów, nigdy nie myślał poważnie o tym, by arcykapłanowi i jego wiernym odebrać przybytek kultu. Mimo to po wizycie Lucji trzymał Żydów nadal w strachu, milczał, kazał im czekać, nic nie przedsiębrał.

Jedynym człowiekiem, który na razie odczuł skutki interwencji Lucji, był marszałek dworu Kryspin. Kiedy następnego ranka po jej wizycie, wymuskany i uperfumowany jak zazwyczaj, zjawił się na Palatynie, cesarz zapytał go:

— Powiedz no, mój drogi, co ty właściwie rozumiesz przez słowo „barbarzyńcy”?

— Barbarzyńcy? — odrzekł zdumiony Kryspin i zdefiniował z wahaniem: — Są to ludzie obcy cywilizacji rzymskiej i greckiej.

— Hm — mruknął cesarz. — A czy Żydzi u mnie w Rzymie mówią po grecku, czy nie? A czy Żydzi w Aleksandrii mówią po grecku, czy nie? Jakże to więc — wybuchnął nagle, oblewając się pąsem. — Czy Żydzi są większymi barbarzyńcami aniżeli wy, Egipcjanie? Dlaczego ten ich rabbi ma czekać na audiencję dłużej niż twój kapłan Izydy, Manetho? Czy sądzisz, łotrze, że jesteś bardziej cywilizowany od mego dziejopisa Józefa, dlatego że wydajesz pięć talentów rocznie na perfumy?

Kryspin cofnął się. Smukłe ciało pod białą szatą galową zaczęło dygotać, piękna, zuchwała, występna twarz zbladła pod ciemną szminką i stała się zielonkawa.

— Czy mam więc — wyjąkał — wyznaczyć arcykapłanowi termin audiencji?

— Nic nie masz! — wrzasnął Domicjan dyszkantem. — Idź do diabła! Masz myśleć! Stropiony marszałek dworu oddalił się szybko, nie wiedząc, co sądzić o tym wybuchu gniewu cesarza ani co robić.

Rabbi Gamaliel czekał w dalszym ciągu, w dalszym ciągu ociągał się też cesarz. Nic się nie działo.

Nagle, na ósmy dzień po rozmowie Lucji z cesarzem, przybył na Palatyn kurier z piórami na włóczni, wieszczącymi niepowodzenie. Wyśłannik ów przywiózł depeszę z placu boju.

Domicjan zamknął się w swym gabinecie i zaczął studiować raporty. Jego marszałek

Fuskus doznał druzgocącej porażki. Dał się królowi Diurpanowi wciągnąć głęboko w kraj Daków, gdzie większość jego armii została rozgromiona. Legion dwudziesty piąty, zwany *rapax*, został całkowicie wyrżnięty w pień.

Domicjan ujął machinalnie puszkę, w której przechowane były nieszczęsne depesze, podniósł ją do góry, znowu odłożył na miejsce. Papiery w niej zawarte leżały częściowo spiętrzone bezładnie na stole, częściowo spadły na podłogę.

Domicjan wziął kilka spośród nich, zmiął je, potem wygładził i znowu położył na stole. Za tego Fuskusa, który dał się pokonać, odpowiadał tylko i wyłącznie on sam. Powierzył mu naczelne dowództwo, choć odradzali mu to Frontin i Annius Bassus, którzy ostrzegali przed szaleńczą odwagą Fuskusa, mającą cechy awanturnika. Ale Domicjan nie dał się przekonać. Odwaga Fuskusa miała równoważyć rozważę Bassusa i Frontina. Sam ponosi winę za tę klęskę.

Mimo to obliczenie jego było słuszne. Ciągłym czekaniem nie dochodzi się do celu. Legiony były wypróbowane w walkach, dobrze wyposażone, ryzykowna wyprawa mogła równie dobrze skończyć się pomyślnie. To nikczemność ze strony losu, że dopuścił do tak niepomyślnego końca.

Czy był to przypadek? A może to cios, wymierzony osobiście w niego? Twarz Domicjana znieruchomiała nagle, nabrała wyrazu niemal głupkowatego. To, co się wydarzyło tam na Wschodzie, nie było przypadkiem; był to akt zemsty, była to zemsta Boga, zemsta owego Boga Jehowy. Nie miał prawa skazywać arcykapłana Jehowy na tak długie czekanie. Ów Bóg Jehowa jest potęgą na Wschodzie, jemu na złość podszeptną Diurpanowi podstępą strategię.

Istnieje jedno jedyne wyjście: odwrót, szybki odwrót. Domicjan nie jest taki głupi, żeby wojować dalej z Bogiem Jehową. Jak najspieszniej, bez jakichkolwiek zastrzeżeń zakończy raz na zawsze zatarg, w który mimo woli popadł z tym Bogiem. Przyjmie tego arcykapłana. Powie mu, żeby sobie w dalszym ciągu rządził szczęśliwie swoją śmieszłą akademią.

Kiedy Kryspin stawiał się następnego ranka, cesarz zapytał go z groźną uprzejmością:

— Zamówiłeś mi na dziś arcykapłana i jego świtę?

— Nie wiedziałem — odparł Kryspin, całkowicie zbity z tropu — nie chciałem zmieniać twojej decyzji, cesarze...

— Co to znaczy, żeś ty nie chciał? — przerwał Domicjan gwałtownie. — Ja chcę tego, czy to nie wystarczy? Na Herkulesa, jakiego durnia zrobiłem ministrem!

— Zaproszę więc arcykapłana na jutro — zaproponował ostrożnie Kryspin.

— Na jutro? — ryknął cesarz. — Jakże mam znaleźć do jutra rozwiązanie, które by powetowało zniewagę, wyrządzoną temu arcykapłanowi i jego Bogu przez twoją głupotę? Powiedz, niech przybędzie od dziś za cztery dni! — polecił szorstko marszałkowi. — I do Albanum.

— Do Alba? — zapytał Kryspin ze zdumieniem. Oficjalne przyjęcia posłów zagranicznych odbywały się dotychczas na Palatynie; to, że cesarz postanowił przyjąć tego Żyda w swojej posiadłości pod Rzymem, było sprzeczne ze zwyczajem. — Do Alba? — zapytał więc Kryspin raz jeszcze, sądząc, że się przesłyszał.

Cesarz potwierdził jednak:

— Tak, do Albanum. A dokądże indziej?

Już następnego dnia pojechał do Albanum. Było upokarzające, że jednak musi przyjąć tego arcykapłana i jego Żydów; te draby uznają to z pewnością za przyznanie się do klęski. Musi znaleźć coś, co by poskromiło ich pychę, zatrulo radość z powodu uratowania akademii. Trzeba jednak postępować ostrożnie; jak się okazało, ów niepokojący, niewidzialny Bóg Jehowa jest piekielnie mściwy.

Niestety, nie może na ten temat naradzać się ze swoimi ministrami. Sprawa jest zbyt

delikatna i zbyt trudna zarówno dla prostego żołnierza Annusza Bassusa, jak dla wytwornego wartogłowa Kryspina, jak i dla gwałtownego Norbana. Marull i Reginus prędzej zrozumieliby, o co chodzi, nie są jednak bezstronni. Nie, Domicjan może tutaj radzić się jedynie samego siebie.

Snuje się po ogrodach. Długo stoi przed klatką z panterą, piękne zwierzę spogląda na niego swymi żółtymi, sennymi, groźnymi oczyma. Fantazja cesarza pozostaje nadal bezpłodna. Tym razem zawodzi go pogarda dla ludzi, która w podobnych wypadkach nasuwała mu świetne pomysły. Nie, znajduje nic, czym mógłby zranić Żydów, nie narażając się na uzasadnioną zemstę ich Boga.

Wezwał Messalina do Albanum. Spacerował z nim teraz po wielkim, kunsztownie założonym parku. Udawał, że stara się usilnie oszczędzić ślepcowi potknięć, ale obserwował nie bez zadowolenia, jak Messalin potyka się od czasu do czasu i jak lękliwie to ukrywa. Kroczący z tyłu karzeł Silen naśladował dostojne ruchu Messalina.

Domicjan zaprowadził swego gościa do podziemnego sklepienia — coś jakby obszernej piwnicy. Olbrzymi pałac, wznoszony od lat dziesięciu, wciąż jeszcze nie był gotów; Domicjan nie wiedział, na co architekci przeznaczyli ów nie dokończony, zaniedbany loch. Kilka stromych stopni prowadziło w dół, grunt był wyboisty, w kącie leżała kupa piasku, podziemie było mroczne i wilgotne, co kontrastowało niemile z pogodnym jesiennym dniem.

Domicjan przepędził karła, podprowadził Messalina w stronę niskiego podium i wskazał mu tam miejsce. Sam usadowił się obok niego na ziemi. Tkwili więc obaj w ciemnej, zapleśniałej jamie, cesarz prosił ślepcę o pomoc w swoim trudnym sporze z Jehową. Tak, z tym ślepcem może mówić: jest jeszcze bardziej ponury od niego i jeszcze bardziej niż on wrogi ludziom. Dzieli się z Messalinem szczerze tym, co mu leży na sercu, co go zżera gniewem. Musi pozostawić Żydom ich akademię, przyjąć arcykapłana, niestety nie może się od tego wykręcić. Co ma jednak zrobić, żeby czcigodnemu rabbi zmącić radość z powodu oszczędzenia akademii, nie ściągając na siebie zemsty jego Boga?

Messalin siedzi na podium, swoim zwyczajem skłonił ucho w stronę mówiącego. W mroku, w którym widoczne są tylko kontury, rosły starzec wydaje się jeszcze wyższy. Cesarz przestał mówić, ale Messalin tkwi wciąż w miejscu nieruchomo, nie otwiera ust. Domicjan wstaje. Cichymi krokami, by nie mącić rozmyślań swego doradcy, chodzi tam i z powrotem po nierównym gruncie podziemia. Pełno tu robactwa, łażą stonogi, przemyka się salamandra.

Po chwili Messalin zaczyna przyoblekać swe myśli w słowa.

— Nie jest dla nas rzeczą łatwą — zaczyna ten ślepy, ponury olbrzym głosem niezwykle jasnym, miłym i uprzejmym — zrozumieć żydowskie spory i zabobony. O ile mi wiadomo, najgwałtowniejsi przeciwnicy tej akademii w Jawneh nie znajdują się wśród Rzymian, lecz wśród samych Żydów. Są to wyznawcy pewnej sekty żydowskiej, owi ludzie, którzy w ukrzyżowanym niewolniku, niejakiem Chrystusie, widzą swego Boga. Nazywają ich nazareńczykami lub chrześcijanami. Z pewnością słyszałeś o nich, boże mój i panie. O ile mogłem się zorientować z mętnych wypowiedzi, różnica między zabobonami tych chrześcijan i zabobonami reszty Żydów polega na tym, że jedni, chrześcijanie, uważają, iż zbawiciel, który w ich języku zwię się Mesjaszem, już się pojawił, i to w postaci owego ukrzyżowanego niewolnika, którego czczą jak boga. Drudzy utrzymują, że obiecany przez ich Boga zbawiciel dopiero się zjawi. Spory te same przez się sp nam obojętne, ale niewątpliwie one to są przyczyną wrogiego stosunku chrześcijan do akademii w Jawneh. Możemy stąd wnosić, że nadzieja na przyjście Mesjasza jest najważniejszą nauką tej akademii. Twierdzą, iż to Jawneh ma wpływy polityczne. Jeżeli jest to zgodne z prawdą, polityka ta będzie pozostawała w związku z nauką o Zbawicielu, który ma się zjawić.

Kiedy ślepiec zaczął mówić, Domicjan przystanął i słuchał z uwagą. Teraz znowu usiadł

na ziemi.

— Jeżeli cię dobrze rozumiem, mój Messalinie — powiedział zamyślony — to właśnie ten Zbawiciel, ten Mesjasz byłby tym człowiekiem, który chce zbuntować przeciw mnie moją prowincję Judeę, prawda?

— To właśnie miałem na myśli, boże mój i władco, Domicjanie — powiedział ślepiec uprzejmie. — I żaden bóg nie mógłby wziąć ci za złe, gdybyś się temu oparł i bronił swej prowincji Judei przeciw temu Mesjaszowi.

— Ciekawe, bardzo ciekawe — przyznał cesarz. — Gdyby więc można było ugodzić tego Mesjasza — rozważał — ugodziłoby się również arcykapłana, i w dodatku bezkarnie. Mam wrażenie, że jesteś na dobrym tropie, mój przemyślny Messalinie. — Ponieważ Messalin nic na to nie odpowiedział, ciągnął dalej: — Zbawiciel, Mesjasz. Może jakichś informacji mógłby nam udzielić Żyd Józef, który swego czasu powitał mojego ojca jako Mesjasza, choć nie wiem, jak dalece to było podstępne. W każdym razie niełatwo będzie wydobyć coś z tego Żyda na temat ich nauk tajemnych, każdy Żyd to buntownik. Mimo to wyczuwam, że rada twoja, Messalinie, jest bardzo cenna. Czy chcesz pomagać mi w dalszym ciągu na tej drodze?

— Gdyby ów Mesjasz był istotą niewidzialną — odparł Messalin — jak Bóg Jehowa, to obawiam się, że nie potrafiłbym ci pomóc, cesarzu Domicjanie. Obrona przez ciebie droga okazałaby się fałszywa; wtedy bowiem nie byłby to żaden ziemski pretendent i Jehowa miałby prawo go bronić, zwalczając równocześnie ciebie. Gdyby jednak Mesjasz miał być istotą z krwi i kości, uchwytną i widzialną, wtedy znalazłyby się przeciw niemu prawa, wtedy odszukalibyśmy go; wtedy unieszkodliwimy tę akademię w Jawneh oraz tego, co się za nią kryje.

— Ciszej, ciszej! — rzekł Domicjan przytłumionym głosem — nie mów tak głośno, mój Messalinie. Myśl to sobie, ale nie wypowiadaj głośno właśnie dlatego, że mógłbyś mieć rację! W każdym razie dziękuję ci — ciągnął dalej, rozpogodzony. — Zechciej, proszę, pomyśleć, czy i jak możemy takiego Mesjasza wytropić. Niech ci coś prędko przyjdzie do głowy, mój Messalinie. Nie zapominaj, że sprawa ta dręczy mnie, że nie będę spokojnie spał, zanim nie zostanie załatwiona.

Messalin wrócił do Rzymu, ale zameldował się już po upływie dwóch dni.

— Wywęszyłeś coś? — zapytał Domicjan.

— Nie odważyłbym się — odparł Messalin — stanąć przed obliczem władcy i boga z pustym mózgiem i językiem. Oto, co ustaliłem: Mesjasz, który znowu ma wznieść Żydom ich Świątynię i państwo i wyrwać cesarzowi rzymskiemu prowincję Judeę, nie ma w sobie nic nadprzyrodzonego. Jest z krwi i kości, policja może go ująć. W dodatku posiada pewien znak szczególny. Zdaniem bowiem Żydów, Mesjasz, który ma prawo zgłaszać pretensję do ich tronu, musi pochodzić z rodu starego króla żydowskiego, niejakiego Dawida. Tylko taki, twierdzi akademia wraz ze wszystkimi Żydami, może być ich królem i Mesjaszem. Ukrzyżowany niewolnik żydowski, którego nazareńczycy czczą jak boga, miał być również potomkiem starodawnego króla żydowskiego. Opowiadano mi, że potomkowie owego rodu istnieją po dziś dzień. Dokładnych cyfr zdobyć nie mogłem. Ma ich być bardzo niewielu. Są to ludzie różnych stanów. Podobno jest wśród nich rybak, cieśla, ale jest także kapłan i wielki pan. W każdym razie można ich wytropić, ująć, a wraz z nimi można pochwycić polityczną siłę, ożywiającą akademię w Jawneh.

— To są cenne wiadomości, mój Messalinie — powiedział Domicjan z uznaniem — to ważna wskazówka. Sądzisz więc, że wystarczyłoby tylko dostać do ręki potomków owego króla żydowskiego i zacisnąć tę rękę, by akademia w Jawneh została zlikwidowana? A może również — dodał nieśmiało i chciwie — dałoby się zniszczyć kryjącą się za nią niewidzialną siłę.

— Uważałbym za wskazane — odparł ślepiec jasno brzmiącym, miękkiem głosem —

unieszkodliwienie tych ludzi. Napięcie polityczne w Judei zmniejszyłoby się wtedy niewątpliwie.

— A więc sądzisz, mój Messalinie — wypytywał Domicjan dalej — że nie byłoby trudno wytropić ludzi, którzy wedle niepisanego prawa roszczą sobie pretensje do tronu żydowskiego?

— Nie tak znów bardzo łatwo — rozważał Messalin. — To nauka tajemna, nic z niej nie figuruje na piśmie. Nie ma list — powiedział z uśmiechem. — Poza tym niewiele sobie robią z tych potomków Dawida; potomkowie ci nie kryją się wprawdzie ze swym powołaniem, ale nie ujawniają go również zbyt jaskrawo. Ci ludzie mają w sobie coś śmiesznego. Są bowiem, jak głosi fama, powołani, ale ostatecznie wybrany jest tylko jeden, i to chyba tylko jako ojciec lub pradziad bardzo zapewne odległego potomka.

— Dziękuję ci, mój Messalinie — odparł cesarz. — Polecę Norbanowi i gubernatorowi Pompejuszowi Longinowi wszczęcie poszukiwań. Ponieważ jednak, jak powiedziałaś, zadanie nie jest łatwe, byłoby dobrze, mój Messalinie, gdybyś sam zajął się nimi i próbował wysledzić, kto podpada pod kategorię owych Mesjaszów.

— Jestem do dyspozycji mego cesarza — rzekł ślepiec.

i

Delegaci żydowscy ruszyli do Albanum w dwóch pojazdach. Towarzyszył im Józef, któremu cesarz polecił stawić się w Albanum wraz z arcykapłanem i jego świtą.

Gamaliel i Józef siedzieli w pierwszym pojeździe razem z ben Ismaelem i Chilkiasem, reprezentantem kierunku łagodniejszego, bardziej umiarkowanego. Gamaliel miał na sobie rzymską szatę galową. Mimo brody wyglądał zazwyczaj bardzo po rzymsku: dziś zdawał się jak gdyby przebrany. Nie robił wrażenia polityka na skalę światową, za którego uchodził w Rzymie i w Judei, lecz raczej jednego z owych Żydów fanatyków, zatopionych w rozmyślaniach, którzy nie zwracają uwagi na otoczenie i pochłonięci są całkowicie swym Bogiem Jehową. Czcigodny rabbi szukał istotnie owego Boga w drodze do Albanum. Zaklinał go, modlił się żarliwie: „Panie, natchnij mnie właściwymi słowami w obliczu tego Rzymianina! Panie, pozwól, bym pomyślnie poprowadził sprawę Twego ludu! Panie, nie ze względu na mnie i na nas, lecz przez wzgląd na przyszłe pokolenia obdarz mocą mnie i moje słowa!”

W pierwszym pojeździe zachowywano się milcząco, natomiast w drugim panowało ożywienie. Przyczyniali się do niego reprezentanci surowszego kierunku Jawneh, rabbi Helbo i Szymon, zwany Tkaczem. W gniewnych słowach dawali wyraz wyrzutom sumienia, że mimo ich sprzeciwu, musieli dziś właśnie, w przeddzień sabbatu, jechać do cesarza. Może się zdarzyć bardzo łatwo, że powrót nastąpi późnym wieczorem, a więc już gdy zaczyna się sabbat. A rytuał zabrania przecież jeździć w sabbat. Całe przedsięwzięcie było więc z góry zagrożone, gdyż wystawiano się na niebezpieczeństwo przekroczenia Zakonu Mojżeszowego. Gdyby od nich zależało, oświadczone by cesarzowi, że deputacja zjawi się u niego dopiero za dwa dni. Ale Gamaliel złamał ich opór, nadużył swego autorytetu, zmusił ich do zajęcia miejsc w pojeździe oraz dopuścił się dalszego gwałtu, zmuszając ich do zamienienia tradycyjnego stroju żydowskiego na przepisany strój galowy. Prowadzili namiętą debatę teologiczną, zastanawiali się nad tym, przeciwko ilu spośród trzystu sześćdziesięciu pięciu zakazów jazda ta wykracza, ile z dwustu czterdziestu ośmiu nakazów trzeba będzie zaniedbać pod jej presją. W dodatku czcigodny rabbi zabiera jeszcze ze sobą do cesarza tego kacerza, Józefa syna Mateusza, człowieka, który zdradził Izrael na rzecz Edomu. W tych okolicznościach zwolennicy surowego kierunku muszą być podwójnie nieugięci i nie wolno im dopuścić, by Gamaliel podczas audiencji uległ swej niebezpiecznej skłonności do kompromisów i rozwodnił zasady Jawneh.

Czcigodny rabbi, zdziwiony już tym, że nie wezwano go na Palatyn, lecz do Albanum, był podwójnie zdziwiony przyjęciem, jakie mu wraz z jego orszakiem zgotowano. Nasłuchał się

niemało o błyskotliwym, skomplikowanym ceremoniale, towarzyszącym audiencjom u cesarza. Tu, w Albanum, nie wprowadzono go wraz z orszakiem ani do przedsionka, ani do sali audiencjonalnej, lecz cała delegacja została okrężnymi drogami skierowana przez park, przez ozdobne ogródki, przez mosty i mostki, mijając stawy, grupki strzyżonych drzew oraz kwiaty na klombach.

Był kapryśny dzień jesienny, po niebieskim niebie sunęły ciężkie, białe chmury. Przybyszom zeszywniały nogi od długiego siedzenia w pojeździe. Teraz dreptali niezgrabnie po niezliczonych ścieżkach, prowadzono ich w górę i na dół, przez tarasy, przez nie kończące się kręte schody.

Wreszcie ukazał się cesarz w otoczeniu kilku osób. Józef rozpoznał ministra policji Norbana, ministra wojny Anniusza Bassusa oraz przyjaciela cesarza, senatora Messalina. Domicjan był w lekkim szarym płaszczu, pod wpływem świeżego powietrza twarz miał jeszcze bardziej zaczerwienioną niż zazwyczaj, wydawało się, że jest w dobrym humorze.

— A więc zjawili się uczeni z Jawneh — powiedział z ożywieniem swym wysokim głosem. — Nie chciałem dłużej zwlekać, o świątobliwy — zwrócił się do Gamaliela. — Nie chciałem czekać nawet dwóch godzin, nawet do końca inspekcji moich nowych budowli. Ale musisz mi pozwolić, żebym podczas rozmowy z tobą dalej załatwiał swoje sprawy. Oto — przedstawił — moi architekci Growiusz i Larinas; nazwiska ich są ci chyba znane. A teraz będziemy gawędzić, a ja dalej przeprowadzę inspekcję. Obejrzymy sobie naprzód mały teatr letni, który właśnie wznoszę dla cesarzowej.

Znowu ruszyli w drogę. Towarzyszący mu Żydzi, zmrozeni dziwnym przyjęciem, dreptali niezgrabnie dalej. Czuli dobrze, że nie harmonizują z tym otoczeniem. Kiedy tak szli, cesarz, który stapał ciężko, sztywno, niby na szczydłach, powiedział przez ramię do rabbi Gamaliela:

— Słyszę ciągle o waszym uniwersytecie w Jawneh. Dochodzą mnie skargi, że ta uczelnia to ognisko buntu. Byłbym ci bardzo zobowiązany, o świątobliwy, gdybyś mnie pod tym względem pouczył.

Arcykapłan był człowiekiem giętkim, umiejącym się zastosować do każdej sytuacji. Trzymając się skrupulatnie o pół kroku za cesarzem, odparł:

— Nie pojmuję, dlaczego nasza spokojna praca w Jawneh miała by dawać powód do takiej gadaniny. Cała nasza działalność polega na interpretacji starych nauk naszego Boga, na dostosowaniu ich do warunków naszej nowej, apolitycznej, czysto religijnej wspólnoty, na ustaleniu przepisów, które by cesarzowi oddawały to, co cesarskie, a Bogu naszemu, Jehowie, to, co boskie. Główna nasza zasada brzmi: „Ustawy państwa są również ustawami religijnymi.” Dzięki tej zasadzie raz na zawsze usunęliśmy z drogi jakiegokolwiek spory kompetencyjne i konflikty sumienia.

Orszak dotarł tymczasem do terenu budowy. Fundamenty małego teatryku były już położone. Cesarz przyglądał się im; trudno było stwierdzić, czy słowa arcykapłana doń dotarły. W każdym razie chwilowo nie odpowiadał, lecz zwrócił się do swoich architektów:

— Widok ponad sceną tego teatru na morze jest jeszcze piękniejszy, niż przypuszczałem. Ale może, zgodnie z moją pierwotną propozycją, należało jednak zbudować scenę o jakieś dwa metry szerszą. — Powiedziawszy to zwrócił się obcesowo i szorstko do Gamaliela:

— A może wasze piękne słowa to tylko teorie? Czy nauka wasza nie jest w swej istocie wroga państwu? Czy Bóg wasz nie jest również waszym królem? Czy zatem Jego prawa nie przekreślają z góry praw senatu i narodu rzymskiego? Czy przywódcy nikczemnego buntu nie powoływali się również i na was, i na waszą naukę?

Z kolei zabrał głos architekt Larinas:

— Gdybyśmy scenę poszerzyli, teatrzyk utraciłby charakter pieścidelka, który kazał mu nadać władca i bóg Domicjan.

Arcykapłan oświadczył:

— Rzuciliśmy anatemę na tych, którzy się przyłączyli do buntu.

Na to cesarz:

— Obejrzę sobie budowlę z boku. Nie sędzę, mój Larinasiu, żebyś miał rację.

Okrażono więc mały teatrzyk. Po drodze Annius Bassus pokpiwał sobie w swój jowialny, głośny sposób z judejskich delegatów:

— Tak, moi czcigodni rabbi, to prawda, żeście rzucili anatemę na buntowników, ale dopiero wtedy, kiedy powstanie skończyło się klęską, a buntownicy nie żyli.

Cesarz przyglądał się budowli.

— Masz rację, mój Larinasiu — zdecydował — pomyliłem się. Teatr straciłby swój charakter, gdyby scena była większa.

Rabbi Chilkius odparł uprzejmie Anniusowi Bassusowi:

— Mogliśmy rzucić anatemę na buntowników dopiero wtedy, kiedy już nie żyli, gdyż formalności i ogłoszenie anatemy, nawet przy największym pośpiechu, wymagają co najmniej sześciu tygodni.

— No tak — powiedział cesarz — a teraz pokażcie mi pawilon.

Znowu ruszyli w drogę. Po jakimś czasie stanęli przed małym budynkiem o niezwykle misternej i lekkiej architekturze.

— Czy możesz wyobrazić sobie, o świątobliwy — zwrócił się łaskawie cesarz do czcigodnego rabbi, wskazując wysmukłe kolumny — jak to będzie wyglądało po skończeniu? Jak gdyby utkane z lekkich, powiewnych koronek, prawda? Wyobraź sobie, jak to będzie strzelało w upalne, niebieskie letnie niebo! Na Herkulesa, mój Growiuszu, świetnie to zrobiłeś. No tak, a jakże wygląda sprawa z waszym Mesjaszem? — zagadnął znowu Gamaliela. — Mówiono mi, że głosicie podejrzaną naukę o tym Mesjaszu, który ma się zjawić, zostać waszym królem i znowu odbudować wasze państwo. Jeżeli słowa mają jakiś sens, mogą one znaczyć jedynie, że ów Mesjasz przeznaczony jest na to, by mi wydrzeć moją prowincję Judeę.

Delegaci akademii w Jawneh drgnęli, kiedy cesarz nagle wspomniał o Mesjaszu.

Domicjan mówił po grecku. Była to uprzejmość wobec gościa ze Wschodu, lecz niektórzy z nich z trudem go rozumieli. Ale wszyscy zrozumieli ostatnie zdania oraz ich złowrogość. Stali brodac, bezradni, czuli się nieszczęśliwi w otoczeniu, do którego nie nawykli. Smukły pawilon kontrastował jaskrawo z ich ociężałymi postaciami.

Tylko arcykapłan zachował zwykłą sobie postawę.

— Przyjście Mesjasza — oświadczył — to przepowiednia natury ogólnej, nie mająca nic wspólnego z polityką. Mesjasz to manifestacja Boga poza wszelkimi pojęciami realnymi, należy do świata czysto duchowego. Cezar winien go traktować jak jedną z idei Platona. Są oczywiście ludzie, którzy z nauką Mesjasza łączą wyobrażenia realne. Ludzie ci zwą się chrześcijanami albo nazareńczykami; nazwa chrześcijanie pochodzi od greckiego imienia Mesjasza. Wyciągają oni z przepowiedni konsekwencje praktyczne. Oddają cześć Mesjaszowi, ucieleśnionemu Mesjaszowi z krwi i kości. Natomiast my — oświadczył dostojnie i stanowczo — my, akademii i kolegium w Jawneh, odtrąciliśmy od siebie tych ludzi uważając ich za kacerzy. Nie mamy nic wspólnego z tego rodzaju wyznawcami Mesjasza.

— Szkoda — rzekł Domicjan — że nie będę mógł zbyt często korzystać z pawilonu. Właśnie latem głupie względy reprezentacyjne zmuszają mnie do wydawania wielkich przyjęć. Ale ten pawilon to swego rodzaju cud. — Potem powiedział bardzo łagodnie zwracając się do

arcykapłana: — Teraz, o świętobliwy, to mnie trochę oszukałeś. Jestem lepiej poinformowany, niż przypuszczasz. Ci, co wierzą w Mesjasza, o których mówisz, twoi chrześcijanie, twierdzą przecie, że Chrystus umarł; ich ukrzyżowany Bóg niełatwo byłby mi odebrać prowincję Judeę i ludzie ci nie są pod tym względem groźni. Natomiast wasz Mesjasz, na którego dopiero czekacie, budzi nadal niepokój.

Między przybyszami z Jawneh zapanowało widoczne zamieszanie.

— Przepowiednia przyjścia Mesjasza — próbował wyjaśnić Gamaliel — dotyczy dalekiej przyszłości. Państwo, które on ma stworzyć, przekuje miecze swe na lemiesze. Lew, wilk i niedźwiedź paść się tam będą razem z jagnięciem. — Widzisz, cesarze — zakończył — że chodzi tu o utopię religijną, nie mającą nic wspólnego z polityką realną.

Rabbi Chilcias pospieszył Gamalielowi na odsiecz.

— Jedno jest pewne — powiedział. — Mesjasz przyjdzie. Kiedy to nastąpi i jakie będą jego funkcje, to sprawy, które każdy może sobie wyobrazić po swojemu.

Już podczas przemówienia Gamaliela niektórzy spośród rabbich zaczęli szeptać między sobą. Uważali za rzecz wręcz występłą, nie do zniesienia, żeby przez powołane usta tak ważne zasady ich wiary były interpretowane tak dwuznacznie, a nawet po prostu zaprzeczane. Toteż ledwie rabbi Chilcias skończył, rabbi Helbo zaczął prostować jego słowa, a przede wszystkim to, co powiedział arcykapłan. Niskim, drżącym głosem, niezgrabnie, źle po grecku rzekł:

— Może to być dalekie, może być bliskie, może być tak albo inaczej, ale dzień ten nadejdzie. Nadejdzie niewątpliwie — powtórzył gburowato, groźnie i skierował starcze, gniewne oczy najpierw na arcykapłana, potem na cesarza.

Nastąpiło kłopotliwe milczenie.

— Ciekawe — rzucił Domicjan. — Ciekawe.

Usiadł na stopniach pawilonu, założył niedbale nogę na nogę; jak to przyjemnie, że zamiast odświętnych trzewików na wysokich podszwach mógł włożyć wygodne sandały. Ruszając nogą ciągnął dalej:

— Chciałbym usłyszeć więcej na ten temat. — Zwrócił się w stronę Gamaliela i grożąc mu palcem powiedział wciąż jeszcze bardzo łagodnie: — A ty mi mówisz, że wasz Mesjasz to utopia, idea platońska! — Dalsze słowa skierował do starego, gburowatego Helbo:

— Przyjdzie dzień. Jakiż to dzień, proszę? „Nadejdzie dzień, w którym zapadnie się święty Ilion” — zacytował Homera. — Jaki Ilion masz na myśli, czcigodny rabbi? Rzym? — zapytał.

Przybysze z Jawneh stali teraz nieco stropieni. Rzymianie spoglądali na nich, czekali na odpowiedź. Cesarz nie wykorzystał ich zakłopotania, przerwał kłopotliwe milczenie i ciągnął dalej z niezwykłą u niego jowialnością:

— Niektórzy spośród was wyobrażają sobie widać tego Mesjasza nie jako coś czysto duchowego, lecz jako istotę z krwi i kości. Na przykład obecny Józef Flawiusz nazwał swego czasu Mesjaszem ojca mego, boga Wespazjana. Nie sądziłeś chyba, mój Flawiuszu Józefie — spojrzał teraz na Józefa łagodnie, drwiąco i niepokojąco zarazem — że ojciec mój zechce tak obłaskawić wilki i lwy, żeby pasły się razem z jagniętami? Mniejsza o to — zwrócił się znowu do rabbich — ten rycerz Flawiusz Józef uprawia jako swój główny zawód żołnierkę, literaturę, politykę, a jedynie ubocznie zajmuje się teologią i prorocत्वami; zostawmy mu więc jego interpretację. Ale wy, czcigodny rabbi, jesteście interpretatorami zawodowymi i rzecznikami Jehowy. Proszę o jasną, niedwuznaczną odpowiedź: kim względnie czym jest wasz Mesjasz? Proszę o wyjaśnienie tak jednoznaczne, jakiego wymagam od raportów moich urzędników.

— Napisane jest u proroka naszego Izajasza — rozpoczął rabbi Helbo: — „Bo z Syjonu wynidzie Zakon, a Słowo Pańskie z Jeruzalem. I będzie sądził narody, i będzie strofował ludzi

wiele.”

Szerokie usta rabbiego wypowiedziały te słowa gniewnie i groźnie.

— Ależ, bracie mój i panie — przerwał mu gwałtownie rabbi Chilkias — to tylko połowa prawdy, która nabiera sensu dopiero w następnych zdaniach. Napisane jest bowiem u tegoż proroka: „Mało na tem, abyś mi był sługą na wzbudzenie pokoleń Jakubowych i na nawrócenie drożdzy Izraelowych; oto dałem cię na światłość narodów, abyś był zbawieniem mojem aż do kończyn ziemi.”

— Nie zniekształcaj znaczenia słów, bracie mój i panie — upierał się rabbi Helbo — nie podkreślaj tego, co uboczne, nieistotne. Czy nie jest napisane u proroka Michy: „Będzie sprawował sądy między wielkimi narodami i w dalekich krajach będzie karał licznych pogan.”

Ale rabbi Chilkias upierał się przy swoim:

— To ty zniekształcasz, i to po raz drugi. Opuszczasz bowiem dalsze słowa proroka Michy: „I każdy żyć będzie bez strachu pod swoją winną latoroślą i swoim drzewem figowym.”

Rabbi Helbo pospieszył na odsiecz rabbi Szymonowi, zwanemu Tkaczem, który miał te same poglądy co on.

— A jakże wygląda sprawa — zapytał zaczepnie — z Gogiem i Magogiem, których Mesjasz najpierw pokona? — Wszyscy wdali się teraz w ożywioną debatę. Zapomnieli, że znajdują się w ogrodach Albanum przed obliczem cesarza, byli w Jawneh, w swojej sali wykładowej, przeszli z języka greckiego na aramejski, głosy ich brzmiały gorączkowo i gniewnie. Cesarz wraz ze switą słuchał w milczeniu, nie zdradzając się, jak go to bawi.

— Muszę przyznać, że niewiele się z tego dowiedziałem — rzekł wreszcie.

Na to wtrącił się Messalin i zapytał łagodnym głosem:

— Czy mogę spróbować wyjaśnić czcigodnym rabbi, czego właściwie chce od nich nasz władca i bóg? Cesarzowi chodzi o to, moi panowie, by mógł dowiedzieć się od was, uważając was za autorytet, czy istnieją ludzie z krwi i kości, ludzie o ściśle określonych imionach, miejscach zamieszkania i datach urodzenia, którzy nadają się na to, by któryś z nich stał się oczekiwanym przez was Mesjaszem? Opowiadano mi, że wychodzą wszyscy, z założenia, iż oczekiwany Mesjasz musiałby pochodzić z rodu waszego króla Dawida. Czy dobrze mnie poinformowano, czy też błędnie?

— Tak — powiedział cesarz z ożywieniem — to ciekawe. Czy krąg tych, spośród których ma przyjść oczekiwany przez was Mesjasz, jest ściśle zamknięty? Czy ogranicza się tylko do potomków króla waszego Dawida? Proszę o wyraźną odpowiedź — zażądał od arcykapłana.

Gamaliel odparł:

— Jest tak i nie jest. Nasze Pismo święte posługuje się często poetycką parafrazą. Jeżeli wśród naszych proroków ten lub ów oświadcza, że przyjdzie do nas Mesjasz z rodu Dawida, jest to celowo wyrażone mgliście i winno być rozumiane w przenośni. Cały świat pojęć otaczający Mesjasza jest poetycki, niewiele ma wspólnego z rzeczywistością, która dałaby się utrwalić w aktach i listach — zakończył z uśmiechem światowca.

Ben Ismael skierował szlachetną, pooraną zmarszczkami, jakby wyżłobioną z kości słoniowej twarz w stronę cesarza, spojrział starymi, zapadniętymi, zmęczonymi oczyma i oświadczył:

— Tak, chodzi tu o rzeczywistość wyższego rzędu. Ten, kto opowiada o Mesjaszu szczegóły, mówi tylko częściowo prawdę, a więc to, co stwierdza, jest poniekąd fałszywe. Nauka bowiem o Mesjaszu jest różnorodna, nie można jej pojąć rozumem; da się jedynie przeczuć. Tylko prorok ją widzi. Jedno jest wszakże pewne: Mesjasz, który ma przyjść, będzie łącznikiem pomiędzy Bogiem a światem. Posłannictwo jego nie obejmuje jedynie Izraela, rozciąga się na

całą kulę ziemską i jej ludy.

— Ależ wcale tak nie jest — oświadczył brutalnie zawzięty fanatyk rabbi Helbo — i ty, ben Ismaelu, wiesz, że tak nie jest. Objawione zostały szczegóły o Mesjaszu — zwrócił się do Messalina — tak wyraźne, że nie można ich zaciemnić; nawet wy, Rzymianie, możecie je zrozumieć. Mesjaszem będzie potomek Dawida. Oto prawda. Dobrze cię poinformowano, mój panie.

— Dziękuję — rzekł Messalin.

— Jednak to, coś przepowiadał memu ojcu, Flawiuszu Józefie — rzekł cesarz uprzejmie — nie jest zgodne z tymi słowami. Jeżeli bowiem chodzi o nasze pochodzenie, to wywodzimy się od Herkulesa, a nie od Dawida.

Dookoła rozległ się stłumiony śmiech; śmiech ten brzmiał dość niewinnie, arcykapłan odetchnął więc z ulgą. Józef również odetchnął mimo doznanego upokorzenia, rad, że niebezpieczeństwo, grożące akademii w Jawneh i nauce, zdaje się, zostało zażegnane.

— Władca i bóg Domicjan — bronił się Józef słysząc tak sprzeczne zdania czcigodnych rabbi — rozumie chyba, że przepowiednie dotyczące Mesjasza są mgliste, oparte przede wszystkim na uczuciu. To, co czułem wtedy, kiedy oddawałem hołd władcy i bogu, było szczere. Wypadki stwierdziły, że miałem słuszną, szczerą się tym, że wówczas nazwałem cesarza Wespazjana Mesjaszem.

Z gardła rabiego Helbo wydobył się głęboki, gniewny pomruk. Jeżeli bluźnierstwem było już to, że ów Józef syn Mateusza, będący nadal Żydem, tytułował cesarza pogan władcą i bogiem, to bluźnił teraz podwójnie, raz jeszcze nazywając zmarłego cesarza Wespazjana, wroga Jehowy, Mesjaszem, i to w obecności arcykapłana i rabbich z Jawneh. Helbo chciał więc powiedzieć teraz coś druzgocącego. Jednakże ani Anniusowi Bassusowi, ani Norbanowi, ani Messalinowi nie podobało się, że rozmowa zesła na tak przebrzmiałe tematy. Zależało im na tym, żeby wydobyć od rabbich definicje, które można by później zastosować i wykorzystać dla pewnych celów praktycznych.

— Jedno musimy uznać jako pewne — zreasumował Annius Bassus. — Prosty Żyd zalicza do kręgu tych, spośród których przyjdzie Mesjasz, każdego z synów Izraela pochodzącego z rodu Dawida.

— Tak jest — przyznał gniewnie rabbi Helbo.

— A więc — oświadczył z zadowoleniem minister policji Norban — mamy bądź co bądź coś namacalnego i uchwytnego.

— Czy istnieją tacy potomkowie? — pytał dalej ślepy Messalin. — Czy są znani? Czy jest ich wielu? Gdzie się znajdują?

Poza Józefem i Gamalielom nikt spośród Żydów nie orientował się w tym, jaką mętną funkcję spełniał ten senator Messalin. Mimo to wstrząsnął kapłanami dreszcz. Wyczuli złowrogi, ukryty sens jego pytania, wypowiedzianego łagodnym tonem, zdali sobie sprawę, że to najniebezpieczniejsza chwila tej brzemienną w skutki rozmowy, najbardziej groźny moment ich ryzykownej podróży do Rzymu. Co odpowiedzieć? Czy mają wydać na pastwę tego złowrogięgo poganina, a swego cesarza, nazwiska potomków Dawida? Ci, których lud uważa za potomków Dawida, nie mając nawet pewności, że tak jest naprawdę, nie cieszyli się zbyt dużą czcią, gdyż od wielu pokoleń liczba powołanych bardzo wzrosła. Mimo to są święci, gdyż wśród nich znajduje się wybraniec albo przynajmniej protoplasta wybrańca. A nadzieja na przyjście wybrańca była najpromienniejszą stroną ich nauki. Tak, na zawsze zgasłoby wielkie światło, gdyby się lekkomyślnie wydało na pastwę ród Dawidowy i w ten sposób zrezygnowało z możliwości zjawienia się Mesjasza. Ta nadzieja na przyjście Mesjasza była owiana tajemnicą i urokiem świętości. Gdyby wraz z pokoleniem Dawida to święte, tajemnicze znikło ze świata, nauka

utraciłaby swój urok.

Cóż więc uczynić? Jeżeli na łagodne, uprzejme pytanie ślepcy odpowiedź będzie wymijająca, jeżeli nie zechcą wymienić nazwisk, wtedy gniew cesarza obróci się z całą pewnością na akademię w Jawneh. Czy wydać więc potomków Dawida?

Wiatr stał się silniejszy, bardziej porywisty, unosił i rozwiewał galowe szaty. Buki i cisy lśniły ciemną zielenią, drzewa oliwne migotały srebrzyście, niżej błyszczało w słońcu lekko wzburzone morze. Nikt jednak nie zwracał na to uwagi. Cesarz siedział na stopniach pawilonu, reszta obecnych stała dookoła niego. Spoglądali na arcykapłana, ciekawi, có odpowie. Nawet architekci Growiusz i Larinas zapomnieli się gniewać, że pokaz ich dzieła został zamażony przez obecność delegacji barbarzyńców. Co teraz powie arcykapłan żydowski?

Zanim tenże zdążył się odezwać, rozległ się szorstki, drżący z oburzenia głos rabiego Helbo. Przecież ten Józef syn Mateusza jeszcze raz popełnił zuchwałe bluźnierstwo i przez to sam skazał się na zagładę!

— Ci z pokolenia Dawida są powołani — powiedział więc rabbi Helbo — tylko niewielu jednak jest wybranych. Oto na przykład Józef syn Mateusza, niegdyś kapłan Świątyni Jerozolimskiej, obecnie banita i kacerz. A jednak jest potomkiem Dawida, choć tylko po kądzieli. W każdym razie jego ojciec chwalił się tym przede mną.

— Ciekawe — powiedział cesarz — bardzo ciekawe.

Wszystkie spojrzenia skierowały się na Józefa. Powstała dookoła niego niewielka wolna przestrzeń. Było jak wtedy, kiedy rzucono nań anatemę i wszyscy trzymali się od niego w odległości siedmiu kroków. Stał dziwnie obojętny, jak gdyby była mowa o kimś trzecim, szata galowa z wąskim purpurowym szlakiem przylegała w podmuchach wiatru do jego wychudzonego ciała, oglądał roztargnionym wzrokiem pierścień na swoim palcu, złotą obrączkę szlachty drugiego stopnia. W duszy jego szalał paniczny strach. „Z pokolenia

Dawida — myślał. — Chyba tak jest. Z królewskiego rodu zarówno po ojcu, jak matce, z pokolenia Dawida i Hasmonejczyków. Spada na mnie teraz kara za to, że wtedy powitałem Rzymianina jako Mesjasza.”

Tymczasem arcykapłan znalazł odpowiedź. Tonem światowca, czującego swą wyższość, oświadczył:

— Kiedy lud tego lub owego nazywa potomkiem Dawida, jest to ordynarny zabobon, pozbawiony cienia jakichkolwiek podstaw. Zabobon ten obejmuje często ludzi całkiem mizernej kondycji, jakiegoś rybaka, jakiegoś cieślę. Jakżeby potomkowie Dawida mieli stoczyć się tak nisko? —

Tym razem słowa jego sprostował ktoś, po kim nikt się tego nie spodziewał.

— Ale tych ludzi tak mizernej kondycji otacza czasami wielki blask — odezwał się łagodnie stary ben Ismael.

— Pozwól, niech zobaczę, mój Józefie — uśmiechnął się Domicjan — czy otacza cię blask. — Wstał, zbliżył się do Żyda. — W każdym razie ta sprawa z waszym Mesjaszem pozostaje ciemna i wątpliwa — zdecydował kładąc kres rozmowie,

Arcykapłan przypomniał sobie teraz znaną powszechnie religijność i bojaźń bożą cesarza i uznał, że nadeszła pora przejść do ataku.

— Niechaj cesarz — powiedział — nie uważa tej sprawy za wątpliwą. Nauka o Mesjaszu jest tajemna, czyż jednak bogowie wielu ludów nie osłaniają się tajemniczością?

Stał teraz przed cesarzem oko w oko, głos jego brzmiał mocno, odważnie i groźnie.

— To niedobrze — ostrzegał — kiedy człowiek próbuje zanadto zgłębić tajemnicę bóstwa. Może właśnie dlatego Bóg nasz doświadczył nas tak ciężko.

Twarz cesarza przebiegło lekkie, ledwie widoczne drżenie, ale Gamaliel je zauważył. Nie liczył na to, że osiągnie więcej, dalsze pogrożki zepsułyby tylko efekt. Gamaliel poprzestał więc na tej niezbyt jasnej odpowiedzi, udał, że nie miał zamiaru ostrzegać, że raczej w ten sposób przeproszał, i ciągnął dalej cichszym tonem: — Nasz Bóg Jehowa nie jest Bogiem łaskawym i pogodnym. Służyć mu to rzecz ciężka, łatwo się obraża.

Groźba arcykapłana była cesarzowi niemiła, można ją było bowiem rozumieć w różny sposób, grzmiący głos Gamaliela przypomniawszy mu brata Tytusa, a ostatnie słowa, że łatwo jest obrazić Jehowę, zaniepokoiły go głęboko. „Czego chce ten żydowski klecha — pomyślał. — Przecież wcale nie zamierzam zamknąć mu jego akademii. Temu Jehowie byłoby może na rękę, gdybym coś przeciw Niemu przedsięwziął i dał Mu pretekst do szkodenia mi. Będę się wystrzeżał.”

— Słyszałem — rzekł stanowczym tonem — że boicie się, by wasza akademie nie została zamknięta. Skąd wam taka bzdura przyszła do głowy? Jak możecie wierzyć w tak bezmyślną gadaninę?

Wyprostował się, stał wysoki, majestatyczny, mężnie stawiając czoła podmuchom wiatru.

— Rzym ochrania bóstwa ludów, które oddały się pod jego opiekę — oznajmił i dodał łaskawie: — Nie bójcie się. Dam wam pismo odręczne do mego gubernatora Pompejusza Longinusa, które was uwolni od wszelkich dalszych trosk. — Lekkim, okrągłym ruchem położył rękę na ramieniu arcykapłana. — Nie należy zaraz tracić otuchy — rzekł z uprzejmym szyderstwem — nie należy, o świątobliwy, popadać w zwątpienie pod rządami Domicjana, którego senat i lud rzymski nazywają swym władcą i bogiem. I może należałoby mieć również nieco więcej zaufania do swoich własnych bogów.

Zwracając się z kolei do Józefa i kończąc posłuchanie uczynił swobodny, a jednak władczy gest i powiedział:

— Czy jesteś ze mnie zadowolony, Flawiuszu Józefie, kronikarzu mej dynastii?

Mimo nie sprzyjającej pory roku w tydzień później rabbi Gamaliel wsiadł ze swym orszakami na statek płynący do Judei. Odprowadzali go na pokład Józef i Klaudiusz Reginus.

Gamaliel znalazł i tym razem serdeczne i pełne uznania słowa, by podziękować Józefowi za wyjednanie mu audiencji u cesarza.

— Znowu — powiedział — zasłużyłeś się wybitnie sprawie Izraela. Chcę wierzyć, że w końcu nie zapłacisz zbyt drogo za nasze przywileje. Ponieważ Domicjan nie wyciągnął dotychczas konsekwencji z nierozważnych słów naszego rabbi Helbo, mam nadzieję, że zaniecha tego również na przyszłość.

Józef milczał. Natomiast Reginus kiwnął melancholijnie głową i rzekł:

— Domicjan to bóg nierychliwy.

Po czym uczeni z Jawneh wsiedli na pokład, szczęśliwi, że znajdują się w posiadaniu cesarskiego pisma odręcznego, utrzymanego w bardzo łaskawym tonie. Serca wszystkich były przepełnione wdzięcznością dla Józefa. Tylko Helbo i Szymon, zwany Tkaczem, dąsali się na niego w dalszym ciągu.

Wkrótce potem senator Messalin poprosił Józefa, by go odwiedził. Cesarz okazuje mu łaskę wyrażając chęć spożycia u niego posiłku i życzyłby sobie, żeby Józef przeczytał z rękopisu swego historycznego dzieła rozdział o królu żydowskim Dawidzie.

Józef wiedział teraz, że Klaudiusz Reginus miał rację i że nierychliwy bóg Domicjan karę odłożył, ale jej nie zaniechał. Przeraził się. Równocześnie postanowił, że jeżeli Bóg przeznaczył go naprawdę na ofiarę zamiast Jawneh, nie będzie sarkac, lecz poniesie tę ofiarę, pełen pokornej dumy.

Domicjan leżał na sofie w leniwej pozie, Messalin zaś objaśnił Józefowi, że cesarz

interesuje się pewnymi sprawami żydowskimi, a ponieważ nie ma już w Rzymie uczonych rabbi z Jawneh, chciałby zasięgnąć informacji od Józefa, jako najlepszego znawcy w tej materii.

— Tak — powiedział cesarz leniwie i łaskawie — byłoby uprzejmie z twojej strony, mój Józefie, gdybyś nas chciał pouczyć.

Zwracając się wyłącznie do Messalina Józef zapytał:

— Czy mam uważać tę rozmowę za przesłuchanie?

— Cóż to za twarde słowa, mój Józefie — z uśmiechem skarcił go cesarz ze swej sofy.

— Chodzi jedynie o rozmowę na tematy historyczne — raz jeszcze podkreślił uprzejmie ślepiec. — Władcę i boga Domicjana interesuje na przykład, co jako człowiek Wschodu myślisz o losie Cezariona, syna Juliusza Cezara i Kleopatry?

— Tak — potwierdził cesarz — to mnie interesuje. Cezar niewątpliwie kochał bardzo swego syna — ciągnął dalej — i przeznaczył mu rolę władcy, mającego pośredniczyć między Wschodem i Zachodem. Zdaje się, że Cezarion wyrósł na młodzieńca o wielkich zaletach i talentach.

— A o czym mianowicie — zapytał Józef stropiony — chciałbyś, senatorze, usłyszeć moje zdanie?

Messalin pochylił się naprzód, wpatrując się osłepłymi oczami w twarz Józefa, jak gdyby widział, i zapytał powoli i bardzo wyraźnie:

— Uważasz, że August miał rację, pozbawiając życia Cezariona?

Józef zrozumiał teraz, o co chodzi. Domicjan chciał przed zgładzeniem potomków Dawida, by jedna z jego ofiar potwierdziła, że ma rację, usuwając ich z grona żyjących. Powiedział ostrożnie:

— Juliusz Cezar mógłby niewątpliwie przytoczyć przed trybunałem historii słuszne i przekonujące argumenty, potępiające czyn Augusta. Augustus ze swej strony znalazłby argumenty nie mniej przekonujące na usprawiedliwienie swego czynu.

Domicjan uśmiechnął się lekko. Uśmiech pojawił się również na twarzy ślepeca, który powiedział z uznaniem:

— Dobra odpowiedź. Ale nas tutaj nie interesuje ani zdanie Cezara, ani zdanie Augusta, lecz to, co ty, mój Flawiuszu Józefie, o tym sądzisz. Czy nie uważasz — powtórzył powoli, akcentując każde słowo — że Augustus miał rację zgładzając pretendenta do tronu, Cezariona? — Nachylił ku Józefowi ucho, a twarz jego wyrażała chciwą ciekawość.

Józef zagryzł wargi. Ten człowiek wypowiedział bezwstydnie i bez ogródek, o co chodziło: o usunięcie niemiłych pretendentów, o usunięcie jego, Józefa. Mając dar i giętkość słowa mógł wykręcać się w dalszym ciągu, wysuwać szyję z zaciskającej ją pętli; ale duma jego wzdrygała się przed tym.

— Augustus postąpił słusznie — oświadczył chłodno i bez wykrętów — że zgładził Cezariona. Sukcesy, które osiągnął, potwierdziły tę słuszność.

— Dziękuję — rzekł Messalin, jak zwykł mówić przed sądem, kiedy zmusił przeciwnika do przyznania mu racji. — A teraz opowiedz nam o twoim królu Dawidzie — ciągnął dalej z ożywieniem — którego potomkowie przeznaczeni są na waszych przyszłych władców.

— Tak — poparł go Domicjan — przeczytaj nam, coś o tym swoim praszczurze napisał. W tym celu nasz Messalin cię tutaj poprosił.

W głębi serca Józef wolał ponurego, szarpanego rozterką króla Saula niż owego Dawida, któremu tyle spraw poszło tak łatwo, i wiedział, że rozdziały o Dawidzie nie należą do najlepszych. Ale dziś temat porwał go i czytał dobrze. Informowanie cesarza o wielkim królu żydowskim, który był władcą tak potężnym i zwyciężył tyle ludów, sprawiało mu satysfakcję. Józef czytał dobrze, Domicjan słuchał nie mniej dobrze. Znał się cokolwiek na historii i na literaturze, Józef interesował go na równi z królem Dawidem, zainteresowanie to odbijało się na

jego twarzy.

W pewnej chwili przerwał Józefowi.

— Ten Dawid panował dosyć dawno temu, prawda? — zapytał.

— Było to mniej więcej w okresie wojny trojańskiej — poinformował Józef i dodał dumnie: — Historia nasza sięga bardzo daleko wstecz.

— Nasza rzymska — rzekł pojednawczo cesarz — rozpoczyna się dopiero od ucieczki Eneasza z płonącej Troi. Już wtedy więc wielki ten król zasiadał na tronie izraelskim. Ale czytaj dalej, mój Józefie.

Kiedy Józef skończył, Domicjan wypowiedział kilka wcale rozsądnych uwag.

— Zdaje się, że ten wasz Dawid posiadał technikę rządzenia — rzekł. — Ale nie pochwalam jego częstych gestów podyktowanych pychą. Postąpił na przykład głupio oszczędzając Saula, który dostał się w jego ręce, i to po raz drugi. Z czasem nauczył się i zmądrzał. Jeden z jego uczynków wydaje mi się przede wszystkim piękny i królewski, mianowicie to, że ukarał królobójstwo, choć to morderstwo popełnione zostało na jego przeciwniku, a więc na jego korzyść.

Tak, zgładzenie przez Dawida mordercy Saula zdawało się zapładniać wyobraźnię cesarza; Józefa ogarnął lęk. Jak przemyślnie ten Domicjan z rzeczy tak nieskończenie odległej potrafi wysnuć praktyczne dla siebie wnioski.

— Cesarz Neron — zwrócił się Domicjan do Messalina — był niewątpliwie wrogiem mej dynastii i dobrze się stało, że zginął. Mimo to nie pojmuję, że senat pozwolił żyć dalej bezkarnie jego mordercy Epafrodytowi. Ten, kto podnosi rękę na cesarza, nie ma prawa istnieć dalej na świecie. A czyż ten Epafrodyt nie żyje do dziś dnia? Czy nie mieszka w Rzymie? Czy ta dwunożna kreatura, prowokująca do królobójstwa, nie chodzi dalej bezkarnie? Nie rozumiem, jak i dlaczego senat mógł to tak długo tolerować.

Messalin powiedział na usprawiedliwienie kolegów swym przymilnym głosem:

— Niejedno, władco mój i boże, co czynią i czego zaniedbują senatorowie, jest dla mnie niezrozumiałe. Ale w wypadku Epafrodyty mam nadzieję, że będę mógł wobec moich kolegów powołać się z powodzeniem na przykład starodawnego króla żydowskiego.

Spadło to na Józefa jak chmura gradowa. Cenił Epafrodytę; był to człowiek wartościowy, kochał i popierał sztukę i naukę, Józef spędził z nim niejedną dobrą godzinę. A teraz mimo woli przyczynił się do jego zagłady.

Wkrótce Messalin pod jakimś pozorem pozostawił Józefa sam na sam z cesarzem.

Domicjan uniósł się nieco na sofie i, uśmiechnięty, powiedział poufale:

— A teraz mów szczerze, mój Józefie. Czy ów nieokrzesany człowiek spośród tych mędrców z Jawneh miał rację twierdząc, że pochodzisz z rodu Dawida? Jak wiedzą wasi uczeni, jest to raczej sprawa uczucia i intuicji niż taka, którą można by udowodnić na podstawie akt. Zgadza się całkowicie z tym waszym rozumowaniem. Kiedy na przykład sam wierzę, że jestem potomkiem Herkulesa, to jestem nim w istocie. Niewątpliwie zrozumiałeś już, mój Flawiuszu Józefie, do czego zmierzam. Sprawa wygląda tak: zależy od ciebie, czy chcesz być uważany za potomka Dawida, czy nie. Sporządzamy mianowicie listy. Notujemy, kogo należy uważać za potomka wielkiego króla, którego działalność tak znakomicie scharakteryzowałeś. Rząd mój sporządza takie wykazy z przyczyn administracyjno-technicznych. Jak ty w tym wszystkim wyglądasz, mój Józefie? Jesteś żarliwym Żydem. Szczycisz się swym narodem, jego starożytnością, jego wielkimi osiągnięciami cywilizacyjnymi. Jesteś wyznawcą. Wierzę wyznawcy Józefowi. Cokolwiek mi powiesz, uwierzę ci. Jeżeli mi powiesz: „Jestem potomkiem Dawida”, będziesz nim. Jeżeli powiesz: „Nie jestem nim”, imię twoje nie pojawi się na owej liście.

Podniósł się, podszedł do Józefa całkiem blisko. Z szyderczym uśmiechem i przejmującą trwogą poufałością zapytał:

— Jakże to jest, mój Żydzie? Wszyscy panujący są ze sobą spokrewnieni. Czy jesteś moim krewnym? Czy pochodzisz z rodu Dawida?

Józef był pełen burzliwych uczuć i myśli. Jeżeli lud twierdził o tym lub owym, że pochodzi z rodu Dawida, to była czcza gadanina, której prawdziwości nie dało się zbadać. Sam nigdy nie przechwalał się swym rzekomym pochodzeniem. Byłoby nonsensem, gdyby teraz odpowiedział dumnie: „Tak, pochodzę z rodu Dawida.” Nikomu by nic z tego nie przyszło, wyzwanie takie przyczyniłoby się jedynie do jego zagłady. Dlaczego więc coś popycha go tak gwałtownie do odpowiedzi twierdzącej? Dlatego że ten pogański cesarz ma wyjątkowo rację. Józef czuje instynktownie, a więc z głębi swej istoty, że naprawdę należy do powołanych, do tych z rodu Dawida. Cesarz pogański chce go upokorzyć i skłonić do wyparcia się tego, co w nim najlepsze. Jeżeli da się do tego doprowadzić, jeżeli się zaprze swego wielkiego praszczura Dawida, ten sam cesarz będzie pogardzał nie tylko nim, ale całym jego ludem. I słusznie. To, co się teraz rozgrywa między Domicjanem a nim, jest jedną z licznych bitew w wojnie, którą naród jego toczy z Rzymem o swego Jehowę. Ale która droga jest właściwa? Czego bóstwo od niego oczekuje? Będzie tchórzostwem, jeżeli wyprze się swego powołania. Czy jednak nie byłoby pychą ducha, gdyby wbrew rozsądkowi poszedł za uczuciem?

Stał milczący, wychudzony. Koścista twarz niczym nic zdradzała jego niepokoju. Patrzył na cesarza w zamyśleniu, lecz zdawał się go nie widzieć. Pochyliwszy szerokie, sklepienie czoło skierował gorejące spojrzenie na Domicjana; Domicjan wytrzymał je z trudem.

— Widzę już — rzekł — że nie chcesz powiedzieć ani tak, ani nie. Rozumiem to. Ale wtedy, mój drogi, widzę dla ciebie trzecią możliwość. Powitałeś ojca mego, boga Wespazjana, jako Mesjasza. Jeżeli uczyniłeś to słusznie, to coś z tej istoty Mesjasza musi również tkwić i we mnie. Pytam więc: Czy jestem synem i dziedzicem Mesjasza? Zastanów się dobrze, zanim odpowiesz. Jeżeli jestem dziedzicem Mesjasza, wtedy to, co lud szeptem o potomkach Dawida, jest czczą gadaniną, wtedy od strony potomków Dawida nie grozi żadne niebezpieczeństwo i nie warto, by moi urzędnicy sporządzali listy. Nie wykręcaj się więc, mój Żydzie. Uratuj potomków Dawida i siebie samego. Powiedz mi: „Jesteś Mesjaszem”, padnij na kolana i ubóstwiał mnie tak, jak ubóstwiałeś mego ojca.

Z twarzy Józefa odpłynęła cała krew. Przecież on to już raz przeżył. Kiedy, jak? W duchu. Tak brzmią historie: o aniele niebieskim i aniele upadłym, tak w pismach nazareńczyków potwarca, szatan kusiciel, wzywa Mesjasza, by się zapał swjej własnej istoty i ubóstwiał go, obiecując mu w zamian wszystkie cuda świata. Dziwne, jak w jego własnym życiu odzwierciedlają się podania i baśni jego ludu. Jest tak przepojony przeszłością swego ludu, że wciela się w postacię tej przeszłości. Jeżeli teraz będzie posłuszny cesarzowi rzymskiemu, temu kusicielowi, jeżeli, jak tego żąda, odda mu cześć boską, wyprze się sam siebie, swego dzieła, swego ludu i Boga.

Patrzył nadal na cesarza; spojrzenie jego nie zmieniło się, w gorejących oczach był wyraz głębokiej zadumy. Zmieniła się za to twarz cesarza. Domicjan uśmiechał się szyderczo, udana życzliwość przejmowała na wskroś grozą. Twarz miał czerwoną jak burak, oczyma krótkowidza mrugał w stronę Józefa ze sztuczną, fałszywą poufałością, wymachiwał groteskowo ręką, jakby dawał Józefowi znaki. Nie ulegało wątpliwości, że cesarz, władca i diabeł Domicjan, *Dominus ac Diabolus Dotnitianus*, chciał zawrzeć z nim pakt na podobieństwo tego, który, jak sobie wyobrażał, został zawarty między Józefem a nieboszczykiem jego ojcem Wespazjanem.

Choć twarz Józefa pozostawała spokojna, myśli jego zwały się. Nie był już teraz pewien, czy Domicjan istotnie wypowiedział swe ostatnie słowa, iż ma paść przed nim na kolana

i uczcić go jak boga, czy też były to wspomnienia o upadłym aniele ze starych baśni i o szatanie nazareńczyków. W każdym razie to kuszenie go przez Domicjana trwało bardzo krótko. Cesarz był już znowu cesarzem. Cofnąwszy w tył łokcie stał z władczą miną i powiedział ceremonialnie:

— Dziękuję ci za interesującą prelekcję, szlachetny Flawiuszu Józefie. Co się tyczy pytania, które ci postawiłem, czy jesteś potomkiem opisanego przez ciebie króla Dawida, rozważ odpowiedź w spokoju. Oczekuję cię w najbliższych dniach w czasie audiencji porannej. Zapytam się wtedy na nowo. Ale gdzie jest nasz miły gospodarz? — Klasnął w dłonie, wezwał służbę, która natychmiast wbiegła. — Gdzie jest nasz Messalin? Zawołajcie mi go! Ja i mój Żyd chcielibyśmy go widzieć.

W owych dniach Józef napisał *Psalm o odwadze*.

Tego sławię, kto w bitwie stoi twardo jak mur,

Konie rwą się do szturm —

A wśród strzał świstu i chrzęstu żelaza

Prze nań ciżba wzniesionych rąk,

Zbrojnych w topory i miecze...

On jednak się nie ugina —

Śmierci spoziera w oczy I dotrzymuje jej kroku.

Do tego trzeba odwagi — ale zaiste nie więcej,

Niż jej posiada mąż,

Co słusznie zowie się mężem.

Nietrudno dzielnym być w bitwie,

Odwaga się w bitwie udziela,

Z męża przechodzi na męża.

Nikt nie chce wierzyć,

Że jego właśnie wybrać może śmierć.

Najmocniej wierzy się w bitwie

W długi ciąg dni żywota,

Co się przed nami ścielą.

Ten ma więcej odwagi,

Kto w dziki kraj barbarzyńców

Rusza z wyprawą odkrywczą

Albo statek kieruje na nieznane morza,

Coraz dalej i dalej —

Żeby wypatrzeć jaki nowy ląd I nową twierdzę.

Lecz tak jak blednie księżyc, gdy słońce zaświta

Tak blednie chwala odkrywcy Przed chwałą tego,

Kto tu na ziemi toczy bój o Niewidzialne...

Chcą go przymusić,

By wyrzekł słowo bezkształtne,

Słowo bezcielesne.

Co wraz przebrzmiewa, gdy się je wymówi —

Słowo, którego więcej już nikt nie usłyszy,

Którego już nie będzie...

Lecz on nie powie im owego słowa.

Albo znów serce go zmusza,

Żeby je wypowiedział,

To, a nie inne słowo,

*O którym wie, że przyniesie mu śmierć.
Nikt nie wyznaczył na nie określonej ceny...
Czeka go tylko śmierć —
A on wie o tym
I mimo to je wymawia.
Gdy ktoś swe życie naraża,
By zdobyć władzę lub złoto —
Ten wie,
Jaka jest cena jego przedsięwzięcia.
Widzi ją przed oczyma Uchwytną i wyważalną;
Czymże jest jednak słowo?
Dlatego mówię:
Chwała mężowi, co ryzykuje śmierć,
By wyrzec słowo dla ulżenia sercu.
Dlatego wam powiadam:
Chwała mężowi,
Który mówi to tylko, co jest.
Dlatego wam powiadam:
Chwała mężowi, którego nie zmusisz,
By mówił to,
Czego nie ma.
Bo on wziął na się to, co najtrudniejsze.
Widząc śmierć pośród jałowego dnia
Daje jej ręką znak — i mówi: „przyjdź”,
Dla bezkształtnego słowa Staje śmierci naprzeciw,
By je zaprzeczyć, jeżeli jest kłamstwem,
By je potwierdzić, jeżeli jest prawdą.
Chwała mężowi,
Który się za to naraża na śmierć.
Bo to jest właśnie odwaga,
Której Bóg mówi: tak.*

Rankiem jednego z dni najbliższych Józef zgodnie ze zleceniem cesarza kazał zawieźć się przez Via Sacra na Palatyn.

Przy wejściu do pałacu zrewidowano go, jak wszystkich odwiedzających, czy nie ma broni, potem został wpuszczony do pierwszego przedsionka. Było tu kilkaset osób, odźwierni wywoływali nazwiska, urzędnicy marszałka dworu Kryspina notowali je, jednych odprawiali, innych wpuszczali. W drugim przedsionku tłoczyli się goście. Uwijali się wśród nich urzędnicy, pilnując ceremoniału i ustalając porządek listy zgodnie z instrukcjami Kryspina.

Obecność Józefa zwróciła powszechną uwagę. Stwierdził, że wizyta jego zaniepokoiła również Kryspina; stwierdził nie bez lekkiego uśmiechu ironii, że Kryspin po pewnym wahaniu nie umieścił go na liście uprzywilejowanych, „mających prawo wejścia do monarchy o każdym czasie”, lecz na liście, na której figurowała cała szlachta drugiego stopnia. Po drodze Józef był pełen otuchy i odwagi i powtarzał sobie, że im prędzej minie ta dręcząca godzina, tym lepiej. Teraz był rad, że figuruje dopiero na drugiej liście i może będzie mógł odejść nie zauważony, nic nie załatwiwszy.

Wreszcie rozległ się okrzyk: „Władca i bóg Domicjan obudził się!” Drzwi do sypialni cesarza otworzyły się. Domicjana, na wpół siedzącego na szerokim łożu, otaczali z prawej i z lewej strony uzbrojeni po zęby oficerowie gwardii.

Nomenklatorzy wykrzykiwali nazwiska z listy pierwszej, wezwani wchodzili po kolei do wewnętrznych apartamentów. Stojący w przedsionku przyglądali się bacznie, w jaki sposób cesarz wita się z poszczególnymi osobami. Większości odwiedzających podawał rękę do ucałowania, tylko niewielu zaszczycał uściskiem, jak nakazywał obyczaj. Było zrozumiałe, że nie chciał całować codziennie całej masy ludzi, do których czuł odrazę, niezależnie od obawy zarażenia się. Żaden jednak z poprzednich cesarzy nie demonstrował tak otwarcie, jak mu ciąży ten obowiązek witania. To, że właśnie Domicjan, stojący na straży tradycji, coraz bardziej uchylał się od tego pięknego zwyczaju, psuło ludziom krew i doprowadzało wielu do irytacji.

Już po chwili cesarz zarządził krótką przerwę. Nie bacząc na swych licznych gości ziewnął, przeciągnął się, obrzucił zebranych niechętnym spojrzeniem, kiwnął na Kryspina, rzucił przelotnie okiem na listy gości. Nagle ożywił się. Klasnął na swego karła Silena, zaczął mówić z nim szeptem. Karzeł podreptał do przedsionka, wszyscy patrzyli za nim. Szedł prosto w stronę Józefa. Wśród głuchego milczenia, z głębokim ukłonem powiedział:

— Władca i bóg Domicjan wzywa cię, rycerzu Flawiuszu Józefie, do swego łoża.

Na oczach wszystkich zgromadzonych Józef udał się do wewnętrznych apartamentów. Cesarz kazał mu usiąść na swym łożu; było to wielkie wyróżnienie, które dziś nikomu nie przypadło dotąd w udziale. Objął go i ucałował, nie z niechęcią, lecz powoli i poważnie, zgodnie ze zwyczajem. Dotykając policzkiem policzka Józefa wyszeptał:

— Czy jesteś potomkiem Dawida, mój Józefie?

Józef odparł:

— Rzekłeś, cesarzu Domicjanie.

Cesarz wyzwolił się z uścisku.

— Odważny z ciebie człowiek, Flawiuszu Józefie — powiedział.

Po czym karzeł Silen, który wszystko słyszał, zaprowadził Józefa z powrotem do przedsionka. Pochylił się teraz przed nim jeszcze głębiej i rzekł: — Żegnaj, Flawiuszu Józefie, potomku Dawida.

Cesarz kazał zamknąć podwoje swej sypialni, przyjęcie było skończone.

Po upływie kilku dni w oficjalnym „Monitorze” zostało ogłoszone, co następuje: „Cesarz zbadał dzieło historyczne, nad którym obecnie pracuje pisarz Flawiusz Józef. Okazało się, że księga ta jest dla dobra państwa rzymskiego niepożądana. Wymieniony Flawiusz Józef nie spełnił więc nadziei, jakie wzbudziło jego pierwsze dzieło o wojnie żydowskiej. Władca i bóg Domicjan zlecił z tego powodu usunięcie popiersia owego pisarza Flawiusza Józefa z hali honorowej Świątyni Pokoju.”

Owo popiersie, przedstawiające głowę Józefa, przechyloną na ramię, wąską, śmiałą, zostało więc usunięte z Świątyni Pokoju. Przekazano je rzeźbiarzowi Basiliosowi, by cenny materiał, spiż koryncki, niepowtarzalny stop, powstały z metali różnych posągów podczas pożaru Koryntu, zużytkował na popiersie senatora Messalina, którego wykonanie zlecił mu cesarz.

— Przejęzyczyłeś się czy też ja źle słyszałem? — zapytał Reginus Marulla i zwrócił mięsistą głowę ruchem tak gwałtownym, że niewolnik balwierz pomimo całej swej zręczności omal go nie zaciął.

— Ani jedno, ani drugie — odparł Marull. — Skarga przeciw westalce Kornelii zostanie wniesiona, to pewne. Kurier z Poli przywiózł wczoraj instrukcję. DDD musi bardzo zależeć na tej sprawie. W przeciwnym razie nie wydałby rozkazu w trakcie podróży, lecz zaczęłaby na swój powrót.

Reginus mruknął coś. Ciężkie, senne oczy pod wypukłym czołem miały wyraz jeszcze bardziej zamyślony niż zazwyczaj. Zanim balwierz uporał się całkowicie ze swoją robotą, dał niecierpliwy znak ręką, żeby się oddalił.

Potem jednak, zostawszy z przyjacielem sam na sam, nie powiedział nic. Zadowolił się kręceniem głową i wzruszaniem ramionami. Nie musiał zresztą nic mówić, Marull rozumiał go bez słów, wydarzenie było dlań równie niewiarygodne. Czy DDD nie miał dosyć owej burzy, która się podniosła wówczas, kiedy to spośród sześciu westalek wytoczył proces dwom siostronom Okulate? Gzy i tak nie był w nastroju dość minorowym po niezbyt chlubnej wyprawie przeciwko Dakom i Sarmatom? Co sobie, na Herkulesa, obiecywał DDD po tym, że stosując staroświeckie okrutne ustawy kazał oskarżyć westalkę Kornelię o rozwiązłość?

Juniusz Marull, którego, jak zwykle, bolały zęby, przyglądał się spokojnie badawczymi, niebieskoszarymi oczyma posapującemu gniewnie przyjacielowi. Odgadł wszystkie jego myśli.

— Tak — odparł — nastrój jest minorowy, masz rację. Rezultat wyprawy sarmackiej dla człowieka z ulicy nie przedstawia się olśniewająco, choć jest to sukces całkowicie solidny. Ale może właśnie dlatego tak się dzieje. Nasi kochani senatorowie sfalszują rezultat wojny i nazwą go klęską. Westalka Kornelia jest spokrewniona i blisko związana z połową patrycjatu. Może Wrzuszek przypuszcza, że panowie będą się mieli bardziej na baczności, jeżeli nie cofnie się nawet przed oskarżeniem Kornelii?

— Biedna Kornelia! — westchnął Reginus zamiast odpowiedzi. Obu stanęła teraz przed oczyma Kornelia, delikatna, świeża, pogodna twarz dwudziestoosmioletniej kobiety, ocieniona kruczoczarnymi włosami. Widzieli, jak się do nich uśmiecha ze swej łoży honorowej w cyrku, jak wraz z pozostałymi pięcioma westalkami wchodzi na czele procesji do świątyni Jowisza, wysoka, smukła, nietykalna, uprzejma, pewna siebie, kapłanka, dziewica, wielka pani.

— Trzeba przyznać — rzekł wreszcie Marull — że od czasu zamachu Saturnina DDD ma prawo stosować wobec swoich wrogów wszelkie środki prowadzące do celu.

— Po pierwsze, środek ten nie prowadzi do celu — odparł Reginus — a po drugie, nie wierzę, żeby ten proces był skierowany przeciw senatowi. DDD wie równie dobrze jak my, że znalazłyby się z pewnością środki mniej niebezpieczne. Nie, mój drogi, motywy, które nim kierują, są prostsze i głębsze. Jest po prostu niezadowolony z rezultatu wyprawy, chce w inny sposób przekonać lud o swoim posłannictwie. Już słyszę jego górnolotne frazesy: „Stulecie Domicjana będzie promieniowało w nieskończoność dzięki podobnym przykładom obyczajności i religijności.” Obawiam się — zakończył — że chwilami sam wierzy w to, co mówi.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu. Potem Reginus zapytał: — Czy wiadomo, kto jest właściwie partnerem nieszczęsnej Kornelii?

— Właściwie nie wiadomo — odparł Marull — ale Norban wie. Przypuszczam, że Kryspin, który jest wmieszany w tę całą historię.

— Nasz Kryspin? — zapytał Reginus z niedowierzaniem.

— To tylko przypuszczenie — odparł pośpiesznie Marull. — Norban nie powiedział oczywiście nikomu ani słowa, wniosek mój wypływa jedynie z jego spojrzeń i gestów.

— Przypuszczenia twoje — stwierdził Reginus, oblizując kąciki ust — sprawdzają się zwykle, a Norban, kiedy kogoś nienawidzi, potrafi być bardzo pomysłowy. Byłoby nieszczęściem, gdyby naprawdę tylko dlatego, że Norban jest zazdrosny o Egipcjanina, tak urocze stworzenie jak Kornelia miało zejść na psy.

Marull, częściowo dlatego, że nie chciał, by się w nim obudził sentyment, częściowo ze starego przyzwyczajenia, uderzył we frywolny ton.

— Szkoda — powiedział — że sami nie wpadliśmy na to, iż Kornelia to nie tylko westalka, ale i kobieta. Ale, na Herkulesa, kiedy wkraczała na Kapitol w swej ciężkiej,

staromodnej białej szacie, staromodnie uczesana, to nawet taki zapiekły materialista jak ja nie pomyślał o tym, co też tkwi pod tą szatą. A przecież wszystko, co święte, zakazane, to moja specjalność. Kiedyś, w okresie moich największych szaleństw, spałem z Pytią delfijską. Nie była przesadnie piękna ani też pierwszej młodości, rozkosz nie pozostawała w żadnym stosunku do niebezpieczeństwa; właściwie pociągała i kusila mnie jej świętość. Nie należało wypuszczać takiej dziewczyny jak Kornelia i pozostawiać ją Kryspinowi.

Klaudiusz Reginus, na ogół daleki od pruderii, nie dał się dziś wciągnąć w ten ton. Postępując pochylił się nad sznurowadłem trzewika, które się znowu rozluźniło, i zawiązując je powiedział:

— DDD utrudnia rolę temu, kto chce pozostać jego przyjacielem.

— Bądź z nim cierpliwy — rzekł Marull. — Ma licznych wrogów. Przekroczył czterdziestkę — rozważał, szukając bystrym wzrokiem sennych oczu tamtego. — Obawiam się jednak, że są widoki, iż my go przeżyjemy.

Reginus przeraził się. To, co powiedział Marull, było takie słuszne i takie szaleńczo śmiałe, że nie powinno mu było przejść przez usta nawet w gronie bliskich przyjaciół. Skoro jednak posunął się tak daleko, to i Reginus przestał narzucać sobie powściągliwość.

— Taka pełnia władzy — powiedział, usiłując ściszyć donośny, kleisty głos — to choroba; choroba, która szybko może nadszarpnąć zdrowie nawet bardzo silnego człowieka.

— Tak — rzekł Marull również prawie szeptem — duch ludzki musiałby mieć diablo potężne ściany, by ich taka pełnia władzy nie rozsadziła. DDD wytrzymał zdumiewająco długo. Dopiero po zamachu Saturnina stał się taki — szukał przez chwilę właściwego określenia — dziwny.

— A przy tym — odparł Reginus — właśnie w tej sprawie miał nieludzkie szczęście.

— Cezar i jego szczęście — odparł znacząco Marull. —

Ale takiego ogromu szczęścia nikt nie jest w stanie wytrzymać.

— Cezar — rozważał Reginus — dożył lat pięćdziesięciu sześciu, nim opuściło go szczęście.

— Szkoda go — rzekł ponuro Marull.

— Szkoda Kornelii — powiedział Reginus.

— Nie odważy się — wybuchnął nagle senator Helwid.

Mówiono o wzmocnieniu garnizonów na północnym

Wschodzie, co było nieuchronnym następstwem zawarcia pokoju. Słowa gniewnego Helwida nie miały z tą kwestią nic wspólnego. Mimo to wszyscy wiedzieli, co ma na myśli. Kiedy bowiem rozmawiano nawet o czymś innym, myśli wszystkich krążyły nieustannie dookoła hańby, którą cesarz zamierzał okryć Kornelię oraz cały patrycjat rodowy.

Domicjan dopuścił się wobec czterech mężczyzn i dwóch kobiet, zebranych oto w domu Helwida, licznych aktów przemocy. Siedziały tu Gratilla, siostra Cepiona, którego kazał zgładzić, oraz żona jego Fannia. Wszyscy obecni byli przyjaciółmi i zaufanymi książąt Sabina i Eliusza oraz dziewięciu innych senatorów, którzy ponieśli śmierć równocześnie z Cepionem, byli bowiem zamieszani w nieudany zamach Saturnina. Jednakże, jeżeli cesarz pozabijał owych ludzi, jeżeli występował przeciw tym, którzy się tutaj zebrali, miało to z jego punktu widzenia swój sens i cel. Natomiast prześladowanie Kornelii było czczym kaprysem, pozbawionym jakiegokolwiek sensu. Jakaż to bezgraniczna czelność, że cesarz, ten lubieżny kozioł Domicjan, podnosi rękę na Kornelię, naszą czystą, słodką Kornelię. Gdziekolwiek się zjawiała, miało się uczucie: „Świat jednak jeszcze nie zginął, skoro istnieje Kornelia!” I właśnie po nią musiał ten potwór wyciągnąć łapę.

Najbardziej i najgłębiej poruszało wszakże zebranych u Helwida, choć nie rozwodzili się

nad tym zbytnio, szersze tło wydarzenia. Jeżeli Domicjan, to dwunożne wcielenie występku, każe patrycjuszkę najczystszej krwi, Kornelię, zgładzić haniebnie za stwierdzoną przez fałszywych świadków rozwiązłość, to odbija się w tym całe szczerzące zęby zepsucie tego Rzymu. Nic pod słońcem nie zdoła cesarza odstraszyć, nie cofnie się przed niczym. Pod jego rządami wszystko, co szlachetne, przeradzało się w pospolitość.

„Nie odważy się”, pocieszali się od dnia, kiedy dotarła do nich ta pogłoska. W iluż jednak podobnych wypadkach pocieszali się podobnie. Ilekroć krążyły słuchy o nowym, nikczemnym zamiarze cesarza, zgrzytali zębami: „Nie odważy się, senat i lud na to nie pozwolą.” Ale, zwłaszcza od czasu nieudanego zamachu Saturnina, ważył się na wszystko, senat zaś i lud wszystko tolerowali. Wspomnienie tych licznych klęsk przytłaczało ich, ale nie zdradzali tego. „Nie odważy się.” Oparli swe nadzieje na słowach, które senator Helwid wyrzucił z siebie z taką furją i przekonaniem.

Nagle odezwał się najmłodszy spośród nich, senator Publiusz Korneliusz.

— Odważy się — rzekł — a my będziemy milczeli. Przełkniemy to w milczeniu. I będziemy mieli rację, gdyż w obecnej chwili nie pozostaje nam nic innego.

Ale Fannia oświadczyła:

— Nie chcę milczeć, nie powinno się milczeć.

Jej sędziwa ziemista twarz miała wyraz ponury i nieustraszonej; obrzucała Publiusza Korneliusza gniewnymi spojrzeniami. Był bliskim krewnym zagrożonej westalki, los jej obchodził go bardziej niż innych, żałował już niemal tego, co powiedział. Mógł mówić tak przed myślącymi podobnie jak on, ale nie w obecności tej starej Fannii. Była córką Petusa, który pod panowaniem Nerona zginął za przekonania republikańskie, wdową po Cepionie, którego Domicjan kazał zgładzić, rozprawiwszy się z Saturninem. Ilekroć Fannia odzywała się, Korneliusza ogarniały wątpliwości, czy nie popełniał błędu darząc mianem bohaterstwa milczenie, które zalecał kierując się rozsądkiem, czy demonstracyjne męczeństwo Fannii nie jest w gruncie rzeczy słuszniejsze.

Powolnym ruchem zwrócił w stronę zebranych twarz, mimo młodego wieku pooraną zmarszczkami. Tylko tak zwykle pełen umiaru Decjan dał mu przelotnym spojrzeniem do zrozumienia, że się z nim zgadza. Bez wielkiej nadziei próbował więc Korneliusz wyjaśnić, dlaczego właśnie w sprawach westalki Kornelii uważa za szkodliwe wszelkiego rodzaju demonstracje. Lud kocha i poważa Kornelię. Proces przeciwko niej, a może nawet jej zgładzenie nie wydadzą się ludowi, jakby tego zapewne pragnął Domicjan, surową ofiarą złożoną bogom; lud uzna taki krok za nieludzkie okrucieństwo, za bezprawie. Gdybyśmy jednak jako senatorzy zademonstrowali przeciwko temu, zepchnęlibyśmy tę sprawę z toru zagadnień ogólnoludzkich na tory polityczne.

Decjan przytaknął.

— Obawiam się — rzekł — że Korneliusz ma rację. Jesteśmy bezbronni, możemy tylko milczeć.

Nie wypowiedział jednak tych słów swoim zwyczajem rzeczowo i spokojnie, lecz z takim bólem i tak beznadziejnie, że wszyscy spojrzeli na siebie stropieni.

Decjan otrzymał wieści od Kornelii. Przyniosła mu je niejaka Melitta, niegdyś niewolnica Kornelii, dziś przez nią wyzwolona. W bezładnych słowach poinformowała go, że z okazji święta Dobrej Bogini w domu Woluzji, żony konsula, zdarzyło się coś bardzo niemiłego. Decjan nie mógł się zorientować z zagmatwanych relacji Melitty, na czym ten przykry incydent polegał; pewne było tylko, że Melitta jest w to wmieszana, Kornelia zaś poważnie zagrożona. Spokojny, niemłody już oficer Decjan kochał westalkę Kornelię, miał wrażenie, że na jego widok i jej uśmiech stawał się głębszy i serdeczniejszy. Była to miłość cicha, nie natarczywa, właściwie

beznadziejna. Zbliżenie się do Kornelii było trudne, niemal niemożliwe. Kiedy jej wolno będzie opuścić dom Westy, Decjan będzie już starym człowiekiem. Wzruszył się głęboko, że zwróciła się do niego o pomoc. Melitta zaklinała go w imieniu swej pani i przyjaciółki, by ją wywiózł z Rzymu i ukrył w trudnym do znalezienia zaciszu. Zrobił wszystko, żeby pomóc Melitcie, w największej tajemnicy kazał ją przez ludzi zaufanych wywieźć do swych posiadłości na Sycylii. Żyła tam teraz w ukryciu; wraz z nią znikł główny świadek, zniknęła zapewne ta, na której świadectwo mogliby się powołać wrogowie Kornelii. Jeżeli jednak cesarz naprawdę chce zgładzić Kornelię, to sprawa jednego świadka mniej albo więcej nie ma znaczenia, wtedy nie będzie rozstrzygać sprawiedliwość, lecz wyłącznie nienawiść i samowola. Uczucie spętania i beziły opadło teraz Decjana w trakcie rozmowy z Korneliuszem ze zdwojoną mocą; w słowach jego zabrzmiała nuta szczerzej troski.

Tymczasem Fannia nie zważała ani na przygnębienie Decjana, ani na rozsądne rady Publiusza Korneliusza. Siedziała z zaciekle wyrazem surowej twarzy, skamieniałej od przeżytych cierpień.

— Nie wolno nam milczeć — upierała się — byłoby to zbrodnią i hańbą.

„Niczym w czytance dla grzecznych dzieci — myślał z niezadowoleniem Publiusz Korneliusz. — Ta chce za wszelką cenę kontynuować bohaterskie tradycje rodziny. Ale w moim dziele historycznym będzie w najlepszym razie postacią epizodyczną, nie przejdzie do historii.” Mimo tej rzeczowej krytyki, mimo woli podziwiał tę kobietę, która tak bohatersko i niemądrze wznosiła się ponad swoich współczesnych, ubolewał nad własnym rozsądkiem.

Gratilla, siostra zamordowanego Cepiona, spokojna, dostojna, nieco otyła starsza dama, przyszła szwagierce w sukurs.

— Rozsądek — powiedziała szyderczo — ostrożność, polityka. Wszystko to pięknie i ładnie. Ale jak może ten, kto ma choć trochę serca, przetykać stale bez protestu okropieństwa tego Domicjana? Jestem prostą kobietą, nie znam się na polityce, nie mam żadnych ambicji. Ale żółć mi się burzy, kiedy myślę o tym, co o nas kiedyś powiedzą potomni, synowie i wnuki, jeżeli bez sprzeciwu znoś będziemy to panowanie kłamstwa i przemocy.

— Kiedy skończysz swą biografię Petusa, mój Pryskusie? — odezwała się znowu Fannia. — Kiedy się ukaze? Wielkie to dla mnie zadośćuczynienie, że choć jeden odezwał się i nie zasklepia się w gniewie i smutku.

Łysy jak kolano Pryskus spojrział na zebranych, wszyscy patrzą na niego, czekają, co odpowie. Uchodził za wybitnego prawnika, był znany z tego, że starannie ważył na szali argumenty i kontrargumenty. Nie był więc ślepy na zasługi Domicjana w dziedzinie rządzenia państwem, ale widział również dokładnie samowolę i nieodpowiedzialność tych rządów jednostki oraz wyraźne łamanie prawa.

O tych swoich spostrzeżeniach mógł jednak mówić jedynie w gronie zaufanych, poza tym musiał się z nimi kryć przed wszystkimi, jeżeli nie chciał narazić się na proces o obrazę majestatu. Znalazł dla siebie wyjście. Milczał, a jednak nie milczał. Dawał wyraz swemu oburzeniu w dziele historycznym, poświęconym żywotowi wielkiego Petusa Thraxa, ojca Fannii. Kusilo go, by jak najbardziej rzeczowo opisać życie owego republikanina, którego Nero kazał zgładzić za zbyt niezależne poglądy; pragnął zedrzyć z niego powłokę, narzuconą mu przez legendę, i ukazać go tak, żeby ów

Petus Thraxa i bez mitycznych ornamentów był wielkim człowiekiem, zasługującym na najwyższy szacunek. Fannia mogła mu dostarczyć wiele materiału do tego dzieła, całą masę nieznaną, ścisłych szczegółów.

To dzieło, niemal już ukończone, autor przeznacza tylko dla siebie oraz swoich najbliższych, zaufanych przyjaciół, przede wszystkim dla Fannii. Opublikowanie takiego utworu

pod panowaniem Domicjana byłoby postawieniem na kartę stanowiska, majątku, nawet życia i dlatego nigdy o tym nie myślał na serio. Jeżeli więc Fannia twierdziła teraz, że Pryskus nie będzie milczał, nie stłumi swego gniewu, było to, łagodnie mówiąc, przesadą i nieporozumieniem. Takie miał bowiem w istocie zamiary: chciał zamknąć swój gniew w skrzyni razem ze swym dziełem, pisząc je pragnął jedynie ulżyć nieco sercu. Po publikacji niewiele sobie obiecywał. Byłaby tylko demonstracyjnym gestem, i całkowitą rację miał Publiusz Korneliusz, że takie ostentacyjne gesty do niczego nie prowadzą; nic nie mogą zmienić, bo jakże literatura zdolna byłaby stawić czoło władzy?

Takie były poglądy Pryskusa. Nagle jednak ujrzał utkwione w siebie wyczekujące spojrzenie wszystkich zebranych, zobaczył surową, wyzywającą twarz Fannii, uświadomił sobie, że gdyby chciał się nadal wykręcać, wszyscy uznaliby go za tchórza. Nie może okazać się tchórzem. Podczas gdy mózg mówił mu: „Co robisz, głupcze?”, usta wypowiedziały ostro:

— Nie, nie zamknę mego gniewu na cztery spusty. —

Zanim zdążył skończyć to zdanie, już go pożałował.

„W jakim celu chce naśladować Petusa?”, pomyślał

melancholijnie Decjan. Publiuszowi Korneliuszowi przeszło przez głowę: „I ten okazał się głupcem i bohaterem.” Powiedział głośno i ponuro:

— Mężczyzna winien się opanować. Winien milczeć, żeby przeżyć te czasy.

Stara, ziemista, poorana twarz Fannii stała się maską szyderstwa i protestu.

— Biedna Kornelia — westchnęła i prowokacyjnie zapytała Publiusza Korneliusza: — Czy będziesz miał odwagę przyłączyć się do nas, kiedy zechcemy odwiedzić stryja twego Lentulusa? — Stary ojciec Kornelii od dawna wycofał się z życia publicznego i żył spokojnie w swojej sabińskiej posiadłości; taka wspólna wizyta byłaby równoznaczna z demonstracją przeciw cesarzowi.

— Obawiam się — oświadczył Publiusz Korneliusz nie zwracając uwagi na obelżywe słowa Fannii — że nie bylibyśmy dla stryja zbyt pożądanymi gośćmi. Ma zgryzoty, stroni od ludzi.

— A więc nie będziesz nam towarzyszył? — zapytała Fannia.

— Stawię się — odparł Publiusz Korneliusz z chłodną uprzejmością.

„Biedny Pryskus musi opublikować swą biografię — pomyślał w duchu — a ja muszę wziąć udział w tej głupiej wizycie, ponieważ żąda tego ta kobieta-bohaterka. Wszystko jest takie beznadziejne. My mamy naszą godność, Domicjan ma armię i masy. Jakaż to ponura bezsilność!”

Domicjan powrócił jeszcze zimą. Zadowolili się złożeniem wieńca Jowiszowi Kapitolińskiemu, zrezygnował z wielkich honorów. W senacie czyniono z tego powodu złośliwe dowcipy. Marull i Reginus byli zdania, że sytuacja Domicjana nie jest łatwa. Gdyby święcił tryumf, śmiano by się, w jaki to sposób fałszuje prawdę, maskując klęskę. Z chwilą kiedy zrezygnował z tryumfu, pokpiwano sobie, że klęska jego jest tak wielka, iż sam musi się do niej przyznać.

Jako dobry znawca dusz ludu zamiast hołdów dla swojej osoby zarządził rozdział podarków na wielką skalę; koszty tej imprezy miały być pokryte z jego części łupów, zdobytych na Sarmatach. Każdy osiadły w Rzymie obywatel miał prawo do jakiegoś daru. Kiedy chodziło o takie sprawy, cesarz miał niezwykle szeroką rękę, nie robił sobie nic z tego, że pożerało to miliony. W tym wypadku dawał ponadto dowód, jak potężne łupy zdobyto na Sarmatach.

Tronował więc w sali kolumnowej Minucjusza. Nad głową miał swoją ukochaną boginię Minerwę, otaczali go dworacy, pisarze, oficerowie. Dookoła tłoczyły się nieprzebrane tłumy.

Każdy otrzymywał kolejno znaczki z gliny, ołowiu i brązu, szczęśliwi wybrańcy losu dostawali znaczki ze srebra i złota. Niektóre dary były bardzo kosztowne i wartościowe. Jakże się radowali ci, którym znaczki tego rodzaju przypadły w udziale! Jakże szczerze i gorliwie sławili władcę i boga Domiejana za to, że uszczęśliwia Rzym i swój lud! Nie tylko jednak obdarowani sławili cesarza. Czynili to również przyjaciele i krewni; wszyscy byli szczęśliwi, bo każdy miał nadzieję: jeżeli dziś nie otrzyma złotego znaczka, może szczęście zabłyśnie mu następnym razem. Rozdział podarków stał się więc dla Domicjana olśniewającym tryumfem, potężniejszym od najwspanialszego pochodu.

Sam cesarz tronoł pod posągami swojej mądrej Minerwy, umiejącej dawać dobre rady. W ciągu ostatnich lat siedmiu rozrył się bardzo, twarz miał czerwoną i obrzmiałą. Siedział nieruchomy, równy bogom, rozkoszował się radością swego ludu. Ci, którym przypadł znaczek ze złota, mieli prawo ucałować jego dłoń. Wyciągał ją nie patrząc na nikogo; nikt jednak nie widział w tym przejawu pychy, wszyscy byli wniebowzięci. Senatorowie musieli przyznać zgrzytając zębami: lud, tak zwane przez nich pospólstwo, kocha swego władcę i boga Domicjana.

Następnego dnia święto podarków zostało zakończone widowiskiem na arenie flawijskiej, w Colosseum, w owym największym cyrku świata, który kazał zbudować brat Domicjana. Rozrzucano monety. Przy pomocy kunsztownej maszynierii fruwały nad areną lekkie, zabawne duszki, rozsiewały wśród tłumów znaczki, upoważniające do otrzymania podarków. W końcu zjawiła się bogini hojności Liberalitas i zaczęła wysypywać przeróżne dary z rogu obfitości. Były to podpisane przez cesarza akty nadania ziemi, przywileje oraz intratne posady. Entuzjazm był bezgraniczny. Nikt nie zważał na to, że tłocząca się ciżba udusiła lub rozdeptała niemało kobiet i dzieci.

Tego wieczoru Domicjan wydał ucztę dla senatu i swoich przyjaciół. Wyróżnił wielu z przybyłych uprzejmą rozmową, ale miłe zdania brzmiały ponuro, gdyż zabarwił je złowrogim dowcipem. I tak na przykład sędziemu Aperowi, kuzynowi pokonanego buntownika generała Saturnina, zaczął opowiadać swym wysokim, ostrym głosem, jak masy radowały się z podarunków. Napływ mas był widowiskiem jeszcze bardziej godnym obejrzenia niż owo widowisko, kiedy to kazał wystawić na Forum głowę pokonanego buntownika Saturnina. Potem zaczął mówić o swoim szczęściu, które od czasu klęski Saturnina zaczyna stawać się przysłowiowe. Starannie przygotowany wówczas zamach stanu nie udał się wyłącznie z powodu kaprysu pogody; nagła odwilż nie pozwoliła zwerbowanym przez Saturnina oddziałom barbarzyńców przekroczyć zamarznętej rzeki i, jak było umówione, przyjść buntownicemu generałowi z pomocą. Tak, stwierdził Domicjan, szczęście jego można porównać jedynie ze szczęściem Juliusza Cezara. Inna sprawa, że i ten szczęśliwy Cezar zginął wreszcie przeszyty sztyletami wrogów.

— Nam, władcom — rzucił od niechcienia, siedzącemu wokół niego jak posągi kamienne, otoczeniu — nie wszystko idzie gładko. Jeżeli schwycimy naszych przeciwników w porę, zanim dokonają planowanego zamachu, zarzuca się nam, że wyszliśmy z palca zbrodnicze zamysły naszych wrogów, żeby mieć pretekst do zgładzenia ich. Ludzie dają wiarę uknutym przeciw nam sprzysiężeniom dopiero wtedy, kiedy spiskowcom uda się nas zamordować. Go o tym myślisz, mój Pryskusie, jakie jest twoje zdanie, mój Helwidzie?

Nie wspominał na razie ani słowem o swych zamiarach w sprawie Kornelii. A trudno było wyciągnąć konsekwencje z faktu, że jednym z pierwszych posunięć, którego dokonał po powrocie, było ukaranie innego wykroczenia przeciwko religii, którego się dopuścił pewien prosty człowiek.

Niejaki Lidus, wyzwoleniec, w stanie nietrzeźwym załatwił swą potrzebę w ten sposób,

że odlał się do jednego z rowków, podobnych do strumyczków, które wykopywano w tym celu, by grzebać w nich błyskawice i pioruny. Każdy bowiem piorun, który uderzył w miejscu publicznym i tam zagasł, musiał być na podobieństwo nieboszczyka natychmiast pogrzebany dla uniknięcia dalszych złych następstw. Tam więc, gdzie uderzył piorun, wygrzebywano ziemię, a kapłani składali w ofierze cebulę, włosy ludzkie, żywe ryby. Potem wmurowywano coś w rodzaju trumny. Nad tym grobem umieszczano napis: „Tutaj został pogrzebany piorun.” Taka to stara mogiła piorunów, pochodząca z czasów cesarza Tyberiusza, znajdowała się w pobliżu Bramy Łacińskiej i w tym świętym miejscu nieszczęsny Lidus załatwił swoją potrzebę. Cesarz jako arcykapłan oddał go pod sąd. Został skazany na chłostę i utratę mienia, ponadto zabroniono mu korzystania w Italii z ognia i wody.

W kilka dni później Domicjan powołał do swej rezydencji w Albanum radę najwyższą kapłanów, kolegium piętnastu. Wezwanie, jak zawsze, nastąpiło w najgłębszej tajemnicy. Mimo to wszyscy o tym wiedzieli, zapewne cesarz życzył sobie tego; kiedy owych piętnastu wyruszyło w drogę, wzdłuż drogi albańskiej stał cały Rzym.

Owych najwyższych kapłanów rzadko widywano. Otaczały ich ciekawość i lęk. Kapłan, składający ofiary Jowiszowi, był wśród mieszkańców Rzymu postacią chyba najbardziej godną widzenia, najbardziej antyczną. Kiedy, co się rzadko zdarzało, opuszczał swoją siedzibę, kroczył przed nim liktor i wołał, że każdy winien zaniechać pracy, zbliża się bowiem kapłan Jowisza. Wszędzie, gdzie się zjawiał, musiało być święto, musiał panować nabożny lęk, kapłan nie powinien zastać nikogo przy pracy. Nie wolno było również dopuścić, by ujrzał kogoś uzbrojonego lub spętanego. Całe jego życie było ciężkie i święte. Zaraz po obudzeniu musiał wkładać oficjalną szatę, wolno mu było zdjąć ją dopiero wtedy, kiedy szedł spać. Owa szata oficjalna składała się z grubej wełnianej togi, która musiała być utkana przez żonę kapłana, oraz z białego, spiczastego kapelusza ze skóry, zakończonego chwastem, ten zaś opleciony był gałązką oliwną i wełnianą nitką. Nigdy, nawet u siebie w domu, nie wolno mu było rozstawać się z tą oznaką władzy. Na ciele jego nie mogło znajdować się nic zawiązanego ani ściągniętego na węzeł, szatę jego spinały klamry, nawet sygnet musiał być przełamany. Winien był stale nosić przy sobie niewielką pałeczkę, by trzymać ludzi z dala od siebie; nie wolno, żeby go skalało choćby najlżejsze zetknięcie z ludźmi.

Tłum tłoczył się więc, żeby zobaczyć jego i innych członków kolegium piętnastu. Widzowie byli poruszeni, dzielili się ze sobą wrażeniami. Wszyscy wiedzieli, o co chodzi: o los Kornelii, westalki, ulubienicy Rzymu.

Zebrania kolegium piętnastu budziły lęk, gdyż we wszystkich wypadkach przestępstw przeciw religii kolegium to samowolnie orzekało o winie lub braku winy. Nie miało obowiązku badać oskarżonego, niepotrzebni im byli świadkowie, odpowiadali tylko przed bogami. Oskarżony był wydany na ich pastwę i całkowicie bezsilny. Należało do nich tylko stwierdzenie, czy ktoś jest winny, czy niewinny; o karze decydował senat. Ponieważ senat nie mógł obalić orzeczenia sądu kapłańskiego „winien”, a ustawy przewidywały kary w sposób całkowicie niedwuznaczny, pozostawało mu niewdzięczne zadanie zatwierdzenia wyroku, wydanego przez sąd kapłański.

Z przerażeniem i nie bez dreszczyku podniecenia zaczęto wieczorem szeptać o decyzji kolegium piętnastu. Westalka Kornelia została uznana za winną rozwiązłości.

Za to przestępstwo, za rozwiązłość westalki, barbarzyński zwyczaj ustalił barbarzyńską karę. Winna miała być zawleczona na plecionce z wikliny przed bramę na wzgórze i tam wychłostana; potem żywcem zamurowana w więzieniu, miała konać tam powoli, zostawiano jej bowiem odrobinę jadła i światła.

W ciągu ostatnich stu trzydziestu lat żadna westalka nie była oskarżona o rozwiązłość.

Domicjan pierwszy wszczął tego rodzaju proces przeciw siostronom Okulate; jednak i on w pełni nie wykonał wyroku, złagodził go przez to, że pozostawił siostronom wybór, jaką śmiercią chcą zginąć.

Co uczyni teraz? Co się stanie z uroczą, uwielbianą Kornelią? Czy cesarz odważy się ją skazać?

Po oddaleniu się członków sądu kapłańskiego w obszernym pałacu w Albanum pozostali tego wieczora tylko cesarz i marszałek dworu Kryspin.

Kryspin tkwił w swoim pokoju beczynnym, w szalonym napięciu. DDD nie dopuścił go przed swoje oblicze przez cały dzień, czekał więc z trwogą w sercu, kiedy go zawezwie. Elegancki i zazwyczaj wytworny, dziś był niechlujny i zaniedbany. Gdzie się podziała jego suwerenna obojętność i duma oraz zblazowanie, cechujące tę delikatną, szczupłą, podłużną twarz? Twarz ta zdradzała zdenerwowanie, była poorana zmarszczkami, malował się na niej strach.

Raz po raz wracał myślą do tego, co się stało, nie rozumiał nic, nie rozumiał sam siebie. Jaki zły duch podszeptał mu bezmyślny pomysł uczestniczenia w przebraniu w uroczystościach ku czci Dobrej Bogini. Każde dziecko mogłoby mu powiedzieć, że pomimo całej przyjaźni DDD nie puści mu tego płazem. Przebaczyłby mu każdy występki, ale nie zbezczeszczenie religii. A przecież wcale nie zamierzał obrazić bogów, wśliznął się na święto Dobrej Bogini tylko dlatego, bo nie było innego sposobu zbliżenia się do Kornelii. Tak samo postąpił swego czasu Klodiusz, głośny elegant z czasów Juliusza Cezara, żeby się zbliżyć do niełatwo dostępnej żony Cezara. Klodiusz wykręcił się wtedy sianem. Ale były to liberalne czasy. Jeżeli chodzi o naszego DDD, to, niestety, nie uznaje żartów, kiedy chodzi o sprawy, mające związek z religią.

Ale czy są przeciw niemu dowody? Nikt nie widział go wówczas, kiedy w szatach kobiecych wkradł się na święto ku czci Dobrej Bogini, w którym nie wolno uczestniczyć żadnemu mężczyźnie. Tylko Melitta mogła świadczyć przeciw niemu, ta wyzwolona, z którą był wówczas w porozumieniu. Ale znikła z powierzchni, a Kornelia ma wszystkie powody, aby milczeć. Nie, nie złoży zeznania przeciw niemu. A może jednak? Norban ma setki oczu, a kiedy chodzi o Kryspina, oczy te wyostrza nienawiść.

Przed powrotem cesarza miał nadzieję, że powrót ten wyjaśni jego sytuację. Ale nic się nie wyjaśniło. DDD był swobodny, traktował go przyjaźnie, jak zawsze. Ale Kryspin znał swego DDD, wiedział, że to niczego nie dowodzi, potworny strach nie opuszczał go dniem i nocą. Przez cały czas miał wrażenie, że za chwilę ziemia rozstąpi się, by go pochłonięć. Piękna jego twarz była zapadnięta, musiał zadawać sobie niemało trudu, by nagle nie zamilknąć w trakcie rozmowy i nie zatonać w zadumie. Najwytworniejsze kobiety straciły dla niego wdzięk, nie sprawiał mu przyjemności widok najładniejszych chłopców. Nie zwracał uwagi na stroje, które mu przygotowywał kamerdyner, fryzjer mógł do woli zmieniać wonności, którymi go skrapiał. Przyjaciele nie byli już przyjaciółmi, kiedy zaś leżał w nocy nie mogąc zasnąć, często nawiedzała go zawsze ta sama straszna wizja. Widział, jak go wloką na rynek bydlęcy, jak go przed dziesiątkami tysięcy widzów przywiązują do głazu, czuł, jak go chłoszczą na śmierć zgodnie z brzmieniem ustawy. Rzecz dziwna: dziesiątki tysięcy widzów miało jego własną twarz, wszyscy, nawet urzędnik, kierujący egzekucją, i kat mieli jego własne oblicze, poza tym wszyscy mówili jego głosem. Słyszał siebie samego i to przerażało go najbardziej. Słyszał, jak posługując się wytwornymi zwrotami greckimi wypowiada zjadliwe dowcipy na temat śmiertelnych mąk, o jakie go przyprowadzają zadawane mu katusze, i na temat swego budzącego grozę zamierania.

Dziś, w Albanum, przez ten cały dzień, kiedy obradowało kolegium piętnastu, uczucie czekającej go zagłady było jeszcze bardziej przytłaczające; miał wrażenie, że zbliża się do niego góra, że się nad nim powoli pochyla, by go pod sobą pogrzebać; było to tak obrazowe i

namacalne, że chwilami nie mógł tchu złapać. Włóczył się po nieskończonych krużgankach zamku, po obszernym parku, po cieplarniach, snuł się między klatkami zwierząt. Nie widział nikogo i nic; gdyby go ktoś zapytał, gdzie był, nie potrafiłby odpowiedzieć.

Zapadła noc. Ze swej kryjówki zobaczył oddalających się kapłanów kolegium. Jakaś resztką dawnego Kryspina pomyślała z łobuzerskim szyderstwem, ile trudu musieli zadać sobie panowie kapłani, żeby przy wsiadaniu do pojazdów nie pospadały im spiczaste, śmieszne czapy. Równocześnie Kryspin, któremu groziła śmierć, pomyślał sobie: „Co też mogli uradzić?”

Siedział więc w swojej bibliotece, piersi rozsadzała mu bezsilna złość, że zdany jest na łaskę i niełaskę tych śmiesznie ubranych błaznów, że od ich woli jedynie zależy, by skazać go na haniebną, męczeńską śmierć, jego, wielkiego Kryspina, potężnego ministra cesarza. Czy to uczynili? Ręce miał zimne jak ręce trupa, w głowie świdrowało uparcie to jedyne pytanie: „Czy mnie skazał, czy się na to odważył? Czy mnie skazał, czy się na to odważył?”

Nareszcie wezwano go do Domicjana. Kamerdynerowi, który mu pomagał przy wkładaniu szaty galowej i wysokich trzewików, dawał brutalne, niecierpliwe zlecenia, a głos nie bardzo był mu posłuszny; kiedy sam zapinał coś lub zawiązywał, drżały mu ręce, kiedy służba, niosąc w rękę świeczniki, ruszyła przed nim długimi korytarzami, drżały mu kolana. Próbował patrzeć na swój pokraczny cień, który mu wiernie towarzyszył, chciał pozbyć się w ten sposób strachu i stanąć przed cesarzem ze spokojną twarzą. W myślach również nie nazywał już Domicjana DDD, lecz cesarzem.

Cesarz leżał na szerokiej sofie, w szlafroku. Zdawał się zmęczony, ociężały. Wyciągnął rękę. Kryspin ucałował ją ostrożnie, żeby nie pozostał ślad po szmince, którą miał umalowane usta.

— Dzień dzisiejszy był dla mnie męczący — powiedział Domicjan ziewając potężnie. — Tak, musieliśmy ją skazać. Wielki to dla mnie cios. Przejąłem miasto i państwo w kiepskim stanie. To zdziczały ogród; trzeba ciągle baczyć, żeby nie wyrastały w nim nowe chwasty. Dlaczegoś taki milczący, mój Kryspinie? Powiedz mi coś pocieszającego. Władca i bóg Domicjan łaknie dziś słów pociechy od przyjaciół.

Kryspin nie wiedział, co ma o tym myśleć. Jeżeli Kornelia została skazana, to tylko za to, co się zdarzyło podczas święta ku czci Dobrej Bogini, i w takim razie on był współwinowajcą. Czego więc cesarz chce? Czy to jeden z jego złowrogich kawałów?

— Widzę — ciągnął dalej Domicjan — że ci odebrało mowę. Rozumiem to. Od czasów Cycerona żadna westalka nie była skazana. A pod moimi rządami: najpierw siostry Okulate, a teraz Kornelia. Bogowie nie ułatwiają mi zadania.

Kryspin wykrztusił ze siebie głosem, który jemu samemu wydał się obcy:

— Czy były dowody?

Cesarz uśmiechnął się. Po tym przeciągłym, znaczącym uśmiechu Kryspin zorientował się, że jest zgubiony.

— Dowody? — zapytał Domicjan, wrzucił ramionami, rozłożył ręce z dłońmi skierowanymi ku Kryspinowi. — Czego chcesz, mój Kryspinie? Nasz Norban zebrał szereg faktów. Prawnicy nazywają to, zdaje się, poszlakami, ważkimi poszlakami. Ale czym są dowody? Gdyby poddać przesłuchaniu Kornelię oraz mężczyznę i kobietę, których Norban uznał za współwinnych, tych troje oskarżonych miałyby niewątpliwie liczne i równie przekonujące kontr-dowody. Czym są dowody? — Wyprostował się, pochylił się nad siedzącym sztywno Kryspinem i powiedział poufale patrząc mu prosto w oczy: — Jest jeden jedyne dowód. Waży więcej niż wszystkie zarzuty, które Norban mógł wytoczyć przeciw Kornelii, niż wszystko, na co mogłaby powołać się Kornelia oraz jej współwinni. Kapłanom mego kolegium dowód ten wydał

się całkowicie przekonywający. Nie jestem — tobie mogę to przecież powiedzieć, mój Kryspinie — zadowolony z rezultatu sarmackiej wyprawy.

Bogowie nie pobłogosławili mojej broni. Dlaczego? Ponieważ — tu zerwał się z miejsca — miasto Rzym pełne jest grzechu i porubstwa. Kiedy Norban doniósł mi, co zaszło podczas święta ku czci Dobrej Bogini, otworzyły mi się oczy. Zrozumiałem, dlaczego ta sarmacka wyprawa nie przyniosła mi plonów, które sobie po niej obiecywałem. Jakie jest twoje zdanie, mój Kryspinie? Powiedz szczerze, czy nie jest to dowód dostatecznie przekonywający?

— Tak — wyjąkał Kryspin.

Kiedy cesarz podniósł się, zerwał się i on również. Stał teraz z dygocącymi kolanami, chwiejąc się lekko, piękna złotawa smagłość wąskiej twarzy nabrała pod szminką odcienia zieleni. — Tak, tak — wyjąkał, nie panując już dłużej nad sobą — czy mogę jednak zapytać, kim są ci współwinni? — zapytał.

— To inna sprawa — rzekł cesarz przebiegle, ale ciągle jeszcze tym samym poufałym, serdecznym tonem. — Chodzi oczywiście o wypadki, które się rozegrały podczas święta ku czci Dobrej Bogini. Ale o tym ty sam chyba wiesz najlepiej.

Kiedy cesarz rzucił od niechcienia te słowa, Kryspina przeszył znowu dreszcz trwogi.

— To, co zrobił ten gagatek hańbiąc święto — ciągnął dalej Domicjan — było w gruncie rzeczy tylko nieskończenie głupim naśladownictwem kawału Klodiusza z czasów Juliusza Cezara. I dlatego jeszcze nie chce mi się wierzyć w doniesienia Norbana, choć mają solidne podstawy. Nie mieści mi się po prostu w głowie, żeby u nas w Rzymie, w moim Rzymie ktoś mógł wpaść na pomysł tak bezdennie głupi. Nie rozumiem tego. Ludzie ówcześni mogli Klodiuszowi przebaczyć. Ale mój sąd kapłański, mój senat — musi to chyba wiedzieć każdy, kto ma choć trochę oleju w głowie — ja i moi sędziowie takich zbrodni nie przebaczymy.

Teraz siły Kryspina zawiodły zupełnie, padł ciężko przed cesarzem na kolana.

— Jestem niewinny, panie mój i boże Domicjanie — skamlał klęcząc. Wył, błagał, zaklinał: — Jestem niewinny.

— Patrzcie, patrzcie — rzekł cesarz. — A więc Norban jest w błędzie. Albo jest oszczercą. Patrzcie, patrzcie! Ciekawe. Bardzo ciekawe. — Nagle, widząc, że Kryspin całując go poplamiał mu szminką szlafrok, zsiniał z gniewu i wybuchnął: — W dodatku kalasz swoimi chamskimi wargami mój strój, ty wyrzutku, ty synu suki i pijanego woźnicy! — Zaczerpnął tchu, odsunął się od Kryspina, który leżał na podłodze, zaczął chodzić tam i z powrotem, wyrzucając ze siebie gniewne słowa:

— Oto podzięka tych, których się wyciągało z błota. Moja mała Kornelia! Zatruwają człowiekowi najlepsze, co posiada. Śpią z jego córkami. Zapewne nie wiedziałeś, ty łotrze, któremu bogowie dali puste jajko zamiast głowy, że westalki są moimi córkami, gdyż jestem przecież arcykapłanem. Nie rozumiesz nawet zapewne, coś narobił, ty egipski szubrawcze. Zerwałeś mój związek z bogami, ty ścierwo, ty po trzykroć przeklęty. W dodatku nie po raz pierwszy naraziłeś mnie na niełaskę bogów. — Wypluł teraz ze siebie to, co jako nierychliwy mściciel w ciągu siedmiu lat taił w swej piersi. — Przecież to ty, zarazo, ty, po trzykroć przeklęty, żaloszny durniu, wciągnąłeś mnie wtedy przed siedmiu laty w spór z Jehową! Czyja to wina, że tak długo kazałem czekać arcykapłanowi z Jawneh? Twoim obowiązkiem było zwrócenie mi uwagi, że powinienem go przyjąć. A teraz, ty szakalu zatracony, ty Egipcjaninie, śpisz z moją westalką!

Kryspin wlaźł w kąt. Cesarz, olbrzymi jak posąg, otyły, mięsisty, podszedł do niego posapując. Kryspin przytulił się do ściany, cesarz kopnął go. Kopniak, dany bosą nogą, obutą w sandały, był słaby i nie bolał. Mimo to Kryspin wrzasnął i przerażenie jego było szczerze. Wysunięta górna warga cesarza wyduła się pogardliwiej.

— Ten szakal nie ma ani odrobiny odwagi — powiedział i zostawił go w spokoju. Po chwili podszedł doń znowu, nachylił się nad łkającym i przyłożywszy usta do jego ucha, zapytał szeptem:

— Jakże to było? Czy przynajmniej miałeś coś z tego? Jakaż była ta dziewczina Kornelia? Czy była to wielka rozkosz? Smakowała ci? Czy ta święta smakowała inaczej niż inne? Mówże, mów!

Kiedy zaś Kryspin wyjąkał:

— Ależ ja nic nie wiem, przecież ja...

Cesarz wyprostował się i rzekł wyniośle:

— Norban spotwarzył cię, jesteś, biedaku, niewinny, nie wiesz o niczym. Przecież mi to już mówiłeś. No, dobrze już. — Nagle, odwróciwszy się, krzyknął przez ramię: — Możesz odejść. Siedz w swoim pokoju. I radzę ci, żebyś się wykapał. Zaświniłeś się cały, ty tchórze.

— Daruj mi życie, władco i boże Domicjanie! — ryknął znowu Egipcjanin. — Daruj mi życie, a podziękuję ci, jak nikt tego jeszcze nie uczynił.

— Ta kupa gówna — mruknął Domicjan z odrazą i bezmierną pychą. — Żebyś mi się tylko nie pozbawił życia, słyszysz? — rozkazał. — Ale ty i tak tego nie zrobisz.

Kryspin był już przy drzwiach. Domicjan oświadczył majestatycznie:

— Co się tyczy twego życia, to decyzja nie zależy ode mnie. Po wypowiedzeniu się kolegium piętnastu, jest ona w ręku senatu.

Kiedy cesarz, niczym sędzia najwyższy, wypowiadał te szydercze słowa, wyłonił się karzeł Silen, który dotąd krył się zapewne w jakimś kącie, i stanął za cesarzem naśladując jego postawę. Kiedy więc Kryspin w ciągu niewielu dni,

m które mu pozostały do życia, starał się sobie wyobrazić Domicjana, nie mógł w myślach swych oderwać postaci karła Silena od postaci cesarza. W owym dniu minister Kryspin widział Domicjana po raz ostatni, szyderczo uroczyste słowa były ostatnimi, jakie z jego ust usłyszał.

Kornelia zajmowała drugą celę na lewo od wejścia. Cella ta nie różniła się niczym od pozostałych sześciu, tylko zasłona dzieliła ją od wielkiego przedsionka, za którym mieściła się sala jadalna.

Już kilka tygodni temu kapłan Jowisza zawiadomił ją w zastępstwie cesarza, że zostaje pozbawiona godności westalki i że nie wolno jej opuszczać celi. Za zasuniętą kotarą słyszała, jak inni żyją dalej. Służba westalek była ujęta w ścisłe, drobiazgowo przepisane. Każdy krok prostej, starożytnej, świętej ceremonii: czerpania wody ofiarnej i przynoszenie jej w dzbanach, które, aby nie dotknąć ziemi, miały spiczaste dno, wylewanie wody ofiarnej, strzeżenie świętego ognia, wszystko było przewidziane aż do najdrobniejszego szczegółu. Kornelia znała najdokładniej porządek dnia, wiedziała, która z siostr stoi na straży, kiedy dokonywana jest ta lub owa ofiara, kiedy przystępowano do pieczenia świętego chleba. Wiedziała, że wskutek jej odejścia trzy siostry, które po niej przyjęte zostały do świętego przybytku, awansowały o stopień wyżej. Wkrótce, kiedy cesarz powróci, dwadzieścia dziewcząt, wszystkie poniżej lat dziesięciu, pochodzące zarówno po mieczu, jak po kądzieli z najstarszych rodów rzymskich, zostaną zaprezentowane jako kandydatki. Jedna z nich będzie wylosowana, żeby jako szósta zastąpić wykluczoną z tego grona Kornelię. Przyjęcie do świątyni Westy było jednym z największych zaszczytów, jakie udzielić mogło państwo i bogowie. Córki starych rodów ubiegały się o to walcząc zazdrośnie, która ma być powołana i wylosowana. Czy Kornelia dowie się jeszcze, kto ją ma zastąpić?

Kimkolwiek będzie ta nowa, Kornelia zazdrości jej z góry. Przecież będzie jej wolno żyć tak, jak ona dotąd żyła. Piękne było życie Kornelii. Spędziła w świątyni dokładnie lat

dwadzieścia, były to lata jednostajne, ściśle określone, każdy dzień, każdą godzinę i minutę regulowały przepisy. Mimo to dni tego życia były piękne, ruchliwe, płynęły spokojnie, równomierne, a jednak w ustawicznej zmienności. Człowiek czuł się jak rzeka płynąca ściśle wytkniętym łożyskiem, wszystko było posłuszne wyższemu prawom.

Cicha, nabożna pogoda, promieniejąca z twarzy Kornelii, kiedy podczas wielkich uroczystości westalki kroczyły w procesji, ta pogoda, dzięki której miasto kochało ją bardziej niż pozostałe pięć westalek, nie była maską. Od pierwszego dnia, gdy ją jako ośmiolatkę wprowadzono do przybytku Westy, było jej tu dobrze. Nie czuła nigdy ucisku, który chwilami dokuczał innym dziewczętom w mroku świętego przybytku. Nie odczuwała żadnego lęku, kiedy ojciec jej, Lentulus, z wielkim świątecznym ceremoniałem powierzył ją cesarzowi — był nim wówczas Wespazjan — jako arcykapłanowi, kiedy z dziecinnym zapałem powtarzała za chytrze i przyjaźnie uśmiechającym się starcem formułkę ślubowania bogini i państwu, że zachowa czystą duszę i nieskalane ciało. Potem znajdowała się przez dziesięć lat pod władzą uprzejmej, poważnej przełożonej Junii. Poszczególne obrzędy, które należało wykonywać, nie były trudne, ale bardzo liczne; na to, by nie narazić państwa na gniew bogini, nie wolno było dopuścić się najdrobniejszego nawet zaniedbania. Ale dziesięć lat to długi okres czasu, można się było tak wdrożyć, że wszystko stało się naturalne i łatwe jak oddychanie. Kornelia uczyła się przy tym z zapałem; podobał jej się nieskomplikowany sens, kryjący się za prostymi zwyczajami. Nauczyła się czerpać wodę do spiczastych dzbanów, pilnować ognia i podsycać go w myśl surowych reguł, nauczyła się pleść wieńce, by w święto Westy zdobić nimi jasnoszare osły, dostarczane przez młynarzy, nauczyła się piec ofiarne ciasto, mające chronić kobiety od chorób i nieszczęść. Wszystkie te liczne obowiązki były łatwe, ale musiały być spełniane z godnością i wdziękiem, gdyż wiele z tych obrzędów odbywało się na oczach całego ludu. Kiedy dziewice Westy wstępowały na Kapitol, kiedy zajmowały swe honorowe miejsca w teatrze lub cyrku, zawsze należały, poza cesarzem, do tych istot, na które skierowane były najliczniejsze spojrzenia dziesiątek tysięcy.

Kornelia lubiła te obyczaje, podobała się sobie, kiedy występowała publicznie. Jak żadna z westalek umiała pełnić swą służbę z nabożną, pogodną twarzą oraz tak, jak gdyby nie wiedziała, że skierowane są na nią dziesiątki tysięcy oczu. W głębi duszy czuła z wielką radością, że oczy te spoczywają na niej i że nie sprawia im zawodu. Wypełniała ją świadomość, że jest głównym ośrodkiem pięknego, świętego i radosnego widowiska, że dobro państwa wymaga skrupulatnego spełniania nałożonych na nią obowiązków.

Owe sześć dziewic Westy były wcieleniem prostej powagi i skromnej godności starych tradycji rzymskich, strzegły domowego ogniska, opiece ich powierzone było Palladium oraz najważniejsze akta państwowe. Czystość i czujna roztropność były dla Kornelii czymś samo przez się zrozumiałym.

Westalkom przysługiwały liczne zaszczytne tytuły. Kornelia najwyżej ceniła sobie tytuł „*Amata*”, ukochana — była przeświadczona, że ma do niego pełne prawo. Czuła się kochana nie przez poszczególne istoty, lecz przez bogów, senat i lud rzymski. Oczywiście między sześcioma dziewicami, które stale ze sobą przebywały, dochodziło do scen zazdrości; jednak nawet w kręgu siostr była najbardziej kochana.

Najwyżej Tertulia odczuje drobną satysfakcję z powodu jej nieszczęścia. Tertulia zawsze jej nie znosiła. Jaki zły wyraz miały na przykład jej oczy, kiedy w czasie igrzysk kapitolinckich los padł na Kornelię, by pod rękę z cesarzem wstąpiła ku Jowiszowi. Tymczasem ta właśnie ceremonia nie sprawiła jej zbyt wiele radości. To prawda, że Domicjan prezentował się wspaniale, czuła również, że jej wdzięk nabiera przy cesarzu jeszcze większego blasku i wyrazu. Mimo to nie była zadowolona i dzień ten należał do niewielu, w których po prostu czuła się

nieswojo. Nazywała to zamroczeniem. Ręka człowieka, z którym razem wstępowała po schodach, ta ręka cesarza, arcykapłana, „ojca”, była zimna, wilgotna; kiedy kładła w nią swoją dłoń, odczuwała strach i odrazę, podobnie jak w dniu święta ku czci Dobrej Bogini.

Tak, było to przecucie, ostrzeżenie. To nie przypadek, że odczuła to samo zamroczenie co wtedy w dniu święta ku czci Dobrej Bogini. Dla innych westalek święto to było punktem szczytowym roku, ale Kornelia była zawsze raczej przestraszona, niż uradowana, kiedy się zbliżało.

Uroczystość odbywała się rokrocznie w zimie. Honory czyniła żona najwyższego w państwie urzędnika, konsula; musiał w tym celu oddać do dyspozycji dom na dwa dni swej żonie, nie wolno mu było przestąpić jego progu, jak każdemu mężczyźnie udział w tej uroczystości był mu wzbroniony pod karą śmierci. Podczas tego święta wypowiadano prastare sentencje, składano dziwaczne ofiary, dokonywano ponurych, podniecających misterii pod przewodnictwem westalek. Pod koniec nauki, tuż przed osiemną rocznicą jej urodzin, mentorka Junia wtajemniczyła ją w sens i znaczenie tych zwyczajów i rytuałów. Dobra Bogini była bliską krewną Bachusa, boginią niepokalanej płodności; podobnie jak u Bachusa, godłem jej była winna latorośl, ale napój ten, choć był winem, nazywano „mlekiem Dobrej Bogini”. Mleko to było symbolem niepokalanej płodności, czystej, a jednak radosnej rozkoszy miłosnej. Wszystko to wyjaśniono nowicjusze i dzięki temu stały się dla niej zrozumiałe ponure, podniecające obrzędy, dokonywane z okazji uroczystości ku czci Dobrej Bogini. Siedziba najdostojniejszej w państwie damy, która przyjmowała gości bogini, była odświętnie przystrojona winną latoroślą. Pełno tu było winogron, wyhodowanych zimą w cieplarniach. Westalki czerpały spiczastymi dzbanami mleko Dobrej Bogini, a więc wino, kobiety były również przystrojone winną latoroślą. Obejmowały się i całowały, z początku sztywno, surowo, ceremonialnie, każdy ruch był przepisany. Stopniowo, po upływie godziny, tańce stawały się zawrotniejsze, pocałunki i uściski kobiet bardziej namiętne i gorące, mleko bogini płynęło obficie. Im dłużej w noc ciągnęła się uroczystość, tym bardziej stawała się rozwiązała. Zimowa noc była długa, kiedy wreszcie tuż przed świtem westalki opuściły dom konsula, pełno w nim zostało kobiet, leżących po kątach po dwie, po trzy, już sobie nie zdawały sprawy, kto do nich mówi.

Kornelia w swej samotnej celi usiłowała przypomnieć sobie dokładnie i kolejno przebieg wydarzeń podczas ostatniej uroczystości ku czci Dobrej Bogini, które zaważyły na całym jej życiu.

Wyzwolona Melitta zameldowała jej, że w ubieralni pani domu Woluzji czeka na nią jakaś kobieta. „Co to za kobieta?” — zapytała Kornelia. „Jakaś dziwna osoba” — odparła Melitta. Ma z Kornelią do pomówienia o czymś niezwykłym, pragnie od niej pomocy w niezwykłej sprawie. Mówiąc to Melitta uśmiechała się wyzywająco. Właściwie ten uśmiech sprawił, że Kornelia siedzi teraz w swojej celi samotna, zhańbiona, odsunięta od służby ku czci bogini.

Poszła więc do ubieralni Woluzji krokiem mniej powiewnym niż zazwyczaj, ale jednak lekkim, gdyż wypila sporo mleka bogini. Biała jej szata rozdarła się podczas tańca i odsłaniała nogi, przypominała sobie teraz, że idąc w stronę ubieralni usiłowała zasłonić niesforne rozdarcie.

Rzecz dziwna, że idąc do ubieralni Woluzji myślała

0 senatorze Decjanie, owym spokojnym, miłym panu, który witał ją zawsze z takim respektem, i więcej jeszcze niż z respektem. To skojarzenie jego osoby z uroczystością

1 misterium ku czci Dobrej Bogini nie miało najmniejszego sensu.

Kobieta, czekająca w ubieralni Woluzji, spodobała jej się. Była wysoka, smukła, opalona twarz miała odcień oliwkowy, oczy jej i usta zdawały się wiedzieć wszystko. Kornelia odczuła to witając nieznaną pocałunkiem Dobrej Bogini. Zamroczenie wzmoгло się od razu, ogarnęło ją

owo dziwne, trwożliwe uczucie, nawiedzające ją w czasie święta ku czci Dobrej Bogini.

— Jestem bardzo zuchwała — powiedziała owa kobieta — ale nie mogę inaczej, muszę prosić właśnie ciebie, pani moja i najmiłsza Kornelio, żebyś mnie głębiej wtajemniczyła w misteria Dobrej Bogini; jeżeli nie dowiem się o nich czegoś więcej, nie zaznam snu.

— A czyż mnie one są znane, o pani? — zapytała Kornelia.

— Tak i nie — odparła nieznajoma, wzięła ją za rękę, objęła ramieniem i pogłaskała zgodnie ze zwyczajem święta ku czci Dobrej Bogini. W tym uścisku Kornelia poczuła nagle, że nieznajoma nie ma kobiecych piersi.

Naiwna, karmiona wizjami z zamierzchłych czasów, kiedy to glob ziemski zaludniony był przez bogów i postacie mityczne, pomyślała z początku, że to jakaś zabłąkana amazonka. Późno, za późno zdała sobie sprawę z przerażającej rzeczywistości. Oczywiście słyszały wszystkie o owym

Klodiuszu, który za czasów wielkiego Cezara, przebrany za harfiarkę, wkradł się na uroczystości ku czci Dobrej Bogini. Ale działo się to w zamierzchłych czasach, równie nierzeczywistych, jak czasy bogów i półbogów. Nie można sobie było po prostu wyobrazić, żeby coś podobnego mogło wydarzyć się w uchwytniej rzeczywistości dzisiejszego Rzymu.

To, że się jednak wydarzyło, sparaliżowało ją i paraliżowało w dalszym ciągu. Dotąd jeszcze nie zdawała sobie dokładnie sprawy, co się właściwie stało, było to rzeczywiste i zarazem nierzeczywiste, nie wiedziała tego, ale wciąż jeszcze czuła, codziennie, co godzinę. Nie nagromadziły się w niej żadne obrazy, były to raczej uczucia, odruchy, mieszanina bolesnego, budzącego grozę zamętu, chęci obrony, wstrętu i odrobiny zaciekawienia.

Nie ulegało wątpliwości, że została zgwałcona. Może powinna była krzyżeć. Gdyby jednak krzyczała, wszyscy dowiedzieliby się, że święto ku czci Dobrej Bogini zostało zhańbione, i tak złowrogi znak mógł mieć najgorsze następstwa dla wyprawy i dla państwa. Lepiej, że się broniła bez słowa, zaciekle. Broniła się w miarę sił, których jej nie brakowało. Ale była ogłuszona niebywałym, niewiarygodnym zuchwalstwem. Poza tym przeszkadzała jej ciężka archaiczna szata. Najbardziej przerażało ją bezpośrednio po tym, co zaszło, że święta szata została dosłownie przez ślady występku skalana, że skalana również została jej skóra.

Wszystko to trwało całą wieczność, a jednak właściwie chyba bardzo krótko. O skutkach owej nocy w ogóle nie myślała. Nie interesowała się również tym, czy nieobecność jej i zmieszanie nie uszły oku pozostałych. Dopiero następnego dnia, kiedy Melitta przyszła do niej i zaczęła ją zaklinać, żeby się we własnym interesie ratowała, uświadomiła sobie grożące niebezpieczeństwo. Dała Melittie ów list do Decjana. Nie wiedziała, co z tego wynikło. Pamiętała tylko mgliście krótki, a jednak wieczny uścisk owej „kobiety” oraz parę mętnych zdań Melitty. Nikt poza tym nie mówił z nią o wydarzeniach tej nocy oraz ich następstwach. Kapłan, składający Jowiszowi ofiarę, nie powiedział jej również, dlaczego kazał jej usunąć się za zasłonę.

Co też się z nią stanie? Każdy, nie wyłączając jej samej, był przeświadczony, że gdy kiedyś umrze, wzniesiony zostanie jej posąg z napisem: „Najcnotliwszej, najwstydliszej, najczystszej, najczujniejszej dziewicy *Pulchrae Corneliae Cossae*.” A tymczasem będzie musiała zstąpić do lochu. Kiedy bowiem podczas procesji kładła swą rękę w dłoń władcy i boga Domicjana, wyczuła, że cesarz jej nie lubi. Domicjan nie zgodzi się na to, by sama wybrała sobie rodzaj śmierci, jak wówczas najmiłsze ulubienice, siostry Okulate. Przeciwnie, zostanie zamurowana z dzbanem wody i odrobiną jadła; nad lochem, gdzie zginie marnie, zostanie rozpostarta trzciniowa zasłona, ludzie będą okręzać jej grób z grozą i obrzydzeniem. A przecież nie złamała ślubów! Nie chciała tego, co zaszło, porwano ją przemocą, ona tego nie uczyniła. Może to się wcale nie stało, może wmówiła sobie wszystko w zamroczeniu? Może, jeżeli zaproponuje sądowi kapłańskiemu, by ją poddano próbie, uda jej się, jak swego czasu udało się

westalce Tuccii, może potrafi zaczerpnąć sitem wody z Tybru i przynieść ją kapłanom.

To fantazja. Stało się, nie zgodzą się na próbę, los jej został przypieczętowany. Nikt nie zapytał jej o nic, zostanie zamurowana.

Uchylono zasłonę, jakaś ręka wsuwa miskę z jedzeniem, dzban z mlekiem. Kornelia poznaje tę rękę, to ręka Postumii. Potrawy zostały przygotowane z tkliwością, wszystko to, co najlepiej lubi. Postumia nakryła je starannie, żeby nie wystygły. Jedne westalki kochały ją, innym było jej żal. Słusznie nazywano ją „*Amata*” — ukochana.

Nie zostanie pogrzebana z honorami należnymi kapłance przy Via Attica, nie wzniosą kolumny na jej cześć, imię jej zostanie wymazane z każdego kamienia, z każdego kawałka papieru. Mimo to pozostałe westalki będą ją wspominały często i z miłością, nienawiść Tertulii nie potrafi tego zmienić. Będą przy niej myślami podczas przyprawiania ofiarnego ciasta, podczas rozpalania na nowo ogniska bogini w dniu pierwszego marca; jakże chętnie dożyłaby jeszcze tego pierwszego marca! Będą szeptać o niej lękliwie, tajemniczo i czule przy czerpaniu świętej wody i ofiarowaniu jej podczas zmiany warty przy ognisku Westy.

Myśl ta uspokoiła nieco Kornelię, zjadła z apetytem i przyjemnością smaczne potrawy. Potem zasnęła. Na twarzy jej malował się ów poważny i radosny spokój, który jej zdobył miłość i uwielbienie ludu.

W pierwszym okresie po powrocie z wyprawy sarmackiej cesarz bywał w Rzymie rzadko, prawie ciągle przebywał w Albanum. Dawniej spędzał wiele czasu przy klatkach ze zwierzętami, teraz wolał włóczyć się po ogromnym parku; główny ogrodnik Topariusz Feliks pozbawił park pierwotnego charakteru, przekształcił go jakby w olbrzymi dywan. Kwietniki, żywopłoty, szpalery, aleje były geometrycznie zakreślone. Delikatnie i sztywno wznosiły się grupy bukszpanów i cisów, poszczególne drzewa były przystrzyżone w kształcie stożków i piramid, wysmukłe i nieruchome strzelały w niebo cyprysy, różne kwiaty i rośliny tworzyły imiona, figury, nawet małe obrazy. Dróżki były starannie wyziwione. Szemrały studnie i wodotryski, pełno było różnych miejsc nadających się na spoczynek, stojących kręgiem ławek, sztucznych grot, altan, głązów w kształcie pni, sztucznych ruin. Znalazło się również miejsce na labirynt. Po stawach pływały łabędzie, po brzegu spacerowały

13 — Wojna żydowska, t. III czaple, na lśniących białych stopniach puszyły się pawie. Tarasy i schody łączyły tu i ówdzie części olbrzymiego parku, rozpościerającego się na górzystym terenie, nad strumieniami przerzucone były mosty z drzewa i kamienia, cały park spływał ku brzegowi morza. Wszystko było wytworne, urocze, sztywne, majestatyczne, sztuczne, pełne przepychu.

193

Przechadzając się po tym kunsztownym parku Domicjan pomyślał kiedyś, że może w taki sam sposób dałoby się zmienić, podporządkować dyscyplinie, ująć w określone normy wszystko to, co żywe. Jeżeli Topariuszowi Feliksowi udało się osiągnąć takie cuda i przemiany na żywych, kwitnących roślinach, to dlaczego jemu, cesarzowi rzymskiemu, nie miałoby się udać ulepienie ludzi wedle własnej woli, kształtowanie ich wedle własnych pragnień i życzeń, niczym drugiemu Prometeuszowi?

Cesarz wędrował po swych ogrodach, pochłonięty takimi myślami. Towarzyszył mu karzeł, w pewnej odległości szedł ogrodnik, jeszcze dalej posuwali się ludzie z lektyką, niesioną na wypadek, gdyby cesarz poczuł zmęczenie. Z zadowoleniem przyglądał się altanom i grotom, tej posiekanej na drobne kawałki przyrodzie. Od czasu do czasu dotykał pnący róż, bluszczu i powoju, które musiały rosnąć tak, jak tego chciała wola ludzka. To znów przywoływał ogrodnika, kazał sobie to lub owo tłumaczyć; serce mu rosło, kiedy słyszał, że nawet wysokie, mocne drzewa zmusić można do przybrania narzuconej postaci.

Najchętniej przebywał w cieplarniach. Wszystko mu się tam podobało. Sztuczne dojrzewanie, sztuczne ciepło, wymyślne szkło, przez które można było chwytać słońce. Z satysfakcją patrzył na to, że jednak można zmusić drzewa i krzewy do rodzenia w zimie owoców, które winny były dojrzewać latem. Bardzo go to pocieszało.

Kiedy Lucja przysłała do niego, leżał zadumany w cieplarni na łożu, które kazał sobie tam wstawić. Cesarz był w stosunku do niej w ostatnich czasach tak nierówny, że aż się to stawało niebezpieczne, i Lucja nie zdziwiłaby się, gdyby Wrzuszek nagle zadał jej drugi śmiertelny cios.

Zmiana ta nastąpiła od czasu, kiedy kazał zgładzić Sabina. Domicjan, czując się winny wobec Julii, oszczędzał go długo, choć Norban z biegiem lat zebrał przeciw księciu dostateczny materiał, by usprawiedliwić przed senatem wyrok skazujący. Dopiero kiedy udział męża Julii w puczu Saturnina został całkowicie udowodniony — w ręce ludzi Norbana wpadło pismo lekkomyślnego, zarozumiałego księcia, w którym zgadzał się na wysuniętą przez generała propozycję uczynienia go cesarzem na miejsce Domicjana wtedy Domicjan uderzył. Lucja popełniła wówczas ciężki błąd. Ponieważ nie przypuszczała, żeby Sabin był aż tak głupi, i była pewna, że chodzi o akt samowoli ze strony Domicjana, zarzuciła mu, że usunął z drogi kuzyna jedynie z zazdrości o Julię. Był to zarzut krzywdzący, wobec czego miał przez długi czas nad nią przewagę.

Naprawdę niebezpieczne stały się wszakże jej stosunki z Domicjanem dopiero od czasu fatalnego zgonu Julii. Było to tak: Po śmierci Sabina Julia znowu zaszła w ciążę; ojcostwo Domicjana nie ulegało wątpliwości. Domicjan zamierzał zaadoptować dziecko i nie życzył sobie, by przyszło na świat jako bękart. Zaproponował Julii ponowne małżeństwo. Julia, której zazdrość Domicjana w jej pierwszym małżeństwie niemało przyczyniła cierpień, sprzeciwiła się. Domicjan chciał jej narzucić męża, którego sam wyszuka. Oparła się temu. Cesarz dostał ataku szału. Dotychczas tolerował opór jednej tylko istoty na świecie — Lucji. Nie chciał, żeby i Julia, dlatego że jest w ciąży, pokazała rogi i stała się drugą Lucją. Raczej był gotów zrezygnować z syna. Po dwóch burzliwych rozmowach zmusił

Julię do spędzenia płodu. Operacja pociągnęła za sobą śmierć Julii.

Domicjan cierpiał z powodu tej śmierci, której był winowajcą. Ale nie chciał dać tego poznać po sobie zwłaszcza wobec Lucji i zapytał ją, swoim zwyczajem, drwiąco:

— No i cóż, moja Lucjo, jesteś zadowolona, żeś się pozbyła Julii?

Cesarzowa zawsze nie cierpiała Julii, traktowała ją ze spokojną, z lekka szyderczą pychą. Śmierć ta jednak oburzyła ją; kobieta buntowała się przeciw męskiej samowoli Domicjana. Miaregoroczy przepełniło niemądre pytanie. Nie siłała się, by ukryć te uczucia, wykrzywiła z odrazą swą podłużną twarz i powiedziała:

— Wydaje się, Wrzusku, że miłość twoja nie wychodzi na dobre osobom zainteresowanym.

Domicjan przebaczył jej zarzuty w wypadku Sabina, ponieważ były niesprawiedliwe i nieuzasadnione; uwaga na temat Julii ugodziła go głęboko, ponieważ była słuszna. Wrogość, czająca się od początku w jego stosunkach z Lucją, zaostriżyła się, w uściskach jego było odtąd tyleż gniewu, co żądz. Lucja była z tego zadowolona. Ale jego złościło, że nie potrafi oderwać się od niej, kiedy był przy niej, wydawał się sobie samemu mały; poskramiał się, uściski jego stawały się coraz radsze, w końcu spotykali się tylko wtedy, kiedy musieli pokazywać się razem publicznie. Spotkania te były czysto formalne, oboje mieli się na baczności. Lucja nie widziała Domicjana od szeregu tygodni, przeszło od miesiąca.

Wtargnięcie więc do niego bez zameldowania było dość ryzykowne, poza tym przedostanie się przez liczne straże i zastępy służby nie poszło łatwo. Lucja czekała więc w niemylm nieco napięciu, jak się Domicjan zachowa.

— Ty tutaj, moja Lucjo? — powitał ją. Już z jego tonu poznała, że jej wizyta zaskoczyła go raczej mile niż niemiłe. Tak też było. Jeżeli w ostatnich miesiącach unikał z nią wszelkich sporów, to dlatego, iż obawiał się, że Lucja powie mu prawdę, której nie chciał słyszeć. Tym razem przeczuwał, że przychodzi z powodu Kornelii — była z nią spokrewniona i lubiła ją, jak wszyscy w Rzymie, a w sprawie Kornelii czuł się pewny; cieszył się, że będzie mógł z nią o tym pomówić.

Istotnie, już po kilku zdaniach zaczęła mówić o Kornelii. Mówiła z nim, nie zwracając uwagi na tkwiącego w kącie Silena, nie bez schlebiana mu, zależało jej bowiem na uratowaniu Kornelii.

— Sądzę — powiedziała — że chcesz zastraszyć senat. Chcesz pokazać, że nie ma człowieka w państwie, choćby najbardziej poważanego i kochanego, przed którym byś się cofnął. Poza tym masz zapewne na celu pokazanie senatowi, że jesteś surowszym stróżem tradycji rzymskiej niż ktokolwiek przed tobą. Ale jesteś za mądry, żeby nie wiedzieć, że gra niewarta świeczki. To, co w najlepszym wypadku możesz zdobyć, nie równoważy tego, co tak czy inaczej musisz utracić. Oszczędź Kornelię!

Domicjan uśmiechnął się.

— Ciekawe ujęcie, ciekawe! Ale widzę, że się spociłaś, moja Lucjo, obawiam się, że przebywanie w tej cieplarni ci nie służy. Czy wolno ci zaproponować przechadzkę po ogrodzie?

Ruszyli aleją platanów; byli teraz sami, cesarz odprawił wszystkich gwałtownym ruchem ręki.

— Wiem, że tego rodzaju plotki o moich zamiarach krążą po Rzymie — powiedział od niechcienia — ale ty, moja Lucjo, nie powinnaś powtarzać tej czezej gadaniny. Sprawa wygląda bardzo prosto. Chodzi o religię, o moralność, o nic więcej. Traktuję poważnie swój urząd arcykapłana. Świątynia Westy, jej ognisko zostało powierzone mojej opiece. Mogę wybaczać, kiedy chodzi o moje własne ognisko — uśmiechnął się do Lucji złowrogo i uprzejmie — ale w żadnym razie nie mogę przebaczyć, kiedy chodzi o czystość ogniska, które symbolizuje nieskazitelność imperium.

Chciał skrócić w boczną ścieżkę, Lucja jednak wolała wracać aleją platanów, więc był jej posłuszny.

— Czy nie widzisz? — zapytała — że postępujesz, powiedzmy, niekonsekwentnie? Człowiek, który prowadzi taki tryb życia jak ty — opowiadano mi, że niedawno w obecności Messalina pieściłeś na raz kilka kobiet i szydząc, i drwiąc z niego kazałeś zgadywać ślepcowi, kto, z kim i jak — człowiek taki sprawia dziwne wrażenie, kiedy chce odgrywać rolę sędziego nad westalką Kornelią.

— Raz jeszcze — rzekł Domicjan łagodnie — muszę ci poradzić, droga Lucjo, żebyś nie powtarzała bezmyślnej paplaniny moich senatorów. Nikt nie wie lepiej od ciebie, że istnieje różnica między Domicjanem w życiu prywatnym, wypełniającym swe rzadkie wolne godziny przyjemnościami i rozrywkami, a władcą i bogiem Domicjanem, cenzorem, wyznaczonym przez bogów na sędziego, by miał pieczę nad obyczajami i tradycją państwa. Nie prześladowuję Kornelii, nie kocham jej ani nienawidzę, jest mi całkowicie obojętna. Ściga ją religia panująca, ściga imperium, Rzym, którego czystego płomienia winna była strzec. Musisz to rozumieć, moja Lucjo, i wiem, że rozumiesz. Cóż robić, istnieją różnice, ustalone przez los i bogów. Nie wszystkie, co mają gładką twarz i łono, są sobie równe. Kobieta, obywatelka rzymska, *mater familias*, a coś dopiero westalka, to coś innego niż wszystkie inne kobiety na świecie. Tamte kobiety mogą robić, co im się podoba, mogą uprawiać nierząd, jak muchy w słońcu, mogą mieć zalotników i kochanków, ilu tylko zechcą. Istnieją tylko od pasa w dół. Ale obywatelka rzymska, zwłaszcza westalka, istnieje od pasa w górę. Nie należy zacierać różnic, nie wolno

m fałszować miary ani wagi. Zgadzam się na to, żeby Domicjan jako osoba prywatna był mierzony miarą, którą się stosuje wobec tragarza z Kapadocji, ale zastrzegam się przeciw temu, zabraniam, żeby to, w jaki sposób spędzam wolne chwile, było zestawiane z obowiązkami boga Domicjana.

Znaleźli się teraz na bocznej ścieżce.

— Dziękuję ci — rzekła Lucja — za twoje światłe pouczenie. Dziwi mnie tylko, że obywatelkom rzymskim nie przyznajesz tych samych praw co sobie. Dlaczego obywatelka rzymska nie miałaby również robić różnicy między sposobem spędzania wolnych godzin a obowiązkami Rzymianki? Dlaczego nie wolno jej rozdawać się, jak ty to czynisz, być raz obywatelką rzymską, istniejącą powyżej pasa, to znowu taką samą kobietką jak inne?

Domicjan nie zgadzał się z tym.

— Zrozumże mnie, moja Lucjo! — prosił. — Kornelię skazuję naprawdę jedynie przez poczucie obowiązku władcy i arcykapłana. Chcę temu społeczeństwu, tej szlachcie, która stoczyła się w dół z winy szeregu złych władców, ukazać znowu sens surowości obyczajów i poczucia obowiązku, czego tak przestrzegali przodkowie. Chcę przywrócić w tym narodzie poszanowanie religii, rodziny, cnót, które opierają teraźniejszość na trwałych podstawach i gwarantują przyszłość. Chciałbym, żeby o epoce Domicjana można było mówić słuszniej niż o epoce owego Augusta:

Nierząd czystego domu nie przekracza progów,
Prawo i zwyczaj przepędziły brudy —
Matki są dumne z dziątek podobnych do ojców,
A kara depce po piętach przewinom.

Tu już Lucja nie mogąc dłużej wytrzymać wybuchnęła ponurym głośnym śmiechem.

— Wybacz — rzekła. — Wierzę, że naprawdę tak myślisz. Ale strofy te brzmią śmiesznie w ustach człowieka, który był kochankiem Julii i jest mężem Lucji. — Widząc zaś, że Domicjan oblał się rumieńcem, ciągnęła dalej: — Nie chcę cię drażnić, na Herkulesa, nie przyszłam tutaj, żeby ci dokuczać. Ale czy wierzysz naprawdę, że przez zarządzenia administracyjne możesz zmusić Rzym do cnoty? Czy naprawdę wierzysz, że ten Rzym, taki, jaki jest, nasze czasy, takie, jakimi się stały, tę prawdziwą epokę Domicjana możesz cofnąć i uczynić taką, jaką byś chciał ją widzieć? Musiałbyś chyba zburzyć cały Rzym i odmówić prawa istnienia trzem czwartym jego instytucji. Chcesz zlikwidować nierządnicę? Chcesz zabronić teatrom grania komedii o małżonkach rogaczach? Chcesz z fresków na domach powydrapywać przygody miłosne bogów? Sądzisz, że grzebiąc Kornelię naprawdę coś osiągniesz? Nie wiem, co jej możesz udowodnić, ale jedno wiem: cokolwiek by moja kuzynka Kornelia uczyniła, ma w jednym palcu więcej czystości i niewinności niż my oboje razem. Kiedy Kornelia się pojawia, lud czuje, czym jest czystość. Kiedy lud widzi ciebie, to obawiam się, że choćbyś wydawał nie wiem jak surowe ustawy, uczucia tego nie doznaje. '

— Nie sądzę, żebyś miała rację — odparł, starając się opanować zarówno gniew, jak głos. — Tak czy inaczej, chcę nauczyć swoich senatorów, że szlachectwo daje im nie tylko przywileje, ale nakłada na nich również obowiązki. To prawda, że pozwałam sobie na tę i ową przyjemność. Ale ktoś, kto jest mi tak bliski jak ty, powinien wiedzieć, że cesarz wyrzeka się tysięcy rozkoszy, które mu burzą krew, a za to bierze na swe barki tysiące ciężarów. Myślisz może, że udanie się na wyprawę sarmacką było zabawą? Ty trzęśłaś się na samą myśl tutaj, w Rzymie; gdybyś była tam u Sarmatów, poznałabyś, czym jest mróz. Szkoda, że nie widziałas tych barbarzyńców, z którymi mieliśmy do czynienia. Kiedy się widziało trupy tych drabów na polach bitwy, kiedy się spoglądało na jeńców, dreszcz człowieka przejmował na myśl, jakie mu groziło niebezpieczeństwo. Trzeba było mieć hartowne serce, by patrzeć, jak ci dzicy półludzie

nacierali dziesiątkami tysięcy mierząc w nas tymi przeklętymi strzałami. Czy sądzisz, moja droga, że nie byłbym wolał leżeć z tobą w łóżku niż na ślizgającym się, spłoszonym koniu galopować po zamrzniętych polach bitwy w kraju Sarmatów? Jeżeli żądam tyle od siebie, to wolno mi chyba wymagać czegoś od moich senatorów. — Przystanął; stał ogromny na tle kunsztownie przyszyronych drzew i wygłaszał dalej swą mowę. — Ci panowie wygodnie się urządzają. Służba ich dla państwa polega na tym, że rozlosowują między siebie poszczególne prowincje i grabią je kolejno doszczętnie. Ale to im się pod moimi rządami nie uda. Ten, kto należy do patrycjatu, nie ma prawa trwonić sił na awanturki miłosne albo na babskie marzenia i refleksje o zabobonach nazareńczyków; patrycjusz musi oszczędzać swe siły dla państwa. Trzeba wybierać, człowiek może tylko albo służyć państwu, albo folgować swym chuciom. Tylko taki bóg jak ja może łączyć jedno i drugie. Społeczność, która tak sobie folguje, jak to czyni rzymska arystokracja, nie ma w końcu ani urzędników, ani żołnierzy, lecz samych rozpustników. Państwo zginie, jeżeli patrycjat będzie tak dalej podupadał.

Na twarzy Lucji pojawił się ów szydery wyraz, wobec którego był bezsilny.

— I dlatego każesz zgładzić Kornelię? — zapytała.

— Także i dlatego — odparł, ale tonem już mniej zaczepnym. Ujął ją łagodnie pod rękę i wyprowadził z jasno oświetlonego ogrodu do mrocznej groty, wciągnął ją w cień, pozbawił światła pogodnego dnia przedwiośnia. — Chcę ci coś powiedzieć, Lucjo — zwierzył jej się prawie szeptem. — Ci wschodni bogowie, ten Jehowa i bóg nazareńczyków nienawidzą mnie. Są niebezpieczni, i jeżeli zawczasu nie znajdę jakichś środków zaradczych, zniweczą mnie. Na to, by się im przeciwstawić, potrzebna mi jest pełna i całkowita pomoc naszych bogów. Nie mogę zrobić sobie wroga z bogini Westy. Nie wolno mi dopuścić do tego, by jakkolwiek występki przeciw niej pozostał bezkarny. Jeżeli w tym roku mam obchodzić uroczyste igrzyska, musi się to stać w Rzymie wolnym od grzechu. Będę szedł dalej po drodze, na którą wkroczyłem. Senatorowie, których opinie chętnie powtarzasz, twierdzili w pierwszych latach mego panowania, że surowy ze mnie cesarz. Odkąd ukreśliłem łeb sprzysiężeniu Saturnina, zaczęli mówić, że jestem okrutny. Długo będą musieli szukać słowa, aby wyrazić, za kogo mnie uważają, kiedy dożyję późniejszego wieku. Ale to nie sprowadzi mnie z wytkniętej drogi. Przemyślałem każdy swój krok. Wyrwę kąkol i chwasty. Dokonam selekcji senatorów. Zdepcę wschodnią nieprawość. Zatruję życie niektórym ludziom, zezującym w stronę wschodnich zabobonów. Jowisz ma we mnie wiernego sługę.

Wypowiedział to wszystko półgłosem, ale promieniowała z niego taka stanowczość, był pełen tak żarliwej wiary w swoje przeznaczenie, że Lucja nie uważała, aby tym razem był śmieszny. Wyszła z groty na światło, chcąc nie chcąc musiał pójść za nią.

— Dobrze już, Wrzusku, dobrze — powiedziała, pogłaskała swą dużą ręką jego coraz rzadszą czuprynę i przyznała głosem, w którym obok nuty ironii zabrzmiała nuta uznania: — W niejednym masz może i rację. Ale na pewno nie masz racji, jeżeli chodzi o twoje zamiary wobec Kornelii. Kornelia jest najbardziej umiłowaną kobietą w całym kraju. Lud, który cię kocha, kochać cię będzie o wiele mniej, jeżeli istotnie każesz wykonać wyrok. Nie czyn tego! Ciężko byś za to odpokutował!

Spróbowała obutą stopą skruszyć nieco zmarzniętą ziemię, nie udało jej się to. Przejęła ją lekka trwoga. Zostać żywcem pogrzebaną pod taką ziemią! I w dodatku ta trzciniowa zasłona!

Na twarzy Domicjana pojawił się wyniosły, ponury uśmiech. — Nie lękaj się, moja Lucjo — powiedział. — Lud mój będzie mnie kochał dalej. Może się założymy? Czy wolno mi będzie przypomnieć ci to, kiedy się okaże, że miałem rację?

Senatorzy udawali się na posiedzenie bardzo niechętnie, gdyż mieli wydać wyrok na westalkę Kornelię i jej współwinowajcę Kryspina, którzy uznani zostali za winnych przez

kolegium piętnastu. Wzdrygali się przed zatwierdzeniem wątpliwego i barbarzyńskiego aktu, którego cesarz chciał dokonać, jak wynikało wyraźnie, zasłaniając się ich autorytetem. Ale Domicjan kazał rozpowszechnić wiadomość, że przybędzie na obrady. To wyraźne ostrzeżenie skłoniło senatorów do przybycia niemal *in corpore*.

Wydawało się, że i lud jest niezadowolony. Wielki tłum oblegał kurię, w której miały się odbyć obrady. Nawet cesarza nie powitano ze zwykłym entuzjazmem i czcią, pojawieniu się jego towarzyszyły jedynie szept i wrogie milczenie.

Od chwili rozpoczęcia obrad senat zachowywał się krnąbrnie. Pierwszy zażądał głosu Helwid. Oświadczył, że ma dla senatorów wiadomość, zmieniającą ogólny aspekt sprawy, nad którą mają radzić. Nie ma potrzeby wydawania wyroku na marszałka dworu Kryspina, ministra cesarza. Nadeszły meldunki, nie budzące wątpliwości, że człowiek ten uchylił się od wyroku senatu, przeciął sobie żyły i zmarł.

Urzędującemu konsulowi nie udało się poprowadzić posiedzenia w spokoju. Senatorowie zerwali się z miejsc, zaczęli gadać i krzyczeć jeden przez drugiego. Nie można było znaleźć lepszego pretekstu do odroczenia niemiłej sprawy. Jedyne świadek, który mógł wystąpić przeciw Kornelii, znikł z powierzchni, decyzja sądu kapłańskiego została zachwiana, jakże tu wydawać wyrok? Z wielkim trudem udało się wreszcie konsulowi przywrócić porządek.

Messalin próbował uspokoić salę. Ze znanym kunsztem oratorskim wywodził, że trudno sobie wyobrazić wyznanie bardziej wymowne niż samobójstwo. Właśnie teraz, kiedy jeden z winowajców uchylił się od kary, trzeba, dla złagodzenia gniewu bogini, tym surowiej ukarać współwinną na oczach miasta i świata. Ale słowa jego padały w próżnię. Niepokój wzrósł tylko. Z ulicy — w myśl prawa drzwi musiały być otwarte, żeby lud mógł śledzić przebieg obrad — słyhać było podniecone okrzyki tłumu, w senacie zaś twierdzono z zapalem, że jeżeli ktoś zgrzeszył przeciw bogini, to z pewnością Kryspin, który stosunkowo tak tanim kosztem i w sposób dla cesarza tak pomyślny przestał żyć.

Tymczasem w kurii odpowiedział Messalinowi senator Helwid. Trudno zrozumieć, oświadczył, dlaczego kolegium piętnastu nie przeszkodziło samobójstwu Kryspina stosując surowszą rekluzję i zwiększając czujność straży. Senatorowie, przerażeni tak śmiałymi słowami, spojrzeli ku cesarzowi. Siedział czerwony jak burak, z wściekłą miną ssał górną wargę. Był oburzony na tych zuchwałych senatorów i sam na siebie. Chciał oszczędzić Kryspina i umożliwić mu samobójstwo, ale, jak mu się to w podobnych wypadkach nieraz zdarzało, chcąc być samemu krytym, dał instrukcje połowiczne. Helwid dobiegł końca swoich wywodów. Po tej dziwnej śmierci Kryspina, oświadczył, obowiązkiem senatu jest skierowanie sprawy westalki Kornelii do kolegium piętnastu dla ponownego jej zbadania.

Z kolei zabrał głos Pryskus. Po gorzkich i pełnych oburzenia słowach Helwida rzeczowy ton wielkiego prawnika podziałał bardzo przekonująco. Nie istnieją, wywodził, żadne precedensy. Sprawa niniejsza została senatowi przekazana jako proces przeciw marszałkowi dworu Kryspinowi i towarzyszom. Traktowanie sprawy westalki Kornelii oddzielnie, nie w związku ze sprawą zasadniczą, nie wytrzymuje krytyki. Trzeba by na to nowego śledztwa i nowych instrukcji sądu kapłańskiego. Pryskus przyznaje, że pomimo całego szacunku dla wyroków sądu kapłańskiego, szedł na to posiedzenie z poważnymi zastrzeżeniami. Jest człowiekiem, który z wielką czcią odnosi się do rządów bóstwa, widzi sens i wzajemny związek wszystkich wydarzeń, jednakże w tym wypadku miał od samego początku poważne wątpliwości, które nie dawały mu spokoju. Gdyby istotnie jedna z westalek tak bardzo zawiniła i przez to ściągnęła gniew bogów na senat, lud i głowę cesarza, wywodził z nieodpartą logiką, to jakżeby władca i bóg Domicjan mógł osiągnąć pełne chwały zwycięstwo w wyprawie sarmackiej.

Były to, przybrane w szatę bezwzględnej rzeczowości, twardsze kpiny z cesarza,

jakie można było sobie wyobrazić. Każdy w Rzymie zrozumiał je i cieszył się nimi, samego Pryskusa napełniało głębokie zadowolenie, kiedy swym przenikliwym głosem, przypominającym dźwięk trąby, rzucił to zdanie zebrany i całemu światu. Domicjan wchłonął je, zrozumiał w pełni. Na chwilę przestało mu bić serce, ale Pryskus zapłaci gorzko za swą słodką zemstę, gdyż od tej chwili cesarz powziął niezłomne postanowienie, że pośle tego Pryskusa tam, gdzie wysłał Sabina, Eliusza oraz innych, którzy ośmielili się z niego szydzić.

Teraz poprosił o głos Messalin. Począł zbijać twierdzenia Pryskusa próbując uśmierzyć oburzony senat i doprowadzić go do opamiętania. Czyż trzeba przypominać dostojnemu zgromadzeniu, które z takim zapalem broni swych praw, że stwarza oto niebezpieczny precedens wkraczając w kompetencje równie dostojnego, autonomicznego ciała? Konstytucja nie daje senatowi prawa do badania przyczyn, które skłaniają kapłanów do takich czy innych wyroków. Przyczyny te zupełnie senatu nie obchodzą. Przemyślnie, formalne wątpliwości prawne przytoczone przez senatora Pryskusa byłyby może na miejscu wobec zwykłych sędziów, ale są nieistotne i pozbawione wszelkiej wagi wobec kolegium piętnastu, które wydaje wyroki z polecenia bogów i z ich natchnienia. Skoro kolegium piętnastu raz coś orzekło, orzeczenie jego pozostaje ważne na wieki, nie ma od niego apelacji, a wy, senatorowie, możecie jedynie wydać wyrok na podstawie tego orzeczenia.

Senat zabrał się do nienawistnego zadania bardzo opornie. Stawiano liczne wnioski, zmierzające do zwolnienia senatu od odpowiedzialności. Sentencja wyroku, który wreszcie został przyjęty, zręcznie zrzucała odpowiedzialność na cesarza. W myśl wyroku westalka Kornelia miała być ukarana tak, jak swego czasu ukarane zostały siostry Okulate. Zostały one wprawdzie skazane na śmierć, przepisaną przez prawo, a więc na śmierć w zamurowanym lochu, równocześnie jednak zaapelowano do łagodności cesarza i Domicjan istotnie pozostawił im do wyboru, jaką śmiercią mają zginąć. Przez swój dwuznaczny wyrok senat uniknął więc zręcznie skazania Kornelii na okrutną karę i przerzucił odpowiedzialność na cesarza, jaką śmiercią ma zginąć westalka.

Senatorowie, zatrwożeni swą własną odwagą, spoglądali ku Domicjanowi. Zgodnie z prawem urzędujący konsul zapytał cesarza, czy jako sędzia najwyższy i arcykapłan aprobuje wyrok i poleca go wykonać. Wszyscy patrzyli z napięciem na wielką, zaczerwienioną czaszkę cesarza. Siedzący trochę niżej Norban zwrócił twarz ku niemu, by wysłuchać jego odpowiedzi. Ale nie był zmuszony obwieszczać decyzji cesarza senatowi. Wszyscy widzieli, że ciężka, ciemnoczerwona czaszka uczyniła ruch twierdzący, zanim jeszcze Norban zdążył zadać Domicjanowi pytanie.

Konsul obwieścił zatem wyrok, Korona go zaakceptowała, pisarze wciągnęli do ksiąg, kat gotował się do dzieła.

Cesarz był dotychczas kochany przez masy. Okrutna surowość, z jaką ukarał zamach Satumina, natrafiła na zrozumienie. Zgładzenie Kornelii zrozumienia tego nie znalazło. Rzymianie szemrali. Norban próbował ingerować. Ale Rzymianie nie dali sobie zakneblować ust, wymyślali, szemrali coraz głośniej.

Opowiadano sobie wzruszające szczegóły egzekucji Kornelii. Kiedy miała zejść po stopniach do grobu, szata jej zaczęła o coś. Żołnierz z plutonu egzekucyjnego chciał jej pomóc, ale odtrąciła jego rękę z takim obrzydzeniem, iż każdy musiał się przekonać, jak jej czysta natura lęka się wszelkiego zetknięcia z mężczyzną. Wieść o tym tak głęboko wryła się w serca, że kiedy w dwa tygodnie później, przy wystawieniu *Hekuby* Eurypidesa, padły słowa: „Starła się umrzeć jak najgodniej”, publiczność zareagowała na nie długimi, demonstracyjnymi oklaskami. Nawiasem mówiąc, opowiadano sobie, że przyjaciele, a wśród nich Lucja, podsunęli Kornelii flaszczkę z trucizną i jej cicha, czysta godność tak silnie podziałała na strażnika, iż nie miał

odwagi odebrać Kornelii tej flaszeczki. Do wytworzenia nastroju przyczyniło się i to, że Kryspin wysłał przed śmiercią listy do przyjaciół, w których pisał, że umiera niewinnie. Odpisy tych listów krążyły po całym kraju. Nikt nie wierzył już w winę Kornelii, cesarz uchodził za szalejącego bezmyślnie tyrana.

Z każdym dniem bardziej stawało się jasne, że Lucja miała rację i cesarz swą popularnością zapłacił za uśmiercenie Kornelii. Masy były dotychczas w stosunku do opozycyjnych senatorów chłodne, niemal wrogie. Teraz lud z sympatią witał Fannię i Gratillę, gdziekolwiek się zjawiały. Wystawiono sztukę *Parys i Enona* pełną aluzji do stosunków, łączących cesarza z Lucją i Julią; miała olbrzymie powodzenie. Obcy przystępowali na ulicy do senatora Pryskusa i radzili mu, żeby opublikował przemówienie, które ■wygłosił w senacie w obronie Kornelii.

Na to się jednak Pryskus nie odważył. Postanowił natomiast dotrzymać obietnicy, którą dał wówczas starej Fannii, że nie będzie już poskramiał gniewu i rozpowszechni *Życie Petusa*. Wręczył swe dzieło Fannii, dla której je napisał, zgodził się, by puściła w obieg książeczkę. Wkrótce odpisy krążyły po całym kraju.

W książce tej opisane było pięknie i wyraziście życie republikanina Petusa. Jak ten człowiek, wychowany z starorzymską surowością, kiedy tyrania Nerona stawała się coraz bardziej nieznośna, chcąc dać wyraz swym poglądom, usunął się od udziału w posiedzeniach senatu. Jak wprawdzie milczał zaciekle, ale jak całą swą istotą objawiał niezadowolenie z przebiegu wydarzeń życia publicznego. Jak wreszcie Neron kazał go oskarżyć i skazać. Jak z całą obojętnością, nawet rad z tego, że nie będzie żył dłużej w tym Rzymie, który chylił się do upadku, otworzył sobie żyły i umarł ze stoickim spokojem. Było to dwadzieścia lat temu. W biografii tej Pryskus nie powiedział ani słowa przeciw cesarzowi Domicjanowi. Poprzestał na opisanie z wzorową rzeczowością życia swego bohatera, zużytkowując daty, których dostarczyła mu Fannia, córka Petusa. Mimo to i właśnie dzięki rzeczowości książka jego stała się jednym olbrzymim oskarżeniem Domicjana; czytano ją i rozumiano w ten sposób.

Niezależnie od tego rodzaju śmiałych ataków jednostek, cały senat przeszedł do otwartej walki z cesarzem. Stało się to w związku ze sprawą gubernatora Ligariusza.

Domicjan przekazał zarząd prowincji Hiszpanii owemu Ligariuszowi, jednemu ze swoich faworytów. Człowiek ten wykorzystał swój urząd pustosząc i plądrując kraj w sposób najbardziej bezwzględny. Delegaci prowincji przybyli do Rzymu, by poskarżyć się senatowi na nieuczciwego gubernatora. Dawniej, zanim powaga Domicjana nie została zachwiana przez zgładzenie Kornelii, senat nie dopuściłby chyba do procesu przeciw faworytowi cesarza. Teraz, czując, że z dnia na dzień zyskuje na sile, nie tylko wymusił na cesarzu zgodę na ten proces, lecz ukazał całą sprawę w najbardziej jaskrawym świetle.

Na rzecznika Hiszpanii senat wyznaczył Helwida. Rozwinął on cały swój nieokiełznany kunszt oratorski, senat był mu posłuszny i przyjmował bez sprzeciwu wszystkie niemal złożone przez niego dowody. Nie pomijając najdrobniejszego nawet szczegółu, ujawniono zbrodnie i wymuszenia, których dopuścił się Ligariusz, przyjaciel i faworyt cesarza, w stosunku do nieszczęsnej Hiszpanii. Tryumfując w skrytości ducha senat stał się świadkiem najstraszliwszych obelg, kierowanych pod adresem Ligariusza. Po rozpatrzeniu dowodów było więcej niż pewne, że na następnym posiedzeniu, które miało odbyć się najpóźniej za dwa tygodnie, senat skáže ulubieńca cesarza nie tylko na zwrot zrabowanych pieniędzy i mienia, ale również na konfiskatę majątku i wygnanie.

Był to cios zadany Domicjanowi, nie do pomyślenia jeszcze kilka miesięcy temu. W archiwum państwowym stały wprawdzie tablice z ustawami, przyznającymi mu tak wielką władzę, jakiej nie skupił w swym ręku żaden człowiek, odkąd powstało państwo rzymskie, ale

Domicjan zdawał sobie sprawę, że nie może się ważyć na całkowite wykorzystanie tych pełnomocnictw. Przeciwnie, od dwóch przeszło pokoleń żaden senat nie ważył się stawić władcy tak silnego oporu, jak to uczynił obecny.

Domicjan leżał w cieplarni w Albanum, rozciągnięty na łożu, które sobie tam kazał ustawić. Przemyślał nad tym, co się stało i jak się to stać mogło. Czy posunął się za daleko? Czy Lucja ma rację? Nie, nie ma racji. Musi tylko znaleźć siły, żeby się poskromić, nie uderzyć za wcześnie i nie w porę, musi zdobyć się na siłę czekania. Potrafi to. Wyćwiczył się w czekaniu. Droga od gorzkiej, żalostnej młodości do chwili dzisiejszej była daleka.

Cierpliwością da się wiele osiągnąć. Niejedną roślinę można zmusić do rozwijania się i wyrastania w sposób, który się jej narzuci. To, co się nie chce poddać, należy odciąć, wytrzebić. Na razie trzeba być powściągliwym, ale przyjdzie dzień, w którym będzie mógł rozpocząć trzebieenie. Wie, że mu bogowie sprzyjają. Lucja nie zawsze będzie miała rację.

Czemu to przypisać, że Rzym nie chce uznać, iż nie mógł nie skazać Kornelii? Był świadom tego, że winy wielu, na których kazał wydać wyrok, nie były dowiedzione. Ale ta Kornelia była przecież winna. Dlaczego właśnie w jej winę nie chciano wierzyć? Istnieje chyba możliwość przekonania o niewątpliwiej, udowodnionej winie Kornelii nawet największych niedowiarków spośród grona jego poddanych.

Wezwał Norbana. Czy Norban nie wspominał o niejkiej Melitcie, wyzwolonej przez westalkę, która wiedziała, co się stało naprawdę podczas święta ku czci Dobrej Bogini? Gdzie jest ta Melitta? Jakże niezdamnym człowiekiem był jego minister policji, jak mógł do tego dopuścić, by ta Melitta zniknęła, by nie była do jego dyspozycji każdej chwili. Cesarz zwymyślał Norbana ordynarnie i brutalnie, potem zaczął mu schlebiać i zaklinał go, by sprowadził Melittę, by ją poddać torturom i wydobyć z niej zeznania.

Norban był równie obojętny na zakłęcia cesarza, jak na jego obelgi. Stał przed nim barczysty, potężna głowa wyrastała z kanciastych ramion, czarne loki opadały groteskowo na niskie czoło, ciemne oczy wiernego, ale może jeszcze nie całkowicie obłaskawionego psa patrzyły na cesarza badawczo, służalczo, z odrobiną wyższości. — Władca i bóg Domicjan wie — powiedział — że może zdać się całkowicie na swego Norbana. Kornelia, winna świętokradztwa, skazana wskutek udowodnionej winy na zapomnienie, leży pod zasłoną z trzciny. Dam ci, władco i boże, dowody, które przekonają o jej winie nawet ten głupi motłoch.

Wkrótce potem zameldowano Decjanowi, który żył samotnie w swej posiadłości wiejskiej koło Bajae, o nieoczekiwanej wizycie senatora Messalina. Decjan doznał niemiłego uczucia. Zapytywał sam siebie, czego ten straszny człowiek chce od niego, choć w głębi ducha wiedział, w czym rzecz, z chwilą gdy służący wymienił nazwisko Messalina. Człowiek ten przybył po Melittę.

Istotnie ślepiec wkrótce skierował rozmowę na westalkę Kornelię.

— Jakie to nieszczęście — jęknął Decjan — że ta kobieta zginęła tak marnie! — Były to niebezpieczne słowa, ale nie mógł inaczej, musiał wyrazić ból z powodu straty Kornelii.

— Czy nie byłoby jeszcze większym nieszczęściem — zapytał Messalin — gdyby zginęła na próżno? — Doszli wreszcie do celu, dla którego Messalin tu przybył. Decjan postanowił nie zdradzić Kornelii pod żadnym pozorem, jednak już czyniąc to ślubowanie w głębi serca był pewien, że go nie dotrzyma.

Tymczasem Messalin wywodził, że DDD ciężko zmagał się z sobą, zanim kazał wykonać surowy wyrok. Teraz jednak pewni zawzięci republikanie usiłują pozbawić cesarza zasługi tej surowości, na którą zdobył się z takim trudem, a śmierci Kornelii odebrać wszelki sens. Rozpuszczają wieści, jakoby Kornelia poniosła śmierć niewinnie, i narażają przez to na szwank cel i konieczność wydanego przykładowo wyroku oraz ochronę obyczajów i religii. Każdy

prawdziwy przyjaciel kraju musi patrzeć ze smutkiem na te równie głupie, jak bezbożne poczynania.

Decjan wiedział, że chodzi o jego własne życie. Mimo to zapomniał na chwilę o strachu i przyglądał się ślepcowi z zaciekawieniem i grozą. A więc ci ludzie potrafią z tak łagodną, szatańską logiką odwrócić kota ogonem, nadać zbrodni odwrotny sens i znaczenie. Może sami przed sobą odgrywają także taką komedię. W każdym razie ów człowiek, w którego imieniu Messalin się zjawił, wierzył, że to, co powiedział, jest szczerą prawdą.

— Tak czy inaczej, biła od Kornelii owa promiennosc, którą bogowie darzą tylko niewielu — odparł śmiało i dodał uprzejmie i dwuznacznie: — Dlatego trudno będzie wytłumaczyć, że śmierć jej miała sens.

— Istnieje człowiek — odparł Messalin — który by władcy i bogu Domiejanowi mógł pomóc w tym przedsięwzięciu. Człowiekiem tym jesteś ty, Decjanie. — Uczynił lekki ruch, jak gdyby dostrzegł udane oburzenie i zdumienie na twarzy tamtego, i ciągnął dalej: — Wiemy, gdzie znajduje się Melitta. Unikamy zastosowania przemocy tylko dlatego, że nie chcemy zwiększać jeszcze skandalu, jaki wywołała sprawa Kornelii. Byłoby rozsądnie z twojej strony, mój Decjanie, gdybyś nam dobrowolnie wydał tę Melittę. Oszczędziłbyś sobie wielu cierpień, Melitcie udręczeń, a nam niemiłego rozgłosu. Sądzę, że byłoby to również po myśli zmarłej Kornelii.

Decjan pobladał straszliwie; był rad, że ślepiec nie mógł dojrzeć tej bladeści.

— Nie rozumiem, czego; chcesz — rzekł ze spokojem.

Messalin uczynił lekki, uprzejmy gest ręką.

— Nie jesteś upartym durniem, jak niektórzy twoi przyjaciele — oświadczył. — DDD ceni cię jako człowieka mądrego i światowca. Rozumiemy, żeś chciał ratować Kornelię. Ale co sobie obiecujesz po dalszym oporze? Czy sądzisz, że wymusisz na DDD deklarację, rehabilitującą zmarłą Kornelię? Zachowajże swój tak często wypróbowany rozum. Wydadz nam Melittę, przemów jej do rozsądku, a zyskasz niemało. Nie chcę cię okłamywać. Oskarżenie o pomoc w zatuszowaniu przestępstwa zostanie wniesione przeciwko tobie, nawet jeżeli nam wydasz Melittę. Ale bez względu na wyrok senatu mogę cię zapewnić, że wykręcisz się krótką banicją. Nie dawaj mi teraz odpowiedzi, mój Decjanie. Zastanów się dobrze nad tym, co ci powiedziałem. Jestem przekonany, że dojdiesz do wniosku, iż nie ma innego rozsądnego wyjścia. Uwolnij Melittę od tortur, uratuj siebie samego od śmierci, zacznij już dzisiaj wywozić z Italii zasoby potrzebne na okres dwóch, trzech lat, które wypadnie ci spędzić poza krajem. Mogę ci przyrzec, że Norban będzie na to patrzył przez palce. Wierz mi, że rada moja jest isticie przyjacielska.

Po odejściu Messalina Decjan powiedział sobie, że prawdopodobnie zmarła Kornelia jest cesarzowi i jego doradcom obojętna i że chodzi im jedynie o zdobycie na nowo utraconej popularności Domicjana. Jeżeli senat nie może już liczyć na poparcie szerokich mas, będzie musiał zrzec się tych pozycji, które w ostatnich czasach zdobył sobie w walce przeciw cesarzowi.

Decjan rozumiał teraz wszystko dokładnie. Czy dla ratowania życia wolno mu pomóc cesarzowi, który dąży do osłabienia senatu?

Nie wolno mu. Cóż jednak osiągnie, jeżeli się poświęci? Może ułatwić ostatecznie zniknięcie Melitty. Ale co wtedy przedsięwzięliby Messalin i Norban? Zamknęliby go, torturami wymusiliby na nim zeznania, jak i dlaczego pozwolił zniknąć Melitcie. Nie dałoby to żadnej korzyści. Zwycięstwo cesarza nad senatem, które przecież w końcu przyjść musi, zostałoby jedynie przez tę jego ofiarę odsunięte na przeciąg kilku tygodni.

Decjan poinformował Messalina, gdzie się znajduje Melitta.

Kazano Decjanowi milczeć, nie wolno mu było opuszczać posiadłości pod Bajae, był

strzeżony. Melitta została uprowadzona w pośpiechu i potajemnie.

Domicjan uśmiechał się z zadowoleniem.

— Mam wiernych przyjaciół — powiedział do Messalina.

To samo powtórzył Norbanowi. A na poufnej radzie gabinetowej, składającej się teraz jedynie z Reginusa, Marulla, Anniusza Bassusa i Norbana, oświadczył:

— Sprawa ta zostaje na razie między nami. Nie wnosimy jeszcze oskarżenia przeciw Decjanowi. Niech sobie panowie senatorzy robią dalej, co im się podoba. Zobaczymy, jakie jeszcze wysuną zarzuty przeciw Ligariuszowi i nam. — Uśmiechnął się jeszcze szerzej. — Pozwólmy wrogom państwa coraz głębiej staczać się w otchłań zagłady. Mamy czas!

Senatorowie z opozycji nie mieli więc pojęcia o tym, co zaszło i że cesarz mógł teraz zmusić do milczenia tych, co dyskutowali szeroko na temat winy skazanej westalki. Przeciwnie, opozycja z Helwidem i Pryskusem na czele była przekonana, że przywróciła republikę, że cesarzowi wskazano miejsce, które mu wyznaczyła konstytucja, że nie jest już pierwszym wśród równych, lecz są mu istotnie równi. Helwid chodził rozpromieniony, pełen dumy z odniesionego zwycięstwa. Jego zniszczona twarz odmłodziła. Był wielkim republikaninem, obrońcą dobrej sprawy, pomścił uciemżonych Hiszpanów, uderzając Ligariusza i cesarza. Chodził w chwale, jak w słońcu, chełpił się tym, a wraz z nim chełpili się inni przywódcy opozycji senackiej, Pryskus i jego stronnicy, chełpiły się Fannia i Gratilla, spokrewnione ze straconym Petusem. Pojutrze senat miał wydać wyrok na Ligariusza, pijawkę Hiszpanii. Niektórzy z senatorów chcieli zadowolić się konfiskatą majątku Ligariusza i skazaniem go na banicję, ale przywódcy opozycji nie będą tak skromni i umiarkowani. Będą się domagali, żeby przyjaciel tyrana, zbrodniarz, skazany został na śmierć, i przeprowadzą to.

Ministrowie Reginus i Marull wiedzieli oczywiście o tej gadaninie. Byli to ludzie starsi, przeżyli wiele, widzieli nieoczekiwaną śmierć licznych przyjaciół i znajomych, nie zawsze udało im się uniknąć, by nie przyłożyli ręki do tak nagłych zgonów. Odczuwali zmęczenie, byli z natury raczej dobroduszni niż źli; mając usposobienie ugodowe ubolewali, że stary Helwid tak ślepo i zapalczywie pędzi w ramiona śmierci. Na dłuższą metę nie da się go uratować, ale dlaczego nie miałby jeszcze pożyć kilka lat lub przynajmniej kilka miesięcy? Byli humanitarni, chcieli odwieść go od tego, by przyspieszył swą zagładę.

Nie było w tym nic niezwykłego, że obydwaj panowie, których liberalizm znany był również ich przeciwnikom — nazywali go gnuśnością — prowadzili z tymi przeciwnikami bardziej lub mniej szczerze rozmowy, które oczywiście nie wykaczały poza charakter dyskusji akademickich. I teraz Marull i Reginus szukali okazji do takiej poufnej rozmowy. W przeddzień wydania przez senat wyroku w sprawie Ligariusza złożyło się tak, że mogli porozmawiać szczerze z Helwidem, Pryskusem i Kornelem.

— Pomogłeś Hiszpanii w odniesieniu zwycięstwa, mój Helwidzie — rzekł Marull — i obaliłeś Ligariusza. To bardzo wiele, tego można ci powinszować. Ale czego właściwie chcesz więcej? Gdyby tak burzliwie i młodzieńczo zachowywał się taki człowiek jak nasz Kornel, byłoby to zrozumiałe. Ale u człowieka w naszym wieku jest to sprzeczne z naturą.

Reginus dodał, jak zazwyczaj, dobrodusznie:

— Właściwie dlaczego udajesz taką krwiożerczość? Wiesz przecież równie dobrze jak my, że DDD mógłby w najlepszym razie zatwierdzić wyrok, skazujący na konfiskatę majątku i banicję, ale nigdy nie zatwierdziłby wyroku śmierci. Wniosek taki byłby więc tylko czczą demonstracją. Po co ci to? Skompromitujesz tylko swoje zwycięstwo.

— Chcę pokazać senatowi i ludowi rzymskiemu — rzekł Helwid ponuro — że ten reżim nie lęka się obsadzać najwyższych w państwie stanowisk przestępcami.

— Drogi mój Helwidzie, czy takie uogólnienie nie jest przesadą? — zapytał Reginus.

— Zdarzało się przecież i w czasach, kiedy senat miał nieograniczoną władzę, że tego lub owego gubernatora skazywano za sprzeniewierzenia. Uczyliśmy się tego w szkole. Utkwiło mi w pamięci kilka mów na podobne tematy; gdybyś nie miał takich wzorów, nie mógłbyś wygłosić swego znakomitego oskarżenia przeciw Ligariuszowi.

— Jeżeli chcesz być uczciwym — zawtórował mu Marull — to musisz przyznać, że właśnie pod panowaniem naszego władcy i boga Domicjana aparat administracyjny w prowincjach się poprawił. Pięknie, Hiszpania dostała się w ręce nieuczciwego człowieka, ale ostatecznie państwo ma trzydzieści dziewięć prowincji i odkąd sięga pamięć ludzka, nie wpłynęło za panowania żadnego władcy tak mało zażaleń z prowincji, jak za panowania DDD. Nie, mój Helwidzie, to, co zamierzasz, twój wniosek, domagający się kary śmierci, nie ma już nic wspólnego z rzeczą polityką; nie zmierza do ukrócenia nadużyć, lecz jest po prostu demonstracją przeciw reżimowi.

Reginus dorzucił: — Wyperswaduj to swemu przyjacielowi, mój Pryskusie, i ty, mój Kornelu. Stawiając swój wniosek nie przysłużysz się nikomu, ani nam, ani wam, ani sobie samemu. Może się to skończyć jedynie nieszczęściem.

Powiedział to wyjątkowo spokojnie, niemal dobroduszenie. Mimo to Pryskus i Kornel wyczuli w jego słowach ostrzeżenie.

Nie wyczuł go jednak Helwid, wciąż jeszcze oszołomiony sukcesem.

— Oczywiście — powiedział szorstko — nie zwalczam Ligariusza jako człowieka; jest mi obojętne, czy zostanie wygnany, czy zabity. Walczę z tym — i o tym wiecie doskonale — żeby jeden człowiek nie stał się wcieleniem Rzymu. Walczę o suwerenność senatu, o sprawiedliwość.

O wolność Rzymu.

Były to słowa niebezpieczne nawet w tym gronie, toteż rozważny Kornel próbował skierować rozmowę na inne tory.

— Wygłaszasz mowę, mój Helwidzie — powiedział. — Odbiegłeś od tematu.

Ale Reginus zbył go lekkim machnięciem ręki.

— Nie ma obawy! — rzekł z uśmiechem. Chciał skorzystać z okazji i powiedzieć parę słów na temat wolności, o której senatorowie tak chętnie wygłaszali absurdalne frazesy. — Wolność — powtórzył kleistym głosem ostatnie słowo Helwida. — Wolność to senatorski przesąd. Chciałbyś, żeby zamiast jednego człowieka dwieście senackich rodzin stało się wcieleniem Rzymu, i ty to nazywasz wolnością! Przypuśćmy, że osiągnąłbyś swój cel w stu procentach. Zdobyłbyś więcej władzy dla senatu niż dla cesarza. I cóż byśmy, na Herkulesa, przez to wygrali? Jakaż by to była wolność? Na czym polegałaby ta twoja wolność? Na bezładnym chaosie, na pozbawionych planu utarczkach i walkach dwustu wojujących ze sobą rodzin, które walczyłyby ze sobą o prowincje, przywileje i monopole, oszukiwałyby się nawzajem bardziej, niż się to dzieje teraz. Jeżeli pójdziesz za głosem rozsądku, a nie za głosem uczucia, będziesz musiał przyznać, że taka hegemonia ciała zbiorowego dałaby gorsze rezultaty niż planowe rządy jednostki, które chciałbyś usunąć posługując się wygodnym określeniem: despotyzm.

Helwid chciał odpowiedzieć, ale Pryskus go powstrzymał, gdyż sam miał aż za wiele do powiedzenia.

— Mówisz lekceważąco „uczucie”. Zapominasz, nie chcesz tego wziąć pod uwagę, jak dalece przytłacza człowieka świadomość, że jest wydany na samowolę jednostki. Świadomość, że moje czyny podlegają osądowi i sumieniu zgodnie z zasługami wybranego gremium, jest jak świeże powietrze, uczucie, że jestem wydany na pastwę jednostki, pozbawia tchu, dusi.

Kornel również nie mógł już dłużej wytrzymać i dodał swym ponurym, groźnym głosem:

— Wolność nie jest żadną mrzonką, mój Reginusie, wolność to coś bardzo określonego i uchwytneho. Jeżeli muszę zastanawiać się, czy wolno mi powiedzieć to, co mam do powiedzenia, życie moje się zacieśnia, jestem uboższy, wreszcie nie umiem już swobodnie myśleć i mimo woli zmuszam się do myśli „dozwolonych”; ginę, otaczam się tysiącami żalonych względów i zastrzeżeń, zamiast swobodnie patrzeć w szeroką dal mózg mój obrasta tłuszczem. W niewoli człowiek zaledwie dyszy; żyć można tylko w wolności.

Helwid nie mógł już dłużej czekać.

— Cesarz — zagrział gromkim głosem — stara się gorliwie przywrócić Rzymowi dyscyplinę i cnotę. Sypie karami, jakich nie znano już od półtora wieku. Nie zaprzeczysz chyba, że za rządów senatu więcej było w Rzymie obyczajności, cnoty i dyscypliny.

Pryskus dodał:

— Więcej prawa.

Kornel uzupełnił:

— Więcej szczęścia.

— Słowa, moi panowie — rzekł jowialnie Reginus — wielkie frazesy. Szczęście! Wymagacie od rządu, żeby ludzi uszczęśliwił? To dowód, że nie nadajecie się do rządzenia. Wymagacie od rządu moralności, cnoty, prawa? Przyznaję, że jesteśmy pod tym względem skromniejsi. Marull i ja uważamy, że rząd jest dobry, jeżeli potrafi usunąć możliwie jak największą ilość przyczyn, z których mogłyby powstać nieszczęścia: klęski głodowe, epidemie, wojny, zbyt nierówny podział dóbr. Jeżeli mam wybierać między jednym systemem i drugim, oceniać, który jest lepszy, nie interesuje mnie jego nazwa, obojętne mi jest, czy się go nazwie wolnościowym, czy despotycznym, pytam jedynie i wyłącznie: który system gwarantuje lepsze planowanie, lepszy ład, lepszą administrację, lepszą gospodarkę. Domaganie się od rządu czegoś więcej, prawa albo szczęścia, byłoby równoznaczne z żądaniem, żeby kura dawała mleko. Dajcie ludności dosyć chleba i igrzysk, dajcie jej trochę mięsa i wina, dajcie jej sędziów i urzędników podatkowych, których przekupstwo nie przekracza miary, nie pozwólcie, żeby uprzywilejowani zbyt porośli w sadło, a wtedy reszta, prawo, dyscyplina i szczęście, przyjdzie sama. W głębi duszy wiecie równie dobrze jak ja, że pod rządami Domicjana więcej przypada na głowę chleba, snu i rozrywek, niż byłoby to możliwe pod rządami senatu. Sądzicie, że sto milionów ludności chciałoby oddać tę nadwyżkę chleba, snu i rozrywek za waszą „wolność”? Nawet pół miliona spośród tych stu milionów nie życzy sobie innej formy rządów.

Wszyscy rwali się do odpowiedzi. Ale Marull miał dosyć tej bezpłodnej gadaniny i oświadczył na zakończenie:

— W każdym razie radzę ci, mój Helwidzie, żebyś się cieszył swym tryumfem nad Ligariuszem, nie prowokował bogów i na tym poprzestał.

— Mam wrażenie, że to dobra rada — powiedział sucho, dobrodusznie, a jednak bardzo dobitnie Klaudiusz Reginus.

Trójka senatorów była szczerze oburzona cynizmem obu ministrów, ale znała ich dość dobrze, by rozumieć, iż ostrzeżenie to uczynione zostało w najlepszej intencji. Pryskus i Kornel zaczęli więc namawiać awanturniczego starca, by się pohamował i zadowolił banicją Ligariusza. Było to bardzo wiele, więcej niż można było marzyć jeszcze pół roku temu. Nastroje ludu to rzecz zmienna, nie wolno zbyt drażnić cesarza, ostatecznie stoi za nim armia; uderzono szybko, odważnie i z powodzeniem, trzeba teraz zaczerpnąć tchu. Ale Helwid uparł się przy swoim. Tytu ludziom naopowiadał, że nie zadowolili się banicją, że będzie się domagał śmierci. Duma nie pozwalała mu na wycofanie się. Postanowił przeprowadzić swój zamiar.

Uczynił to. Ostrzeżenie stronników Domicjana wzmogło tylko jego zaciekłość, mówił namiętniej, żarliwiej, bardziej porywająco niż kiedykolwiek. Nawet Kornel i Pryskus zapomnieli

na chwilę o swoich zastrzeżeniach. Była to wielka chwila. Starzy republikanie wstrzymywali oddech, oczy ich lśniły, kręciło im się w głowie ze szczęścia, kiedy Helwid, coraz mocniej akcentując słowa, domagał się dla przestępcy Ligariusza najsurowszej kary, przewidzianej przez ustawę, śmierci, śmierci, jeszcze raz śmierci.

Od wielu lat, odkąd Domicjan objął rządy, opozycja w senacie właściwie przestała istnieć. Teraz, w ostatnich miesiącach znowu pojawiła się nagle, wywalczyła sobie szereg zwycięstw, jeden z jej przedstawicieli ośmielił się nawet żądać kary śmierci dla przyjaciela i faworyta cesarza. Czyżby dni wolności powróciły? Mowa Helwida, jego wniosek były najpotężniejszym tryumfem opozycji.

Ale też i ostatnim.

Okazało się to od razu, kiedy oskarżony odpowiedział oskarżycielowi. Ligariusz zachowywał się spokojnie i potulnie, jak przystoi człowiekowi oskarżonemu z pełnym uzasadnieniem o ciężkie przestępstwa. Przypuszczano, że po tym przemówieniu i po takim wniosku będzie zdruzgotany, że pokornie zaapeluje do senatu o łaskę. Tymczasem wniosek Helwida wcale go nie złamał, przeciwnie, uśmiechał się, gdy Helwid go stawiał, był rozpromieniony; miało się wrażenie, że pragnął tak nadmiernie surowego wniosku, gdyż jest całkowicie pewien, że nie odcierpi żądanej przez Helwida kary bez względu na to, czy senat uchwali ją, czy nie. Przemówienie jego nie było od pierwszych słów obroną, lecz oskarżeniem.

Rzym i cały glob ziemski, oświadczył, wiedzą, jak zawinił. Przyznał się, okazał gotowość skruchy i przyjęcia kary, którą mu senat wymierzy. Z całych sił broni się jednak i zastrzega przeciw wnioskowi sformułowanym przez Helwida. Jest jeszcze senatorem, piastuje jeszcze godność konsula. Jako taki broni godności senatu, zagrożonej przez tego rodzaju niepowściągliwe, nierozsądne wnioski, jak wniosek Helwida. Wniosek taki nie jest już wyrazem słusznego oburzenia na winowajcę, lecz jedynie i wyłącznie wyrazem nienawiści osobistej, wściekłej, bezmyślnej, zbrodniczej wrogości. Tymczasem między nim i Helwidem nie istnieje żadna wrogość. Przeciw komu więc skierowany jest ten bezwstydnym atak? Niewątpliwie przeciwko temu, kto winien być jak najdalej od nikczemnej wrogości, przeciw władcy i bogu Domicjanowi. Jego, tylko jego chce Helwid ugodzić w osobie Ligariusza. Wniosek jest czelną prowokacją, obrazą majestatu. Gdyby Ligariusz po posiedzeniu dzisiejszym i wydaniu wyroku nie miał już możliwości wystąpienia ze skargą przeciwko tej obrazie majestatu, domaga się od senatorów, a jeszcze swoich kolegów, by nie pozwolili Helwidowi zhańbić ich swym bezwstydem, lecz bronili godności senatu i państwa i wnieśli przeciw Helwidowi oskarżenie o obrazę majestatu.

Było rzeczą jasną, że Ligariusz nie odważyłby się przemówić w tym tonie, gdyby nie był pewien, że doradcy cesarza będą go kryli. Było rzeczą jasną, że Domicjan znalazł sposób, by z nową siłą bronić się przeciw senatowi. Tak czy inaczej, cesarz postanowił, że nie będzie tolerował żadnej dalszej prowokacji senatu, znalazł zapewne także sposób, by zmienić nastroje ludu. Jak widać, dalsze kroczenie po dotychczasowej drodze nie było wskazane, należało mieć się na baczności. W rezultacie wniosek Helwida został odrzucony niemal jednogłośnie. Nie przeszły nawet wnioski, domagające się konfiskaty mienia i banicji. Ligariusz, przyjaciel i faworyt cesarza, został jedynie skazany na zwrot sum, które bezprawnie wyciągnął z prowincji.

Wkrótce potem okazało się, że senatorowie właściwie zrozumieli przemówienie Ligariusza, że cesarz ma w ręku dowody, które są w stanie przywrócić mu miłość ludu i pogrążyć senat w dawną bezsiłę.

Już w kilka dni po wydaniu wyroku na Ligariusza senat otrzymał skargę wniesioną przeciw Decjanowi. Oskarżano go, że próbował zatuszować zbrodnię skazanej na śmierć westalki Kornelii.

Cesarz we własnej osobie był obecny przy rozprawie. Decjan nie zjawił się. Po wniesieniu skargi oświadczył w jego imieniu obrońca:

— Senator Decjan rezygnuje z obrony. Jestem tu raczej gońcem niż obrońcą. Senator Decjan oświadcza przez moje usta powołanym ojcom, że uznaje się winnym zarzucanego mu przestępstwa.

Postawiono tylko jeden wniosek: śmierć winowajcy i potępienie jego pamięci. Nikt się nie sprzeciwił. Wówczas zabrał głos sam Domicjan. Prosił powołanych ojców o łagodność dla Decjana, który przyznał się do winy i okazał

skruczę. Skazano go więc tylko na banicję i konfiskatę mienia, znajdującego się w Italii.

Na odchodnym cesarz uśmiechając się beztrząsko pogroził palcem senatorom, którzy skupili się dookoła Helwida i Pryskusa, i powiedział:

— Widzicie, moi panowie, teraz nawet wasz przyjaciel Decjan oczyścił mnie z pewnych zarzutów.

Lud był zaskoczony, kiedy stało się wiadome, że człowiek tak poważany za swą prawość jak Decjan opowiedział się za cesarzem przeciw westalce. Świadczyła również przeciw niej Melitta, jej przyjaciółka i niegdyś niewolnica. A więc chyba wyrządzono Domicjanowi krzywdę. Oburzenie przeszło szybko w dawny entuzjazm. Ludzie oskarżali się o łatwowierność, zaczęły sypać się przekleństwa na głowę Kornelii, która przez swą lubieżność omal nie pozbawiła pomocy bogów zarówno państwo, jak i dobrego, wielkiego cesarza. Wychwalano Domicjana za to, że okazał mocną rękę, że bez względu na osobę westalki nie zawahał się pomścić bogini. Ile musiało kosztować dobrego cesarza oddanie pod sąd Kornelii i wzięcie na siebie odium za ten wyrok! Jakiego lud ma dobrego władcę! Rezultat był taki, że dzięki skazaniu Kornelu Domicjan oszczędził sobie rozdzielenia podarków wśród ludu.

Po długim okresie wyczekiwania Domicjan rozkoszował się w całej pełni swą zemstą. W szybkiej kolejności odbyły się liczne procesy; padły głowy przedstawiciele patrycjatu, których dotychczas nie ważyli się tknąć ani jego ojciec, ani brat, ani on sam. Pierwszymi, przeciw którym kazał wnieść oskarżenie, byli senatorowie Helwid i Pryskus oraz Fannia i Gratilla. Wszystkim zarzucano obrazę majestatu.

Skargi były sklecone w sposób bezwstydney. Przewertowano całe życie oskarżonych, wszystko to, co zrobili, i to, czego nie zrobili, zostało potraktowane jako obraza majestatu. Każdy niewinny dowcip, na który sobie ktoś z nich pozwolił, przekręcano i interpretowano dopóty, dopóki nie stał się zdradą stanu. Ostrożnemu Pryskusowi, który nie chcąc się narażać żył przez długie lata na wsi w odosobnieniu, poczytano tę właśnie ostrożność za zbrodnię; obraźliwe to dla cesarza, że człowiek o zdolnościach i energii Pryskusa uchyla się pod jego rządami od służby państwowej. Rzecz oczywista, że jego życiorys Petusa uznano za buntowniczy hymn ku czci buntownika, za zawołaną obrazę cesarza. Oskarżyciele obsypywali bezkarnie oskarżonych ukutymi na zimno, niktzemnymi obelgami. Senat nie miał odwagi przeciwstawić się temu. Kuria, gdzie obradował, była obstawiona gwardią przyboczną cesarza. Po raz pierwszy od czasu założenia miasta ciało rządzące musiało powziąć uchwały pod grozą broni.

Dwa epizody tego procesu pozostały niezwykle długo w pamięci Rzymian. Przede wszystkim przesłuchanie Fannii. Oskarżyciel oświadczył, iż krążą pogłoski, jakoby Pryskus napisał buntowniczy życiorys Petusa na życzenie Fannii i jakoby ona rozpowszechniała to dzieło; wypowiedziawszy to zapytał, czy to prawda. Wszyscy wiedzieli, że odpowiedź twierdząca pozbawi ją majątku. „Tak” — odparła. — „Czy — pytał dalej oskarżyciel — oskarżona dostarczyła również Pryskusowi materiału do jego książki?” — Wszyscy wiedzieli, że jeżeli odpowie twierdząco po raz drugi, zostanie w najlepszym razie wygnana z Rzymu, a może nawet

zabita. „Tak” — odparła. — Zapytano ją dalej, czy szwagierka jej Gratilla, siostra Petusa, wiedziała o tym. Odpowiedziała: „Nie.” Całe zeznanie Fannii ograniczyło się do tych nieustraszonych i pogardliwych słów, tylko do dwóch „tak” i jednego „nie”. Słowa te zapadły w senat i lud rzymski głębiej niż znakomite przemówienie oskarżyciela.

Drugie zdarzenie było następujące: Helwid, który czuł, że jest zgubiony, wykorzystując ostatnią okazję odwołania się do Rzymian, wygłosił gwałtowne przemówienie, naszpikowane groźbami przeciw cesarzowi, który nie ujdzie zemsty Rzymu i bogów. Na to podniósł się ślepy Messalin, pewnym krokiem, jak gdyby widział, ruszył ku Helwidowi, omijając ławy, i podszedłszy doń położył rękę na ramieniu miotającego obelgi Helwida, chcąc go uśmierzyć. I oto, ślepcowi zdarzyło się to po raz pierwszy — senatorowie pochwycili go, zaczęli wołać: „Ten człowiek jest sto razy więcej wart od ciebie” — obrzucili go wymysłami i powalili na ziemię.

Te wybuchy gniewu nie przeszkodziły jednak, że *patres conscripti* skazali Helwida i Pryskusa na śmierć, Fannię i Gratillę na wygnanie, książkę zaś Pryskusa na spalenie.

W dwa dni potem wzniesiony został stos z drzewa; miano spalić na nim dzieło, w którym przysły straceniec Pryskus opisywał życie straceńca Petusa. Ceremonia odbyła się późnym wieczorem. Płomienie były z początku blade, gdyż światło dzienne jeszcze nie zagasło, ale wraz z zapadającą nocą lśniły coraz mocniej i coraz głośniejsze stawały się okrzyki przypatrującego się pospólstwa. Pryskusowi kazano przyglądać się paleniu. Był posłuszny. Nie poruszając okrągłą, łysą czaszką, spoglądał głęboko osadzonymi, małymi oczyma na płomienie, pochłaniające jego książkę. Egzemplarze, przeznaczone na spalenie, były pisane na pergaminie. Starej Fannii nawet najkosztowniejszy materiał nie wydał się zbyt kosztowny; pergamin spalał się wolno i uporczywie, opierał się zagładzie. Pryskus był człowiekiem chłodnym, rzeczowym, śmiał się często z metafor i porównań swego przyjaciela Helwida, a jednak z tym stosem łączyły się w jego wyobraźni różne patetyczne myśli i obrazy. Ogień oświecła, ogień oczyszcza, ogień jest wieczny. Ogień łączy ludzi i bogów, w pewnym stopniu czyni ludzi potężniejszymi, niż potrafi tego dokonać bóstwo. Może właśnie przez ten ogień życie Petusa stanie się trwalsze niż rządy Domicjana i despotów, którzy po nim przyjdą; prawdopodobnie jednak żaden despota nie przyjdzie po nim.

Był to ostatni ogień, jaki Pryskus widział na oczy, ostatni jego wieczór, ostatnia noc. Niepohamowany, namiętny Helwid odpokutował również owej nocy za satysfakcję, którą odczuwał, kiedy we wniosku przeciw Ligariuszowi rzucił cesarzowi w oczy całą swą nienawiść i pogardę; poszedł śladami ojca do Hadesu, jak ojciec strącony tam przemocą. Domicjan mógł sobie powiedzieć, że stary Wespazjan powinien być z niego zadowolony.

W tydzień później poszły na banicję skazane kobiety. Zesłano je w dziką, barbarzyńską okolicę. Pulhnej, rozleniwionej damie Gratilli, przyzwyczajonej do trzech pokojówek, pielęgnujących jej ciało, niełatwo będzie żyć tylko ze starą, ponurą Fannią w małym, prymitywnym domu na zimnym, nieprzytulnym cyplu dalekiego morza. Fannia wzięła ze sobą hymn pochwalny Pryskusa na cześć jej nieżyjącego męża, hymn, który był przyczyną jej zesłania. Kiedy obie kobiety szły w kierunku Bramy Łacińskiej, by opuścić miasto, tłumy stały wzdłuż ich drogi. Ale nie wskrzesiło to ich pomordowanych mężów, zaś Pontus nie stał się Tybrem.

Na skraju drogi stał również pisarz senator Kornel. Nie chciał przykładać ręki do śmierci przyjaciół, nie przybył na posiedzenie, na którym toczył się ich proces. Był to akt odwagi. Niezbyt wielkiej, co prawda, gdyż oczywiście zabezpieczył się, wezwał do swego łóża trzech lekarzy, by mieć świadków, że dostał zapalenia płuc. I teraz, jako człowiek ostrożny, pytał długo sam siebie, czy ma wmieszać się w tłum tych, którzy żegnali dwie kobiety, po raz ostatni kroczące tą drogą. Przewyciężył się, zdobył się na odwagę. Stał, robiąc sobie wyrzuty za tę

zbyteczną śmiałość, czekał. Kiedy kobiety pojawiły się, podniósł prawą rękę, żegnając je na długo, może na zawsze. W głębi duszy myślał: „Jakie to wszystko bezsensowne i niepotrzebne! Biedni, niemądrzy przyjaciele! Dlaczego nie poczekaliście, aż przyjdzie właściwy moment obalenia cesarza? Wtedy, po jego śmierci, moglibyście o wiele wyraźniej i bezwzględniej powiedzieć to, co można mu zarzucić, aniżeli byliście w stanie wyrazić to dzisiaj. Biedni, niemądrzy przyjaciele! Nie zrozumieliście, że ta epoka żąda od nas tylko jednego: byśmy ją przeżyli! Waszą jedyną szansą pozostało to, że ja, mniej głupi od was, może kiedyś jednak będę mógł postawić wam pomnik.”

Oczyściwszy miasto od wrogów zarówno swoich, jak i bóstwa, Domicjan zabrał się do uczczenia swego tysiąclecia. Od założenia miasta minęło lat 849. Trzeba było być śmiałym chronologiem na to, by wyliczyć, że oto minęło tysiąclecie. Domicjan należał do śmiałków. Wyliczył.

Wezwano lud przez heroldów, kolegium piętnastu kazało porozdzielać pochodnie, smołę, siarkę, przy pomocy których każdy mógł się oczyścić. Lud ze swej strony ofiarował kolegium kapłanów ziarno siewne i bydło dla bogów. Cesarz na Polu Marsowym złożył ofiary Jowiszowi i Minierwie, w jego obecności kobiety z rodów szlacheckich modliły się do Junony, ziemi ofiarowano żywego pstrąga, chóry młodzieńców i dziewic śpiewały hymny, cesarz ofiarował bogu Wulkanowi szmat ziemi, aby bóg chronił miasto od pożaru.

Tej noc cesarz spał z Lucją.

— Pa¹ i[^]tasz — zapytał — coś mi przepowiedziała wówczas" gdy skazano westalkę? No i cóż, moja Lucjo, kto mii / rację?

Zwycięstwo, odniesione nad senatem, napełniło Domicjana radością; było potwierdzeniem, że słusznie i zgodnie z wolą bogów pojmuje swe kapłaństwo i swój urząd. Podnosiło go to na duchu, był szczęśliwy.

Od dawna chętnie pracował, teraz traktował swą pracę i swoje obowiązki jeszcze poważniej. Ten porywczy, niespokojny człowiek lubił dawniej bez względu na trudności i niewygody przemierzać swe olbrzymie państwo od krańca do krańca. Jednego roku był w Brytanii, następnego zjawiał się nad Dolnym Dunajem. Teraz spędzał większą część czasu na naradach z ministrami, nie wstając zza biurka.

Do pracy wybrał niewielki pokój. Chcąc się skupić, musiał mieć dokoła siebie ciasne, zamknięte ściany. W samotności tej pustelni udawało mu się zagłębiać w siebie całkowicie. W chwilach takiego skupienia odczuwał fizycznie, że jest sercem i mózgiem tego potężnego, niezwykle żywotnego organizmu, określanego mgliście i abstrakcyjnie jako państwo rzymskie. Rzeki tego państwa, Ebro, Po, Ren, Dunaj, Nil, Eufrat, Tygrys, były to jego żyły, góry, Alpy, Pireneje, Atlas, Haemus, jego kości. Jego krew ogrzewała i ożywiała te olbrzymie obszary, miliony poszczególnych ludzi były porami, którymi oddychało jego własne życie. To milionowo uwielokrotnione życie czyniło go naprawdę bogiem, wynosiło go ponad wszelką ludzką miarę.

Chcąc, by go ta potężna świadomość pełni życia nie opuszczała, musiał dokręcać śrubę jeszcze mocniej, jeszcze bardziej bezwzględnie. Wypełniał ściśle swój program. Zwycięstwo odniesione nad opornym senatem było pierwszym etapem drogi, którą sobie dokładnie wytknął. Teraz, kiedy sobie zapewnił pomoc bogów, mógł rozpocząć bardziej uciążliwy odcinek tej drogi. Mógł położyć kres podziemnym knowaniom, którymi zagrażał mu obcy, złowrogi i niesamowity Bóg Jehowa.

Nie zamierzał jednak atakować Jehowy. Wcale nie. Nie godziłoby się to jemu, obrońcy religii. Niechaj sobie doktryny Jehowy obowiązują w dalszym ciągu, ale tylko wśród ludu Jehowy. Kiedy jednak doktryny te przekraczały granice, kiedy zaczynały zatruwać jego Rzymian, miał obowiązek bronić się przed nimi, wypalić je z serc Rzymian.

Naradzał się ze swoimi ministrami. Z Marullem, Reginusem, Anniuszem Bassusem opracował plan wyparcia wpływów Wschodu z Rzymu, wtłoczenia go w jego dawne granice.

Na razie chodziło o usunięcie cudotwórcy Jakuba z Sekanii. Jakub uchodził za głowę społeczności chrześcijańskiej w Rzymie. Całe miasto z nim obcowało. Bywał częstym gościem w domu księcia Klemensa. Liczni senatorowie interesowali się nim i jego ideą; zainteresowanie to było demonstracją przeciw cesarzowi, na razie jeszcze nie niebezpieczną. Lud spoglądał ku cudotwórcy z nieśmiałą czią. Siedemnastu ludzi widziało na własne oczy, jak kulawa Paulina, była niewolnica, wstała i zaczęła się poruszać, kiedy położył rękę na jej głowie szepcząc jakieś słowa po aramejsku. Inna sprawa, że owa Paulina umarła tego samego dnia. Ale wydarzenie niemniej przeto pozostało cudem, a człowiek, który tego cudu dokonał, cieszył się w dalszym ciągu wielką czią. W każdym razie cesarz i jego minister policji uważali, że byłoby lepiej, gdyby Jakub z Sekanii nie czynił dalej cudów w tym ich Rzymie.

Ale jak można przeszkodzić człowiekowi w czynieniu cudów?

Istnieje, oświadczył Norban bez ogródek, środek bardzo radykalny.

W mile Jińiu zastanawiali się wszyscy nad tym radykalnym środkiem. Potem Reginus oświadczył, że zastosowanie tego śrdka w stosunku do cudotwórcy nie byłoby wskazane. Stworzyłyby się pozory, że zwolennicy religii panującej

boją się boga cudotwórcy. Nie otrzeźwiłoby to jego zwolenników, przeciwnie, utrwaliłoby ich zabobony.

— Czy nie można by — zaproponował Marull — skłonić cudotwórcę, by czynił cuda na dworze cesarza? Wtedy powstałaby możliwość skontrołowania go i zdemaskowania.

— A kto ci powiedział — wtrącił Bassus — że cud mu się wtedy uda?

Cesarz oświadczył jednak krótko i węzłowato:

— Nie chciałbym kwestionować potęgi Boga Jehowy. Chciałbym tylko ostrzec, żeby cudotwórca nie był zbyt żarliwy w zdobywaniu prozelitów.

Marull bynajmniej nie dotknięty tym przywołaniem do porządku oświadczył, że przede wszystkim należałoby wyjaśnić sobie, jak dalece głoszenie nauki żydowskiej jest dozwolone i gdzie ta nauka zaczyna być żarliwym zdobywaniem prozelitów, a więc przestępstwem.

— Gdyby władca i bóg głośno wyraził swoje zdanie w tym względzie — powiedział — byłoby to dla nas wszystkich istną łaską.

Cesarz lubił takie formalnoprawne dysertacje, Marull liczył na to, że wyłożenie poglądów na tę kwestię sprawi DDD przyjemność.

Domicjan skorzystał też z okazji.

— Judaizm — oświadczył — jest i pozostaje nadal religią dozwoloną. Nie zamykam oczu na to, że religia ta jest sprzeczna z fundamentalną zasadą, łączącą wszystkie inne narody państwa, a mianowicie z zasadą, że bóstwo objawia się w osobie cesarza. Podczas gdy, wszyscy poza tym wyznawcy Izydy i Mitrasa, jak również czciciele barbarzyńskich bóstw Germanów i Brytyjczykó\ są zgodni w tym, że obrazowi cesarza rzymskiego i jego 'nsygniom należy się cześć boska, Żydzi wyraźnie nie chcą tego uznać. Tolerancyjny Rzym wcale o tym nie myśli, aby liedny, uparty naród, którego żalosnej beziły dowiodły poniesione klęski,' zmuszać siłą do uznania prawdy.

Wygłosiwszy ten wstęp nie mógł powstrzymać się od wypowiedzenia swych ukochanych teorii, jak gdyby znajdował się w senacie.

— Rzym szanuje wolność sumienia. Rzym pozostawia każdemu jego wiarę, nawet jeżeli wiara ta jest błędna. Każdy może mieć swego boga bez względu na to, jak dziwacznie ten bóg wygląda. Niechaj sobie każdy naród ma swoje obyczaje, byleby tylko obyczaje te nie przeszkadzały mu być nam posłusznym — deklamował.

Reginus i Marull stwierdzili, śmiejąc się w głębi duszy, że ostatnie zdanie wypowiedział jak wiersz.

— Ale wszystko ma swoje granice — ciągnął dalej Domicjan. — Rzym nie pozwala na jedno: na to, żeby bóg innego narodu wtrącał się do panującej religii rzymskiej. Arcykapłan rzymski nie może tolerować tego, żeby ludzie Wschodu śmieli szerzyć swe zabobony przez namowę i propagandę. Pytałeś, mój Marullu, jak dalece dozwolone jest głoszenie nauki żydowskiej. Odpowiadam: opowiadanie

się za tą nauką i wykonywanie praktyk jest dozwolone bez jakichkolwiek ograniczeń tym wszystkim, którzy na swoje nieszczęście przyszli na świat w tym narodzie i w tej wierze. Nie wolno natomiast szerzyć tych zabobonów drogą nauczania, a cóż dopiero drogą czynu. Ten, kto chce drugiego za pomocą słów lub obrzezania uczynić wyznawcą religii żydowskiej, wykracza przeciw majestatowi Rzymu i cesarza.

— Sformułowanie jest jasne — rzekł Marull.

Lecz Klaudiusz Reginus wtrącił ostrożnie:

— Jeżeli opowiemy się publicznie za tą zasadą, czy nie spotka nas znowu zarzut, że boimy się tego Jehowy i przekonywającej siły Jego nauki?

— Ostrożność nie jest tym samym co strach — odparł szorstko Norban. — Jeżeli zamykam drzwi mego domu, jest to ostrożność usprawiedliwiona, a nie strach.

Powściągliwy zazwyczaj żołnierz, Bassus, oświadczył jednak śmiało:

A ja się boję tej nauki. Jest zaraźliwa. Byłem w Judei. Widziałem, jaki lęk szerzy dokoła siebie ten Bóg Jehowa wraz ze swoją nauką. Świątynia, „to coś”, napełniała moich żołnierzy przerażeniem, paraliżowała ich. Byłoby rzeczą bardzo niebezpieczną, gdyby głosiciele tej nauki mieli rozpocząć swą działalność w armii.

To szczere wyznanie wywołało zamęt.

— Niemile mi są takie słowa, mój Anniuszu — oświadczył Domicjan. — Jakkolwiek by sprawy wyglądały, nie życzę sobie szerzenia tej nauki, chcę uchronić od niej moich Rzymian, głoszenie jej jest zabronione. Powiedziałem.

— Cóż więc poczniemy z naszym cudotwórcą? — krótko i rzeczowo wrócił Norban do rzeczy.

Marull uśmiechnął się lekko i powiedział:

— Jeżeli dobrze zrozumiałem władcę i boga Domicjana, to niechaj sobie ten cudotwórca dalej uprawia swój proceder, ale wśród swoich Żydów, w Judei, nie tutaj w Rzymie.

— Dziękuję ci, mój Marullu — odparł cesarz. — Sądzę, że to droga właściwa.

Ale prostoduszny i szczery Anniusz mruknął:

— Prowincja Judea jest niedaleko, wielu ludzi z Rzymu łączą z nią jakieś więzy, do Judei płyną liczne statki. Wolałbym pozbyć się tego człowieka. Dlaczego nie miałyby się go wydalić poza granice państwa? Niechaj sobie swoje cuda prezentuje Scytom lub Partom, byle tylko nie rzymskim poddanym.

Szczery żołnierz sprawił wszystkim uciechę.

Tymczasem Domicjan nie zadowolił się tym, że debatę ograniczono do sprawy Jakuba z Sekanii. Jego doradcy winni wiedzieć, że akcja przeciw cudotwórcy to tylko pierwszy krok na drodze ku znacznie bardziej ważkim decyzjom. Oświadczył więc:

— Dla uniknięcia nieporozumień precyzuję raz jeszcze. Istnieją trzy rodzaje Żydów. Po pierwsze, ci, którzy, przyszedłszy na świat jako Żydzi, poprzestają na wykonywaniu swych praktyk religijnych. Niechaj sobie to czynią, nikt nie będzie ich prześladować. Po drugie, są tacy, którzy gorliwie uprawiają propagandę i zjednują sobie prozelitów. Tym nie wolno przebywać ani w Italii, ani w jakiegokolwiek prowincji rzymskiej, mogą mieszkać jedynie w prowincji Judei, ale i

tam pozostają pod nadzorem policji. Istnieje jednak jeszcze — ciągnął wolniej, delektując się każdym słowem — trzeci rodzaj Żydów, i ci, wydaje mi się, są najgorsi.

Przerwał rozkoszując się wyczekiwaniem audytorium i wreszcie zakończył: — Mam na myśli tych, którzy, zrodzeni w religii panującej, zapierają się jej, przechodzą na wiarę Żydów i wątpią w boskość cesarza.

— Sprawa jest zatem wyjaśniona — rzekł sucho Marull.

Ale praktyczny Norban wyciągnął od razu konsekwencje.

— Na razie więc — powiedział — wysiedlimy chyba Jakuba cudotwórcę i postawimy senatora Glabryona w stan oskarżenia.

Pozostali podnieśli głowy. Senator Glabryon był człowiekiem spokojnym, nie można go było posądzać o wrogość w stosunku do reżimu. To, że się gorliwie zajmował egzotyczną filozofią, a przede wszystkim doktryną chrześcijan, uchodziło powszechnie za niewinnego bzika.

Bassus spróbował łagodzić.

— Może — zaproponował — najpierw wytoczmy proces paru małym, szarym ludziom, którzy skłaniają się ku błędnej wierze żydowskiej; byłby to rodzaj ostrzeżenia.

— Jeżeli o mnie chodzi — odezwał się Reginus — nie prześladowałbym szaraczków, gdyż zaszkodziłoby to prestiżowi cesarza wśród mas.

Domicjan rozstrzygnął uśmiechając się złośliwie:

— Glabryon jest dostatecznie mały.

— Zbiorę więc materiał obciążający senatora Glabryona, dowiodę, że dopuścił się wykroczeń przeciw religii panującej — rzekł Norban.

— Tak — powiedział Domicjan z miną niemal znudzoną — zbieraj na razie materiały.

Wszyscy byli całkowicie zorientowani, co to „na razie” znaczy. Mierzyło bardzo wysoko, było wycelowane w kuzyna cesarza, księcia Klemensa.

Jeżeli Sabin nie mógł oprzeć się pokusie i wdał się w sprzysiężenie Saturnina, to książę Klemens pozbawiony był cienia ambicji politycznej. Większość czasu spędzał z dala od Rzymu, w swej posiadłości w Etrurii, niedaleko miasteczka Cosa, w owym staroświeckim domku wiejskim, najstarszej siedzibie Flawiuszów. Nawet Norban, choć z pewnością nie należał do przyjaciół Klemensa, mógł jedynie raportować cesarzowi, że dni księcia wypełnione są studiowaniem filozofii wschodniej. Doktryna Żydów i nazareńczyków jest jednak dostosowana do mentalności prostych ludzi, głosi nie stawianie oporu, bredzi coś o królestwie nie z tego świata, nie należy więc obawiać się ze strony Klemensa jakiegóż niebezpiecznej działalności politycznej.

Domicjan był zdania, że taka ocena sprawy całkowicie przystoi jego ministrowi policji; uważał jednak, że jako cenzor winien zupełnie inaczej oceniać charakter i zachowanie Klemensa. Było już rzeczą naganną, jeżeli ktokolwiek z pomniejszej szlachty lub jakiś mało znaczący senator skłania się do poglądów chrześcijan, gdy chrześcijanie głoszą odwrót od spraw tego świata, a człowiekowi, pochodzącemu ze starej rodziny rzymskiej, z beczynnością nie do twarzy. Jeżeli jednak książę Klemens, kuzyn cesarza i pierwszy po nim człowiek w państwie, zamiast zajmować się sensowną działalnością polityczną i militarną hołduje tym zabobonom i wskutek tego zaniedbuje swoje obowiązki, to ta przestępcza indolencja stanowi przykład w najwyższym stopniu gorszący. Jakże on, władca, ma wychowywać swoich senatorów na dobrych obywateli kraju, jeżeli jego własny kuzyn od służby tej się uchyla!

Nie tylko wszakże narodowe i religijne względy natury ogólnej wywoływały u Domicjana takie oburzenie na Klemensa. Czuł się osobiście dotknięty, że ten leniwy, niezdatny wałkoń nie uznaje jego boskości i jego geniuszu. W gruncie rzeczy Klemens nie negował boskości cesarza, był nawet gotów, zgodnie z nakazem ustawy, składać ofiarę obrazowi cesarza. Ale Domicjan

poprzez nieprzystępną, niedbałą uprzejmość księcia wyczuwał, jak mało Klemens go szanuje. Domicjanowi było obojętne, kiedy na przykład ta nieszczęsna Domicylla, żona Klemensa, piorunowała go spojrzeniem suchych, błędnych oczu; bawiło go to raczej, niż gniewało. Natomiast lekceważenie Klemensa złościło go wyraźnie. Przede wszystkim zapewne dlatego, że ten Klemens był ojcem książąt Konstansa i Petrona, dwóch lwiatek. Bliźniacy mieli teraz po piętnaście lat, podobali się Domicjanowi coraz bardziej, w miarę jak dorastali, od śmierci Julii umacniało się w nim postanowienie, że ich zaadoptuje. Na przeszkodzie temu stał wyłącznie i jedynie Klemens. Wszystko drażniło go w tym flegmatyku. Zarzucał mu ustawicznie jego leniwy, kaleki tryb życia, znajdował dla niego coraz to nowe karcące słowa, nazywał go wygodnickim, ociężałym, głupim, pozbawionym energii, niedbałym, zimnokrwistym, ospałym, próżniakiem, opieszałym, mazgajem, gnuśnym. Ale właśnie o tę gnuśność obijały się wszystkie obelgi cesarza. Klemens zjawiał się, kiedy go Domicjan wzywał, słuchał uprzejmie nagan cesarza, przyrzekał poprawę, wracał do swej posiadłości i pozostawał taki sam, jakim był dotąd. Domicjan przebaczyłby ojcu swoich lwiatek spisek na swe życie; tego biernego oporu znieść nie mógł.

Klemens zajmował się cesarzem o wiele mniej niż cesarz nim. Książę nie był wielkim myślicielem. Mimo lat czterdziestu sprawiał wrażenie młodzieńca; delikatna skóra, bładniebieskie oczy, jasne, popielate włosy zwiększały jeszcze wrażenie chłopiwości, naiwnej prostoty. Książę, choć powolny w wydawaniu sądów, nie był jednak płytki. To, co zrozumiał, przetrwał wewnątrz i rozmyślał nad tym dopóty, dopóki nowa myśl nie zapadła w niego głęboko i nie zrosła się z jego istotą.

W naukach chrześcijan największe wrażenie wywarły na nim ponure prorocтва Sybilli. Bogowie, istoty czczone dziś jako bóstwo, głosiły te wieloznaczne strofy, są tylko zmarłymi duchami dawnych królów i bohaterów. Ale panowanie tych od wieków zmarłych postaci chyli się ku końcowi. Rzym również czci takich zmarłych i dlatego Rzym również zginie. Panowanie jego zastąpi panowanie Mesjasza. Ramię Rzymu jest jeszcze mocne, mocna jest jeszcze każda jego żyła i każda kość, ale serce tego mocnego ciała obumiera, kamienieje, nie jest już w stanie tchnąć życia w potężne członki. Od tej pozornie mocarnej istoty płynie głęboki smutek. Jej tchnienie obezwładnia cały świat, nie ma już na tym świecie spokoju i radości, zaspokojona żądza nie daje zadowolenia, głęboka tęsknota napełnia wszystko, co żyje.

Tego rodzaju myśli i uczucia zaprzętały prosty umysł księcia. Był z natury beztroski, nawet pogodny. Ale to, co się rozgrywało na Palatynie i w senacie, widział w świetle przepowiedni Sybilli; wydawało mu się to bezsensowne i martwe, martwe ta ciążyła nad całym światem, zabijała szczęście i życie. To, że musi być częścią tej martwoty, napełniało go melancholią. Coraz głębiej pograżał się w świat Jakuba cudotwórcy i Sybilli, coraz trudniej mu było czynić zadość obowiązkowi reprezentacyjnym na dworze i w mieście, coraz bardziej tęsknił za tym, by wolno mu było raz na zawsze wycofać się z Palatynu i żyć spokojnie w swojej posiadłości wiejskiej z Domicyllą i dziećmi, z książkami i nauką wiary wschodniej.

Tak mniej więcej wyglądały sprawy Klemensa wówczas, kiedy Domicjan, podniecony zwycięstwem w senacie, postanowił nie pozwolić, by Jehowa wkraczał dalej w granice jego władania.

Na początek oderwano od Klemensa jego przyjaciela i mentora Jakuba z Sekanii. Książę Klemens zegnał wielu przyjaciół i znajomych idących na wygnanie, ale nie widział jeszcze nigdy, by ktoś przyjął wyrok skazujący na banicję z tak cichą rezygnacją, jak to uczynił Jakub. Życie w małej miejscowości judejskiej, której odtąd nie wolno mu opuszczać, nie będzie łatwe. Będzie musiał żyć tam jako jedyny chrześcijanin wśród pogan i Żydów, znieawidzony przez jednych i drugich, w skrajnym niedostatku, obrabowany z mienia, ponadto przyjaciółom nie

wolno ani go odwiedzać, ani mu cokolwiek ofiarować. Zniósł to jednak bez buntu, poszedł na poniewierkę i banicję, jak gdyby czekała go radosna przyszłość.

Z kolei odbył się proces senatora Glabryona i nastąpiła jego egzekucja. Choć Klemens i Domicyllą niewiele troszczyli się o to, co się w Rzymie dzieje, musieli jednak uprzytomnić sobie, że im również zaczyna grozić niebezpieczeństwo. Domicyllą mówiła o tym z Klemensem z właściwą sobie trzeźwością, bez ogródek. Sądziła, że posiada mocną wiarę, ale teraz, kiedy zabrakło Jakuba i jego wskazówek, nie chciała biernie cierpieć, lecz była zdecydowana bronić się z całych sił przed groźącym losem. Zdziwiła się natrafiwszy na zdecydowany opór Klemensa. Wygnanie Jakuba i zgładzenie senatora Glabryona zapaliły w nim żarliwą wolę męczeństwa. Nie znaczy to, by odezwała się w nim pycha. Nie czuł się powołany do sięgnięcia po męczeńską koronę, nie chciał na skutek zbyt jaskrawej demonstracji ściągnąć na swą głowę zemsty cesarza. Pragnął raczej żyć tak jak dotychczas, nie przeciwstawiać się cesarzowi, podporządkowywać mu się, ale był również zdecydowany nie chwycić się żadnej z dróg ratunku, proponowanych mu przez Domicyllę. Cokolwiek się stanie, nie uchyli się od losu, który mu przeznaczili bogowie.

Czekał więc. Wiedział, że decyzje DDD dojrzewały bardzo powoli, może więc będzie czekał długo. Zdarzyło się jednak, że w rozmowie z pisarzem Kwintylianiem sam przyspieszył męczeństwo, choć chciał, by skazały go na nie bogi.

Stało się to tak: Domicjan życzył sobie, aby chłopcy, których zamierzał w przyszłości adoptować, byli wychowywani po rzymsku. W tym celu dał im za nauczyciela Kwintyliana, wielkiego mówcę, pierwszego stylistę epoki. Kwintyliani miał instrukcje trzymania chłopców z dala od wszystkiego, co nie przystoi przyszłym władcom państwa rzymskiego, a równocześnie zlecono mu, by unikał wszelkich starć chłopców z rodzicami. Choć instrukcje były z sobą sprzeczne, udało się Kwintylianiowi zastosować je w praktyce, był to bowiem człowiek stateczny, uprzejmy, bardzo dostojny, giętki, lecz nader stanowczy i nieustępliwy. W sposób uprzejmy i bezwzględnie lojalny toczyła się więc cicha walka między rodzicami chłopców a ich nauczycielem; choć Kwintyliani nie stawał wręcz ani po stronie rodziców, ani po stronie dzieci, udało mu się w sposób ostrożny, trudny do pojęcia, oddalić chłopców od rodziców.

Klemens próbował częstokroć rozmawiać szczerze z nauczycielem swych dzieci. Nie dorastał wszakże do zręcznego mówcy i stylisty; podczas jednej z takich rozmów zdarzyło się, że mimo woli wypowiedział nieostrożne słowa, które cesarzowi posłużyły nareszcie za broń przeciw niemu.

Kwintyliani oświadczył, że celem jego jest przyswajanie dzieciom raczej tego, co pożyteczne, niż tego, co prawdziwe. — Dobry nauczyciel ma oczywiście prawo karmić swych uczniów kłamstwami, jeżeli dzieje się to w szlachetnym celu, to znaczy dla dobra kultury łacińskiej lub rzymskiej. — Przemawiając przed sądem — mówił — nigdy nie wahałem się powoływać na wątpliwe tezy, kiedy nie widziałem innej drogi, by pozyskać sędziów dla dobrej sprawy.

— Czy zawsze wiesz dokładnie — Klemens nie potrafił powstrzymać się od pytania — która sprawa jest dobra?

— W danym wypadku wiem dokładnie. Dla książąt Konstansa i Petrona dobre i słuszne jest każde twierdzenie, które może przyczynić się do tego, by wyrosli na władców flawijskich. Dobra sprawa, której służę, to trwałość i panowanie dynastii Flawiuszów.

— Zazdroszczę ci twojej pewności — odparł na to Klemens. — Dobra sprawa — powiedział po chwili namysłu — to określenie, które można tak różnie rozumieć. Ja na przykład wiem na pewno: panowanie Flawiuszów przeminie, ale znam inne państwo i jestem pewien, że ono nie przeminie.

Kwintyliani nie odrzekł ani słowa na tę nierzymską odpowiedź, ogłoszoną w dodatku

marną, niechlujną łaciną. Klemens od razu zapytał sam siebie, po co to powiedział; było to wyznanie zbyteczne, niepotrzebna demonstracja, którą Jakub cudotwórca i Domicyllą tak surowo potępiali. Mówienie bowiem o boskości i prawdzie miało jedynie sens wobec ludzi, dla których prawda była dostępna.

Ze skrucą opowiedział Domicylli o tym, co zaszło. Przeraziła się. Przecież Jakub, zanim poszedł na banicję, wbijał im w głowy, żeby gwałtem nie robili z siebie męczenników, żeby byli mądrzy jak węże i starali się przeżyć panowanie owego, panowanie Antychrysta. Ale nie wyraziła tego głośno, nie biadała; tym głębiej przejęły Klemensa skąpe słowa, które padły z wąskich warg ukochanej żony.

Żałował szczerze swej nierozważnej wypowiedzi. Jeżeli jednak, co było prawdopodobne, los jego rozstrzygnie się dzięki temu prędszej, było mu to raczej na rękę. Coraz bardziej męczył go nikczemny zgielk, który go otaczał, odejście od pustego, występnego świata nic go nie będzie kosztowało. Był z natury skromny, nie uważał się za powołanego, gdyby jednak bóstwo wybrało i jego dla złożenia świadectwa, jego „leniwe, gnuśne życie” miałyby więcej sensu i promieniowałyby mocniej w przyszłości niż gorączkowy, czynny żywot DDD. Uśmiechnął się pod wpływem tej myśli. Oczekiwanie, co też DDD postanowi, nabierało coraz bardziej charakteru radosnej otuchy, jeżeli Domicylla lękała się, to Klemens z całkowitą obojętnością czekał na to, co nastąpi.

Mniej więcej w dwa tygodnie po owej rozmowie z Kwintylianiem do posiadłości w pobliżu Cosa zawitał kurier i oddał pismo własnoręczne cesarza, w którym Domicjan prosił Klemensa w niezwykle uprzejmych słowach, by jak najprędzej przybył na Palatyn, gdyż cesarz tęskni za poufną z nim rozmową. Domicylla pobladła, jej jasne oczy patrzyły przed siebie bezradnie, wąskie usta nie były, jak zazwyczaj, zaciśnięte, wargi jej zaschły, rozchyliła je lekko. Klemens wiedział dokładnie, o czym myśli. Tego rodzaju poufne rozmowy rzadko dobrze się kończyły, DDD rozmawiał również długo i wyjątkowo uprzejmie z Sabinem, zanim kazał mu umrzeć.

Klemens ubolewał, że Domicylla nie dzieli z nim ani trochę radosnego spokoju, który go napelniał. Jasna, delikatna twarz czterdziestolatka wydawała się jeszcze młodsza niż zazwyczaj; kiedy się żegnał z żoną, był pełen niemal pogodnego skupienia. Ucałował czyste czoła bliźniaków, pogłaskał ich puszyste włosy. „Moje lwiątko” — pomyślał. A więc jednak nauczył się czegoś od Domicjana.

Domicjan przyjął kuzyna w szlafroku. Oczekiwał go niecierpliwie, obiecywał sobie po tej rozmowie niemało. Lubił tego rodzaju rozmowy. Było bowiem tak, jak przypuszczali Klemens i Domicyllą: po karygodnym oświadczeniu kuzyna Domicjan uważał, że jest uprawniony wobec siebie, wobec bogów i Rzymu do oczyszczenia atmosfery, którą oddychali chłopcy, jego przyszli następcy. Dlatego zdecydował się na śmierć Klemensa i zesłanie Domicylli. Przed tym jednak chciał pomówić z kuzynem. Godziny, w których rozmawiał z przeznaczonymi na śmierć, zaliczał do najlepszych w życiu; aby więc w pełni rozkoszować się rozmową, był swobodny i przyjął Klemensa bardzo ciepło.

Z początku wypytywał go, jak się czuje w swej posiadłości wiejskiej, czy pogodził się już ze zmianami, jakie wprowadziła nowa ustawa, dotycząca ograniczenia uprawy wina. Potem wrócił do swoich zwykłych biadań, że Klemens tak znaczną część roku spędza na wsi i wskutek tego uchyla się od obowiązków rzymskiego księcia. Znowu zarzucał mu gnuśność, chwając się, czego to on sam dokonuje. Nie dalej jak pięć dni temu wziął udział w ceremonii z racji otwarcia nowej szosy, łączącej Sinuessę i Puteoli. Ta Via Domitiana pochłonęła wiele wysiłku i potu, ale teraz jest gotowa i odąd będzie ułatwiała życie wielu milionom ludzi.

— Winszuję ci — odparł Klemens. — Ale — ciągnął dalej zamyślony, bez szyderstwa —

czy nie sądzisz, że ważniejsze byłoby utorować milionom drogę do Boga niż do Puteoli?

Domicjan spoglądał na kuzyna zaczerwieniony, z gniewnymi błyskami w oczach. Już miał zamiar wrzasnąć na niego, spiorunować go, ale przypomniał sobie, że jest w szlafroku właśnie dlatego, ponieważ sobie postanowił nie być podobnym Jowiszowi, lecz bardzo ludzkim. Zresztą Klemens nie zamierzał z pewnością zakpić sobie z niego, wypowiedział głupie zdanie wskutek wrodzonej mu tępoty. Domicjan opanował się więc. Nie chodziło mu o to, by kuzyna poniżyć; chciał tylko, by Klemens przyznał mu rację. Cesarz był niegdyś dumny z tego, że on jeden posiada rozeznanie. To, że był pod tym względem jedyny, uważał za wyróżnienie, za łaskę bogów. Ale teraz przygnębiał go brak zrozumienia, który napotykał na każdym kroku. Czy naprawdę jest rzeczą niemożliwą oświecić innych? Czy naprawdę nie można przekonać tego na przykład Klemensa? Domicjan opanował się więc i odpowiedział tylko na zuchwałe pytanie kuzyna:

— Dajże spokój tym niemądrym żartom, mój Klemensie. — Po czym zmienił temat rozmowy.

Na pół leżąc na sofie, zaczął:

— Mówiono mi, że owi wschodni filozofowie, którymi się w ostatnich czasach tak gorliwie zajmujesz, ci żydowscy albo ściśle mówiąc ci chrześcijańscy mędrcy zwracają się przede wszystkim do pospółstwa. Usiłują pomagać poniżonym i skrzywdzonym, nauki ich przeznaczone są dla mas, dla ubogich duchem, dla milionów. Czy jest tak naprawdę?

— W pewnym sensie tak — odparł Klemens. — Może właśnie dlatego ta nauka trafia mi do przekonania.

Cesarz poskromił gniew, wywołany tą niewczesną uwagą, i ciągnął dalej w pozycji na pół leżącej:

— Usunąłem niektórych moich senatorów, ludzie chętnie wymieniają ich nazwiska. Ale nie jest ich dużo, około trzydziestu, nie więcej. Jeżeli zarzucają mi zgładzenie tak wielu, to nie tyle chodzi o liczbę, ile o to, że na liście moich ofiar znaleźli się członkowie patrycjatu. Z drugiej strony nikt nie może zaprzeczyć, że skonfiskowane mienie tych ofiar zużytkowałem przeważnie na to, by setki tysięcy, ba, nawet miliony mogły żyć lepiej. Za te pieniądze zapobiegłem głodowi i zarazom albo przynajmniej zmniejszyłem je, zaradziłem nędzy i biedzie. — Popatrzył na swoje ręce i zakończył: — Gdyby nie moje rządy, nie żyłyby już setki tysięcy, może miliony, gdyby zaś nie moje zarządzenia, które możliwe były tylko przez usunięcie tych trzydziestu, setki tysięcy nie ujrzalyby światła dziennego.

— No i? — zapytał Klemens.

— No i zapamiętaj to sobie dobrze, mój Klemensie — odparł cesarz.

— Wy, którzy cel swój widzicie w szczęściu poniżonych i mas, winniście przecież mieć dla mnie

zrozumienie, winniście mnie czcić i kochać. Czy to czynicie?

— Może — odpowiedział Klemens uprzejmie, niemal pokornie — może przez szczęście i życie rozumiemy coś innego niż ty, mój Domicjanie. Rozumiemy przez nie życie skierowane ku bóstwu, pełne wiary, przygotowane do przejścia w zaświaty.

Domicjan utracił teraz spokój.

— Zaświaty — zawołał szyderczo — Hades!

Wolę być tu na ziemi prostym robotnikiem

Niż w królestwie Hadesu panem martwych cieni.

zacytował słowa Achillesa z Homera. — Hades, zaświaty — gorączkował się dalej. —

Przecież za to właśnie was potępiam. Nie macie odwagi spojrzeć na życie prosto, wchłonąć je w siebie, bredzicie o tych zaświatach, wykręcacie się, uciekacie. Nie wierzycie ani w siebie

samych, ani w nikogo, ani w trwałość tego, co się tworzy. Jakież to żalosne tchórzostwo, kiedy Flawiusz wątpi w trwałość swej dynastii! Dynastia nie zginie, ja ci to mówię!

Mimo szlafroka stanął teraz w pozie cesarskiej, cofnął łokcie w tył i swym ostrym głosem zaskrzeczał tamtemu w twarz:

Nie wszystek umrę.

Część mojej istoty Uniknie śmierci.

Jeżeli może powiedzieć to o sobie poeta, i słusznie, o ileż bardziej słowa te przystoją cesarzowi z rodu Flawiuszów! Ale domeną twego niewidzialnego Mesjasza jest to, co się nie przeciwstawia zagładzie, co pójdzie na dno, ponieważ nigdy nie miało racji. Osiedlacie się w zamkach na lodzie, jesteście cieniami za życia. Rzym to życie, a wasz chrystianizm to śmierć.

Niespodziewanie, z tą samą łagodną, żartobliwą uprzejmością, którą objawiał w ciągu całej rozmowy, Klemens stwierdził nagle:

— A więc chcesz mnie skazać za chrystianizm?

To spokojne, pogodne i jak się Domicjanowi zdawało szydercze stwierdzenie całkowicie wyprowadziło cesarza z równowagi. Ale opanował się po raz ostatni i powiedział niemal dobrotliwie:

— Chciałbym, żebyś uznał, że słusznie skazuję cię na śmierć.

— Jeżeli bogowie twoi istnieją — odparł Klemens z tym samym niewzruszonym, niezłomnym spokojem — słusznie skazujesz mnie na śmierć. — Po krótkiej chwili milczenia dodał stanowczo: — Ponadto wyświadczasz mi przysługę.

Długo jeszcze po śmierci Klemensa Domicjan zastanawiał się, czy słowa te były szczere, czy też człowiek ten pozował.

KSIEGA DRUGA

ZIEMIA OBIECANA

Jechali trzema pojazdami. W pierwszym siedziała Mara z piętnastoletnią Jaltą, trzynastoletnim Danielem i jednym z niewolników, drugi zajmował czternastoletni Mateusz z dwoma niewolnikami, którzy pilnowali rzeczy, trzeci wiózł resztę bagaży oraz wyzwoloną przez Marę niewolnicę Jarmatię. Józef jechał wierzchem obok pojazdu Mary, orszak zamykał konny giermek. Od czasu do czasu Mateusz dosiadał konia giermka, pozostawiając mu swoje miejsce w pojeździe.

Był piękny, chłodny dzień jesienny. Od morza wiał lekki wiatr, po jasnym błękitnie nieba płynęło kilka bardzo białych obłoków. Józef był w radosnym, ożywionym nastroju. Wówczas, przed dziewięcioma laty, kiedy kupił posiadłość Be'er Simlai, przyrzekł Marze, że po ukończeniu swego dzieła wróci do Judei. Osiągnął to, jego *Historia uniwersalna* została skończona. Dobrze jednak, że znalazł wyjście pośrednie i spędzi jeszcze zimę w Rzymie. Mara, Jalta i Daniel mogą teraz spokojnie jechać do Judei, uda się tam za nimi na wiosnę wraz z Mateuszem. Cieszy się na tę zimę, którą spędzi ze swym synem Mateuszem.

Kocha Marę całym sercem, z małymi przerwami żyją już z sobą lat dwadzieścia pięć. Z biegiem czasu charakter jej stał się trudniejszy; Józef przyznaje chętnie, że i on nieraz utrudniał jej życie. Dużo wody upłynęło, nim rozwiało się ślepe uwielbienie, którym go otaczała. Pragnął niegdyś często, żeby się nauczyła myśleć bardziej samodzielnie nawet o nim. Teraz, kiedy się to stało, kiedy toleruje jego słabostki z matczyną niemal pobłażliwością, dając mu jednak do zrozumienia, że je przejrzała, wolałby może, żeby było tak jak dawniej. Czasami bowiem krytyka jej gniewa go, pomimo iż Mara daje jej wyraz w sposób bardzo łagodny. Drażni go wytrwałość tej krytyki; w gruncie rzeczy Józef wie, że Mara ma rację, choć przy pomocy swej wyszkolonej dialektyki udowadnia jej, że się myli.

Miała przede wszystkim rację, nalegając w ciągu ostatnich lat spokojnie, ale stanowczo na to, by wreszcie opuścili Rzym. Odkąd cesarz usunął jego honorowe popiersie ze Świątyni Pokoju, wszyscy jego przyjaciele zaklinali go, by opuścił ten niebezpieczny Rzym, znikł z oczu cesarza, Messalina i Norbana. Jan z Giskali przytaczał mu setki gruntownie wyrozumowanych względów, przed którymi argumenty Józefa nie mogły się ostać, tak jak to bywało wobec Mary, a kiedy później nastąpiły nowe prześladowania Żydów, nawet Justus oświadczył mu, że pozostawanie dłużej w Rzymie byłoby raczej teatralnym gestem niż odwagą. Udał się więc do Judei, obejrzał sobie dokładnie nową posiadłość Be'er Simlai, ale uznał, że pod znakomitą opieką Teodorosa bar Teodorosa gospodarstwo to stoi co najmniej równie dobrze, jakby się to działo pod jego okiem, i wrócił do Rzymu.

Jest rad, że wszystko tak się ułożyło, że te złe lata przeżył w Rzymie, na marginesie spraw, a jednak w samym ich sercu. Teraz dzieło jego jest skończone, upadł pretekst, którym uzasadniał swe pozostawanie tam przed sobą samym i przed Marą, że dzieło jego będzie miało większą wartość, jeśli pisać je będzie z dala od Judei, natomiast aktualna stała się dana obietnica. Nie potrafiłby jednak wsiąść teraz na statek i udać się do Judei, by się tam zagrzebać. Znalazł więc „wyjście połowiczne”, nowy argument, którym uzasadnił pozostanie w Rzymie przynajmniej przez pewien czas. Jeżeli *Historia uniwersalna* ma podzielać, okłamywał siebie i Marę, to jego obecność przy ukazaniu się książki jest ważna, niemal nieodzowna. Należy się to przede wszystkim Klaudiuszowi Reginusowi, który włożył tyle miłości, cierpliwości i pieniędzy, by mu umożliwić pracę. Był to argument kruchy, Mara uśmiechała się z rezygnacją i pewną

goryczą, czuł się nieswojo, kiedy jej proponował, żeby pojechała pierwsza, zapewniając, że przyjedzie z Mateuszem na wiosnę. Teraz jednak te niemiłe chwile ma już za sobą, jest już szósty dzień w drodze, jutro, najpóźniej pojutrze dotrą do Brundisium, statek odbije od brzegu uwożąc Marę i dzieci do Judei. Potem przyjdzie zima, i aż do następnej wiosny może nie myśleć o podróży do Be'er Simlai.

Wiatr osmala twarz Józefa, barwi ją rumieniec, nie poznać dziś, że dawno przekroczył pięćdziesiątkę. Nie wytrzymuje powolnego tempa pojazdu, wyprzedza go.

Podkowy wierzchowca dźwięczą o zwirowaną szosę. Trzeba przyznać cesarzowi Domicjanowi, że Via Appia utrzymywana jest pod jego rządami lepiej niż za jego poprzedników. W jedną i w drugą stronę płyną nie kończące się szeregi podróżnych. Józef wyprzedza pojazdy i konnych, naprzeciw niemu ciągną również pojazdy, konni i lektyki. Kiedy wpycha swego konia między jakiś pojazd i lektykę, czyjś woźnica woła:

— Hola, dokąd ci tak śpieszno? A może uciekasz przed policją?

Józef, w dobrym nastroju, odpowiada:

— Nie, śpieszno mi do mojej dziewczyny! — Wszyscy się śmieją.

Zatrzymuje się na niewielkim wzgórzu, pojazd pozostał daleko w tyle, Józef czeka. Zbliża się jego syn Mateusz.

Znowu nie mógł wytrzymać w pojeździe, rzeško pędzi ku ojcu, zmusza niezbyt rączego wierzchowca do galopu. Na widok chłopca Józefa ogarnia uczucie radości. Ten cwałujący czternastolatek dorósł już prawie ojca. Mateusz ma szczupłą, kościstą twarz Józefa, jego długi, lekko zakrzywiony nos, jego gęste, czarne, lśniące włosy. Twarz jest zaczerwieniona od wiatru, włosy, choć niedługie, rozwiewają się nieco, żywe oczy lśnią radością, wywołaną szybkim ruchem. Jakże jest do niego podobny i zarazem niepodobny! Mateusz nie ma ani odrobiny przesadnej egzaltacji, która Józefowi sprawiała tyle radości i udręki, odziedziczył po matce usposobienie beztroskie, uprzejme, tak jak ona ma w sobie coś z dziecka. Jest równie szczery jak matka, nawiązuje łatwo znajomości, lecz nigdy się nie narzuca. Nie, nie jest to chłopak piękny, myśli Józef, spoglądając na cwałującego z gołą głową Mateusza, właściwie żaden rys tej twarzy nie jest piękny, ale jakże jest miły, jak na jego twarzy i w ruchach odzwierciedla się szczere, chłopięce serce, żywy, naiwny urok! Jest młodzieńcem, a równocześnie jeszcze pełnym dzieckiem, nic dziwnego, że wszyscy odnoszą się do niego przyjaźnie. Józef zazdrości mu tego dzieciennego usposobienia, kocha go za nie. Jeżeli o niego chodzi, nigdy nie był dzieckiem. Mając lat dziesięć był przemądrzały i dorosły.

Mateusz zatrzymał się przy nim na wzgórzu.

— Wiesz — powiedział głosem, który brzmiał w jego ustach bardzo po męsku — nie mogę wytrzymać tego ślimaczego tempa. Cieszę się już na powrót konno razem z tobą.

— Ciekaw jestem — odparł Józef — czy na widok statku nie zaczniesz żałować, żeś jednak nie pojechał.

— Skądże znowu! — zawołał porywczo chłopiec. — Nie chciałbym się uczyć w Judei, nie chciałbym tam być ani w wojsku, ani na urzędzie.

Patrząc na ożywioną twarz syna Józef był rad, że się zdecydował zatrzymać go w Rzymie. W gorejących oczach chłopca lśniły młodość, oczekiwanie i tysiące nadziei.

— A edukacja przy dworze? — uzupełnił Józef słowa Mateusza.

Było to nieco nieopatrne pytanie. Józef zorientował się w tym po gwałtownej reakcji chłopca. Służba w wojsku, na urzędach i przy dworze były to etapy wykształcenia przyjęte dla synów arystokratycznych rodów. Być przyjętym na dwór nie było rzeczą łatwo osiągalną, uchodziło to za wyróżnienie; należało mieć bardzo dobre stosunki z Palatynem, jeżeli się pragnęło tam dostać.

— Sądziś naprawdę — zapytał Mateusz rozpromieniony — że byłoby to możliwe? Pozwoliłbyś mi na to? Osiągnąłbyś to dla mnie?

— Nie obiecuj sobie zbyt wiele! — próbował Józef naprawić wrażenie słów, nieostrożnie wypowiedzianych. — Jeszcze się nad tym dostatecznie nie zastanowiłem, jeszcze nie mogę nic powiedzieć. Bądź zadowolony, mój Mateuszu. że jeszcze przez zimę zostajesz w Rzymie! Czyżbyś się nie cieszył? Nie wystarczy ci to?

— Owszem, owszem — odpowiedział Mateusz zupełnie szczerze, tylko oczy jest stały się ogromne, marzycielskie — jakież byłby to tryumf, co by na to powiedziała Cecylia, gdybym został przyjęty do służby na dworze!

Józef nie rozpytywał długo Mateusza, jaki to ma związek z Cecylią. Była to siostra kolegi szkolnego jego syna, przepowiedziała mu kiedyś w sprzeczce, że skończy jako domokrażca na Zatybrzu, gdzie mieszkają biedni Żydzi. Poza tym Mateusz nigdy nie cierpiał nad tym, że jest Żydem. Józef posłał go do szkoły, w której był jedynym Żydem. Zdarzało się czasem, że koledzy szkolni go za to wyśmiewali. Józef jako chłopiec chyba tego nie ścierpiał. Gryzłby się tym miesiące, lata nienawidziłby tych, którzy z niego szydzili. Tymczasem Mateusz był szyderstwem tamtych raczej zdziwiony niż dotknięty, nie brał sobie tego do serca, bił się z nimi i dokazywał razem z nimi, w gruncie rzeczy czuł się dobrze w ich otoczeniu. Utkwiły mu tylko w pamięci słowa małej Cecylii. Ale w grunty rzeczy Józefowi jest to na rękę, jest zadowolony, że syn jego ma ambicję.

Zrównał się z nimi pojazd. Józef jechał przez jakiś czas konno obok Mary. Był dla niej pełen tkliwości, kochał również tamte swoje dzieci — Jaltę i Daniela. Jak się to jednak stało, że czuł się teraz tak mocno związany ze swym synem Mateuszem, mocniej niż z tamtymi? Nie dalej jak rok temu pozostawiał właściwie Marze wychowanie wyrostka. Dziś nie rozumie, że tak być mogło. Dziś odczuwa lekką zazdrość, że pozostawiał jej tak długo syna, serce przepelnia radość na myśl o tym, że spędzi zimę sam na sam z chłopcem. Jak się to dzieje, że nagle człowiek zaczyna kochać jedno ze swych dzieci bardziej od innych? Pan błogosławił go kiedyś Szymonem, pierwszym synem Mary, ale on pozwolił sobie to błogosławieństwo wydrzeć i przez własną głupotę je stracił. Toteż Pan go za to pokarał i zesłał nań przekleństwo w osobie Pawła. A teraz błogosławił go po raz drugi w osobie Mateusza. Tym razem Józef nie zmarnuje tego błogosławieństwa. Mateusz stanie się spełnieniem jego marzeń, jego Cezarionem, doskonałą mieszaniną hellenizmu i judaizmu. Z Pawłem nie poszczęściło się, ale tym razem się poszczęści.

W dwa dni potem przybyli do Brundisium. Statek „Feliks” był gotów do drogi; odbije od brzegu następnego ranka. Po raz chyba dwudziesty Józef omówił z Marą wszystko, co było do omówienia. Wręczył jej już listy polecające do gubernatora w Cezarei oraz pismo z ważnymi zleceniami Jana z Giskali, nad którymi raz jeszcze miała zastanowić się z jego włodarzem Teodorosem. Najważniejsze było, żeby się porozumiała z Teodorosem, żeby wyszkolił Daniela na dobrego gospodarza. Daniel był chłopcem spokojnym, ani za mądrym, ani za głupim, cieszył się na pobyt w Judei i na posiadłość Be'er Simlai; kiedy Józef przybędzie tam wiosną, znajdzie w nim dzielnego pomocnika. Tego ostatniego dnia nie padło ani jedno słowo na temat osobistych stosunków Józefa z Marą. Przeżyli razem wiele dobrego i wiele złego. Choć Mara nie posiadała tak głębokiej znajomości ludzi jak Józef i nie mogła za nim nadążyć w filozofii, znała go lepiej niż ktokolwiek na świecie. Wiedział o tym, wiedział, że kocha go miłością zarazem kobiecą i matczyną; zna wszystkie jego słabostki, zwalcza je łagodnie i godzi się z nimi.

Mateusz zlustrował od razu cały statek do ostatniego zakamarka: galera była mocna, zdatna do morskiej podróży. Pojemna, ale, jak dla niego, zbyt powolna. Tłumaczył to z ożywieniem zarówno ojcu, jak i bratu Danielowi, wyrażając nadzieję, że wiosną, kiedy pojedzie z ojcem, znajdzie się statek szybszy od „Feliksa”. Cieszył się już teraz na jazdę pod wiatr

smukłym, wąskim, niesłychanie szybkim statkiem, oczy mu lśniły.

Nadeszła wreszcie chwila rozstania. Józef i Mateusz stali nazajutrz na brzegu, Mara znajdowała się wraz z dziećmi na pokładzie. Wciąż jeszcze wiał miły, orzeźwiający wiatr, wciąż jeszcze pełno było na niebie ruchliwych, małych, białych obłoczków. Dookoła, na statku i w przystani, panował zgiełk i ruch. Powoli statek odbił od brzegu, twarze Mary i dzieci zaczęły się oddalać. Józef stał na nabrzeżu, patrzył ze skupieniem, wbijał się wzrokiem w trójkę na pokładzie, wspominał dobro i szczęście, których zaznał przez długie lata wspólnego pożycia z Marą. Głos jej dobiegł go ze statku.

— Przyjedź na wiosnę pierwszym statkiem! — zawołała. Mówiła po aramejsku, słowa jej głuszył wiatr i zgiełk przystani. Statek znajdował się już w sporej odległości od brzegu; na przekór lekceważącej ocenie Mateusza płynął szybko przy sprzyjającym wietrze.

Józef patrzył, choć nie mógł już rozeznaczyć twarzy i widział tylko nikinącą sylwetkę statku. Całym sercem, wszystkimi myślami był przy Marze. Po chwili jednak, ledwie się odwrócił, miał wrażenie, że wraz ze statkiem znikła i ona. Myślał teraz tylko o pięknej zimie, która go czekała w Rzymie, o zimie ze swym synem Mateuszem.

Droga powrotna była radosna. Józef i jego syn cwałowali szybko, wyprzedzili giermka, który jechał na wynajętej szkapie. Józef czuł się lekki i zadowolony, nie czuł swych lat. Gawędził z chłopcem, myśli płynęły szybko i radośnie.

Jakże kochał Mateusza, teraz naprawdę swego najstarszego! Szymon bowiem nie żyje, a Paweł jest jeszcze bardziej nieosiągalny, niż gdyby nie żył. Z lekkim dreszczem myśli, że Mara jedzie do kraju, gdzie mieszka Paweł, który jest teraz ich wrogiem, najzacieklejszym wrogiem, jakiego sobie można wyobrazić.

Ale on ma przecież swego Mateusza, będzie go miał przez całą zimę. Jakże inna jest szczerłość Mateusza od jego własnej, nawet wtedy, kiedy chce być jak najszczerzy. Mateusz zdobywa serca, on zaś nigdy nie umiał zachować miary, i jeżeli wywnętrzał się przed kimś, zdarzało się czasem, że ten ktoś, zrażony jego brakiem umiaru, cofał się mimo woli.

Jakże się to stało, że cała jego miłość skupiła się nagle, na tym synu Mateuszu? Przez wszystkie te lata chłopiec żył obok niego i Józef wcale go właściwie nie dostrzegał. Teraz, kiedy go dostrzega, wie, że Mateusz wcale nie jest tak zdolny jak Paweł lub choćby nawet Szymon. Dlaczego, skoro jego plan wychowania Pawła na swego kontynuatora i następcę tak haniebnie się załamał, wierzy, że uda mu się to z Mateuszem? Dlaczego skupia w nim całą swoją nadzieję i całą miłość?

Dlaczego? Jak często stawia Mateusz to pytanie, nieraz wówczas, gdy żaden śmiertelnik nie potrafi mu na nie odpowiedzieć. Józef w takich wypadkach zbywa chłopca mglistą odpowiedzią albo przyznaje po prostu:

— Ja również nie wiem.

Mateusz jest w podobnej sytuacji, jak niegdyś Józef w Akademii Jerozolimskiej. Kiedy wyłaniał się problem, na którego temat uczeni w Piśmie spierali się już od dziesięcioleci, może od stuleci, jakże często i właśnie wtedy, gdy sprawa stawała się najbardziej pasjonująca i zawikłana, musiał zadowalać się odpowiedzią: „Kaszja”, co znaczyło: problematyczne, niezdecydowane, na razie niejasne.

Przybyli do Rzymu wcześniej, niż przypuszczali, Józef wykapał się, lecz pozostawały jeszcze dwie godziny do zachodu słońca; za wcześniej było na wieczerzę. Choć nieobecność jego trwała krótko, miał wrażenie, że wraca z dalekiej podróży. Postanowił wykorzystać czas, dzielący go od posiłku, na przechadzkę po mieście.

Zadowolony snuł się po ożywionych ulicach Rzymu, migocącego w jaskrawym świetle jesieni. Po długim siedzeniu w siodle miło było rozprostować nogi. Józef czuł się lekki i

swobodny; nie doznawał tego uczucia od lat. Dzieło było skończone, nie czekały nań żadne obowiązki, nie czekała kobieta z cichym, milczącym upomnieniem. Był innym człowiekiem, lata nie przytłaczały go, doznawał wrażenia, że zmienił skórę, że serce bije w nim inaczej. Myśli jego wędrowały innymi drogami, niż się to działo od lat. Odmiernymi oczyma patrzył na ten Rzym, z którym był przecież tak zżyty.

Przebywał tu lata, codziennie, o każdej godzinie otaczały go te ulice, te świątynie, te domy i wcale nie zauważył, jak niezmiernie zmieniło się to wszystko, odkąd ujrzał miasto po raz pierwszy. Przybył tutaj za czasów Nerona, wkrótce po pożarze. Miasto nie było wówczas pięknie rozplanowane ani takie czyste. Było niechlujniejsze, ale za to bardziej swobodne, różnorodne, radosne. Teraz było bardziej rzymskie niż wówczas. Flawiuszowie, przede wszystkim Domicjan, uczynili je takim. Panowała teraz większa dyscyplina. Stragany przekupniów nie zajmowały już połowy ulic, wynajmujący lektyki i domokrażcy byli mniej natarczywi, nie groziło już niebezpieczeństwo potknięcia się o kubły ze śmieciami, z górnych pięter nie wylewano na głowy przechodniów nieczystości. Duch Norbana, duch ministra policji panował nad miastem. Wznosiło się wielkie i potężne, domy jego lśniły zuchwale, przeszłość i terażniejszość szły razem ręką w rękę, manifestowano potęgę i bogactwo, miasto pokazywało, że panuje nad światem. Rzym dzisiejszy nie pysznił się jednak swą potęgą z wdziękiem, jak za niedbałych liberalnych czasów Nerona, lecz chłodno i groźnie. Rzym to był ład i potęga. Ale ład tylko dla samego ładu, potęga dla samej tylko potęgi, bezduszna, bezmyślna.

Józef pamiętał dokładnie myśli i uczucia, z którymi swego czasu oglądał to miasto po raz pierwszy. Chciał je zdobyć, zawładnąć nim podstępem. W pewnym sensie mu się to udało, choć z czasem przekonał się, że owo zwycięstwo było od samego początku zawoalowaną klęską. Teraz linie frontu rysowały się wyraźniej. Rzym Domicjana stał się surowszy, bardziej skostniały niż Rzym Wespazjana i Tytusa, nie miał w sobie nic z jowialności owego Rzymu, który młody Józef zdobył wstępny bojem. Był trudniejszy do zdobycia, ten, kto go chciał pokonać, musiał zużyć więcej siły; ale że tak demonstrował całą swą potęgę bez osłonek, trudniej się było ludzić co do ogromu postawionego sobie zadania.

Józef uświadomił sobie nagle, że tak jak wtedy, kiedy był młodzieńcem, pełen jest olbrzymiej ambicji, palącej żądzy pokonania tego miasta. Może dlatego opierał się tak gwałtownie temu, by Rzym opuścić. Prawdopodobnie właśnie ta drażniąca żądza walki trzyma go w Rzymie. Bo walka może być rozegrana tylko tutaj. Walka z panem tego miasta, z Domicjanem.

Nie, spór bynajmniej nie był rozstrzygnięty. Jeżeli cesarz tak długo nie daje znać o sobie, to nie dlatego, że o nim zapomniał, lecz dlatego, że odsuwa moment wielkiej rozgrywki. Ale teraz rozgrywka ta zbliża się i jeżeli cesarz do niej nie doprowadzi, to Józef ją sprowokuje. Czuł, że nadszedł teraz dla niego sprzyjający moment. Zakończył swe dzieło, *Historia uniwersalna* jest gotowa, mały Józef rzuci olbrzymiemu Domicjanowi kamień pod nogi, przewróci tego kolosa. Józef czuje, że wstępują w niego nowe siły, przelał je w niego syn, z młodości Mateusza czerpie nową młodość.

Jest tak zatopiony w myślach, że nic nie słyszy, nic nie widzi dookoła. Nagle budzą go z zadumy śmiechy i wesoła gadanina, dolatująca z niewielkiego marmurowego budynku. I nagle Józef przestaje być zgorączkowanym, ambitnym bojownikiem, jest tylko człowiekiem, który zakończył dzieło wielu lat i zadowolony, wolny od ciężaru wałęsa się po mieście; kocha je i czuje, że mimo wszystko stało się jego ojczyzną. Z uśmiechem słucha chichotów i radosnej paplaniny, dolatujących z małego marmurowego budynku. Rzym miał czterysta takich latryn publicznych. Każde siedzenie miało przepyszne oparcie z drzewa lub marmuru. Siedzieli tu Rzymianie pospołu i wypróżniając się, gawędzili ze sobą beztrudnie. Trzeba im przyznać, że się

znali na komforcie i lubili wygodę. Słyszając radosną paplaninę mężów wypróżniających się w pięknym, białym budynku, rozbawiony Józef uśmiechnął się z goryczą. Tak, mieli komfort, dobrobyt, władzę. Mieli wszystko, co pozorne, zewnętrzne, wszystko, co nie stanowi o niczym.

Tak, Rzym to ład, bezmyślna potęga, Judea zaś to Bóg, ucieleśnienie Boga, to nadanie sensu potędze. Jedno nie może żyć bez drugiego, jedno uzupełnia drugie. Ale w nim, w Józefie, stapia się i jedno, i drugie, Rzym i Judea, potęga i duch. Przeznaczony jest na to, by te sprzeczności pogodzić.

Dosyć już tych myśli. Na razie chce o tym wszystkim zapomnieć. Ma za sobą długą, ciężką pracę, pragnie teraz odpocząć.

Przechadzka po mieście zmęczyła go. Jakże wielkie jest to miasto! Gdyby teraz poszedł pieszo, byłby w domu dopiero za godzinę. Bierze lektykę. Opuszcza zasłony, odcina się od barwnej ulicy, która narzuciła mu się tak natarczywie. Wyciąga się w mroku lektyki, odczuwa miłe znużenie, jest zmęczonym, głodnym człowiekiem, który ma za sobą wielkie, udane dzieło. Z zadowoleniem i ogromnym apetytem zasiądzie teraz z synem do wieczerzy.

— Winszuję ci, rabbi Józefie — rzekł Klaudiusz Reginus i uściśnął jego dłoń. Zdarzało się to rzadko, gdyż zazwyczaj poprzestawał na lekkim dotknięciu czyjejś ręki swymi tłustymi palcami. — To naprawdę historia uniwersalna — ciągnął dalej. — Wiele się z niej nauczyłem, choć historia wasza nie była mi całkowicie nie znana. Napisałeś znakomite dzieło, zrobimy wszystko, żeby świat się o tym dowiedział.

Biorąc pod uwagę powściągliwość i sceptycyzm Reginusa, były to słowa niezwykle ciepłe i stanowcze.

Rozprawiał żywo, co by można przedsięwziąć, żeby dzieło możliwie efektywnie opublikować. Strona techniczna, wykonanie, rozpowszechnienie to wyłącznie kwestia pieniędzy, Klaudiusz Reginus nie jest sknerą. Jednak poza kwestiami technicznymi wszystko było jeszcze wielkim znakiem zapytania. Jak na przykład ma wyglądać portret autora, który w myśl zwyczajów winien się ukazać równocześnie z książką?

— Nie chcę ci prawić komplementów, mój Józefie — rzekł Klaudiusz Reginus — ale wyglądasz teraz zupełnie tak jak ja — jak stary Żyd. Mnie się twoja twarz podoba, ale obawiam się, że publiczność będzie innego zdania. A gdybyśmy tak nieco wystylizowali twoją podobiznę? Gdybyśmy po prostu namalowali wytwornego Józefa z dawnych czasów, bez brody, oczywiście nieco starszego? Mój portrecista Dakon robi takie rzeczy doskonale. Nawiasem mówiąc, nie zawadziłoby, gdybyś także i w życiu był trochę bardziej światowcem niż stroniącym od' świata uczonym odludkiem. Nie zawadziłoby, gdybyś na przykład kazał sobie znowu zgolić brodę.

Józef chętnie słuchał rubasznych słów Reginusa, czuł bowiem, że Reginus, który jest znawcą, ma dla niego szczere uznanie. W ostatnich czasach wszystko znowu układało się pomyślnie dla Józefa. Zainteresowanie Reginusa zapewniało właściwie z góry powodzenie *Historii uniwersalnej*, a *fórti* pragnął tego rodzaju powodzenia. Okres, w którym usunięcie jego popiersia ze Świątyni Pokoju było mu obojętne, przeminął bezpowrotnie.

Józef skorzystał z dobrego nastroju Reginusa, by poruszyć inną sprawę, która go teraz zaprzętała: edukację Mateusza. Postąpił bardzo nieopatrnie, że obudził w chłopcu nadzieję edukacji przy dworze. W tej sprawie mógł mu właściwie pomóc jedynie Klaudiusz Reginus.

Józef wyłożył mu więc rzecz całą. Przeszło rok minął od dnia, kiedy Mateusz święcił *Bar Micwah* — konfirmację — przyjęcie do wspólnoty żydowskiej. Był czas, by wreszcie przywdział togę i przez to został uznany za obywatela rzymskiego. Przy tej okazji zwykło się oznajmiać, jaką młodzieniec obiera karierę. Józef pragnął dla siebie i syna, by Mateusz odbył edukację nie tylko w wojsku i na urzędach, lecz również przy dworze. Czuł potrzebę powiedzenia czegoś więcej tak mu przychylnemu Reginusowi.

— Czuję się — oświadczył — bardziej związany z Mateuszem niż z resztą moich dzieci. Mateusz ma być moim ukoronowaniem, moim Cezarionem, doskonałym stopem hellenizmu z judaizmem. Z Pawłem mi się nie poszczęściło. — Po raz pierwszy przyznał się do tego szczerze. — Ten Grek Paweł za wiele ma w sobie pogańskości, oparł się moim planom. Mateusz to mój prawdziwy syn. Jest Żydem i jest mi posłuszny.

Reginus pochylił mięsistą, niedbale ogoloną twarz, wskutek czego nie widać było jego sennych oczu spod sklepionego czoła. Ale słuchał uważnie.

— Twoim ukoronowaniem? — powtórzył słowa Józefa i zapytał z przyjacielską ironią: — Ukoronowaniem którego Józefa ma być Mateusz, uczonego odludka czy też polityka i żołnierza? — Nie czekając na odpowiedź zakończył: — Przyrowadź tego chłopca w najbliższych dniach. Chcę mu się przyjrzeć. Potem zobaczę, czy będę ci mógł coś pomóc.

Kiedy po kilku dniach Józef zaproszony przez ministra stanął wraz z Mateuszem w willi Reginusa, wyszedł na jego przywitanie sekretarz. Reginus został niespodziewanie wezwany do cesarza, wyraził jednak nadzieję, że Józef nie będzie zbyt długo czekał. — Nawiasem mówiąc, jest tu coś — oświadczył uprzejmie i gładko sekretarz i pokazał Józefowi portret nadesłany właśnie przez malarza Dakona, a przeznaczony do zamieszczenia w *Historii uniwersalnej*.

Nieco zaniepokojony, a równocześnie zafascynowany, patrzył Józef lśnącymi oczyma na swój portret. Z większą jeszcze ciekawością oglądał go chłopiec. Czy ta ciemna głowa, te gorejące oczy, te gęste brwi, to wysokie czoło, ten lekko zakrzywiony nos, te bujne, lśniące ciemne włosy, te wąskie, śmiało wygięte wargi, czy ta dumna, szlachetna twarz to naprawdę oblicze jego ojca?

— Gdybym nie wiedział, że to ty — rzekł głosem tak głębokim i wzruszonym, że sekretarz spojrział nań ze zdumieniem — miałbym wątpliwości, mój ojczu. A więc potrafisz być takim, jeżeli chcesz.

— Musimy ukazywać się światu trochę inaczej, niż naprawdę wyglądamy — odparł Józef, starając się uderzyć w ton żartobliwy, choć czuł się nieswojo. Zląkł się niemal, że chłopiec ma tak wybujałą ambicję, że usiłuje tak idealizować ojca. Poza tym postanowił pójść za radą Reginusa i zgolić brodę.

Sekretarz zaproponował przechadzkę po parku, zanim wróci Reginus. Ogród był przestronny, dzięki pięknej pogodzie jesiennej przechadzka po nim sprawiała przyjemność. Powietrze działało orzeźwiająco, obecność syna odmładzała Józefa, mógł rozmawiać z Mateuszem jak z dorosłym, a jednak jak z dzieckiem. Jakie oczy ma ten chłopiec! Jak wesoło i pogodnie spoglądają spod szerokiego, kształtnego czoła! Szczęśliwe, młodzieńcze oczy! Nie oglądały tych okropieństw, których oczy Józefa dotychczas nie mogą zapomnieć, nie widziały płonącej Świątyni. Jedynym cierpieniem, którego Mateusz doznał jako Żyd, były niewinne drwiny małej dziewczynki.

Znaleźli się przed ogrodzeniem, za którym przechadzały się pawie. Chłopiec przypatrywał się wspaniałym ptakom z chłopięcą radością. Podszedł dozorca. Widząc zainteresowanie, z jakim chłopiec przyglądał się jego pawiom, zaczął gościom swego pana opowiadać długą historię o tych ptakach. W pierwszym roku było ich siedem; pięć pochodziło ze znanej hodowli Didymusa, dwa okazy sprowadzono bezpośrednio z Indii. Pora nie jest teraz dobra dla ptaków, zrzuciły pióra. Dopiero z końcem lutego, kiedy zaczyna się okres godów, ukazują się w całej swej wspaniałości i krasie.

Dozorca opowiadał, Mateusz nie mógł się nasłuchać. Podniecony rozmawiał z nim, zapytał, jak się nazywa. Okazało się, że dozorca pochodzi z Krety, że na imię mu Amfion; ulegając prośbie chłopca mówił dalej. Mateusz pogładził niebieskawą, lśniącą pierś jednego z

pawi; paw nie oponował. Ośmieliło to dozorcę, który zaczął opowiadać, jak ciężko jest pełnić służbę przy tych ptakach. Są aroganckie, despotyczne i żarłoczne. Mimo to kocha je namiętnie. Udało mu się doprowadzić do tego, że większość ptaków równocześnie rozpostarła ogony, półkuliste jak wachlarze; Mateusz entuzjasmował się grą barw.

— To wygląda jak łąka usiana kwiatami — zawołał — tysiące oczek przypomina gwiazdziste niebo. — Zaczął klaskać w dłonie. Ale pawie przestraszyły się, wszystkie na raz zwinęły wspaniałe wachlarze, znikł przepych i świetność, rozbiegły się wydając skrzeczące wrzaski.

Józef siedział beczynnym na ławce, słuchał jednym uchem, oddawał się w samotności złośliwym obserwacjom. Paw, myślał sobie, to ptak w sam raz nadający się dla Rzymu: wspaniały, wrzaskliwy, despotyczny, nieznośny, zarozumiały, głupi, żarłoczny. Dla Rzymian forma, pozór są wszystkim.

Józefowi nie przeszkadzało, że Mateusz okazuje pawiom tyle zainteresowania. To przecież jeszcze dzieciak, zajmuje go wszystko, co nowe, nie obchodzi go zagadnienia ogólne, pochłania go to, co rzeczywiste i żywe. Dumny ojciec Józef konstatował z zadowoleniem, jak łatwo Mateusz znalazł wspólny język z dozorcą pawi. Bawił go zapal chłopca. Zdawał się bardzo dojrzały, ale był to tylko pozór; w gruncie rzeczy pozostał jeszcze dzieckiem.

Józef stwierdził z uśmiechem, z jak naiwnym zapałem Mateusz stara się przypodobać człowiekowi tak obojętnemu jak ten dozorca. Mateusz nie był zarozumiały, ale wiedział, jaki wpływ wywiera na ludzi, i nieświadomie szukał ciągle potwierdzenia tego wpływu.

Wreszcie przyszedł Klaudiusz Reginus. Sprawy na Palatynie pochłonęły zbyt wiele czasu, chciał teraz, przed posiłkiem, przejść się trochę. Był w dobrym humorze, wkrótce okazało się, że chłopiec mu się spodobał. Zaczął znowu mówić o dziele Józefa, o jego *Historii uniwersalnej*, zapytał Mateusza, co ma do powiedzenia na temat wielkiej księgi swego ojca. Mateusz oświadczył skromnie swym niskim, męskim głosem, że nie jest dobrym czytelnikiem. Czytał *Historię uniwersalną* długo, ale naprawdę poruszyły go tylko wydarzenia ostatnich czasów, które Józef opisał. Nie jest zapewne dostatecznie mądry, by rozumieć całkowicie sprawy minione. Wypowiedział to w miły sposób, jak gdyby się usprawiedliwiał, nie ukrywał również, że ten brak zrozumienia zbyt go nie trapi. To, co chłopiec mówił, było, jak zazwyczaj, przeciętne, ani zbyt mądre, ani zbyt głupie, ale żywy sposób mówienia sprawiał, że słowa jego robiły wrażenie niezwykłych.

Józef, który przybył tu, by zdobyć dla chłopca miejsce przy dworze, aprobował plany syna i jego ambicje. Mateusz nie nadawał się do tego, by wstąpić w ślady przodków Józefa, do roli uczonego, kapłana, pisarza, intelektualisty i Józef się z tym godził. Sam zdecydował się rozwinąć w sobie jedynie kontemplacyjną stronę swej istoty, sam często siłą powściągał w sobie chęć czynu, dlaczegoż nie miałby teraz pozostawić chłopcu otwartego pola działania i stworzyć mu wszelkie możliwości? Tak, powiedział sobie, to było słuszne i rozsądne. Mimo to słysząc, jak chłopiec banalnie i grzecznie rozprawia o *Historii uniwersalnej*, ubolewał, że nie jest mu dane zrozumieć dzieła ojca. Ale zaraz pocieszył się widząc, jak się chłopiec podoba Reginusowi. Równocześnie powiedział sobie z naiwnym wyrachowaniem, że właśnie owa naturalność, świeżość i nieepsucie syna zrobią dobre wrażenie na Palatynie.

Udano się do stołu. Reginus miał słynnego kucharza z Aleksandrii, Mateusz pałaszował z apetytem, Reginus mruczał, że zamierza przejść na kuchnię dietetyczną. Gawędzili wesoło, swobodnie, Józef rad był, że jego chłopak tak prędko zawojował tego starego, trudnego w obejściu dziwaka Reginusa.

Po wieczerzy Reginus oświadczył bez ceregieli:

— To jasne, mój Józefie, że twój Mateusz musi odbyć edukację na Palatynie. Trzeba

się nad tym zastanowić, komu go powierzyć jako pazia. — Ogorzała twarz chłopca zarumieniła się z radości. Natomiast radość Józefa, choć życzył sobie takiego obrotu sprawy, nie była niezmacona. Jeżeli bowiem Mateusz zyska przyjaźń jakiegoś możnego pana i znajdzie się w jego domu, Józef znowu się z nim rozłączy. A miał go dla siebie tak krótko.

Reginus ze zwykłą sobie energią zaczął już snuć rozważania praktyczne.

— Mógłbym przyjąć chłopca do mojego domu — oświadczył — nie byłoby mu tutaj źle i niejednego mógłby się ode mnie nauczyć. Cesarz powierza mi często dość osobliwe sprawy, Mateusz zorientowałby się w lot, że na Palatynie droga najbardziej kręta często najszybciej prowadzi do celu. Ale za wielki już chyba ze mnie staruch. A co ty o tym myślisz, mój chłopcze?

— Nie wiem — odparł Mateusz szczerze i z uśmiechem. — Jeżeli mam mówić otwarcie, to jestem trochę zaskoczony. Myślę, że byłoby nam dobrze razem, dom i park prezentują się wspaniale, zwłaszcza pawie.

— No tak — odparł Klaudiusz Reginus — są to względy ważne, alfe nieistotne. Oprócz mnie wchodziłby w rachubę Marull — zastanawiał się dalej. — Mógłby nauczyć się wiele od niego, na przykład manier, których ja mu wpoić nie potrafię. Poza tym Marull to taki sam staruch jak ja i tak samo jak ja mało rzymski. Jego protektor musi należeć do najbliższych przyjaciół cesarza — rozważał — nie być ani taki stary, ani wrogi Żydom. Trudno jednak pogodzić te trzy właściwości.

Mateusz słuchał w skupieniu rozważań na temat swego przyszłego losu, patrzył z ufnością to na Reginusa, to na ojca.

— Kiedy chcesz, by przywdział męską togę? — zapytał Reginus.

— Może jeszcze poczekać ze dwa, trzy miesiące — odparł Józef — nie ma jeszcze lat piętnastu.

— Wygląda męźnie na swój wiek — rzekł Reginus z uznaniem. — Przyszedł mi do głowy pewien pomysł — ciągnął dalej — ale trzeba by mieć na to trochę czasu, należałoby sprawę wysondować, poczynić przygotowania, pośpiech byłby niewskazany.

— Co masz na myśli? — zapytał Józef z zaciekawieniem. — Oczywiście Mateusza, który grzecznie milczał, zawisły również na wargach Reginusa.

— Może udałoby się skłonić cesarzową, żeby go przyjęła do swej świty — powiedział Reginus obojętnym głosem.

— To niemożliwe — zawołał Józef z przerażeniem.

— Nie ma rzeczy niemożliwych — skarcił go Reginus i zapadł w ponure milczenie. Nie trwało to długo, po chwili znowu się ożywił. — U Lucji mógłby się nauczyć niejednego — oświadczył. — Nie tylko manier i dworskiego sposobu życia, lecz również wiedzy o ludziach, polityki i czegoś; co tylko ona posiada: rzymskości. Nie mówiąc o interesach. Powiadani ci, mój Józefie, że ta kobieta ze swoimi cegielniami potrafi mnie w kozi róg zapędzić.

— Cesarzowa! — zawołał Mateusz z uniesieniem. — Sądziś więc, że byłoby to możliwe, mój Klaudiuszu Reginusie?

— Nie chcę ci robić wielkich nadziei — odparł Reginus — ale nie jest to niemożliwe.

Józef ujrzał, że twarz Mateusza się rozpromieniła. Musiał sam tak promienieć przed laty, kiedy mu oznajmiono, że oczekuje go cesarzowa Poppea. Ogarnęło go coś niby lęk. Ale zaraz się z tego otrząsnął. „Ta mała Cecylia w każdym razie się pomyliła. Mój Mateusz nie skończy na Zatybrzu.”

Mimo wysiłku Reginusa *Historia uniwersalna* nie miała z początku istotnego powodzenia. Większość czytelników Żydów uważała, że utwór jest zbyt chłodny. Oczekiwali entuzjastycznego ukazania ich wielkiej przeszłości. Tymczasem owa księga zabiegała raczej u Greków i Rzymian, by przyjęli do kręgu narodów cywilizowanych Żydów, którzy przecież mieli

tak wielką przeszłość. Czyż Żydzi nie mieli historii o wiele starszej, o wiele chlubniejszej niż poganie? Czy naród wybrany musi pokornie prosić, by go nie uważano za barbarzyńcę?

Dzieło Józefa nie przemawiało również do serc Greków i Rzymian. Wprawdzie wielu uważało, że jest interesujące, ale nikt nie miał odwagi wypowiedzieć tego głośno. Cesarz kazał usunąć z Świątyni Pokoju popiersie pisarza; entuzjazmowanie się nim nie było wskazane.

Jedynymi czytelnikami, którzy mieli odwagę chwalić dzieło publicznie i głośno, byli ludzie, na których przychylność Józef najmniej liczył: nazareńczycy, czyli chrześcijanie. Przywykli oni do tego, że autorzy, zajmujący się nimi, albo kpili sobie z nich, albo ich atakowali. Tym bardziej byli zdumieni, że księga Józefa nie tylko ich nie znieważa, lecz nawet z szacunkiem przedstawia życie i poglądy pewnych poprzedników ich Pomazańca. Uważali księgę za świeckie uzupełnienie historii ich Pomazańca.

Człowiek, którego sądu Józef oczekiwał z największym lękiem i napięciem, milczał. Justus milczał. Wreszcie Józef zaprosił go do siebie. Justus nie przyszedł. Józef postanowił więc go odwiedzić.

— W ciągu trzydziestu lat naszej znajomości — rzekł Justus — nie zmieniłeś się i ja się nie zmieniłem. Dlaczegoż więc mnie dręczysz? Przecież wiesz z góry, co mam do powiedzenia o twojej książce. — Ale Józef nie dawał spokoju. Pragnął niemal bólu, którego mu tamten przyczyni. Nalegał dopóty, aż Justus przemówił.

— Księga twoja jest letnia i niezdecydowana, jak wszystko, czego dokonałeś — oświadczył wreszcie Justus. Józef usłyszał niemiły, nerwowy chichot, który go zawsze tak drażnił. — Powiedz mi, do czego ty właściwie zmierzasz w swoim dziele?

— Chciałem — odparł Józef — by Żydzi nauczyli się widzieć nareszcie swoją historię obiektywnie.

— W takim razie — zbył go ostro Justus — powinieneś być pisać o wiele chłodniej. Ale brakowało ci do tego odwagi. Bałeś się sądu szerokich mas żydowskich.

— Chciałem ponadto — bronił się Józef zaciekle — wzbudzić u Greków i Rzymian entuzjazm dla wielkiej historii naszego narodu.

— W takim razie — odparł Justus nieubłaganie — winieneś być pisać cieplej, z o wiele większym entuzjazmem. Ale na to nie miałeś odwagi, bałeś się opinii znawców. Jest tak, jak powiedziałem — zakończył. — Księga twoja nie jest ani ciepła, ani zimna. To letnia, zła księga.

Ponury opór na twarzy Józefa nie pozwolił mu zamilknąć, wypowiedział bezlitośnie wszystko, co miał księdze do zarzucenia.

— Nikt nie wie lepiej od ciebie, że cel, tkwiący za jakąś polityką, może być moralny lub niemoralny, środek jednak nigdy nie może być takim. Środki te mogą być tylko pożyteczne lub szkodliwe w sensie osiągnięcia celu, do którego dążą. Ty jednak gwoli efektu, przez pospolitą ostrożność, zmieniasz miarę i wagę. Przykładasz miarę moralną do wydarzeń politycznych, choć wiesz doskonale, że to tylko zgniła, głupia, tania konwencja. Wiesz doskonale, że można oceniać jednostkę pod względem moralnym, ale nigdy nie można tej oceny stosować do grupy, masy, narodu. Armia nie może być waleczna, składa się z odważnych i tchórzów. Przeżyłeś to, wiesz o tym, ale nie chcesz tego uznać. Naród nie może być ani głupi, ani bogobojny, składa się on z głupich i z mądrych, ze świętych i z łotrów, wiesz i o tym, ale i tego nie chcesz uznać. Zawsze dla efektu, z taniej ostrożności zamieniasz odważniki. Nie napisałeś księgi historycznej, lecz budujący utwór dla głupców. Nawet i to ci się nie udało, ponieważ chciałeś pisać i dla jednych, i dla drugich, i dlatego nie miałeś odwagi dać się unieść tej demagogii, w której jesteś mistrzem.

Józef słuchał i nie bronił się już. Choć Justus, ten przyjaciel i wróg, przesadzał, w jego zastrzeżeniach było coś słusznego. Jedno nie ulegało wątpliwości: księga, nad którą tyle lat pracował, której tyle poświęcił życia, nie udała się. Zmusił się do tego, by w obliczu historii

swego narodu pozostać zimnym i patrzeć na nią rozsądnie. Przez to pozbawił życia wydarzenia. Wszystko jest na pół prawdziwe, a więc całkowicie fałszywe. Czytając teraz swoją księgę,, rozumie, że widział wszystko w krzywym zwierciadle. Więzione uczucia mszczą się, wybuchają z podwójną siłą, czytelnik Józefa nie wierzy ani jednemu słowu pisarza Józefa. Popenił błąd zasadniczy. Pisał z czystego poznania, często wbrew swemu uczuciu, dlatego liczne rozdziały jego książki są bez życia i bez wartości, żywe dzieło powstaje bowiem wtedy, kiedy uczucia i poznanie się pokrywają.

Wszystko to widział Józef jasno, z okrutną trzeźwością, wszystko to mówił sobie twardo i nieubłaganie. Potem raz na zawsze skończył ze swą księgą, *Historią uniwersalną narodu żydowskiego*. Udało się czy nie, w każdym razie dał ze siebie, co dać potrafił, spełnił sw'ój obowiązek, walczył, pracował, wiele sobie odmawiał, teraz dzieło jest skończone i wyzwolony od niego chce żyć dalej dla siebie. Portret, którym Reginus poprzedził książkę, zdradził mu, jak się zestarzał. Nie ma już wiele czasu. Nie chce marnować reszty sił na rozmyślenia. Niech sobie Justus filozofuje, Józef chce teraz żyć.

Zrodziły się w nim tysiące życzeń i impulsów, o których myślał, że dawno umarły. Cieszył się, że nie umarły. Cieszył się, że jeszcze odczuwa pragnienie, że znowu pragnie czynów, kobiet, sukcesów.

Cieszył się, że jest w Rzymie, nie w Judei. Kazał sobie zgolić brodę i ukazywał światu pozbawione zarostu oblicze dawnego Józefa. Było surowsze, ostrzejsze, ale i młodsze od tego, które obnosił przez wszystkie te lata.

Wciśnięty w kąt dom w dzielnicy Łaźnia wydał mu się teraz nagle za ciasny, za mizerny, choć nie było ani Mary, ani dzieci. Odszukał Jana z Giskali i poprosił go, by mu znalazł wytworny, nowoczesny dom, który można by wynająć. Przy tej okazji odbył z Janem długą rozmowę. Jan przeczytał uważnie *Historię uniwersalną*, mówił o niej z ożywieniem i zrozumieniem. Józef wiedział oczywiście, że Jan nie może być bezstronnym sędzią. Miał za sobą burzliwe życie, tak samo jak Józef doznał w gruncie rzeczy klęski, a więc był skłonny patrzeć na historię narodu żydowskiego podobnie jak Józef, odnosić się nieufnie do wszelkiego entuzjazmu. Uznanie Jana ucieszyło Józefa, było pewnym zadośćuczynieniem za niechętnie przyjęcie, którego doznał od Justusa.

Mieszkając teraz w Rzymie we dwójkę z Mateuszem stał się rozmowny, był o wiele łatwiejszy w obejściu niż dawniej. Opowiedział Janowi, jakie ma zamiary dla Mateusza. Jan odniósł się do tego sceptycznie.

— To prawda — oświadczył — że w czasach, które przeżywamy, Żyd może zaspokoić swoją ambicję. Osiągnąłeś bardzo wiele, mój Józefie, możesz to sobie przyznać, wiele osiągnął Kajus Barcaarone i ja też niejednego dopiąłem. Uważam jednak, że mądrzej jest nie demonstrować tego, cośmy osiągnęli, nie pokazywać innym naszych pieniędzy, naszej potęgi, naszych wpływów. Budzi to tylko zawiść, a na to nie mamy dosyć siły, jesteśmy zbyt rozproszeni.

Kiedy Józef opowiadał Janowi o swoich wątpliwościach i nadziejach, twarz jego była radosna; teraz radość ta zgasła. Widząc to Jan nie obstawał przy swoim, lecz dodał:

— Jeżeli jednak chcesz coś osiągnąć dla swego Mateusza, to musisz w każdym razie zrezygnować z planu udania się wiosną do Judei. Mnie osobiście — zakończył — twój dłuższy pobyt w Rzymie sprawi przyjemność.

Józef powiedział sobie, że Jan to dobry przyjaciel i obie jego uwagi są słuszne. Jeżeli znajdzie na Palatynie protektora dla Mateusza, będzie musiał oczywiście pozostać w Rzymie czas dłuższy; również przeprowadzenie się do nowego domu miałyby sens tylko wtedy, gdyby się w nim osiedlił na dłużej. W gruncie rzeczy byłby rad, gdyby jego powrót do Judei dał się odłożyć i

każdy pretekst był dla niego pożądany, wydawało mu się bowiem, że powrót ten byłby rezygnacją ze wszystkiego, co miało jeszcze jakiś związek z młodością, że przez ten powrót sam zrobiłby ze siebie raz na zawsze starca. Co się tyczy drugiej przestrogi Jana, że nie jest rzeczą rozsądną, dążyć do blasku zewnętrznego i zewnętrznych zaszczytów, to chyba przyjaciel i w tym wypadku miał rację. Ale Józef widział rozpromienioną twarz chłopca, nie mógł tego Mateuszowi zrobić, nie mógł odstąpić od planu i ze względu na Mateusza, i ze względu na siebie.

Nowy dom szybko znaleziono, Józef zabrał się do urządzania go. Mateusz pomagał żarliwie, miał tysiące projektów. Józefa widywało się teraz często w mieście, szukał towarzystwa. Podczas gdy dawniej żył miesiącami w samotności i odosobnieniu, ukazywał się teraz niemal codziennie w otoczeniu Marulla i Reginusa. Przyjaciele przyglądali się zmianie przychylnie, nieco drwiąco, z odrobiną zatroskania. Mateusz kochał go i podziwiał jeszcze bardziej.

Józef podzielił się z Klaudiuszem Reginusem zastrzeżeniami Jana. Reginus uważał, że Jan jest człowiekiem rozsądnym, nie umie jednak wczuć się w nowe czasy, nie rozumie młodzieży żydowskiej, która nie widziała płonącej Świątyni, dla której Świątynia i państwo to tylko wspomnienie historyczne, mit. Reginus jest w pewnym sensie przykładem i dowodem tego, że władza nie zawsze Żydowi przynosi nieszczęście. Józef niezbyt chętnie wysłuchał przykładu; nie chciałby za żadną cenę, żeby jego Mateusz tak dalece wyzbył się narodowych cech żydowskich jak Klaudiusz Reginus. Słuchał jednak żarliwie, kiedy Reginus zakomunikował mu, że sondował opinię kilku ludzi przychylnych na Palatynie. Choć z początku wszyscy byli zaskoczeni śmiałością pomysłu uczynienia młodego Żyda paziem cesarzowej, większość uznała w końcu, że choć pomysł jest nowy, nie wyklucza to możliwości jego urzeczywistnienia. Reginus uważa więc, że można już przystąpić do dzieła. Zaproponował Józefowi, by uroczystość przywdziania togi przez Mateusza świętował oficjalnie, na modłę rzymską, choć nie jest to w zwyczaju; aby zapobiec złośliwym uwagom, Józef winien zaprosić na tę uroczystość cesarzową, która mu jest w dalszym ciągu przychylna. Lekceważenie względów, które mu Lucja przy różnych okazjach okazywała, było z jego strony karygodną lekkomyślnością. Teraz Józef ma doskonałą sposobność naprawienia tego, czego zaniedbał. Niechaj wręczy cesarzowej swoją nową księgę i przy tej okazji zaprosi ją na uroczystość. W najgorszym razie może go spotkać odmowa; ostatecznie doznawał już w życiu gorszych klęsk.

Józefowi trafiło to do przekonania, projekt pociągał go. Dawno przekroczył pięćdziesiątkę, nie odczuwał tak silnego napięcia nerwów jak wtedy, kiedy szedł do cesarzowej Poppei, ale stojąc teraz przed Lucją ze swoją księgą w ręku, był bardziej wzruszony, niż mu się to w ostatnich czasach zdarzało.

Klaudiusz Reginus zręcznie przygotował grunt, poinformował Lucję o zmianach, które zaszły w Józefie. Mimo to była zaskoczona ujrzawszy jego odmłodzone, opalone oblicze.

— Co ja widzę — powiedziała — popiersie znikło, ale za to człowiek się w nie przeistoczył! Ciesz mnie to, mój Józefie. — Pogodna jej twarz, choć nie pierwszej już młodości, promieniała szczerą radością. — Cieszę się, że księga ukazała się nareszcie, że powrócił dawny Józef. Zwolniłam się dla ciebie na całe przedpołudnie. Musimy wreszcie nagadać się do syta.

To ciepłe przyjęcie podniosło Józefa na duchu. Potajemnie pokpiwał sobie wprawdzie nieco sam z siebie, że na starość pozostał równie głupi jak za młodych lat, ale mimo to odczuwał w sercu niemal tę samą błogość, co wtedy przed obliczem Poppei.

— Podobna mi się w tobie — pochwaliła go Lucja — że niezależnie od całej filozofii i sztuki szukasz nadal przygód.

Pochwała ta niezbyt Józefowi przypadła do gustu. Ale cesarzowa wyjaśniła swoje słowa w sposób dla niego pochlebny. Oświadczyła, że nie ma to znaczenia, kiedy szuka przygód ktoś,

kto wyłania się z nicości, bo ma niewiele do stracenia; kiedy jednak ktoś, kto posiada wielkie dobra i prowadzi solidny żywot, decyduje się szukać przygód, jest to dowodem żywego, niespokojnego ducha. Takimi poszukiwaczami przygód, zrodzonymi nie z okoliczności zewnętrznych, lecz z ducha, byli Aleksander i Cezar. Lucja sama czuje w sobie coś z poszukiwacza przygód tego typu; między tymi arystokratycznymi poszukiwaczami przygód wszystkich czasów istnieje jakaś tajemna więź.

Później poprosiła Józefa, by jej odczytał jakiś fragment swojej księgi. Józef uczynił to bez wahania. Odczytał jej historię o Jael, Jezabeli i Athalii. Odczytał również dzieje niepokromionych, dumnych, ambitnych kobiet z otoczenia Heroda; wywodził się od jednej z nich.

Uwagi Lucji były dla Józefa niespodzianką. Ludzie, których opisywał, nie należeli dlań do świata realnego, działali na scenie, którą sam zbudował, byli stylizowanymi wytworami fantazji. To, że Lucja traktowała stworzone przez niego istoty jak ludzi z krwi i kości, było dla niego niespodzianką i drażniło go. Równocześnie był zachwycony, że niby jakiś bożek stworzył żywy świat. Rozumieli się nawzajem doskonale.

Nie trzeba było wielkiej odwagi, by zacząć mówić o sprawie, w której tu przybył. Opowiedział jej o swym synu i o tym, że ma zamiar przyodziać go w najbliższym czasie w togę.

— Słyszałam — powiedziała Lucja — że to miły chłopiec.

— To chłopiec wspaniały — oświadczył Józef z zapalem.

— Jakież z ciebie dumny ojciec! — rzekła Lucja # z uśmiechem.

Zaprosił ją na uroczystość, którą zamierzał wyprawić z okazji przywdziania togi przez syna. Na jej wyrazistej twarzy pojawił się cień.

— Z pewnością nie jestem wrogiem Żydów — powiedziała — ale czy nie wyda się nieco rażące, że właśnie ty obchodzisz tę uroczystość w sposób tak demonstracyjny? Nie znam tak dokładnie waszych obyczajów jak Wrzuszek. Czy jednak ta uroczystość przywdziania togi nie jest przede wszystkim aktem religijnym? Nie uważam, żeby rzymskość była równoznaczna oddawaniu czci naszym bogom, ale jestem prawie pewna, że z tą uroczystością przywdziania togi mają coś wspólnego i nasi bogowie. Nie mam najmniejszego zamiaru wtrącać się do twoich stosunków z rodakami, obawiam się jednak, że Żydzi nie będą zbyt zadowoleni z tego, że chcesz zrobić tyle szumu dokoła tego aktu. Nie odrzucam twojego zaproszenia — dodała spieszenie, widząc, że Józef zasępił się pod wpływem wysuwanych przez nią wątpliwości — ale jako osoba życzliwa proszę cię, byś wszystko dobrze rozważył, zanim poweźmiesz ostateczną decyzję.

Józefa dotknęło, że Lucja wyraziła te same wątpliwości co Jan, lecz nie zmieniło to jego decyzji. Przez obrzęd *Bar Micwah* syn jego został przyjęty do wspólnoty żydowskiej, dlategoż przez podobny akt nie miałby zostać przyjęty do wspólnoty rzymskiej, do której przecież należy. Uważał, że obie ceremonie powinny odbyć się z blaskiem i przepychem; a jeżeli to pociągnie za sobą nieprzychylnie komentarze, będzie to nowy dowód, że wszystko, co czyni i czego nie czyni, tłumaczone, jest na opak. Poza tym przyrzekł chłopcu tę uroczystość, Mateusz cieszył się na nią jak dziecko, Józef nie potrafiłby sprawić ukochanemu synowi tak olbrzymiego rozczarowania.

Dał Lucji odpowiedź wymijającą, podziękował za radę, przyrzekł, że zastanowi się jeszcze nad wszystkim, ale w głębi duszy żywił niezłomne postanowienie. W domu zapytał Mateusza na pół żartem, na pół serio:

— Gdyby ktoś cię zapytał, czy jesteś Rzymianinem, czy Żydem, jaką dałbyś odpowiedź?

Mateusz roześmiał się i zawołał:

— Odpowiedziałbym: nie stawiaj takich głupich pytań! Jestem Flawiusz Mateusz, syn Flawiusza Józefa!

Odpowiedź ta spodobała się Józefowi. Wątpliwości, wysunięte przez Jana i cesarzową, zaczęły topnieć. Czy miał okazać mniej odwagi aniżeli Klaudiusz Reginus, który nie widział niebezpieczeństwa w oddaniu chłopca na Palatyn?

Termin uroczystości został wyznaczony. Mateusz był wniebowzięty. Zaprosił Cecylię. Odpowiedziała mu swoim zwyczajem uszczypliwie. Oświadczył jej, że cesarzowa będzie uczestniczyć w uroczystościach. Cecylia zbladła.

Józef musiał unikać wszystkiego, co mogłoby być interpretowane jako służenie bóstwu rzymskiemu, jako bałwochwalstwo; poczuł się więc zmuszony do pewnych odchyłeń w ceremoniale uroczystości. W domu Józefa nie było ołtarza bóstw domowych, Mateusz nie nosił złotego amuletu młodzieńca rzymskiego, który mógłby zawiesić na tym ołtarzu. Uroczystość więc domowa ograniczyła się do tego, że Mateusz zamienił lamowaną togę chłopięcą na białą togę dorosłego męża. Wyglądał wspaniale w nowym, skromnym stroju, młoda, a jednak już męska twarz rysowała się pogodnie, a zarazem poważnie na tle prostej, niepokalanej szaty.

Józef i ogromny orszak przyjaciół z cesarzową na czele zaprowadzili potem Ałłodzieńca na Forum, na południowy stok Kapitolu, do archiwów, by uroczyście wpisał swe imię na listę posiadających prawo obywatelstwa. Chłopiec zwał się odtąd: Flawiusz Mateusz Józef. Cesarzowa włożyła mu na palec złoty sygnet, atrybut szlachty rzymskiej.

Podczas gdy goście nie-Żydzi udali się do domu, gdzie miała się odbyć uczta, Józef, Mateusz i goście Żydzi dokonali czynności, o której nie tylko miasto, ale państwo mówiło jeszcze przez wiele tygodni. Obyczaj wymagał, żeby nowo przyjęty młody obywatel udał się do świątyni bogini młodości dla złożenia tam monety i ofiary. Ponieważ Żyd Mateusz nie mógł tego uczynić, poszedł więc w towarzystwie ojca i kilku przyjaciół do biura urzędu skarbowego, gdzie go wpisano na haniebną dla Żydów listę, i zapłacił podwójną drachmę, którą Żydzi od czasu zburzenia Świątyni zobowiązani byli uiszczać zamiast na rzecz Jehowy na rzecz Jowisza Kapitolińskiego. To, że Józef w sposób prowokacyjny uczynił akt uroczysty z tej formalności, mającej na celu poniżenie Żydów, sprawiło, że wielu jego współwyznawców darowało mu, że tak demonstracyjnie uznał swego chłopca za Rzymianina.

Cesarzowej podobała się odwaga Józefa. Podobał się jej również syn Józefa. Widziała, z jakim książęcym wdziękiem przyjął włożony mu przez nią na palec sygnet szlachty rzymskiej. Teraz, w czasie biesiady, opowiedziano jej, że z tym samym prostym wdziękiem pozwolił się wpisać na haniebną dla Żydów listę. Chłopiec siedział obok niej. Spoglądał na nią z młodzieńczym uwielbieniem, ale nie tracił właściwej mu swobody. Rozmawiała z nim. Wiedział niezawodnie, jak mu do twarzy w białej todze, wiedział, że oczy wszystkich są na niego skierowane, ale nie tracił młodzieńczej naturalności.

Klaudiusz Reginus przygotował Lucję zawczasu, że Józef poprosi ją o przyjęcie syna na służbę. Dla każdego było widoczne, że chłopiec się jej spodobał, Józef mógł więc być pewien, że nie spotka go odmowa. Mimo to nie wypowiedział swej prośby ze zwykłą pewnością siebie. Lucja wyraziła również swą zgodę głosem dziwnie zawołanym; na twarzy jej widniał niespotykany u niej wyraz zakłopotania.

Serce Józefa było wypełnione szczęściem po brzegi. Wyniósł swego ukochanego syna na miejsce, o którym marzył. Ale miał słuch delikatny i wyostrzony, w swej radości nie zapomniał ostrzegawczych głosów przyjaciół.

Mateusz znajdował się więc odtąd w orszaku cesarzowej i przeważnie mieszkał na Palatynie. Stało się, jak Józef przewidział. Mateusz, młody Żyd, adiutant Lucji, pogodny i poważny, pełen wdzięku i mimo młodych lat męski, był właśnie na Palatynie niezwykłym zjawiskiem. Wiele o nim mówiono, wielu zabiegało o jego przyjaźń, kobiety robiły mu awanse. On zaś był nadal prosty i beztroski, wszystko to wydawało mu się zupełnie naturalne, niewiele

sobie z tego robił; byłoby mu jednak czegoś brak, gdyby go pozostawiono w cieniu i mniej się o niego ubiegano.

To, że Mateusz znajdował się teraz w świetle cesarzowej, zbliżyło również do niej Józefa. Drogi Lucji i jego krzyżowały się już niejednokrotnie, ale nigdy jeszcze nie patrzył na nią tak przychylnym wzrokiem. Jej pogodna, śmiała szczerść, rzymska jasność i żywość, która od niej promieniowała, jej dojrzała uroda, przemawiały doń głębiej niż kiedykolwiek. Choć czuł, że się starzeje, stwierdzał ze zdumieniem, że od owych dni, kiedy zżerała go namiętność do Dorion, obcowanie z kobietą nigdy go tak nie poruszało, jak obecne spotkania z Lucją. Nie krył się z tym, Lucja tolerowała to. Słowa ich bywały teraz wieloznaczne, porozumiewali się półsłówkami, ich spojrzenia i dotknięcia stały się wymowne. Widział w tym ich stosunku jakiś tajemniczy związek. Jeżeli go tak pociąga, jeżeli i ona nie jest dlań nieczuła, czy nie jest to symboliczne? Czy nie jest to podobne do tajemniczej więzi, jaka łączy zwycięzcę i zwyciężonego? Pewnego razu nie umiał się powstrzymać od zrobienia aluzji na ten temat. Lucja roześmiała się jednak szczerze i powiedziała:

— Chciałbyś się po prostu przespać ze mną, mój drogi. To, że szukasz kryjącego się za tym głębokiego znaczenia, dowodzi tylko, że sam widzisz, jaki jesteś w gruncie rzeczy zuchwały.

Józef żył wówczas wesoło i pogodnie. Używał wszystkiego, czym go los obdarzył, miał wrażenie, że jest tego niemało. Widywał teraz Lucję codziennie, rozumieli się coraz lepiej, przebaczała sobie swoje słabostki, cieszyli się swoimi przymiotami. Kariera ukochanego, promiennego syna rozwijała się tak, jak sobie tego Józef życzył. Wśród manowców i występków Palatynu chodził jasny i czysty, wszyscy kochali go, nie imają się go ani nienawiść, ani wrogość. Tak, bóstwo kochało Józefa. Okazywało mu tę miłość, dając mu tyle uciech, zanim ostatecznie przekroczy próg starości; ma jeszcze dosyć siły na rozkoszowanie się nimi.

W Rzymie mówiono wiele o Józefie i jego synu. Żydzi uważali, że zbyt wiele. Na żądanie Żydów zjawili się u Józefa Kajus Barcaarone i Jan z Giskali. Zatraskani oświadczyli mu, że jeżeli w dalszym ciągu będzie się tak pysznić swym szczęściem i swym blaskiem, obudzi jeszcze więcej zawiści i wrogości dla ogółu Żydów. Już i tak nienawiść i ucisk przybierają na sile w całym państwie.

— Kiedy Żyd jest szczęśliwy — przestrzegał znowu Jan z Giskali — winien zamykać swe szczęście w czterech ścianach i nie wystawiać go na widok publiczny.

Ale Józef pozostał zamknięty w sobie, oporny. Syn jego Mateusz promieniał, a właściwością światła jest jego widoczność. Czy ma ukrywać swego ukochanego syna? Ani mu to w głowie. Był opętany swoim pięknym, czarującym synem i jego szczęściem.

Puścił słowa Kajusa i Jana mimo uszu, dalej wchłaniał w siebie to, co mu przypadło w udziale. Zbierał sukcesy pełną garścią. Dręczyło go tylko jedno. Jego księga, *Historia uniwersalna*, wciąż jeszcze nie zdobyła rozgłosu.

W dodatku wyszła obecnie, opublikowana tak samo jak jego własne dzieła przez Klaudiusza Reginusa, *Wojna żydowska* Justusa z Tyberiady, księga, nad którą Justus pracował dziesiątki lat.

Ze wszystkich dzieł epoki, napisanych prozą, księga Józefa o wojnie żydowskiej miała największe powodzenie. Wszyscy w kraju czytali tę *Wojnę żydowską* nie tylko ze względu na treść, lecz również ze względu na pociągające obrazy. Wespazjan i Tytus wyrazili uznanie dla tego dzieła i .wysoko uczcili jego autora, księga miała teraz, w kilkadziesiąt lat po ukazaniu się, markę utworu klasycznego. Ogłoszenie więc księgi na ten sam temat było ze strony Justusa niebywałym zuchwalstwem.

Józef czytał przed wielu laty fragmenty tej księgi i wobec Justusa i jego dzieła zarówno on sam, jak i to, czego dokonał, wydało mu się nędzne i żałosne. Z trwogą po prostu przeczytał

cały utwór tego przyjaciela i wroga zarazem. Justus unikał skrupulatnie wielkich słów i efektów zewnętrznych. Opis jego odznaczał się twardą, krystaliczną rzeczowością. Nie zamierzał również wcale polemizować z księgą Józefa. Wspominał o działalności Józefa podczas wojny, o jego czynach w okresie, kiedy był namiestnikiem w Ga_r lilei, a więc o działalności Józefa jako męża stanu i żołnierza. Opisywał tylko, wstrzymywał się od wszelkiej oceny. Ale właśnie w tym suchym opisie, poprzez ten opis, Józef prezentował się jako czysty oportunistą, jako żalony, ambitny młodzian działający na szkodę sprawy, której podjął się bronić.

Józef czytał. Swego czasu stworzył olśniewającą legendę swej działalności w Galilei, umieścił tę legendę w swej księdze, sam w nią wreszcie uwierzył. Wraz z księgą stopniowo uznano za prawdę historyczną legendę, osnuwającą również i jego osobę. Teraz starzejący się Józef zobaczył w księdze Justusa wojnę taką, jaką była istotnie, zobaczył siebie takim, jakim był naprawdę, zobaczył księgę taką właśnie, jaką pragnął napisać. Niestety, napisał ją Justus.

Widział to wszystko. Ale nie chciał widzieć, nie wolno mu było widzieć, jeżeli chciał żyć dalej.

Z napięciem czekał, co się stanie z dziełem Justusa, co na to ludzie powiedzą. Tymczasem księga Justusa nie wywołała wielkiego poruszenia. Byli oczywiście tacy, którzy orientowali się w jej znaczeniu. Józef przywiązywał do ich zdania ogromną wagę, ale było ich niewielu. W każdym razie Józef dożył tego, że w oczach tych niewielu dzieło Justusa górowało nad całym jego pisarstwem. Dożył i tego, że ów Justus, który potępił jego działalność, został przez tych niewielu uznany jako właściwy, nieprzekupny sędzia, którego wyrok jest ostateczny.

Józef usiłował zapomnieć o gorzkim posmaku, który poczuł, gdy sobie to uświadomił. Mówił sobie, że jako pisarz zbierał takie hołdy jak chyba nikt ze współczesnych, że opinia niewielu nie jest mimo wszystko w stanie obalić jego dobrze ugruntowanej sławy. Ale to nie pomagało, gorzki posmak nie ustępował. Stawał się nawet coraz bardziej gorzki. Józef był przyjacielem i faworytem cesarzowej, zdobył dla syna upragnione przez nich obu stanowisko, stał się, jak tego pragnął, znowu jednym z tych, którzy zajmują pierwsze miejsce i są na widoku. Ale gorzki posmak psuł mu radość, jaką go napełniało to wszystko.

Mówił sobie, że stał się starym zrzędą, że widzi tylko to, co drażni i złości, a nie to, co miłe i przyjemne. To znowu przekonywał siebie, że przez pozbawioną umiaru, zawistną krytykę Justusa dał sobie zburzyć wiarę w samego siebie i w swe dzieło. Wyciągnął swoją *Historię uniwersalną*. Przeczytał kilka rozdziałów, najlepszych, i powiedział przekornie, że zarzuty Justusa to bzdura.

Ale ostatecznie fakt pozostał faktem. *Historia uniwersalna*, w którą włożył tyle pracy, nie zdobyła mimo starań Reginusa istotnego sukcesu. Wiedział z doświadczenia, że sukces czy też porażka są rzeczą przypadku, ale właśnie .teraz potrzebny mu był sukces literacki, potrzebne mu było potwierdzenie pochodzące z zewnątrz. Wszystkie inne jego osiągnięcia nie miały dlań znaczenia. Mogło mu pomóc jedynie echo, które wywoła *Historia uniwersalna*, grzmiące, donośne echo, które by zagłuszyło głos Justusa. Musiał mieć potwierdzenie, teraz, zaraz, by w dalszym ciągu pomagać synowi.

Zaciekle, z wyrzutem zapytał Reginusa, czemu to przypisać, że *Historia uniwersalna* nie zdobywa sukcesu; Reginus odparł półgębkiem, że największą przeszkodą jest zachowanie się cesarza. Ci, od których wszystko zależy, nie mają odwagi wypowiedzieć swego zdania o dziele, dopóki nie wiadomo, co o nim powie cesarz. Byłoby pożądane, gdyby DDD wypowiedział się nawet przeciw księdze, gdyż wtedy przynajmniej miałoby się zapewnione poparcie opozycji. Ale uparty DDD milczy, nawet nie potępia, nie wypowiada się wcale. Reginus próbował przełamać to wrogie milczenie. Zapytał Wrzuska, czy ma mu wręczyć dzieło Józefa. Ale Wrzuszek udał, że nie słyszy, jak to on potrafi, nie powiedział ani tak, ani nie.

Józef słuchał zły i ponury. Znowu nawiedziły go myśli, z którymi wrócił do Rzymu po wysłaniu Mary do Judei. Cieszył się wtedy na walkę z Domiejanem, na walkę z Rzymem. Wstąpiła w niego nowa młodość, wierzył, że księga, którą ukończył, jest nową bronią. Tymczasem cesarz uchylał się od walki. Po prostu do niej nie stawał.

Dalsze słowa Reginusa potwierdziły tylko zdanie Józefa.

DDD, opowiadał Reginus, od dawna nie wymówił imienia Józefa. Jest to znamienne. Przecież słyszał z pewnością o nowej przyjaźni Józefa z Lucją, o tym, jak Józef w wyzywający sposób kazał umieścić swego syna na liście Żydów, i o nowym paziu Lucji, młodym Żydzie. Jeżeli zresztą cesarz nie zamierza użyć swej władzy i Józefa unicestwić, to ze stanowiska DDD podobna taktyka jest najmądrzejsza. Milczenie bowiem DDD szerzy dokoła milczenie, i w milczeniu tym księga w końcu nieuchronnie się udusi.

Józef rozważał, co by mógł uczynić, żeby złamać to podstępne milczenie, wyciągnąć z kryjówek cesarza, wroga, zmusić go, by stanął do walki. Zgodnie ze zwyczajem autor po ukazaniu się dzieła odczytywał jego fragmenty publicznie. Józef nie chciał tego uczynić przy publikacji swego dzieła, za wiele jeszcze w nim było z atmosfery, w której księga powstała. Ten Józef, który napisał *Historię uniwersalną*, gardził publicznością. Temu Józefowi byłoby całkowicie obojętne, co Domicjan o tej księdze pomyśli lub powie. Ale przed Klaudiuszem Reginusem siedział inny Józef.

— A gdybyśmy urządzili recytację i gdybym odczytał fragmenty *Historii*? — zaproponował.

Reginus spojrział na niego ze zdumieniem. Jeżeli Józef po tak długim milczeniu ma znowu stanąć przed publicznością, będzie to sensacją. Recytacja taka byłaby może jedynym środkiem do wyrwania cesarza z jego powściągliwości. Plan pociągał Reginusa, nie ukrywał jednak przed Józefem, że to krok dosyć niebezpieczny. Sprowokować oświadczenie cesarza byłoby posunięciem ryzykownym. Ponieważ jednak Reginus nie zgłaszał stanowczego sprzeciwu, Józef już się do swego planu zapalił. Jak aktor, żądny nowej roli, perswadował Reginusowi i sobie, że wszystko przemawia za tym projektem. Czyta niezłe, lekki akcent wschodni w jego greckiej mowie raczej się ludziom podoba, niż ich zraża. Tak długo nie było o nim słyhać, że cały Rzym będzie ciekaw jego wystąpienia publicznego.

Wreszcie, przezwyciężając uczucie wstydu, przyznał się przyjacielowi Reginusowi do tajemnego pragnienia, które zrodziło się w nim na pierwszą myśl o takiej recytacji.

— Jakaż byłaby to radość — powiedział — zabłysnąć przed moim chłopcem, przed Mateuszem!

Ta naiwna próżność rozkochanego ojca zawojowała Reginusa całkowicie. Oświadczył:

— Pomysł piekielnie ryzykowny, ale jeżeli chcesz się odważyć, stary młodzieńcze, stanę przy tobie jak mur!

Józef włożył wiele trudu w przygotowanie recytacji. Długo rozważał ze starymi przyjaciółmi, gdzie się ma odbyć to czytanie. Reginus, Marull, a przede wszystkim Lucja zastanawiali się, jak gdyby chodziło o zagadnienie państwowej wagi. Czy recytacja ma się odbyć w domu Józefa przed małym gronem wybranych? A może przed liczniej zgromadzoną publicznością w domu Marulla lub Reginusa? A może na Palatynie, w wielkiej sali pałacu Lucji?

Lucji przyszedł do głowy pewien pomysł. A gdyby tak Józef odczytał te fragmenty w Świątyni Pokoju?

W Świątyni Pokoju? W budynku, z którego cesarz kazał usunąć jego popiersie? Czy nie byłoby to niesłychaną prowokacją? Czy wielki przedsięwzięcie nie będzie puste, ponieważ nikt nie odważy się na wzięcie udziału w tak niebezpiecznej imprezie? Czy poza tym nie istnieje możliwość, że cesarz każe uwięzić Józefa przed recytacją?

Lucja oświadczyła:

— W ten sposób daleko nie zajdziemy. Ciągłe natykamy się na ten sam punkt oporu: na DDD. Nie będę się temu dłużej biernie przyglądała. On chce nas tą swoją taktyką skruszyć. Chce naszego Józefa zamordować swym milczeniem. Ale mu się to nie uda. Zagram w otwarte karty. Pójdę do niego.

Kiedy Lucja zapowiedziała swoją wizytę, Domicjan przeczuł od razu, że chodzi o Żyda albo o jego syna.

W ostatnich miesiącach stykał się z Lucją rzadko. Przeważnie był w złym humorze, roztył się, stał się ociężały, miał moc kobiet, ale go to właściwie nie bawiło. Kazał sobie składać dokładne raporty, co się dokoła Lucji dzieje. Nieufny, złośliwy, rozmyślał nad tym, że jednak wzięła na swój dwór młodego Żyda, syna tego niebezpiecznego Józefa. Józef był za stary, więc go syn zastępował.

Cesarz przyjął Lucję grzecznie, z chłodną, ironiczną uprzejmością. Rozmawiali dosyć długo o sprawach obojętnych. Lucja przyglądała się otylemu, łysemu, starzejącemu się panu; nie tak o wiele starszy od niej, ale już stary, ona zaś jest nadal młoda. Miała wrażenie, że stał się jej bardziej obcy niż przed laty. Niewiele u niego wskóra. Zapytywała samą siebie, czy nie byłoby lepiej zaniechać planu i wcale nie mówić o Józefie. Ale wrodzona śmiałość zwyciężyła roztropną ostrożność.

W ostatnich czasach, zaczęła zмирzając do celu, nasłuchiwała się wiele o prześladowaniach Żydów na prowincji i o szykanach, na które Żydzi narażeni są nawet w stolicy. Jak Domicjanowi wiadomo, ma przyjaciół wśród Żydów, dlatego ją ta sprawa interesuje. Uważa, że i cesarz winien zająć się tymi sprawami.

— Tłumaczyłeś mi kiedyś, mój Domicjanie — przypomniała mu — że toczy się walka między tobą i wschodnim bogiem. Na twoim miejscu rozważyłabym dobrze każdy krok w tej walce, zanimbyś coś przedsięwzięła. Sama, jak ci wiadomo — powiedziała z uśmiechem — jestem nieco opieszala w wypełnianiu obowiązków religijnych, ale dobra ze mnie Rzymianka i wierzę w bogów. Jeżeli czynię niewiele, by im moją cześć okazywać, unikam jednak wszystkiego, co mogłoby ich dla mnie źle usposobić. Wraz z powiększeniem się państwa wzrosła liczba jego bogów. Myślę, mój Domicjanie, że jesteśmy w tym zgodni, iż jako cenzor powołany jesteś do obrony wszystkich bogów w państwie. Nie wiem, czy jesteś dostatecznie poinformowany na temat tego uciążliwego Boga Jehowy, którego uważasz za swego wroga. Uciążliwy to Bóg, nie zawadziłoby może, gdybyś możliwie dokładnie uświadomił sobie jego rodzaj i istotę.

— Czy masz na myśli naszego Żyda Józefa, moja Lucjo? — zapytał Domicjan z uśmiechem, bardzo uprzejmie i spojrzał na jej jasną, dużą twarz, mrużąc nieco wylupiaste oczy.

— Tak — odparła bez ogródek. — Ów Józef wydał nową księgę, którą pisał przez długie lata, uważam, że jest to utwór, który my, Rzymianie, winniśmy przeczytać z największą uwagą. Po przeczytaniu tej księgi, mój Domicjanie, będziesz o wiele lepiej poinformowany o istocie swego wroga, Jehowy.

— Czy pamiętasz, moja Lucjo — odparł cesarz, wciąż jeszcze bardzo uprzejmie — że po przeczytaniu fragmentów tej księgi kazałem usunąć popiersie Józefa ze Świątyni Pokoju?

— Pamiętam doskonale — odparła Lucja. — Już wtedy pytałam się sama siebie, czy tak ciężka obraza wielkiego pisarza, który się tyle dla Rzymu zasłużył, nie była nieco zbyt pochopna. Po przeczytaniu księgi nabrałam przeświadczenia, że tak było. Bardzo ci radzę, władco mój i boże, żebyś tę książkę przeczytał. Wszystkie dalsze kroki pozostawiam twemu uznaniu.

— Mów spokojnie dalej, moja Lucjo — rzekł cesarz. Uśmiech jego przeszedł teraz w szydery chichot, ale mówił cicho i wyjątkowo uprzejmie. — Cóż mam uczynić, w'edle twego

zdania?

Lucja czuła, że niewiele ma dziś nad nim władzy. Znowu przemknęła jej myśl, by zrezygnować ze swego zamierzenia. Ale po chwili spróbowała raz jeszcze, tym razem inaczej, tak jak to dawniej czyniła. Podeszła do niego zupełnie blisko, pogłaskała go po coraz rzadszej czuprynie.

— Odkąd liczyłam po raz ostatni, musiałeś stracić dwadzieścia siedem włosów — powiedziała. — Istnieje bardzo prosty sposób — przeszła do sprawy — naprawienia krzywdy, którą wyrządziłeś temu pisarzowi, a może nawet jego Bogu, i równocześnie otrzymania z powołanych ust pouczenia o tym Bogu Jehowie. Wystarczyłoby na przykład, żebyś przybył na recytację, którą Józef zamierza urządzić za twoim pozwoleniem.

— Ciekawe — odparł Domicjan — bardzo ciekawe. Mój Józef, nasz Józef, twój Józef chce więc odczytać fragmenty swojej nowej książki? Bardzo ci się ta nowa księga podoba? Naprawdę uważasz ją za bardzo dobrą?

— Gdyby nie twoje milczenie — odrzekła z przekonaniem — świat oświadczyłby, że to drugi Liwiusz. Już wtedy, kiedy pojawiła się jego pierwsza księga, za Wespazjana i Tytusa, tak go nazywano. Dopiero teraz, kiedyś kazał stopić jego popiersie, ludzie stali się ostrożniejsi.

Na twarzy cesarza pokazał się przelotny grymas.

— Racja — powiedział — ojciec mój rozmawiał z nim chętnie, a Tytus cenił go i kochał. Może to ty przyczyniłaś się nieco do tego, że go cenili i kochał. A teraz chcesz mnie skłonić, bym nową księgę twego faworyta przyjął z honorami. Pozwól, że ci powiem, jeżeli o tym nie wiesz, że znam już fragmenty tej książki. Nie są ani nudne, ani interesujące, o pozostałych zaś fragmentach opowiadali mi ludzie z pewnością nie usposobieni wrogo dla twego Józefa, że są nudnawe, a poza tym ani zimne, ani ciepłe.

— Byłoby dobrze — nalegała Lucja — żebyś je sam usłyszał i wytworzył sobie własny sąd. Jestem szczerze przekonana, że nie zaszkodziłyby ci bliższe informacje o Jehowie.

Ostrzeżenie to wywołało w sercu Domiejana niemiłe uczucie. Przyglądał się jej szczerzej, śmiałej twarzy, która nie usiłowała ukrywać ani gniewu, ani zainteresowania.

— Naprawdę tak cię obchodzi ten twój faworyt, moja Lucjo? — powiedział. — Nie mógłby znaleźć bardziej gorliwej rzeczniczki. — Jego złośliwe słowa nasycone były podejrzliwością i zazdrością, Lucja wyczuła to. A więc Wrzuszek przypuszcza, że sypia z Józefem. Wyobrazila to sobie, uśmiechnęła się. Potem spojrzała na Domicjana i po prostu wybuchnęła śmiechem.

Dla niego śmiech ten był wielką ulgą. Pomimo całej swej podejrzliwości nie wierzył w stosunek miłosny między Lucją i tym Żydem. Była bardzo rzymska, choć w sposób swoisty, ten Jehowa i jego wyznawcy musieli wydawać się jej obcy i nieco śmieszni.

— Chcesz zostać i spożyć ze mną posiłek, moja Lucjo? — zapytał. — Potem zastanowimy się, co począć z twoim Józefem.

Rzym lubił recytacje. Ludzie byli przekonani, że słowo mówione zapada głębiej niż pisane, że daje więcej z istoty autora. W ostatnich latach jednak liczba recytacji wzrosła nadmiernie, miano ich nieco dosyć, autorom, którzy je urządzali, niełatwo było zapełnić salę; ludzie pod wszelkimi pozorami starali się wykręcać od tego rodzaju imprez. Ale recytacja Józefa była wydarzeniem, na które tłoczyło się całe miasto. Monitor urzędowy podał wiadomość, że cesarz przybędzie na imprezę. Wędrowano z daleka, by usłyszeć Józefa. Nie tylko sensacja ściągała słuchaczy. Teraz, kiedy cesarz przez obietnicę przybycia na recytację dał do zrozumienia, że nie ma nic przeciw temu autorowi, rzesze Rzymian, Greków i Żydów pełne były radości, iż będą mogli opowiedzieć się za pisarzem i jego dziełem.

Józef przygotowywał się do tej recytacji tak starannie, jak do żadnego jeszcze wystąpienia

w życiu. Po dziesięć razy wyszukiwał rozdziały, które miał odczytać, wybierał, odrzucał, znowu wybierał i odrzucał, brał pod uwagę względy zarówno literackie, jak i polityczne. Był chwilami odważny, chwilami lękliwy. Naradzał się z przyjaciółmi, odczytywał im na próbę to, co wybrał, jak gdyby był debiutantem.

Myślał również o swej stronie zewnętrznej. Jak aktor lub firecyk rozważał strój i fryzurę, zastanawiał się, czy ręka, która będzie trzymała rękopis, ma lśnić pierścieniami, czy nie. Zażywał również środki na wzmocnienie głosu i nadanie mu giętkości. Nie wiedział, przed kim bardziej chce zabłysnąć — przed cesarzem, przed Lucją, przed Rzymianami i Grekami, przed Żydami, przed Justusem czy przed Mateuszem.

Kiedy nadeszła godzina, był w dobrej formie i pewien swego. Fryzjer i masażysta cesarzowej wykazali cały swój kunszt; wyglądał po męsku, imponująco, patrzył na słuchaczy przenikliwie i ze skupieniem. Przybyli wszyscy, którzy coś w Rzymie znaczyli. Przyjaciele cesarza, gdyż nie mogli się przecież nie pojawić, skoro pojawiał się ich władca — jego wrogowie, gdyż uważali obecność Domicjana na recytacji pisarza w sali, z której kazał usunąć popiersie tego pisarza, za przyznanie się do klęski. Józef widział ich i poznawał. Lucję, dla której czuł głęboką wdzięczność, cesarza, swego potężnego wroga, młodego, promiennego Mateusza, którego kochał, literatów, czyhających na najłżejsze jego potknięcie. Widział to całe morze jasnych i ciemnych twarzy, był pełen otuchy, cieszył się, że im wszystkim narzuci siebie, swoje dzieło i swoją wiarę.

Najpierw odczytał rozdziały z dawnej historii swego narodu, najcieplejsze i najdumniejsze, jakie mógł znaleźć. Czytał dobrze, to, co czytał, nadawało się do tego, by zainteresować nieuprzedzoną publiczność. Słuchacze jego nie byli wprawdzie uprzedzeni, ale nie mieli odwagi się wypowiedzieć. Wszyscy czuli, że każda odpowiedź, aprobata lub dezaprobata, mogą się stać niebezpieczne, wiedzieli, że ludzie Norbana i Messalina mają oczy i uszy szeroko otwarte, że bacznie patrzą na ręce i usta słuchaczy. Nawet klaka Reginusa otrzymała instrukcje nierobienia wrzawy, dopóki cesarz nie da znaku.

A Domicjan znaku nie dawał. Siedział wyprostowany, ubrany po cesarsku, choć nie w wielkiej gali, łokcie miał cofnięte do tyłu, promieniował powagą i niezadowoleniem. Wypukłymi oczyma krótkowidza spoglądał to na Józefa, to przed siebie, chwilami zamykał oczy, pokasływał; słuchał uważnie, ale nie było wykluczone, że się nudził.

Cesarzową złościła postawa Domicjana. Uważała imprezę za swoją własną sprawę, DDD wiedział o tym. Czekala z napięciem, czy też zachowa tę postawę w dalszym ciągu recytacji. Józef zamierzał bowiem odczytać fragmenty z księgi szesnastej swego dzieła, kilka rozdziałów, przedstawiających w sposób w najwyższym stopniu zajmujący historię rodziny Heroda. Szkoda, że niestety będzie mógł odczytać jedynie początek tej historii oraz fragmenty, ukazujące zagmatwany i dziwaczny stosunek króla żydowskiego do swoich synów oraz to, jak tych synów przed nim oczerniono, jak ich każe uwięzić i oddać pod sąd. Końca historii, tego, jak Herodes każe w okrutny sposób zgładzić tych swoich synów, nie będzie mógł niestety odczytać. Gdyby to bowiem odczytał, słuchacze przypomnieliby sobie niechętnie, jak to DDD kazał zgładzić Sabina i Klemensa. Lucja ubolewała, że Józef będzie musiał opuścić to, co najlepsze, zakończenie swego opowiadania i wyjątkowo trafną ocenę króla Heroda.

Niezależnie od tego, wydarzenia poprzedzające egzekucję zostały oddane porywająco, Józef czytał świetnie, widać było, jak go samego porywa to, co czyta; Lucja stwierdziła z zadowoleniem, że obecni słuchają Józefa z wielkim zainteresowaniem. Ale twarz i postawa cesarza pozostały nie zmienione. Tego już Lucja nie mogła wytrzymać, nie chciała być dłużej układną, dworną i niemą. Kiedy Józef z niezwykłą werwą, a jednak z wielkim spokojem zakończył ustęp książki, zaczęła klaskać w dłonie i głośno dawać wyraz uznaniu. Niektórzy

zawtórowali jej, klaka również nie szczędziła trudu. Większość jednak obecnych spoglądała na cesarza, a ponieważ Domicjan pozostawał niemy, pozostawała również niema i nieporuszona.

Józef słyszał okrzyki uznania, widział twarz Lucji i miłą, pełną podziwu, uszczęśliwioną twarz swego syna Mateusza. Widział jednak również stężałe, zimne, odpychające oblicze cesarza, wroga. Wiedział, że chodzi o to, tylko o to, by wyraz tego oblicza ożywić, poruszyć. Uświadomił sobie, że wróg ten zdecydowany jest kontynuować taktykę milczenia — żaden muskuł jego twarzy nie drgnie — a tym samym dzieło Józefa będzie po wsze czasy pogrzebane. Ogarnął go bezgraniczny gniew, przysięgł sobie: „A ja jednak tę kamienną twarz poruszę!”

Nie przestał więc czytać tego, co sobie postanowił, lecz recytował dalej; Lucja, Marull i Reginus oraz ci, którzy księgę znali, słuchali najpierw ze zmieszaniem, później z rosnącym podnieceniem, składały się na to przerażenie tak szaleńczą odwagą, podziw dla niej i niepokój, co się teraz stanie. Józef opowiadał wyraziście, pięknie toczonymi zdaniem, z zapiekłym i pełnym oburzenia spokojem, jak król żydowski Herod kazał oddać swych synów pod sąd i zgładzić ich okrutnie.

Czytając zdawał sobie dokładnie sprawę, że rzucanie cesarzowi w twarz tych zdań wobec tysięcznej rzeszy słuchaczy jest szaleństwem. Za znacznie mniej śmiało aluzje oddano pod sąd filozofa Diona, zamordowano senatora Pryskusa. Mówiąc sobie to wszystko Józef był niezwykle skupiony, czytał wyraziście i spokojnie. Stwierdził z satysfakcją, że nieruchoma dotąd twarz poruszyła się. Tak, cesarz zaczerwienił się, ssał gwałtownie górną wargę, oczy jego zaczęły lśnić ponuro. Józef był wniebowzięty. Unosiło go zawrotne, błogie uczucie, czuł się podwójnie szczęśliwy, gdyż wiedział, że może lada chwila runąć w przepaść. Czytał dalej; odczytywał wspaniałą ocenę psychologiczną Heroda, ukazywał jego moralność. Może to, że teraz czyta, będzie musiał przyplacić życiem. Ale za rzucanie tych słów, tego przekonania, w twarz cesarza rzymskiego, wroga, warto było oddać życie.

Czytając uświadamiał sobie coraz wyraźniej, że porównanie pomiędzy jego Herodem a siedzącym przed nim Domicjanem narzuca się samo przez się. Wśród tysięcy słuchających z zapiętym tchem nie ma teraz z pewnością nikogo, kto by nie wspominał księżat Sabina i Klemensa. Ale Józef właśnie dlatego czytał: „Jeżeli czuł się przez nich zagrożony, wystarczyłoby chyba, chcąc zachować ostrożność, uwięzić ich lub wygnać z państwa; nagła napaść na nich i akt gwałtu nie były potrzebne. Czy zamordowanie ich, ulegając nienawiści i namiętności, nie jest okrucieństwem tyрана? To, że król tak długo ociągał się z wykonaniem wyroku śmierci, raczej go obciąża, niż usprawiedliwia. Można bowiem jeszcze wytłumaczyć, iż ktoś w pierwszym porywie dopuszcza się okrucieństw. Jeżeli jednak taki czyn haniebny zostaje popełniony po dojrzałej rozwadze i długim wahaniu, nie, nie można tego nazwać inaczej niż przejawem brutalnego, żadnego krwi charakteru.”

Józef skończył. Własna odwaga zaparła mu dech. W wielkiej sali panowała taka cisza, iż słyszeć było, jak szeleści zwijany rękopis. Nagle wśród tej ciszy rozległ się dźwięczny śmiech. Choć nie był to śmiech złowrogi, przejął wszystkich przerażeniem, jak gdyby śmierć zstąpiła między nich. Tak, Domicjan śmiał się, dźwięcznie, niezbyt głośno i niezbyt długo. Potem przerwał głębokie milczenie, oświadczając również niezbyt głośno:

— Ciekawe, bardzo ciekawe.

Śmiech ten rozdrażnił Józefa do ostatecznych granic. Ponieważ i tak wszystko było stracone, ponieważ nie ulegało wątpliwości, że już nigdy w życiu nie będzie mógł powtórzyć podobnej recytacji, czy nie powinien zebranemu Rzymowi pokazać, jak się odchodzi ze wspaniałą, godną Żyda postawą?

— Na koniec — zawołał wśród śmiertelnej ciszy — przeczytam ci, władco mój i boże Domicjanie, oraz wam, wielce czcigodni goście, odę, oddającą cały sens mej *Historii*

uniwersalnej, nastrój ducha, w którym dzieło zostało napisane, światopogląd rządzący historią żydowskiego narodu. Nie są to wiersze w znaczeniu dosłownym, zostały napisane w języku, nie będącym językiem macierzystym autora, sędzę jednak, że jasność ich treści na tym nie ucierpiała.

Zaczął recytować strofy *Psalmu o odwadze*.

Dlatego mówię:

Chwała mężowi, co ryzykuje śmierć,

By wyrzec słowo dla ulżenia sercu.

Dlatego wam powiadam:

Chwała mężowi,

Który mówi to tylko, co jest.

Tysiące słuchały skamieniałe, jak Żyd waży się oświadczać Rzymowi i jego cesarzowi prosto w twarz, że go nie uznaje. Utkwili nieruchomy wzrok w swego cesarza, który również nie drgnął. Kiedy czytanie zostało zakończone, przez pół minuty nie poruszył się nikt ze słuchaczy, błady jak płótno Józef stał bez ruchu na scenie, cesarz siedział również bez ruchu na swym podwyższeniu.

Potem, wciąż jeszcze wśród grobowego milczenia, rozległ się głos Domicjana:

— Co sądzisz o tym, Silenie, mój błaznie? Jest to oda, którą, jak mi się wydaje, ty mógłbyś ocenić.

Swoim zwyczajem Silen odpowiedział, naśladując Domicjana:

— To, co ten człowiek powiedział, zostało ujęte bardzo ciekawie.

Potem, wśród nieprzerwanego milczenia, Domicjan zwrócił się do cesarzowej:

— Zapowiadałaś — rzekł — że jeżeli przybędę na recytację naszego Żyda Józefa, będę mógł nauczyć się niejednego. Nauczyłem się. Czy pójdziesz ze mną, moja Lucjo? — zapytał.

Ale Lucja odparła głosem nieco stłumionym:

— Nie, władco mój i panie, zostaną jeszcze.

Cesarz złożył jej ceremonialny ukłon i wraz z krocącym za nim błaznem ruszył ku wyjściu poprzez szpaler kłaniających mu się do ziemi słuchaczy.

Sala szybko opustoszała. Dookoła Józefa pozostali tylko najbliżsi. Wkrótce odeszli i oni. Naprzód Kajus Barcaarone, później Marull, po nim Jan z Giskali. Wreszcie Józef został sam z Lucją, Klaudiuszem Reginusem i Mateuszem.

Siła i tężyzna woli, którą Józef musiał ze siebie wykrzesać, by przetrwać te godziny, nie wyczerpały się jeszcze. Miał siłę, by spokojnie, nawet z lekkim uśmiechem powiedzieć swoim towarzyszom:

— A jednak dobrze, żeśmy urządzili tę recytację.

Reginus spojrzął na puste miejsce, na którym stało kiedyś popiersie Józefa.

— Chyba nie stanie tu nowe popiersie — powiedział — ale księga będzie niezawodnie czytana.

— Była to cudowna godzina — rzekł Mateusz naiwnie. — To nic, że ludzie nie zrozumieli cię należycie. Przy takich recytacjach — dodał przemądrzale — powodzenie ma zawsze tylko to, co sensacyjne i tanie.

— Sensacji było przecież dosyć — powiedział Klaudiusz Reginus.

Lucja wszakże wtrąciła:

— Umiem cenić odwagę. Ale co, u licha, opętało cię nagle, mój Józefie, żeś sam ruszył do ataku przeciw całemu państwu rzymskiemu?

— Nie mam pojęcia — odparł Józef. Znikło sztuczne napięcie nerwów, opadł na jedną z ławek; pomimo całego kunsztu masażysty nagle postarzał. — Oszalałem — próbował wytłumaczyć tamtym, co zaszło. — Widząc, że cesarz postanowił milczeć dalej, widząc równie,

boska moja Lucjo, że wszyscy stchórzyli i nikt nie ma odwagi pójść za twoim przykładem, widząc szyderstwo i wrogość na twarzy tego człowieka, na którego były skierowane wszystkie spojrzenia, oszalałem. Od początku byłem obłąkany i zuchwały, już wtedy kiedy zrodził się we mnie pomysł recytacji, już wtedy, boska Lucjo, kiedy cię poprosiłem, byś go skłoniła do jej wysłuchania. Wy, moi przyjaciele, mogliście nie doceniać, jakie to szaleństwo, ale ja powinienem był zdawać sobie z tego sprawę. Spotykałem się z nim w pewnych okolicznościach, powinienem był wiedzieć, że tylko tak może się skończyć. Nie należało urządzać tej recytacji. Bezsilny gniew na siebie, że to uczyniłem, odebrał mi rozum.

— Nie wiem, czego chcecie — rzekł Mateusz z niezadowoleniem swym niskim, młodzieńczo naiwnym głosem. — Uważam, że samo przybycie cesarza Rzymian do Flawiusza Józefa to olbrzymie zwycięstwo, którego pamięć pozostanie na zawsze. Powiedziałaś, ojcze, że to twój przeciwnik. W takim razie zwycięstwo jest tym większe. Cesarz, mający za sobą sto milionów Rzymian, uważa więc stojącą samotnie jednostkę, Józefa syna Mateusza, za wroga, któremu musi osobiście stawić czoła. Ale Józef syn Mateusza nie boi się i mówi mu prawdę w oczy. Uważam, że to potężne zwycięstwo.

Trójka dorosłych śmiała się w głębi duszy, słysząc, jak chłopiec niezgrabnie usiłuje pocieszyć ojca. Klaudiusz Reginus i Lucja rozważali tym razem nie bez troski, co też Domicjan postanowi. Ale nie można było nic przewidzieć, można było tylko czekać. Niemożliwe było również ratowanie się ucieczką. Wszelkie próby opuszczenia miasta byłyby pozbawione sensu i zwiększyłyby tylko niebezpieczeństwo.

Zostawszy sam Józef uzmysłowił sobie, że to, co uczynił, wynikało z tego samego obłądzenia, który dziesięć lat temu wciągnął Zelotów w bezmyślne powstanie. To, co wolno było im, dwudziestoletnim młodzieńcom, nie wolno było jemu, liczącemu lat pięćdziesiąt osiem. A jednak była to klęska zaszczytna, klęska napęliwiająca serce zwyciężonego dumą i bólem, stokroć więcej warta od pustych zwycięstw rozsądku, które w ostatnich latach uczyniły go tak oziębłym. Nie czuł się wcale zdruzgotany, przeciwnie, był dumny ze swej klęski, uszczęśliwiało go nawet oczekiwanie tego, co się stać może.

Zresztą obłądny czyn przynosił mu na razie tylko uciechy, Mateusz spoglądał ku niemu z miłością pełną podziwu, upojony tak wielkim sukcesem. Lucja karciała go wprawdzie, ale w tych słowach nagany brzmiało niemal tkliwe zrozumienie dla jego blisko sześćdziesięcioletniego, a jeszcze tak młodzieńczego serca. Poza tym Żydzi, tym razem Żydzi z całego państwa, składali mu entuzjastyczne hołdy. Zastrzeżenia garstki ostrożnych tonęły w olbrzymiej fali popularności. Józef, który wrogo usposobionemu do Żydów cesarzowi, w obecności tysięcznej rzeszy, rzucił w twarz prawdę o Jehowie, stał się największym rewolucjonistą epoki. Klaudiusz Reginus miał rację, *Historia uniwersalna* stała się wkrótce jeszcze bardziej poczytna niż swego czasu *Wojna żydowska*.

Na razie pamiętna recytacja przyniosła szkodę nie Józefowi, lecz Mateuszowi. Z wyjątkiem bowiem garstki bliskich przyjaciół Józefa, szlachta rzymska zamknęła teraz swe podwoje przed Józefem; Mateusz odczuł to jeszcze bardziej niż Józef.

Jak szybko gwiazda jego zbladła w wielkim świecie, zorientował się Mateusz przy najbliższym spotkaniu z Cecylią. W ostatnich czasach Cecylia okazywała mu coraz większe poważanie, nie wspominała już ani słowem o Zatybrzu ani o handlu domokrażnym, którym miał trudnić się w przyszłości Mateusz. Tym gwałtowniejszy był teraz odwrót. Nauczyciel literatury opowiadał jej na lekcji poświęconej Homerowi o wielkim egipsko-żydowskim interpretatorze Homera, Apionie. Przy tej okazji była również mowa o głośnych książkach Apiona, judzących przeciw Żydom; Cecylia przyswoiła sobie niektóre najbardziej pogardliwe i złośliwe argumenty owego Apiona. Rumieniąc się użyła tych argumentów przeciwko Mateuszowi, sztydziła, że

należy on do nieokrzesanego, niechlujnego, zabobonnego plemienia.

Mateusz opowiedział ojcu o tej sprzeczce i ta głupia historia niespodziewanie głęboko dotknęła Józefa. Był zły nie tylko dlatego, że wreszcie zrozumiał, jak dalece przez swój szaleńczo śmiały wybryk zaszkodził karierze syna. Jeszcze bardziej poruszyło go, że znowu natknął się na Apiona. Z gniewem przypomniał sobie lekcję z Fineaszem, kiedy to zwymyślał bez sensu nauczyciela Pawła za powoływanie się na argumenty Apiona. Kiedy mu teraz Mateusz przytaczał słowa Cecylii, nienawiść do nieżyjącego Apiona ożyła w nim na nowo. Widział go przed laty jako bardzo młody chłopiec, Apion był rektorem uniwersytetu w Aleksandrii. Józef przypomniał sobie wyraźnie, jak gdyby to było dzisiejszego ranka, jak Apion stał dumny, nadęty, przeświadczony o swej ważności, w białych trzewikach, będących w Aleksandrii oznaką wrogości wobec Żydów. W ciągu zmiennych kolei żywota Józef natykał się raz po raz na Apiona, wszyscy wrogowie Żydów czerpali z zatrutej studni Apiona. Ów czupurny, nickszemny, zarozumiały i cieszący się ogromnym powodzeniem przeciwnik, którego równie głupie, jak złośliwe oszczerstwa głośnym echem napełniały cały świat, stał się dla Józefa symbolem wrogości wobec Żydów we wszelkiej formie, symbolem tryumfującej w świecie głupoty; jak Sokrates uważał bowiem, że głupota i zło to jedno i to samo.

Chodził po bibliotece nowego, pięknego, jasnego domu i prawował się z Apionem, który miał gębę tak pełną słów, a tak pusty łeb. Jakże inny był ten Józef, który teraz, natchniony przez swego Boga, przygotowywał nową pracę, od Józefa, który napisał *Historię uniwersalną*. Może cel, który mu przyświecał, gdy pisał *Historię uniwersalną*, był wyższy, ale mógł go tylko osiągnąć ktoś, kto wierzył w rozum tak jak Justus. Porywając się na to dzieło, Józef przecenił swoje siły. Nie dorósł do tego, wszystko, co zrobił, było fałszywe. Teraz poznał samego siebie, zmądrzał, teraz dla wzniesłego celu nie poświęci już nic. Wraca do tego punktu, z którego wyszedł. Stracił wiele lat, ale nie jest jeszcze za późno. Wraz z Mateuszem odnalazł drugą młodość.

Poczuł z ulgą, że spada mu z bark przytłaczający ciężar krytycznej obserwacji samego siebie, odpowiedzialności za każdy krok, obowiązku przesiewania wszystkich uczuć przez sito rozsądku. Myślał o Justusie i, o dziwo, nie odczuwał ani odrobiny gryzącego uczucia niższości, nienawiści do tego, który go przerastał. Nie będzie się teraz oglądał na jakiegoś sędziego ani na jakieś zaświaty. Popuści sobie cugli. Będzie pisał tak, jak dyktować będzie serce, nie bezstronnie, lecz z zapalem i gniewem, z całą złością, na którą zasługują jego przeciwnicy, ich pycha, lekkomyślność i głupota. Pokaże im, temu nieboszczykowi, temu Apionowi, jego poprzednikom i następcom, którzy w tani sposób drwili sobie z tego, co wzniosłe i święte, a dla nich niedostępne w Jehowie i Jego ludzie.

Zabrał się do roboty i napisał książkę *Odpowiedź Apionowi, czyli o antycznej kulturze żydowskiej*. Jakież to błogie uczucie sławić pełną piersią swój naród, zrzuciwszy z siebie pancierz wiedzy. Nigdy w życiu Józef nie doznawał większej rozkoszy niż w ciągu dwóch tygodni, kiedy to niemal jednym pociągnięciem pióra napisał pięć tysięcy słów, z których składało się to dzieło. Widział ich przed sobą, tych białobutych wrogich Żydom, tych Egipcjan, przeżartych kulturą grecką, tych Manethonów i Apionów. Stali wielcy i nadęci, zdruzgotał ich oraz ich argumenty, nic z nich nie pozostało. Słowa biegły ku niemu, ledwie mógł obronić się przed ich lawiną; pisząc te świetne rozdziały wspominał egipską Greczynkę Dorion i jej syna Pawła. To dzieło Apiona i Manethona sprawiło, że stali mu się obcy oboje. Z goi*żką zjadliwością wyśmiewał się z Greczynów, tych karłów, którzy niczym się pochwalić nie mogli poza pięknymi, lekkimi, wytwornymi, misternymi słowami. Przeciwestawiał im Greków prawdziwych, Platona i Pitagorasa, którzy znali Żydów i cenili ich; gdyby było inaczej, nie wcieliliby części ich nauki do swej własnej.

Rozgromiwszy w ten sposób przeciwników dodał do tych wszystkich n i e wielkie, gwałtowne, płomienne tak. Nic w nim nie pozostało z obywatela świata. Wszystko, co w sobie tłumił w czasie pracy nad *Historią uniwersalną*, całą bezgraniczną, dumną miłość do swego narodu przelał na karty księgi. W gorących słowach wielbił szlachetne tradycje swego ludu. Lud ten miał swoją mądrość, swoje piśmiennictwo, swoje ustawy i swoją historię wówczas, kiedy Grecy jeszcze nie istnieli. Miał wielkiego ustawodawcę na tysiąc lat przed Homerem i wojną trojańską. Żaden lud nie czcił Boga czyściej niż Żydzi, żaden lud nie kochał głębiej obyczajności, żaden lud nie miał bogatszej literatury. Z dziesięciu tysięcy naszych ksiąg utworzyliśmy kanon, tylko dwadzieścia dwie księgi wybraliśmy spośród miriadów i z tych ksiąg dwudziestu dwóch stworzyliśmy jedną. Ale co to za księga! Księga ksiąg! A my jesteśmy jej ludem. Jakże ją kochamy, czytamy, komentujemy! Księga ta jest treścią naszego życia, jest naszą duszą i naszym państwem. W księdze tej Bóg nie objawia się w widomej postaci, lecz w duchu.

Skończył dzieło w niespełna dwa tygodnie. Teraz, po uniesieniu, z jakim pisał, po zapamiętaniu się w pracy czuł się do cna wyczerpany. Zdjął go lęk, czy potrafił swemu entuzjazzmowi nadać taką formę, żeby narzucić ten entuzjazm innym i porwać ich. Znowu pojawiła się myśl o Justusie i mrozące uczucie, jak też będzie wyglądał jego *Apion*, jeżeli się go zestawia z *Wojną żydowską* Justusa.

Nieśmiało, pełen niepokoju, zaniósł książkę Klaudiuszowi Reginusowi. Szybkość, z jaką Józef ją napisał, obudziła w Reginusie sceptycyzm. Leżał leniwie wyciągnięty na sofie i prosił, by mu Józef odczytał swoje dzieło. Leżał z na pół zamkniętymi oczyma, nie bardzo skłonny uznać je za arcydzieło. Po chwili przerwał Józefowi i powiedział drwiąco:

— Naszemu Justusowi chyba się to nie będzie podobać.

To samo myślał Józef; przewyciężył się, żeby czytać dalej. Stopniowo jednak ogarnęło go zapamiętanie, które go unosiło podczas pisania. Po chwili Reginus otworzył przymknięte powieki, podniósł się wreszcie, a po pół godzinie wyrwał mu rękopis z ręki mówiąc:

— Za wolno czytasz, przeczytam sam!

Józef siedział jakiś czas w milczeniu, Reginus czytał dalej po cichu. Po chwili powiedział:

— Jutro muszą się do tego zabrać moi skrybowie. Gdyby Żydzi mieli igrzyska olimpijskie, powinien byś odczytać im tę książkę, jak niegdyś Herodot odczytał Grekom w Olimpii swe dzieło historyczne.

Podobnie entuzjastycznych słów nie wypowiedział Klaudiusz Reginus od lat.

Taka sama była reakcja wszystkich. Lucja, przejęta żarem i zapalem książki, oświadczyła:

— Nie wiem, czy to, co opisujesz, mój Józefie, jest zgodne z faktami, ale brzmi jak prawda.

Mateusz był porwany. Miał teraz broń, tak bardzo mu potrzebną, by przeciwstawić się Cecylii i jej Apionowi. Wiedział, dlaczego był taki dumny ze swego narodu, swego pochodzenia, swego ojca. Książka porwała wszystkich, przyjaciół i wrogów, stała się największym sukcesem, jaki Józef kiedykolwiek osiągnął. Był teraz bezspornie największym pisarzem epoki.

Były jednak godziny, w których ten sukces wydawał się Józefowi czczy. Unikał spotkania z Justusem, ale czasami, kiedy był sam, zwłaszcza w nocy, prawował się z nim. Wysłuchiwał szyderstw Justusa, próbował się usprawiedliwiać i powoływał się na entuzjazm, jaki wzbudził w innych. Ale na cóż mu się to zdało? Zdradził swe posłannictwo. Wiedział, że rację miał Justus, że nie mieli jej ci, którzy robili mu owację. Czuł się zmęczony zarówno sukcesami, jak i klęskami.

Niewiele miał jednak takich chwil. Tak długo łaknął sukcesu, że teraz cieszył się nim. Delektował się tym, że Żydzi, którzy go przez tyle lat nie uznawali i lżyli, musieli teraz uznać, kim jest: najdzielniejszym ich obrońcą. Delektował się również tym, że jego rzymscy i greccy wrogowie poczuli rozmach dzieła. Sława, której tak długo pożądał, była potwierdzeniem jego

zasług w oczach Lucji, a przede wszystkim w oczach Mateusza.

Mara również czytała *Apiona*. Napisała mu o tym z zachwytem w prostych, naiwnych słowach. Była to książka, którą mogła zrozumieć całkowicie, książka odpowiadająca jej sercu. Poza tym pisała o posiadłości Be'er Simlai. Włodarz Teodoros bar Teodoros był człowiekiem rozsądnym i wiernym, dawał Danielowi pożyteczne wskazówki. Daniel nadawał się do gospodarki na roli, wszyscy czuli się dobrze, mimo że tu w Samarii i w pobliżu Cezarei żyło się wśród pogan, a tych kilku Żydów spoglądało na wszystko, co należało do Józefa, krzywym okiem, przede wszystkim z powodu względów okazywanych mu przez pogan. Ale może zmieni się to teraz na lepsze, po *Apionie*. Jalta ma starającego się, który się Marze podoba. Uzyskał w Jawneh tytuł rabiego akademii, ale nie jest zarozumiały, uprawia po prostu zawód złotnika. Oczywiście pracuje prawie wyłącznie dla pogan; Mara nie wie, czy mogłoby to być przeszkodą do małżeństwa. Wiosna nadeszła, Józef puści się chyba wkrótce w drogę i wtedy wszystko sam rozstrzygnie. Dla Daniela będzie zdrowo, że znajdzie się znowu pod okiem ojca, Mateuszowi również wyjdzie na dobre, jeżeli nie będzie zbyt długo przebywał w Rzymie. Na „Feliksie” karmiono ich obficie, ale jedzenie było niestrawne. Niechaj się Józef zaopatrzy w żywność na drogę, żeby nie chorować.

Czytając Józef widział przed sobą Marę, był dla niej pełen ciepłego, tkliwego uczucia. Ale nie myślał nawet o tym, by się udać do Judei. Teraz należał do Rzymu bardziej niż kiedykolwiek. Właśnie teraz, po napisaniu *Apiona*, czuł się szczęśliwy. Szczęście przyszło jeszcze w porę, mógł się nim rozkoszować, miał jeszcze siły, by się nim rozkoszować. Czuł się teraz powołany do pisania tylko tego, co płynie z serca, został wybrany na wielkiego chwalcę i obrońcę swego ludu. Ale czynić to może jedynie we wrogiej stolicy.

A poza tym, czy ma zostawić Mateusza samego? Nie może go zabrać z Rzymu, wyrwać ze świąty Lucji, złamałoby to wszystkie promienne marzenia chłopca i jego własne. Nie, ani mu to w głowie. Nie ma też zamiaru się z nim rozstawać. Największy skarb, jaki posiada, to blask bijący od Mateusza, miłość i podziw, jakimi darzy go syn. Jakże tego syna kocha! Jak patriarcha Jakub syna swego Józefa, bałwochwalczo, przestępczo. Józef rozumie, dlaczego Jakub darował swemu synowi bogatą szatę, która wzbudziła zawiść i przyniosła mu nieszczęście. Uczyniłby to samo, przystroiłby swego Mateusza we wszystkie cuda świata. Mimo różnych zastrzeżeń miał rację, że umieścił swego Mateusza w blasku Palatynu. Komu na widok chłopca nie rozpromienia się serce? Palatyn jest dla niego za mały. Szata jego ciągle nie jest dość strojna. Nawiasem mówiąc, od chwili pojawienia się *Apiona* zamilkł nawet Jan z Giskali i nie ma już żadnych zastrzeżeń.

Ale niebezpieczeństwo, które sam wywołał przez swe zuchwalstwo wobec Domicjana, bynajmniej nie minęło. Józef jednak się tym nie przejmuje. Gdyby nawet Domicjan chciał się zemścić na autorze *Wojny żydowskiej*, *Historii uniwersalnej*, *Apiona*, gdyby nawet chciał go pozbawić życia, no to co? Przez taką śmierć Józef dałby nowe świadectwo Jehowie i Jego ludowi, przypieczętowałby swą księgę, zapewniłby nieśmiertelność sobie i swemu dziełu.

Józef chodził po Rzymie szczęśliwy, promienny, jakby był starszym bratem swego Mateusza. Codziennie bywał na Palatynie, u Lucji. Ta kobieta stawała się mu coraz bardziej nieodzowna. Odczuwał dla niej przyjaźń złączoną z pożądaniem; pożądanie to zmuszało go, tak na ogół wymownego, do milczenia, do posługiwania się czasem niewłaściwymi słowami. Nie mówili o łączącej ich więzi, szczerza, otwarta Lucja wspominała o tym również mało, jak zręczny w szermierce słownej Józef. Właśnie to milczenie, naładowane różnorodnymi i zawilými niedopowiedzeniami, było w ich przyjaźni elementem najlepszym i najbardziej uroczym. Kiedy Józef przebywał z Lucją, budziły się w nim dawno zapomniane uczucia i myśli, których doznawał, kiedy jako bardzo młody człowiek udał się na pustynię, by żyć tylko dla Boga i dla

mądrości. Doznawał wrażenia, że Bóg poczyta mu za zasługę, jeżeli nie tknie Lucji, wydawało mu się, że siły jego wzrosną, jeśli się jej wyrzeknie.

Raz, kiedy byli sami, Lucja powiedziała z dziwnym uśmiechem:

— Gdyby on to wiedział, mój Józefie.

— Szalałby — odparł Józef — szalałby, milczał i kazałby mi zginąć śmiercią męczeńską. Ale nie byłoby to męką, gdyż stałoby się dla ciebie, o boska.

— Ach — roześmiała się Lucja. — Masz na myśli Wrzuszkę. Nie o nim myślałam. Myślałam o Mateuszu. — Nagle dodała bardzo poważnie, spoglądając na Józefa badawczo swymi szeroko rozstawionymi oczyma: — Czy wiesz, mój Józefie, że my tego twojego syna Mateusza oszukujemy?

Mateusz bowiem, jak niezliczona ilość innych, był w Lucji zakochany. Fascynowały go jej szczerość, pogoda, pełnia życia, nienasyconie. Być takim jak ona to najwyższy ideał śmiertelnika. Żartowała z nim często w bez troski, poufały sposób i to jeszcze bardziej go z nią wiązało. Równocześnie brała go na serio, słuchała jego rad. Cenił sobie bardzo wysoko, że za jego radą w willi swej przy Via Appia i w swej posiadłości wiejskiej Bajae hodowała pawie i na dozorców wybrała tych, których Mateuszowi polecił jego przyjaciel Amfion, dozorca pawi Reginusa. Nie wiedział, jak określić tkliwe i delikatne nici, które go z Lucją wiązały. Nazwanie ich miłością choćby w myślach uważałby za świętokradztwo; przeraził się nie na żarty, kiedy poczuł, że rodzi się w nim coś, co trudno dałoby się nazwać inaczej niż pożądaniem. Pożądanie jej było takim samym zuchwalstwem, jak gdyby jakiś rzymski młodzieniec pożądał bogini Wenery.

Nie przeszkadzało to, że czasami zazdrościł niemal ojcu sposobu, w jaki Lucja na niego patrzyła i w jaki jemu wolno było na nią spoglądać. Było bowiem tak, że tych dwoje nie afiszowało się wprawdzie ze swoją przyjaźnią, ale nie usiłowało już prawie jej ukrywać. Mateusz nie dopuszczał do siebie takich nieprzystojnych myśli, takiego braku szacunku wobec ojca lub cesarzowej, swojej władczyni, te zuchwale podejrzenia żyły w nim jednak. Starał się zapanować nad nimi przez okazywanie ojcu jeszcze większego podziwu i czci. Gdzie na ziemskim globie istniał drugi taki człowiek, który by jedynie przy pomocy słowa poruszał serca ludzi wszystkich stanów, który by trafiał do chłopów żydowskich w Galilei, do wyrafinowanych, występnych Greków, do wielkiej, przerastającej wszystkich cesarzowej.

Lucji służył z podwójnym oddaniem właśnie z powodu opadających go z rzadka, natychmiast przepędzanych myśli, w których podejrzewał ją i swego ojca.

A więc nie ma go, cóż, Dorion nawet tego zbytnio nie żałuje. Odczuwa w sobie pustkę, to prawda, ale w gruncie rzeczy nie żałuje, że go teraz nie ma.

Nadzieje, które pokładała w Pawle, nie spełniły się. Stał się płytki i pospolity. Wychowanie, które mu dała wraz z Fineaszem, nie przyniosło owoców. Paweł jest wyniosły, ale nie jest to estetyzująca wyniosłość jej ojca, wielkiego malarza Fabullusa, ani nieokiełznana, nerwowa zarozumiałość Józefa, ani władcza, brutalna pycha, która ją samą cechuje. Nie, pycha syna jej Pawła to tylko głupia, pusta, brutalna pycha narodowa Rzymian, pysznienie się, że należą do tych, którzy podbili świat krwią i żelazem.

Łagodnie i równomiernie kołysała się lektyka na barkach wytrenowanych tragarzy z Kapadocji. Dorion wracała od drugiego kamienia milowego Via Appia, dokąd odprowadziła swego syna. Lektyka płynęła, niemal się nie huśtając; miała prawo pierwszeństwa, biegnący na przedzie liktor trzymał wysoko rdzawobrunatną tarczę ze złotym wieńcem, oznaką, że należy zbaczać z drogi przed lektyką, która należy do jednego z ministrów cesarza. Delikatny rytm lektyki nie skłaniał Dorion do radośniejszych myśli.

A więc Paweł znajduje się teraz w drodze powrotnej do Judei. Dopiął czegoś, zdobył

uznanie jako żołnierz, jest adiutantem gubernatora Falkona, liczą się z jego zdaniem; mężowi jej, a swemu ojczymowi Anniuszowi wyjątkowo się podobał tym razem. Zrobi karierę. Odnaczy się w najbliższej wyprawie, kiedyś, ponieważ pragnie tego namiętnie i ma energię, zostanie gubernatorem Judei i pokaże Żydom, co znaczy Rzymianin. Nie jest wykluczone, że spełni się również jego najgorętsze marzenie i że kiedyś dowodzić będzie armią państwa, jak obecnie Anniusz. Jest bardzo rzymski, czasy są bardzo rzymskie, bardzo rzymski jest również cesarz, a Anniusz kocha świetnego oficera Pawła, dlaczegóż więc nie miałby zostać w końcu następcą Anniusza?

I cóż się stanie, kiedy to wszystko osiągnie? Będzie mu się wydawało, że dotarł do szczytu tego, co życie dać może. Będzie przekonany, że i ona, Dorion, jest całkowicie zadowolona z tego, do czego doszedł. Ach, jakże mało syn jej Paweł wie o niej!

Z gniewem myśli o wulgarnych wybuchach przeciwko Żydom, którym tak niegdyś książęco wytworny Paweł dał się porwać przy stole. Jego obelżywe i głupie słowa były jej podwójnie wstrętne, ponieważ niedawno czytała *Apiona*. Wahała się, czy to zrobić, ponieważ jednak wszyscy o tej książce mówili, uczyniła to. I stało się z nią jak ze wszystkimi, podczas czytania brzmiał jej ciągle w uszach głos Józefa, często miała wrażenie, że do niej wyłącznie przemawia za pośrednictwem swej księgi. Czytając była pełna płomiennego gniewu i płomiennego wstydu, ale, dlaczego nie miałyby się do tego przyznać sama przed sobą, odżyło w niej coś z owych dawnych, namiętnych uczuć do człowieka, który z kart księgi przemawiał do niej z takim żarem i taką pasją.

Niejednokrotnie myślała o tym, żeby dać tę księgę do przeczytania Pawłowi. Będzie sobie wyrzucała, że tego nie zrobiła, ale jednak jest zadowolona, że się tak stało. Możliwe bowiem, że i na *Apionazare*agowałby płaską, złośliwą gadaniną; a to byłoby ją zraniło głęboko.

Życie jest pełne dziwnych niespodzianek. Może dlatego, że Paweł sprawił jej taki zawód, tym więcej radości da jej Juniusz, jej drugi syn. Na razie wcale się na to nie zanoszą. Na razie wygląda na to, że się wdał w ojca, Anniusza, że stanie się dzielnym, głośnym, pewnym siebie, na wskroś rzymskim młodzieńcem, doskonale dostosowanym do swojej epoki; Dorion często nie chce tego uznać, widzi w swym Juniuszu różne różności. Teraz jednak, w drodze powrotnej od drugiego kamienia milowego przy Via Appia, wszystko wydaje się jej ponure i beznadziejne.

Poprzez opuszczone firanki wdziera się do lektyki gwar Rzymu. Mieszkańcy stolicy ustępują przed lektyką, oddają jej honory. Na pewno jej zazdroszczą. Czyż nie zaszła wysoko ta córka malarza, którego zżerała nigdy nie nasycona ambicja i żądza sławy? Delektowałby się tym, co osiągnęła. Ma wernego małżonka, który ją kocha, ministra wojny Anniusza Bassusa, cieszącego się od tylu lat łaską cesarza. Ma dwóch udanych, świetnie się zapowiadających synów.

Należy do patrycjatu, synowie jej zajmą prawdopodobnie najwyższe stanowiska w państwie. Czegóż więc chce jeszcze?

Chce bardzo wiele. Jeżeli jej się uda w ciągu dnia przepędzić złe myśli, to noce pełne są goryczy. Co zostało z tej wysmukłej Dorion, z jej subtelnym, czystym profilem, z delikatną, wyniosłą twarzą? Kiedy spogląda teraz w lustro, patrzy na nią chuda, skwaszona, smutna starzejąca się kobieta; niewiele jej pomaga, że dzielny Anniusz nie chce tego widzieć i kocha ją jak niegdyś. Doszła do czterdziestki, to już starość, i cóż miała z życia? A jak wiele mieć mogła! Lekkomysłnie zmarnowała życie. Z własnej woli rozstała się w gniewie z mężczyzną, do którego nie przestała należeć. Jeżeli życie jej syna stało się puste, pospolite i niskie, winne temu jest właśnie rozejście się z Józefem. Gdyby bowiem pozostała przy tym człowieku, Paweł rozwinąłby się tak, jak się na to zanosilo.

W ostatnich czasach chcąc nie chcąc wiele słyszała o swoim byłym małżonku.

Gdziekolwiek się zjawiała, tam rozbrzmiewało jego imię. Słyszała o odjeździe Mary i dzieci Józefa i wruszyła ramionami. Słyszała o *Historii uniwersalnej*, czytała ją, wruszyła ramionami i odłożyła książkę; doszło do jej uszu, że inni zrobili tak samo. Było to dla niej zadośćuczynienie. Człowiek ten był dopóty dobrym pisarzem, dopóki wrzała w nim namiętność, dopóki przebywał z nią i pożądał jej; odkąd się z nim rozstała, wypisał się i wyczerpał. Słyszała później, że umieścił swego syna na Palatynie, na dworze Lucji, i również wruszyła ramionami. Ten Józef był zawsze karierowiczem, a ponieważ literatura nie daje mu nowych sukcesów, próbuje zrobić karierę w inny sposób! Niechaj sobie próbuje! Była rada, że potrafiła przysłonić jego obraz warstwą cichej pogardy i obojętności. Słyszała o nim jeszcze niejedno: że zamierza urządzić recytację, i to w Świątyni Pokoju, że cesarz pojawi się na tej recytacji. O mały włos tam nie poszła. Ale pomyślała sobie, że zaczną się plotki, że byłoby to niemiłe dla Anniusza, nie warto się więc narażać po to, by zobaczyć, jak się Józef będzie nadymał. Tak jej znów na nim nie zależy. Wruszyła ramionami i nie poszła do Świątyni Pokoju.

Później jednak dotarły do niej inne wieści i gorzko żałowała, że jednak nie była obecna na tej recytacji. W jego recytacji bowiem nie było jakoby nawet cienia niezdrowej ambicji, tego naprawdę nie można mu zarzucić; musiało to być wspaniałe, jak w obecności trzech tysięcy słuchaczy ciskał cesarzowi w twarz swoją prawdę i swoje oskarżenia. Nie, nie jest tchórzliwy ani trochę. To prawda, że i jej Anniusz, i jej Paweł nie są również tchórzami. Obaj dzielnie i odważnie stają do walki. Ale odwaga Józefa jest przecież odwagą innego rodzaju, o wiele bardziej pełną uroku. Trochę karczemną, być może, ale niemniej wspaniałą. Gdyby nie posiadał tej swoistej, karczemnej, bezwstydnej i wspaniałej odwagi, wówczas nie poddałby się chyba biczowaniu tylko po to, żeby ją zdobyć. Na myśl o tym delikatny rumieniec pojawia się na jej smagłej twarzy.

Nie chce dłużej o tym myśleć, nie chce być dłużej sama, chce się rozerwać, zobaczyć ludzi. Każde zatrzymanie lektykę, podnieś firanki. Oczy jej uderza barwność miasta, liczni przechodnie składają jej ukłony. Raz po raz każde zatrzymanie lektykę, rozmawia z tym i owym. Udaje jej się zagłuszyć przykre myśli.

Po powrocie do domu zastaje gościa. Gość ten zmusza ją do jeszcze intensywniejszego wspomniania przeszłości i Józefa. Czeka na nią Grek Fineasz, nauczyciel jej Pawła, wróg Józefa.

Kiedy Dorion weszła, stał spokojnie, wielka głowa tkwiła nieruchomo na szczupłym tułowiu, długie, chude ręce były również nieruchome. Ale Dorion wiedziała, ile go kosztuje ten spokój. Fineasz kochał Pawła. Choć poświęcił najlepsze lata życia na to, by ze swego ukochanego, książęcego Pawła zrobić prawdziwego Greka, choć chłopiec wysłiznął mu się z rąk i stał się tym, do czego Grek Fineasz czuł najgłębszą odrazę, prawdziwym Rzymianinem, był jednak do Pawła w dalszym ciągu przywiązany. Kiedy Paweł bawił przed dwoma laty w Rzymie, Fineasz usiłował gorliwie zdobyć na nowo chłopca, znaleźć z ukochanym uczniem wspólny język ludzki. Ale Paweł oparł się temu, był sztywny, nieprzystępny, pełen zdawkowej uprzejmości. Dorion wruszyła reakcją Fineasza, który przyjął to, jak przystało na Greka, z godnością i bez taniej ironii. Kiedy Paweł zjawił się teraz w Rzymie, Fineasz wyglądał spotkania z nim z niepokojem i lękiem; jakże długo czekał na to, by Paweł przyszedł do niego lub go wezwał. Ale Paweł miał dosyć swego uciążliwego nauczyciela, zjawił się i odjechał, nie dając Fineaszowi sposobności zobaczenia go.

Fineasz stał więc teraz przed Dorion i czekał niecierpliwie, co mu też będzie miała do powiedzenia o Pawle. Ale nie okazał choćby cienia niecierpliwości, gawędził uprzejmie na tematy obojętne.

Dorion współczuła mu. Mimo chłodnych pozorów pozostawali ze sobą na stopie bardzo poufalej; Fineasz wiedział o jej powikłanych stosunkach z Józefem, łączyło ich rozczarowanie,

które sprawił im Paweł, jakiś wykolejony, obcy im i prostacki. Fineasz był chyba jedynym człowiekiem, który rozumiał, że Dorion niewiele znajduje zadowolenia we własnym, świetnym życiu i świetnej karierze syna.

Wkrótce, nie czekając na jego pytanie, zaczęła sama opowiadać o Pawle. Mówiła o rozmowach z synem, rzeczowo i nie wdając się w ich ocenę, nie skarżyła się, nie stawiała nikomu zarzutów. Na zakończenie jednak powiedziała:

— Wszystkiemu winien jest Józef.

Wyrzekła to głosem spokojnym, ale w oczach barwy morza pojawiły się błyski wściekłości.

— Może tak — odparł Fineasz — może i nie. Nie rozumiem Flawiusza Józefa. Nie wiem, kim jest ani co robi, jest dla mnie obcy i niepojęty jak zwierzę. Kiedy czasami zdawało mi się, że zrozumiałem motywy, które nim kierują, zawsze okazywało się później, iż wszystko przedstawia się zupełnie inaczej. Ot na przykład niedawno dziwiliśmy się odwadze, z jaką rzucił cesarzowi w twarz swe zuchwałe, buntownicze poglądy. To, co czynił i mówił, i jak to czynił, wydawało się nam wprawdzie śmieszne i nierozsądne, ale uznawaliśmy odwagę jego absurdalnego wystąpienia. No, a teraz okazuje się, że naszemu Józefowi, by dokonać swego bohaterskiego czynu, wcale nie była potrzebna odwaga, którą mu przypisywaliśmy.

Dorion patrzyła mu prosto w twarz swymi oczyma koloru morza.

— Proszę, mów dalej, mój Fineaszu! — zażądała.

— Człowiekowi temu — oświadczył Fineasz swym niskim, dźwięcznym głosem — nie potrzeba było zbyt wiele odwagi, ponieważ był pewien bardzo mocnego poparcia ze strony najpotężniejszej rzeczniczki na Palatynie.

— Sprawileś mi zawód, mój Fineaszu — odparła Dorion. — Najpierw zachowujesz się tak, jakbyś miał mi do powiedzenia coś niezwykle nowego, a potem oznajmiasz mi z powagą, że Lucja okazuje zainteresowanie Żydom, a zwłaszcza Józefowi. Dla kogo jest to nowością? I dlaczego odwaga naszego Józefa ma być przez to mniejsza? Przyjazne słowo naszej cesarzowej nie jest mocną tarczą przeciw pewnym niebezpieczeństwom.

— Przyjazne słowo może nie — rzekł Fineasz — ale świadomość, że pierwsza dama w imperium, kobieta, bez której cesarz żyć nie może, postawiłaby swe życie na kartę, żeby jego, bohatera, chronić w każdej niebezpiecznej sytuacji.

Teraz Dorion jednak pobladła.

— Nie jesteś gadułą, mój Fineaszu — powiedziała — nie rozpowiadasz plotek, krążących na Palatynie, bez ich sprawdzenia. Musisz mieć więc niewątpliwe podstawy i dowody, jeżeli rozgłaszasz rzeczy tak niebezpieczne.

— Wcale nie rozgłaszam — sprostował Fineasz łagodnie — opowiadam tylko tobie, pani mojej Dorion. A podstawy i dowody? — Uśmiechnął się, zaczerpnął tchu do dłuższego przemówienia. — Wiesz, o pani moja Dorion, że w wielu punktach nie zgadzam się z tym, co raczy mówić i czynić nasz władca i bóg Domicjan. Jestem raczej, mówiłem ci o tym zawsze bez ogródek, wrogiem państwa w rozumieniu Norbana, żądam daleko idącej autonomii dla Grecji, jestem jednostką niebezpieczną dla państwa, właściwie ani ty, o pani, ani Anniusz nie powinniście tolerować mnie w waszym domu, i kiedyś wszystko to dla mnie źle się skończy. Istny to cud, że cesarz nie zgładził mnie jeszcze albo przynajmniej nie wypędził z granic kraju, jak mego wielkiego przyjaciela Diona z Prusy.

— Jesteś gadatliwy — rzekła Dorion niecierpliwie — i odbiegasz od tematu.

— To prawda — powtórzył Fineasz neurazony — my, Grecy, odznaczamy się wszyscy gadulstwem, rozkoszujemy się pięknymi słowami. Ale od tematu nie odbiegam. Ponieważ niektórzy z niezadowolonych senatorów znają dokładnie mój sposób myślenia i

wiedzą, że jestem wrogiem ustroju, są ze mną szczerzy i nie boją się w mojej obecności mówić ujemnie o Palatynie. Wiem więc, że senator Prokulus oświadczył w kole zaufanych, że miał trzykrotnie sposobność obserwowania Żyda Józefa podczas rozmowy z cesarżową, w chwili kiedy oboje byli pewni, że nikt ich nie widzi. Zauważył pewne spojrzenia, drobne gesty, nic więcej; ale wie teraz z całą pewnością, wie bardziej niezachwianie, niż gdyby ich przyłapał na gorącym uczynku, że Lucję łączy z Józefem coś więcej niż sympatia dla utalentowanego pisarza. Można senatorowi Prokulusowi wiele zarzucić, jest zażartym republikaninem, ma arcyrzymski sposób myślenia, ale jedno trzeba mu przyznać: posiada zmysł psychologii, właściwy wielu Rzymianom. To wszystko, o pani moja Dorion: czy powtórzysz raz jeszcze, że odbiegam od tematu?

Dorion zbladła jeszcze bardziej. Nigdy nie była zazdrosna o Marę ani o wiele kobiet, z którymi Józef sypiał. Ale możliwość istnienia między Lucją i Józefem więzi, którą rzekomo zauważył senator Prokulus, wstrząsnęła nią do głębi. Ożywienie jej było zawsze nieco sztuczne, musiała zdobywać się na nie z wielkim trudem. Obecnie zużyła już wymierzoną sobie część witalności, jest starą kobietą. Ponieważ jednak Anniusz widział w niej wciąż jeszcze dawną Dorion, miała dotąd podstawę do przypuszczenia, że myśląc o niej Józef ma nadal w pamięci dawną Dorion. Tymczasem Lucja była tą, którą Dorion być chciała: kobietą pełną bujnego, nieokiełznanego życia. Lucja, choć tak różna od niej, jest jakby drugą Dorion, doskonalszą, młodszą, lepszą. Poza tym jest piękniejsza, żywsza, jest cesarżową. Jeżeli sprawy wyglądają tak, jak je widzi ów senator Prokulus, Lucja wygna z serca Józefa wszelki cień Dorion. Wtedy w Józefie nie pozostanie już nic z Dorion.

Ale tak przecież nie jest. To czczy gadanina niezadowolonego senatora, zażartego republikanina, który w swej nienawiści robi z igły widły; reszty dopełnia nienawiść Fineasza.

A gdyby to nawet miało być prawdą, to cóż z tego? Czyżby kochała Józefa?

Oczywiście, kocha go. I zawsze go kochała. Zrobiła głupstwo rozstając się z nim. Teraz zamiast Józefa ma

Anniusza. A Józef, człowiek mądry, dziecko szczęścia, wybrał zamiast niej Lucję. Nie był nawet mądry, nie chciał tego, pragnął tylko jej, Dorion, ale ona zmusiła go, żeby sobie szukał namiastki, wpędziła go w ramiona Lucji.

Nie! Nie zniesie tego. To dłużej trwać nie może. Ani myśli stać na uboczu i przyglądać się biernie. Zatruje mu życie.

— A Domicjan? — zapytuje złowrogim głosem.

Fineasz spojrział na nią podstępny, nienawistny, a zarazem poufałym wzrokiem. Chciał, żeby go o to zapytała. Nie odbiegł wcale od tematu, pragnął doprowadzić do tego, by zrodził się w niej jakiś plan. Jak wtedy w sprawie akademii w Jawneh, znowu znalazł teraz słaby punkt, w który mógł ugodzić przeciwnika; trzeba będzie jeszcze użyć wielu okrężnych dróg, ale punkt jest słaby, łatwo weń ugodzić. Fineasz ma nadzieję, że wreszcie tym razem zada mocny cios znienawidzonemu Józefowi.

— Tak, Domicjan — odrzekł — w tym właśnie cała rzecz, co on na to?

Dorion odpowiedziała swym wysokim głosem, równic powoli jak on:

— Jest podejrzliwy. Często odgaduje więcej, niż jest w rzeczywistości. Jakżeby nie miał odkryć tego, co istnieje?

Na co Fineasz:

— Któż potrafi spojrzeć w głąb duszy cesarza? Jest jeszcze o wiele bardziej nieprzenikniony aniżeli Żyd Józef.

— Dziwne — rozważała Dorion w dalszym ciągu — że po owej recytacji nie tknęła Józefa. Może zachodzą tu jakieś związki tajemne. Może DDD wie o czymś, ale nie chce tego

przyjąć do wiadomości.

Fineasz podsunął jej, co następuje:

— Może dałoby się zmusić cesarza, by przyjął do wiadomości, iż żonę jego łączy irytująca przyjaźń z Żydem Józefem.

Teraz w oczach Dorion pojawiło się równie złowrogie lśnienie jak to, którym płonął wzrok Fineasza.

— W każdym razie — powiedziała — dziękuję ci, mój Fineaszu. Twoje gadatliwe sprawozdanie nie odbiegło od tematu tak dalece, jak pierwotnie przypuszczałam.

Plotki na temat stosunków między cesarzową a Żydem stawały się odtąd coraz głośniejsze, wkrótce rozbrzmiewały na wszystkich ulicach miasta.

Norban pamiętając jeszcze gniew, którym cesarz wybuchnął na opowiadanie o żarcie Eliusza, naradzał się z Messalinem, czy należy o tej gadaninie poinformować DDD.

— Lucja przebywa w Bajae — rozważał Messalin — Żyd Józef spędził tam parę tygodni. Nie widzę powodu, żeby to przed DDD ukrywać. DDD będzie zdziwiony, że się go o tym informuje. Przecież to nic dziwnego i o niczym nie świadczy, jeżeli Żyd Józef chce być w Bajae, w pobliżu swego syna. DDD będzie uważał za niedorzeczność, że ktoś może mieć w związku z tym gorszący myśli. Sprawa jest rzeczywiście niedorzeczna — ciągnął ślepiec łagodnym głosem. — Mimo to byłoby może wskazane poinformować DDD, że cesarzowa interesuje się Żydem i jego synem w sposób drażniący.

— Byłoby to może wskazane — odparł Norban — ale sprawa jest drażliwa. Podjąłbyś się tego, mój Messalinie? Gdybyś to uczynił, zasłużyłbyś się państwu rzymskiemu.

— DDD powinien sam się zorientować — rzekł Messalin. — Wydaje mi się, że sprawienie, by DDD sam się zorientował, należy do twoich kompetencji, mój Norbanie.

— A gdyby nawet przyszedł mu do głowy podobne myśli — rozważał Norban — to przecież na ich rozproszenie

wystarczy śmiech Lucji; on zaś zachowałby nadzwyczaj niebezpieczne uczucia do człowieka, który mu takie myśli podsunął.

— To niedobrze — rzekł Messalin sentencjonalnie — że władca i bóg Domicjan tak mocno i głęboko jest związany z tą kobietą. A jednak, mój Norbanie, może powinienes odważyć się na zwrócenie jego myśli w tym kierunku. Należy to do obowiązków twego urzędu, a ponadto zasłużyłbyś się państwu.

Norban rozmyślał długo nad tą rozmową. Nie należał do przyjaciół cesarza, ale był mu wierny, uważał go za największego Rzymianina, nienawidził Lucji z wielu powodów. Czuł, że góruje nad nim swą pańskością, był do głębi rozgoryczony jej protekcyjnym pokpiwaniem z niego. Wolałby, żeby go nienawidziła, żeby urabiała DDD przeciw niemu. Bolało go i to, że Lucja, którą władca i bóg Domicjan zaszczycał swą miłością, nie ceni tej miłości dostatecznie. Był szczerze przeświadczony, że wpływ jej jest szkodliwy i dla cesarza, i dla państwa. To, że się w dodatku przyjaźni z Żydem, pomniejszało DDD, dyskredytowało go; poza tym można było spodziewać się po Lucji, że z tym Żydem sypia.

Cóż jednak mógł Norban uczynić? Messalinowi łatwo było powiedzieć: „Zwróć na to uwagę cesarza!” Ale jak to zrobić? Co Norban mógł uczynić, by sprawić, żeby cesarz wystąpił wreszcie przeciw Żydom i tej kobiecie?

Dręcząc się tymi myślami natrafił pewnego dnia w codziennej poczcie na pismo poufne Falkona, gubernatora Judei, omawiające stosunki w tej prowincji. Gubernator komunikował między innymi, że znalazł w swym archiwum listę, na której figurują tak zwani potomkowie króla Dawida. Swego czasu polecono mu w Rzymie gorąco, żeby ludzi tych miał specjalnie na oku; jak się zdaje, w ostatnich latach sprawa poszła w zapomnienie. Wszczął nowe poszukiwania

i ustalił, że spośród potomków dawno zmarłego króla, znajdujących się w Judei, pozostało przy życiu jedynie dwóch: niejaki Jakub i niejaki Michał. Ostatnio dookoła tych dwóch, którzy sami siebie nazywają chrześcijanami lub nazareńczykami, powstało znowu więcej ruchu i hałasu. Kazał ich więc ująć i uznając, że dobrze będzie, jeżeli na jakiś czas znajdą się poza krajem, wyprawił statkiem do Italii; niechaj Palatyn przyjrzy się im dokładnie i zadecyduje o ich losie. Tak zwani potomkowie Dawida, Jakub i Michał, są więc w drodze do Rzymu.

Podczas czytania tego pisma gubernatora Falkona Norbanowi wyraźnie stanął przed oczyma misterny pawilonik letni w parku Albanum, a na jego tle ociężałe postacie uczonych z Jawneh i przypomniało mu się nagle, że przecież Żyd Józef jest również tak zwanym potomkiem Dawida oraz że wedle wiary żydowskiej zarówno on, jak i syn jego Mateusz mają prawo do panowania nad ziemskim globem. *Psalm o odwadze*, z najwyższym zuchwalstwem rzucony przez Józefa w twarz cesarza, ukazał mu się nagle w zupełnie innym, o wiele bardziej niebezpiecznym świetle. Osoba Józefa, przyjaźń, łącząca jego syna z Lucją nabrały zupełnie innego, o wiele groźniejszego znaczenia. Było to wyzwanie rzucone pod adresem cesarza i państwa. Na szerokiej, czworokątnej twarzy Norbana ukazał się uśmiech, odsłaniający duże, zdrowe, żółte zęby. Ujrzał możliwość, bez narażenia siebie, zwrócenia uwagi swego władcy na niebezpieczeństwo, jakie przedstawia zażyłość między Józefem i Lucją. Jeśli się cesarzowi przypomni zabobon żydowski o potomkach Dawida i Mesjaszu, wówczas myśli jego pójdą niezawodnie w tym samym kierunku co myśli Norbana. Trzeba będzie wspominając DDD o obu potomkach Dawida, Jakubie i Michale, ukazując ich, przypomnieć mu, że Józef i jego syn również do nich należą; wtedy przezorny, nieufny DDD zastanowi się gruntownie nad Żydem Józefem i jego synem oraz nad stosunkiem ich do Lucji.

Wysłał do Albanum kuriera z zapytaniem, czy władca i bóg Domicjan dopuściłby go łaskawie w dniach najbliższych przed swe oblicze.

Władca i bóg Domicjan znowu spędzał teraz większość swego czasu w Alba, i to samotnie. Była piękna wiosna, ale on się tym nie cieszył. Wylegiwał się w cieplarniach, stawał przed klatkami dzikich zwierząt, ale równie mało uwagi poświęcał sztucznie hodowanym owocom, jak panterze, spoglądającej nań sennie z kąta swej klatki. Zmuszał się do pracy, ale myślą nie był przy niej. Wzywał swych doradców, słuchał ich wywodów jednym uchem, z czasem nie słuchał ich wcale. Wzywał do siebie kobiety i z chwilą kiedy się pojawiały, odsyłał je z powrotem.

Oczywiście nie zapomniał o zuchwalstwie Józefa i ani mu było w głowie przebaczyć mu. Ale należało się dobrze zastanowić, jaką karę wymierzyć za takie przestępstwo. To, że Żyd otwarcie, w obecności wszystkich wypowiedział wojnę jemu, jego światu i jego bogom, jest czymś niebywałym, zwłaszcza że Józef nie uczynił tego z własnego popędu, lecz jako wysłannik swego Boga. To, że nakłonił Lucję, by była obecna na recytacji *Psalmu o odwadze*, nie wynikało również ze zwykłej złośliwości; za odą tą krył się, o czym ona zapewne nie wiedziała, zaciekle wróg Domicjana, Jehowa. Niezależnie od jego osobistego zainteresowania Lucją, cesarza dziwi i niepokoi, że udało się Jehowie przeciągnąć tę kobietę na swoją stronę, odwrócić ją od Jowisza, do którego przecież należy przez urodzenie. Ten Jehowa to Bóg niezwykle przebiegły, Domicjan musi obmyślać każdy swój krok z największą ostrożnością.

DDD odrzuca z góry choćby cień podejrzenia, że w stosunkach między Lucją i Żydem gra jakąkolwiek rolę łóżko. Gdyby chodziło o zaspokojenie żądzy cielesnej, para ta kryłaby się ze swą zażyłością. Tymczasem ten Żyd, niezawodnie zaślepiony przez swego Boga, wypowiedział mu walkę w obliczu całego Rzymu, z wyraźną aprobatą cesarszej.

Najprościej byłoby oczywiście zdeptać ich wszystkich: Żyda Józefa i jego potomka Mateusza, i Lucję. Ale Domicjan wie niestety doskonale, że te proste środki wcale nie działają

tak radykalnie, jakby się można spodziewać. Zbyt wielu zaraziło się trucizną obłędu żydowskiego, śmierć kilku zarazonych nie odstrasza pozostałych, przeciwnie, rodzi w nich jeszcze większe pożądanie trucizny. Obłęd, za który ludzie umierają, nie wydaje się gorzki, lecz słodki.

Jak wyrwać z korzeniami to wschodnie szaleństwo? Każdy środek jest dobry: podstęp, miłość, groźba. Ale gdzie znaleźć taki środek? Nie znajduje żadnego.

Skupia się, wchodzi do swej kaplicy domowej, zwraca się o radę do bogini światła, Minerwy. Schlebia jej, grozi, \ znowu schlebia. Zatapia się w niej. Wielkimi, wypukłymi oczyma krótkowidza wpatruje się w wielkie, okrągłe, sowe oczy bogini. Ale Minerwa nie daje się do niczego zmusić, nie odpowiada mu, spogląda nań niemo i ponuro swymi ptasimi oczyma. Domicjan błaga ją na nowo, z całych sił, zaklina. Wreszcie udaje mu się wyrwać z niej słowa.. Bogini otwiera usta i mówi:

— O mój Domicjanie, bracie mój, mój najdroższy, mój ukochany, dlaczego zmuszasz mnie, żebym przemawiała? Boli mnie serce, że muszę powiedzieć ci to, czego bym nie chciała. Ale tak mi kazał Jowisz, tak kazały losy. Słuchaj więc i bądź mężny. Muszę odejść od ciebie, nie wolno mi radzić ci dłużej, obraz mój w twojej kaplicy domowej będzie pustą powłoką, pozbawioną życia. Jakże mi smutno, ukochany mój Domicjanie! Ale odąd muszę pozostawać z dala od ciebie, nie mogę chronić cię dłużej.

Pod Domicjanem ugięły się kolana, tchu mu zabrakło, ciało oblał zimny pot, musiał oprzeć się o ścianę. Mówił sobie, że nie był to głos jego Minerwy, że z posągu przemawiał jego wróg, Jehowa, po to, by go zastraszyć. To zmora, to jedna z owych fałszywych zjaw, tak częstych w kraju Jehowy, o których mu opowiadał jego żołnierz Anniusz Bassus. Ale pocieszenie się na nic się nie zdało, błądy, zimny strach trzymał go nadal w kleszczach.

Wrogość jego do ludzi i nieufność wzrastały coraz bardziej. Dał marszałkowi dworu i prefektowi gwardii polecenie utrudniania wszelkimi środkami dostępu do jego osoby, kazał każdego, kto przestępował próg pałacu, jeszcze skrupulatniej rewidować, czy nie ma przy sobie broni. Kazał swoim architektom wyłożyć zarówno pokoje mieszkalne, jak i sale przyjęć na Palatynie i w Albanum lśniącem jak lustro metalem po to, by, gdziekolwiek będzie stał, siedł lub leżał, widział z daleka każdego, kto się doń zbliża.

Tak więc spędzał cesarz swoje dni w Albanum, kiedy go odwiedził minister policji. Był rad, że widzi Norbana. Cieszył się, że ze świata snów może wypłynąć w świat rzeczywisty. Zaciekawiony, przychylny, nawet z pewną tkliwością patrzył w wierną, brutalną, przebiegłą twarz swego Norbana: jak zawsze, bawiły go modne loki kruczych, gęstych włosów, opadające bezładnie i nieco groteskowo na czoło i twarz.

— No więc — powiedział zachęcająco i rozsiadł się wygodnie — opowiedz mi szczegółowo, co nowego w Rzymie?

Norban uczynił to, złożył obszernie sprawozdanie z ostatnich wydarzeń w mieście i w państwie. Jego donośny, stanowczy głos był jak stworzony, by rozproszyć bezładne myśli i rojenia cesarza i sprowadzić go na grunt trzeźwej rzeczywistości.

— A jakie wieści z Bajae? — zapytał cesarz po chwili.

Norban postanowił sobie mówić o Lucji, Józefie i Mateuszu możliwie jak najmniej, niech cesarz sam wpadnie na trop.

— Z Bajae? — powtórzył ostrożnie. — O ile mi wiadomo, cesarzowa dobrze się tam czuje. Uprawia sporty, pływa, choć to jeszcze tak wczesna pora roku, urządza w zatoce zawody wioślarskie, otacza się ludźmi różnego pokroju, zajmuje się książkami. — Zrobił niewielką pauzę, ale nie potrafił powstrzymać się i dodał: — I tak na przykład zwróciła się do Żyda Józefa,

by jej odczytał fragmenty swojej nowej książki; jak mi donoszą moi informatorzy, jest to żarliwa obrona zabobonu żydowskiego, nie przekraczająca jednak granic dozwolonych.

— Tak — rzekł cesarz — to książka namiętna i bardzo patriotyczna. Wolę mego Żyda Józefa wtedy, kiedy się ukazuje takim, jak jest, niż wtedy, kiedy głosi tę swoją rzymsko-grecko-żydowską zagmatwaną filozofię. Zresztą — rozważał dalej, zupełnie tak samo, jak to czynił swego czasu Norban — nie ma nic dziwnego w przebywaniu mego Żyda Józefa w Bajae, skoro cesarzowa przyjęła jego syna do swojej świąty. — A że Norban milczał, dodał: — Słyszałem, że jest z syna Józefa bardzo zadowolona.

Norban chętnie powiedziałby to i owo o Józefie i jego synu, ale postanowił sobie, że tego nie uczyni; pozostał wierny zamierzeniu. Milczał.

— I cóż poza tym? — zapytał Domicjan.

— Właściwie już nic — odparł Norban. — Najwyżej to, że mógłbym zaproponować władcy i bogu Domicjanowi miłą rozrywkę. Może cesarz przypomina sobie, że kiedyś podczas zabawnego spotkania z kilkoma uczonymi rabbi żydowskimi stwierdziliśmy, że Żydzi widzą w potomkach niejakiego króla Dawida pretendenta do panowania nad światem. Swego czasu sporządziliśmy listę tych pretendentów.

— Pamiętam — przytaknął cesarz.

— Obecnie raportuje mi gubernator Falkon — ciągnął Norban dalej — że w jego prowincji Judei żyje jeszcze dwóch spośród potomków Dawida. W ostatnich czasach powstało dokoła nich wiele szumu i hałasu. Wobec tego Falkon wysłał ich do Rzymu, byśmy tutaj zdecydowali o ich losie. Chciałem więc zapytać władcę i boga Domicjana, czy nie miałyby ochoty zabawić się nieco i obejrzeć sobie tych dwóch pretendentów do panowania nad światem. Chodzi o niejakiego Jakuba i niejakiego Michała.

Tak jak Norban zamierzał i przewidział, propozycja ta wywołała w duszy Domicjana różnorodne myśli, wnioski, życzenia i lęki, które tylko czekały na to, żeby się obudzić. Domicjan istotnie zapomniał, że ów Józef budzący w nim zarazem lęk i pogardę, jak również jego syn, stawiani są przez wielu ludzi na równi z nim, jako potomkowie Dawida. Teraz, kiedy Norban odświeżył wspomnienie owej dziwnej rozmowy z uczonymi z Jawneh i jej następstw, poczucie, że Józef i jego bliscy są pretendenciami do tronu, rywalami, stało się niezwykle żywe. Wbrew całej śmieszności swych pretensji ludzie ci istnieją i są niebezpieczni. Widocznie ci potomkowie Dawida uważali, że nadeszła teraz pora zgłoszenia swoich pretensji. Domicjan, uświadomił sobie podczas opowiadania Norbana, że właśnie to rzekome pochodzenie Józefa od prastarych królów wschodnich musiało podzielać na fantazję Lucji i dzięki temu Józef osiągnął przyjęcie do jej świąty swego młodocianego, śmiesznego syna. Uważając, że uprawnia go do tego królewskie pochodzenie, ów Józef miał czelność rzucić mu w twarz swoje strofy o odwadze. Domicjan słusznie więc wyczuwał za tym wszystkim swego wielkiego wroga, Boga Jehowę. Rozmyślenia te nie trwały nawet pięciu sekund. Oczywiście twarz cesarza zaczerwieniła się jak zawsze, kiedy był podniecony i zmieszany, ale postawa jego niczym tego podniecenia nie zdradzała.

— To dobry projekt — oświadczył rześko. — Dobrze, przyprowadź mi tych ludzi, mój Norbanie! I to szybko!

Już w najbliższym tygodniu przywieziono więc do Albanum potomków Dawida: Jakuba i Michała.

Podoficer gwardii przybocznej zaprowadził ich do małej sali urządzonej z wielkim przepychem. Stali w tych kosztownych ramach nieokrzęsani i bezradni. Wyglądali jak chłopcy, mieli na sobie długie galilejskie szaty z pospolitej grubej tkaniny, spokojne twarze okalały potężne brody. Michał mógł mieć lat dwadzieścia osiem, Jakub czterdzieści pięć. Mówili niewiele. W obcym otoczeniu czuli się wyraźnie nieswojo, ale nie zdradzali lęku.

Wszedł sztywnym krokiem cesarz, a za nim Norban w otoczeniu kilku mężów oraz tłumacz, Jakub bowiem i Michał mówili tylko po aramejsku. Kiedy cesarz się pojawił, powiedzieli na powitanie kilka niezrozumiałych słów w swoim narzeczu. Domiejan zapytał, co słowa te znaczą; tłumacz oświadczył, że jest to powitanie. Domiejan zapytał, czy powitali go, jak przystało. Tłumacz odparł po pewnym wahaniu, że było to powitanie, jakie przystoi między równymi sobie.

— Hm, hm, hm! — mruknął cesarz. Obszedł przybyszów dookoła. Byli to prości ludzie, nieokrzescani wieśniacy, barczyści, o chłopskich twarzach. Wydawali też zapach właściwy chłopom, choć ich niezawodnie umyto przed dopuszczeniem przed oblicze cesarza.

Domiejan zapytał swym wysokim, skrzeczącym głosem:

— A więc pochodzicie z rodu waszego króla Dawida?

— Tak — odparł skromnie Michał, a Jakub dodał:

— Jesteśmy spokrewnieni z Mesjaszem. Jesteśmy Jego prawnukami z bocznej linii. —

Kiedy tłumacz przełożył te słowa, Domiejan spojrział na nich swymi wypukłymi oczyma; miało się wrażenie, że nie rozumie ich odpowiedzi.

— A co sobie myślą ci ludzie? — zwrócił się Domiejan do Norbana. — Jeżeli są krewnymi Mesjasza, to niezawodnie uważają, że Mesjasz pojawił się już od dawna. Zapytaj ich o to — rozkazał tłumaczowi.

— Co to znaczy, że jesteście prawnukami Mesjasza? — zapytał tłumacz.

Michał wyjaśnił cierpliwie:

— Mesjasz nazywał się Jozue syn Józefa i umarł na krzyżu, aby zbawić ród ludzki. Miał brata imieniem Judasz. Od tego brata pochodzimy.

— Czy dobrze rozumiecie, moi panowie? — zwrócił się Domiejan do swego otoczenia. — Bo mnie wydaje się to nieco mętne. Zapytaj ich — rozkazał tłumaczowi — czy już nadeszło królestwo Mesjasza.

— Nadeszło i nie nadeszło — odparł Jakub — Jozue syn Józefa z Nazaretu umarł na krzyżu i zmartwychwstał, Jego królestwo wtedy się rozpoczęło. Zmartwychwstanie jednak raz jeszcze i wtedy dopiero ukaże się w całej swej glorii, będzie sprawował sąd nad żywymi i umarłymi, traktując każdego wedle jego zasług.

— Ciekawe — rzekł cesarz — bardzo ciekawe. A kiedy to się stanie?

— Gdy nastąpi koniec świata, na sądzie ostatecznym — oświadczył Michał.

— Nie można powiedzieć, żeby termin był zbyt precyzyjny — zauważył cesarz — sądzę, że ten człowiek chciał jednak oświadczyć, iż potrwa to jeszcze trochę. A któż będzie rządzić w tym państwie Mesjasza? — pytał dalej.

— Oczywiście Mesjasz — odparł Jakub.

— Jaki Mesjasz? — zapytał cesarz — nieżywy?

— Oczywiście ten, który zmartwychwstał — rzekł Michał.

— Czy zamianuje gubernatorów? — pytał Domiejan dalej. — Swoich zastępców? Kogo zatem powoła? Chyba przede wszystkim swoich krewnych? Powiedzcie mi, jakie to będzie panowanie?

— O gubernatorach nie jest nam nic wiadomo — odparł Jakub.

Michał zaś powiedział:

— Nie będzie to panowanie ziemskie, lecz niebieskie.

— Przecież to prostacy, naiwni marzyciele — oświadczył cesarz — nie można się z nimi dogadać. A więc pochodzicie z plemienia Dawida? — upewnił się raz jeszcze.

— Tak jest.

— A ile podatków płacicie?

— Mamy niewielkie gospodarstwo, mierzy trzydzieści dziewięć platrów — odparł Michał. — Żyjemy z tego, co ono przynosi. Uprawiamy ziemię przy pomocy dwóch parobków i dziewczki. Twój poborca podatkowy ocenił naszą posiadłość na pięć tysięcy denarów.

Domicjan zaczął głośno rozważać:

— Jak na potomków wielkiego króla i pretendentów do tronów królewskich i prowincji nie są to wysokie dochody. Pokażcie mi wasze ręce. — Uczynili to, Domicjan obejrzał je uważnie. Były to twarde chłopskie łapy. — Nakarmcie ich porządnie — zdecydował cesarz — i odeślijcie z powrotem do Judei, ale zwyczajnym statkiem, i żebyście mi ich zanadto nie rozpieszczali.

Kiedy się oddalili, powiedział do Norbana:

— Śmieszny jest ten naród żydowski, który w takich ludziach widzi pretendentów do tronu! Czy ta para nie była komiczna w swej prostackiej dumie?

— Ci dwaj byli komiczni — odparł Norban akcentując słowa: ci dwaj. Domicjan oblał się szkarłatem, po chwili zbladł, potem znowu się zaczerwienił. Norban ma rację. Ci są komiczni, ale inni potomkowie Dawida, na

przykład Józef i jego syn, wcale nie są komiczni. W Domicjanie zrodził się na nowo strach przed Józefem i przed jego Jehową.

Rozmowa z potomkami Dawida odniosła więc jak dotąd taki rezultat, jaki sobie obiecywał Norban. Później jednak przybrała obrót, którego minister policji w żadnym wypadku nie mógł pragnąć. Cesarz bowiem, z natury podejrzliwy, uzmysłowił sobie nagle, że jest bardzo możliwe, a nawet prawdopodobne, iż Norban umyślnie skierował jego myśli w tę stronę. Zapewne dlatego od samego początku przywiązywał tak wielką wagę do tych potomków Dawida, choć przecież wiedział z pewnością równie dobrze jak Domicjan, że ci dwaj są całkowicie nieszkodliwi.

Norban zorientował się niezawodnie od samego początku, jak niebezpiecznym człowiekiem jest Józef. Jeżeli zwrócił jego uwagę na to niebezpieczeństwo, spełnił swój obowiązek wiernego sługi; spełnił go z taktem, którego Domicjan nigdy by się po tym nieokrzesanym człowieku nie spodziewał. Mimo to Domicjan nie może tego znieść, że Norban tak potrafi odgadnąć jego myśli. To, że ten poddany odważa się określać bieg myśli boga Domicjana, graniczy z zuchwalstwem. Zanadto spoufalił tego Norbana, za blisko go do siebie dopuścił. Jest teraz na świecie człowiek, który go zna zbyt dokładnie. Tego rodzaju uczucia miały cesarzem. Nie są to jeszcze skryształizowane myśli. Domicjan nie posuwa się tak daleko, by mętne, niejasne majaki miały przybrać konkretną formę, ale nie może zapobiec temu, by wzrok, którym mierzy ministra policji, nie zdradzał nieufności, graniczącej ze strachem. Wszystko to trwa oczywiście ułamek sekundy, twarz bowiem, którą przed sobą widzi, jest mocna, godna zaufania, brutalna. Jest to oblicze wiernego psa, takie właśnie, jakiego Domicjan żądał od swego ministra policji.

Przyprowadzając cesarzowi potomków Dawida Norban dostarczył mu miłej rozrywki oraz pozwolił wejrzeć w pewne sprawy. Jest za to wdzięczny swemu wiernemu ministrowi policji, dziękuje mu serdecznie, ale zwalnia go nagle i niemal szorstko.

Zostawszy sam zastanawia się. Walkę z Jehową utrudnia to zwłaszcza, że w sprawie tej właściwie nie może być z nikim całkowicie szczerzy. Norban jest wierny, ale ma duszę za mało subtelną, by zrozumieć całkowicie rzecz tak skomplikowaną i przepastną, jak wrogość tego niewidzialnego, nieuchwytnego Jehowy. Poza tym cesarz nie życzy sobie, by Norban przejrzał go jeszcze głębiej. Może Marull i Reginus zrozumieliby, o co chodzi w tej walce. Cóż jednak osiągnąłby, gdyby potrafił im to z wielkim trudem wytłumaczyć? To dwaj starzy ludzie, gnuśni, cierpliwi, liberalni, nie nadają się do walki na noże. Annius Bassus byłby tu właściwszy, ale

niestety jest z pewnością zbyt naiwny dla tak cwane go i trudnego do ujęcia wroga. Pozostaje Messalin. Ten jest dostatecznie mądry, by zrozumieć, kim jest ów nieprzyjaciel i jaką zajmuje pozycję, ma dość odwagi i siły, a ponadto jest wierny. Domicjan nie może się jeszcze otrząsnąć z niemiłego uczucia, że Norban tak do gruntu go przejrzał. Zwróci się do Messalina, ale dopiero wtedy, jeżeli sam nie potrafi sobie dać rady z tym wszystkim.

Potrafi jednak sobie poradzić. Siedzi przed biurkiem, wyciągnął tabliczkę do pisania. Rozmyśla. Stara się skupić. Nie udaje mu się to. Myśli rozpraszają się. Rylec porusza się wprawdzie po wosku tabliczki, ale nie są to słowa, lecz jakiś machinalnie kreślone koła i łuki. Domicjan stwierdza z przerażeniem, że nakreślił oczy Minerwy, wielkie, okrągłe sowie oczy, które są teraz puste, ciemne, od których nie może oczekiwać rady.

Nagle niebezpieczeństwo, które mu tak często groziło, mord skrytobójczy, przestaje być czymś nieistotnym, abstrakcją, jaką dla człowieka w kwiecie wieku jest śmierć, która go kiedyś po długich latach dosięgnie, lecz staje się czymś bardzo istotnym i bliskim. Nie jest tchórzliwy. Ale opuściło go uczucie bezgranicznego spokoju, które go dotychczas wypełniało, ponieważ wierzył, że jest pod opieką swojej bogini. Śmierć, która była dotąd czymś bardzo dalekim, stała się teraz czymś bliskim, nad czym należy się zastanowić.

Gdyby miał zająć miejsce wśród bogów, gdyby miał zniknąć z tej ziemi, co wówczas pozostanie z jego idei, co się stanie z ideałem Rzymu, który ujął głębiej i w sposób bardziej nowy niż jego poprzednicy? Jeżeli go zabraknie, kto będzie bronił tych ideałów i kto je będzie dalej krzewił?

Ideał Rzymu w jego rozumieniu jest ściśle złączony z panowaniem Flawiuszów. W głębi ducha, potajemnie ufał wciąż jeszcze, że mimo wszystko Lucja obdarzy go potomkiem. Trzymanie się jednak dłużej tej mglistej nadziei byłoby szaleństwem teraz, kiedy zawisła nad nim groza śmierci. Precz z nadzieją! Szkoda, że się bał zuchwałych języków swoich wrogów, że nie dopuścił do przyścia na świat dziecka, które Julia nosiła w łonie. Jakżeby to było pięknie, gdyby mógł desygnować na swego następcę spłodzonego przez siebie syna!

Ale to jest niemożliwe. Dynastia Flawiuszów opiera się na dwóch chłopcach, na bliźniakach Konstansie i Petronie. W chłopcach tych płynie zarówno ze strony ojca, jak i matki najczystsza krew Flawiuszów. To dobrze, że zniweczył wpływy, które by mogły chłopców wypaczyć, że skazał Klemensa na śmierć, a Domicyllę wysłał na Wyspy Balearskie. Teraz jego lwiątko podrastają wychowywane żelazną ręką bardzo rzymskiego Kwintyliana, oderwane od Jehowy.

A jednak nie zostały całkowicie oderwane od Jehowy.

Na miesiące letnie Lucja zabrała chłopców do siebie, do Bajae, nie chcąc, żeby bliźnięta po usunięciu rodziców przebywały w opustoszałym domu zmarłego ojca i wygnanej matki. Zgodził się na to. Jak mógł to uczynić? To oczywiście podstęp Boga Jehowy, który podszeptał Lucji, żeby się zajęła synami nieboszczyka Klemensa. A może znowu tkwi za tym wszystkim Józef, wysłannik Jehowy? To wprost niepojęte, że on, Domicjan, od razu tego wszystkiego nie przejrzał. Jako krewny chłopców nie chciał być dla nich zbyt surowy, poza tym zależało mu, i jeszcze mu zależy, żeby ci bliźniacy go kochali. Przede wszystkim jednak, jest z sobą całkowicie szczerzy, nie chciał być zbyt szorstki wobec Lucji.

Teraz jednak wszystko to się skończy. Domicjan wie, w jaki sposób. Nareszcie urzeczywistni swój od dawna powzięty zamiar zaadoptowania bliźniaków. Weźmie ich na swój dwór i w ten sposób wyrwie ich z oparów, jakie biją od Józefa i jego syna Mateusza. W ten sposób spełni swe zadanie; gdyby, nie chroniony przez Minerwę, miał odejść z tej ziemi, pozostawiłby idei Rzymu nowych obrońców.

Skupiona twarz wygładza się, Domicjan uśmiecha się. Przyszła mu do głowy

pocieszająca myśl. Jeżeli zaadoptuje chłopców, to powstanie samo przez się zrozumiały pretekst powołania Lucji przed swe oblicze. Kiedy Lucja się pojawi, niejedno zostanie wyjaśnione. Mimo wszystko, mimo że Jehowa ją oślepił, miała zawsze zrozumienie dla jego ideałów, ponieważ jest Rzymianką. Przemówi do niej jak Rzymianin do Rzymianki, czuje w sobie dosyć siły, żeby ją zdobyć na nowo.

Uśmiecha się. Nawet bez opieki Minerwy czuje, że nie zginie. Zło ma także swoje dobre strony. Gdyby niebezpieczeństwo grożące mu z ręki Jehowy nie zarysowało się tak jaskrawo, odkładałby jeszcze zaadoptowanie chłopców. Tymczasem przez szybkie zaadoptowanie ich jednym pociągnięciem osiągnie dwa cele. Nie tylko zapewni swej idei nową opiekę i ochronę na przyszłość, ale prawdopodobnie wyrwie z rąk Jehowy Jego nowo zdobytą sojuszniczkę, Lucję. Lucja jest Rzymianką w każdym calu. Kocha go niewątpliwie, choć czyni to w sposób wyniosły i niezależny. Bóg Jehowa zamącił jej umysł. Ale bogu Domicjanowi uda się rozwiać tę dymną zasłonę, którą wschodni Bóg ją osnuł, i Lucja znowu będzie widziała sprawy równie jasno jak on.

Niezwłocznie zabiera się do dzieła i przystępuje do przygotowań związanych z adoptacją. Jeszcze tego samego dnia pisze obszerny list do Lucji. Nie dyktuje go, pisze odręcznie, stara się o to, by list był bardzo osobisty i serdeczny. Ze względu na ciągłość dynastii, pisze, oraz ze względu na to, że chyba trudno mu spodziewać się po niej potomstwa, uważa za swój obowiązek zaadoptować potomków owego Flawiusza Klemensa, którego, niestety, musiał zgładzić. Bliźniacy są bardzo bliscy jego sercu; stwierdził z radością, że podobają się również i jej. Ma więc nadzieję, że będzie z jego decyzji zadowolona. Za długo zwlekał już z tą sprawą, toteż teraz ją przyśpieszy. Tego samego dnia poleca Kwintylijanowi, by wraz z chłopcami przybył do niego, do Albanum. Uznał za stosowne, by mimo młodego wieku chłopcy przywdziali bezpośrednio przed adoptacją togi dorosłych mężów. Chce, by obie ceremonie, adoptacja i przywdzianie togi, odbyły się w sposób uroczysty. Trzeba wbić w głowy Rzymian, że oto zaszczerpił dynastii nowe pędy. Byłby bardzo rad, gdyby się zdecydowała podnieść znaczenie uroczystego aktu swą obecnością.

Bliźniacy, gdy wraz ze swym nauczycielem Kwintylijanem przybyli do Lucji, do Bajae, byli całkowicie wykołejeni. Od śmierci ojca i banicji matki na ich szczerych twarzach pojawił się wyraz zaciekłości, "Kwintylijan musiał postępować bardzo ostrożnie, by ich w tym ciężkim dla nich okresie utrzymać w jakiejś takiej równowadze. Teraz, u Lucji, odzyskiwali z wolną swobodę, stawali się mniej nieśmiali. Przed udaniem się na Wyspy Balearskie Domicylla wymogła na niej obietnicę, że Lucja zajmie się jej synami i będzie przeciwdziałała łańciskiemu wpływowi Kwintylijana. Lucja traktowała chłopców jak dorosłych, postępowała z nimi ostrożnie, nie okazując im jednak zbyt wyraźnie współczucia. Stopniowo zakamieniałość chłopców ustąpiła, stali się znowu ufni i, zgodnie ze swym wiekiem, młodzi.

Było to przede wszystkim zasługą Mateusza. Między nim i obydwoma książętami zawiązała się wkrótce serdeczna przyjaźń. Obaj chłopcy byli z natury przyjacielscy, promienny, młodzieńczy Mateusz oddziaływał na nich silniej niż na innych, przyznawali mu wyższość nad sobą bez cienia zawiści. Kiedy byli z nim razem, czuli się, mimo ponurych przeżyć, beztrósko i wesoło jak dawniej i zapominali o otaczających ich intrygach i walkach. Z młodzieńczą ambicją uprawiali różne sporty, mocowali się, dokazywali.

Nic sobie z tego nie robili, że podrywano z ich przyjaciela Mateusza, z jego żydowskiego pochodzenia. Dzięki rodzicom byli zorientowani w poglądach nazareńczyków oraz nieczuli na wrogie Żydom podszepty. Wiedząc, że ojciec ich zginął za swoje sympatie dla Żydów, uważali za swój obowiązek stawać po stronie Mateusza; Ignęli do niego z żarliwą przyjaźnią.

Nowi koledzy nie tylko podobali się Mateuszowi, był również dumny, że obydwaj

książęta, najbliżsi krewni cesarza, są mu tak oddani. Pewnego razu usłyszał, jak nowy niewolnik egipski na zapytanie Cecylii, gdzie się Mateusz znajduje, odpowiedział: „Trzej książęta łowią ryby.” Mateusz miał wrażenie, że z dumy urosły mu skrzydła.

Kwintyliana przyjaźń ta drażniła. Od początku miał wątpliwości, czy należy przywieźć młodzieńców do Bajae, wprowadzić ich w najbliższe otoczenie cesarzowej. Trudno zaprzeczyć, że Lucja jest Rzymianką w każdym calu, ale mimo to raziło go prawie wszystko, co robiła i czego nie robiła, co czytała i co mówiła, był niezadowolony, że jego wychowankowie przebywają w jej kręgu. A teraz wplątali się na domiar złego w sidła przyjaźni z młodym Żydem! Kwintylian, zawsze usiłujący myśleć rzeczowo, przyznawał, że w zachowaniu Mateusza nie ma nic, co by uchybiało pojęciu rzymskości. Nie poinformował więc cesarza o zażyłości, łączącej jego wychowanków z synem Józefa. Poprzestał na spokojnych przestrofach, które nie obrażając Mateusza nie mogły być równocześnie fałszywie rozumiane przez jego wychowanków.

Tak tedy toczyła się między nim a Lucją i Mateuszem zaciekle walka o dusze bliźniaków. Walka ta prowadzona była po kryjomu, podziemnie. Ale pewnego razu przeciwieństwa ujawniły się na oczach wszystkich.

Mateusz cieszył się jak dziecko z hodowli pawi, którą mu pozwolono założyć w posiadłości Lucji, i tę swoją radość zaszczerpił również chłopcom. Cała trójka odwiedzała codziennie zagrodę przeznaczoną dla pawi, chłopcy znali dobrze poszczególne ptaki, od czasu do czasu zanosili któregoś pawia na schody głównego skrzydła pałacu, zachwycali się widokiem wspaniałych ptaków na pięknych, szerokich stopniach, patrzyli z zachwytem na ich rozłożyste ogony, którymi zdawały się wachlować skąpany w słońcu zamek.

Pewnego dnia, kiedy senator Ostoriusz, słynny smakosz, był z wizytą u Lucji, poczęstowała go pasztetem z pawi. W nieobecności Lucji i chłopców ochmistrz i kucharz zmusił nieszczęsnego dozorcę pawi do wydania im sześciu cennych i ulubionych ptaków. Chłopcy szaleli. Kwintylian usiłował uśmierzyć ich oburzenie przemawiając im do rozsądku. Wywodził, że zadowolenie podniebienia to nic gorszego niż rozkosz dla oka, a głośnie lamenty Mateusza i chłopców z powodu zabicia ptaków nie są rzymskie, to wschodni sentymentalizm. Chłopcy milczeli, ale po jakimś czasie poruszyli sprawę w obecności Lucji i Józefa. Józef wyraził zdziwienie, że Rzymianin nie boi się jeść mięsa pawia, ptaka, który przecież jest świętością dla bogini Junony. Kwintylian odparł, że trzeba nie mieć poczucia rzeczywistości, żeby meritum sprawy, ideę sprawy traktować jak samą sprawę. To tak, jak gdyby ktoś uważał papier, z którego składa się książka, za świętość dlatego, że napisane są na nim doniosłe słowa. Tego rodzaju wartościowanie jest dla rzeczowego Rzymianina czymś całkowicie obcym. Kwintylian, wielki mówca i znakomity stylistą, zdobył w debacie przewagę nad Józefem przede wszystkim dlatego, że Józef nie mógł posługiwać się językiem ojczystym i bronił swych argumentów w języku, którego nauczył się dopiero z wiekiem.

Po tym incydencie Kwintylian zaczął się poważnie zastanawiać, czy jednak nie jest jego obowiązkiem poprosić cesarza, by odsunął jego wychowanków od wpływu młodego Żyda, który nie jest dla nich pożądanym. I oto nagle odetchnął z ulgą, gdyż otrzymał od cesarza list z poleceniem przybycia z książętami na Palatyn w celu dokonania aktu adoptacji.

Zamiar cesarza zaadoptowania bliźniaków budził również i w Lucji więcej radości niż irytacji. Wprawdzie żałowała, że chłopcy będą odtąd musieli żyć w surowej, zimnej atmosferze Palatynu i przebywać stale z rygorystycznym Rzymianinem Domicjanem, ale z drugiej strony szczerze była rada, iż DDD nareszcie zdecydował się wnieść chłopców na stopnie tronu.

Zresztą nawet na Palatynie trudno będzie utrzymać chłopców z dala od niej i od Mateusza; Lucja w dalszym ciągu będzie robiła wszystko, co możliwe, żeby uchronić ich przed skostniałą dyscypliną łacińską Kwintyliana. Niezależnie od tego znajdzie prawdopodobnie dobrą

pomocnicę. Skoro bowiem DDD przeznaczył synów Domicylli na swoich następców, to prawdopodobnie będzie skłonny pozwolić matce na powrót z wygnania. Lucja wcale nie lubiła Domicylli, przeciwnie, zawziętość Domicylli i jej chłód były jej niemiłe. Ale nie miała w sobie nic z formalistycznego poczucia prawa Flawiuszów, nie pochwałała, by do tego stopnia ograniczano wolność sumienia jednostki, oburzał ją gwałt dokonany na Domicylli. Jakiego właściwie przestępstwa dopuściła się Domicylla? Studiowała filozofię chrześcijan, oto wszystko. Została więc wygnana jedynie na podstawie samowolnego kaprysu cesarza. DDD musi ją odwołać z wygnania, musi koniecznie, Lucja go do tego skłoni.

Czuła w sobie siłę, by to przeprowadzić. Była z natury bardzo uczciwa i z trudem się maskowała. Nie mogła nic osiągnąć od DDD w chwilach, gdy był jej wstrętny. Natomiast kiedy czuła do Wrzuszka pociąg, potrafiła mu to okazywać bez ogródek i wtedy mogła z nim zrobić wszystko. W ostatnich czasach oddaliła się od niego, jego długie milczenie budziło w niej lęk, że cesarz powoli, podstępnie przygotowuje cios przeciw Józefowi i Mateuszowi. List jego uspokoił ją. W gruncie rzeczy zawsze czuła do niego skłonność, zawsze pociągały ją jego nieugiętość, jego bezgraniczna pycha, jego utajona, tłumiona, bezgraniczna witalność. Była również świadoma, że właściwie tylko ją kocha. List rozgrzał więc jej serce, cieszyła się, że go zobaczy.

Z zapalem przygotowywała się do podróży. Z zaczepną radością myślała o rozmowie z Wrzuszkiem. Z pewnością przeprowadzi to, co sobie postanowiła. Chce sprawić, żeby bliźniacy mieli w dalszym ciągu swobodny dostęp do niej i do Mateusza, chce przeprowadzić, by Domicylla została zaproszona do powrotu z Wysp Balearskich.

Pierwsze trzy dni jej wspólnego przebywania z DDD w Albanum wypełniły uroczyste ceremonie adoptacji. Były to uroczystości przede wszystkim religijne, widać było, jak cesarz głęboko się nimi przejmował. Własna rodzina stanowiła dlań świętość, ołtarz jego bóstw rodzinnych wraz z paleniskiem w jego atrium, gdzie gorzał wieczny płomień, nie był dla niego pustym symbolem, lecz czymś żywym. To, że mógł teraz rodzinnym bóstwom przyprowadzić młode istoty, które będą je czcić również i w przyszłości, poruszało go do głębi, gdyż bóstwa utrzymują się przy życiu tylko przez cześć wiernych. A on sam, który kiedyś będzie jednym z bóstw tego domu, zabezpieczał własne trwanie tylko przez to, że zapewnia oddawanie czci domowemu ołtarzowi. Uroczystość ta była więc dlań czymś arcyważnym, przez nią następowało nowe, żywe zetknięcie z jego boskimi ojcami. Słowa prastarych, świętych formuł miały dla niego głęboki sens, wzięcie chłopców pod rodzicielską opiekę, nadanie im imion Wespazjan i Domicjan nie było dlań suchym aktem prawnym, lecz miało konkretne i poważne znaczenie. Mocą tego przemienił obu młodzieńców, uczynił z nich nowe istoty. Mieli teraz wspólną odpowiedzialność i wspólne zobowiązania, łączyła ich nierozzerwalna więź.

Wyczuł od pierwszej chwili, że Lucja przybyła do niego z ochotą. Ale ze zwykłą sobie pedanterią odsunął na później zarówno zainteresowanie się jej osobą, jak i wyjaśnienie ich wzajemnego stosunku. W owych dniach adoptacji myśli jego i uczucia wypełnione były poważnymi poczynaniami wielkiej wagi, które nie pozostawiały czasu na nic innego. Były to dnie szczęśliwe i podniosłe. Jego synowie, owe lwiątko, podobały mu się; drażniła go jedynie świadomość, że pozostają w tak bardzo zażyłych stosunkach z najmłodszym adiutantem cesarzowej, Flawiuszem Mateuszem.

Po zakończeniu uroczystości oficjalnych, kiedy liczni goście już się rozjechali — Domicjan wydał przyjęcie rodzinne. Oprócz bliźniaków oraz ich ochmistrza obecni byli jedynie Lucja i Mateusz.

Cesarz uważał oczywiście, że postąpiłby najśluszej, gdyby natychmiast i raz na zawsze przeciął nić wiążącą jego synów z młodym Żydem. Dlaczego tego nie uczynił? Dlaczego włączył Mateusza do tego zamkniętego grona, nie mógłby chyba sam wytłumaczyć. Wmawiał w siebie,

że czyni to, żeby raz wreszcie poznać do gruntu syna Józefa. Zorientował się na pierwszy rzut oka, że od chłopca promieniuje blask i magia wielkiego uroku, wyrwanie więc jego obrazu z serc bliźniaków nie będzie rzeczą łatwą. Jeśli ma się to udać, musi dobrze przyjrzeć się młodzieńcowi. Ponadto — do tych motywów nie przyznawał się nawet sam przed sobą — ściągnął Mateusza również dlatego, że nie chciał z góry wprowadzać Lucji i chłopców w zły nastrój. Przede wszystkim jednak posunięcie to było podyktowane przebiegłością. Chciał uspić czujność Mateusza i stojącego za nim Boga Jehowy. Jedno bowiem było jasne: Bóg Jehowa wziął się na sposób, że właśnie ów młodzieniec, wyposażony w tyle powabów, stanął na drodze tych dwóch, których on, arcykapłan Rzymu, przeznaczył na przyszłych władców państwa.

Podczas tej biesiady u Domicjana Mateusz był w siódmym niebie. Wspominał słowa, które często powtarzała matka sławiąc Józefa: „Jest współbiednikiem trzech cesarzy.” Teraz on, Mateusz, jest współbiednikiem trzech cesarzy. On, któremu Cecylia oświadczyła, że jego miejsce jest na Zatybrzu i skończy karierę jako domokrażca!

Szczęście czyniło Mateusza jeszcze bardziej promiennym niż zazwyczaj. Oddziaływał na otoczenie samą swą obecnością, ożywioną twarzą, ruchami; młodzieńczy, a jednak tak męski głos podbijał wszystkich. Cesarz zwracał się do niego częściej niż do pozostałych. Ale mówiąc z młodocianym faworytem swej Lucji Domicjan doznawał sprzecznych uczuć i różne myśli przechodziły mu przez głowę. Podobał mu się naturalny wdzięk Mateusza. Mateusz bawił go podobnie, jak go bawiły i śmieszyły niemądre, dzikie młode zwierzaki w klatkach. Będąc dobrym obserwatorem zauważył, jak bardzo chłopiec Ignie do Lucji, doznawał komicznego, ale tym niemniej mocnego poczucia tryumfu na myśl o tym, że z Lucją sypia on, Domicjan, a nie ten młody, uroczy pupilek Boga Jehowy.

Kwintylian przywiązywał wielką wagę do tego, by dowieść cesarzowi, że bliźniacy wychowani zostali przez niego w duchu łańskim. Młodzi książęta zachowywali się poprawnie, nie zdradzając wszakże jakichś niezwykłych przymiotów. Mateusz także nie wyróżniał się niczym, ale to, co miał do powiedzenia, wypowiadał skromnie i miło, dając dowód, że jest przesiąknięty kulturą rzymską. „Mądry syn mądrego ojca” — przyznawał Domicjan. Bliźniacy nie ukrywali przy stole, że uważają Mateusza za istotę wyższą, obdarzoną łaską, i to było dla cesarza czymś w rodzaju ponurego potwierdzenia. A więc obawy jego były uzasadnione: obcy Bóg Jehowa posługiwał się wielce przebiegle owym Mateuszem, by jak czerw wgrzyźć się w dusze chłopców.

Przyjęcie skończyło się wreszcie i Lucja pozostała z cesarzem sam na sam. Byli w jego bibliotece, którą kazał wyłożyć lśniącym metalem.

— Cóż to za okropne lustro? — zapytała.

— Zrobiłem to po to — odparł — by mieć oczy również i z tyłu głowy. Mam wielu wrogów. — Po chwili milczenia ciągnął dalej: — Gdyby miało mnie spotkać coś złego, są teraz przynajmniej lwiątko. Cieszę się, że zaadoptowałem tych chłopców. Niemało mnie kosztowało, zanim wyrzekłem się nadziei doczekania się potomstwa z tobą. Ale odkąd wiem, że ognisko moje nie wygaśnie, jest mi lżej na sercu.

— Masz rację — rzekła Lucja. — Ale — powiedziała bez ogródek — korci mnie myśl o Domicylli. Nie lubię tej wychudzonej, nadętej baby, ale ostatecznie to ona wydała na świat bliźniaków, świadomość, że przebywa na odludnych wyspach Morza Balearskiego, wówczas gdy zamierzasz wychować jej synów na władców Rzymu, jest mi niemiła.

W Domicjanie od razu obudziła się nieufność. Aha, chce mieć sojuszniczkę, żeby zaskarbić sobie serca bliźniaków. Miał ochotę odpowiedzieć ostro, ale bardzo mu się podobała, więc się pohamował.

— Spróbuję, moja Lucjo — powiedział — wtajemniczyć cię w powody, dla których

muszę trzymać Domicyllę z daleka. Nie mam nic przeciw niej. Nienawidziłem Klemensa i Sabina, ich gnuśność i ospałość, całe ich zachowanie uważałem za nierzymskie, obrzydliwe. Z Domicyllą rzecz wygląda inaczej. Jest kobietą, nikt nie wymaga od niej, żeby się zajmowała sprawami państwowymi, ma również w sobie coś upartego, mocnego, co mi odpowiada. Niestety, w jej zwariowanej głowie zagnieździły się przesady nazareńczyków. W gruncie rzeczy jest mi to zupełnie obojętne, w co Klaudia Domicyllą wierzy, a w co nie wierzy, i nie byłbym się do tego wtrącał. Ale chodzi o chłopców. Chłopcy mają być kształceni przez ochmistrza, którego dla nich przeznaczyłem, przez nikogo innego. Nie chcę, by Domicyllą znajdowała się w pobliżu nich. Nie chcę, by twarda, jasna wiedza, której udziela chłopcom mój Kwintylian, była zachwiana i zamącona przez głupią, babską, zabobonną gadaninę o ukrzyżowanym Bogu. Wszystko w tej nauce, do której Domicyllą, niestety, się skłania, jej odcięcie od świata, jej brak poczucia rzeczywistości, jej indolencja w rządzeniu, wszystko, powtarzam, jest dla tak młodych ludzi niebezpieczne.

Lucja postanowiła podjąć walkę, przejść do ataku. Patrząc nań groźnie, zapytała:

— A może uważasz, że obcowanie chłopców ze mną jest również niebezpieczne?

Cesarz ociągał się. Powinien by powiedzieć: tak, był to jego obowiązek wobec Jowisza i Rzymu. Ale bliskość kobiety, którą kochał, wytrącała go z równowagi, wahał się. Starał się nie patrzeć na jej twarz, odwracał wzrok, raz po raz ukazywała mu się jednak w lśniącym metalu. Widząc to jego ociąganie się, Lucja ciągnęła dalej:

— Mówiąc szczerze, uważam, że ten twój Kwintylian jest taki drewniany. Uważam za konieczne, żeby od czasu do czasu chłopców owiewał jakiś świeższy wiatr.

Domicjan zdążył przygotować sobie odpowiedź.

— Ależ oczywiście — rzekł szarmancko — nie mam nic przeciw temu, żeby i moje lwiątko radowały się twoją bliskością, droga Lucjo. Nie życzę sobie jednak, by ich zarażał swoimi poglądami twój Mateusz, a zwłaszcza Żyd Józef swoją sentymentalną gadaniną, że spożywanie pasztetu z pawia jest rzeczą grzeszną.

Lucja była zła, że dostoyny Rzymianin Kwintylian nie miał w sobie dosyć godności, by trzymać język za zębami, i natychmiast doniósł na Mateusza i jego ojca, jak gdyby był szpiclem Norbana. Ale przyjęła słowa DDD jako obietnicę, że chociaż jej nie będzie wzbraniał obcowania z bliźniakami.

— To bardzo uprzejmie z twojej strony — powiedziała z uznaniem — że przynajmniej mnie nie chcesz dyktować, kogo mi wolno przyjmować, a kogo nie.

Nie upierała się w dalszym ciągu przy tym drażliwym temacie, odsunęła się od Domicjana, pogładziła go po rzadkiej czuprynie i powiedziała:

— Muszę ci, Wrzuszk, powiedzieć komplement. Nie straciłeś na tym, że cię przez dłuższy czas nie widziałam, przeciwnie, stałeś się miłszy.

Domicjan pragnął gorąco, by się doń zbliżyła, z wysiłkiem opanował przyspieszony oddech. „Schlebia mi — pomyślał — prawi mi komplementy, muszę się mocno trzymać, nie mogę dopuścić, by mną zawładnęła.”

— Dziękuję ci — rzekł nieco sztywno.

Lucja odsunęła się jeszcze dalej i zaczęła wywodzić rzeczowym tonem:

— Czy banicja matki jest jedynym środkiem, by trzymać chłopców z dala od tej nauki? Czy właśnie przez tak drastyczne zarządzenia uwaga chłopców nie jest stale kierowana na winę matki, a więc właśnie na to, od czego chciałoby się ich jak najbardziej uchronić? Czy zarówno miastu, jak państwu nie wyda się dziwne, że bliźniaki zostały tak wywyższone, a matka ich w dalszym ciągu przebywa na Wyspach Balearskich? Czy nie zaszkodzi to opinii twoich lwiątek? Czy nie wypaczy to dusz chłopców?

— Nigdy bym nie przypuszczał — rzekł cesarz złośliwie — że Domicyllą ma w tobie tak żarliwą orędowniczkę.

— Domicyllą jest mi całkowicie obojętna! — powtórzyła Lucja z pasją. Ale natychmiast opanowała się, zmieniła zachowanie i głos. — Jeśli ci radzę, Wrzusku, byś ułaskawił Domicyllę, to tylko ze względu na ciebie. Dałeś się również długo prosić — powiedziała żartobliwie — nim odwołałeś mnie z wygnania. Czyś tego żałował? To wspaniale, żeś zaadoptował chłopców. Jeśli jednak nie uzupełnisz tego czynu odwołaniem Domicylli z wygnania, nie osiągnie on zamierzonego celu. Nikt nie wie lepiej ode mnie, jak często i jak bardzo bywasz zapoznawany. Uniknij tego, żeby twoje zasługi wobec bliźniaków były mylnie komentowane wskutek myśli o ich matce. Odwołaj Domicyllę z wygnania!

Domicjan nie dał odpowiedzi. Lustrował ją od stóp do głów oczyma krótkowidza i wreszcie powiedział:

— Jesteś bardzo piękna, kiedy się unosisz.

Ale Lucja nie ustępowała.

— Czy nie rozumiesz — powiedziała cicho i natarczywie — że się unoszę ze względu na ciebie? — Znowu była tuż przy nim. Objąwszy go ramieniem, prosiła: — Nie odwołasz Domicylli z wygnania?

— Namysłę się jeszcze — wykręcał się Domicjan z niezadowoleniem. — Obiecuję ci, że rozważę poważnie tę sprawę z Kwintylianiem.

— Z tym drewnem? — rozprawiła się Lucja z wielkim stylistą. — Rozważ to lepiej ze mną — nalegała. — Ale nie tutaj! Przecież tu, wśród tych ohydnych luster, nie można myśli skupić. Chodź do mnie! Prześpij się u mnie i namysł się dobrze.

Oddaliła się nie dając mu czasu na odpowiedź.

Postanowił, że będzie czekała na próżno. Nie, nie pójdzie do niej. Chce, by zapłacił za pozwolenie przespania się z nią. O nie, moja droga, nie! Zaczął gwizdać popularny kuplet: „Nawet łysy może mieć cud dziewczynę, kiedy jej dobrze zapłaci.” Norban zastanawiał się nad tym, czy nie zakazać kupletu, ale Domicjan nie zgodził się na to. Nie, nie pójdzie do Lucji.

W pół godziny później był u niej.

Ale nawet w łóżku potrafiła wymóc na nim jedynie obietnicę z pewnymi zastrzeżeniami. Jeżeli Domicyllą nie będzie próbowała się wtrącać do wychowania chłopców, wtedy, zapewnił solennie, wezwie ją z powrotem.

Śpiąc z nim Lucja miała uczucie, że zdradza Józefa, zapewne dlatego, że Józefowi wzbraniała takiego zbliżenia. Po raz pierwszy w życiu doznała podobnego uczucia. Czy to wpływ Józefa? A więc to był „grzech”, o którym tyle słyszała. Była nawet rada, że poznała, czym są takie rzeczy, jak sumienie i grzech.

Po powrocie Lucji do Bajae cesarz zamknął się w swej bibliotece, chcąc rozważyć, co sobie zastrzegł, a z czego zrezygnował.

Ma teraz pod swoją opieką przybranych synów, których zadaniem jest utrzymanie ciągłości rodu i zachowanie na przyszłość tradycji rzymskich. Ale nie zabezpieczył ich jeszcze całkowicie przed trucizną Jehowy. Nie powinien był obiecywać Lucji, że odwoła Domicyllę z banicji. Dobrze, że zostawił sobie przynajmniej trochę czasu. Dotrzyma obietnicy, jako arcykapłan i gwarant przysięgi nie zaprze się danego słowa. Ale Domicylla musi wpierv przejść przez próbę. Musi dowieść, że zachowa spokój, że nie będzie się wtrącała do edukacji lwiątek. A to wymaga czasu.

Lucja zażądała zapłaty. Zapłacił jej za uściski. Było to dowodem słabości i bezwstydnego. „Nawet łysy może mieć cud dziewczynę, kiedy jej dobrze zapłaci”, pogwizduje gniewnie. Ale za to Lucja kocha go, to nie ulega wątpliwości. Kiedy pomyśli o żarze, którym zapłonął w jej

objęciach, wszystkie inne kobiety wydają mu się niezdarnymi nierządnicami. Lucja jest żywa, płomienna, jest kobietą, która należy do niego, do boga, i kocha go.

Choć jest Rzymianką w każdym calu, nie pozostała niewrażliwa na wpływy z zewnątrz. I w niej tkwi odrobina trucizny owego Jehowy. Choć śmiała się zapewne prawie ze wszystkiego, co ów Żyd Józef i jego syn starali się jej podszeptać, nie była całkowicie głucha na ich słowa. Ale też ten chytry, uparty, mściwy Bóg znalazł sobie świetnych rzeczników! Ten smarkacz Mateusz! Domicjan widzi go oczyma wyobraźni, słyszy jego młodzieńczy, niski głos. Gdyby on, Domicjan, był jeszcze chłopcem, nie potrafiłby oprzeć się temu Mateuszowi. A cóż dopiero bliźniaki!

Inna sprawa, że odkąd chłopcy są przy nim, żaden z nich nie pisał ani słowa o Mateuszu. Ale Domicjan jest podejrzliwy; zapewne Lucja ich pouczyła, żeby na razie nie wymawiali imienia Mateusza. Liczy zapewne na to, że z bliska będzie mogła znowu nawiązać kontakt między jego lwiątkami i swoim młodym Żydem.

Lucja ma wyraźną słabość do swego adiutanta Flawiusza Mateusza. Nie ma w tym nawet odrobiny występnej namiętności. Cesarz obserwował bacznie i ostro. Lucję pociąga po prostu blask, bijący od chłopca, czuje dla niego tkliwość matki, starszej siostry.

Ale jak wygląda sprawa między nią a Józefem? Bzdury! Józef to człowiek stojący na progu starości, zniszczony, wygasły. To śmieszne, bezmyślne, nie do wyobrażenia, żeby Lucja miała z objęć Domicjana przerzucać się w objęcia Józefa. Lucję i Józefa łączy jedynie nieco sentymentalna, snobistyczna przyjaźń wykształconej damy z głośnym pisarzem.

Zarówno Lucja, jak i Józef zachowali nawzajem wobec siebie całkowitą wstrzeźliwość. Lecz on, Domicjan, nie potrafił się oprzeć, osłabiły go żądza i pragnienie zmysłowej rozkoszy. Pozwolił swojej żonie, Rzymiance, cesarzowej, nierządnicy, wyłudzić od siebie obietnicę, że odwoła Domicyllę z wygnania. Zgrzeszył wobec przybranych synów, zaniedbał obowiązki wobec Jowisza i bogów domowych.

Musi to naprawić. Musi usunąć z drogi wroga i jego nasienie, owego Józefa, który ośmielił się szydzić z niego, rzucić mu w twarz wiersze o odwadze, oraz tego Mateusza, potomka Dawida, pretendenta do władania światem, pupilka wschodniego Boga.

Oczywiście odkąd zasiadł z nim razem do stołu, zadanie to wydaje mu się jeszcze trudniejsze. Musi usunąć chłopca. Ale jak to uczynić, nie ściągając na siebie uzasadnionego gniewu wschodniego Boga?

W owym czasie odwiedził cesarza Messalin, jedyny, który mu pozostał, jedyny, przed którym mógł otworzyć serce, zwierzyć się ze swymi troskami.

Był pierwszy upalny dzień. Wiał południowy wiatr, powietrze było parne. Duszno było nawet w zaciemnionej, sztucznie ochładzanej komnacie, w której Domicjan przyjął Messalina. Wdzierały się tam z ogrodu mocne zapachy, plusk fontanny towarzyszył równomiernie i kojąco toczącej się rozmowie.

Cesarz powrócił do sprawy zetknięcia się z potomkiem Dawida; opowiadał o szczegółach tego spotkania z ironiczną życzliwością.

— Ten ich pretendent nie przyniósłby Żydom wielkiego zaszczytu — zakończył. — Czy możesz na przykład wyobrazić sobie, żeby tak stary, wyjałowiony pisarz, jak nasz Józef, mógł się dobrze prezentować w roli Mesjasza? Przecież ten człowiek nie umie nawet płynnie mówić po grecku!

Przy wtórce cichego plusku fontanny rozległ się łagodny głos ślepego. Messalin powiedział:

— Ale ten Józef ma podobno syna, który się dobrze prezentuje i jest wykształcony. Cesarza zdjęło przerażenie. A więc i Messalin, kiedy tylko rozmowa zesłała na ten temat,

nie może się oprzeć tej samej trosce, która i jemu zatruwa myśl.

— Mateusz to ładny chłopiec — przyznał po pewnym wahaniu. Czekał na odpowiedź z niepokojem. Przez krótką chwilę, która wydała mu się bardzo długa, miał wrażenie, że w komnacie nie ma nikogo, jest tylko równomierny plusk fontanny. Wreszcie Messalin odpowiedział jak zwykle uprzejmie i z rozważą:

— Niebo zabrało mi światło oczu, ale władca i bóg Domicjan posiada bystre oko, może osądzić, czy ów Mateusz ma dosyć przymiotów, by jako potomek Dawida zagrażać spokojowi i bezpieczeństwu prowincji Judea.

— Mówisz o sprawach — odparł cesarz i ściszył głos tak dalece, że zagłuszał go niemal plusk fontanny — których poruszanie budzi poważne wątpliwości. — Przełknął ślinę, wreszcie zdecydował się powierzyć Messalinowi swą tajemnicę. — Zawarłem z Bogiem Jehową coś w rodzaju zawieszenia broni — wyszeptał. — Nie chcę wtrącać się do Jego decyzji. Nie chcę Go drażnić. — Potem dodał głośniejszym, wspaniałomyślnie: — Nikt nie powinien być narażony na niebezpieczeństwo dlatego, że jest miły Bogu Jehowie i mógłby być przez niego wybrany.

Wyrzucił to wreszcie ze siebie. Serce biło mu tak mocno, że zdjął go lęk, by tamten nie usłyszał tego bicia, mimo plusku fontanny. Czy Messalin go zrozumiał? Obawiał się, a równocześnie tego pragnął. Czekał z niepokojem na odpowiedź ślepeca.

— Myśli władcy i boga Domicjana — rzekł Messalin z szacunkiem, ale z wielkim spokojem — są tak wzniosłe, że zwykły śmiertelnik nigdy nie może ich całkowicie zrozumieć, co najwyżej może się ich domyślić. My widzimy jedynie Flawiusza Józefa i Flawiusza Mateusza, ludzi z krwi i kości. Bóg Domicjan wie, co się za nimi kryje.

Domicjan był nierad, że Norban go przejrzał; natomiast to, że został zrozumiany przez Messalina, sprawiało mu satysfakcję. Ślepiec był mu prawie równy duchem. W delikatny sposób ujął w słowa to, co Domicjan przeczuwał. Domysły ślepeca były bliskie rzeczywistości dostępnej jemu, ukrytej dla innych.

— Jesteś bardzo mądry, mój Messalinie — powiedział. Głos jego brzmiał teraz donośnie i jakby z ulgą. — Jesteś ponadto moim przyjacielem, w gruncie rzeczy jedynym. Może dlatego, żeś taki mądry. Sprawy wyglądają dokładnie tak, jak powiedziałaś. Niestety, nie prowadzę walki z ludźmi, lecz z Bogiem. Gdyby nie stał za nimi Bóg, zdmuchnąłbym ich jednym tchnieniem. Ponieważ rozumiałaś mnie tak dobrze, mój Messalinie, zrozumiesz z pewnością i to. Pomyśl nad tym, zastanów się dobrze i daj mi radę!

Znowu słychać było tylko plusk fontanny. Domicjan czekał podniecony, pełen nadziei. Był pewien, że pocziwy, wiemy Messalin znajdzie radę. Po jakimś czasie Messalin zaczął w sposób bardzo ostrożny:

— Jest potomkiem Dawida, a więc twoim przeciwnikiem. Ale oszczędzasz go i nie żywisz doń nienawiści, ponieważ, jako potomek Dawida, jest pod opieką Boga Jehowy, ty zaś nie chcesz z tym Bogiem Jehową zadzierać. Czy dobrze pojąłem mądrość władcy mego i boga?

— Tak jest — odparł Domicjan.

— A gdyby ten potomek Dawida — ciągnął Messalin — uczynił coś, co godziłoby w bezpieczeństwo cesarza lub państwa? Czy i wówczas oszczędzałbyś go, cesarzu Domicjanie, tylko dlatego, że jest potomkiem Dawida?

Cesarz nastawił ucha.

— Sądziś, że wtedy mógłbym go ukarać? — zapytał.

— Przystępstwa — odparł Messalin — polegającego na tym, że jest potomkiem Dawida, ukarać nie możesz, gdyż jest to przestępstwo Boga Jehowy, z którym nie chcesz mieć zatargów. Ale poza tym mógłbyś ukarać każde przestępstwo Józefa lub Mateusza, gdyż byłoby to

przestępstwo człowieka i nie miałyby nic wspólnego ze sporem między tobą a Bogiem Jehową. Oto zdanie zwykłego śmiertelnika — dodał ze czcią. — Sprawą boga Domicjana będzie uznać, czy jest ono słuszne.

— Mam obowiązek wobec Jehowy — rzekł Domicjan zachrypniętym głosem — nie podnoszenia ręki na potomków Dawida. Ale mam również obowiązek wobec Jowisza karania tych, którzy występują przeciwko niemu i przeciwko mnie. Jesteś bardzo mądry, mój Messalinie. Wypowiedziałeś to, o czym już sam myślałem.

Ślepiec wyciągnął głowę, chciwie pił słowa cesarza. Podniecenie jego graniczyło niemal z lubieżnością. Dokonał mistrzowskiego posunięcia. Można być ślepym i mimo to widzieć całkiem dokładnie, którą śluzę trzeba otworzyć, by rozpętać powódź. Domicjanowi słowa jego zapadły głęboko w duszę. Na wielu ludzi spadnie teraz istna powódź nieszczęść, a Messalin, pogrążony w mrokach, będzie się cieszył, że się do tego przyczynił.

— Dziękuję władcy i bogu Domicjanowi — rzekł ze czcią — że mi pozwolił poznać głębię i wielostronność swoich mądrych, pełnych umiaru myśli.

— Jesteś człowiekiem równie mądrym, jak wiernym, mój Messalinie — odparł Domicjan. — Zasłużyłeś na to, żeby się stać moją karzącą pięścią, wykonawcą moich myśli. — Po tych słowach zwolnił go bardzo łaskawie.

Kiedy zapadł wieczór i zrobiło się chłodniej, cesarz stanął przed klatkami dzikich zwierząt. Jakież by to było cudowne, gdyby ten Mateusz okazał się winny! Jakież by to było cudowne, gdybym miał podstawy do ukarania go! Jakież by to było cudowne, gdyby chłopak już nie żył! Wspomnienie niskiego głosu chłopca dręczyło cesarza bardziej niż wspomnienie grzmiącego głosu brata Tytusa.

Dla Żyda Józefa strata syna, tak hojnie obdarzonego przez naturę, byłaby ciężkim ciosem. Pobiegnie do Lucji, będzie wył i rozpaczał. Cesarz Domicjan wyobraża sobie to wycie i biadanie Żyda Józefa, nie jest to wizja niemiła. To cudownie, że zgrabne ręce plotą sieć, która ma złowić pięknego, wysoce kulturalnego Mateusza, potomka Dawida.

Widząc, że zwierzęta dręczy skwar, cesarz kazał przynieść im wody.

Wkrótce potem Lucja powierzyła swemu adiutantowi Mateuszowi misję, która mu sprawiła wiele radości.

Miasto Massilia, którego protektorką była Lucja, przysłało jej przepiękny naszyjnik, diadem, zausznicę i bransolety ze wspaniałe dobranych koralu i cesarzowa postanowiła obdarować je za to godnie. Mateusz miał doręczyć ów dar i przy tej okazji załatwić jeszcze parę drobnych spraw, które powierzano jedynie osobom zaufanym. Miał skłonić starego Charmisa, okulistę cesarzowej, który wskutek podeszłego wieku lękał się podróży do Bajae, żeby jednak tam przybył. Ponadto miał postarać się dla Lucji o pewne kosmetyki, które wyrabiano jedynie w Massilii na zlecenie cesarzowej. W końcu dała mu pismo, które miał wręczyć jej zaufanemu w Massilii, w celu przesłania go przez Morze Balearskie.

Mateusz był uszczęśliwiony i przeświadczony o ważności swej misji. Przede wszystkim cieszyło go, że odbędzie podróż drogą morską na jachcie prywatnym Lucji „Niebieska Mewa”. Ponieważ Lucji zależało na tym, by szybko wykonał jej polecenia, Mateusz poprzestał na listownym pożegnaniu się z ojcem; nie chcąc zbyt długim przebywaniem w Bajae ściągać powszechnej uwagi, Józef wrócił do Rzymu. Pisemna odpowiedź ojca dotarła do Mateusza tuż przed wyruszeniem jachtu. Józef prosił go, by się rozejrzał w Massilii za egzemplarzem *Wiedzy morskiej* Piteasza z Massilii; odpisy tej książki krążyły w stanie zniszczonym i Józef prosił, żeby Mateusz postarał się o egzemplarz możliwie w dobrym stanie i zgodny z oryginałem.

Mateusz nie mógł zobaczyć się z ojcem, ale za to przychylny zbieg okoliczności pozwolił mu pożegnać się z Cecylią. Nie widział jej od dłuższego czasu. Wstyd mu było nieco jej szukać,

ale często kręcił się tam, gdzie miał nadzieję ją spotkać. Nawiasem mówiąc, Cecylia czyniła to samo. Tak czy inaczej, rozpromienili się oboje, kiedy w przeddzień odjazdu Mateusza spotkali się wreszcie.

Cecylia zachowywała się, jak zawsze, szorstko i nieco ironicznie.

— Otrzymałeś więc zaszczytne polecenie, mój Mateuszu — powiedziała. — Masz dostarczyć perfum boskiej

Lucji. Sądzę, że potrafiłby to zrobić jej fryzjer niewolnik, może nawet lepiej od ciebie.

Mateusz spojrział uprzejmie w gładką twarz pięknej dziewczyny i powiedział ze spokojem:

— Właściwie dlaczego mówisz takie głupstwa, Cecylio? Przecież wiesz doskonale, że udaję się do Massilii nie tylko po perfumy.

— Dziwiłabym się — ciągnęła zaczepnie Cecylia — gdyby naprawdę chodziło o rzeczy ważniejsze. Nauczyłeś się niejednego od twoich paw i zwykłeś zachowywać się dosyć głośno, kiedy chcesz zabłysnąć.

Mateusz odpowiedział z tym samym spokojem:

— Czy naprawdę muszę się przed tobą puszyć, Cecylio? Czy naprawdę muszę przechwalać się przed tobą tym, że cesarzowa patrzy na mnie życzliwym okiem? — Podszedł do niej bliżej. Patrząc na nią młodymi, głębokimi, niewinnymi oczyma, powiedział: — Gdybym był naprawdę niczym, za co mnie masz, to czy sama przebywałabyś ze mną tak chętnie? Pomówmy poważnie, Cecylio. Moje sprawy w Massilii, choćby nawet były błahe, będą mnie przez pewien czas trzymały z dala od ciebie. Pozwól mi zabrać ze sobą obraz takiej Cecylii, jaką jest w swoich najlepszych chwilach. — Zbliżywszy się do niej jeszcze bardziej, tłumiąc niski głos, a jednak z wielkim żarem, wyrzucił z siebie: — Cecylio, jesteś cudowna! Jakąż uroczą masz twarz, kiedy nie zniekształca jej szyderstwo i złośliwość!

Cecylia udawała, że mu nie wierzy.

— To tylko słowa — powiedziała kokieteryjnie. — Kochasz przecież tylko ją, cesarzową.

— Któż mógłby jej nie kochać — przyznał Mateusz. — Ale co to ma wspólnego z nami? Szanuję cesarzową, kocham ją jak ojca. To znaczy — sprostował uczciwie — niezupełnie tak samo. Ale podobnie. Za to ciebie, Cecylio...

— Już wiem — przerwała zazdrośnie, nieco głupawo Cecylia. — Mnie nie szanujesz. Ze mnie się śmiejesz. Jestem małą, głupią dziewczyną. Wy, Żydzi, jesteście wszyscy tacy dumni i zarozumiali. Jest to duma żebraków.

— Proszę cię, Cecylio, nie mówmy teraz o Żydach i Rzymianach — powiedział Mateusz. Ujął jej białą, dziecięcą rękę, ucałował ją, ucałował jej obnażone ramię. Broniła się, ale Mateusz nie ustępował. Był o wiele wyższy od niej, objął ją, podniósł niemal w górę. Opierała się, ale nagle osłabła i zaczęła odpowiadać na jego pocałunki.

— Nie jedź, Mateuszu! — prosiła cichym, smutnym głosem. — Niech ktoś inny przywiezie perfumy. Wyślij innego Żyda!

— Ach, Cecylio!

Oto wszystko, co Mateusz odpowiedział. Potem objął ją jeszcze namiętniej, jeszcze bardziej pożądliwie.

Nie sprzeciwiała się zrazu, potem nagle wyrwała mu się.

— Po powrocie — obiecała. — Wracaj prędko.

Wkrótce potem Messalin zameldował się w Albanum.

Doręczył cesarzowi odpis listu.

Treść listu była następująca: „Lucja do swojej Domicylli. Słyszałaś z pewnością, moja

droga, o szczęściu, jakie spotkało twoich miłych synów. Kiedy się jednak nad tym zastanowisz, może radość twoją zamaści myśl, że odtąd chłopcy przebywać będą wyłącznie na Palatynie i w Albanum. Piszę ci, by cię uwolnić od tej troski. Przyrzekłam ci swego czasu, że twoi chłopcy nie przesiąkną zbyt kulturowo łacińską, i uczynię wszystko, co w mojej mocy, postaram się zapobiec, by ich serca nie wyschły w surowej atmosferze Palatynu. Zresztą, mam nie pozbawioną podstaw nadzieję, moja Domicyllo, że niedługo po adoptacji chłopców wolno ci będzie powrócić z wygnania. Proszę cię tylko o jedno. Nie próbuj za żadną cenę wpływać z daleka na losy chłopców! Zachowuj się raczej całkiem biernie, moja droga, nie troszcz się o swoich synów, nawet jeżeli nazywają się teraz Wespazjan i Domicjan! Zaufaj twojej Lucji i bądź zdrowa!”

Cesarz przeczytał list powoli i dokładnie. Ogarnął go szalony gniew. Nie wściekał się o to, że Lucja ma konszachty z Domicyllą za jego plecami, niczego innego nie oczekiwał, może mu było to nawet na rękę. Oburzyło go zdanie o „sercach, które zasychają w surowej atmosferze Palatynu”. I to odważyła się napisać Lucja, która go tak dobrze zna. To odważyła się napisać Lucja po nocach, które z nim spędziła!

Przeczytał list kilkakrotnie.

— Czy władca i bóg Domicjan przeczytał pismo? — zapytał wreszcie łagodnym, spokojnym głosem ślepiec.

Domicjan, wściekły, wykrzyknął:

— Po coś mi przyniósł ten świstek? Chcesz oczernić przede mną Lucję? Ośmielasz się twierdzić, że to słowa skreślone ręką Lucji widnieją na tym plugawym papierze?

— Nie przyniosłem tego odpisu, cesarze, po to — odpowiedział spokojnie Messalin — bym chciał rzucać podejrzenie na osobę, która oryginał napisała lub napisać mogła. Ale z rozmowy, którą mnie cesarz niedawno zaszczycił, ośmieliłem się wnieść, że władca i bóg Domicjan interesuje się osobą gońca, który podjął się przeschmuglować do adresatki oryginał tego listu.

Domicjan podszedł porywczo do Messalina i utkwiał w nim tak pytające spojrzenie, jak gdyby ślepiec mógł je dostrzec. Był pełen radosnych przeczuć.

— Kim jest ten gońiec? — zapytał.

— To najmłodszy adiutant cesarzowej, Flawiusz Mateusz — odparł Messalin.

Domicjan odetchnął z ulgą. Usiłował jednak nie zdradzić się głębokim, radosnym, haniebnym uczuciem satysfakcji.

— Coś zrobił z oryginałem listu? — zapytał Messalina.

— Oryginał mieliśmy w naszym ręku zaledwie pół godziny; wystarczyło to, żeby go dokładnie skopiować. Potem wsunęliśmy go Mateuszowi, który nic nie zauważył. List znalazł się znowu na jachcie „Niebieska Mewa”, prawdopodobnie albo jest w drodze na Wyspy Balearskie, albo już tam przybył.

Domicjan zapytał nieswoim, zmienionym głosem:

— A ten Mateusz? O ile się orientuję, cesarzowa wysłała go do Massilii. Gdzież on jest teraz?

— Młody Flawiusz Mateusz — informował Messalin — został przez Augustę zaszczycony licznymi drobnymi poleceniami. Ma postarać się o pewne kosmetyki, odszukać wielkiego okulistę Charmisa i, o ile to możliwe, przywieźć go z sobą, ma ponadto załatwić w Massilii różne inne sprawy. Uważałem, że polecenia cesarzowej winny być wykonane z jak największą sumiennością i pieczołowitością, więc postaram się o to, by Flawiusz Mateusz długo je w Massilii załatwiał.

— Ciekawe, mój Messalino, bardzo ciekawe — rzekł cesarz, jak się wydawało

Messalinowi nieco dziwnym głosem. — Massilia — powiedział Domicjan i ciągle tym samym, nieswoim głosem rozpoczął, nie bardzo do rzeczy, wykład o mieście Massilii. — Ciekawe osiedle — wywodził — nadające się do tego, by zatrzymać na dłużej żadnego wiedzy młodzieńca. Moje poczciwe miasto Massilia przyczyniło się do zhellenizowania Galii, są tam piękne świątynie Artemidy z Efezu i Apollina z Delf. Jest to czysta, nieskażona wyspa hellenizmu wśród barbarzyńskiego otoczenia. O ile sobie dobrze przypominam, zachowała ciekawe, antyczne obyczaje — paplał przez chwilę bez większego sensu.

Messalin nie odrzekł ani słowa. Wiedział dokładnie, że cesarz nie chce odpowiedzi, że chce tylko ukryć swe myśli, a myśli te nie obracały się z pewnością wokół dziwnych obyczajów miasta Massilii.

Tak też było. Cesarz, mówiąc o Massilii, był myślami daleki od tego miasta. Myślał o Lucji, jedynie o Lucji. „Tyle jej ofiarowałem — mówił sobie — dla niej zgrzeszyłem wobec Jowisza i moich synów, obiecałem jej zgodę na powrót Domicylli i tak mi się teraz odpłaca. Pisz, że na Palatynie i w pobliżu mnie wysychają serca.” Nagle przerwał ten bieg myśli, zaczął pogwizdywać bardzo niemelodyjnie i kiepsko. Zdumiony i rozbawiony Messalin usłyszał kuplet z najnowszej krotchwili:

*I tysoń uszczknie dziewczę złotowłose,
Byleby hojnie potrząsnął swym trzosem.*

Messalin nie chciał nadal zakłócać myśli cesarza. Ale Domicjan ocknął się nagle. Tak, pofolgował sobie, pograżył się w zadumie. To dobrze, że ślepiec nie mógł nic wyczytać z jego twarzy. Opanował się, jak gdyby nic się nie stało, jak gdyby nie było pauzy i długiego milczenia, i powiedział rzeczowo:

— Jesteś zupełnie pewien swego?

— Nie mam oczu, którymi mógłbym widzieć — odparł Messalin — o ile jednak ślepiec może być czegoś pewien, mam tę pewność!

Messalin wie niewątpliwie, jak się Domicjan przejął tą wiadomością, choć jest ślepy, świdruje go wzrokiem jeszcze głębiej i groźniej niż Norban, ale rzecz dziwna, cesarz nie odczuwa ani upokorzenia, ani odrobiny nienawiści do Messalina. Przeciwnie, jest mu wdzięczny, szczerze wdzięczny. — Bardzo dobrze to zrobiłeś — mówi z uznaniem — dziękuję ci.

Messalin oddalił się niezwykle zadowolony. Domicjan rozmyślał w samotności nad tym, co usłyszał. Nie było, w nim, o dziwo, szczerego gniewu na Lucję, był jej niemal wdzięczny za to, jak z nim postąpiła. Teraz bowiem nie można już twierdzić, że Domicylla nie wtrącałaby się do edukacji swoich lwiatek, a taki dowód lojalności był warunkiem obietnicy zezwolenia na jej powrót z banicji. Z pisma Lucji wynika jasno, iż Lucja liczy się z tym, że protegowana przez nią Domicylla będzie usiłowała wpływać na chłopców wbrew woli cesarza i cenzora. Dzięki temu jest zwolniony z danej obietnicy zarówno wobec Lucji, jak wobec samego siebie i wobec bogów. Jeżeli chodzi o Lucję, to Domicjan nie zapomni tego, co przeciw niemu uknęła, ale na razie odłoży załatwienie tej sprawy. Lucja jest taka, jaka jest, nie ponosi poniekąd odpowiedzialności za swoje czyny, świadomość, że będzie ją oszczędzał, mając równocześnie w ręku niezbite argumenty przeciw niej, sprawiała mu pewną radość. Nawet jej nie powie, co o niej wie. Zatai całą tę sprawę w głębi serca. Niechaj nikt nie wie, jak on, bóg, został oszukany przez tych troje, przez Lucję, Domicyllę i Mateusza. Oszukany i zdradzony, on, taki dobrotliwy i wspaniałomyślny! Wystarczy, że wie o tym ten ślepiec. Domicjan bardzo lubi Messalina. Właściwie Lucja i ślepiec to jedyni ludzie, na których mu zależy. Niechaj więc Lucja w dalszym ciągu oddaje się złudnej, nieuzasadnionej, naiwnej radości, że go podeszła; w istocie to on ją podejdzie. I niechaj ślepiec, jego wierny sługa, któremu winien jest wielką wdzięczność, delectuje się w otaczającym go mroku myślą, że ma wspólną tajemnicę z władcą świata.

Co jednak ma począć z tym dwojgiem, z Domicyllą i z młodzieńcem, który podjął się przeszmugłowania owego pisma na Wyspy Balearskie? To pewne, że dłużej żyć nie mogą, ale kara winna spaść na nich zniecka i nikt nie powinien odgadnąć jej przyczyn i powiązań.

Domicylla. Wgnana. Ojciec jego, Wespazjan, dał się kiedyś skłonić do zwolnienia banity; był to Helwid senior.

Ale Wespazjan, człowiek szczęśliwy i przezorny, miał wenę — zanim wiadomość dotarła do ułaskawionego, człowiek ów umarł. Domicjan również dowiedzie raz jeszcze, że jest człowiekiem szczęśliwym i przezornym. Ułaskawi Domicyllę, oznajmi to głośno Lucji i całemu światu. Jeżeli Domicyllą zbyt późno dowie się o swoim szczęściu, to już jej sprawa, nie jego.

Co zaś się tyczy młodzieńca, to dotknie go ponury los, a nie kara. Może Domicjan wytłumaczy Józefowi, dlaczego musiał sprzątnąć chłopca ze świata. Domicjan nie chce, żeby Bóg Jehowa i Jego sługa przypuszczali, że zgładził chłopca bez powodu, przez wrogość do Jehowy. Ale prócz Żyda Józefa, Messalina i cezara powiązania te nie powinny być wiadome nikomu. Dla wszystkich poza tym winien to być nieszczęśliwy wypadek, który zmiotł z powierzchni ziemi pięknego pazia cesarzowej.

Neptunalia nie należały do świąt zbyt ważnych. Tylko władca przywiązujący taką wagę do tradycji, jak Domicjan, potrafił zdobyć się na wysiłek i ze względu na to święto przerwać odpoczynek i przenieść się do skwarne go miasta.

Cesarz kierował ceremoniami w ciągu trzech dni. Czwartego dnia wezwał Józefa na Palatyn.

Wezwanie uderzyło w Józefa jak grom. Skoro cesarz tyle czasu przygotowywał zemstę za ową recytację, zemsta będzie niewątpliwie straszliwa. Będzie to zła godzina. Józef musi zebrać całą odwagę, na jaką go stać. Były czasy, kiedy wdychał do zagłady i pragnął gorąco przez swą śmierć złożyć świadectwo prawdzie. Dziś perspektywa rozstania się z życiem w rozkwicie szczęścia napępiała go przerażeniem.

Cesarz przyjął pisarza z pogodnym spokojem. Nie okazywał ani gniewu, ani owej niebezpiecznej uprzejmości, która tych, co go znali, przejmowała jeszcze większą obawą niż jego wściekłość. Był jakby roztargniony, ale raczej przyjazny.

— Jakże się wiedzie twojemu Mateuszowi? — zapytał po chwili.

Józef zakomunikował, że boska Lucja wysłała go do Massilii.

— Ach, prawda — przypomniał sobie cesarz — na jachcie „Niebieska Mewa”.

Massilia to piękne miasto. — Zaczął znowu rozwódzić się nad osobliwościami tego miasta, starając się nie popaść w bezsensowną gadaninę, jak to miało miejsce niedawno z Messalinem. — Tak czy inaczej, mój Józefie — powiedział — jestem rad, że twój Mateusz zobaczy kawałek świata. Sprawy, które ma załatwić dla cesarzowej, nie będą dlań chyba zbyt uciążliwe. Ma się dla niej postarać o perfumy i kosmetyki, ma również zwabić na swój jacht lekarza Charmisa. To ważne sprawy.

Józef zdziwił się, że pan świata wie tak dokładnie o błahych drobiazgach, które jego Mateusz ma załatwić w Massilii.

— Wielka to łaska i rzecz godna podziwu — zażartował — że oczy cesarza śledzą z taką uwagą mojego Mateusza.

— Widziałeś go przed odjazdem? — zapytał cesarz.

— Nie — odparł Józef.

— Mógł właściwie jechać przez Rzym i wsiąść na statek w Ostii — rzekł Domicjan. — Ale cesarzowa uważała zapewne swoje sprawy za nader ważne i pilne. Zauważyłem, że darzy wielkimi łaskami twego Mateusza. Miły chłopak, o ujmującym zachowaniu, spodobał mi się. To już widać rodzinne, że my, Flawiuszowie, i wy, Żydzi, raz po raz tak się do siebie zbliżamy.

Istotnie było rzeczą niezwykłą, jak mocno Flawiuszowie byli związani z Józefem i jego rodem. Ale Józef nie wiedział, jak zareagować na słowa cesarza, nie znajdował właściwej odpowiedzi, czuł się nieswojo.

— Kochasz bardzo swego syna Mateusza? — ciągnął cesarz.

Józef odparł lakonicznie:

— Tak, kocham go. Sądzę — dodał — że już jest znowu na morzu, w drodze powrotnej do Italii. Cieszę się, że go zobaczę.

— Jak to dobrze — rzekł wolno cesarz i spojrzał marzycielsko na Józefa swymi wypukłymi oczyma — że poświęciliśmy teraz Neptunalia i że sam brałem w nich udział. Zrobiliśmy wszystko, co należy, żeby Neptun dał mu szczęśliwą podróż powrotną.

Józef przypuszczał, że cesarz żartuje, i już byłby się uśmiechnął, ale Domicjan miał minę tak poważną, niemal ponurą, że mu odeszła ochota do śmiechu.

Przy stole natomiast cesarz był wyjątkowo pogodny i ożywiony. Mówił o broszurze Józefa *Odpowiedź Apionowi*. Książka ta dowodzi, że Józef zerwał wreszcie z zakłamanym kosmopolitycznym obiektywizmem w stosunku do swego narodu.

— Oczywiście — oświadczył — wszystko to, co piszesz w obronie Żydów, jest równie bezpodstawne i subiektywne, jak to, co zniechęcał przez ciebie Grecy i Egipcjanie zarzucają Żydom. Mimo to składam ci z powodu tej książki serdeczne gratulacje. Twoje dawne koncepcje o zjednoczeniu narodów, twój ideał obywatela świata to tylko mglista gadanina i bzdura. Ja, cesarz Domicjan, lubię zdrowy nacjonalizm.

Choć protekcyjnalne wywody cesarza były raczej obelgą niż pochwałą, Józef wysłuchał ich z radością. Poczul ulgę, że cesarz mówił o jego książce, a nie o jego Mateuszu.

Po spożyciu posiłku Domicjan nadal rozmawiał o literaturze. Rozłożywszy się na sofie, wygłaszał ospale swe poglądy. Józef wyczekiwał nerwowo, czego też cesarz od niego chce. Mówił sobie, że czekał przecież tak długo, więc chyba może poczekać jeszcze godzinę, ale ogarniał go coraz większy niepokój. W pewnej chwili Domicjan zażądał niespodziewanie, żeby mu Józef raz jeszcze wyrecytował swój *Psalm o odwadze*.

Józef przestraszył się nie na żarty. Teraz stało się jasne, że cesarz wezwał go, by się na nim zemścić za jego bezgraniczne zuchwalstwo.

— Wiesz, mój Józefie — oświadczył Domicjan — nie byłem wtedy przygotowany na to, że będziesz recytował wiersze. Są nieco dziwaczne i za pierwszym razem nie potrafiłem przyswoić ich sobie całkowicie. Byłbym ci więc wdzięczny, gdybym je mógł usłyszeć raz jeszcze.

Wszystko w Józefie wzdragało się przed tym żądaniem. Bez względu na to, jakie ten Rzymianin miał wobec niego zamiary, Józef nie był teraz w nastroju sprzyjającym recytowaniu owych strof. Nie czuł ich dzisiaj, wydawały mu się obce, uważał za niegodne odegrać rolę w komedii, którą ten zły człowiek chciał z nim zagrać. Odparł więc:

— Cezar okazał mi wyraźnie, że mu się moja oda nie spodobała. Po cóż miałbym znowu drażnić cesarskie ucho?

Ale Domicjan nie ustępował. Postanowił sobie raz jeszcze usłyszeć czelne słowa z ust tego pacholka Jehowy; było to rzucone mu przez Jehowę wyzwanie, chciał znać dokładnie treść tego wyzwania. Niecierpliwie, uparcie, rozkazał:

— Powtórz mi te strofy!

Józef musiał usłuchać. Wyrecytował wiersze gniewnie, bez rozmachu, bez wiary, były to dla niego słowa pozbawione treści.

Dlatego mówię:

Chwała mężowi, co ryzykuje śmierć,

*By wyrzec słowo dla ulżenia sercu.
Dlatego wam powiadam:
Chwała mężowi.
Który mówi to tylko, co jest.
Dlatego wam powiadam:
Chwała mężowi, którego nie zmusisz,
By mówił to,
Czego nie ma.*

Czuł na sobie wzrok cesarza, badawczy, złowrogi; chciał wymknąć mu się, ale w lustrzanych taflach ścian zobaczył swe własne oblicze; widział wszędzie twarz swoją i cesarza, oczy cesarza oraz własne usta, które się otwierały i zamykały. Wydał się sobie komediantem i treść jego *Psalmu o odwadze* wydała mu się komediancka. Po co głosić prawdę rzeczywistą światu, który przecież nie chce jej słyszeć? Od stuleci różni ludzie odsłaniali światu tę prawdę, ale nic nie zmienili, ściągnęli tylko na siebie nieszczęście.

Domicjan słuchał bardzo uważnie do końca. Potem powtórzył marzycielsko:
Chwała mężowi,
Który mówi to tylko, co jest.

Jak to, sława mu? Bogowie objawiają ludziom prawdę rzeczywistą co najwyżej w misteriach, nie chcą więc za żadną cenę, by się o tym mówiło zawsze i wszystkim. To, co głosisz w swych wierszach, mój drogi, brzmi całkiem pięknie i ciekawie, ale kiedy się człowiek przyjrzy z bliska, dochodzi do przekonania, że to bzdury. — Spojrzał na Józefa, jak gdyby był jednym z pojmanych zwierząt w klatce. — Dziwne — rzekł i potrząsnął głową — że ktoś wpada na tak kalekie pomysły. „Sława człowiekowi, który mówi prawdę.” — Znowu pokręcił kilkakrotnie głową. — A więc kochasz swego Mateusza — wrócił nagle do przerwanego wątku rozmowy.

Mateusz — potworny strach ścinał serce Józefa.

— Tak, kocham go — odparł nie bez trudu.

— I chciałbyś oczywiście, żeby zaszedł wysoko? — pytał dalej Domicjan. — Masz dla niego wygórowane ambicje? Chcesz, żeby był wielkim człowiekiem?

Józef odparł ostrożnie:

— Wiem, że nie zasłużyłem na dowody łaski, którymi mnie zasypywali władca i bóg Domicjan oraz jego poprzednicy. Ale życie moje składało się z wzlotów i upadków. Chciałbym tego oszczędzić memu synowi. Chciałbym mu zapewnić bezpieczną przyszłość.

Tak było istotnie; sny o sławie i blasku Mateusza odbiegły go w tej okropnej chwili, chciał go mieć znów przy sobie, chciał możliwie jak najprędzej zabrać go z Rzymu do Judei, zapewnić mu spokój i bezpieczeństwo. W duszy błagał swego Boga, żeby mu w tej ciężkiej chwili udzielił siły do znalezienia właściwych słów i uratowania syna.

— Ciekawe, bardzo ciekawe — mówił tymczasem cesarz. — Pragniesz więc dla swego syna spokoju i bezpieczeństwa. Czy uważasz, że edukacja przy dworze jest najpewniejszą drogą wiodącą do tego celu?

Słowa te ugodziły Józefa prosto w serce, był porażony tym, że wróg od razu wykrył jego piętę Achillesową — jego przestępstwo. Zgrzeszył bowiem właśnie przez to, że syna swego wprowadził na niebezpieczną, ścieżkę. Biedził się nad odpowiedzią.

— Chłopiec mój spodobał się cesarzowej — rzekł wreszcie. — Czy miałem sprzeciwiać się, kiedy boska Lucja zażądała, bym go oddał do niej na służbę? Nigdy nie odważyłbym się na taki brak szacunku.

Ale Domicjan, z chwilą gdy wykrył piętę Achillesową swego wroga, pachołka Jehowy, nie ustępował.

— Gdybyś sam tego nie był chciał — oświadczył i podniósł karcąco palec — lustrzane ściany ukazały jego wielokrotne odbicie — znalazłbyś jakiś wybieg, by temu zapobiec. Masz dla niego wygórowane ambicje — upierał się — bądź szczerzy, przyznaj to! Inaczej nie oddałbyś go na służbę do cesarzowej.

— Każdy ojciec ma ambicje dla syna — odrzekł Józef. Czuł osłabienie i pustkę wewnętrzną.

— Widzisz — rzekł Domicjan z zadowoleniem i dalej rozdrapywał ranę. — Powiedziałeś mi kiedyś, że pochodzisz z rodu Dawida. Sam przyznajesz, że masz ambicje dla syna. Czy nigdy nie przyszło ci na myśl, że może twój syn mógłby być owym wybranym, waszym Mesjaszem?

Józefowi pobladły wargi, zaschło mu w gardle.

Odpowiedział:

— Nie, o tym nie myślałem.

Z początku Domicjan uważał rozmowę z Żydem za ciężkie zadanie, które wziął na siebie tylko w tym celu, żeby się usprawiedliwić przed Jehową. Teraz jednak patrząc na wychudzoną, umęczoną twarz Józefa rozmowa ta przestała mu ciążyć. Ogarnęła go ogromna, dzika, okrutna chęć zobaczenia, co ten człowiek zrobi, jak się zachowa, jak zmieni się jego twarz, jakie znajdzie słowa, kiedy się dowie, jaki los spotkał syna. Oczy cesarza pragnęły tego widoku, uszy tęskniły za tym, by usłyszeć okrzyk ugodzonego, zniechęconego wroga, który rzucił mu w twarz swoje zuchwałe wyznanie i spodobał się jego Lucji.

Z namysłem, ostrożnie, ważąc każde słowo ciągnął dalej:

— Jeżeli w synu swoim nigdy nie budziłeś myśli, że mógłby być wybranym waszego Jehowy, to może w inny sposób podniecałeś jego ambicję. A może wasz Bóg od kolebki obdarzył go na drogę życia sercem bardzo ambitnym.

Józef słuchał słów cesarza z bolesnym napięciem.

— Jestem bardzo głupi — powiedział — albo mam dziś zły dzień i mózg mój wolno pracuje; nie umiem wytłumaczyć sobie słów cesarza.

Domicjan ciągnął dalej z tą samą nieubłaganą łagodnością:

— W każdym razie chwali ci się, że dla swego syna błagasz niebios o spokój i bezpieczeństwo.

Józef zaklinał teraz ze ściśniętym sercem, głosem drżącym ze wzruszenia:

— Byłbym ci nieskończenie wdzięczny, cesarze, gdybyś w rozmowie z zatrwożonym ojcem raczył się posługiwać słowami prostymi i zrozumiałymi.

— Jesteś bardzo niecierpliwy — skarcił go Domicjan. — Tak niecierpliwy, że przekraczasz granice przyzwoitości, zapominasz o szacunku należnym twemu cesarskiemu przyjacielowi. Ale nawykłem do tego, że muszę przebaczać, właśnie wobec ciebie bywałem często pobłażliwy, niech więc będzie tak i tym razem. Słuchaj zatem, mój impetyku. Rzecz wygląda tak: twój Mateusz wdał się w wielce ryzykowne przedsięwzięcie. Wierzę, mam nadzieję, widzę po twojej twarzy, jestem przekonany, że o tym nie wiesz. Cieszy mnie to ze względu na ciebie. Było to bowiem przedsięwzięcie wielce niebezpieczne i nie udało się. Było to niestety przedsięwzięcie zbrodnicze.

— Ulituj się nade mną, cesarze — błagał Józef cichym głosem, w ostatecznej męce. — Ulituj się nade mną, władco i boże Domicjanie! Co się stało z moim Mateuszem? Powiedz mi, błagam!

Domicjan spojrział na niego z poważną, bacznią ciekawością, z jaką oglądał zwierzęta w klatkach i rośliny w cieplarniach.

— Załatwił w Massilii polecenie cesarzowej — powiedział — zgodnie z instrukcją,

załatwił je dobrze, zbyt dobrze.

— Czy opuścił Massilię? — zapytał Józef nie mogąc tchu złapać. — I gdzie się znajduje?

— Wsiadł na okręt — odparł cesarz.

— Kiedy wróci? — dopytywał się Józef w dalszym ciągu. — Kiedy go zobaczę?

Ponieważ cesarz odpowiedział jedynie uśmiechem pełnym ubolewania, Józef zapomniał o należnym mu szacunku i zdjęty przeraźliwym, obłądnym strachem zapytał:

— A więc nie powróci?

Utkwił oczy w cesarza, zbliżył się do niego, dotknął nawet jego szaty. Domicjan, który brzydził się dotknięcia kogokolwiek obcego i uważał to za najhaniebniejsze wykroczenie przeciw należnej mu czci, odsunął się łagodnie.

— Przecież masz więcej dzieci, prawda? — powiedział. — Pokaż teraz, mój Żydzie, że twoje strofy o odwadze nie są tylko pustymi słowami.

— Miałem tylko jednego syna, ale już go nie mam...

Józef zaczął powtarzać uporczywie i bezmyślnie:

— A więc nie wróci.

Jąkał się, trudno go było zrozumieć, ale cesarz rozumiał i rozkoszował się zmiażdżeniem przeciwnika.

— Spotkało go nieszczęście — powiedział uprzejmie, z ubolewaniem. — Nie żyje. Poszedł o zakład z chłopcem okrętowym, o takie sobie dziecięce zawody. O ile mi wiadomo, wdrapał się na maszt i spadł z niego. Nie zdołano go uratować. Skręcił kark.

Józef stał nieruchomo, nie spuszczał oczu z ust cesarza. Domicjan czekał na jakiś okrzyk, ale się go nie doczekał. Twarz Józefa znieruchomiała nagle, zaczął coś bełkotać, otwierał i zamykał usta, usiłował mówić, ale nie był w stanie wykrztusić ani słowa.

Domicjan upajał się swoim tryumfem. Oto stoi przed nim człowiek, którego pokarali wszyscy bogowie nie wyłączając jego własnego Boga Jehowy. Domicjan postąpił więc słusznie, wygrał wielką bitwę przeciw Jehowie Jego własną bronią, podstępem, a jednak w sposób lojalny i nienaganny, i Bóg nie może mu nic zarzucić. Delektując się każdym słowem, ciągnął dalej poufałym tonem:

— Powinieneś dowiedzieć się o tym, mój Józefie. To nie przypadek, że syn twój Mateusz uległ nieszczęściu. Była to kara. Ale nie jestem mściwy, mam serce łagodne, i skoro go nie ma na świecie, niczego mu już nie zarzucam. Niechaj nikt się nie dowie, że musiał umrzeć, gdyż popełnił przestępstwo. Niechaj cały świat wierzy, że twój piękny, młody, uroczy syn Flawiusz Mateusz uległ nieszczęśliwemu wypadkowi. Słuchaj dalej: Na dowód, że jestem ci życzliwy, zgadzam się, by twój Mateusz miał taki pogrzeb, jak gdyby należał naprawdę do wybranych. Królewski pogrzeb, jak gdyby wasz król Dawid był Rzymianinem.

Cesarzowi nie było jednak danym stwierdzić, jakie wrażenie zrobiła jego wspaniałomyślność na przeciwniku. Jego łagodne i wzniosłe słowa nie dotarły do Józefa. Patrzył na cesarza osłupiałym wzrokiem, mamrotał coś, wreszcie runął jak długi.

Ale Domicjan miał jeszcze coś do powiedzenia, nie umiał powstrzymać słów rwących się na usta. Choć Józef go nie słyszał, choć leżał nieprzytomny, powiedział:

— Twoi uczeni rabbi oświadczyli mi, że nadejdzie dzień. Ale za mego życia, i na pewno za twego, mój Józefie, dzień ten nie nadejdzie.

Pewnego wieczora, wkrótce po rozmowie z cesarzem, stanął przed domem Józefa niewielki, czarny, uroczy orszak. Przyniesiono zwłoki Flawiusza Mateusza, który pełniąc służbę u cesarzowej uległ nieszczęśliwemu wypadkowi na pokładzie jachtu „Niebieska Mewa”. Kunszt balsamowania trupów stał w Rzymie bardzo wysoko. Domicjan powołał najlepszych

artystów w tym fachu. Przy pomocy maści, specyfików oraz szminki sprawili, że ciało, które wniesiono do domu Józefa, wyglądało pięknie i niemal nie było znać, że dotknęła je ręka śmierci. Lśniące, czarne włosy były starannie ufryzowane, twarz miała wygląd młodzieńczy, ale była zmieniona, gdyż czerpała całe swe życie z oczu, a oczy te były zamknięte. Kiedy Józef widział tę piękną kościstą głowę po raz ostatni, tkwiła na szyi bardzo jeszcze dziecięcej; teraz grdyka uwydlatniała się mocniej i bardziej po męsku.

Józef własnoręcznie przewracał meble w pokoju syna i złożył zwłoki na marach. Siedział przy skąym świetle lampy oliwnej, na przewróconym łóżku leżał chłopiec.

Józef pod wpływem szczęścia stał się człowiekiem dbałym o wygody, lękającym się zajrzeć w głąb własnej duszy i rozprawić się z sobą samym. Teraz wszystkie głębie stały otworem, całe jego jestestwo wołało go, nie można było się cofnąć. Po śmierci syna Szymona-Tinok miały nim sprzeczne uczucia, były w nim rozpacz, skrucha, samooskarżenie, ale również usprawiedliwianie samego siebie oraz oburzenie na Boga i świat. Teraz nad zwłokami syna swego Mateusza odczuwał tylko jedno: obrzydzenie i nienawiść do siebie.

Nie było w nim nienawiści do cesarza. Cesarz usunął z drogi młodzieńca, którego uważał za pretendenta do tronu Dawidowego, było to jego cesarskie prawo. Postąpił nawet dość ogłędnie. Mógł kazać wrzucić trupa do morza, oddać go rybom na pożarcie, dla Józefa wizja nieżyjącego syna, którego unoszą wzburzone wody, była czymś budzącym najwyższą grozę. Ale cesarz okazał łagodność, pozostawił mu zmarłego; laskawy, dobrotliwy władca nawet go przystroił i namaścił wonnościami. Cała nienawiść i całe obrzydzenie zwrócić się muszą tylko przeciw jednemu, przeciw Józefowi synowi Mateusza, przeciw Flawiuszowi Józefowi, głupcowi, pyszałkowi, który zestarzał się, ale nie zmądrzał, i syna swego pchnął na drogę zagłady. Załamanie się wewnętrzne Józefa nad zwłokami Mateusza było głębsze niż to, które w nim nastąpiło po śmierci Szymona-Tinok. Teraz nie można było naginać prawdy ani fałszywie tłumaczyć, teraz wszystkie przyczyny tkwiły w nim samym. Gdyby przez czystą pychę nie głosił, że pochodzi z rodu Dawida, Mateusz żyłby jeszcze. Gdyby, powodowany jedynie dumą ojcowską, nie wstrzymywał go od udania się z Marą do Judei, Mateusz żyłby jeszcze. Gdyby z czysto zewnętrznej próżności nie posłał go na służbę przy dworze Lucji, Mateusz żyłby jeszcze. Jego pycha i próżność zabiły Mateusza.

Potwornie się przerachował, jak ostatni głupiec. Zapatrzony w Cezara, któremu jednak nie udało się zrobić Cezariona ze swego syna, małpując wielkiego człowieka chciał zrobić Cezariona ze swego syna Mateusza. Wszystko, cokolwiek przedsięwziął w życiu, miało źródło w próżności. Przez próżność udał się jako młodzieniec do Rzymu, przez próżność odgrywał rolę proroka, przepowiadał Wespazjanowi jego cesarstwo, przez próżność stał się dziejopisem Flawiuszów, przez pychę przyznał, że jest potomkiem Dawida. Przez próżność napisał zakłamaną, dostojnie obiektywną *Historię uniwersalną*, z próżności powstała efektowna, płomienna broszura w obronie Żydów *Odpowiedź Apionowi*. A teraz przez próżność zamordował swego syna Mateusza.

Kochał tego Mateusza obłądną miłością ojcowską, podobnie jak Jakub kochał młodocianego Józefa. Podobnie jak Jakub darował młodzieńcowi lśniącą szatę, budząc przez to zawiść braci, okrył Józef swego Mateusza karygodnym blaskiem. Jakubowi oznajmiono: „Syn twój Józef został rozdarty na sztuki”, jemu wróg oznajmił: „Twój ukochany syn zginął.” Tylko że jedyną winą praojca Jakuba była szaleńcza miłość, on zaś, Józef syn Mateusza, splamił się i skalał grzechem. Ów młodociany Józef żył jeszcze, choć przez wszystkich opuszczony i w głębokiej studni, jego Mateusz leży tutaj, martwy, woskowy, uszminkowany, grdyka mu wystaje, pierś nie wznosi się i nie opada w oddechu, nie ma nadziei, żeby go można było uratować.

Minęła krótka letnia noc, rano poczęły nadciągać tłumy ludzi, by popatrzeć na zmarłego

Flawiusza Mateusza. Wiedziano, że cesarz osobiście maczał palce w nieszczęśliwym wypadku, w którym zginął faworyt jego Lucji, krążyły romantyczne historie o życiu i zgonie młodzieńca, mówiono wiele o jego urodzie i blasku. Przez komnatę z poprzewracanymi meblami, gdzie leżał Mateusz, przesunął się więc nieskończony korowód, składający się z współczujących, ciekawych i ambitnych. Przyszli, by nie zaniedbać sposobności przypodobania się cesarzowi, zobaczyć zwłoki, dać wyraz żałobie i współczuciu. Cały Rzym przedefilował przed trupem. Józef trzymał się z daleka, zamknięty w głębi domu przykucnął na podłodze, bosy, z włosami w nieładzie, w rozdartej szacie.

Przybyli Marull i Klaudiusz Reginus, przybył sędziwy Kajus Barcaarone, myśląc, że wkrótce i on znajdzie się na marach, przybył senator Messalin, stał długo przy zwłokach z współczującym wyrazem twarzy i nikt nie mógł odczytać, co się dzieje w jego duszy. Zjawił się również dozorca pawi Amfion lamentując głośno, przybyła Cecylia. I ona nie potrafiła powstrzymać potoku łez, które zalewały jej jasną, gładką twarzyczkę; kajała się, że w tak głupi sposób dokuczała Mateuszowi, że się później przed nim broniła, że odłożyła wszystko do chwili jego powrotu.

Przybyli również obaj książęta, Konstans i Petron, a raczej Wespazjan i Domicjan. Z poważnymi minami stanęli przy zwłokach wraz ze swym ochmistrem Kwintylianem. Ustąpiono im miejsca. Za nimi czekał ogromny tłum, ulica była zapchana ludźmi, którzy chcieli jeszcze raz zobaczyć zmarłego. Ale bliźniacy nie spieszyli się i, nawet kiedy Kwintylian zaczął w uprzejmych słowach nalegać, nie ruszyli się z miejsca. Chłopcy patrzyli na martwą twarz ukochanego przyjaciela. Choć młodzi, byli przyzwyczajeni do śmierci, widzieli wielu umierających, z których tylko nieliczni umierali spokojną śmiercią w łóżku. Ojciec ich został krwawo zgładzony, taki sam los spotkał ich dziadka i stryja. Choć przyjaciel ich Mateusz leżał cicho i spokojnie, chłopcy wiedzieli, że i jego utraciła dobrze znana ręka. Rozmyślali o tym wszystkim stojąc nad przewróconym łóżem. Nie biadali, robili wrażenie ludzi dojrzałych i dorosłych, Kwintylian nie miał ich zachowaniu nic do zarzucenia z wyjątkiem tego, że nie chcieli się stąd ruszyć. Dopiero na odchodnym młodszy z nich nie potrafił powstrzymać się od dziecinnego i zasługującego na skarcenie gestu: wyciągnął z rękawa swej togi pawie pióro, włożył je do ręki zmarłego po to, żeby Mateusz, kiedy znajdzie się w Hadesie, miał coś, czym by się mógł radować.

Cios, który ugodził Józefa, przeraził Żydów osiadłych w Rzymie. Przerazenie to jednak było pomieszane z uczuciem pewnego zadowolenia. Józef został zasłużenie ukarany przez Jehowę. Ostrzegano go, że źle jest, jeżeli ktoś tak zuchwale wspina się na szczyty i tak się tym pyszni jak Józef. Miał wielkie zasługi wobec Żydów, ale równocześnie przyczynił im wiele cierpienia, był człowiekiem dwulicowym i niebezpiecznym, obcym dla nich i niepojętym. W pokorze ducha wielbili sprawiedliwego Boga, że go w ten sposób ostrzegł i wskazał mu właściwe miejsce.

Stosownie do przepisów okazali żal i współczucie, posłali mu w koszach uwitych z wikliny żałobną potrawę z soczewicy. Przychodzili go pocieszać, ale byli zadowoleni, że się nie pokazywał. I to było karą Bożą, że pycha wzbraniała mu przyjmować pociechę.

W ciągu całego dnia, kiedy Rzym defilował przed zwłokami jego syna, Józef pozostawał w zamknięciu i nie dopuszczał do siebie nikogo z Żydów ani z Rzymian. Był to dzień bardzo długi, Józef wzdychał do nocy, kiedy znowu będzie miał chłopca dla siebie. Ale pod wieczór zgłosił się ktoś, kogo musiał przyjąć: kurier cesarski, urzędnik najwyższej rangi. Kurier ten pragnął mówić z Józefem w imieniu cesarza.

Władca i bóg Domicjan chce pochować z honorami Flawiusza Mateusza, który zginął w czasie podróży w służbie cesarskiej. Zamierza wnieść mu stos, jak gdyby Mateusz pochodził z

rodziny cesarskiej.

Choć kurier był wyszkolony w przekazywaniu zleceń cesarza w należytej formie, tym razem nie przyszło mu to łatwo, gdyż zdumiał go i zaskoczył widok Flawiusza Józefa. Widział go kilka dni temu, wówczas gdy cesarz wezwał go na Palatyn. Józef mimo podeszłego wieku wyglądał imponująco i doskonale prezentował się w rezydencji cesarskiej. A teraz stał przed nim brudny, nie ogolony, stary Żyd w łachmanach.

Tak, Józef stał zaniedbany, sędziwy i nie potrafił wydobyć z siebie ani słowa. Krzywda, którą mu wróg wyrządził, była najczelniejszym, najokrutniejszym szyderstwem, na jakie zdobyć się mogła ludzka wyobraźnia. Równocześnie jednak Józefowi zaświtała myśl, że tak wspaniały pogrzeb byłby odpowiedni dla Mateusza, lubiącego blask i świetność, i że jego ukochany syn nie wybaczyłby mu nigdy, gdyby odrzucił tak zaszczytną propozycję. Milczał więc długą chwilę. Kiedy wreszcie urzędnik zapytał głosem pełnym uszanowania, co ma zakomunikować cesarzowi, Józef odpowiedział mętnie, nie mówiąc ani tak, ani nie. Kurier stał zakłopotany. Cóż to za człowiek? Ośmiela się wahać, kiedy władca i bóg chce go uczcić w sposób, w jaki jeszcze nie uczcił nikogo! Ale właśnie dlatego, że cesarz okazywał Józefowi tak olbrzymi zaszczyt, dworak nie miał odwagi nalegać i wycofał się niezadowolony i pełen wątpliwości, czy należy wobec cesarza w gorących słowach wyrazić gniew z powodu dziwnego zachowania Józefa.

Józef, gdy został sam, na próżno szukał wyjścia. Szarpały nim sprzeczne uczucia. Chwilami był zdecydowany przyjąć propozycję cesarza, potem znowu mówił sobie, że przez to przyznałby rację Rzymianinowi i zaparł się swej idei. I znów widział martwą twarz swego chłopca i wydawało mu się, że Mateusz pragnie owego wielkiego ognia zapalonego na jego cześć, który ma go opromienić przed całym światem. Nie znajdował rozwiązania.

Następnego dnia przyjął najbardziej zaufanych przyjaciół: Klaudiusza Reginusa i Jana z Giskali. Siedział skulony na ziemi, boso, włosy miał w nieładzie, szatę podartą, umysł zamglony, duszę zdruzgotaną; przyjaciele zasiedli obok niego. Jeżeli nocy ubiegłej był Jakubem bolejącym nad stratą ukochanego syna, to teraz był Hiobem, którego pocieszają przyjaciele. To dobrze, że pociecha ograniczała się do rzeczowej rady; Józef nie zniósłby chyba bezwstydnego litości i współczucia.

Roztrząsali więc tylko owo zagadnienie czysto zewnętrzne, które musiało być rozwiązane jeszcze dzisiaj: sprawę pogrzebu. Co Józef ma zrobić? Jeżeli przyjmie propozycję cesarza, dopuści się wykroczenia przeciw zasadom uczonych w Piśmie. Od czasu praocjów, odkąd Abraham, Izaak i Jakub pogrzebani zostali w pieczarze Machpela, Żydom było wzbronione łączyć się z ojcami inaczej niż poprzez ziemię, i Józef miał uczucie, że byłoby z jego strony prowokacją własnego narodu, gdyby kazał spalić zwłoki syna. Jeżeli jednak pochowa go na modłę żydowską i proponowany przez cesarza stos odrzuci, to czy nie ściągnie na siebie cesarskiego gniewu, i to nie tylko na siebie!

Przemówił Klaudiusz Reginus, człowiek trzeźwy.

— Umarły umarłym pozostanie — powiedział — nie czuje tego, czy się go spali, czy zagrzebie w ziemię. Ogień czy ziemia to dla niego obojętne i daje mu równie mało radości, jak pawie pióro, które mu wsunął w rękę młody miły książę. Nie mogę sobie również wyobrazić, żeby dusza miała oczy albo skórę i potrafiła zobaczyć albo poczuć, jak pochowano tego, kogo opuściła. Co się tyczy twoich dalszych wątpliwości, to są to sentymentalizmy. Nie jestem Żydem i może właśnie dlatego potrafię dokładnie ocenić, jakie z tego mogą dla twego narodu wyniknąć korzyści i jakie szkody. Pozwól mi więc sobie powiedzieć, że twój naród musiałby drogo zapłacić, co najmniej wielkimi stratami, gdybyś się oglądał na jego zabobony i głupotę. Właśnie wzgląd na istotną korzyść Żydów wymaga, żebyś przyjął propozycję DDD. Blask bowiem tego stosu oświetli cały naród żydowski, który znalazł się w ostatnich czasach w cieniu i blasku

takiego bardzo potrzebuje.

— Tak, potrzebuje — rzekł Jan z Giskali i skierował na Józefa swe szare, skośne oczy. — A co się tyczy twoich dalszych zastrzeżeń, rabbi Józefie, to nie jestem uczonym, jak ty, i nie wiem, czy ktoś po śmierci coś czuje, czy nie. Nie mówię więc ani tak, ani nie. Ale gdyby twój Mateusz, tam gdzie jest teraz, istotnie coś odczuwał, to pragnąłby z pewnością, żeby ogień, w którym spłonie jego ciało, ogrzał cały naród żydowski. Poza tym sądzę — oczy jego nabrały teraz wyrazu jeszcze bardziej przebiegłego — że sam blask tak wielkiego ognia sprawiłby mu radość. Bo przecież kochał blask.

Słowa dwóch przyjaciół poruszyły Józefa. Blask, proponowany przez cesarza, powinien przynieść korzyść narodowi żydowskiemu, a poza tym nie mógł lepiej uczcić pamięci swego syna. Mimo to wszystko wzdrygało się w nim przeciw propozycji Domicjana. Jego Mateusz nie był Rzymianinem, zginął dlatego, że chciano zeń zrobić Rzymianina. W Józefie zrodziła się śmiała myśl. Cesarz pragnął uczcić zmarłego, a więc czuł się winny. Jeżeli chce go uczcić należycie, winien to uczynić nie na własną modłę, lecz tak, jak nakazują obyczaje narodowe zmarłego. Mateusz powinien leżeć w żydowskiej ziemi, jak przystało każdemu Żydowi, a mimo to uroczystość pogrzebowa winna roztaczać blask, jak to sobie umyślił cesarz. Józef sam zawiezie zwłoki do Judei, a cesarz powinien mu dostarczyć odpowiednich środków lokomocji. Powinien dać mu do dyspozycji szybki statek, liburnę, jeden z owych smukłych okrętów wojennych, zaopatrzony w trzy rzędy wiosł, do których byli przykuci najsprawniejsi niewolnicy. Tak chciał Józef zawieźć swego syna do Judei i tam pragnął go pogrzebać.

Podzielił się tym ze swymi przyjaciółmi. Spojrzeli na niego, potem na siebie i nie powiedzieli nic.

Po chwili Józef rzekł głosem, w którym brzmiała nuta gniewu i wyzwania:

— Ty, mój Klaudiuszu Reginusie, byłbyś odpowiednim człowiekiem dla przekazania cesarzowi moich żądań. Chcesz to uczynić?

— Nie chcę — odparł Klaudiusz Reginus — to nieprzyjemna misja. — A widząc, że Józef chce mu odpowiedzieć, dodał: — Ale jednak zrobię to. Przez przyjaźń załatwiałem już w życiu wiele niemiłych spraw. Nigdy nie byłeś wygodnym przyjacielem, rabbi Józefie — zakończył gniewnie.

Statek wojenny „Mściciel”, liburna, należał do szybkich żaglowców pierwszej klasy. Miał trzy rzędy wiosł, był niski, miał dziób ostro zakończony, odznaczał się lekkością i szybkością. Marynarka cesarska posiadała dziewięćdziesiąt cztery okręty tego typu. „Mściciel” nie należał do największych, jego wyporność wynosiła tylko 110 ton; miał czterdzieści cztery metry długości, zanurzenie wynosiło 1,7 metra. Obsługiwało go stu dziewięćdziesięciu dwóch niewolników przykutych do wiosł.

W pośpiechu, a jednak starannie przygotowano wszystko, czego wymagał transport zwłok, nie zapomniano nawet zabrać tego, który posiadał sztukę balsamowania. Ale nie skorzystano z jego usług, gdyż pogoda była sprzyjająca, statek trafił na pomyślny wiatr, noce były chłodne. Zwłoki mogły spoczywać na górnym pokładzie, w dzień chronił je przed słońcem dach.

Józef siedział sam przy zwłokach. Najmilsze były dlań noce. Dygotał z zimna na wietrze, którego siłę wzmagął szybki ruch statku. Na ciemnym niebie widniał skrawek księżyca, na ciemnej wodzie migotały słabe smugi światła. Józef siedział przy zwłokach, myśli jego kłębiły się jak wiatr i fale.

Była to ucieczka. Mądry przeciwnik dał mu swój najszybszy okręt, by uciekał jak najrychlej. Haniebnie, po trzykroć haniebnie ucieka z miasta, do którego trzydzieści lat temu przywędrował tak zuchwale i z taką pewnością siebie. Przebywał w Rzymie przez cały swój wiek

męski, walczył przez całe życie, raz po raz zdawało mu się, że trzyma zwycięstwo mocno w garści. Teraz przyszedł kres. Najhaniebniejsza klęska i ucieczka. Uciekł, wymknął się, wysłiznął, gorączkowo, haniebnie, na statku, który mu wróg dał do dyspozycji z szyderczo uprzejmą gotowością. Obok niego leży to, co uratował z życia, wypełnionego walkami: martwy chłopiec. Uratował martwego syna, oto nagroda lat, wypełnionych zuchwalstwem, przezwyciężaniem się, męką, upokorzeniami i fałszywym blaskiem.

Jak ten statek o szyderczej nazwie „Mściciel” pędzi, jak płasa po wodzie! „Mściciel”. A więc Mateusz ma szybki statek, jakiego sobie życzył na podróż do Judei, szybszy, wspanialszy, niż kiedykolwiek marzył. Chłopiec jego jest otoczony zaszczytami po śmierci, tak samo jak za życia. Cesarz okazał mu wielkie honory. Dla Mateusza poruszają wiosłem przykuci do swych ław niewolnicy, dla niego trudzi się oficer, dla niego wydymają się kunsztownie rozpięte żagle, dla niego statek pędzi jak strzała przez czarną wodę; jest to najlepszy statek rzymskiego cesarza, arcydzieło budownictwa okrętowego.

Dlaczego to wszystko? Kto potrafi dać na to odpowiedź? Mateusz także pytał zawsze: dlaczego? Pytał dziecinnie swym niskim, ukochanym głosem. Józef bezwiednie naśladuje niski, ukochany głos i w wietrzną noc rzuca głosem Mateusza słowo: „dlaczego?”

Czy istnieje odpowiedź? Jest tylko jedna. Odpowiedź rabbich, kiedy człowiek znajdzie się w obliczu naprawdę trudnego zagadnienia. Dyskutowano bez końca, gadano, badano, odrzucano, a potem człowiekowi, który w najwyższym napięciu czekał na rozwiązanie, uczeni rabbi odpowiadali: zagadnienie jest trudne, nie do rozwiązania, nie rozstrzygnięte. To *Kaszja*.

A jednak tak nie jest. Odpowiedź jednak istnieje. Ktoś znalazł ją kilkaset lat temu i nie cierpią go za tę odpowiedź, z powodu niej nie chciano zaliczyć jego księgi do kanonów Pisma świętego. Odpowiedź jego nie brzmi: *Kaszja*. Jest jasna i stanowcza, to właściwa odpowiedź. Zawsze kiedy Józef jest naprawdę poruszony, natrafia w głębi swej istoty na odpowiedź tego starego mędrca, kaznodziei Koheleta. Zagnieździła się w nim głęboko, teraz ją ma. To odpowiedź właściwa i słuszna.

„Doznałem, iż wszystkie sprawy, które Bóg uczynił, trwają na wieki: nie możemy im nic przydać ani nic ująć —które Bóg uczynił, aby się Go bano. Co już było, to i teraz jest: co będzie, już było; a Bóg odnawia, co przeminęło. Widziałem pod słońcem na miejscu sądu niezbożność, a na miejscu sprawiedliwości nieprawość. I rzekłem w sercu swoim: Sprawiedliwego i niezbożnego Bóg sądzić będzie i czas każdej rzeczy tedy będzie. Rzekłem w sercu synom ludzkim, aby ich Bóg doświadczył i ukazał, że są bestyom podobni. Przetoż jednakie jest dokończenie człowieka i bydłat, i równy stan obojga: jako umiera człowiek, tak i one umierają: i jednakowo tchną wszystkie, i nie ma człowiek nic więcej nad bydłę: wszystko podległo marności. I wszystko idzie na jedno miejsce. Z ziemi są uczynione i w ziemię się jednako obracają. Któż wie, jeśli duch synów Adamowych wstępuje wzgórze, a jeśli duch bydłący zstępuje na dół? I obaczyłem, iż nic lepszego, jedno weselić się człowiekowi w uczynkach swych, a iż to jest dzieło jego. Bo któż go przywiedzie, iżby poznał to, co po nim będzie?”

Odczuwał tak samo, z tą samą pewnością wyłoniło się to z głębi jego duszy, jak kiedyś z duszy Koheleta, wiedział to już wtedy u wezglowia swego zmarłego syna Szymona-Tinok. Później chciał to usunąć z myśli, oburzał się, wreszcie zapomniał. Teraz jednak Jehowa przypomniał mu to po raz drugi, twardo, szyderczo, gniewnie, skarcił i ukarał go, jak złego ucznia. Teraz może to sobie wpisać w serce, uczyni to dziesięciokrotnie, dwudziestokrotnie, tak jak mu każe wielki nauczyciel. „A oto wszystko marność i utrapienie ducha.” Zapisz to sobie, Józefie synu Mateusza, krwią serdeczną dziesięć, dwadzieścia razy, właśnie ty, któryś nie chciał tego uznać i chciałeś poprawiać Koheleta. Usiłowałeś obalić mędrca przez swe czyny i dzieła, przez swoją *Wojnę żydowską, Historię uniwersalną i Apiona*. A teraz tkwisz tutaj, na statku,

który unoszony szybkim wiatrem pędzi przez potężne morze, i wiesz ze sobą wszystko, co posiadasz: swego zmarłego syna. Marność, marność, utrapienie ducha!

Sierp księżycyca wypłynął wyżej, wychudzona, uszminkowana twarz zajaśniała bladą poświatą.

Co powie Marze, kiedy stanie przed nią po raz drugi i powie jej: syn, któregoś mi powierzyła, nie żyje.

Biadał cicho na pół otwartymi ustami:

— Niestety spadło na syna mego Mateusza, mego błogosławionego, pokonanego, najukochańszego syna! Wielki blask szedł od niego, miły był wszystkim i wszyscy — zarówno poganie, jak i wybrani — kochali go. Natchnąłem go próżnością i przez próżność pozbawiłem go życia. Biada, biada mnie i tobie, mój piękny, ukochany, dobry, promienny, błogosławiony synu Mateusza! Odziałem cię we wspianiały płaszcz, jak Jakub Józefa, wtrąciłem cię w nieszczęście, jak Jakub syna swego Józefa, którego kochał zbyt wielką, małą, próżną miłością. Biada, biada mi i tobie, ukochany mój synu!

Przypomniały mu się wiersze, które napisał: *Psalm obywatela świata*, *Psalm o sobie*, *Psalm o wydymaczu szkła* i *Psalm o odwadze*. Wiersze wydały mu się puste, sens miała dlań jedynie mądrość Koheleta.

Na cóż jednak zdała się ta świadomość? Nic mu nie pomagała, nie zmniejszała jego bólu. Zaczął wyc, wycie jego zagłuszało szum wiatru. Oficerowie, marynarze i niewolnicy przykuli do wiosła źle się czuli w pobliżu człowieka wiozącego przez morze zwłoki syna. Cesarz obarczył ich ohydny zadaniem. Bali się, że Żyd jest nienawistny bogom i że bogowie ześlą nieszczęście na ich piękny statek. Byli radzi, kiedy na horyzoncie ukazały się brzegi Judei.

Lucja, dowiedziawszy się o śmierci swego ulubieńca Mateusza, usiłowała zachować chłód i równowagę oraz bronić się przed podejrzeniem, które się w niej od razu zrodziło. Z początku zamierzała natychmiast pojechać do Rzymu. Ale знаła nieokiełznanie Józefa; nie ulega wątpliwości, że nie badając i nie rozważając, będzie przekonany, że to podstęp i zbrodnia; nie chciała, by i jej się udzieliły jego szaleńcze myśli i uczucia. Pragnęła zachować zimną krew, wytworzyć sobie obiektywny sąd, zanim cokolwiek przedsięwzięmie. Napisała do Józefa list pełen smutku, współczucia, słów przyjaźni i pociechy.

Kurier jednak, który miał doręczyć pismo, powrócił z wiadomością, że Józef znajduje się już na morzu ze zwłokami Mateusza i wiezie je do Judei.

Lucja nie poczuła się dotknięta, że Józef w swym nieszczęściu, które i dla niej było ciosem, nie zwrócił się do niej, nie pozwolił jej nawet wziąć w nim udziału i nie znalazł dla niej ani słowa. Poczuła tylko, że ten człowiek, który nie znał miary i granic, którego nieszczęście było równie egoistyczne jak szczęście, stał jej się nagle obcy. Nie pojmowała teraz, że mogła dopuścić do takiej z nim zażyłości. To, co między nimi istniało, mogło jeszcze długo trwać i kwitnąć; przeciął jednak wszystko tym, że tak bez słowa wyjechał do Judei. Był jakiś fatalizm w tej jego porywczoci, ścigał na siebie nieszczęście przez swe nieokiełznanie i przez swoiste pojmowanie grzechu. Była niemal rada, że stosunki ich się urwały.

Nie miała odwagi rozstrzygnąć, czy Domicjan popełnił tę zbrodnię. Przebywała w Bajae, Domicjan był w Rzymie, nie chciała go widzieć, dopóki miały ją wątpliwości, obawiała się, że powie jakieś nierozważne słowo, które nie pozwoli jej przekonać się nieomylnie o jego winie. Jeżeli istotnie zawinił, Lucja pomści Mateusza.

Otrzymała od Domicjana uprzejme, chłodne pismo. Komunikował, że Domicylla istotnie przez dosyć długi czas zostawiała chłopców w spokoju. Jest więc rad, że może spełnić życzenie Lucji. Polecił gubernatorowi Hiszpanii Wschodniej, by zawiadomił Domicyllę o jej ułaskawieniu. Lucja będzie więc mogła wkrótce powitać w Rzymie swą przyjaciółkę.

Lucja odetchnęła. Była rada, że przedwcześnie podejrzewała Wrzuska o zamordowanie Mateusza.

W dwa tygodnie później sekretarz donoszący jej co rano ostatnie nowiny powiedział, że księżna Domicylla zginęła mamie. Głosiła na swojej wyspie ewangelię ukrzyżowanego, niejakiego Chrystusa, zgodnie z poglądami nazareńczyków, pewnej sekty żydowskiej. Przede wszystkim zwróciła się do autochtonów wyspy, ale byli to na pół cywilizowani Iberyjczycy, zamieszkali w norach, przypominających raczej jaskinie dzikich zwierząt niż ludzkie siedziby. Pewnego razu, kiedy ze swą służebną wracała z jednej z takich osad, kilku opryszków i rabusiów napadło na obie kobiety, obrabowało je i zamordowało. Stało się to w chwili, kiedy gubernator Hiszpanii Wschodniej wysłał gońca, zawiadamiając Domicyllę o jej ułaskawieniu. Cesarz zarządził, by z rodu, z którego morderca się wywodził, co dziesiąty zawisł na krzyżu.

Jasna, śmiała twarz Lucji zasępiła się: dwie głębokie, pionowe zmarszczki przecięły jej dziecięce czoło, policzki zapłonęły gniewem. Nie dała sekretarzowi dokończyć. Poleciała, by przygotowano wszystko do wyjazdu.

Jeszcze nie wiedziała, co uczyni. Wiedziała tylko, że rzuci Domicjanowi w twarz całą swą furię. Choć często oburzała się na niego, miała jednak pewien szacunek dla jego nieokiełznanej, surowej, swoistej natury. Miłość jej do niego, którą wznieciły jego pycha, namiętność, obłęd oraz potężna indywidualność — nigdy nie wygasła w niej całkowicie. Teraz widziała w nim jedynie wcielenie zła, jedynie oszalone zwierzę. Tak samo jak niewątpliwie zamordował Domicyllę, ponieważ obiecał jej ułaskawienie, uśmiercił również swą drapieżną łapą promiennego, niewinnego chłopca. Ach, znowu z pewnością znajdzie na swoje usprawiedliwienie wielkie, dumne słowa. Ale tym razem Lucja nie da się wyprowadzić w pole. Zamordował chłopca za to, że Mateusz był dobry, prosty, a także może dlatego, że jej przypadł do serca. Domicyllę zamordował również tylko po to, by zranić ją, Lucję, podobnie jak niedobre dziecko niszczy zabawkę, która drugiemu sprawia radość. Powie mu to prosto w oczy; gdyby tego nie uczyniła, udusiłaby się od nie wypowiedzianych słów! Rzuci mu w twarz całą swoją wściekłość, całe swoje obrzydzenie!

Nie ociągając się ruszyła do Rzymu.

Rozmowa z Józefem sprawiała Domicjanowi głębokie zadowolenie. Kiedy Józef odrzucił jego projekt pochowania chłopca z blaskiem i przepychem, uśmiechnął się tylko. Nie brał Józefowi za złe jego czelności; była dowodem, że istotnie ugodził przeciwnika w najczulsze miejsce. Kiedy mu potem Klaudiusz przekazał zuchwałą prośbę Żyda, poczuł, że osiągnął chyba szczyt tryumfu. Mógł bowiem w dodatku okazać się wspaniałomyślny i dowieść, że to, co uczynił, nie było skierowane przeciw Bogu Jehowie. Cesarz Domicjan musiał napiętnować przestępstwo Mateusza, lecz ulubieńcowi Boga Jehowy okazywał największe honory. Uśmiechał się ponuro na myśl, że spośród jego szybkich statków przysposobiono do drogi właśnie „Mściciela”, że „Mściciel” wiezie do Judei Józefa i jego zmarłego syna. Jedź sobie, Józefie, Żydzie mój, jedź na moim wspaniałym, szybkim statku! Niechaj pomyślne wiatry wam towarzyszą, tobie i twemu synowi, jedźcie, jedźcie! Katylina uszedł, wymknął się.

Im bardziej jednak wróg się oddalał, im dalej od Rzymu znajdowała się liburna „Mściciel” ze zmarłym i żywym na pokładzie, tym bardziej rozwiewała się radość cesarza. Wbrew swojej naturze stał się ospały, leniwy. Nie mógł się nawet zdobyć na niewielką podróż do Alba i pozostał w skwarным Rzymie.

Powoli opadły go znowu dawne wątpliwości. Postąpił słusznie, rzecz prosta, że zgładził Flawiusza Mateusza. Mateusz dopuścił się zdrady stanu, cesarz miał nie tylko prawo, ale i obowiązek ukarania go. Ale przeciwnik jego, Bóg Jehowa, to istota przebiegła, podstępna i uparta. Umysł ludzki nie może Mu sprostać. Już On znajdzie powody do niezadowolenia, że

Rzymianin kazał sprzątnąć ze świata Jego wybrańca, potomka Dawida. Domicjan może się powołać na mocne argumenty. Czy wrogi Bóg jednak zechce je uznać? A każdy wie przecież, jak mściwy jest ten Bóg Jehowa i jak dłoń Jego trafia nieomylnie nawet w ciemnościach !

Cóż ten Bóg Jehowa może mu zarzucić? Ulubieniec Jehowy, jego wysłannik w zuchwały sposób w obliczu całego Rzymu rzucił cesarzowi w twarz nikczemny *Psalm o odwadze*. Ten wysłannik Jehowy tak sobie zjednął Lucję, że utrzymywała z nim przyjazne stosunki oraz w sposób prowokacyjny wyróżniała jego osobę i jego misję wobec wszystkich. Domicjan jednak nie usunął Mateusza dlatego, by się na nich zemścić. Nie chciał ich ugodzić. To, że ich jednak ugodził, było rezultatem ubocznym powierzonej mu niestety przez bogów świętej misji. Nie, nie odczuwał gniewu ani na Józefa, ani na Lucję, przeciwnie, miał dla nich przyjazne uczucia. To nie on zrobił im krzywdę. Uczynili to bogowie i los, on zaś, jako przyjaciel, pragnął szczerze ich pocieszyć.

Mimo to trawiło go tajemne uczucie, że jest tu jakaś wina, więc zgodnie ze swym przyzwyczajeniem starał się tę winę zepchnąć na kogoś innego. Co było pierwszą pobudką do tego czynu? Zaczęło się od tego, że Norban zaprezentował mu dwóch potomków Dawida. Norban miał w tym określony cel. Cesarz nie wiedział, jakie Norban miał zamiary, ale jedno było pewne: Norban umyślnie wcisnął mu w rękę pierwsze ogniwo łańcucha, którego ostatnim ogniwem była śmierć Mateusza. Jeżeli więc istniała wina, to winien był Norban.

Domicjan wystrzegał się oczywiście tego, by sobie owe myśli uświadomić w całej pełni, a tym bardziej wyciągnąć z nich konsekwencje. Siedząc nad tabliczką do pisania i myśląc o swoim ministrze policji, kreślił jedynie kółka i koła, a nie litery lub słowa, i kółka te, i koła odzwierciedlały myśli cesarza. Kiedy jednak mówił wprost o Norbanie, zarówno przed innymi, jak i w myśli, nazywał go zawsze swoim Norbanem, najwierniejszym spośród wiernych.

Kiedy Lucja przybyła na Palatyn, Domicjan zamknął się w swojej bibliotece i wydał polecenie, żeby mu nie przeszkadzano. Lucja jednakże tak gwałtownie domagała się natychmiastowego dopuszczenia jej przed oblicze cesarza, że marszałek dworu Ksantias zameldował ją mimo zakazu. Bał się, że cesarz wybuchnie gniewem. Ale Domicjan zachował spokój, zdawało się nawet, że cieszy się na to spotkanie.

Domicjan obawiał się oczywiście, iż Lucja domyśli się, w jaki sposób doszło do śmierci Mateusza i Domicylli. Ale jego Norban znowu zdał egzamin, znowu dobrze się spisał; dostarczył nie budzących wątpliwości zeznań świadków, zarówno w związku z nieszczęśliwym wypadkiem, któremu uległ Mateusz, jak i z zamordowaniem Domicylli przez tłuszczę iberyjską. Skoro Domicjan miał dowody ratujące pozory, mógł tym łatwiej znaleźć usprawiedliwienie sam przed sobą. Mateusz dopuścił się niewątpliwie zdrady stanu, a usunięcie Domicylli właśnie po otrzymaniu przez nią zdradzieckiego listu było konieczne, jeśli chciał ochronić dusze chłopców.

Kiedy jednak do biblioteki wpadła Lucja z twarzą wykrzywioną pasją, nawet fałdy jej szaty zdawały się wyrażać oburzenie, opuściła go pewność siebie. Zawsze słabł na widok tej kobiety i dziś czuł, jak topnieją wszystkie jego argumenty. Ale słabość ta trwała tylko ułamek sekundy. Po chwili był znowu poprzednim Domicjanem. W łagodnych, uprzejmych słowach wyraził żal z powodu zrządzenia losu, które jego i ją pozbawiło dwóch przyjaciół.

Lecz Lucja nie pozwoliła mu skończyć.

— Los ten — powiedziała ponuro — ma imię. Nazywa się Domicjan. Nie kłam, milcz! Nie mów ani słowa! Nie masz przed sobą senatu. Nie staraj się usprawiedliwiać, nie ma żadnego usprawiedliwienia! Nie wierzę żadnemu twemu słowu! Siebie samego możesz okłamywać, mnie nie! Ale tym razem nie zdołasz zamydlić oczu nawet sam sobie. Postąpiłeś tchórzliwie i nikczemnie! Zamordowałeś go tylko dlatego, że chłopak ci się podobał! Tylko dlatego, że widziałeś sam, jaki jest niewinny, jaką czystością promienieje, dlatego że nie mogłeś znieść

kogoś takiego w pobliżu siebie! Była to tylko i wyłącznie małostkowa zazdrość. A Domicylla? Sam powiedziałeś, że nic ci złego nie zrobiła. Jaką ty masz plugawą duszę! Nie zbliżaj się do mnie, nie dotykaj mnie! Czuję wstręt do samej siebie, kiedy pomyślę, że pozwoliłam ci spać ze mną!

Domicjan cofnął się posłusznie, oparł się o biurko, nieco spocony.

— Ale jednak było ci ze mną dobrze, moja Lucjo? — syknął szyderczo. — A może nie? Nieraz miałem wrażenie, że ci to bardzo dogadzało. — Na wymownej twarzy Lucji pojawił się wyraz obrzydzenia, więc uśmiech znikł powoli ze szkarłatnego oblicza Domicjana, które na chwilę stało się przerażająco blade. Potem jednak znowu zdobył się nie bez trudu na uśmiech i powiedział z ironią:

— Chłopak musiał ci być naprawdę bliski. Ciekawe, bardzo ciekawe pozostaje w każdym razie to, coś mi objawiła o historii naszych wzajemnych stosunków.

— Tak — odparła Lucja o wiele spokojniej i przez ten spokój gorycz jej nabrała akcentu jeszcze bardziej pogardliwego — historia naszych stosunków jest interesująca. Ale teraz koniec. Dałam się zwieść, kochałam cię. Dziesiątki, setki razy dopuszczałeś się czynów, wobec których wzdygała się cała moja istota, i zawsze umiałeś mnie przekonać. Ale teraz, Wrzusku, nadszedł koniec. — Tym razem słowo „Wrzuszek” nie brzmiało żartobliwie, lecz gorzko i szyderczo. — Koniec — powtórzyła. — Często potrafiłeś mnie opętać, jesteś uparty, niełatwo rezygnujesz z powziętego planu. Ale radzę ci, żebyś się przyzwyczaił do myśli, że między nami wszystko skończone. Decyzje moje powstają gwałtownie, ale trzymam się ich mocno. Wiesz o tym dobrze. Moich słów nie można przekręcać i tłumaczyć opacznie, jak twoich. Zrywam z tobą, Domicjanie. Czuję wstręt do ciebie. Między nami wszystko raz na zawsze skończone.

Po odejściu Lucji na zaczerwienionej twarzy Domicjana pozostał jeszcze przez chwilę zakłopotany, sztucznie ironiczny uśmiech, którym próbował ukryć swą wściekłość. Oczyma krótkowidza patrzył za nią, która odeszła, w uszach jego brzmiało jeszcze echo jej słów. Stopniowo twarz odprężyła się. Domicjan zagwizdał kuplet:

I byś uszczknie dziewczę złotowłose.

Byleby hojnie potrząsnął swym trzosem.

Potem usiadł przy biurku, wziął złoty rylec, zaczął kreślić na tabliczce koła i kółka.

— Hm, hm — mamrotał — ciekawe, bardzo ciekawe.

A więc gardziła nim. Wielu oświadczyło, że nim gardzi, ale były to puste słowa, bezsilne gesty; było nie do pomyślenia, by ktoś ze śmiertelnych mógł pogardzać nim, władcą i bogiem Domicjanem. Lucja była wśród żyjących jedyną istotą, której uwierzył.

Na chwilę oddał się całkowicie świadomości, że odeszła, że przecięła wiążącą ich nić. Cięcie to bolało, chłód jego ostrza wrzynał się głęboko. Ale potem zaczął się przeciw temu bronić, opanował się, zrozumiał, że słowa jej są ostateczne i nie ma sensu trapić się tym, co minęło raz na zawsze. Trzeba tylko wyciągnąć wnioski.

Lucja wyrzekła się go, wyłamała się spod jego władzy. Nie była już kobietą należącą do niego, była wrogiem, popełniła zdradę stanu. Chciała go skłonić do odwołania Domicylli z wygnania, jakkolwiek wiedziała lepiej niż inni, że Domicylla będzie próbowała wyrzucić zabójczy wpływ na swoich synów. Już to samo stanowiło zdradę stanu. Potem spiskowała z Domicyllą, próbowała go oszukać, obiecując, że Domicylla będzie się zachowywać lojalnie: chodziło o to, by z chwilą gdy będzie w pobliżu synów, móc ich odciągać od religii panującej. Oczywiście zdrada stanu. Lucja jest przestępczynią. Domicjan musi cisnąć grom.

Nie wyjeżdżał w dalszym ciągu z Rzymu.

Lucja również pozostała w Rzymie, jakkolwiek sierpień był tego roku wyjątkowo upalny. Może dlatego nie wracała do Bajae, ponieważ wspomnienia Mateusza, których pełno było w

domu i w ogrodzie, zatrutyby jej radość pobytu tam. Złożyli jej wizytę książe Wespazjan i Domicjan, którym towarzyszył ochmistrz Kwintylian. Ostatnie wydarzenia były dobrą okazją dla wpajania w jego wychowanków zasad stoickich. „Zachowaj spokój w trudnych czasach.” Nie trzeba było długo chłopców pouczać, stali się cisi, nie żalili się, twarze mieli surowe i kamienne. Byli bardziej synami Domicylli niż Klemensa, prawdziwymi Flawiuszami. Przebyli dopiero krótki odcinek czekającej ich drogi, ale droga ta była usłana trupami. Ojca zastępował im teraz człowiek, który prawdziwego ich ojca i przyjaciela posłał do Hadesu, matkę zaś na wygnanie. Musieli żyć przy boku tego człowieka, o tym, co im najbardziej leżało na sercu, mogli mówić jedynie ze sobą potajemnie i półsłówkami. Człowiek, który ich nazywał synami, był mężem najpotężniejszym na świecie, ich samych oczekiwała nieograniczona pełnia władzy. Ale byli bardziej bezsilni od niewolników pracujących w szybach kopalni; ci mogli mówić, o czym chcieli, skarżyć się, oni zaś, synowie cesarscy, snuli się w ciemnościach głębszych niż ciemności kopalni; otaczający ich blask przesłaniał tylko połowicznie te ciemności, nawet we śnie trudno im było odkładać maskę, którą im nosić kazano. Z wielką ulgą dowiedzieli się, że Lucja znowu jest w Rzymie. Kiedy ją zobaczyli po raz pierwszy, byli jednak skrępowani obecnością Kwintyliana. Zmiany, które zaszły w chłopcach, przeraziły Lucję. Jakże prędko nastąpiły tu, na Palatynie. Wszystko się tu zmieniło, a może tylko dotychczas widziała wszystko w fałszywym świetle. Nie wiedziała właściwie, co chłopcom powiedzieć. Wszyscy troje szukali z udręką odpowiednich słów, zręczny Kwintylian musiał raz po raz wypełniać chwile uciążliwego milczenia. Wreszcie Lucja nie mogła tego znieść dłużej.

— Dajcie spokój — powiedziała — przestańcie udawać dorosłych mężczyzn! Ty stań się Konstanssem, a ty Petronem, oplakujcie Mateusza i waszą matkę! — Objęła ich ramieniem. Nie zważali już na obecność Kwintyliana, zatonęli w słodkich i smętnych wspominkach o Mateuszu, wypowiadali ponure słowa gniewu.

Po tym spotkaniu Kwintylian najchętniej nigdy by już nie pozwolił na zetknięcie chłopców z cesarżową. Ale chłopcy opierali się mu. Domicjan, który jak zazwyczaj nie był jeszcze zdecydowany, kiedy ma porazić Lucję gromem, nie chciał jeszcze dopuścić do otwartego zerwania, postanowiono więc, że książe będą widywali Lucję co tydzień.

Życie na Palatynie płynęło ponure i pełne niebezpieczeństw, letni skwar czynił wszystko jeszcze trudniejszym do zniesienia.

Miasto również czuło, że dookoła Domicjana gromadzą się chmury. Krążyły liczne plotki o rozmaitych złych znakach. Pewnego razu podczas burzy piorun uderzył w sypialnię Domicjana, innym razem wichura zerwała tablicę z napisem z jego kolumny tryumfalnej. Niezadowoleni senatorzy komentowali żywo te znaki, liczni cieszący się uznaniem astrologowie twierdzili, iż cesarz nie dożyje zimy.

Zgodnie z obyczajem, Domicjan kazał pogrzebać piorun, który uderzył w jego sypialnię. Napis na kolumnie tryumfalnej polecił wmurować w cokół, żeby największa wichura nie mogła go zerwać. Norban kazał uwięzić jednego z wróżbitów; torturowany zeznał, że pewien senator z opozycji skłonił go, by nadużywając swego kunsztu głosił kłamstwa. Senatora skazano na wygnanie, wróżbita został uśmiercony.

Mimo tych złych znaków przywiązanie mas do cesarza nie malało. Czuły się pod jego rządami bezpieczne. Umiarkowana polityka zagraniczna odbijała się korzystnie na życiu gospodarczym. Żadne kosztowne bawienie się w politykę agresywną i prestiżową nie podkopywało dobrobytu kraju, gubernatorowie plądrowali prowincje w sposób względnie umiarkowany. Nie zapominano również o wielkich uroczystościach, podczas których rozdzielano dary. Masy były więc zadowolone z rządów Domicjana. Tym bardziej nienawidzono go w kołach wysokiej arystokracji i wśród bogaczy. Biadano nad utraconą wolnością i nad despotyczną

samowolą, byli ludzie, którym robiło się czarno w oczach na widok znieawidzonej, pełnej pychy twarzy cesarza.

Był sobie stary senator Korell. Od trzydziestego trzeciego roku życia cierpiał na podagrę. Wstrzeźliwość złagodziła na czas jakiś jego cierpienie, ale później choroba ogarnęła całe ciało, był połamany i zniekształcony, miewał bóle nie do zniesienia. Należał do stoików, uchodził za człowieka odważnego, przyjaciele dziwili się, że nie kładzie kresu swym cierpieniom.

— Czy wiesz — oświadczył pewnego dnia szeptem swemu najmilszemu przyjacielowi, Sekundusowi — dlaczego się przezwyciężam i znoszę ten potworny żywot? Przysięgam sobie, że przeżyję tego psa, Domicjana!

Domicjan kpił sobie ze złych znaków. Są fałszywie komentowane, nie świadczą o niczym. Wystarczy otworzyć oczy, by się przekonać, jak szczęśliwe jest jego panowanie, jak rośnie dobrobyt i zadowolenie ludu. Był jednak zbyt trzeźwy, by nie zauważyć, że mimo to nienawiść wokół niego przybierała na sile. Wraz z tą nienawiścią wzmagaly się w cesarzu wrogość w stosunku do ludzi i lęk.

Był straszliwie samotny, zewsząd otaczały go zdrada i przekupstwo. Teraz w dodatku odeszła od niego jego Minerwa, a ostatnio zdradziła go nawet Lucja. Kto mu właściwie pozostał?

W myśli dokonał przeglądu twarzy przyjaciół i najbliższych. Oto Marull i Reginus. Ale to zgrzybiali starcy i nie wiadomo nawet, czy po śmierci Mateusza może ich być całkowicie pewien. Oto Annius Bassus. Ten jest młodszy i można na nim całkowicie polegać. Ale to prostoduszny żołdak, to głupiec, nie można go używać do zawikłanych spraw, wymagających subtelniejszego wyczucia. Jeżeli mimo niebywałego wysiłku nie potrafi znaleźć zrozumienia u Lucji, to jakże potrafi je znaleźć u Bassusa? Jest jeszcze Norban. Ale Norban poznał go zbyt gruntownie, głębiej, niż wolno przeniknąć boga i władcę Domicjana, dotarł za głęboko. Poza tym Norban jest tym, który mu włożył do ręki pierwsze ogniwo niebezpiecznego łańcucha. Norban to najwierniejszy z wiernych, ale nawet pomiędzy Domicjanem i Norbanem wszystko skończone.

W gruncie rzeczy pozostał jedynie Messalin. Jakaż to łaska bogów, że go pozbawili wzroku! Władca i bóg Domicjan może ukazywać swą twarz martwym oczom Messalina bez lęku i bez wstydu. Ślepemu Messalinowi wolno wiedzieć to, czego nie wolno wiedzieć nikomu poza nim. Jest przynajmniej jeden człowiek na świecie, któremu Domicjan może wszystko powiedzieć bez obawy, że będzie tego później żałował.

Domicjan siedział w swojej zamkniętej bibliotece, ale nie był sam. Otaczały go wrogość do ludzi i strach. Dlaczego to wszystko? Dlaczego jest taki samotny, dlaczego otacza go taka nienawiść? Naród jego jest szczęśliwy, Rzym wielki i potężny, szczęśliwszy niż kiedykolwiek. Dlaczego otacza go ta nienawiść?

Jeden mógł być tylko powód: wrogość owego Boga Jehowy. Nie dał się przebłagać. Choć cesarz tak dobrze wszystko przewidział, ten Bóg Jehowa swoim wschodnim, adwokackim rozumem w splocie wydarzeń otaczających Mateusza znalazł widać jakąś podstawę prawną przeciw cesarzowi rzymskiemu. Nie ulega wątpliwości, że to zemsta Boga Jehowy nie pozwala mu zażywać spokoju.

Czy nie ma środka na przebłaganie gniewu Boga?

Nie ma. Poświęci Bogu człowieka, który przyczynił się do zabicia Mateusza, człowieka, który wcisnął mu do ręki pierwsze ogniwo łańcucha, swego ministra policji Norbana. Wielka to ofiara, bowiem Norban to najwierniejszy z wiernych.

Siedział nad swoją tabliczką do pisania. Tym razem nie kreślił kółek i kół, tym razem były to nazwiska. Jeżeli pośle Norbana do Hadesu, Norban nie odbędzie tej ponurej drogi sam, lecz wyśle z nim także innych.

Rylec wżera się powoli w wosk, cesarz wypisuje skrupulatnie nazwisko za nazwiskiem.

Oto niejaki Salwiusz, który miał czelność czcić rocznicę śmierci swego stryja, cesarza Ottona, wroga Flawiuszów. Domicjan z ogromnym zadowoleniem ryje w wosku nazwisko Salwiusza. Oto pisarz Didymus, który do swojej szeroko wysławianej historii Małej Azji wplótł aluzje, które się cesarzowi nie podobały. Domicjan umieszcza na liście jego nazwisko i dodaje w nawiasach: „jak również wydawcę i skrybów”. Z kolei, nazwisko to ryje bardzo szybko, przychodzi kolej na Norbana. Potem Domicjan umieszcza szereg innych, obojętnych nazwisk. Po krótkim wahaniu pojawia się na tabliczce nazwisko Nerwa. To wprawdzie sędziwy jegomość, zbliża się do siedemdziesiątki, jest pełen umiaru, ostrożny, nie można mu niczego dowieść, ale właśnie dlatego, że jest taki spokojny i ostrożny, skupia się dookoła niego opozycja. Domicjan odczytuje to nazwisko, prezentujące się na liście imponująco. Potem dopiero wolno, starannie ryje na tabliczce imię Lucji. Zamyka listę kilkoma nic nie mówiącymi nazwiskami.

Jest głęboko pochłonięty swą pracą. Ukończywszy listę oddycha z ulgą, podnosi wzrok, czuje się jak po zwycięstwie. Wstaje, prostuje się, uśmiecha, z lustrzanych wykładzin na ścianach uśmiecha się doń kilku Domicjanów. Jeśli wschodni Bóg znalazł pretekst do wystąpienia przeciw niemu, to cesarz rzymski znowu wytracił mu broń z ręki. Poświęcił temu Bogu swego Norbana. Teraz Bóg musi się zadowolić, musi go zostawić w spokoju.

Przed wieczorem Domicjan spożywał posiłek z obydwoma książętami. Jedli we trójkę, nie było nawet Kwintyliana, który udał się na prelekcję do jednego ze swoich przyjaciół. Dotychczas cesarz bywał w obecności chłopców gniewny i rozdrażniony, dziś jednak przy posiłku władca i bóg Domicjan, ich kuzyn i ojciec, okazywał dobry humor. Rozmawiał z chłopcami zadowolony i uśmiechnięty. Nie wiedzą nawet, ile mu mają do zawdzięczenia, co uczynił, by ułatwić im panowanie, które ich oczekuje.

Chłopcy siedzieli z poważnymi minami. Chciał dziś zapomnieć o ich powadze i smutku. To prawda, że przed kilku tygodniami stracili matkę. Ale była to matka słaba, na pół obłąkana, wyblakła w porównaniu z ich wielkim, potężnym, cesarskim, boskim ojcem, który ściele im pod nogi swój blask i swoje bogactwo. Nie powinni mieć tak ponurych twarzy. Wysilał się, aby ożywić swoich młodych, zbyt milczących współbiesiadników. Zachował umiejętność błaznowania, był przy tym ponury, a równocześnie fascynujący. Silił się na niezwykłą uprzejmość, mówił do bliźniaków jak do dzieci, a mimo to traktował ich jak dorosłych, ułatwiał im uderzenie w ten sam lekki ton; uśmiechali się grzecznie na jego żarty i kawały.

Nie, tego wieczoru nie był ani trochę bogiem, zachowywał się po ludzku, po koleżeńsku. Wypytywał chłopców o ich ulubione rozrywki i upodobania. Książę Domicjan zaczął więc opowiadać o hodowli paw w Bajae; z początku bardzo ożywiony, gdy poczuł na sobie wzrok brata, przypomniał sobie Mateusza, stał się małomówny, zamilkł. Wydawało się, że cesarz tego nie zauważył. Zanotował coś na tabliczce, po czym zaczął opowiadać o swoich kapryсах i słabostkach.

— Lubię — zwierzał się chłopcom — zaskakiwać ludzi zarówno w dobrym, jak i złym znaczeniu. Lubię powolne decyzje i następujące po nich błyskawiczne czyny. Takie zaskoczenie wymaga jednak najczęściej sporo czasu i trudu.

Wespazjan zapytał:

— Czy te zaskoczenia, te niespodzianki, zawsze ci się udają, władco mój i ojczyźnie?

— Zazwyczaj się udają — odparł cesarz.

Na to młody Domicjan:

— Mówisz tak, władco mój i ojczyźnie, jak gdybyś przygotowywał nową niespodziankę.

— Może tak jest — odparł żartobliwie dobrze usposobiony, rozmowny cesarz.

Obaj chłopcy spojrzeli na niego. We wzroku ich błyskały strach, nienawiść i ciekawość; równocześnie schlebiali im wyraźnie, że pan świata tak po koleżeńsku z nimi rozmawia.

— Zapewne — ciągnął dalej cesarz delektując się napięciem, jakie malowało się na ich młodocianych twarzach — dziwicie się, że ojciec wasz tak sobie, bez ogródek opowiada o niespodziankach, które przygotowuje. To, co zamierzam, nie jest znów takie odległe. Kiedy to uczynię, wszyscy będą uważali, że się to po prostu narzucało. A jednak pojawi się to jak delfin, który nagle wyskakuje z gładkiej tafli morza.

W starszego z chłopców, Wespazjana, wstąpiła nagle ponura buta. Zapytał:

— Czy wskutek twojej niespodzianki, panie mój i ojczy, ludzie będą umierali?

Domicjan podniósł ku niemu wzrok, rozgniewany, zdumiony tak niebywałym zuchwalstwem. Potem roześmiał się. Przecież sam sprowokował pytanie swoimi poufałymi słowami. Powiedział więc na pół żartem:

— Jeśli my, bogowie, żartujemy, zdarza się, że tym, z którymi żartujemy, nie wychodzi to na dobre.

Kiedy Domicjan zwolnił chłopców, jeden rzekł do drugiego:

— Ten rzeźnik zamyśla nowe uderzenie. Ma to być niespodzianka, a jednak coś, czego się należy spodziewać. Kogo jeszcze mógłby zamordować? Nas? Nie byłaby to ani niespodzianka, ani coś, co dałoby się łatwo przewidzieć.

Domicjan udał się do sypialni. Czynił to często po spożyciu posiłku; komnaty cesarskie należały teraz do chłopców. Czy cesarz nie sprowokował ich wyraźnie, by wykryli jego niespodziankę? Palili się, by ustalić, kogo z kolei chce zamordować. Byli Flawiuszami, rozpierała ich chęć czynu, byli żądni zemsty, piekielnie odważni.

Poszli do biblioteki cesarza. Strzegli jej kapitan i dwóch żołnierzy.

— Wpuście nas! — poprosił księżę Wespazjan. — Chodzi o niespodziankę, o zakład z cesarzem. Jeżeli cesarz przegra zakład, uśmieje się tylko. Jeżeli zaś my wygramy zakład, kapitanie Korwin, nie zapomnimy ci tego, żeś nas wpuścił. Możesz więc, kapitanie, tylko na tym zyskać.

Kapitan ociągał się. Nigdy nie lubił służby wartowniczej przy Domicjanie, wszystko, co się zrobiło i czego się nie zrobiło, było niebezpieczne. Oficerowie gwardii zwykli żartować: „Kto pełni straż u cesarza, ten winien przedtem złożyć ofiarę bogom Hadesu.” Jeżeli wzbroni chłopcom wstępu, może się to źle skończyć, jeżeli ich wpuści, skutek może być również fatalny. Nie wpuścił ich.

Chłopcy byli Flawiuszami, synami Domicylli. Sprzeciw wzmógł tylko ich upór. Udali się do sypialni cesarza.

Pilnowali jej kapitan i dwaj żołnierze.

— Wpuść nas! — poprosił księżę Domicjan. — Chodzi o niespodziankę, o zakład z cesarzem. Jeżeli cesarz zakład przegra, roześmieje się tylko. A jeżeli my wygramy zakład, kapitanie Serwiuszu, nie zapomnimy ci tego, żeś nas wpuścił. Możesz więc tylko na tym zyskać.

Kapitan ociągał się. Jeżeli wzbroni chłopcom wstępu, może się to źle skończyć. Wpuścił ich.

Domicjan leżał na wznak i spał z na pół otwartymi ustami. Oddychał wolno, równomiernie, głowa o powiekach zaczerwienionych, pomarszczonych, pokrytych siatką sinych żyłek wyglądała nieco głupkowato, brzuch sterczał potężnie w górę. Jedno ramię leżało drętwo i bezwładnie na boku, drugie założył nad głowę. Chłopcy zbliżyli się na palcach. Kiedy się obudzi, powiedzą mu prawdę: chcieliśmy wykryć niespodziankę, panie nasz i ojczy Domicjanie.

Księżę Wespazjan sięgnął pod poduszkę. Znalazł tabliczkę, odczytał wraz z bratem nazwiska.

— Zapamiętałeś? — szepnął księżę Wespazjan.

— Niektóre, najważniejsze — odparł księżę Domicjan.

Śpiący poruszył się, z na pół otwartych ust rozległo się przytłumione chrapanie.

— W nogi! — szepnął Wespazjan.

Wsunęli tabliczkę z powrotem pod poduszkę i wymknęli się cichaczem. Widząc, że odchodzą, oficer odetchnął z ulgą.

— Zdaje się, żeś zrobił karierę, kapitanie Serwiuszu — rzekł książę Domicjan łaskawie, ale zimno, po książęcemu.

— Widziałeś? — zapytał Wespazjan. — Na dole dopisał: „Książętom — pawie.” Nas zgładzić nie chce, nam chce darować pawie.

Mimo to postanowili, że jeden z nich uda się natychmiast do Lucji. Uczynił to Wespazjan. Dotarł do niej, opowiedział wszystko. Objęła go za szyję, ucałowała, dziękowała wylewnie. Była to najdonioślejsza godzina w jej życiu.

Jeszcze przed zachodem słońca zjawił się u Lucji Norban. Był oburzony, że Lucja wezwała go tak nagląco i tak tajemniczo. Co też tak ważnego miałyby mu do zakomunikowania? Zapewne jakieś głupie historie miłosne.

Lucja opowiedziała mu lakonicznie, co się stało. Krępy Norban nie drgnął nawet; przez cały czas, kiedy mówiła, nie spuszczał z niej ciemnych oczu wiernego psa. Milczał, zastanawiał się, nie ufał jej.

Po jakimś czasie zamiast odpowiedzi zapytał prawie gburowato:

— Czy zaszedł spór między tobą, Augusto, a władcą i bogiem Domicjanem?

— Tak — odparła.

— Ja z nim sporu nie miałem — rzekł tonem wyzywającym, nie ukrywając nieufności. — Mówię z tobą otwarcie, boska Lucjo — ciągnął dalej. — Ty, o pani, masz powody, by żywić do mnie wrogie uczucia, cesarz ich nie ma.

— Ale może wiesz o nim zbyt wiele — rzekła Lucja.

— Być może — rozważał. — Istnieją jednak jeszcze inne możliwości. Kto wie na przykład, czy książę Wespazjan, ulegając młodzieńczej fantazji, nie sądzi, że kolega jego Mateusz zginął nie wskutek nieszczęśliwego wypadku, lecz przez rozmyślną złośliwość cesarza.

— Nie jest wykluczone — przyznała — że Wespazjan, kierowany tą myślą, przybył do mnie i skłamał. Ale to nie jest prawdopodobne. W głębi duszy, mój Norbanie, wiesz równie dobrze jak ja, że Wespazjan mówi prawdę, że zarówno twoje, jak i moje imię widniało na tabliczce i tak jak ja i chłopiec orientujesz się doskonale, co to znaczy.

— Najchętniej — warknął nagle Norban — ukreśliłbym łeb temu wścibskiemu Wespazjanowi. — Modne loki opadły w nieładzie nieco groteskowo na niskie czoło i czworokątną twarz. Norban miał wygląd nieszczęśliwy, jak zły, wierny pies, którego świat rozpadł się w kawałki. Pomimo trawiącej ją pasji, zgryzoty i troski, Lucja omal nie parsknęła śmiechem na widok bezsilnej złości tego człowieka.

— Tak więc jesteś przywiązany do Wrzuszka — powiedziała — tak tobą wstrząsnęła wiadomość, że chce zabezpieczyć się nawet przed tobą?

— Jestem' wierny — odparł Norban nieustępliwie i zaciekle. — Władca i bóg Domicjan ma zawsze rację. Nawet jeżeli chce mnie zgładzić, ma z pewnością swoje słuszne powody i rację. A temu Wespazjanowi już ja się odwzięczę! — wścieka! się.

— Nie pleć głupstw, mój Norbanie — przywołała go Lucja do rzeczywistości. — Spójrz na sprawy tak, jak się przedstawiają w istocie. Nie jestem ci sympatyczna i skłamałabym twierdząc, że ty mi się podobasz, Ale wspólne niebezpieczeństwo raz jeszcze czyni z nas sprzymierzeńców. Musimy uprzedzić DDD, pośpiech jest wskazany. Chłopcy nie pamiętają wszystkich nazwisk, które widniały na liście, ale niektóre zapamiętali. Oto one. Porozum się z tymi ludźmi, o ile mogą ci być przydatni. Ja ze swej strony postaram się, żeby Domicjan spał dziś

u mnie. Załatw resztę!

Norban spoglądał na nią ciemnymi, czujnymi, a mimo to tępyimi oczyma długo i badawczo.

— Wiem — rzekła Lucja — co teraz rozważasz. Pytasz siebie, czy nie powinieneś pójść i donieść cesarzowi o tym, co ci zaproponowałam. Nie byłoby to wskazane, mój Norbanie. Odwłókłbyś przez to swoją własną egzekucję, ale tylko odwłókłbyś na pewien czas. Bo przecież wiedziałbyś, wtedy o cesarzu jeszcze więcej, i choćby go to bolało, konieczność usunięcia cię stałaby się jeszcze bardziej paląca.

— Masz rację, o pani — przyznał Norban. — Ach, ten żóltodziób! — mruknął, nie mogąc się uspokoić.

— Wolałbyś zginąć nie wiedząc o niczym — dopytywała się Lucja z zainteresowaniem — niż móc uprzedzić zamiary cesarza?

— Tak — przyznał nieszczęsny Norban. — Spotkał mnie gorzki zawód — powiedział szczerze zmartwiony. — Czy jesteś pewna, Augusto — zapytał w końcu czelnie i rzeczowo — że mimo ostatniej sprzeczki skłonisz cesarza, by spał z tobą?

Lucja nie rozgniewała się, raczej ją to ubawiło.

— Jestem pewna — powiedziała.

„Panie mój i boże, Domicjanie, Wrzuszku, DDD, nie wiem, jaki wrogi bóg mi podszeptał, bym rzuciła ci tak zuchwałe i głupie słowa, jak to się wówczas stało. Syriusz z gwiazdozbioru Wielkiego Psa musiał mnie chyba oślepić. Ale znam łagodność i wspaniałomyślność cesarza Domicjana. Pomyśl o naszej nocy na statku płynącym do Aten. Pomyśl o innej nocy, kiedy ułaskawiłeś mnie i przywołałeś z powrotem! Przebac mi! Przyjdź do mnie, powiedz mi sam, że mi przebaczasz! Przyjdź dziś w nocy! Czekam cię. Jeżeli przyjdiesz, dostarcz mi również za połowę ceny budulca na twoją nową willę w Selinuncie. Twoja Lucja.”

Czytając ten list Domicjan uśmiechał się. Pomyślał o swojej liście. Pomyślał o Messalinie, z którym jutro odczyta tę listę. Ale miał również w pamięci obie noce, które mu Lucja przypominała.

Domicjan był rad, kiedy ci, których musiał usuwać ze świata, uznawali, że usunięcie to jest karą sprawiedliwą, krokiem potrzebnym. Cieszył się, że Lucja uznała, iż nie miała racji. Cieszył się, że go kocha jak dawniej. Jakże zresztą nie miałyby go kochać, skoro zaszczycił ją swymi łaskami? Rzecz nie ulegnie przez to żadnej zmianie. Przesłupstwo jej nie zmniejszy się przez to, że winna zdrady stanu Lucja jest poza tym kobietą, która go kocha. Nie zachwiał się w swym postanowieniu, nawet mu przez myśl nie przeszło skreślić z listy jej imię.

Mimo to skorzysta z wezwania. To wspaniała kobieta. Kiedy przypomni sobie bliźnię pod jej lewą piersią, uginają się pod nim kolana. Bogowie są dlań łaskawi, skoro mu pozwalają raz jeszcze ucałować tę bliźnię. Ta tryskająca zdrowiem kobieta należy do niego. Szkoda, że dopuściła się zdrady stanu i niewiele już będzie miała okazji pisania listów do niego.

Cesarz przybył więc do Lucji i spał z nią. Teraz wielka jego głowa spoczywa na jej ramieniu. Lucja nie cofa ramienia. Przy mdłym świetle lampy oliwnej przygląda się jego głowie, pogrążonej we śnie, pod obrzmiałą, nieruchomą zmęczoną maską szuka owego oblicza, które ujrzała po raz pierwszy, kiedy mówiono o nim jako o ziółku i nicponiu, kiedy to oprócz niej nikt weń nie wierzył. Teraz nie kocha go ani nienawidzi, nie żałuje swej decyzji, ale nie ma w niej już nawet tej odrobiny gniewnego zadośćuczynienia, które ją napełniało, kiedy pozyskała Norbana dla siebie i swojej zemsty. Czeką z sercem ciężkim i zmęczonym jak ramię, na którym leży pogrążona we śnie głowa.

Nareszcie zjawił się Norban ze swoimi ludźmi. Nie udało im się zakraść tak bez szmeru, jak się spodziewali; podejrzliwy jak zawsze Domicjan zabrał z sobą dwóch oficerów, którzy

pełnili straż przed sypialnią. Kiedy więc spiskowcy wtargnęli do komnaty, obudził się i zawołał:

— Norban! Co się stało?

Norban liczył, że zaskoczy swego władcę we śnie. To, że Domicjan na niego zawołał, było mu niemiłe. Pozostał przy progu.

Cesarz, który już całkowicie ocknął się ze snu, zobaczył ludzi, stojących za Norbanem, broń, twarz i postawę Norbana. Zrozumiał. Nagi zerwał się z łoża, zaczął przeraźliwym głosem wołać o pomoc. Jeden z ludzi Norbana ugodził go sztyletem, lecz źle wymierzył cios. Cesarz bronił się, mocował z tym, który go ugodził, nie przestając wrzeszczeć.

— Lucjo, ty suko, pomóżże mi! — wołał załamującym się głosem i zwrócił głowę w jej stronę.

Lucja klęczała na łożu z obnażoną piersią, patrzyła ociężałym, smutnym, przeszywającym wzrokiem na męża, walczącego o życie.

— To za Mateusza — powiedziała głosem dziwnie spokojnym i opanowanym.

Wtedy Domicjan uzmysłowił sobie, że ma do czynienia z Bogiem Jehową, i przestał się bronić.

Jeszcze przed świtem całe miasto wiedziało o zamordowaniu cesarza.

Gdy Annius Bassus ochłonął ze zgrozy i oburzenia, pierwszym jego odruchem była decyzja proklamowania jako władców dwóch adoptowanych synów zamordowanego, książąt Wespazjana i Domicjana. Oficerowie i żołnierze garnizonu byli szczerze przywiązani do zmarłego, z ich pomocą mógł wymusić uznanie książąt przez senat. Ale miał za dużo skrupułów, nie był dostatecznie giętki, żeby zaprezentować senatowi „swoich” cesarzy bez uprzedniego porozumienia z Marullem i Reginusem.

Kiedy wreszcie nawiązał z nimi łączność, było za późno. Stary Nerwa, przywódca opozycji senackiej, którego Domicjan umieścił na swej liście, został uprzedzony przez Norbana, zanim jeszcze rozegrał się dramat, i natychmiast zwołał posiedzenie senatu. Gdyby zamach się nie udał, mówił sobie, zarządzi modły dziękczynne do bogów za uratowanie cesarza; gdyby się udał, każe swoim przyjaciołom wybrać siebie na następcę Domicjana. Senatorowie zebrali się więc o świcie i kiedy wreszcie, po zaalarmowaniu garnizonu przez Anniusza, Marull i Reginus zjawili się w senacie, postawiony był już wniosek o wymazanie z pamięci ludzkiej imienia zmarłego.

Marull, gdy się o tym dowiedział, oburzony, próbował oponować. Ale większość natychmiast zakrzyczała zarówno jego, jak i kilku senatorów, wiernych cesarzowi. Przemawiający senatorowie prześcigali się w obelgach na obalonego władcę. We wściekłym pośpiechu uchwalono szereg posunięć, mających na celu wymazanie z pamięci ludzkiej imienia Domicjana. Postanowiono zwalić w całym kraju kolumny z jego podobiznafni, zniszczyć, przetopić tablice, noszące napisy ku jego czci. Marull wraz ze swoimi zwolennikami dożył wreszcie widowiska, jakie się nie zdarzyło w senacie jak Rzym Rzymem. Senatorowie, upojeni odzyskaną władzą, wspominając gniewnie doznane zniewagi, posiedzenia, na których zebrani tu obecnie skazywali na śmierć najlepszych spośród siebie i własnych przywódców, zwołali rzemieślników i niewolników, aby z ich pomocą natychmiast zatrzeć wszelki ślad po Domicjanie. Chcieli sami wziąć udział w wytrzebieniu wszystkiego, co było związane z okrutnym despotą. Bezradni w swych wysokich trzewikach i paradnych szatach, chwytali łomy żelazne, topory i drągi, wdrapywali się na drabiny, rozbijali znieawidzone popiersia i medaliony. Z rozkoszą strącali na ziemię rzeźby przedstawiające wyniosłą, nadętą twarz nieboszczyka, rozłupywali i zniekształcali jego kamienne i metalowe członki, wśród obłąkanych okrzyków wzniesli w przedśionku kurii coś w rodzaju stosu żałobnego i rzucali nań szpetnie zniekształcone podobizny i rzeźby.

Potem, uporawszy się w ten sposób z despotyzmem, z jedynowładztwem, zabrali się do zastąpienia tego jedynowładztwa rządami wolności, władaniem sześćdziesięciu najpotężniejszych senatorów i obrali Nerwę cesarzem.

Nerwa, człowiek stary, bardzo wykształcony, wybitny prawnik, biegły rachmistrz, ludzki, liberalny, przez blisko dwie doby doznawał niemałych emocji. W ostatnich czasach żył pod grozą, że mimo zachowywanych ostrożności, cesarz zgładzi go ze świata. Tymczasem w siedemdziesiątym roku życia nie tylko przeżył czterdziestopięcioletniego cesarza, lecz w dodatku zawładnął jego tronem. Teraz po wysiłkach, podnieceniach i zmianach, które się dokonały w ciągu owej doby, miał prawo być zmęczony. Radość, że może teraz pójść do domu, wykąpać się, zjeść śniadanie, położyć się do łóżka, była prawie tak wielka, jak radość z tego, że stał się władcą świata.

Ale upragniony spokój nie nastąpił tak prędko. Zaledwie dotarł do domu, zjawił się tam na czele licznego oddziału wojska Anniusz, któremu towarzyszyli Marull i Reginus.

Anniusz wściekał się na swą gnuśność; opieszałość myśli sprawiła, że pozbawił przybranych synów swego uwielbianego władcy i boga należnych im rządów światem. Chciał ratować, co jeszcze było do uratowania. Groził Nerwie szaleńczymi słowy, że armia nie ścierpi, by w sposób tak podstępny pozbawiono tronu Flawiuszów, którzy pokonali Germanię, Brytanię, Judeę i Dację. Nowy cesarz odznaczał się spokojnymi, dostojnymi manierami. Zdenerwowała go prostacka mowa Anniusza, poza tym z prawnego punktu widzenia miałby niejedną odpowiedź na tę nierzeczową paplaninę. Ale był bardzo zmęczony, nie czuł się w dobrej formie, poza tym tamten miał za sobą trzydzieści tysięcy żołnierzy, on zaś tylko pięciuset senatorów. Postanowił więc przejść do porządku nad niestosownym zachowaniem wielkiego generała i zwróciwszy się uprzejmie w stronę dwóch jego towarzyszy, których znał jako ludzi dobrze wychowanych, zapytał uprzejmie:

— A panowie czego sobie życzą?

Marull i Reginus, trzeźwo myślący mężowie, wiedzieli wprawdzie, że stoi za nimi garnizon stolicy, ale mieli poważne wątpliwości, czy armie prowincji pozostaną wierne Flawiuszom. Z drugiej jednak strony zachowanie senatorów wzburzyło ich głęboko. Poczuli obrzydzenie na widok tych starców, którzy w wysokich trzewikach i szatach bramowanych purpurą, z trzęsącymi się kolanami, włązili na drabiny, by bezcześcić podobizny i rzeźby człowieka, którego jeszcze trzy dni temu z żarliwością całowali po rękach. Postanowili urządzić przeciwko temu swego rodzaju demonstrację.

Nowy cesarz, oświadczyli, jest prawnikiem, niechże więc zastosuje sankcje prawne wobec tych, którzy zamordowali Domicjana. Mówili z Nerwą jak ludzie światowi, z umiarem, nie powtarzali raz po raz, jak to czynił nieokrzesany generał: „Za nami stoi armia!” Domagali się jedynie i wyłącznie ukarania winnych. Ale żądali tego ultimatywnie i w jak najkrótszym czasie, nie odstępowali od tego żądania. I Nerwa musiał — było to pierwsze posunięcie nowego władcy, człowieka w zasadzie sprawiedliwego i przyzwoitego — wydać natychmiast głównych winowajców. Był wśród nich przede wszystkim Norban, któremu zawdzięczał tron.

Zmuszony do podobnego czynu Nerwa zorientował się, że trzeba natychmiast przedsięwziąć kroki, by zapewnić sobie bezpieczeństwo. Nie, nie wolno mu jeszcze złożyć na poduszce zmęczonej starej głowy, jeżeli nie chce się narazić na to, by tę starą głowę gwałtem oderwano od tułowia. Zanim uda się do sypialni, musi jeszcze napisać pewien list. I stary cesarz, obolały ze zmęczenia, podyktował list. W liście tym proponował współregencję swemu młodemu przyjacielowi, generałowi Trajanowi, głównodowodzącemu armii operującej na granicy niemieckiej. Dopiero po napisaniu listu poszedł wreszcie spać.

Tymczasem Marull i Reginus udali się do Lucji. Chcieli ją uratować i jednocześnie

ukarać.

— Nie chcę roztrząsać, jakie tobą rządziły motywy, boska Lucjo — rzekł Reginus — ale byłoby może bardziej wskazane i chyba rozsądniejsze, gdybyś na przykład zamiast z Norbanem porozumiała się z nami.

— Sądzę, że zarówno ty, mój Reginusie, jak i ty, mój Marullu, jesteście dla mnie usposobieni przyjaźnie — odparła Lucja. — Ale powiedzcie szczerze, czy gdyby wam kazano wybierać, kogo należy uratować, Domicjana czy mnie, czy opowiedzielibyście się za mną?

— Może znalazłoby się wyjście — rzekł Marull.

— Nie było żadnego wyjścia — odparła Lucja głosem nieco znużonym. — Norban był dla mnie właściwym sprzymierzeńcem.

— Tak czy inaczej — zreasumował Reginus — ci mili chłopcy stracili tron z twojej winy, o pani, a poza tym naraziłaś siebie i swoje cegielnie na poważne niebezpieczeństwo.

— Ja na twoim miejscu, Augusto — rzekł Marull — w każdym razie nie omieszkałbym zawiadomić w porę tak wiernych, starych przyjaciół jak my, tobie nie mogłoby to już zaszkodzić, ale mogłoby wyjść na dobre młodemu księżętom.

Po chwili namysłu Lucja odrzekła:

— Masz rację.

— Szkoda go — powiedział Reginus po chwili. — Zrobiono mu wielką krzywdę.

— Jeżeli słowa te są skierowane do mnie — odpowiedziała Lucja — gdybyś miał żądać, żebym się z nimi zgodziła, to wymagałbyś zbyt wiele. Na tyle bezstronności nie zdobędzie się żadna kobieta, którą chciano pozbawić życia i która była o włos od śmierci. Nie zapominajcie poza tym o moim Mateuszu.

— A mimo to zrobiono mu krzywdę — upierał się Reginus.

— Sąd o tej sprawie pozostawmy poetom i historykom — zaproponował pojednawczy z natury Marull. — Zajmijmy się lepiej twoją najbliższą przyszłością, Lucjo. Mamy powody sądzić, że nie jesteś bezpieczna. Nasz Annius Bassus i jego żołnierze nie są ci przychylni.

— Czy przychodzicie z jakimś żądaniem? — zapytała Lucja wyniośle. — Czy stoi za wami armia? — ciągnęła szyderczo.

— Armia stoi wprawdzie za nami — odrzekł uprzejmie i cierpliwie Reginus — ale nie wysuwamy żadnych żądań, tylko radzimy.

— Czegóż więc chcecie? — zapytała Lucja.

— Chcemy — sformułował Marull — żeby ciało Domicjana zostało przyzwoicie pochowane. Jak ci wiadomo, o pani, senat wymazał z pamięci ludzkiej jego imię. Pogrzeb oficjalny doprowadziłby do zamieszek. Proponujemy, żebyś możliwie najprędzej wniosła Domicjanowi stos żałobny, jeżeli nie w samym Rzymie, to przynajmniej bardzo blisko, powiedzmy, w parku twoim w Tibur.

Lucja nie odczuwała już nienawiści do zmarłego, ale od dawna miała niechęć do pogrzebów. Niechęć ta malowała się teraz na jej żywej twarzy.

— Jak bardzo potrafisz nienawidzić, o pani! — rzekł Marull.

Twarz jej złagodniała.

— Nie odczuwam do Wrzuska nienawiści — powiedziała głosem bardzo znużonym i nagle nabrała wyglądu starej kobiety.

— Sądzę, że byłoby to po myśli DDD — rzekł Marull — gdybyś właśnie ty, Augusto, wyprawiła mu ten pogrzeb. Przypomnij sobie, że to on, właśnie on, kazał pochować Mateusza.

— Rozsądek wskazuje również — dorzucił Reginus — żebyś to właśnie ty, Augusto, zajęła się pogrzebem. Umilkłyby wtedy plotki, że miałaś coś wspólnego ze zbrodnią dokonaną przez niewiernego Norbana.

— Niewiernego Norbana — powtórzyła Lucja — DDD nie miał nikogo, kto by mu był wierniejszy.

— Ty, o pani, również nie żywiłaś do niego nienawiści — powiedział szyderczo Marull, akcentując słowo „ty”.

— Dobrze — ustąpiła Lucja — pochowam go.

Okazało się jednak, że zwłoki Domicjana zostały już zabrane z Palatynu. Stara piastunka cesarza, Fillis, nie bacząc na niebezpieczeństwo wyniosła je stamtąd potajemnie. Udano się do jej skromnego domku na przedmieściu. Tak, tam zaniesiono zmarłego. Fillis, starucha o potwornej tuszy, nie szczędziła grosza; zwłoki były umyte, namaszczone, skropione wonnościami, wezwano do pomocy najkosztowniejszych mistrzów kosmetyki. Fillis siedziała przy katafalku, łzy spływały jej po obwisłych policzkach.

Zmarły Domicjan miał wygląd spokojny i dostojny. Nie było na jego twarzy owego grymasu pychy, który ukazywał się na niej czasami za życia cesarza. Brwi, które cesarz krótkowidz zwykł groźnie ściągać, były teraz wygładzone, zamknięte powieki zakrywały oczy, za życia spoglądające tak ponuro i władczo, z całej energii, cechującej jego oblicze, pozostał tylko stanowczy zarys dolnej szczęki. Wyłysiałą czaszkę zdobił wieniec laurowy, stara nie mogła niestety zdobyć innych insygniów władzy. Ale zmarły ukazywał twarz piękną, męską, Marull i Reginus uważali, że DDD wygląda teraz bardziej po cesarsku niż nieraz, kiedy starał się żarliwie być władcą i bogiem.

Stara wzniosła już stos. Opierała się temu, by morderczyni, jak nazywała Lucję, była obecna przy spaleniu zwłok. Marull i Reginus udali się raz jeszcze do Lucji; zaproponowali zabranie trupa z domu Fillis przemocą i przeniesienie go do rezydencji cesarzowej w Tibur. Ale Lucja nie chciała się zgodzić. W głębi duszy była rada, że nie będzie zmuszona zdobyć się na gest, którego od niej żądano. Stała się znowu dawną Lucją. Kochała Domicjana, wyrządzili sobie nawzajem niemało złego i dobrego, rachunek był wyrównany, zmarły nie może niczego od niej żądać. Nie bała się ani następstw swego czynu, ani Anniusza, ani jego żołnierzy.

Kiedy więc kładziono na stos żałobne zwłoki ostatniego cesarza z rodu Flawiuszów, obecni byli tylko Marull, Reginus i Fillis. Otworzyli zmarłemu oczy, ucałowali go, potem odwróciwszy twarze zapalili stos. Wonności, którymi był przepojony, wydawały mocny zapach.

— Żegnaj, Domicjanie — wołali — żegnaj, władco i boże Domicjanie! — Fillis wrzeszczała, wyła, rozdzierała szaty, rozdrapywała swe tłuste ciało.

Marull i Reginus przyglądali się płonącemu stosowi. Nikt od nich zapewne, nawet Lucja, nie znał lepiej zarówno przywar nieżyjącego, jak i jego zalet.

Kiedy już stos się wypalił, Fillis zagasiła tłące się węgle winem, pozbierała kości, oblała je mlekiem, wysuszyła płótnem i po namaszczeniu włożyła do urny przepojonej wonnościami. Z pomocą Marulla i Reginusa udało się jej zakraść nocą potajemnie do świątyni rodziny Flawiuszów. Tam złożyła prochy Domicjana mieszając je wszakże z prochami Julii, którą również wykarmiła. Przejęta oburzeniem starucha uważała bowiem, że Lucja nie była kobietą należącą do Domicjana, zdaniem jej do orła jej, Domicjana, należała jej gołąbka, Julia.

Nazajutrz pokręcony podagrą senator Korell, który dotychczas znosił mężnie potworne bóle, otworzył sobie żyły w obecności swego przyjaciela Sekundusa. Osiągnął cel, przeżył śmierć przeklętego despoty, doczekał się powrotu wolności. Nadszedł dzień. Umarł szczęśliwy.

Nadszedł dzień. Historyk Korneliusz siedział w swojej pracowni i myślał o tym, co zaszło. Wyraźne zmarszczki na smętnej, ziemistej twarzy wryły się jeszcze głębiej; choć przekroczył zaledwie trzydziestkę miał twarz człowieka starego. Wspominał wiernych zmarłych przyjaciół, Senekę, Helwida, Arula; ze smutkiem wspominał, jak często apelował do ich mądrości. Tak, należało być rozsądnym, cierpliwym, tłumić gniew w piersi, aż nadejdzie czas,

kiedy będzie można dać mu folgę. Czas ten nadszedł. Chodziło o to, by przeżyć epokę grozy. Korneliusz ją przeżył.

Rozsądek to rzecz dobra, ale szczęścia nie daje. Senator Korneliusz nie był szczęśliwy. Wspominał twarze przyjaciół, którzy poszli na śmierć, twarze kobiet, skazanych na banicję. Gniewne twarze ludzi, zdecydowanych na wszystko. Byli to bohaterowie, on zaś jest tylko człowiekiem i pisarzem. Oni byli tylko bohaterami, on zaś jest człowiekiem i pisarzem.

Jest historykiem. Trzeba rzeczy oceniać z punktu widzenia historii. W czasach powstawania państwa, w czasach republiki, potrzebni byli bohaterowie, w obecnej dobie, dobie cesarstwa, potrzebni są ludzie rozsądni. Stworzyć państwo może tylko bohaterstwo, utrzymać je może tylko rozsądek.

Dobrze jednak, że istnieli ci Helwidowie, Senekowie i Arulowie. Każda epoka wymaga bohaterów, każda epoka musi trzymać w rezerwie bohaterstwo na chwilę, w której bez bohatera nie będzie mogła się ostać. Był rad, że wolno mu teraz ująć w słowa nagromadzoną nienawiść przeciw tyranom, uczcić pamięć przyjaciół. Obłożony licznymi notami i zapiskami, które poczynił, zabrał się do malowania wielkiego obrazu epoki, którą miała opisać jego księga. W potężnych, ponurych zdaniach, piętrzących się niczym bloki skalne, ukazywał okropieństwa i zbrodnie Palatynu, by zaś opisać bohaterstwo swych przyjaciół, znajdował słowa jasne jak niebo wiosenne.

Kiedy pewnego chłodnego dnia na przedwiośniu Józef odwiedził Jana z Giskali w jego posiadłości i przechadzał się z nim razem po plantacji morw, trudno było ustalić wiek ich obu. Broda siedemdziesięcioletniego Józefa posiwiła wprawdzie, twarz pomarszczyła się nieco, ale pod wpływem wiatru policzki miał zaróżowione, oczy zaś lśniły żywym blaskiem. A choć broda Jana z Giskali zbiała jak śnieg, to jego smagłe oblicze miało również wygląd czerstwy, a skośne oczy o przebiegłym wyrazie spoglądały nadal młodzieńczo. Józef był już trzeci dzień gościem Jana z Giskali. Jan wiedział, że Józef nie ma, zbyt wielkiego zainteresowania dla spraw związanych z gospodarką rolną, ale nie potrafił poskromić swej chłopskiej dumy i, choć sam z siebie pokpiwał, tym razem oprowadzał znowu swego przyjaciela po rozległym, wzorowym gospodarstwie, a Józef musiał oglądać i podziwiać jego wspaniałe prasy do wyciskania oliwek, jego piwnice z winem, jego stodoły, a przede wszystkim plantację morw i hodowlę jedwabników.

Czynił to machinalnie, był myślami daleko, rad, że znowu znalazł się w Galilei.

Od lat blisko dwunastu przebywał w Judei, z dala od Rzymu, od nowego, bardzo mu obcego Rzymu żołnierskiego cesarza Trajana. Nie tęsknił wcale za tym militarnym, uporządkowanym, wspaniałe zorganizowanym, bardzo zimnym Rzymem. Stolica odpychała go, nie wiedział, co począć z trzeźwą, rzeczową, światową, obojętną społecznością tego Rzymu, owa społeczność zaś żywiła podobne uczucia w stosunku do niego.

W Judei jednak nie czuł się również swojsko. Próbował czasami wmówić w siebie i swoich przyjaciół, że jest zadowolony ze spokojnego trybu życia w swojej posiadłości Be'er Simlai. Twierdził, że dostatecznie długo chodził luzem, był oryginałem, na starość pragnął jedynie zanurzyć się we wspólnocie. Chciał być w Judei takim samym obywatelem jak wszyscy. Choć myślał tak szczerze, w gruncie rzeczy czuł się wśród tego spokoju jednak nieswojo.

Posiadłość Be'er Simlai, którą swego czasu nabył za radą Jana, kwitła i rozwijała się. Ale Józef był tam niepotrzebny. Pod opieką i kierunkiem starego Teodorosa jego dwudziestopięcioletni syn Daniel stał się umiejętnym i fachowym gospodarzem. Obecność Józefa raczej im przeszkadzała, niż pomagała. Dalszy rozkwit posiadłości zdawał się zapewniony, gdyż wszystko, co leżało w zasięgu stolicy prowincji Cezarei, cieszyło się specjalnymi względami rządu rzymskiego. Wprawdzie w okolicy mieszkali przeważnie

Syryjczycy i żołnierze rzymscy — weterani, jednakże dość licznie reprezentowani Żydzi

spoglądali na Józefa niechętnie i nie szczędzili mu uszczypliwych docinków wypominając względy, jakimi cieszy się u Rzymian nawet teraz, pod panowaniem cesarza Trajana. Mara wolałaby mieszkać w Judei właściwej niż wśród pogan, a Daniel cierpi z powodu nieufności i szyderstwa okazywanych mu przez osadników żydowskich. Mimo to pomyślny stan gospodarki sprawia żonie Józefa i jego synowi wiele uciechy, więcej z pewnością niż Józefowi.

Mara przyjęła stratę Mateusza z większym spokojem, niż Józef oczekiwał. Nie miotała na niego przekleństw, nie złorzeczyła mu. Ale nić, która ich łączyła, została zerwana. W głębi duszy Mara odżegnała się od niego, jako od mordercy swoich dwóch synów, nie widzi w nim już pomazańca bożego, lecz przynoszącego nieszczęście rozbitka. Ale jest jej tak daleki, że się z nim nawet nie prawuje. Żyją obok siebie spokojnie, w przyjaznej obcości.

Stosunek między nim a synem jego Danielem również nie jest taki, jak być powinien. Daniela gnębi nie tylko opinia osadników żydowskich o jego ojcu. Całą swą istotą wdał się raczej w matkę, odziedziczył po niej spokój i uprzejmą rezerwę. Jest posłusznym synem, ale czuje lęk przed porywczym ojcem i wszystkie próby czynione przez Józefa, by zdobyć jego zaufanie, spełzają na niczym.

Tak więc żyje Józef bardzo samotnie w swej wzorowo zagospodarowanej posiadłości. Píše, dużo czasu spędza nad książkami. Niekiedy odwiedza przyjaciół. Jedzie do Jawneh, do rabbi Gamaliela albo, jak obecnie, do Giskali, do Jana. Ma wielu przyjaciół w kraju, od czasu pojawienia się *Apiona* cieszy się szacunkiem większości Żydów. Poważanie to jednak pozbawione jest ciepła, nie zapomniano mu dawnej dwulicowej postawy. Żyje w Judei jak obcy wśród swego narodu.

W ostatnich czasach ogarnął go gorączkowy niepokój, przypisuje go niepewnej sytuacji politycznej. Wielka wyprawa wschodnia, do której zbroi się wojowniczy cesarz Trajan, zagraża na nowo Judei. Powody wszakże, które wypędzają Józefa z jego zacisznej posiadłości Be'er Simlai, tkwią w nim samym. Jest tak, jak było za jego młodości, kiedy napisał strofy:

*O, zerwij się z kotwicy, mówi Jahwe,
Bo nie miłuję tych, co grzęzną w portach.
Ze zgrozą patrzę na ludzi,
Co gniją w smrodzie gnuśności.
Dałem im uda, by ich nosiły po ziemi,
I stopy, żeby biegali —
A nie tkwili wciąż w miejscu
Jak drzewo wrosłe korzeniem.*

Nie może już dłużej wytrzymać w Be'er Simlai. Ruszył w drogę, włóczy się po Judei bez określonego celu. Zamierza wrócić dopiero w przeddzień Święta Paschy, a więc nie prędzej jak za trzy tygodnie.

Jest zatem u Jana. Jan przebywa w kraju o wiele krócej niż on, pozostał wiemy swemu postanowieniu, opuścił Rzym i swoje tamtejsze interesy dopiero wtedy, kiedy doszedł do przekonania, że opanował serce przepojone tęsknotą za ojczyzną. W ciągu pięciu lat, odkąd mieszka w Judei, oparł się dzielnie pokusie popierania Gorliwców. Przez cały czas pracował usilnie starając się odbudować rodzinny gród, prastarą mieścinę górską Giskala, bogato i okazale. Giskala została zburzona po raz pierwszy podczas wielkiej wojny żydowskiej, po raz drugi podczas powstania Zelotów.

Obaj starzy panowie spacerują sobie teraz, Jan pokazuje przyjacielowi, co wprowadził nowego w hodowli morw, oliwek i winnej latorośli. Świeci jasne, młode, radosne słońce

przedwiośnia, obaj cieszą się nim, na to jednak,

by im było ciepło, trzeba się ruszać. Maszerują więc rześko, Józef nieco zgarbiony, Jan, niższy od niego wzrostem, wyprostowany jak świeca. Jan papie bez przerwy, dostrzegł, że Józef nie słucha, ale uważny słuchacz jest mu niepotrzebny, chce jedynie dać wyraz radości z tego, czego tutaj dokonał, i sam pokpiwa sobie nieco ze swego starczego gadulstwa. Ale wreszcie odczuwa pokusę wdania się z Józefem w prawdziwą dyskusję. Rozpoczyna więc z żartobliwą zadzierzystością:

— Jak widzisz, Józefie, posiadłość moja jest dobrze utrzymana i stanowi, jak się to mówi, gospodarstwo wzorowe. A jednak to wzorowe gospodarstwo nic mi nie daje, przeciwnie, dopłacam do niego i jeżeli z niego nie rezygnuję, to dlatego, że mnie to bawi. Tak, bawi mnie produkowanie bardzo dobrego wina, bardzo dobrej oliwy i bardzo dobrego jedwabiu. A teraz, proszę, zastanów się dalej: Jeżeli więc mimo wyjątkowego poparcia ze strony rządu rzymskiego nie mogę wygospodarować żadnego zysku, to jak ma wyżyć przeciętny chłop, w pocie czoła hodujący oliwki? Nowe podatki i cła, nakładane na prowincje wschodnie przez ministra finansów cesarza Trajana, po prostu zabijają chłopów. Oczywiście rzekomy cel nie zostaje osiągnięty, gdyż wina italskie nie stają się dzięki temu lepsze i nie cieszą się większym popytem. Dla naszej Judei jedynym skutkiem tych zarządzeń jest wzmaganie się niepokoju w kraju.

— Czy niepokój się wzmacnia? — zapytał Józef, teraz już całkowicie obecny myślami. Jan spojrział nań z boku.

— Jeżeli na podstawie mojej Galilei mam wyciągać wnioski co do całej Judei — powiedział i uśmiechnął się raczej z zadowoleniem niż złośliwie — to chyba chłopci nigdzie nie są zbyt zadowoleni z nowych edyktów. Nie ulega wątpliwości, że Gorliwcy wszędzie zyskają zwolenników. Może to właśnie jest głównym celem dziwacznej polityki finansowej Rzymu. Pozostaje w sferze możliwości, że przed rozpoczęciem przez Trajana planowanej wojny wschodniej czynniki wojskowe zechcą zaprowadzić porządek najpierw tu, w Judei, a raczej to, co oni nazywają porządkiem. Cóż wygodniejszego, jak sprowokować powstanie i raz na zawsze pozbyć się nie całkowicie pewnych elementów. Nie chodzi jednak tylko o politykę finansową — ciągnął dalej. — Choć tak jak niegdyś jestem przekonany — uśmiechnął się poruszając ów od dawna sporny między nimi temat — że gdyby utrzymano rozsądne ceny wina i oliwy, nie doszłoby ani do wojny żydowskiej, ani do późniejszego powstania, przyznaję ci jednak chętnie, iż w naszych wojnach żydowskich chodzi nie tylko o ceny wina, lecz również o Jehowę. Jedno i drugie musi stać się zagadnieniem: rynek i Jehowa. Inaczej ludzi nie ogarnie nigdy prawdziwa furia.

— Sądziś więc — zapytał Józef — że Jehowa stał się znowu aktualnym zagadnieniem?

— To twoja dziedzina, rabbi Józefie — odparł Jan — nie moja. Jeżeli jednak chcesz wiedzieć, co o tym myśli prosty wieśniak, który nie patrzy na Jehowę jak teolog, lecz jak człowiek o zdrowym chłopskim rozumie, powiem ci to chętnie. Pomysł Jochanana ben Zakkai zastąpienia utraconego państwa i utraconej Świątyni przez Jawneh był znakomity; wtedy, po klęsce, nie istniał inny sposób zachowania wspólnej więzi. Obyczaj i nauka istotnie zastąpiły państwo. Stopniowo, kiedy podrosło nowe pokolenie, które już nie znało ani państwa, ani Świątyni, obyczaj utracił swój sens, a nauka stała się rupieciarnią formuł. Obyczaj dławi sens, Judea dławi się pod panowaniem rabbich, puste słowo nie może zastąpić Boga na dłuższą metę. Na to, by nabrać sensu i życia, Bogu potrzebny jest kraj. Oto co czyni dziś z Jehowy aktualny problem. Prawdziwe jednak życie Jehowa może odzyskać dopiero wtedy, kiedy Judea stanie się znowu nie tylko miejscem zamieszkania Jego Żydów, lecz również ich krajem. Jehowie potrzeba ciała. Ciałem Jego jest ta okolica, są te gaje oliwne, wzgórza, porośnięte winoroślą, góry, jeziora,

Jordan i morze. Dopóki Jehowa i ten kraj są rozłączeni, nie żyje ani jeden, ani drugi. Wybacz mi poetycki ton. Stary człowiek osiadły na roli nie potrafi oczywiście wyrażać się tak jasno jak ty.

Józef miałby niejedno do powiedzenia na temat pogańskości tego ujęcia, ale nie powiedział. Zreasumował:

— Ponieważ oba problemy domagają się rozwiązania, czy sądzisz, że zarówno warunki zewnętrzne, jak i wewnętrzne sprzyjają powstaniu? Uważasz, że Gorliwcy mają prawo powiedzieć: „Nadszedł dzień!” Czy dobrze cię zrozumiałem?

— Jakież ty jesteś młody pomimo swojej siedemdziesiątki — odparł Jan — i jaki zaczepny! Ale tak łatwo sobie ze mną nie poradzisz. Dopóki te dwie kwestie, Jehowa ■ i sytuacja na rynku, nie staną się palące, dopóty powstanie jest oczywiście niemożliwe. Oto co powiedziałem. Nie powiedziałem, że są to czynniki jedyne. Jeżeli chcesz znać mój pogląd, to pierwszym warunkiem, najważniejszym, jest, żeby wojskowe szanse takiego powstania nie były najgorsze.

— W takim razie wszystko, co powiedziałaś, pozostaje czystą teorią — rzekł Józef zawiedziony.

— Znowu chcesz mnie przygwoździć — łajał go Jan żartobliwie. — Jakże możemy stąd ocenić wojskowe szanse Gorliwców, jeżeli Trajan naprawdę rozpocznie swoją wojnę wschodnią?

Józef stracił cierpliwość.

— Potępiasz więc — zapytał — dążenia Gorliwców? Tak czy nie?

— Nie uprawiam polityki praktycznej — odpowiedział Jan wymijająco. — Jak ci wiadomo, przed opuszczeniem Rzymu zasięgnąłem dokładnych informacji i dopiero gdy nabrałem pewności, że serce nie spleta mi figla, pozwoliłem sobie na powrót do mojej Judei.

Józef szedł obok niego nadąsany, nie odzywając się ani słowem. Jan przerwał wreszcie milczenie:

— Moja rezygnacja nie przeszkadza pewnym marzeniom. Przypuśćmy więc, że Gorliwcy nie są tak rozsądni jak my i wzniecają powstanie pomimo znikomych szans. Czy wyobrażasz sobie, mój Józefie, większe dla nas szczęście, niż dać się porwać tej fali? Pomyśl tylko, jak my dwaj, zgrzybiali starcy, którzy niczego już nie możemy od życia oczekiwać, ożywilibyśmy się i odmłodnieli. Niechętnie używam szumnych słów, ale trudno byłoby mi wyobrazić sobie wspanialsze ukoronowanie mego żywota niż śmierć w takim uniesieniu.

Józef czuł się dotknięty, że tamten tak bezwstydnie daje wyraz tego rodzaju uczuciom.

— Czy nie jesteś zbyt egocentryczny, mój Janie? — zapytał. — Czy takie niemądre, młodzieńcze reakcje nie są w naszym wieku niedozwolone, po prostu nieprzyzwoite?

— Straciłeś wszelki polot — rzekł Jan kręcąc głową. — Wcale się nie znasz na żartach. Bo oczywiście żartowałem. Ale jeżeli chcesz być sprawiedliwy aż do końca, to musisz mi przyznać, że jeżeli marzenie o takim powstaniu rozplómiło moje serce, to nie jest to tylko egocentryzm. Nowa akcja Gorliwców załamałaby się zapewne równie prędko jak poprzednie zrywy. Ale mimo to nie byłaby pozbawiona sensu. Mam tu na myśli problem Jehowy. Powstanie takie byłoby przestrogą, by nie zapominać o Jehowie, by obyczaj i słowo nie przesłaniały ojczyzny. Przestroga taka jest potrzebna. Człowiek straszliwie szybko zapomina. Byłoby dobrze, gdyby naszym Żydom znowu przypomniano ojczyznę, ich ojczyznę. Inaczej istnieje poważne niebezpieczeństwo, że uczeni w Piśmie ostatecznie zamordują Jehowę, a Judea udławi się w Jawneh.

— Powiedz mi — nalegał Józef — czy są w toku przygotowania wojenne? Czy wiesz coś pewnego o planach Gorliwców?

Jan spojrział na niego porozumiewawczo, z uśmiechem tak przebiegłym i filuternym, że

aż mu twarz odmłodziła. — Może coś wiem — powiedział — a może nie wiem nic. Nie chcę się wtajemniczać w żadne szczegóły, ponieważ nie interesuje mnie polityka aktywna. Ot, po prostu gadam sobie na wiatr, jak to często czynią starzy ludzie wobec przyjaciół, kiedy nastaje nowa wiosna i ciepłe słońce rozwiązuje im języki.

Józef, tym razem nie na żarty zagniewany, odwrócił się i nie odezwał się do Jana ani słowem. Jan trącił go lekko i powiedział chytrze:

— Choć nic nie wiem, znam swoich ludzi i pewne sprawy czuję nosem, tak jak pogodę. Dlatego, mój Józefie, przyjmij ode mnie na drogę skromną radę. Jeżeli chcesz teraz podróżować po kraju, to udaj się najpierw do Cezarei, każ sobie tam w pałacu gubernatora wystawić glejt, który by stanowił legitymację wobec wszystkich. Zrób to na wszelki wypadek.

Kiedy Józef następnego dnia opuszczał Giskalę, Jan odprowadził go dobry kawał drogi. Józef dosiadł konia, ruszył. Obejrzawszy się po jakimś czasie stwierdził, że Jan stoi jeszcze wciąż na drodze i spogląda w ślad za nim.

W Cezarei, gdzie idąc za radą Jana Józef zamierzał postarać się o nowy glejt, złożył wizytę gubernatorowi. Luzjusz Kwietus zaprosił szlachetnego Flawiusza Józefa na wieczerzę z ową zdawkową i zachowującą dystans uprzejmością, właściwą niemal wszystkim zaufanym cesarza Trajana.

Józef siedział więc wśród rzymskich oficerów i urzędników prowincji i czuł się straszliwie obco i nieswojo. Mimo przesadnej uprzejmości współbiedników odczuwał znowu, że nie traktują go tu jak równego sobie. Nie należał do nich. To prawda, że dzięki przeszłości i zdobytym przywilejom był z nimi związany bardziej niż ktokolwiek, ale ostatecznie był przecież dla nich płatnym agentem.

Rozmawiano o zbliżających się wydarzeniach. Jeżeli naprawdę wojna wschodnia się rozpocznie, wybuchną zapewne zamieszki w Syrii, Judei i Mezopotamii. Jan miał rację. Dygnitarze nie kryli się z tym, że taki bunt byłby im na rękę. Dałby im pożądaną pretekst do gruntownego oczyszczenia Judei, owego terenu ofensywy i odwrotu, zanim armie Dalekiego Wschodu zaczną maszerować.

Raz po raz zapytywano Józefa jako najwybitniejszego rzeczoznawcę, czy Gorliwcy nie daliby się odwieść od powstania zważywszy jego całkowitą beznadziejność. Józef tłumaczył, że większość ludności żydowskiej jest bezwzględnie lojalna, a Gorliwcy myślą zbyt realnie, by wzniecać beznadziejne powstanie. Gubernator Kwietus słuchał uważnie, ale, jak się Józefowi zdawało, bez przekonania.

Nawiasem mówiąc, słowa Józefa nie miały właściwej mu sugestywnej siły. Był raczej dziwnie roztargniony. A to dlatego, że od chwili gdy przestąpił próg domu gubernatora, szukał gorączkowo pewnej twarzy. Ten, którego szukał, Paweł Bassus, najlepiej orientował się w stosunkach panujących w Judei. Gubernatorowie zmieniali się, ale pułkownik Paweł pozostawał. Był człowiekiem, który w istocie rządził Judeą, kiedy gubernator wydawał przyjęcia, obecność jego zdawała się nieodzowna. Z drugiej strony było oczywiście wykluczone, żeby Paweł zjawił się tutaj wiedząc, że spotka ojca. Mimo to, choć było to szczytem absurdu, ojciec wciąż się za nim rozglądał.

Nazajutrz Józef udał się do pałacu gubernatora po nowy glejt. Kiedy przestąpił progi pałacu, który strzelał w górę zimny, biały, pełen przepychu — okazały i groźny symbol Rzymu Trajana, ogarnęło go uczucie obcości.

Sala, gdzie miał załatwić swoją sprawę, znajdowała się w lewym skrzydle. Szybko uporał się z formalnościami; kiedy z nowym dokumentem w rękę przecinał wielki przedsionek, by wyjść główną bramą, wchodził właśnie przez tę bramę jakiś oficer. Oficer, wysmukły, o bladej, kościstej twarzy, elegancki, sztywny, skręcił w prawo. Nikt nie byłby w stanie powiedzieć, czy,

odpowiadając na powitanie wart prezentujących broń, widział człowieka nadchodzącego z lewej strony. Nikt nie byłby również w stanie powiedzieć, czy Józef poznał oficera. Ale Józef, gdy opuścił gmach, zdawał się stary i sterany, a choć plac przed pałacem był pusty i przestronny, nie mógł tchu złapać, dyszał ciężko.

Ten, kto by go wówczas zobaczył, zdziwiłby się, że sprawa tak łatwa i błaha, jak wystąpienie się o glejt, wyczerpała go do tego stopnia.

Oficer skręcając w prawo był jeszcze bledszy niż zazwyczaj, wargi miał jeszcze bardziej zaciśnięte. Po chwili jednak, zanim wszedł do sali, gdzie urzędował, rozchmurzył się. Tak, zdawało się, że Paweł Bassus, albo jak go dawniej nazywano Paweł Flawiusz, jest raczej zadowolony. Nareszcie zrodził się w nim pomysł, którego od dawna szukał.

Tego samego dnia odbył rozmowę z gubernatorem Luzjuszem Kwietusem.

Józef postanowił sobie, że aż do Święta Paschy będzie przebywał z dala od swej posiadłości Be'er Simlai oraz od żony i syna. Przez ten czas będzie krążył po kraju tu i tam, gdzie go wiatr zawieje albo pociągnie serce.

W górach panowała jeszcze zima, ale w dolinach rozpoczęła się już wiosna. Józef wędrował gorączkowo na mule, konno lub pieszo. Starzec wspominał czasy, kiedy to po raz pierwszy przemierzał Galileę, żeby poznać jej mieszkańców. I teraz czuł się najlepiej, jeśli go nie poznawano; skoro tylko ktoś nazwał go po imieniu, znikał.

Odwiedzał jednak przyjaciół oraz ludzi, których tryb życia i poglądy budziły jego zainteresowanie. Pewnego razu zjawiał się również u rabiego Akawji w B'ne Berak.

Józef stykał się z Akawją dosyć często. Choć nauki wyznawane przez Akawję oraz jego obyczaje były sprzeczne z jego własnymi, obydwaj widywali się chętnie. Nie ulegało wątpliwości, że obok Gamaliela Akawja był wśród rabbin osobistością najwybitniejszą. Poza tym, tak samo jak Gamaliel, przekroczył dopiero pięćdziesiątkę. Kiedy jednak Gamalielowi od urodzenia wszystko przychodziło niezmiernie łatwo, Akawja, pochodzący z dołów społecznych, pastuch, z wielkim trudem przebrnął przez studia i wywalczył sobie miejsce w akademii w Jawneh, gdzie głoszona przez niego nauka napotykała na ogromne opory. Była to doktryna, która z zaciekłością, za pomocą uporczywej metody, odcinała wszystko, co żydowskie, od wszystkiego, co nieżydowskie, doktryna ciasna, fanatyczna, przecząca temu wszystkiemu, co dla Józefa w okresie największego jego rozkwitu było treścią życia i co głosił w swoich wielkich księgach. Mimo to Józef nie umiał się oprzeć czarowi, który promieniował od Akawji.

Pozostał w B'ne Berak trzy dni. Potem, chcąc zdążyć do domu na Święto Paschy, zaczął gotować się do drogi. Kiedy jednak zamierzał pożegnać się z Akawją, ten go zatrzymał.

— A gdybyś tak, Józefie — zapytał — choć raz spędził ze mną wieczór przed Świętem Paschy?

Józef spojrzał na Akawję, chcąc wy badać, czy Akawja mówi to serio. Potężna głowa Akawji tkwiła na niezgrabnym, masywnym tułowiu. Srebrzysta broda okalała świeże różowe policzki, czoło miał szerokie, potężne, porwane zmarszczkami, bujnie rosnące włosy zakrywały je niemal do połowy. Krzaczaste brwi unosiły się nad ciemnymi oczyma. W oczach tych żarzył się namiętny, surowy płomień, patrząc w nie zapominało się o płaskim nosie. Dziś, w chwili kiedy Akawja zaproponował Józefowi wspólne spożycie wieczerzy paschalnej, w jego żywych, namiętnych oczach pojawiło się lekkie filuterne lśnienie.

Było istotnie rzeczą dziwną, że gorący nacjonalista Akawja zaprasza do stołu na wieczerzę paschalną, na wielkie narodowe święto upamiętnienia, jego, Józefa, zwolennika kompromisu, który przez całe życie chciał godzić ze sobą Żydów, Greków i chrześcijan. Jest to wyzwanie, a równocześnie zaszczyt. Przez ułamek sekundy Józef był tak zdziwiony, że nie wiedział, jak się zachować. Obyczaj wymagał, by jako gospodarz i pan domu spędził ten wieczór

w swojej posiadłości, z rodziną i służbą, odczytując im Haggadę, opowieść o wyzwoleniu Żydów z niewoli egipskiej. Ale Józef powiedział sobie, że w domu nie odczują zbytnio jego nieobecności, żona i syn będą raczej zadowoleni, że Józef, ów „zdrajca”, właśnie w ten święty wieczór jest gościem Akawji, cieszącego się ogólnym poważaniem; patrioci żydowscy uwielbiali go, uważali za najlepszego swego przywódcę. Kiedy minęło pierwsze zdziwienie, Józef poczuł głęboką satysfakcję.

— Dziękuję ci, rabbi Akawja — powiedział — przyjmuję twoje zaszczytne zaproszenie, zostaję.

Obydwaj spojrzeli na siebie z uśmiechem, a w uśmiechu tym była życzliwość, wzajemne zrozumienie, że obu ich ożywia niezłomna chęć walki.

A więc w ów wieczór poświęcony odczytywaniu Haggady Józef siedział na honorowym miejscu, obok gospodarza, w domu czcigodnego rabbi Akawji w B'ne Berak. Błogie zdziwienie, które go ogarnęło, kiedy go Akawja zaprosił, trwało nadal, wzmogło się nawet. Czuje się podniesiony na duchu, wieczór ten wydaje mu się bardziej zaszczytny od owej chwili, kiedy to cesarz Tytus kazał ustawić w bibliotece Świątyni Pokoju w Rzymie jego popiersie i ozdobił je wieńcem.

Jeżeli bowiem dzisiaj, tak niedługo po wprowadzeniu nowych form obchodzenia wieczoru Haggady, obyczaj ten przestrzegany jest z takim namaszczeniem i tak żarliwie przez Żydów zamieszkałych nie tylko w Izraelu, ale wszędzie, na całym ziemskim globie, jest to przede wszystkim zasługą zacnego Akawji. On to właśnie ustalił porządek tego wieczoru, jego „*seder*”, on to wymyślił większość tych dziecięcych i wzruszających smętnych obrządków, modlitw przepojonych wiarą i nadzieją, a niekiedy gniewnych inwokacji, które właśnie teraz, w epoce ucisku, budzą w piersi każdego Żyda wspomnienie potwornego nieszczęścia i cudownego wybawienia.

Z bardzo cennej srebrnej misy o trzech kondygnacjach, zawierającej różne potrawy symbolizujące w sposób naiwny i sugestywny niewolę i wyzwolenie, wziął Akawja płaski krążek praśnego chleba, pamiątkę pośpiechu, z jakim swego czasu Żydzi opuścili wrogi kraj ucisku. Łamiąc chleb Akawja częstował nim gości.

— Oto — powiedział — chleb nędzy, który ojcowie nasi spożywali w Egipcie. Kto jest głodny, niechaj tu przybędzie i spożywa razem z nami. Kto jest biedny, niechaj przybędzie i dokona z nami ofiary paschalnej. W tym roku tutaj, w przyszłym roku zaś w Jerozolimie, dzisiaj jako niewolnicy, wówczas jako ludzie wolni.

Tego wieczoru wszędzie na świecie Żydzi wypowiadali owe skromne, pełne nadziei zdania i wszędzie, Józef to wyczuwał, na dźwięk ich żywiej biły serca. Tak, rok ten jest ostatnim rokiem naszego ucisku, w roku następnym świętować będziemy Paschę w odbudowanej w cudowny sposób Jerozolimie.

Akawja mówił dalej. Opowiadał historię wyzwolenia w ułożonych przez siebie prostych i wzruszających słowach. Choć znał dokładnie tekst Pisma, przeżywał głęboko swoje opowiadanie, w myśl nakazu: każdy Żyd winien tego wieczora czuć się tak, jak gdyby to on właśnie został wyzwolony z Egiptu.

Józef słuchał głosu Akawji. Był to głos niski, ochryply, niemelodyjny, ale porywał go swą żywiołową, władczą siłą. Wszyscy przy tym stole upajali się słowami Akawji, jak gdyby to było wino. Niektórzy z gości Akawji byli niegdyś tak jak Józef świadkami potężnej, wspaniałej uroczystości w Świątyni Jerozolimskiej. Ale myśl o pielgrzymkach, o świątecznym przepychu kapłańskich szat nie przygnębiała ich serc w owych czasach nędzy i ucisku, przeciwnie, przypomnienie ponurej rzeczywistości, którą symbolizowały ubogie obrzędy, wzmagało jeszcze dumę ze swego narodu i jego potężnego Boga.

Józef wrócił pamięcią do wieczoru, który niedawno spędził w domu gubernatora w Cezarei, do owych trzeźwo patrzących oficerów i urzędników, którzy, pewni swej władzy, patrzyli z zimną pogardą na barbarzyńskich idealistów, ciągle jeszcze rzucających się w wir beznadziejnej walki o swój kraj i swego Boga. Nie, stokrotnie woli być tutaj, w gronie zwyciężonych, aniżeli wśród zwycięzców.

Zwycięzeni oszołamiali się dalej wspomnieniem swych dawnych zwycięstw i myślami o przyszłych sukcesach. Przygotowali kubek wina dla proroka Eliasza, największego patrioty minionych czasów. Ów prekursor Mesjasza, wysłannik mściwego Jehowy, niezawodnie zjawi się w ciągu tej świątecznej nocy, niechaj więc zastanie napój powitalny. Nikt w to nie wątpił.

Śpiewali słowa wielkiego Hallel, cykl ekstatycznych psalmów tryumfalnych, sławiących wyzwolenie z Egiptu i potęgę Boga żydowskiego, który się doń przyczynił.

„Morze ujrzało i uciekło — śpiewali — Jordan wrócił się nazad. Góry stały jako barani, a pagórki jako jagnięta. Cóż ci się stało, morze, żeś uciekło, i tobie, Jordanie, żeś nazad wrócił?!”

Fantazja ich upajała się z góry, w jaki to sposób Bóg Jehowa zniszczy również i Rzymian. Wody zamkną się nad cesarzem Trajanem i jego legionami i pochłoną je, tak jak swego czasu fale Morza Czerwonego pochłonęły króla Egipcjan wraz z koniem i pojazdem. Alleluja!

Dokonano obrzędów, zmówiono modlitwy. Wobec spóźnionej por) goście zaczęli się rozchodzić. Józef zamierzał także odejść. Ale Akawja nie chciał go puścić. Zostało ich wreszcie pięciu: Akawja, Józef oraz jeszcze trzech gości.

Kunszt Akawji polegał na tym, że przy pomocy nader precyzyjnej metody znajdował w słowach Pisma tłumaczenie wszystkiego, co się dzieje na ziemi. Pismo przewidywało wszystko. Wszystko, co było i co będzie. Każdy, kto potrafi interpretować je prawidłowo, posiada klucz objaśniający sens wszystkiego, co się dzieje na świecie. Nie ma żadnej różnicy pomiędzy wypadkami rozgrywającymi się wówczas w Egipcie a tym, co się dzieje pod rządami cesarza Trajana. Rezultat będzie również taki sam i to, że właśnie dzisiaj obchodzono Święto Paschy z takim gniewnym entuzjazmem, ma swoje uzasadnienie. Święte, szaleńcze oszołomienie dzisiejszego wieczoru nie było niczym innym, jak tylko obchodzonym zawczasu gniewnym tryumfem zwycięstwa nad Rzymem.

Akawja zwrócił się obcesowo do Józefa prowokując go. Zarówno Mojżesz, jak i prorok Eliasz zmusili po prostu Boga bez długich ceregieli, żeby był posłuszny ich woli i czynił cuda. Bóg tego chciał. Chciał, by Go zmuszono. Oczekiwał, by Mu okazano pomoc. Dla tego, kto oświadcza, że czas jeszcze nie nadszedł, nie nadejdzie on nigdy. Należy wierzyć fanatycznie, że Mesjasz, Mesjasz z krwi i kości, przyjdzie jutro. Nocy dzisiejszej przyjdzie prorok Eliasza, jego zwiastun, i wychyli swój kielich. Ci, którzy w to wierzą, jak w to, że dwa razy dwa jest cztery, zmuszą Boga, by zesłał Mesjasza w dniu jutrzejszym.

Akawja lubił podkreślać swą rubasność. Olbrzymiego wzrostu, niezłomny w wierze, siedział przed Józefem, zaprawiał swe słowa szorstkimi, wulgarnymi zwrotami i wreszcie zaatakował Józefa po grubiańsku:

— Gdyby wszyscy postępowali tak jak ty, gdyby wszyscy poprzestali na założeniu rąk i okazywaniu cierpliwości, moglibyśmy czekać, aż nam policzki trawą porosną, a Mesjasza wciąż by jeszcze nie było!

Słowa płynęły mu z ust szyderczo i groźnie, strzepywał gwałtownymi ruchami rąk okruszyny, przy nim Józef zdawał się wytwornym, smukłym arystokratą; nie czuł się jednak dotknięty, nie chciał sobie psuć uroczystego wieczoru. To, co miał do powiedzenia, odłożył na później. Pragnął gorąco zarazić się fanatyczną wiarą tamtych.

Tamci zaś oddawali się w sposób coraz bardziej nieopanowany swoim pięknym snom i marzeniom. Czy były to tylko marzenia? Nie, coś znacznie więcej. Były to dalekosiężne plany.

Kiedy zaczęto mówić o najbliższych siedmiu tygodniach, o tygodniach „rachuby snopów” między Świątami Paschy i Zielonych Świąt, najmłodszy z biesiadników, piękny rabbi Aleazar, spojrzął dokoła rozanielonym wzrokiem i powiedział:

— Gdzież to, moi mentorzy czcigodni, rabbi i przyjaciele, obchodzić będziemy owe Zielone Świątki?

Rabbi Tarfum, odwróciwszy nieco głowę, tak by go Józef nie widział, skarcił nieostrożnego Aleazara surowym spojrzeniem. Ale Akawja nie bacząc na to, że sam przed chwilą napadł brutalnie na Józefa, powiedział:

— Czyżbyście, przyjaciele moi, odczuwali strach przed człowiekiem, który napisał *Apiona*?

Słyszając słowa młodego rabbi Aleazara, Józef przeląkł się. Rozsądek nakazywał, że winien dać wyraz oburzeniu z powodu szaleńczo śmiałego, beznadziejnego przedsięwzięcia, które ci ludzie planowali niewątpliwie na najbliższe tygodnie. Lęk ten był jednak zaprawiony słodyczą. Kiedy Akawja wyraził mu w dodatku całkowite zaufanie, poczuł gromną szczęśliwość. Choć zbliżał się do siedemdziesiątki, ożyły w nim stare pokusy, pławił się w błogim oszołomieniu tamtych. I on był teraz pewien, że prorok Eliasz wychyli tej nocy swój kielich.

Jak nigdy jeszcze upajał się ową nocą opieki, kiedy Pan otacza swój lud izraelski wyjątkową troską. Wraz z pozostałymi słuchał żarliwie gorących i mądrych słów nieokrzesanego czarodzieja Akawji, wraz z innymi oddawał się wspaniałym marzeniom o klęsce i zagładzie wroga oraz o stworzeniu nowej Jerozolimy. Przesiedział tak całą noc i wraz z innymi ubolewał, kiedy zjawili się uczniowie przypominając rabbim, że nadeszła pora modlitwy. Zaświtał już bowiem ranek.

W dwa dni później, znalazłszy się z Akawją sam na sam, Józef zapytał:

— Dlaczego prosiłeś mnie, żebym został tu na Święto Paschy?

Olbrzym Akawja siedział spokojnie założywszy nogę na nogę, prawa ręka spoczywała niedbale na kolanach, lewy łokieć oparł o poręcz krzesła, głowę podpierał lewą ręką. Ciemnymi, niewielkimi oczyma przyglądał się badawczo chudej twarzy Józefa. Potem nie spuszczać wzroku z twarzy Józefa, odpowiedział ze spokojem:

— Chciałem jeszcze raz przyjrzeć się z bliska zdrajcy.

Zaskoczony tą nieoczekiwaną obelgą, Józef cofnął się nieco. Akawja zauważył to z zadowoleniem. — Staralem się — powiedział — wpajać w moich uczniów szacunek dla wieku. Pomimo całego więc respektu dla siwej głowy, powtarzam: Jesteś zdrajcą. Przyszłą, że później naprawiłeś wiele szkód, któreś wyrządził. Dzisiaj jesteś zdrajcą przede wszystkim wobec samego siebie i swojej własnej duszy. — Nieokrzesany Akawja starał się mówić ze spokojem i opanowaniem, i to właśnie podkreślało jego chłopską mowę.

— To, coś mi powiedział, rabbi Akawja — odparł Józef i nieświadomie przybrał ton wyjątkowo uprzejmy, z akcentem człowieka, który swego czasu zdobył tytuł rabiego Świątyni Jerozolimskiej — powtarzam, to, coś mi powiedział, brzmi ogólnikowo. Czy nie zechciałbyś wyrazić się bardziej precyzyjnie?

Akawja począł sapać, chuchać w ręce, pocierać je, jak gdyby gotował się do podniesienia wielkiego ciężaru. Potem rzekł:

— Jehowa przeznaczył cię do walki o jego sprawę, o sprawę Izraela. Kiedy zadanie to zaczęło wymagać trudu i odwagi, odrzuciłeś je. Schroniłeś się pod skrzydła literatury i zacząłeś zajmować się kosmopolityczną paplaniną. Po jakimś czasie znudziło ci się to, więc rzuciłeś się w wir walki. Ale teren stał się grząski, więc ulotniłeś się znowu i wróciłeś do swojej wygodnej i nieobowiązującej pisaniny. Człowiek z ludu, taki jak ja, nazywa to zdradą. Mówię, jak jest, pomimo całego respektu dla siwej głowy.

— Czy zarzuty twoje nie są jeszcze nadal bardzo ogólne? — odparł Józef jeszcze uprzejmiej. — A może to moja stara głowa winna temu, że jakoś nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi.

— Spróbuję zatem — odparł Akawja — przetłumaczyć moje prostackie zdanie na twój edukowany dialekt aramejski. Wiesz z całą pewnością, rabbi Józefie, czego żąda od nas chwila. Ale nie chcesz o tym wiedzieć, wolisz zamknąć oczy i „walczyć” o ideał, który, jak doskonale zdajesz sobie sprawę, jest nieosiągalny. Uciekasz od trudności tego, co osiągalne, w krainę marzeń o niedoścignym ideale. Dla mglistej przyszłości zdradzasz dzień dzisiejszy i jutrzejszy. Mesjasza z krwi i kości, który może już znajduje się między nami, zdradzasz dla Mesjasza duchowego, podobnego do bańki mydlanej. Zdradzasz państwo żydowskie na rzecz kosmopolitycznej utopii. — Nieokrzesany Akawja z trudnością przyoblekał w słowa uczone myśli.

— Co sobie właściwie obiecujesz — zapytał Józef bardzo spokojnie *— mówiąc mi te wszystkie niemiłe słowa?

Akawji zaimponował spokój Józefa, ale złościł go równocześnie.

— Nie wiemy, co z tobą począć — rzekł wreszcie gniewnie, gładząc srebrzystą brodę. — Która z twoich ksiąg jest twoim credo. *Wojna żydowska? Historia uniwersalna? Apion?* Wielki pisarz — mówił gniewnie — powinien chyba umieć wyrażać się w sposób tak jednoznaczny, żeby go lud rozumiał. Nie jestem wielkim pisarzem — zakończył rubasznie — ale lud mnie rozumie.

— Ale ja ciebie nie rozumiem, Akawjo — odparł Józef bardzo uprzejmie. — Nie rozumiem, dlaczego opowiadasz się po stronie Gorliwców. Wiesz przecież, że pod rządami Trajana liczba legionów wzrosła, że kadry legionów wschodnich zostały zwiększone, że traktory wojskowe i sprzęt wojenny osiągnęły niebywały dotąd poziom. Kto chce lwa osiodłać, musi umieć go dosiadać. Jako człowiek, mający sąd obiektywny, wiesz, że lwa nie zdołasz okulbaczyć. Dlaczegoż więc opowiadasz się za powstaniem? Nadejdzie dzień, dobrze, doskonale! Ale twoją rzeczą jest określić, kiedy nadejdzie. Jeżeli wezwiesz lud w chwili nieodpowiedniej, czy nie zmarnujesz dnia i nie weźmiesz na swoje barki wielkiej winy?

— Bóg, który mi kazał osiodłać lwa — rzekł Akawja — nauczy mnie również, jak go dosiąść. — Potem, orientując się, że jest to zdanie odpowiednie dla tłumów, ale nie dla pisarza Józefa syna Mateusza, usiłował głębiej odsłonić przed nim swoją myśl. — Nie rozum jest w stanie rozstrzygnąć — powiedział ponuro — czy nadszedł dzień, tylko instynkt. Rozum zawsze załamuje się w obliczu Boga. Nie mówię tak dlatego, bym unikał rozumu i jego pokus. Znam radości, które daje logika i wykształcenie. Wszystkimi dostępnymi środkami studiowałem Pismo i naukę, parałem się filozofią pogan. Nauczyłem się wszakże tego jedynie, że z chwilą, gdy sytuacja staje się poważna, pomaga wyłącznie instynkt i wiara w Boga Izraela górującego nad wszelkim rozumem, nie zaś logika i wiara w zawsze te same przyczyny i skutki. Wierzę w Mojżesza i proroków, nie w Trajana i jego legiony. Chcę być w pogotowiu, kiedy przyjdzie przewrót, kiedy nadejdzie dzień. A powiadam ci, że dzień nadejdzie! Zakon i obyczaje są dobre i miłe Bogu, ale staną się czczą gadaniną, jeżeli nie będą drogą do niepodległego, praworządnego państwa z całym aparatem administracyjnym i wykonawczym. Pomóc może nam jedynie odbudowa Świątyni, prawdziwej Świątyni z marmuru i złota, odbudowa miasta z kamienia i z drzewa, otoczonego murami nie do zdobycia. Wiesz, czcigodny rabbi, to masy rozumieją. Trzeba być bardzo biegłym w greckiej filozofii, żeby tego nie rozumieć.

Przeciwstawianie argumentów rozumowych fanatyzmowi Akawji nie miało by sensu. Nie dlatego, jakoby Akawji brak było rozumu. Przeciwnie, Akawja miał rozum nie mniejszy od rozumu Józefa. Ale wiara jego była dostatecznie silna, by pokonać rozum.

Świadomość tego zamykała Józefowi usta. Poczuł się w dodatku bardzo mały. Olbrzymi Akawja wstał bowiem, podszedł do niego, nachylił poufale głowę ku niemu, małe oczy pod szerokim czołem, pooranym zmarszczkami, wpatrywały się spod gęstych brwi w oczy Józefa, przebiegłe i jakby opętane upartą myślą. Ścisząc ochryply głos, oznajmił mu tajemniczo:

— Czy wiesz, dlaczego tak żarliwie popierałem Gamaliela, kiedy włączył Pieśń nad Pieśniami do świętych pism? Ponieważ ta Pieśń nad Pieśniami to porównanie, to dialog między oblubieńcem Bogiem i Jego oblubienicą — Izraelem. Skoro jednak Jehowa jest oblubieńcem, to musi ubiegać się o swoją narzeczoną, o Izrael, a zatem dać okup. Jak surowo i bezwzględnie kazał Jakubowi ubiegać się o swą oblubienicę. Bóg musi zdobyć Izrael. Musi sobie na swój naród zasłużyć. Jehowa nałożył na Izrael ciężkie posłannictwo, które Izrael wypełni. Ale Jehowa również musi dopełnić umowy, musi przywrócić Izraelowi jego potęgę i jego państwo. I to nie kiedyś tam, lecz w najbliższej przyszłości, teraz. Ty, Józefie synu Mateusza, pragnąłbyś zbyt łatwo ułatwić Bogu zadanie. Chciałbyś Izrael sprzedać za bezcen. Nie jestem tak wytworny jak ty. Nieufny ze mnie chłop. Żądam zapłaty, skoro dokonałem częściowo mojej pracy. Żądam od Jehowy, zrozum to dobrze, nie proszę, lecz żądam, żeby zwrócił Izraelowi jego państwo i jego Świątynię.

Zaciekłość, z jaką ten człowiek stawiał swe zuchwałe, podstępne żądania, napełniła Józefa lękiem; widać wyraźnie, że Akawja jest przeświadczony o ich słuszności.

— Kształtujesz sobie Jehowę na swoje podobieństwo — powiedział cicho i z zakłopotaniem.

— Tak — przyznał Akawja wyzywająco. — Dlaczego nie mam sobie kształtować Jehowy na swoje podobieństwo, skoro On mnie stworzył na swoje? — Akawja wrócił z kręgu mistyki na grunt realny. — Nie lękaj się jednak — pocieszył Józefa. — Uśmiechał się teraz, mimo potężnej srebrnobiałej brody twarz jego nabrała nagle niezwykle młodego wyglądu. — Przrzekłem — zwierzył się — rabbi Gamalielowi, że nie będę popierał jakiegokolwiek żydowskiego ruchu powstańczego, dopóki Rzymianie nie popełnią nowej nikczemności. — Wypowiedział te słowa z przebiegłym uśmiechem, który go czynił podobnym do Jana z Giskali. — Oczywiście łatwo mi było przrzec to czcigodnemu rabbi. Jestem bowiem pewien, że nowa nikczemność Rzymian nie każe długo na siebie czekać. Mądrość rzymska to mądrość głupia, mądrość na krótką metę, bez Boga i bez łaski. Rzymianie popełnią nikczemność, i wtedy zarówno Gorliwcy, jak i ja będziemy zwolnieni z naszej obietnicy. Bóg nie pomoże Rzymianom, lecz nam.

Zaniepokojony tą rozmową, Józef udał się do Jawneh dla omówienia z wielce uczonym rabbi sytuacji politycznej.

Gamaliel nie tylko nie był zazdrosny o Akawję, ale kierując się rozsądkiem uczynił wszystko, by podnieść jego kredyt moralny. Nie potrafiłby utrzymać swego władania nad Żydami, gdyby nie miał przy swoim boku gwałtownego, buntowniczego Akawji. Kiedy Gamaliel pouczał: „Bądźcie cierpliwi, ulegajcie Rzymianom!” — Akawja uzupełniał te słowa: „Ale tylko na krótki czas. Potem wolno wam będzie powstać i runąć na zuchwałego wroga.” W ten sposób każdy wychodził na swoje. Gamaliel — ponieważ lud nie zniósłby wiecznego, szarpiącego nerwy czekania, którego od niego żądał, gdyby nie Akawja i jego słowa pociechy; Akawja — ponieważ rozsądek jego wzdrygał się przed awanturą, do której rwało się serce, i ponieważ w gruncie rzeczy był rad, że rozważa Gamaliela zapobiega tej awanturze i odwleka ją. Obaj, choć tak różni, tolerancyjni, światowy Gamaliel i fanatyczny chłop Akawja, lubili się nawzajem, szanowali i poważali.

Józef zorientował się wkrótce, że uczony rabbi jest lepiej zorientowany w sytuacji politycznej niż on sam, mimo iż tak niedawno był u gubernatora i u Akawji.

— Cesarz Trajan — informował Gamaliel Józefa — nie jest wrogo usposobiony w stosunku do Żydów, ale jego potężna machina wojenna wymaga, jeżeli ma być wprawiona w ruch, żeby przedpolem zbrojnego pochodu była Judea. Żydzi są więc zarówno dla niego, jak i dla jego gubernatora Luzjusza Kwietusa elementem niepożądanym. Ale gubernator również nie jest wrogiem Żydów, wolałby uniknąć niebezpiecznych zarządzeń, które by podkopały dobrobyt prowincji. Niestety w najbliższym jego otoczeniu znajduje się człowiek, który wzdycha po prostu do tego rodzaju zarządzeń. Wedle wiarygodnych raportów, człowiek ten w mądry sposób wykorzystał nastrój agresywnego patriotyzmu, wywołany przygotowaniem do wyprawy wschodniej, i udało mu się wpoić gubernatorowi swoje poglądy.

Józef musiał się przemóc, by śledzić słowa Gamaliela z należytą uwagą, wiedział bowiem, że wielce uczony rabbi określa tę niebezpieczną postać z otoczenia gubernatora tak mgliście jedynie ze względu na jego osobę. Tym człowiekiem niebezpiecznym i bezimiennym był Paweł Bassus, syn Józefa.

Gamaliel mówi dalej, Józef słucha go, choć burza szaleje w jego sercu. Bóg jeden widzi, że słowa wielce uczonego rabbi zasługują na posłuch. Ten, którego Gamaliel nie wymienia po nazwisku, wpadł na piekielny pomysł. Gubernator, choć niezupełnie przekonany, wyraził swą aprobatę. Oczekiwana jest jedynie zgoda Rzymu na realizację piekielnego planu. Chodzi o to, aby elementy budzące zastrzeżenia pewniej i radykalniej odseparować od elementów lojalnych, istnieje zamiar wprowadzenia na nowo podatku pogłównego.

Pogłowne. Dwie drachmy. Ze wszystkich upokorzeń wymyślonych przez Rzymian upokorzenie najbardziej hańbiące. Jeżeli ten podatek nadzwyczajny, zniesiony przez sprawiedliwego cesarza Nerwę, zostanie wprowadzony na nowo, będzie to sygnałem do powstania, którego chce Rzym i którego niestety pragną Gorliwcy. Akawja słyszał prawdopodobnie o zamierzonym wprowadzeniu tego podatku i to zapewne miał na myśli, kiedy napomknął o nowej nikczemności.

Józef słucha wywodów Gamaliela jak sparaliżowany. Ruchliwego zazwyczaj Józefa przygważdża myśl, że ten, którego Gamaliel nie wymienia po nazwisku, jest jego synem, bóstwo wybrało go za narzędzie, by porazić Judeę nową klęską. Jakież nieszczęśliwy człowiek z tego Józefa! Jakież nieszczęście pociąga za sobą zawsze wszystko, co czynił, synowie, których spłodził, księgi, które napisał! Siedzi nieruchomo jak ogłuszony.

Uświadomił sobie wreszcie, że Gamaliel przestał mówić od dłuższej chwili. Z lękiem szuka jego wzroku. Gamaliel odpowiada spojrzeniem na to spojrzenie i Józef rozumie, że rabbi wie dokładnie, co się w nim dzieje.

— Dziękuję — mówi.

— Jeżeli Cezarea wprowadzi pogłowne — ciągnie dalej Gamaliel, jak gdyby niemego dialogu nie było — Akawja zostanie zwolniony z danej mi obietnicy. Mimo to jest rzeczą możliwą, że zachowa spokój. Wie równie dobrze jak ja, że „nikczemność” Cezarei w niczym nie zmienia stosunku sił między Rzymem i Judeą. To człowiek rozumny. Pytanie tylko, czy siła jego rozumu ostoja się przed jeszcze potężniejszą siłą serca.

Spogląda ponuro przed siebie. Wydawał się dotąd Józefowi młodym człowiekiem. Stary Józef widzi teraz, że i Gamaliel nie jest już młody. Jego ruda broda prawie całkowicie posiwiła, wypukłe oczy miały wyraz zmęczony, cała jego postać straciła imponującą prężność.

Wielce uczony rabbi podniósł się niespodziewanie i znowu był taki jak przedtem.

— Chciałbym cię prosić o pewną przysługę, mój Józefie — powiedział serdecznie, ale tonem człowieka, który nawykł do wydawania rozkazów. — Nie jedź na północ! Pomów jeszcze raz z Janem z Giskali! Gdyby mi się nie udało powstrzymać Akawję, to może tobie się uda powściągnąć Jana tak, aby chociaż północ zachowała spokój. Jesteś z nim zaprzyjaźniony, masz

u niego posłuch. Obdarzony jest tak jasnym rozumem. Przekonaj go, żeby się nim kierował.

— Dobrze — odparł Józef. — Pojadę jeszcze raz do Giskali.

Odkąd opuścił swoją posiadłość, Józef był bardzo czynny. Teraz działał jeszcze bardziej gorączkowo. Wyruszył w pośpiechu, podróżował coraz szybciej. Nie wybierał przy tym najkrótszej drogi, jeździł po kraju wzdłuż i wszerz. W pośpiechu przemierzył jeszcze raz większą część Judei i Samarii. Rzekłbyś, obawia się, że czegoś zaniedba, zdawało się, że tego, co raz jeszcze ogląda i wchłania w siebie, nigdy już nie zobaczy.

W Samarii dowiedział się, że gubernator wydał edykt wznawiający pogłównie od Żydów zamieszkałych w prowincji. Już następnego dnia opowiadano sobie w niewielkiej miejscowości Esdraela, że w górnej Galilei doszło do poważnych zamieszek. Szczegóły były nieznane, ale nie ulegało wątpliwości, że w wielu miejscowościach Galilei o ludności mieszanej Żydzi napadli na Rzymian, Greków i Syryjczyków. Opowiadano, że z Cezarei ruszyły już rzymskie siły zbrojne, by przywrócić porządek. Wedle pogłosek przywódcą buntu jest Jan z Giskali.

Wypadki udaremniły zatem posłannictwo Józefa, nie miał już nic do roboty na północy. Najmądrzej było wrócić czym prędzej do Be'er Simlai, do Mary i Daniela.

Choć doszedł do tego wniosku, wiedział jednak, że tego nie uczyni. Przerazenie, z jakim wysłuchał pierwszych meldunków, zaprawione było wielką błogością. Z dumą i zawstydzeniem stwierdzał, że czuje się lekki, swobodny, szczęśliwy.

Uzmysłowił sobie, że w ciągu ostatnich lat spędzonych w Judei czekał tylko na to powstanie. Obecnie owe lata nabrały sensu. Gdyby bowiem otrzymał spóźnioną wiadomość o powstaniu w Rzymie z dala od wypadków, ominęłoby go najważniejsze wydarzenie w jego życiu.

Obłąd! Tak, chęć wzięcia udziału w rokoszu jest obłądem. Na początku będzie kilka zwycięstw, przyjętych z entuzjazmem, potem nastąpi bezlitosna, ostateczna klęska. Rzymianie osiągną to, czego chcą, zdepczą krwawo resztki pozostałego Żydom męstwa, młodzieńczości i chęci walki. Współdziałanie w tym jest przestępstwem i głupotą.

Wzywając do pomocy cały swój rozsądek przepędził precz upojenie, któremu uległ na wieść o powstaniu. Ale tylko na bardzo krótko.

W nocy, którą spędził w miasteczku na nędznym łożu, znowu ogarnęło go upojenie. Nie było na nie sposobu, oddał się niebezpiecznej błogości z żarliwą rozkoszą. Jak wówczas, gdy będąc jeszcze młodzieńcem, w pierwszej wojnie przeciw Rzymianom, stanął na czele galilejskich oddziałów zbrojnych, miał wrażenie, że urosły mu skrzydła. Ach, poczuć raz jeszcze tę płomienną radość, z którą wówczas szli do walki! To wzajemne przenikanie się, stąpienie. To zwielokrotnione życie, tak burzliwe i rwące, dlatego zapewne, że za chwilę może się zakończyć! Ten ogromny zachwyty, mieszanina świętego ognia, aktów gwałtu, strachu, pewności siebie i bezgranicznej rozkoszy!

Przewracał się na swym legowisku z boku na bok. Zaciska! zęby, obrzucał sam siebie wyzwiskami: „Józefie, nie popadnij znowu w szaleństwo pod koniec życia! Kiedy tego rodzaju obłąd ogarnia człowieka młodego, może to być przez Boga nakazany, wzniosły poryw. Lecz gdy czyni to taki starzec, nie ma w tym ani odrobiny wzniosłości, jest tylko śmieszność!”

Józef nie jest śmieszny. Skoro po tylu latach i tylu doświadczeniach głos wewnętrzny przemawia w nim z taką siłą, to głos ten ma rację. Gdyby nawet miał to być głos szaleństwa, szaleństwo to pochodzi od Boga. Akawja ma rację. Kto ośmiela się twierdzić, że Jehowa to logika i suchy rozum? Czy przez usta proroka przemawiał rozum? A może przemawiało coś innego? Jeżeli z zuchwałą pedanterią chcecie to coś nazwać szaleństwem, niechaj szaleństwo to będzie błogosławione.

Stary Józef rzucił się z rozkoszą w wir szaleństwa. Tak, rację miał Jan z Giskali, rację miał Akawja, rację miały księga Judyty i broszura Józefa syna Mateusza ***Odpowiedź Apionowi***. Nie miał racji uczony rabbi, nie miała jej ***Historia uniwersalna*** Flawiusza Józefa.

Porwawszy się jeszcze raz w życiu na szaleństwo, wyruszył tej samej nocy, by się przebić do Jana z Giskali.

Odszukał poganiacza mułów, który go doprowadził do małej wioski Atabyr, położonej na stokach góry o tej samej nazwie. Poganiacz nie miał odwagi iść dalej. Mieszkańcy wioski również odradzali posuwania się wyżej, ponieważ tutaj rozpoczynał się teren operacji wojennych.

Zakupiwszy nieco jadła Józef sam puścił się w drogę. Omijał trakt wojskowy, wybierał odludne ścieżki, wijące się wśród wąwozów i górskich przesmyków. Walczył tutaj kiedyś, brał udział w fortyfikowaniu góry, znał dobrze okolicę. Kroczył cicho, równomiernie, ostrożnie, nie śpiesząc się zbytnio.

Wstał skąpany w słońcu dzień wiosenny. Zima trwała tego roku długo, na wierzchołkach górnej Galilei leżał śnieg, zasilając szumiące radośnie potoki. Powietrze było przesycone błogą czystością i bardzo przejrzyste. Józef wezwał na pomoc swą pamięć. Była mu posłuszna. Zorientował się od razu, poznawał każdy szczyt górski i każdą dolinę.

Oto grzbiet góry. Pamięć mówiła mu, że zobaczy stąd jezioro, swoje jezioro, jezioro Tyberiady, zwane Genezaret.

I oto tafla jego już zabłysła. Poruszały się na niej małe punkciki. Oczyma wyobraźni Józef widział czerwone żagle łodzi rybackich.

Przeprawił się przez grzbiet, poszukał kotliny górskiej, gdzie mógłby odpocząć, znalazł ją. Usiadł na ziemi. Niepokój, który dręczył go przez cały czas, ustąpił wreszcie. Wolno mu było wytchnąć, odpocząć. Zasiadł wygodnie, zjadł trochę owoców, mięsa i chleba, popił winem.

Wiał figlarny wietrzyk. Józef wyprężył pierś. Galilea owiana czarownym, przeczystym powietrzem, istny ogród boski, rozpościerała się przed nim żyzna, różnorodna, ze swoimi dolinami, wzgórzami, szczytami, z jeziorem Genezaret, z rzeką Jordan, z wybrzeżem morskim, ze swoimi dwustu miastami. Józef dopełniał w myśli to, czego nie widział, wywołując dawne wspomnienia.

Chłonał oczyma rozległy widok. Skały były czerwonawo-szare, drzewa lśniły soczystą zielenią, oliwki miały połysk srebrzysty, cyprysy czerniały, ziemia była brunatna. Na równinie przycupnęły jakieś małe figurki. To chłopcy wachający ziemię, by przewidzieć pogodę. Piękny, bogaty, kolorowy, żyzny kraj. Teraz, wiosną, nawet pustynie jego pokryte są szarozieloną i fioletową roślinnością.

Są jednak tacy, którzy mu tej płodności zazdroszczą. Może jest zbyt żyzny, może Jan z Giskali miał niegdyś rację, że ceny wina i oliwy stanowią powód nie kończącej się wojny, która toczy się o ten kraj. Tak czy inaczej, kraj ten użyźniony jest krwią. Może chce tego Bóg.

Józef odpoczywał w górskiej kotlinie. Opuściły go troski i rozterka. Myśli falowały równomiernie, i to go cieszyło.

Bóg przydzielił Żydom ten kraj płynący mlekiem i miodem. Nie poprzestał na tym, dał więcej. „Kraj, który wam ofiarowałem, nie nazywa się Syjon, na imię mu glob ziemski.”

Ale panowanie nad ziemskim globem to sprawa mglista i odległa. Gdyby raz, choć z daleka, wolno mu było ujrzeć krainę swych marzeń, krainę Mesjasza, krainę prawa i rozsądku! „Możesz czekać, aż ci policzki trawą porosną!” Wspominając te szorstkie słowa Akawji Józef uśmiecha się. Wspaniały człowiek z tego Akawji!

Patrzy znowu, zachwyca się widokiem. Jakie szczęście, że chociaż ta Galilea istnieje! Tyle nadziei i wiary wymknęło mu się z rąk, ale Galilei nie wypuści, chwycił jej się teraz i trzyma ją mocno.

Głosił rozsądek, przepowiadał panowanie rozsądku, państwo Mesjasza. Takie proroctwa, mój miły, zbyt drogo kosztują. Ten, kto gra rolę proroka, musi za to zapłacić licznymi wyrzeczeniami. Ale sławienie swego ludu, swego narodu, jest rzeczą rozkoszną i zaszczytną. Tego rodzaju proroctwo krzepi człowieka na duchu i ciele, przynosi sławę oraz zadowolenie.

Z oddali, z dołu, rozległy się szmery. Józef wiedział, że u jego stóp ciągnie się niewidoczny z kotliny trakt. Wydało mu się, że słyszy tętent koni. Odruchowo skulił się w swym schronieniu.

Jak się właściwie tutaj znalazł? Czego szuka na starość w Galilei, wstrząsanej powstaniem i wojną? Może tylko narazić się tu na zagładę, nie zdoła nikomu pomóc.

Bzdura! Czy on kiedykolwiek chciał pomóc komuś? Musiał dożyć tak podeszłego wieku, by sobie uświadomić, że nigdy nie chciał nikomu pomóc, że zawsze myślał tylko o sobie. Chciał być zawsze tylko swoim JA, ze wszystkiego, co myślał, pisał i udawał, jedynie prawdziwy jest *Psalm o sobie*:

*Ja chcę być sobą, ja chcę być Józefem,
Tak jakem wyszedł z łona mojej matki —
A nie stać oto pośrodku narodów
I być zmuszonym groźbą do wyboru:
Jam z tych lub z tamtych!*

Biedny, wielki, rycerski Justusie! Urodziłeś się nie w porę, trudziłeś się nie w porę, byłeś heroldem i głosicielem prawdy sprzecznej z epoką. Przeżyłeś życie w gniewie i niedoli, zmarłeś w gniewie i niedoli, dzieło twoje zostało zapomniane. Oto nagroda sprawiedliwych.

Trzeba oczywiście wierzyć w Mesjasza, inaczej nie można byłoby żyć. Muszą być jednak ludzie, którzy zwiastują prawdziwego Mesjasza, nie tego, którego ma na myśli Akawja, lecz Mesjasza w rozumieniu Justusa. Ludzie ci należą do wybranych, ale wybranych na niedolę.

Ja, Józef syn Mateusza, tego doświadczyłem. Przeczyłem to, co prawdziwie mesjańskie, całą prawdę, i byłem nieszczęśliwy. Dopiero kiedy z tej prawdy zrezygnowałem, nastąpiła zmiana na lepsze. Byłem w zgodzie z samym sobą i szczęśliwy jedynie wtedy, kiedy działałem wbrew rozsądkowi. Piękne to, wspaniałe czasy, kiedy szedłem wyłącznie za swoim popędem, kiedy pisałem *Odpowiedź Apionowi*, najgłupsze i najlepsze dzieło, jakie stworzyłem! I mimo wszystko może najbardziej miłe Bogu. Któż bowiem może rozstrzygnąć, który z popędów jest dobry, a który zły? Gdyby nawet księga miała powstać ze złych popędów, to czyż nie napisane jest w Piśmie: „Winieneś służyć Bogu nawet złym popędem.”

Odetchnął pełną piersią. Czuł się lekko i świeżo, oddychał swobodnie, czuł się bardzo młody. Na starczych wargach błąkał się uśmiech, nieco głupawy ze szczęścia. Musiał dożyć siedemdziesiątki, zanim dość zmądrzał, aby być niemądrym. Bądź pochwalony, Boże nasz Jehowo, któryś mi pozwolił dotrzeć tutaj i raz jeszcze odetchnąć czystym, słodkim powietrzem Galilei oraz drapieżną, oszołamiającą atmosferą wojny!

W głębi duszy wiedział, że szczęście to nie potrwa długo, że nie pozostaje mu więcej niż parę dni, może parę godzin, może nawet tylko parę nędznych minut. Nie, wcale nie nędznych, przeciwnie, bardzo pięknych i szczęśliwych.

Ruszył w dalszą drogę, zaczął schodzić w dół. Słyszał dookoła szmery, miał się więc na baczności. Unikał szerszych ścieżek, z których by go można było dojrzeć, posuwał się naprzód z wielką ostrożnością. Ale w pewnej chwili stąpnął niezgrabnie. Kamień spod jego nóg potoczył się z takim hukiem, że usłyszano go na trakcie. Traktem ciągnęli jeźdźcy rzymscy. Zatrzymali się i zaczęli przeszukiwać górski stok.

Wzrok Józefa nie był tak bystry jak jego słuch. Przez długą chwilę nie orientował się, czy ci, co szperają dokoła, to swoi czy też Rzymianie. Dopiero kiedy podszedł bliżej, poznał, iż są to

Rzymianie.

Na chwilę zdjął go szalony strach i odebrał wszystkie siły. Przemierzył dzisiaj potężny kawał drogi po dzikich stromych ścieżkach i nagle opuściła go rzeźkość. Był starym człowiekiem, serce, którego dotąd nie odczuwał, zaczęło mu nagle boleśnie ciążyć jak wrzód w piersi, kolana odmówiły posłuszeństwa, musiał usiąść na ziemi.

Stopniowo osłabienie minęło i znowu ogarnęło go poprzednie uczucie pogodzenia z losem, niemal radości, że wreszcie znalazł się u celu. Powinien był zginąć wtedy, na pierwszej wojnie w Galilei, kiedy był jeszcze młodzieńcem. Uniknął tego, prowadził bardzo ruchliwe życie, płodził dzieci i książki, dobre i złe, niektóre żyją jeszcze, niektóre przebrzmiały, był przyczyną, że stało się bardzo wiele złego, ale też trochę dobrego. Teraz, z wielkim opóźnieniem zostało mu dane nadrobić to, czego wówczas karygodnie zaniedbał: Umrzeć w Galilei, na wojnie.

Siedział więc rozkoszując się lekkim, przezroczystym powietrzem, patrzył na żołnierzy, był osłabiony, ale wolny od strachu i pełen oczekiwania.

Żołnierze podeszli bliżej i natknęli się na starego Żyda. Spoglądali na niego niezdecydowani, co robić, Józef patrzył na nich z zaciekawieniem.

— Hasło, Żydzie! — zażądał w końcu najstarszy rangą.

— Nie znam go — odparł Józef.

— Po coś tu wlaź? — zapytali żołnierze.

— Mam w Galilei wielu przyjaciół — odparł Józef — zaniepokojony o ich los, chciałem ich odszukać.

— I dlatego włóczysz się po bocznych ścieżkach, nie idziesz cesarskim traktem? — zapytali.

— Sądziłem — odparł — że na trakcie cesarskim pełno cesarskich żołnierzy. Stary człowiek niech się więc lepiej trzyma bocznych dróg.

Żołnierze wybuchnęli śmiechem.

— Chytrze to sobie wymyśliłeś — rzekł jeden z nich — ale będziesz musiał teraz nadłożyć jeszcze więcej drogi niż tą twoją krętą ścieżką. Coś ty w ogóle za jeden? Przecie nie chłop. A z Galilei także nie pochodzisz.

— Jestem Flawiusz Józef, szlachcic rzymski — rzekł Józef i okazał swój złoty sygnet.

Rozmawiali dotychczas po aramejsku, ostatnie słowa Józef wypowiedział po łacinie.

— Dobre sobie! — wybuchnęli śmiechem żołnierze — należysz do szlachty rzymskiej? Tak właśnie wyobrażaliśmy sobie szlachcica rzymskiego!

— Jak widzicie — rzekł pogodnie Józef — rzeczywistość wygląda czasami inaczej, niż sobie wyobrażamy, ale mam

papiery w porządku. — To mówiąc wyciągnął glejt, wystawiony przez władze w Cezarei.

Żołnierze nie przyglądali się długo glejtowi.

— Ten świstek nie ma dla nas znaczenia — oświadczyli zgodnie. — Dla nas ważny jest jedynie podpis Pawła Bassusa!

Józef zamyślił się chwilę i powiedział:

— Znam waszego Pawła Bassusa bardzo dobrze, on również zna mnie doskonale.

Żołnierze ryknęli śmiechem. Ten stary Żyd podaje się za przyjaciela ich naczelnego dowódcy Pawła Bassusa.

— W takim razie — odparli — przyjaciel twój winien cię był wtajemniczyć w przepisy, które dopiero co wydał. Jeden z tych przepisów głosi: „Jeżeli na jakiegokolwiek drodze galilejskiej spotkacie Żyda obrzezańca, który nie jest mieszkańcem pobliskiej osady i nie zna hasła, należy go traktować jako szpiega.” Jesteś Żydem? Jesteś obrzezany?

— Jestem — odparł starzec.

Dowódca oddziału milczał chwilę, potem wzruszył ramionami, jak gdyby chciał tym gestem przeprosić.

— No więc — powiedział. — Wydajesz się człowiekiem rozsądnym i z pewnością zrozumiesz, że jeżeli z miejsca załatwimy się z tobą, nie będzie to zła wola, lecz wykonanie rozkazu.

— Podziękuj swemu przyjacielowi Pawłowi Bassusowi! — dodał jeden z żołnierzy. Józef przyjrzał się uważnie wszystkim, po czym powiedział ze spokojem:

— Chciałbym to uczynić i dobrze byście zrobili, gdybyście mi to umożliwili. Bo naprawdę należę do szlachty rzymskiej i naprawdę znam doskonale waszego Pawła Bassusa.

Głos Józefa, jego oczy, jego spokojne zachowanie wywarły wrażenie na żołnierzach. Ten człowiek nie wydawał im się szpiegiem, przecież nikt chyba nie wybrałby na szpiega takiego starego Żyda, którego wygląd rzuca się w oczy. Ale służba nie drużba. Poza tym i tak są spóźnieni, patrol stracił więcej czasu, niż było przewidziane. Jeżeli będą się dłużej bawić z tym starym i spóźnią się jeszcze bardziej, oberwą za to zdrowo. Jeżeli się z nim od razu załatwią, będą całkowicie w porządku.

Ale żołnierze nie byli źli z natury. Garnizon ich przebywał w kraju od dawna, od czasu do czasu mieli z Żydami do czynienia i widzieli w nich nie tylko wrogów. Przepisy, rozważał głośno jeden z żołnierzy, mówią: „Bądźcie humanitarni, dopóki pozwalają na to względy wojskowe!”

— Na wojnie jak to na wojnie — rzekł inny.

— Słuchaj no, człowieku — zaproponował dowódca patrolu — idziemy do Tabara i mamy niewiele czasu. Spróbujemy zabrać cię z sobą. Nie będziemy galopowali, ale nie będziemy również jechać stępa. Już jesteśmy spóźnieni. To tak jak na arenie. Niektórzy wychodzą z tego cało. Dajemy ci szansę. Przywiążemy cię do konia, jeżeli wytrzymasz — twoje szczęście. Czy nie jest to rozsądna propozycja?

— Myślę — rzekł żołnierz, który mówił poprzednio — że propozycja jest rozsądna i zgodna z duchem regulaminu. Powiedz sam, Żydzie! — rzucił wyzywająco.

Józef odparł po dłuższej chwili:

— Masz rację, mój chłopcze, to jest zgodne z duchem regulaminu.

Zrewidowali go. Miał trochę gotówki, nieco jadła, glejt wydany przez władze w Cezarei, a na palcu złoty sygnet szlachty rzymskiej.

— Sygnet może być kradziony — oświadczyli żołnierze i zdjęli mu go z palca. Potem zeszli na trakt i przywiązali Józefa do konia. Jeźdźcem dosiadającym konia był niejaki Filip, uchodził za człowieka dobrodusznego.

— Nie będę jechał zbyt prędko — przyrzekł i dał Józefowi łyk wina na pokrzepienie. Potem ruszyli.

Dał wiatr, powietrze było świeże i nasycone zapachem ziół. Żołnierze nie poganiali koni, z początku zdawało się możliwe, że Józef przetrwa próbę. Stare nogi poruszały się, oddychał równomiernie. Żołnierze powtarzali:

— Widzisz, nie daj się!

Ale po jakimś czasie Józef zaczął z trudem chwytać powietrze. Potknąwszy się kilkakrotnie, upadł. Szatę miał podartą, krwawił, ale były to tylko zadraśnięcia, nic poważnego. Podniósł się, biegł dalej. Upadł znowu, tym razem ciężiej, gdyż zwałił się na twarz. Filip zatrzymał konia, raz jeszcze napił swego jeńca i dał mu chwilę wytchnienia, zanim ruszył dalej. Józef upadł po raz trzeci i przez jakiś czas koń go włókł po ziemi. Mimo wiosny trakt był pokryty pyłem, ale nie brak było również kamieni. Kiedy Filip zatrzymał się wreszcie, stary Żyd był od stóp do głów zalany krwią, oczy miał zamknięte, z piersi jego wydobywało się rżęzenie, aż

przykro było słuchać.

Filip krzyknął coś do żołnierzy, którzy otoczyli Józefa kołem.

— Co mamy teraz z tobą począć? — wołali. — Przegrałeś. Czy mamy się z nim załatwić — zastanawiali się — czy też zostawić go, niech sobie leży. No, stary — zwrócili się wprost do niego. — Mamy cię sprzątnąć czy też zostawić tutaj?

— Trzymaliśmy się regulaminu — oświadczył jeszcze raz dowódca patrolu na swoje usprawiedliwienie.

Józef słuchał ich słów, ale nie rozumiał treści. Mówili po łacinie, ale Józef, znający tyle języków, rozumiał teraz tylko język tego kraju, choć i tym nie potrafiłby mówić.

— Najlepiej będzie — zaproponował wreszcie jeden z żołnierzy — jeżeli go tu zostawimy. Ten już nic złego zrobić nie potrafi. — Tak też uczynili. Podnieśli go i ułożyli na skraju traktu, pod krzakiem, aby twarz pozostawała w cieniu. Potem ruszyli w dalszą drogę.

Miejsce, w którym się to stało, było pustynnym płaskowzgórziem porośniętym rzadkimi krzewami. Teraz, na wiosnę, krzewy te były obsypane żółtym kwieciami. Józef leżał w jasnym łagodnym słońcu i na pół przytomny wchłaniał w siebie widok pustkowia, usianego żółtymi krzewami, oraz łagodne radosne słońce.

Józef, który przybył do Rzymu, by przepoić Rzym i świat duchem żydowskim,

Józef, który wodza Wespazjana przywitał jako Mesjasza, Józef, który poślubił niewolnicę Marę, nałożnicę Wespazjana, a później wszedł w związki małżeńskie z Greczynką egipską, Dorion,

Józef, który walczył w Galilei, jako dowódca żydowski, a potem patrzył z obozu rzymskiego na spalenie Jerozolimy i Świątyni,

Józef, który był świadkiem tryumfów Tytusa, który ugiął się pod brzemieniem jego łuku tryumfalnego,

Józef, który napisał sporną księgę o Makabeuszach, zaś dworską, pojednawczą księgę o wojnie żydowskiej, kosmopolityczną, mdłą *Historię uniwersalną* oraz płomiennie patriotyczną *Odpowiedź Apionowi*,

Józef, który daremnie walczył o syna swego Pawła. Józef, który był przyczyną śmierci synów swoich Szymona i Mateusza,

Józef, który jadał przy stole trzech cesarzy oraz przy stołach księżniczki Bereniki, wielce uczonego rabbi Gamaliela i wybuchowego Akawji,

Józef, który studiował pisma żydowskie uczonych rabbi, pisarzy Greków i Rzymian, który tak często zgadzał się ze zdaniem Koheleta, że wszystko jest marnością, i który nigdy w myśl tych słów nie postępował — ów Józef syn Mateusza, kapłan jerozolimski, znany na całym ziemskim globie jako Flawiusz Józef, leży teraz pod krzakiem, twarz i biała broda pełne są pyłu, błota i śliny, oddycha z trudem. Całe to wzgórze dookoła, usiane żółtym kwieciami, należy teraz wraz z jasnym niebem tylko do niego. Góry, doliny, dalekie jezioro, czysty horyzont, po którym krążą samotne drapieżne ptaki, istnieją tylko dla niego i są tylko ramą jego istoty. Cały kraj jest wypełniony jego gasnącym życiem, jest z nim całkowicie zespolony i zjednoczony. Kraj zabiera go, Józef szukał tego kraju. Szukał świata, ale znalazł jedynie swój kraj, ponieważ na poszukiwanie świata było za wcześnie. Nadszedł dzień. Był inny niż ten, o którym Józef marzył, ale napełniał go zadowoleniem.

Kiedy tygodnie mijały, a nie było wieści o Józefie, Mara zwróciła się do gubernatora Cezarei i do wielce uczonego rabbi w Jawneh. Władze rzymskie zajęły się gorliwie poszukiwaniami, bo przecież chodziło o kogoś ze szlachty rzymskiej, znanego w stolicy i na dworze. Prerażony Gamaliel czynił również wszystko, by odnaleźć Józefa. Temu, kto przyprowadzi Józefa żywego lub umarłego, wyznaczono wysoką nagrodę. Można było jednak

stwierdzić tylko, że ostatnio widziano go w miejscowości Ezdraela; tutaj ginął wszelki ślad. Trudno było znaleźć człowieka na terenie nawiedzonym przez wojnę, kiedy powstanie pochłonęło dziesiątki tysięcy trupów.

Minął miesiąc, nadeszły Zielone Świątki, o których marzyli swego czasu ludzie zebrani przy stoku rabiego Akawji. Były to dla Judei krwawe Zielone Świątki. Nadszedł skwarny miesiąc *tammuz*, nadeszła rocznica rozpoczęcia oblężenia Jerozolimy, przyszedł miesiąc *ab*, nadeszła rocznica spalenia Świątyni. Wciąż jeszcze nie natrafiono na ślad Józefa syna Mateusza, zwanego przez Rzymian Flawiuszem Józefem. Trzeba było uznać go za straconego,

Gamaliel musiał zrezygnować z godnego pogrzebania największego pisarza, jakiego wydał naród żydowski w owym stuleciu.

Uczeni rabbi oświadczyli:

— O Mojżeszu, nauczycielu naszym, mówi Pismo: „a nie dowiedział się człowiek o grobie jego, aż do terazniejszego dnia”.

Wszyscy doszli zgodnie do przekonania, że jedynym pomnikiem Józefa jest jego dzieło.

KONIEC TOMU TRZECIEGO I OSTATNIEGO

SPIS TREŚCI

Księga pierwsza: Domicjan

Księga druga: Ziemia obiecana